

LUDWIK KRZYWICKI — WARSZAWA

NAZWY PLEMIENNE

(PRZYSZYNEK DO SOCJOLOGII STOSUNKÓW MIĘDZYPLEMIENNYCH W OKRESIE PIERWOTNYM.)

Plemię to odrębna indywidualność zbiorowa mająca poczucie swojej odrębności i to niekiedy bardzo napięte. W tym swoim charakterze odrębnej całości posiada nazwę, a właściwie wiele nazw — jedną własną, której samo używa, gdy chce zaznaczyć swoją indywidualność zbiorową w przeciwieństwie do innych plemion, oraz liczne nazwy czy przezwiska, pod którymi jest znane u plemion ościennych. I nawzajem ze swej strony obdarza każde ościenne, a niekiedy nawet dalsze plemiona jakąś nazwą czy przezwiskiem, takim zachowaniem swoim stwierdzając taką samą wśród nich indywidualność zbiorową, jaką samo posiada. O ile rozpada się na działy miejscowe trwałej natury, każdy z takich działów również posiada własną nazwę, pod którą jest znany w plemienu. Nazwy te są poniekąd jak gdyby zakrzepłym ujęciem w słowie stosunków wzajemnych, a przynajmniej były niem w chwili swego powstawania, kiedy ich znaczenie drgało jeszcze całą pełnią życia w świadomości tych, którzy się nimi posługiwali. Niestety, zbywa nam na systematycznym materiale, któryby pozwolił na wszechstronny rozbiór nazw plemiennych. To nasze zastrzeżenie dotyczy zwłaszcza okresu dzikości. Jedynie Australczycy tworzą wśród ludów tego szczebla kultury niejaki wyjątek, acz swoją drogą niezmiernie szwankujący pod wielu względami. Przyczynki te, bardzo szczupłe, dotyczą z jednej strony zazwyczaj zespołu plemionek pokrewnych a zaprzyjaźnionych, a niekiedy tylko działów tego samego plemienia, z drugiej zaś — istnieją okoliczności pozwalające przypuszczać, iż z pośród licznych nazw czy przezwisk, jakimi plemiona obdarzają siebie nawzajem, uwzględniono tylko niektóre, te mianowicie, które swoją oryginalnością przykuły do siebie uwagę osoby, co je przekazała w drukowanym słowie. Najobficiej i najsystematyczniej przed-

stawia się słownictwo nazw plemiennych w obrębie ludności tubylczej Ameryki północnej. Ale i tutaj istnieją olbrzymie luki. Są plemiona, których nazwa istnieje jedynie na stronicach prac poświęconych dziejom osadnictwa białego — nazwa często jedyna, a niekiedy tylko przezwisko nadane przez sąsiadów. Dopiero z końcem w. XIX zwrócono na tę stronę zwyczaju pierwotnego baczniejszą uwagę i zaczęły się ukazywać systematyczniejsze przyczynki do słownictwa plemiennego. Na tych przyczynkach amerykańskich do synonimji plemienną będziemy się opierali w swoich dalszych wywodach jako jedynych, które dostarczają systematyczniej zebranego materiału. Na zakończenie pozwolimy sobie w związku z rozbiorem nazw plemiennych na niższych szczeblach rozwoju społecznego zatrzymać się nieco nad nazwami ludów słowiańskich i germańskich w okresie, gdy pojawiły się były na widowni dziejowej.

Jeszcze jedna uwaga wstępna.

Istnieje cała gradacja nazw plemiennych, gdy je rozważamy ze względu na treść, jaką w sobie zawierają. Na jednym krańcu mamy do czynienia z plemionami, wyodrębnionemi wprowadzicie pod względem politycznym i terytorjalnym, ale różnice językowe i zwyczajowe pomiędzy niemi są nieznaczące, żywą zaś niekiedy jest tradycja wspólnych niegdyś losów, a w każdym razie istnieje poczucie jakiegoś pokrewieństwa. Plemiona te, tworzą pospołu jak gdyby wyższego rodzaju jednię kulturalną, nieraz dość wyraźnie wrytą w świadomości ogółu osób należących do niej. Na drugim krańcu są plemiona odrębne językiem (który należy do różnych rodzin językowych) i o różnej tradycji mówiącej o tem, iż w ciągu wieków zwalczały siebie nawzajem orężem i wszelkiem podejściem. Rzecz to zrozumiała, iż słownictwo nazw w obu tych wypadkach będzie się charakterem swoim stanowczo różniło.

1. *Gradacja nazw wśród tej samej jednoty językowej. Przeciwstawność pomiędzy mową rodzacką a obcą. Subiektywizm plemienny. Nazwy plemienne są jak gdyby zakrzepłemi stanami subiektywizmów plemiennych. „Ludzie“ i wrogowie.*

Omahowie pospołu z Ponkami, Quapawami i paru jeszcze plemionami tworzą wśród siuskiej rodziny lingwistycznej dość wyra-

źnie wyodrębniony odłam Dhegihów. Wyraz „dhegiha“ oznacza „lud tej (naszej) ziemi“, t. j. w wolnym przekładzie: „tutejsi“, „nasińscy“, że użyjemy terminów wziętych z ust ludu naszego. Należące do Dhegihów plemiona wyszły z tej samej wspólnej pramacierzy plemiennnej. Przy kolejnym wyodrębnianiu się jedna z gromad udała się w dół rzeki, inna w jej górę — stąd nazwy Quapawów, Omahów itd., w przekładzie polskim: „lud (idący) z prądem rzeki“, „lud przeciw prądowi“ itd. Poczucie tej dawnej łączności przetrwało nie tylko w tradycji, ale i w życiu codziennym. Omahanin spotkany nocą na ziemi swego plemienia i zapytany kim jest, odpowie, iż jest Dhegihańczykiem, a tak samo odrzeknie Ponkanin w obrębie swego terytorjum plemiennego. Natomiast na cudzej ziemi każdy, a więc Ponkanin na terytorjum Omahów, Omahanin w obrębie kraju Ponków, odpowiedzą, jeden, iż jest Ponkaninem, drugi — Omahaninem, t. j. każdy uzna za stosowne szczegółowiej określić swoje pochodzenie, podając nazwę swego własnego plemienia.¹ Rodowody plemion dhegihańskich przywodzą na myśl ustęp z Nestora o ludach lechickich: „Słowianie owi, przyszedłszy nad Wisłę, przezwali się Lęchami, a od tych Lęchów przezwali się jedni Polanami, drudzy Lęchowie Lutyeczami, inni Pomorzananami, inni Mazowszanami“.² W świadomości członka któregoś z wyliczonych plemion czerwonoskórych wysuwa się na pierwszy plan formacja nazw wewnątrz grupy dhegihańskiej, a dopiero po niej w potrzebie wysunęłaby się prawdopodobnie inna, odpowiadająca stosunkom w łonie całej siuskiej rodziny językowej — rodziny, której Dhegihowie byli jednym z odłamów, a wysunęłaby się wtedy, gdyby ktoś z Omahów lub Ponków zetknął się z przedstawicielami rodziny algonkińskiej lub kaddoskiej, które „mówią czerwono“, t. j. posługują się mową innego pochodzenia niezrozumiałą dla plemion szczepu siuskiego. Tak samo byłby ktoś Polaninem wśród Lęchów, Lęchitą wśród Słowian, w końcu Słowianinem w przeciwstawieniu do Niemców. Jednak nie należy gradacji nazw występującej w świadomości Indjan odłamu dhegihańskiego kłaść na tym samym poziomie pod względem wyrazistości z gradacją nazw, którą przyjmujemy jako istniejącą wśród Lęchów. Tam, wśród Indjan, była niewątpliwie głębiej odczuwana. Plemiona dhegihańskie trzymały się każde dość zwartym obozem, przechodziły z miejsca na miejsce w ordynku plemiennym ogarniającym zazwyczaj ogół Omahów lub ogół Ponków i przeciwstawiały się sobie nawzajem wyra-

źnie jako jednie społeczne. Lęchowie byli dzięki rolnictwu przytwierdzeni do ziemi. Właściwie, ich różne odłamy: Polanie, Mazowszanie itd. składały się z plemieńców, z których każdy był w ten sposób przymocowany. Plemiona lęchickie* rozsiadły się na znacznej przestrzeni, a poważne odległości istniejące pomiędzy niektórymi z nich położyły kres bezpośredniemu obcowaniu. Osiały tryb życia ujarzmił człowieka! Nestor odtwarzał w swojej opowieści bodaj stan rzeczy, który już zaniknął w świadomości różnych odłamów świata lęchickiego, a jeśli jeszcze istniał, to dni jego były już policzone. Nie jest także rzeczą wykluczoną, iż wywnioskował go z różnych faktów mu znanych. Albowiem z ludami osiadłymi dźać się musiało w przeszłości to samo, co oglądamy dzisiaj we współczesnej Angoli. Murzyn tamtejszy nigdy nie powie o sobie, iż mówi po angolsku, ale wyrazi się, iż mówi po loandzku, mbacku, ngulundzku, t. j. uwzględni w określeniu swej mowy liczne i drobiazgowo różnice narzeczowe pomiędzy dzielnicami Angoli. Nie nazwie siebie Angolczykiem, lecz albo odróżni Murzynów wogóle od Europejczyków, albo zapaści się w drobiazgowo podziały miejscowe.³ W jego umyśle pojęcie o Angoli jako o kraju, w którego obrębie istnieje daleko posunięta jednostajność lingwistyczna i obyczajowa, jest nieobecne. Natomiast taka świadomość o wspólnem pochodzeniu musiała niegdyś istnieć wśród ruchliwych plemion germańskich. O swej mowie tak podobnej, mimo różnic gwarowych, do mowy innych plemion germańskich członek któregoś z plemion zachodnich rzekłby, iż jest diutisca tunga, t. j. zrozumiała, swoja, „rodacka“, i sąsiedzi, którzy się nią posługują, są tym samym diot.⁴ A swoich sąsiadów, w przeciwstawieniu do siebie ludzi niezrozumiałego języka, ochrzciłby nazwą „welszów“, t. j. bełkoczących, mówiących niezrozumiale.⁵ Polanin znowu o plemionach swego szczepu powiedziałby, według Nestora, iż wszystkie są „słowiańskimi“ i umiałby je odróżnić od „niemych“ ludów, a „niemym“, niezrozumiałym był dla Słowianina pierwotnie prawdopodobnie każdy człowiek niesłowiańskiego pochodzenia, aż w końcu ograniczył nazwę „niemych“ do tych obcych sobie ludów, z którymi najostrzej się stykał.

Ośmieliliśmy się na tego rodzaju traktowanie nazw, związanych ze szczepem germańskim i słowiańskim, gdyż podniesiona tam prze-

* Właściwie należałoby mówić: lęckie, lub jak brzmi ten termin w niektórych okolicach: łackie.

ciwstawność pomiędzy swoją „rodacką“, zrozumiałą mową, a obcą „bełkoczącą“, niejednokrotnie wpływała przed nami podczas naszych studjów nad słownictwem nazw plemiennych w obrębie niższych szczebli kultury. Np. tacy tubylcy północnej części półwyspu Gazelli (Nowa Pomeranja) uważają siebie za lud rzetelnej ziemi, a mowę swoją, rozpadającą się na parę narzeczy, za jedynie rzetelną — języki ościenne są dla nich bełkotaniem, „Kauderwelsh“ jak O. Meier oddał nazwę ich w języku niemieckim.⁶ Liczne ludy rodziny lingwistycznej algonkińskiej były dla Iroków „mówiącami niezrozumiałe, bełkotami“, Cheyennowie dla Siuków zaś „mówiącymi czerwono“ — wyrażenie oznaczające również mowę obcą, niezrozumiałą; natomiast Huronowie dla Ludu Neutralnego, Cheyennowie dla plemienia Cree byli ludami „źle, ale rozumiałe mówiącami“, bądź co bądź „słowieńcami“, czy „słowianami“, iż użyjemy tej nazwy może w niewłaściwym, ale dość powszechnie przyjętem znaczeniu. Ta przeciwstawność niejednokrotnie wystąpi przed nami na jaw z wielką przejrzystością podczas dalszego rozbioru nazw plemiennych.

Do tego rozbioru zwrócimy się obecnie.

Zaczynamy od Hotentotów.

Nazwy plemienne wśród tego szczepu zaostrzą niewątpliwie nasze odczucie tej obcości, jaka na niższych szczeblach kultury istnieje pomiędzy przedstawicielami odmiennych rodzin językowych. Namowie, jedno z plemion hotentockich, zowią siebie Khoikhoi, t. j. „ludźmi najprzedniejszymi“, „ludźmi z ludzi“, „ludźmi nad ludźmi“. Źródłosłów „khoi“ dał początek mnóstwu zwrotów przewybornie odzwierciedlających zarozumiałość, a właściwie subiektywizm plemienny. O człowieku dumnym i „dobrego“ (przyzwoitego) zachowania się mówią: „ten człowiek robi z siebie Hotentota“ (przewyższa siebie samego w godności). Nasze terminy „ludzkość“ i „przyjaźń“ Namowie oddają wyrazem „khoisis“, t. j. jak gdyby „hotentockość“; zażyłsza przyjaźń to „khoisigagus“; przyjaciel zaś od serca to „koihakhoi“, t. j. „Hotentot nad Hotentotami“.⁷ Swoich krewniaków szczepowych, Damarów, którzy ze swej strony uważają siebie za „haukoin“, t. j. rzetelnych ludzi, Namowie zowią „hankhoi“, „nieswoimi ludźmi“ (nienasińskimi), „nie takimi ludźmi“, t. j. bądźco bądź przyznają im godność ludzką, tylko innego, niższego stopnia niż sobie. Natomiast Buszmenom nadają pogardliwe miano sab: „Nie jest k h o i k h o i, tylko s a b“, co znaczy tyle, iż Buszmen nie jest czło-

wiekim, a właściwie nie jest gentlemanem, tylko łotrem.⁸ Hererowie odplacają się Hotentotom pięknem za nadobne: każdego Hotentota, zresztą i białego, chrzczą nazwą „mutua“, niewolnik, Spitzbube.⁹

Słowem, po jednej stronie „ludzie“, „rzetelni, prawdziwi ludzie“, „ludzie nad ludźmi“, po drugiej quasi-ludzie, jacyś podlejsi, gorsi. Przeciwwstawieniom tego rodzaju niema końca, gdy rozważamy nazwy plemienne. Tupinambowie, Guayowie itd., brzemieni dumą plemienną i swoją godnością ludzką, są w swoim przekonaniu ludem „szlachetnym“,¹⁰ Masajowie mówią o sobie, iż są wybranym narodem ngai (t. j. boga); ngai jedynie im przydzielił bydło rogate, dając tem samem prawo zabierania innym tego dobytku; nadają sobie miano „orloigob“, t. j. „potężnych“, „panów“;¹¹ inne ludy dla jednych i drugich to pacholki, niewolnicy, nicponie. Karibowie jedynie siebie uważali za „lud“, a spoglądając zgóry na inne plemiona, traktowali ich jako swoich niewolników — z całą bezczelnością mówili: inne narody są „naszymi niewolnikami“.¹² Ale rzecz nie jest tak prosta i dlatego przy bliższym rozbiorze nabiera oblicza bardziej złożonego. W nazwie „my ludzie“ niezawsze tkwią jednakie pierwiastki — okoliczność, która temu zwrotowi nadaje każdorazowo treść nieco odmienną. Rzetelnymi, istotnymi, jedynymi ludźmi byli w swoim mniemaniu bodaj tylko wyspiarze z drobnych archipelagów melanezyjskich — ludźmi w przeciwieństwie do duchów, za jakich początkowo uważali białych. Dla tych wyspiarzy drobne zespoły wysepek tamtejszych były całym znanym światem, światem jedynym. Gdy przybyli biali, mniemali, iż są to duchy zmarłych rodaków.¹³ Ale jest to wypadek odosobniony, który powtarzał się jedynie w tych okolicach, gdzie biali uchodzili w pierwszej chwili za duchy, np. wśród Australczyków. W innych wypadkach zetknięcie się ludów różnej barwy przyczynia się jedynie do tem bezwzględniejszego wynoszenia swojej wyższości przez ludy władcze, do uważania siebie za „przednich ludzi“, „ludzi wyższej miary“, jak to obecnie postępują biali w Afryce i gdzieindziej. A zatem Gallowie afrykańscy z dumą spoglądają na siebie: są „dima“, czerwoni.¹⁴ Duma, jaką pielegnują z tego powodu, odtwarza w dobie naszej bodaj uczucia ich krewniaków rasowych, Egipcjan starożytnych: Egipcjanie byli „właściwymi ludźmi“, jedynie ich losy leżały bogom na sercu, barwą zaś swoją przodowali innym ludom — Syryjczycy byli jasnobronzowej cery, Libijczycy barwy białej, murzyni czarnej, tylko im,

Egipcjanom, bogowie użyczyli pięknej barwy: czerwono-bronzonej mężczyznom, jasno-żółtej kobietom.¹⁵ Jednak ze stanowiska Gallów i Egipcjan zarówno Syryjczycy, Libijczycy jak i Murzyni są ludźmi — jedynie odmiennej godności w hierarchji kształtów ludzkich, tamci są przedniego rodzaju, ci podlejszego. Tak samo Hotentot wygórowaniem swojego człowieczeństwa bynajmniej nie odmawia innym godności ludzkiej, lecz jedynie zaznacza, iż w stosunku do nich jest istotą wyższej wartości. Karaib, przywłaszczając sobie w swojej własnej nazwie pojęcie: „jedynie my jesteśmy ludem“, t. j. zbiorem ludzi wolnych, przednich, zgoła nie zaprzecza, aby jego wrogowie nie byli również ludźmi, lecz podkreśla iż są to ludzie-niewolnicy, ludzie-pospółstwo. Przytem, gdy Illinojczyk lub Delawarczyk mówi o swoim plemienu jako o ludziach, tkwi w tem powiedzeniu nie człowiek wogóle, a więc nie starzec i pacholę, nie mężczyzna i kobieta — chodzi w tym zwrocie bowiem o osoby w sile wieku, a właściwie bodaj jedynie o mężczyzn w okresie najwyższej tężyzny fizycznej.¹⁶ „Ludźmi“ są przedewszystkiem tacy mężczyźni. Ale nie tylko i niezawsze tkwi w nazwie „lud“, „ludzie“, „mężczyźni“ poczucie zaznaczonej powyżej wyższości. W wielu wypadkach treść owego człowieczeństwa jest skromniejsza — mamy niekiedy do czynienia ze stosowaniem terminu „człowiek“ w tem znaczeniu, w jakim poleszuk nazywa siebie „człowiekiem“, lub w jakim w naszych dworach wiejskich odzywają się, iż „przyszedł człowiek“ (naturalnie, po wyłączeniu z tego powiedzenia pierwiastków niejakkiej pogardy). A niekiedy nazwa „lud“, „nasz lud“ odpowiada całkowicie starogermańskiemu terminowi „thiot“, „diot“ (Volk), lub naszemu zwrotowi ludowemu „nasińscy“, „naszyńscy“, „naszyńcy“, albo poleskiemu „tutejsi“, tak często powtarzającemu się tam podczas pierwszego spisu ludności w Niepodległej Polsce.¹⁷ A zatem pojęcie człowieczeństwa, zawarte w nazwach: „my ludzie“ przedstawia całą moc gradacyj i niewątpliwie w wielu wyjaśnieniach nadużyto niesłusznie tego terminu na rzecz zbyt wygórowanego subiektywizmu plemiennego, tak jaskrawo występującego w słownictwie hotentockiem. Naturalnie, jakiego zabarwienia treść tkwi każdorazowo w nazwie: „my ludzie“, da się dopiero powiedzieć po rozważeniu wszystkich okoliczności w każdym poszczególnym wypadku. Niestety, takie pogłębienie przedmiotu niezawsze jest możliwe — zawiniły dorywczość i niedokładność materiału, którym rozporządzamy. Jedno nie ulega

wątpliwości, a mianowicie, iż dążność wśród ludów do takiego wyodrębnienia siebie od innych i zaznaczania swojej wyższej wartości swoją nazwą plemienną jest dość powszechna na niższych szczeblach kultury. O Indianach Ameryki północnej J. W. Powell¹⁸ pisze: „Niema patryjotyczniejszej istoty nad Indianina. Mniema, iż jest dzieckiem odrębnego aktu stworzenia, dokonanego przez jego własne, odrębne bóstwo, i dlatego uważa siebie za rasę uprzywilejowaną. Imię, jakim plemię odróżnia siebie od innych, daje temu świadectwo: Indianin stoi wyżej od wszystkich jestestw stworzonych i tak samo każde poszczególne plemię wyniesione jest ponad inne. Pospolicie nazwy te odpowiadają treści, jaką przywiązujemy do terminów: jedyni ludzie, ludzie nad ludźmi, dzieci ziemi, szlachetni ludzie.“ Co więcej, to poczucie swojej wyższości jest tak silne, iż udziela się nawet białym, którzy dłużej przebywali w którymś plemieniu i ulegli jego wygórowanemu subiektywizmowi plemiennemu. Już w końcu w. XVII możemy zanotować takie objawy. L. Hennepin, mówiąc o nazwie Illinojów, przywłaszczającej temu plemieniu godność doskonałych ludzi (a właściwie mężczyzn), oświadcza, iż ci Indianie na innych dzikich spoglądają jako na bydło, i dodaje, iż nie można im odmówić słuszności, gdyż wyróżniają się większą humanitarnością, niż jakiegokolwiek inne ludy, które był poznał w Ameryce.¹⁹ Najście białych nadało dawnym nazwom nieco inne oblicze. Ongi np. Paw-nijczyk w swojej nazwie plemiennej wygórowywał siebie, nadając innym plemionom czerwonoskórym nazwy lub przydomki, w których naturalnie nie było żadnego pierwiastka wyższości. W zetknięciu z przybyszami białej rasy dawna ich nazwa wchłonęła w siebie nowe pojęcie: „Indianina“ w przeciwieństwie do białego, pojęcie, które z konieczności obejmować zaczynało w pewnej mierze i inne plemiona. Wraz z tem zaczęło kiełkować wśród Indian poczucie jakiejś jednolitości rasowej. Nosy Przedziurawione opowiadają, jak kojot, zgładziwszy potwora-olbrzyma, z jego głowy stworzył Płaskie Łby (Saliszów), z nóg — Czarnonogich, ale z krwi serca, która uchodzi za najcenniejszą, najważniejszą część ciała, ich plemię.²⁰ Mit ten odtworza dawne pojęcia o pierwszeństwie swego plemienia, o białych niema w nim mowy. Natomiast u Iroków, którzy mieli dość czasu wejść w bliższe stosunki z najeźdźcami, opowiadają, iż Wielki duch stworzył najpierw Indian z gliny czerwonej, białych zaś dopiero później — z piany morskiej, która jest biała²¹ — w opowieści irockiej

czerwonoskórych już jako jedną gromadę przeciwstawiono białym. „Ludzi“ więc było ongi co niemiara w Ameryce północnej.²² Naturalnie, że istnieją i gdzieindziej poza Ameryką północną, choć, organiczyszy się w naszych dochodzeniach przeważnie do paru tylko dzielnic globu, nie gromadziliśmy z tego powodu materiałów dla innych okolic. Nawet wewnątrz tego samego szczepu językowego poszczególne plemiona przywłaszczały sobie miano „przednich“ i lekceważąco traktowały krewniaków cokolwiek różniących się gwara. Podanie Indian Zajęczych opowiada, jak wskutek pojawienia się gwiazdy płonącej (komety), odeszli od nich różni współplemieńcy. Jeden udał się z zamiarem dotarcia do źródła owego ognia — od niego pochodzi plemię Czipewajanów, ale „był to człowiek tępy i nie miał dużych strzał, żona zaś jego nie umiała wyszywać“. Za jego wzorem poszli przodkowie innych Atapasków, lecz ci nie władali mową i dlatego odeszli — byli „nicponiami“. Natomiast Indianie Zajęczy są „przednimi ludźmi“ i „dlatego przysłowie powiada o dobrym człowieku, który pielęgnuje przykazania dziadów: to Indianin Zajęczy!“²⁴ Wogóle nazwy, pod którymi slyną w jakimś plemienu jego sąsiedzi, są aż nazbyt często szyderczego charakteru, a więc i poświęcone wydrwiwaniu ich zwyczaju i osobliwości. Np. Indianie Zajęczy twierdzą o Koloszach, iż ci pochodzą od psów, oraz nazywają ich widmami, warjatami, nierządnikami.²⁵ Wśród tych nazw, a właściwie przezwisk zwłaszcza jedno powtarza się często: „wrogowie“ lub, co znaczy to samo: „węże“, „zli ludzie“, „złodzieje“.²⁶ Wiedza etnograficzna zna liczne ludy pod takimi nazwami pogardliwymi — słownik imion plemiennych figurujących w etnografji jest w pewnej mierze zbiorem obelg i wymyślań.²⁷ (Zaznaczamy przy okazji, iż „zwykle z wielką trudnością można otrzymać rzeczywistą nazwę plemienną, a to z obawy, iż będzie użyta ku szkodzie ludu przy pomocy sztuczek czarodziejskich“).²⁸

2. *Eskimowie a czerwonoskórzy. Nazwy plemienne wśród Eskimów. Nazwy plemienne u ludów algonkińskich, irockich, siuskich. Nieco wywodów charakteru ogólnego.*

Przechodzimy do szczegółowego rozbioru słownictwa nazw plemiennych w dzielnicy, która wyróżnia się materiałem z jednej strony

względnie najobfitszym, z drugiej opracowanym w większej mierze niż gdziekolwiek indziej, a więc w Ameryce północnej.

1. Zaczynamy od Eskimów.

Eskimowie siedzą na bardzo znacznej przestrzeni wzdłuż całego wybrzeża północnego Ameryki północnej zwaitem, ale względnie wąskim terytorjum. Tworzą grupę językową rozpadającą się na liczne plemiona, mało zróżnicowaną, jeżeli chodzi o warunki bytu, o zwyczaje i mowę tych odłamów, ale pod każdym względem ostro wyodrębniającą się od ościennych szczepów czerwonoskórych. Słownictwo plemienne wewnątrz szczepu eskimoskiego ukształtowało się według mocno jednolitego planu. Eskimowie mówią o sobie jako o *innuitach*, t. j. „ludziach“ (w różnych odmianach fonetycznych)¹ poszczególne zaś plemiona odróżniają siebie według charakteru zamieszkiwanej miejscowości, według stron świata, odległości, obfitości zwierzyny. A zatem są tam rzeczanie, przyładkarze, ujściany (t. j. żyjący nad rzeką, na przyładku, przy ujściu rzeki), są wschodniacy, zachodniacy, są foki (na wybrzeżu zasobnem w foki) i prawdopodobnie takiego samego pochodzenia są gęsiarze, rogi, wydry; są dalecy, bardzo dalecy. W końcu niektóre plemiona wzięły nazwę swoją od nazwy głównej wioski, która to nazwa, przynajmniej w wielu razach, jest tak samo charakteru geograficznego. Z pośród 62 plemion, które wynotowaliśmy,² dla 17 nie posiadamy znaczenia nazw im przysługujących, z pośród pozostałych 45 przypadają na nazwy utworzone:

od otoczenia topograficznego	27 plemion, t. j.	60.00%
od wioski głównej	6 „ „	13.33%
według stron świata	2 „ „	4.44%
według odległości	3 „ „	6.67%
według zwierzyny, w jaką obfituje miejscowość	6 „ „	13.33%
mający kamienne garnki	1 „ „	2.22%

Zgola odmienny charakter mają te nazwy, pod którymi słyń wśród Eskimów obce plemiona, czy szczepy. Obcy, przede wszystkim Duńczycy, są Kablunakami, wyraz mający dość obelżywe znaczenie.³ Niektórzy Indianie noszą nazwę „wszarzy“: „o! nie warto o nich mówić, zrodzili się z gnidy wszy naszej!“⁴ Niekiedy, zamiast nazwy, Eskimowie oddają giestami przymioty i nazwę inno-

plemieńców: są tam ogoniaści, wielkie ognie, fajciarze (Rosjanie od używania fajek).⁵ Czerwonoskórzy nie pozostają im dłużni. Eskimów otacza zewsząd z ich strony zajadła nienawiść: dla wielu plemion atapaskich (Indjan Zajęczych, Niewolniczych i t. d.) są to *ennaki*, *oenne* itd., t. j. wrogowie (stepowi, pieszcy itd.),⁶ dla Kenajów są *utsehaga* — „niewolnikami“,⁷ dla Czarnonogich — *nodway*, t. j. „węzami“, „gadzinami“.⁸ Nazwę Eskimów nadały im niektóre plemiona algonkińskie (Abnaki, Chippewowie): dla nich byli oni *eskimantik*⁹ (liczne nazwy różniące się nieco pod względem fonetycznym), t. j. „pożeraczami surowego mięsa“, skąd wzięła się i nasza nazwa polska. Dla Czukczów przedzielonych od nich morzem Eskimowie byli *alvayelilit* lub *rochilit*, t. j. „ludem z przeciwległego wybrzeża“, „ludem obcej mowy“.¹⁰

Słowem, nad przepaścią znajdującą się pomiędzy światem eskimoskim a czerwonoskórym niema pomostu — z jednej strony są „nasińscy“, „ludzie“, z drugiej — „niedołęgi“, „wrogowie“, „węże“.

2. Ten sam obraz powtarza się, zresztą z różnym napięciem, wśród szczepów czerwonoskórych w ich stosunku wzajemnym.

Oto szczep algonkiński.

Szczep ten w chwili przybycia białych składał się z plemion silnie zróżnicowanych. Przodkowie tych plemion, nieliczni jeszcze a nadto nierozstrzeleni pomiędzy liczne pospólności plemienne, według wszelkiego prawdopodobieństwa przeciwstawiali się innym szczepom swoją nazwą „ludzi“, jak to jeszcze obecnie robią Eskimowie. Ale dzisiaj w świadomości ludów algonkińskich jest nieobecna jakakolwiek nazwa, któraby obejmowała je wszystkie. Nazwę „ludzi“ różnie brzmiącą u różnych ludów algonkińskich stosują jedynie do siebie plemiona poszczególne. A zatem Cree przywłaszczyli sobie nazwę *eithinywue*, *ayis-iyiniwok*, *nehethewuk* (w licznych odmianach fonetycznych), t. j. „ludzi“, „rzetelnych ludzi“, „ludzi starej rasy“, „ludu pierwotnego“.¹¹ Takimi „ludźmi“ byli także Lenapowie (Delawarzy)¹² oraz Illinojczycy.¹³ Chippewowie szczycili się, iż są „pniem“, „korzeniem ludów“, „praludem“.¹⁴ Cheyennowie byli *dzit-sista* s'ami, wyraz, który swoim znaczeniem pokrywa się z polskimi „nasińskimi“.¹⁵ Taką samą treść zawiera nazwa „*inunaina*“, jaką sobie dali Arapahowie.¹⁶ Ale zwyczaj nadawania sobie nazwy „ludzi“ bynajmniej nie był powszechny pomiędzy plemionami algonkińskimi, i to nawet ludniejszemi: taka federacja Siksików np. zwała

siebie jedynie „ludem, który mówi tym samym językiem“ lub „ludem żyjącym na prerzach“;¹⁷ Mohikanie byli w nazwie własnej swojej „pomorzanami“,¹⁸ t. j. w obu wypadkach posługiwano się chętnie nazwami charakteru geograficznego. Właśnie nazwy o treści geograficznej przeważały wśród Algonkinów. Takimi były nazwy plemion wchodzących w skład federacji Delawarów,¹⁹ różnych odłamów rozległego plemienia Cree'ów, które brały swoją nazwę od rzek i innych właściwości charakterystycznych zamieszkiwanego terytorjum,²⁰ wśród plemion federacji Pennacooków,²¹ oraz plemion wschodnich, wśród których rej wodziły plemiona Massachusetów, Penobscotów itd.²² Nazwy te były w użyciu zarówno w plemienu, gdy samo mówiło o sobie, jak i u sąsiadów, gdy ci je wymieniali. Jednak w każdym poszczególnym wypadku nie jesteśmy w możności wytknąć rozległości, w jakiej stosowano taką nazwę, a mianowicie, czy którąś nazwą posługiwało się tylko samo plemię, czy jedynie niektórzy jego sąsiedzi, czy jedni i drudzy. Jedno jest pewne: nazwy charakteru geograficznego były wśród Algonkinów zjawiskiem bardzo powszechnem. Brano je od usadowienia się plemienia przy ujściu rzeki lub wąwozu, nad jeziorem lub rzeką rybną, u stóp góry, na wyniosłości lub półwyspie itd. W naszym spisie, obejmującym 44 nazwy, naliczyliśmy aż 28, t. j. 63.6% nazw tego rodzaju, z pośród nazw, pod którymi te plemiona umieszczono u F. W. Hodge'a. Do tej liczby należy dodać nazwy utworzone od stron świata, a więc licznych Wschodniaków — Wschodniakami były dla swoich krewniaków od zachodu plemiona siedzące na północ od rz. Potomac, na wschodnim wybrzeżu zatoki Chesapeake i w porzeczach rz. Hudsona i Delaware.²³ A więc Abnaki u Foxów i Sauków, Wampanoag, Wappingerzy u Delawarów, nazwa Delawarów u Chippewów — przytoczone nazwy Abenaków, Wappingerów, Wampanoagów mają właśnie takie znaczenie.²⁴ Do tego należy dodać Południowców (Shawnee).²⁵ Nazwy Foxów i Sauków wiążą się pozornie z właściwościami gleb miejscowych — z okolicami o żółtej i czerwonej glebie, ale w rzeczywistości mają inne, głębsze rodowody, a mianowicie, według tradycji ludy te, a przynajmniej Foxowie, zostały z takiej gleby stworzone.²⁶ Nazwa Potawatomijszyków — lud (z miejsca) ognia²⁷ — potraça bodaj o zdarzenie natury historycznej, a mianowicie o założenie własnego ogniska plemiennego. Parę innych nazw — prawie wszystkie pochodzenia obcego, t. j. nie własne nazwy plemienia,

ale nadane przez sąsiadów stanowczo dotyczy przejsć historycznych: „ci, którzy się oddzielili“ (Piankashaw),²⁸ „ci, którzy są niszczycielami (Pequot),²⁹ „przenosząc się, przebywają to tu, to tam“ (Kickapoo).³⁰ Menominee są ludem „dobrego ziarna“ (mowa o dzikim ryżu),³¹ Ottawa — handlarzami.³² Nieco nazw zapożyczono od zwierząt: wilki (Mohegan),³³ niedźwiedzie łapy (Noquet), obcięte ogony (Tamaroa) — prawdopodobnie w dwóch ostatnio wymienionych przypadkach w związku z tradycjami totemistycznymi. (Zresztą, ten sam lud miał parę nazw — zazwyczaj inną u różnych sąsiadów. Np. Malecitowie, „lud nad piękną rzeką“, słynął u Mikmaków jako „szczury piźmowce“, u Abnaków jako „szczury wodne“).³⁴ Możliwa, iż przy uwzględnieniu obfitszej liczby nazw, różnaitość ich znaczenia byłaby większa, niż w dokonanem przez nas obliczeniu, ale powątpiewamy, ażeby zasadniczy charakter słownictwa plemiennego Algonkinów uległ poważniejszej zmianie, nawet po wciągnięciu nazw nadawanych któremuś z plemion przez wszystkie inne. (Zresztą, należy zaznaczyć, iż przedewszystkiem szczepy irokieski i algonkiński odczuły pierwsze na sobie ujemne skutki najazdu białych — słownictwo nazw plemiennych wśród bardzo znacznej części plemion tego pochodzenia doszło do nas w postaci szczątkowej, t. zn. z pośród licznych nazw, nadawanych któremuś z plemion przez inne, ocalały tylko niektóre, a niekiedy tylko ta, pod jaką znane jest w etnografji, nazwa będąca niekiedy własnem jego imieniem, niekiedy zaś przezwiskiem używanem u sąsiadów). Co najwyżej, warto zwrócić jeszcze uwagę na jedną kategorię nazw, której zgola nie dotknęto w rozbiornie dotychczasowym. Chodzi mianowicie o nazwy, które swoim znaczeniem podkreślają powinowactwo językowe lub wrogość. Tacy Cheyennowie byli dla Cree'ów *Kaneahewaastik'*ami, „ludem o języku nieco podobnym do języka Cree'ów.“³⁵ Federacja Siksików obejmuje plemiona w jej skład wchodzące nazwą *netsepoye* — „ludu, mówiącego tym samym językiem“.³⁶ Cree'owie nazywają siebie „neayawog“, t. j. „ludem, który mówi tym samym językiem“.³⁷ A zatem niezbyt obfita garstka nazw. Nie większą chyba jest liczba nazw wyrażających wrogość. Taką jest nazwa nadawana przez Cree'ów Czarnonogim, których tamci ongi rugowali z ich sadyb: *yatcheewthin-yoowne*, „Indjanie niewolniczy“, a właściwie: obcy, a zatem wrogowie.³⁸ H. R. Schoolcraft podaje nazwę „zabijaczy“, którą Chippewowie mieli stosować do Cree'ów.³⁹ Winniśmy jednak zaznaczyć, iż charakter nazw

w ich całokształcie będzie inny od zaznaczonego, gdy weźmiemy pod uwagę plemiona Siksików (Czarnonogich), Atsinów, Arapahów i Cheyennów, które silniej oparły się wpływom białych niż te, które przede wszystkim uwzględniliśmy w naszych wywodach, gdyż bardziej przymocowane do ziemi i bliższe ognisk najazdu podlegały w silniejszej mierze ujemnym wpływom osadnictwa białych.⁴⁰

A zatem we wzajemnym stosunku plemion algonkińskich, jak świadczą o tem ich nazwy, trudno odszukać objawy jakiejś jako tako napiętej nieprzejednanej wrogości. Natomiast zgoła inne wrażenie pozostawiają nazwy, czy przezwiska, któremi Algonkini obdarzali swoich sąsiadów, a więc plemiona z pośród innych szczepów językowych.

Chodzi tutaj głównie o szczepy irocki i siuski.

Nazwy te, że się tak wyrazimy, drgają nienawiścią: obrzucają wrogów przezwiskami, przyrównywiają ich do gadzin, przyczem stopniują tych uciążliwych sąsiadów stosownie do więcej lub mniej czynnej postawy zaczepnej, jako złe lub dobre gadziny.

Zwłaszcza uciążliwe było dla Algonkinów sąsiedztwo plemion rodziny irockiej, nadewszystko zaś najruchliwszego, najbardziej wojowniczego ich zespołu, jakim była federacja irocka, znana pospolicie pod nazwą Iroków. Są to wszystko *n a d o w e*,⁴¹ t. j. „węże“, „gadziny“, „gady“, innemi słowy — wrogowie nieprzejednani z dziadów pradziadów. To znowu obrzucali ich nazwą *mingoe, n a n d o a c*, t. j. ludzi zdradliwych, złodziejskich w podejściu⁴² lub *matchinawto-waig*, t. j. złego ludu, złych węzów.⁴³ I sama nazwa Iroków, będąca w powszednem, a nawet wyłącznem użyciu, jest pochodzenia algonkińskiego: *irinkhowek*, t. j. „prawdziwe gadziny“.⁴⁴ Wszystkie powyższe nazwy charakteru obelżywego Algonkini stosowali przede wszystkim do najgorszej gadziny z pośród szczepu irockiego, t. j. do federacji Iroków. Nazwa (u algonkińskich Narragansetów) jednego z plemion tej federacji, Mohawków, głosi bodaj, iż ci byli „pożeraaczami żywych stworzeń“,⁴⁵ t. j. ludożercami. Huronowie zajmowali niższe miejsce od swoich krewniaków Iroków w hierarchji gadzinowości: obie te grupy szczepu irockiego dokuczały swoim sąsiadom pochodzenia algonkińskiego, ale w niejednakowym stopniu; ci byli więc *n a d o w e* w całej rozciągłości tego wyrazu, t. j. wielkimi a złemi gadzinami, tamci zaś byli niemi tylko niekiedy, w zasadzie zaś zasłużyli na nazwę zdrobniałą *n a d o w e s s i*, t. j. małych, a więc jak gdyby

dobrych gadzin,⁴⁶ Dakotowie nie ustępowali Irokom w animuszu wojennym, ani w okrucieństwie. Ale z powodu większej odległości rzadziej mieli okazję do popisów orężnych względem Algonkinów. Dlatego u Chippewów i Ottawów uchodzili tylko za *nadowessi*, *nadowesseog* itd., t. j. za „małe gadziny“, t. j. za wrogów nie tak uciążliwych jak „wielkie gadziny“ z pośród federacji Iroków.⁴⁷ Przytoczone nazwy algonkińskie dla ludów irockich i siuskich są jedną stroną medalu — drugą są nazwy Algonkinów u Iroków i Siuków. O tem będzie mowa na dalszych stronicach. Tutaj jednak winniśmy zaznaczyć, iż u obu tych szczepów nie mają tej ostrości, jaką posiadają u Algonkinów. Świadczyłoby to bodaj o mniejszej zaczepności szczepu algonkińskiego, gdyby nie ta okoliczność, iż istnieli jeszcze inni sąsiedzi, którzy w nazwach nadawanych Algonkinom złożyli dowód, iż i ci w stosunku do nich nie wyróżniali się ani pokojowością, ani łagodnością. A zatem Cree byli *enna*, *ana* i t. d., t. j. „wrogami“ dla Kutchinów, Chippewyanów i innych plemion atapaskich.⁴⁸ Czarnonodzy u Kutenajów mieli nazwę *Sahantla*, t. j. „złego ludu“.⁴⁹ Beothukowie obdarzali Mikmaków nazwą *shonack* — „złych Indjan“.⁵⁰ Dla niektórych plemion siuskich Cheyennowie i bodaj Creeowie byli „ludem mówiącym czerwono“, t. j. niezrozumiale.⁵¹

3. Rozdźwięki pomiędzy plemionami szczepu irockiego były o wiele ostrzejsze niż u Algonkinów. Między innemi, „plemiona federacji irockiej a Huroni są zaprzysięzonymi wrogami. A nawet ongi Huronowie i Irokowie, gdy się byli spotkali w tej samej chacie lub w tej samej wiosce u Ludu Neutralnego, byli bezpieczni tylko dopóki, póki nie wyszli w pole, albowiem przez pewien czas zajadłość jednych względem drugich była tak wielka, że gdziekolwiek się znaleźli, tam słabszy nie był pewny (życia swego)“.⁵² Federacja irocka wytepiła w rozprawie orężnej Eryjczyków i Lud Neutralny, przyczyniła się do upadku Huronów, Susquehannów i Tionontatów — wszystko ludy szczepu irockiego. Te ludy, rozbite lub wytepione, nie pozostawiły, bo nie mogły pozostawić po sobie, jako tako obfitszej spuścizny do słownictwa nazw plemiennych. Może w następstwie tego, nazw zawierających w sobie pojęcie „ludzie“ odnaleźliśmy jedynie dwie. Jedna: *ani-yun-wiya*⁵³ „rzetelny“, „prawdziwy lud“, była w użyciu u Cheroków, druga tego samego znaczenia, *onwe-honwe*, u Iroków.⁵⁴ Jednak potęga plemion (a raczej federacji) wytepiionych, oraz ich butność uprawniają nas do przypusz-

czenia, iż i one hołdowały zwyczajowi uważania siebie za rzetelnych ludzi. A ta okoliczność, iż pomiędzy przytoczonymi nazwami własnymi Iroków i Czeroków, tak przecież od siebie odległych, istnieją jedynie drobne różnice fonetyczne, na oko spotęgowane przez oddanie tych nazw w tak nieelastycznej pisowni angielskiej, pozwala przypuszczać, iż odpowiednie terminy u ludów wytopionych lub rozbitych były jedynie odmianami fonetycznymi źródłosłowu nazw irocko-czerockich, a w dalszym ciągu, iż ogół Iroków — w rozleglejszym znaczeniu tego wyrazu — ongi posiadał nazwę na oznaczenie wszystkich siebie, utworzoną od tego samego źródłosłowu pra-macierzystego.

Słownictwo Iroków plemienne wyróżnia się od algonkińskiego chętnem odwoływaniem się do wątków podkreślających właściwości wymowy, a więc bliskie pokrewieństwo językowe, bądź głębokie różnice istniejące w tym względzie. Podobieństwo, gdy chodzi o ludy krewniacze, a więc należące do szczepu językowego irockiego, różnice zaś, kiedy plemię irockie mówi o plemionach, które są pochodzenia innego, przeważnie algonkińskiego.

Wątki pierwszego rodzaju nie są liczne.

Istnienie swoje mogą zadokumentować świadectwami z połowy w. XVII. Ojciec H. Lalemant pisze, iż Huroni nazywają Lud Neutralny *atti wandaronk*'ami, iż plemiona wchodzące w skład federacji Ludu Neutralnego odpłacają im tą samą nazwą, oraz oświadczą, iż nazwa ta znaczy „lud, który mówi niewiele odmiennym językiem“,⁵⁵ czyli jak brzmi obecny przekład tej nazwy, „ci, którzy mówią opacznie“, „niedobrze“. Pokrewną nazwą obdarzali Tuskarorowie Lud Neutralny.⁵⁶ Bardziej specjalny charakter ma przezwisko *tikwa*, jakim Seneków obdarzyli Tuskarorowie z powodu częstego używania wyrazu „*tikwa*“ („nie wiem“).⁵⁷

Natomiast wątki tego rodzaju miały o wiele rozleglejsze zastosowanie w stosunku do plemion z pośród obcych szczepów językowych. A zatem plemiona algonkińskie, zwłaszcza północno-zachodnie (między innymi Ottawa, Missisauga, Miami, Shawnee) były dla ludów federacji irockiej *ontwegan*'ami, *wagan*'ami (itd. w licznych odmianach), t. j. ludami, które używają mowy niezrozumiałej. A nazwa ta ma za sobą długie lata udowodnionego istnienia. Pod r. 1661—63 w *Relacjach Jezuickich* jest krótka wiadomość o ściganiu przez jedną z band irockich pewnego ludu, jedynym grzechem ściganych było to, iż nie byli Irokami: „Lud ten nosił nazwę *Ontoagannka*,

t. j. miejsce, gdzie ludzie nie umieją mówić“, mówiono tam bowiem „zepsutym“ językiem algonkińskim.⁵⁸ Irokowie stosowali tę nazwę nawet do jednego z plemion irockich, mianowicie do plemienia Tionontati, tylko dlatego, iż ci przez pewien czas znaleźli schronienie u jednego z plemion algonkińskich.⁵⁹ Termin Ontwaganha dosłownie oznacza „ktoś zawija (połyka) swoje słowa lub mowę“, a w znaczeniu dalszem: „bełkot“, a nawet „obcy“, a zatem „wróg“, został zaś pierwotnie nadany jako nazwa wyśmiewająca mowę Algonkinów. Pokrewne tylko co wymienionemu jest przezwisko *akwanake*.⁶⁰ I ten termin może się pochwalić, iż został już zapisany około połowy w. XVII: „gdy chodzi o ludy mówiące językiem, którego Irokowie żadnym sposobem nie rozumieją, zowią je bez względu na plemię *akwanake*, t. j. obcy“.⁶¹ Powyżej podane terminy są terminami zbiorowymi, t. j. nie dotyczą jakiegoś poszczególnego plemienia, ale ogółu plemion algonkińskich przebywających w obrębie określonego terytorjum. I takim samym terminem są nazwy *akotsakanha*, *tsaganaka* itd., a więc jakgdyby ludy bełkoczące w swoim niezrozumiałym języku, swego rodzaju „welszowie“ czerwonoskórzy. Huroni, Mohawki, Oneidowie, Tuskarorowie ogarniali tą nazwą Abnaków, Moheganów, Delawarów i t. d. — wogóle Indjan z dolnego porzecza rz. Sw. Wawrzyńca, z Nowej Anglii, oraz te plemiona, które ciągnęły się ku południowi zwartem terytorjum.⁶² (Zresztą na oznaczenie Algonkinów jako szczepu Irokowie mieli jeszcze nazwę o wątku odmiennym, *ratirintak*, „pożeraczy drzew“, ci zasłużyli zaś na nią swoim zwyczajem pobierania z klonów soku cukrowego).⁶³ Natomiast trudno ująć w jakąś powiązaną, logiczną całość nazwy przysługujące poszczególnym plemionom, przynajmniej te nazwy, których znaczenie jest wiadome. Naturalnie, istniały nazwy o charakterze geograficznym. Taką nazwą była bodaj nazwa własna Nottowayów: *tciruenhaka*, „ci w rozwidleniu rzeki“.⁶⁴ To samo oblicze miały nazwy własne plemion federacji irockiej (ich nazw politycznych, związanych z posiedzeniami rady federacyjnej na razie nie dotykamy wcale). Według L. H. Morgana Cayugowie byli „ludem błotnistej krainy“;⁶⁵ Oneidowie — „dużego głazu“;⁶⁶ Onondagowie „ludem z krainy wzgórz“;⁶⁷ Senekowie „ludem z pod wielkiej góry“;⁶⁸ jedynie Mohawki odchylali się od pobratymców charakterem swojej nazwy, jako „posiadacze krzemieni“.⁶⁹ I nazwa zwykle stosowana do Czeroków (sami nazywali się „ludźmi“ lub Kituhwagińczykami od swego starodawnego osiedla),⁷⁰ będąca

pochodzenia bodaj Choktawskiego, jest również charakteru geograficznego: Czeroki, to „jaskiniowcy“ lub „lud z krainy jaskiń“ — nazwa powtarzająca się u Seneków, Wyandotów, naturalnie brzmiąca u nich każdorazowo inaczej, lecz zawsze oznaczająca „lud jaskiń“, lub, jak u Catawbów, „tych, którzy wyszli z ziemi“. ⁷¹ Przyjęci później do federacji irokiej Tuskarorowie sami mieli nazywać się *Sharuren* (z czego powstała ich nazwa Tuskarorów), t. j. „zbieraczami Apocynum connubinum“, ⁷² Morgan podaje jako ich nazwę własną inny wyraz mający oznaczać „tych, którzy noszą koszule“. ⁷³ Nazwę plemienia Erie tłumaczą jako „lud, gdzie są pantery“, albo wprost „ludu pantery“ lub „dzikiego kota“. ⁷⁴ Wyraz „Huroni“ jest przezwiskiem, które nadali im Francuzi z powodu czupryny skurczonej do kosmyka włosów, który sterczy nad czołem jako kły odyńca — właściwa zaś ich nazwa Wyandotów (*Wendat*) jest wzięta od właściwego im sposobu rozwieszania mięsa upolowanego bawołu. ⁷⁵

4. I szczepek siuski nie rozporządza nazwą, któraby ogarniała ogół jego plemion, rozpostartych zresztą na rozległej przestrzeni od porzeczka rz. Saskaczewanu w Kanadzie (*Assinibojnowie*) do zatoki Meksykańskiej (*Biloxi*). Zbyteczna nadmieniać, iż nie ustępowali szczeptom eskimoskiemu, algonkińskiemu i irokieskiemu wygórowaniem o sobie mniemaniem. Mandani uważali siebie za odrębną a osobliwą rasę i z dumą powoływali się na swoje tradycje, iż są pierwszym ludem, który powstał na ziemi ⁷⁶ i dlatego nazywali siebie *namakaki*, t. j. „ludzie“; a po r. 1837 odzywali się o sobie i o *Hidatsach* jako o *nuweta*, „nasińskich“. ⁷⁷ Catawba zwali siebie *nieya*, t. j. „ludźmi“. ⁷⁸ *Biloxi* przywłaszczyli sobie miano *tanekshaya*, t. j. „pierwszego ludu“. ⁷⁹ *Winebagowie* uważali siebie za *hotcangara*, „lud używający pramowy“ i uważali, iż z pośród nich wyszły plemiona *Missuryjczyków*, *Jowów*, *Otów* i *Omahów*, którzy zresztą w wystąpieniach publicznych tytułowali ich starszymi braćmi. ⁸⁰ We własnej nazwie *Assinibojnow*: *Nacota* (odmiana fonetyczna nazwy *Dakota*) tkwi bodaj nasz zwrot „nasińskich“, ⁸¹ dla *Dakotów* lud ten pozostawał *Hohe'mi*, t. j. „odszczepieńcami“, ponieważ oddzielili się od nich przed paru wiekami. ⁸² Opuszczając niepewnych *Kansów*, ⁸³ przechodzimy do najważniejszego ludu siuskiego, do *Dakotów*, federacji złożonej z siedmiu ognisk. Nazwa, przez federację używana, a więc „*Dakota*“ (*Nacota*, *Lacota*) oznacza właśnie „sprzymierzeńców“; istnieje i druga własna nazwa *Ocelisakown*, t. j. „siedm ognisk

rady⁸⁴. Wśród Dakotów różne ogniska usiłowały przywłaszczyć sobie stanowisko poczesne, a to na tej zasadzie, iż w ich kraju znajduje się środek ziemi. A zatem Mdewakantonowie dowodzili, iż ujście rzeki Minnesoty jest środkiem ziemi, stwierdzając tem samem, iż właśnie oni mieszkają u wejścia do świata zachodniego; Sissetonowie i Yanktonowie usadowili się na wielkiej linii wododziałowej, z której wypływają rzeki na wschód i zachód, na północ i południe. Na tej zasadzie dowodzili, iż właśnie ich kraj jest środkiem ziemi i że dlatego im należy się miejsce poczesne; a Tetonowie, najliczniejszy odłam federacji Dakotów, przyznawali Yanktonów za Wiciyela, „to są ludzie!“⁸⁵. Słownictwo siuskich nazw plemiennych posiada wielką lukę: cały olbrzymi odłam wschodni tego szczepu, rozstrzelony pomiędzy liczne, acz drobne plemiona, pozostawił po sobie zbyt szczupłą wiązanekę nazw; do tego, jak wykazały badania, są to aż nazbyt często przezwiska, pod jakimi plemiona te, a przynajmniej niektóre z nich, sływały u Algonkinów.⁸⁶ Pozostają jedynie ludy stepowe, a właściwie zepchnięte ostatecznie w stepy przez najazd białych. Z punktu wymagań słownictwa Dakotowie są bodaj ludem najwdzięczniejszym, gdy chodzi o tę stronę ich bytu. Albowiem dokumenty urzędowe z początków w. XVII zapisały nazwy „osiedli“, czyli „narodów“, które składały wtedy federację dakocką. Nazwy te brzmią: rzeczanie; różnego kalibru jeziorany; przebywający w pobliżu kamieniołomów; żyjący wśród liści (puszczaki). A więc nazwy geograficzne w liczbie siedmiu. Są tam w dalszym ciągu różni zbieracze dzikiego ryżu w trzech odmianach; są strzelcy leśni (a właściwie puszczaki); jest naród „na bandy rozstrzelony“; są narody od słupa (prawdopodobnie od słupa, który odgrywa taką rolę podczas tańca słonecznego), od warowni, dużej chaty (może chaty obrad), jest w końcu nazwa związana z mierzwą, lecz o treści dla nas niezrozumiałej.⁸⁷ Nazwy geograficzne tworzyły naówczas poważny odsetek zwłaszcza wśród wschodniego odłamu Dakotów. Słownictwo to ciąży jeszcze obecnie na ogniskach, z których składa się federacja Dakotów — nazwy ich, a przynajmniej charakter nazw pozostał od czasów Le Sueura bez głębszej zmiany: osiedle wśród liści (drzew iglastych), osiedle wśród liści (drzew, z których liście opadają na zimę), jeziorany, stepowcy i t. d.⁸⁸ Ale już „plemiona“, na które rozpada się ognisko Tetonów, noszą nazwy zgoła odmiennego charakteru. Są tam „Opalone Łydki“, „Bez Łuków“, „Czarnonodzy“, „Dwa Kotły“, „Uprawiający (rośliny) nad rzeką“,

„U wejścia“ (może do koła obozowego) i t. d.⁸⁹ W tym samym kierunku ciążą także nazwy „gentów“, jak wyraża się J. O. Dorsey: o jeszcze pomniejszych działach, na które rozpadają się bądź ogniska bezpośrednio, bądź większe ich odłamy („plemiona“). Wśród tych nazw są niektóre pochodzenia bardzo późnego, takie jak „Potomstwo tłumacza“, „Potomstwo białego“ lub inne związane z posiadaniem koni. Rzecz bardzo prawdopodobna, iż wiele innych nazw gentylnych jest tak samo późnego pochodzenia, a więc datuje się z czasów, gdy biali już byli rosgospodarowali się na dobre w Ameryce Północnej. Warto zaznaczyć jeszcze inną okoliczność, a mianowicie względną stateczność wzorów zasadniczych. Wzory — wzory z natury rzeczy, różne — według których tworzono w dalekiej przeszłości nazwy u różnych odłamów federacji dakockiej przetrwały do dnia dzisiejszego: a zatem u odłamu wschodniego (Mdewakantoni, Sissetoni, Wahpetoni), charakter nazw jest inny niż u Dakotów zachodnich, stepowych (Tetoni, Yanktoni, Yanktonajowie). Np. u tamtych rzuca się w oczy wielka przewaga nazw o charakterze geograficznym, jak to wykaże niżej przytoczona tablica. Z pośród 111 nazw gentylnych przypadało na nazwy:⁹⁰

	Mdewakantoni Wahpetoni Sissetoni (nazw 26)	Tetonowie Yanktonowie Yanktonajowie (nazw 85)
geograficzne (13) oraz wysiedleńcy itd. (2)	15 t. j. 57,69%	3 t. j. 3,53%
od sposobu zamieszkiwania (liczba namiotów, gnój w namiocie, dymy nad namiotami itd.)	2 t. j. 7,69%	2 t. j. 2,35%
od zwierząt (dzikie koty, psy itd. w tej liczbie mierzwa bawoła i duchy koni)	—	8 t. j. 9,41%
od polowania na kruki	—	1 t. j. 1,18%
od sposobów obchodzenia się z mięsem upolowanej zwierzyny (nie rzną bawołu nożem itd.)	2 t. j. 7,69%	—
od tego jakich zwierząt nie jedzą lub jakie jedzą (w tej liczbie nazwa: śmierdzą rybami)	1 t. j. 3,84%	7 t. j. 8,23%
od sposobu obchodzenia się z końmi lub ich stanu (np. rany na grzbiecie)	—	2 t. j. 2,35%

	Mdewakantoni Wahpetoni Sissetoni (nazw 26)	Tetonowie Yanktonowie Yanktonwajowie (nazw 85)
od stanu zamożności (1), od obfitości bagażu w wędrówkach	2 t. j. 7,69%	2 t. j. 2,35%
od kotłów	— —	1 t. j. 1,18%
od właściwości fizycznych (opalone twarze, łyse głowy, czerwone usta itd.)	1 t. j. 3,84%	5 t. j. 5,88%
od charakteru (aż 11 źli; leniwi)	1 t. j. 3,84%	16 t. j. 18,82%
od postępowania z wrogami	— —	6 t. j. 7,06% (7,07)
od oręża (2), ubioru i postępowania z nim (3), ozdób (kolczyki, pióra we włosach itd. — 8)	— —	13 t. j. 15,29%
od pochodzenia (Shawnijczycy, Hohe, mieszańcy białych itd.)	— —	5 t. j. 5,88%
od czynności społecznych lub od sytuacji w plemienu (sieroty, klijenci, w niebezpieczeństwie, wyłamujący się z pod zwyczaju)	2 t. j. 7,69%	5 t. j. 5,88%
nie dające się wyjaśnić, gdy chodzi o pobudki lub znaczenie nazwy	— —	9 t. j. 10,59%

A zatem u bardziej ongi osiadłego odłamu aż połowa nazw, to nazwy charakteru geograficznego, u stepowców tylko 3,54 %; natomiast u stepowców na plan pierwszy wysuwają się nazwy od właściwości charakteru — aż 18,82 % (tylko 3,84 % u odłamu wschodniego), od oręża, ubioru, ozdób — 15,29 % (nieobecne u drugiego odłamu!). Nadto wszystkie nazwy, stanowczo późniejszego pochodzenia (potomkowie różnych wtretów i od obejścia się z końmi) przypadają wyłącznie na ruchliwe odłamy Dakotów, te, które w połowie w. XVIII H. Bouquet wyróżnił jako Siuków stepowych — Sioux des Prairies.⁹¹ Różnice w sposobach życia odcisnęły wyraźne piętno na nazwach!

Nazwa „tutejsi“ (w dalszem znaczeniu „nasińscy“) prócz wymienionych już plemion powtarza się jeszcze w nazwach dwóch wielkich odłamów szczepu siuskiego — Dhegiha i Chiwere.⁹² Niektóre z plemion wchodzących w skład tych odłamów mają nazwy z pozoru geo-

graficzne, właściwie zaś znalazły w nich swój wyraz raczej przejścia natury historycznej, związane z ich wyodrębnianiem się z przacłości plemiennej Dhegihów: Omaha — U m a n h a n — są tymi, którzy posuwali się w górę rzeki „przeciw prądowi“, Quapawie — U k a q p a — to gromada, która udała się „w dół rzeki“, nazwa Osagów — W a c a c e⁹³ — oznacza poprostu „lud“ (rozpadający się na tych, którzy „obożują w górach“, „na nizinach“ i „w gajach na wyniosłościach“), nazwa Kanzów pozostaje może w związku z wiatrami.⁹⁴ Co do odłamu chiwereńskiego, Misuryjczycy zowią siebie N i u t a c i, bodaj w związku z tonięciem w rzece (Missuri), a może z [przebywaniem nad tą rzeką.⁹⁵ Z pośród Misuryjczyków wyodrębnili się Otowie, a wódz ich wprowadził siłą jedną kobietę, skąd pochodzi ich nazwa: „ci, którzy będą spółkowali“, „lubieżnicy“.⁹⁶ — nazwę tę przyjęli w końcu i sami Otowie. Od Otów mieli się wydzielić Iowa (śpiochy),⁹⁷ zwani przez innych Siuków P a h o t c e'ami, t. j. zakurzonemi głowami⁹⁸ — niewątpliwie obie nazwy są przezwiskami.

Pozostają jeszcze dwie nazwy: Kruków (Crow) i Minitarjów. Nazwa Minitarjów zawdzięcza swój początek nieporozumieniu ze strony Mandanów: oznacza „ci, którzy przekraczają wodę“. Mianowicie, kiedy ich przodkowie dosięgli wód rzeki Missuri, będący po drugiej stronie rzeki Mandanowie pytali się przybyszów, kim są. Ci odrzekli: m i n i t a r i m i h a t s — przekroczymy (przebrniemy) przez wodę;⁹⁹ nosili także drugą nazwę Hidatsa, od niskiej krzaczastej wierzby, bodaj pokrewną nazwę miało dawne ich osiedle, które to miano przetrwałoby w nazwie plemienia.¹⁰⁰ Dla krewniaków swoich, Kruków, są a m a s i, t. j. „ludem mieszkającym w ziemiankach“, „ludem brudnych mieszkań“, a dla Dakotów h e w a k t o k t e, t. j. mieszkającymi na grzbiecie (wyniosłości).¹⁰¹ U Chippewów słyną jako „lud osiadły“,¹⁰² u Arikarów jako „lud dobrze przyodziany“ lub „lud nad wodą“. ¹⁰³ Od Hidatsów przed jakimiś 250 laty wyodrębnili się Absaroke'owie, t. j. Krucy, a właściwie „coś co fruwa“¹⁰⁴ w związku z użyciem giestu kruczego w mowie pantomin przez to plemię¹⁰⁵ — jest to nazwa szeroko rozpowszechniona nawet poza obrębem rodziny siuskiej, a więc istnieje także u Arapahów, Cheyennów, Wyandotów¹⁰⁶ — naturalnie każdorazowo w innym brzmieniu.

A zatem w nazwach, które były w użyciu wewnątrz szczepu siuskiego we wzajemnym stosunku plemion, zbywa stanowczo na naz-

wach, któreby świadczyły o napiętej wrogości. Niewątpliwie, pomiędzy plemionami siuskimi istniały obrachunki wzajemne (a nawet były obecne w obrębie federacji dakockiej), jak o tem mówi nazwa odszczępieńców, w ciągu paru wieków nadawana Assinibojnom przez Dakotów, lub „kruczego plemienia wrogowie“, dawana przez nich Krukowi, którzy odwzajemniali się Dakotom, stosując niekiedy do nich nazwy natury nieprzyzwoitej (inna nazwa: „podrzynacze gardła“ była jedynie słownym oddaniem plemiennego giestu Dakotów). Ale inną są rzeczą zrzadka istniejące przezwiska takiej treści, inną zaś nienawiść przechodząca z pokolenia w pokolenie, a zakrzepła w nazwie wciąż używanej. Charakter ów łagodny przewybornie uwydatniają nazwy, któremi inne plemiona siuskie obarczyły Dakotów. Rozporządzamy osiemnastu takimi nazwami. Z nich nazwy: C o a, C a h a (S h a h a n), C a a g t i, C a h a w liczbie dwunastu są bodaj fonetycznymi odmianami tej samej zasadniczej nazwy.¹⁰⁷ Podajemy tę nazwę, nieświadomi, jaka treść ukrywa się pod nią.¹⁰⁸ Dla Hidatsów Dakotowie są „długimi strzałami“. Kruki zowią ich Makota, co prawdopodobnie jest odmianą nazw Dakota, Lecota, Nacota; Kruki mają dla Dakotów jeszcze trzy inne nazwy, w tej liczbie jedną — „podrzynacze gardła“, oraz drugą treści nieprzyzwoitej. Zgoła inne oblicze mają nazwy, czy przezwiska nadawane Dakotom przez plemiona innych szczepów językowych. A więc dla plemion algonkińskich są „węzami“ (zwykle „małemi węzami“), „gadinami“, t. j. wrogami. Gest plemienny używany przez Dakotów na oznaczenie siebie w mowie pantomin, a znamienny swoją treścią, dał początek nazwie „podrzynaczy gardła“ — u Arapahów (i bodaj u Cheyennów), u Kaddów, Komanczów, u ludów salickich. Inną nazwą, bardzo częstą u Chippewów i Ottawów w różnych odmianach fonetycznych, jest nazwa „przypiekaczy“, w związku z rodzajem tortur zadawanych przez nich jeńcom. Dawane są Dakotom także nazwy „obcinaczy głowy“ (u Szoszonów, Komanczów, Yakimów), „obcinaczy rąk“ (u Utów), wojaków (u Chippewów). Obfitości takiej treści nazw, oddychających nienawiścią, opowiadających o krwawych i okrutnych praktykach, można przeciwstawić bardzo nieliczne nazwy o charakterze odmiennym. A więc Pawnińczycy zapożyczyli od plemion siuskich nazwy C a a, dla Kiowów Dakotowie są „naszyjnikarzami“, dla Wyandotów — ptakami; Cheyennowie dają im bodaj nazwę geograficzną — oto i wszystkie nazwy, które nie mówią o torturach, wrogości i t. d.¹⁰⁹

5. Zatrzymaliśmy się szczegółowo nad kilku szczepami językowymi w Ameryce północnej. Słownictwo nazw plemiennych posiada w każdym z nich rysy odrębne, acz wyrosłe na jednakim podłożu, a właściwie z jednakiego stanu uczuciowego: w stosunku wzajemnym plemion nazwy mają inny charakter wewnątrz tego samego szczepu, inny zaś gdy chodzi o nazwy nadawane przez plemiona jednego szczepu plemionom innego, obcego. Na tem podłożu zasadniczem praca stuleci wyrzeźbiła w słownictwie każdego szczepu oblicze w szczegółach mocno odmienne. Warto przytem zaznaczyć, iż u wielu szczepów, a niekiedy nawet plemion poszczególnych, daje się dostrzec zamiłowanie do tworzenia nazw lub przezwisk według jak gdyby tego samego wzoru. Oglądaliśmy predylekcję Algonkinów do tworzenia nazw obcych szczepów od pierwiastku oddającego pojęcie węża, lub Iroków do uwydatniania w nazwach podobieństw lub różnic językowych. Albo weźmy Wintunów kalifornijskich. Tworzą oni nazwy sąsiadów bliższych i dalszych według, że tak rzekniemy, punktów kompasu, używając słów: *w a i*, *n o z*, *p u i*, *n o a m* (północ, południe, wschód, zachód) i wykazują wielką pomysłowość w kojarzeniu stron świata z wyrazami: *b o s*, *l e k k i*, *s u*, *m o k*, *k e k h l*, *y u k i* (dom, język, naród, lud, wróg).¹¹⁰ A tak samo, choć w mierze nie tak rozległej, postępują Miwokowie, urozmaicając odpowiednie wyrazy różnemi końcówkami, tworzą zresztą liczne nazwy według innych jeszcze zasad.¹¹¹ Albo Apachowie, t. j. wrogowie — lud z natury swej koczowniczy. Ci chętnie nadają swoim osiadłym sąsiadom nazwy według typów zamieszkiwania: Hopijczycy są dla nich „ludem mieszkającym wysoko na mesach“, Zuńczycy — „ludem mieszkającym w domach z wysuszonych na słońcu cegieł“, Pimowie — „ludem, który rozsiadł się wioskami“.¹¹² Gdybyśmy wciągnęli do naszych rozważań inne szczepy Ameryki północnej, dostalibyśmy niewątpliwie na owem podłożu jeszcze inną rzeźbę szczegółową. Nie będziemy jednak rozszerzali tak dalece naszego rozbioru nazw plemiennych. Porzestaniemy na ujęciu w paru punktach wyników, do których doszliśmy, zarówno tych, które doczekały się w powyższem wyrażeniu już wykładu, jak i tych, które tam właściwie tkwiły, lecz niewypowiedziane w sposób jasny.

1-o. Aż nazbyt często plemię posiada parę własnych nazw, jedne są powszedniejsze, inne podrzędniejsze i w rzadkiem użyciu, jeszcze inne o charakterze świętym, a więc w zasadzie ukrywane przed pro-

fanami. Np. Hopijczycy zowią siebie *H o p e e*, „nasińscy“, *h o p i t u*, nazwa treścią swoją równoznaczna z nazwą Gotów, t. j. „dzielni“, *h o p i t u h c i n y u m u k*, „lud pokojowy“;¹¹⁴ niekiedy może o sobie wprost mówią jako o *c i n y u m u h*,¹¹⁵ t. j. „ludzie“, „lud“ (lub *s h i n o m o*, *s h i n o m e*, co jest odmianą fonetyczną poprzedniego wyrazu) lub *s h i n u m o s*,¹¹⁶ „my mądrale“, „my wiedzący“. W końcu istnieje święte imię *s h u m i* — J. G. Bourke powziął o niem wiadomość od Zuńczyków i od paru starców hopijskich, ale „wszyscy pozostali, z którymi o tem rozmawiali, byli jako niewinne jagnięta“.¹¹⁷ Hopijczycy wypowiedzieli w tych nazwach nietylko to, że są odrębnym ludem, ale nadto, że są ludźmi wiedzącymi, dzielnymi, że nadewszystko miłują pokój i orężem posługują się głównie dla odparcia wrogów. W tym zespole nazw używanych przez plemię w stosunku do samego siebie, o ile swoją rzutkością dziejową, wojowniczością lub liczebnością w swojej dzielnicy zajęło miejsce poczesniejsze, znajdują się zawsze takie nazwy, które w całej pełni dają wyraz dumie lub ambicjom plemiennym: „my ludzie“, „my dzielni“, „rzetelni“. Nie wszystkie szczepy są uposażone w jednakowej mierze w takie wygórowanie subiektywizmu plemiennego. Np. w obrębie Kalifornji Wintunowie z dumą podkreślają swoją nazwę, iż są „ludem“, „wielkim ludem“ (wyraz *w i n t u n*, tworzący tę nazwę, oznacza wodza), natomiast Patwini, lud tej samej dzielnicy, nigdy wyrazu „człowiek“ nie ośmielił się podnieść do godności swojej nazwy plemiennnej.¹¹⁸ W szczepie kaddoskim każdy zespół plemion przywłaszcza sobie miano tego rodzaju: Pawnijczycy są *C a h i k s - i - c a h i k s*, t. j. „ludzie ponad ludźmi“;¹¹⁹ Wichita byli *K i t i k i t i s h*, bodaj „przedni ludzie“;¹²⁰ Arikara zwali siebie *t a n i s h*, „ludzie“, „lud“;¹²¹ Kaddowie to *h a s i n a i*, „nasińscy“.¹²² Obok rodziny kaddoskiej można wymienić atapaską. Ludy atapaskie na północy nadają sobie miano *d e n e*, *t e n e*, *d i n d j i e* itd., „ci z tej ziemi“, „tutejsi“;¹²³ tego samego pochodzenia jest nazwa *n d e*, jaką sobie nadają Apachowie,¹²⁴ i *t i n n e* lub *d i n n e*, jak o sobie mówią Navajowie.¹²⁵

2-o. Plemię często słynie u innego plemienia pod kilkoma różnemi nazwami. Np. Dakotów pokrewni Kruki obdarzali nazwami *B a r a s h u p g i o* (znaczenie niewyjaśnione), *M a k o t a* (może sprzymierzeńcy), *M a r a n s h o b i s h k o* — „podrzynacze gardła“, *M i n i s h u p s k o* — nazwa o treści mocno nieprzyzwoitej.¹²⁶ Wichita słynęli u Komanczów pod nazwami: „ciemnych domów“, „chat trawiastych“, „piersi malowanych“, Cheyennowie zaś „piór malowanych“, „strzał opierzonych“.¹²⁷

3-o. Niekiedy nazwa nadawana któremuś ludowi ma to samo znaczenie, choć z konieczności różne brzmienie u wielu plemion, i to plemion należących do różnych szczepów. Zdarza się, iż nazwy te, podchwytujące jakąś właściwość danego ludu (np. budowę chat, wygląd strzał, ulubioną potrawę, a zwłaszcza gest używany w międzyplemiennej mowie pantominowej), powstawały niezależnie od siebie w wielu miejscach. Takim gestem używanym np. przez Dakotów na oddanie przynależności swojej plemiennej jest gest podrzynania gardła, u Komanczów gest oznaczający czołganie się węża. A więc Dakotowie byli dla Arapahów, ludów kaddoskich, Komanczów, ludów saliskich, t. j. dla plemion z pośród czterech rozmaitych szczepów, jednakowo „podrzynaczami gardła“. Odrębną kategorię stanowią nazwy utworzone od tego samego pnia, a używane w tym samym szczepie, jak np. nazwa Dakotów wśród pokrewnych im plemion siuskich (głównie odłamów dhehikańskiego i chiwercńskiego), brzmiąca jako *ca a*, *ca ha*, *sha ha n* i t. d., lub nazwa *Pa dou ca* w różnych odmianach fonetycznych, używana również przez plemiona siuskie w stosunku do Komanczów. Nazwy takie sięgają początkami swojemi najprawdopodobniej czasów bardzo odległych. Np. nazwa *ca a* i t. d. powstała wśród Dhegihów i Chiwerów bodaj nie zróżnicowanych jeszcze na plemiona: w miarę wyłaniania się z pośród tych odłamów nowych plemion, w sposób zgoła naturalny dostawała im się jako jeden ze składników spuścizny po plemieniu macierzystem, ulegając jedynie zmianom dźwiękowym. Zdarza się, iż taka nazwa, jeszcze bardziej zmieniona, przedostawała się do plemion innego szczepu, jak np. nazwa *Shahana* na oznaczenie Dakotów, niewątpliwie pochodzenia siuskiego, aż do Kiowa-Apachów.

4-o. Ostatecznie, w każdym plemieniu istniał zbiór nazw obejmujących wszystkie te plemiona, z którymi tamto bądź miało do czynienia bezpośrednio, bądź o których dotarła do niego wiadomość za pośrednictwem sąsiadów. Z drugiej strony dane plemię otaczała cała wiązanka nazw, tych mianowicie, pod jakimi było znane innym plemionom. Weźmy dla przykładu Komanczów, którzy o sobie samych odzywają się jako o *ne me ue*, *ni me ni m*, t. j. jako o „ludziach“, „ludziach nad ludźmi“, „ludzie nad ludami“.¹²⁸ Rozporządzamy 34 nazwami, jakie nadały im ludy różnych szczepów. Z pośród nich jedenaście odtwarza pantominę plemienną Komanczów, a więc węża, lub zawiera w swoim znaczeniu pierwiastki wrogości i podejścia,

które tkwią, między innymi, i w tej pantominie węża. Komanczowie są więc traktowani jako węże, gadziny, wrogowie. Jedenaście nazw (wszystkie wśród plemion siuskich) są przeróbkami terminu Padouca, o niewyjaśnionem znaczeniu.¹²⁹ Jedną nazwę zaczerpnięto od ulubionej potrawy Komanczów, dwie podkreślają zamożność tego plemienia (bogaci, uposażeni w konie), dla trzynastu nie odnaleźliśmy znaczenia.¹³⁰ Z pośród zbioru osiemnastu nazw, jakimi Komancze posługują się w stosunku do innych plemion, dla czterech Ten Kate,¹³¹ który był zebrat te nazwy, nie podaje znaczenia, jedna jest zapożyczona od własnej nazwy danego plemienia, inne są nazwami podnoszącymi strukturę chaty (kiepskie chaty, chaty trawiaste), właściwości czupryny, obuwia, tatuowania, oręża, niektóre dotyczą charakteru, przymiotów fizycznych lub sposobów postępowania (niskorośli, ludożercy, psiożercy, podrzynacze gardła), są w końcu przerwiska, które w polskim przekładzie niepodobna byłoby powtórzyć w towarzystwie z powodu ich treści. Komanczowie znaleźli się jak gdyby na cenzurowanem, a ze swej strony posadzili sąsiadów w takiej samej pozycji: słownictwo jest jak gdyby fotografią zwyczajów, rysów charakteru, dziejów i t. d. odpowiedniego ludu. I taką fotografią są nazwy siedmiu działów, na jakie rozpadają się Komanczowie. Nazwy te wzięto często od jada (yampożercy, miodojedzcy, bizonożercy, wątrobiarze), od umiejętności kroju i zszywania skór antylopich, od przebywania wśród pagórków, w końcu od charakteru (włóczęgi).¹³² Niektóre z tych działów mają po parę nazw, np. miodojedzców inne działy nazywają: „gościnnymi“, „bez mięsiwa“, „wspinającymi się.“¹³³

Nazwy plemienne przedstawiają całą moc odmian. Niektóre z nich dostarczają klucza do odcyfrowania przeszłości plemiennej. Kiedy Dakotowie odzywają się o Assinibojnach jako o rokoszanych, albo kiedy nazwa Pequotów piętnuje ich jako burzycieli,¹³⁴ tem samem wkrzeszają tem odezwanem się swoim zdarzenia z dalekiej przeszłości, kiedy pierwsi odłączali się od Dakotów, drudzy zaś wdzierali się pomiędzy Niantików i rozpołowiali ich na dwie społeczności plemienne. Albo Oroczowie nad Amurem — lud ten żyje obecnie z rybactwa, ale nazwa jego świadczy, iż byli niegdyś hodowcami reniferów.¹³⁵ St. Riggs z całą słuszością zaznacza: „W pierwotnym okresie społeczeństwa najwiarygodniejszą historję osób i narodów zachowały nazwy. Dakotowie noszą poniekąd historję swoich

wędrówek w nazwach kilku swoich gromad¹³⁶. Ale to słownictwo plemienne, rozważane w stosunku do któregośkolwiek ludu, nie grzeszy bynajmniej nadmierną statecznością. Raczej dzieje się przeciwnie: sytuacja, w jakiej znajduje się plemię, zasób jego dorobku materialnego, jego stosunek do innych plemion, wszystko to pozostaje wciąż w stanie płynnym — może płynność jest powolna, nawet gnuśna, przecież istnieje. A to oddziaływało i na słownictwo plemienne: jedne nazwy zanikały doszczętnie, inne powstawały. Oglądaliśmy to ukazywanie się nowych nazw, gdy poddawaliśmy rozbirowi nazwy drobnych działów dakockich. Są tam ci, którzy „dobrze obchodzą się z końmi“, „wrzody na grzbietach koni“, „potomkowie tłumacza“, „potomstwo białego“ i t. d. — przezwiska, które zawdzięczają swoje powstanie związkom małżeńskim (niekoniecznie legalnym) białych z Dakotkami i sprowadzeniu konia do Ameryki przez białych. W powyższym wypadku nazwy, które się ukazały na skutek przybycia Europejczyków, są formacjami, co w synonimji plemiennej czerwonoskórych zajęły miejsce przez inne nazwy niezajmowane. Ale niekiedy nowa nazwa pojawieniem się swoim ruguje jakąś dawną. Np. jeden z działów u Komanczów nosił nazwę *n o'k o n i*, t. j. włóczęgi, ale spowodu śmierci wodza, który miał właśnie takie imię, wyraz ten, zgodnie ze zwyczajem Komanczów, został z języka usunięty i dział ów przybrał nazwę *D e t s a n a n a' - y u k a*, t. j. „kiepscy, gdy chodzi o obozowanie“, co treścią swoją odpowiada poniekąd dawnej nazwie.¹³⁷ Podobnego rodzaju przykładów dałoby się przytoczyć więcej, nie będziemy jednak mnożyli ich liczby. Zaznaczymy jedynie, iż takie zmiany zachodziły niewątpliwie i w dalekiej przeszłości. Między innymi, podania Iroków wspominają o tem, iż ich nazwy były niegdyś inne.¹³⁸

5-o. W powyższym rozbiore nie uwzględniliśmy ani nazw federacyj, które istniały wśród czerwonoskórych, ani nazw, które pozostawałyby w związku ze stosunkiem wzajemnym plemion należących do federacyj. „My, pięć ludów irockich, tworzymy tylko jedną chatę, podsycamy tylko jedno ognisko i od czasów niepamiętnych mieszkaliśmy pod tą samą strzechą“, tak wyjaśniał wódz Mohawków istotę więzi federacyjnej irockiej.¹³⁹ Federacja ta przybrała nazwę *H o d e n o s a u n e e* (w różnych odmianach fonetycznych), t. j. „tworzący jedną chatę“, „lud długiej chaty“, „całkowita chata“.¹⁴⁰ W tej federacji Mohawki, Onondaga i Senekowie byli ojcami, Oneida, Cajugowie i Tusca-

rorowie synami.¹⁴¹ Nadto plemiona sfederowane miały tytuły od czynności spełnianych: Onondagowie byli „stróżami pasa“ i „stróżami zarzewia rady“, Senekowie — „stróżami drzwi“ Długiego domu i t. d.¹⁴² Niezależnie od tego zastępu nazw, istniał jeszcze drugi: Mohawki byli „tarczą“, Onondagi — „nosicielami imienia“, ponieważ wyznaczono ich do wybrania pierwszych pięćdziesięciu przewodców; Senekowie — „dozorcami drzwi“ (zachodnich w Długim Domu) itd.¹⁴³

Zespoły nazw federacyjnych były bodaj u Iroków najbardziej rozbudowane.

Inne federacje są pod tym względem bardzo ubogie.

Federacja Ottawów, Chippewów i Potawatomijczyków nosiła nazwę *N a s w a b a n e z i d*, t. j. „trzy ogniska w jednym“: w niej Chippewowie byli starszym bratem, Ottawowie drugim z kolei starszym bratem, Potawatomijczycy zaś — młodszym bratem.¹⁴⁴ Nazwa Dakotów: *D a k o t a*, *L a c o t a*, *N a c o t a* to dosłownie „przymierzeńcy“. Dakotowie przybierali niekiedy nazwę *O c e t i - s a k o w i n*, t. j. „siedmiu ognisk rady w jednym“.¹⁴⁵ Czarnonodzy nazywali swój luźny związek *N e t s e p o y e*, t. j. „naród który mówi jednym językiem“.¹⁴⁶ Bandy, każda nazwy odmiennej, ale w zespole swoim noszący nazwę *T u t u t n i ó w*, tą swoją nazwą odtwarzały nazwę Allemanów germańskich: „wszyscy, lud cały“.¹⁴⁷

3. *Nazwy plemienne na lądzie australskim. „Ludzie“ wśród Australczyków. Względne ubóstwo wątków. Nazwy geograficzne. Nazwy wzięte od brzmienia przeczeń, zaimków i t. d.*

Zatrzymaliśmy się nad tubylcami Ameryki północnej. Wybraliśmy ich, ponieważ materiały dotyczące słownictwa nazw plemiennych są tam stosunkowo obfitsze i o charakterze systematyczniejszym niż dla jakiegokolwiek innego szczepu, znajdującego się na tym samym poziomie kultury. Warto byłoby się pokusić o odtworzenie tego rodzaju stosunków na jeszcze niższych szczeblach. Bierzemy w tym celu ląd australski i znowu dla tej przyczyny, iż w porównaniu z innymi przedstawicielami dzikości posiadamy dla tubylców tamtejszych stosunkowo obfitszy materiał, acz nie tak obfity, ażeby można się było spodziewać obrazu chociaż częściowo tak wypełnionego jak dla Indian północno-amerykańskich.

1. W chwili najazdu europejskiego tubylecy tego ładu obracali się w bardzo wąskim łożysku życia. „Idee (Australczyków) o rozmiarach świata są oryginalne. Bodaj plemiona pomorskie przypuszczały, iż świat jest obszerniejszy niż sądzili tubylecy w głębi ładu. Plemiona, z którymi poczyniłem doświadczenia osobiste, przebywają właśnie w głębi ładu. Świat jest w ich rozumieniu płaszczyzną rozciągającą się około 200 mil (ang.) w każdym kierunku, kraj zaś ich jest jego środkiem.“¹ Naturalnie, od takiej zacieśnionej widowni doświadczeń był nieodłączny duży subiektywizm plemienny. A więc Kamilaroje opowiadali, iż przodkowie ich byli wyrzuceni z pośród siebie na chłodniejsze południe lub do jałowej a bezwodnej Australji środkowej tych, którzy pożenili się ze swemi synowicami. Wyrzutkom tym nie pozwolono używać nadal mowy, którą posługiwał się „lud rzetelny“. Dlatego tubylecy z północno-zachodniej części ładu tylko siebie uważają za *I ny a o a*, t. j. „prawy“, „rzetelny lud“, innych zaś za *K a r n i v u a l* — „bękartów“.² Wogóle nie brak na łądzie australskim „ludzi“ po jednej stronie, *h u l t a j ó w*, węzów — po drugiej. Np. tubylecy z *G i p p s l a n d u* jedynie siebie poczytują za „*K u r n a j ó w*“, t. j. za „ludzi“, inni czarni, to „*B r a j e r a k i*“, t. j. „żli“, „wściekli“.³ W tem przywłaszczaniu sobie „człowieczeństwa“ istnieje jednak różnica pomiędzy czerwonoskórymi a Australczykami. W Ameryce północnej tacy *A p a c h o w i e*, *I l l i n o j e* i t. d. z poczucia swojego człowieczeństwa utworzyli nazwę plemienną: „my ludzie“. Otóż nie wiemy, jak dalece tubylecy australscy zaszli w tym kierunku. Niewątpliwie, tu i owdzie wśród ościennych a pokrewnych plemionek każdy tubylec uważa siebie za *k u l i n a*, t. j. człowieka, w innej zaś *m u r r i n g a*, gdzieindziej za *m i n i n g a* lub za *k u r n a* i odpowiednio pogardza innymi tubylcami (a bodaj w tych nazwach nie tyle chodzi o „ludzi“, ile o „mężczyzn“),⁴ np. *M i n i n g o w i e* uważają ich za „długie nosy“, za „węże“.⁵ Ale tak samo na Polesiu *p o l e s z u k* mówi o sobie, że jest „człowiekiem“ i odróżnia siebie od „*m o c h a*“, „*k a c a p a*“. Jednak nie utworzył nazwy plemienną „ludzie“ dla ogółu swoich ziomeków. Mamy wrażenie, że coś podobnego dzieje się i w Australji, przynajmniej w niektórych wypadkach. Nie przeszkodziło to jednak badaczom z tych terminów na człowieka ukuć nazwę etnograficzną. Np. w okolicy jezior *A l e k s a n d r i n a* i *A l b e r t*, oraz na wybrzeżu pomiędzy temi jeziorami aż do zatoki *L a c e p e d e*, przebywało kilka, bodaj pięć plemionek rozpadających się każde na odrębnie

koczujące gromadki, lecz z jednakowymi zwyczajami i bliskich sobie językowo. G. Taplin zlał je w jedną całość, której nadał nazwę przez nich w tym znaczeniu niestosowaną: Narrinajerów,⁶ właśnie uwiedziony używaniem przez nich wyrazu „narrri-nyery“, w którym mieści się pojęcie człowieka. Niewątpliwie członkowie tych różnych plemion oznaczali tym wyrazem każdego z pośród siebie. Dumni z tej nazwy „człowieka“, innych tubylców nazywali Merkanii, t. j. dzikusami.⁷ Jednak nie podnieśli tego terminu do godności swej nazwy plemiennej ogarniającej je wszystkie. Bodaj w ten sam sposób powstawały u A. W. Howitta „narody“: Murringów,⁸ Kulinów⁹ i t. d., t. j. „ludzi“, przynajmniej niektóre z pośród nich. A wszędzie obok tych „ludzi“ siedzieli różni „wężę“, „nocni napastnicy“, „dzicy“.¹⁰ Rzecz nie zawsze jest jasna, gdzie się kończy twórczość A. W. Howitta, a gdzie zaczyna się twórczość tubylców, i dlatego pozostajemy niekiedy w niepewności, jak traktować niektóre te nazwy — czy jako terminy stworzone przez badaczy miejscowych dla objęcia w jedną całość gromady pokrewnych plemionek, wśród których jest w użyciu ten sam wyraz na oznaczenie „człowieka“, czy też jako terminy używane właśnie w takim rozszerzonym znaczeniu w charakterze nazwy plemiennej przez samych tubylców. W każdym razie obrzęd uobytelnienia młodzieży łączył często te plemionka we wspólnym obchodzie.¹¹ W niektórych wypadkach trzeba przyjąć stanowczo, iż Australczycy doszli właśnie do takiego objęcia terminem „człowiek“ całego plemienia: tacy np. Bidwellowie nazywają siebie Maap,¹² t. j. ludźmi. W nazwie plemienia Wiimbaio, wiim oznacza w ich języku „człowieka“,¹³ u Wotjobaluków — wotjo jest to „człowiek“, baluk — „lud“ (skrótowe z ba—laiuruk, „mężczyźni i kobiety pospołu“).¹⁴ W każdym razie nie zbywa na przyczynkach pozwalających mniemać, iż Australczycy, o ile tego jeszcze nie dokonali, wcześniej lub później umieliby przecież wyzyskać jako materiał do nazw plemiennych przeciwstawność pomiędzy „ludźmi“ a „niełudźmi“. Dokonali tego Kurnaje, ale plemiona w pojezierzu jez. Eyre'a, choć posługują się wszystkimi wyrazem kurna na oznaczenie człowieka, nie stworzyli zeń nazwy plemiennej lub federacyjnej, która ogarnęłaby je w jedną całość.¹⁵

2. Ale ta przeciwstawność pomiędzy „ludźmi“, a „wrogami“ jest wszędzie tylko jednym ze źródeł słownictwa nazw plemiennych. Istnieją, jak już wiemy, jeszcze inne źródła. Oglądaliśmy ich obfitość

przy rozbiorze słownictwa plemiennego u Indjan. Źródła te jednak są o wiele mniej liczne na lądzie australskim. Tubylcy tutejsi znajdowali się na o wiele niższym szczeblu kultury materialnej. Byli ubożsi pod względem obfitości i różnorodności sprzętów, oręża, ubioru i t. d. A nawet, jeżeli jakiś sprzęt istniał na obu lądach, jednostajność jego kształtów była bez porównania większa niż u Indjan. Znikają więc pobudki do przezywania sąsiadów od kształtów chaty, od sposobów gotowania potraw i t. p. I sama przyroda, a z nią tryb życia były w Australji o wiele monotowniejsze: ląd ten nie znał ludności osiadłej, trudniącej się uprawą roli, lub ludów pół-osiadłych, które dołączałyby do myśliwstwa dorywczą uprawę roślin, ani ludów stepowych. Nie miał także ludów w wysokim stopniu wojowniczych, ani innych zamiłowanych w stosunku pokojowym. A w następstwie tego plemiona australskie nie przedstawiały tak rozległej skali różnic jak czerwonoskóre. Nie było więc tam miejsca na nazwy wzięte od zbierania dzikiego ryżu, od polowania na bizona, od praktyk stosowanych względem jeńców, na „zbieraczy ryżu“, „ludy pokojowe“, „podrznaczy gardła“, „przypiekaczy“. Innemi słowy, słownictwo nazw plemiennych w Australji grzeszyło, bo grzeszyć musiało, dużem ubóstwem wątków w porównaniu z Ameryką północną. A obok ubóstwa nazwy plemienne australskie szwankują jeszcze pod względem dokładności. Wiszą niejako poniekąd w powietrzu. Albowiem za sprawą badań systematycznych plemiona amerykańskie zostały stosunkowo wyraźnie wyodrębnione. Natomiast w Australji, prócz nielicznych wyjątków, istnieje pod tym względem duży zamęt: niekiedy nie wiemy, czy któraś nazwa dotyczy plemienia istotnie samodzielnie, czy tylko jakiegoś działu rozleglejszej całości plemiennej. Dlatego wypadnie nam rozpatrywać tutaj nazwy nie zawsze współrzędne z kategorjami nazw plemiennych amerykańskich.

Przechodzimy do tych wątków australskich.

Wśród wątków, które występują w nazwach australskich, poczesne miejsce przypada na wątki z jednej strony geograficzne, z drugiej na te, w których uwydatniono różnice mowy.

Oba te wątki płaczą się z sobą. Dla przykładu weźmiemy gromadę 21 „plemion“ w Wiktorji zachodniej, schodzących się niegdyś na zbory pospołu w liczbie 2520 uczestników.¹⁶ Plemiona brały nazwę od tych lub innych osobliwości czy właściwości dzielnic, w której zamieszkiwały, np. jedno z nich zwano Kolor od nazwy

góry znajdującej się w jego krainie; ale jednocześnie istniała odrębna nazwa dla jego mowy: chaap wuurung, „łagodne usta“ z powodu większej jej miękkości w porównaniu z językami innych plemion. Niekiedy nazwa mowy była zarazem nazwą plemienia. Istniały więc nazwy plemienne: od jakiejś góry, obfitości lasów, creeku (nazwa rzek wysychających w pewnych porach roku), inne od ogólnego charakteru wymowy: „krótkie usta“ (krótka wymowa), „wyrzucające usta“ (wyrazy jak gdyby wyrzucane), „surowe usta“ i t. d. Nadto były dodatkowe nazwy utworzone od brzmienia zaimka „wy“, a także jeszcze inne, które brały pod uwagę, w jaki sposób plemię akcentowało ostatnią zgłoskę. A więc obfitość nazw: po 3—4 dla każdego plemienia (i języka)! Ale całość materiału zgromadzonego przez J. Dawsona pozostawia wrażenie niejakiego chaosu i bynajmniej nie jest rzeczą wykluczoną, iż najniesłuszniej utożsamił niektóre nazwy plemienne z nazwami języka, w jednych wypadkach dał tylko pierwsze, a w innych — drugie. A przedewszystkiem przytoczył nazwy tylko dla dziesięciu plemion.¹⁷ Nie wdając się w rozwikłanie tej łamigłównki, odtworzymy stosunki istniejące pod tym względem wśród innej gromady plemion szczepu kulińskiego, bodaj pokrewnej owym 21 plemionom. Gromada ta siedziała na północ i wschód od portu Phillip. Nazwy języków były to różne „usta“, wurro, wurrong z dodatkami stosownych przymiotników, a więc Woewurung, Bunurong i t. d. — w tych obu nazwach pierwsza część oddawała przeczenie „nie“ w gwarze każdorazowej. Te „usta“ rozpadały się w każdym przypadku na kilka pomniejszych plemion, których nazwa składała się z dwóch części: w drugiej, końcowej, występowały wyrazy bulluk — „lud“, goondeet — „mężczyźni“ („ludzie“), laz, illam lub willam — miejsce zamieszkiwania, np. Yowang-illam, mieszkańcy gór, Yerrawillam — rzeczanie, Kalkangoondeet — puszczeni itd.¹⁸

3. Przechodzimy do szczegółowego rozbioru obu powyżej wymienionych wątków.

Zaczynamy od nazw o charakterze geograficznym.

Będą to w zasadzie nazwy działów, na jakie któreś plemię się rozpadało. Np. Kurnaje składali się z pięciu klanów, które E. M. Curr traktuje zresztą jako odrębne plemiona, — każdy klan zawierał w sobie kilka działów. Tych działów było 19. Z pośród pięciu klanów, nazwy trzech są wzięte od stron świata: Wschodniacy, Za-

chodniacy, Południowcy, jedna to Pomorzanie, znaczenie piątej jest niewiadome. Z pośród nazw, właściwych działom, piętnaście ma charakter geograficzny, trzy utworzono od nazwisk wybitnych członków działów, czyli są to nazwy t. zw. wodzonymiczne, jedna oznacza nosicieli ognia.¹⁹ Tak samo działły, na jakie rozpadają się Dajerowie, na pojezierzu jez. Eyre'a, z jednym wyjątkiem, mają nazwy utworzone od miejscowości.²⁰ Plemię Andrawilla, we wschodniej dzielnicy Australji środkowej, zawierało czternaście działów, które noszą nazwy według źródeł wody, znajdujących się na terytorjum każdego z nich.²¹ I prawdopodobnie takimi samymi działami są „plemiona“ mówiące językiem kuthung: są to Pomorzanie, Strmieniacy, Ludzie z nad głębokiej rzeki, Lud dzid (na terytorjum jego rosną drzewa, z których wyrabia się drzewca dzid) i t. d.²² W porzeczu rz. Leichardt przebywają przy sobie: Puszczeni, Pomorzanie (ludzie słonej wody), Rzeczanie (ludzie słodkiej wody).²³ (Z biegiem czasu więź plemienna, która trzymała pospołu takie działły może ulegała niekiedy rozluźnieniu. Powstawały naówczas plemiona pozostające zazwyczaj w luźnym przymierzu. Czy nazwy geograficzne działów przedzierzgnęłyby się wówczas w nazwy tych plemion, o tem wolno powątpiewać. Na przeszkodzie stawały różne okoliczności, zwłaszcza zaś ta, iż obok jednej nazwy wziętej od miejscowości, taki dział miewał jeszcze drugą, ukształtowaną od właściwości gwary, i ta, z natury rzeczy trwalsza, mogła całkowicie wyprzec tamtą.²⁴ Zdarzyć się także mogło, iż plemię lub dział, zwłaszcza niewielki, przybierał inną nazwę: np. w latach 1883—86 Mutherabura, dział Wakelburów, zmienił swoją dawną nazwę, wziętą od „robaka“, gnieźdzącego się w drzewach a spożywanego przez tubylców, na inną. A mianowicie, Właściciele wygonu (biali osadnicy) ulokowali dużą łódź na wodzie w pobliżu swojej sadyby, która leżała w obrębie terytorjum tego działu, i dział został działem łodziarzy.²⁵ I sami Wakelburowie, „ci, którzy są przypisani do węgorza“, t. j. są z okolicy, gdzie istnieją węgorze, nosili dawniej inną nazwę: Kerbulburów, wziętą od jadalnego korzenia, obficie rosnącego w bagnach ich dzielnicy).²⁶ Prawdopodobnie geograficznego pochodzenia, przynajmniej częściowo, są nazwy plemion w Queenslandzie kończące się na bura — właściwie tylko niektóre z nich są plemionami, inne bodaj jedynie działami plemiennymi. Z pośród 32 takich nazw, osiem pozostało dla mnie niewyjaśnioną

zagadką, osiem jest związanych wyraźnie z miejscowością (Rze-
czanie, Przylądkarze i t. d.), pięć — z drzewami, dwie — z robac-
twem drzewnym, dwie — z węgorzami, cztery — z emu, mrówkami,
owcami i t. d., jedna z popiołem, jedna — z mąką wyrabianą z pew-
nego orzecha, jedna — z wodą wydostającą się z muszli przy przy-
piekaniu. Nazwy od drzew, węgorzy, mrówek i t. d. słosowane są
bodaj dlatego, iż dane plemię żyje w okolicy, gdzie rosły odpo-
wiednie drzewa, lub poławiano węgorze i t. d. Nazwa zaś wzięta od
owcy może ma taki sam rodowód, jak powyżej wspomniana zmiana
nazwy Mutheraburów z powodu sprowadzenia dużej łodzi. Jednak
nie jest rzeczą wykluczoną, iż na przybranie niektórych z pośród
nazw powyżej wymienionych wpłynęły pobudki związane z prakty-
kami totemistycznymi.²⁷ A więc, choć znaczenie źródłosłowu tych
nazw jest jasne, przecież właściwy ich rodowód jest niepewny.²⁸

4. Przechodzimy do kategorii nazw, opartych na wątkach języ-
kowych.

Tubylec australski zdaje sobie przewybornie sprawę z różnic,
jakie dostrzega pomiędzy swoim językiem a językiem sąsiadów.
Tacy Yantrawunta powiadają o tubylcach zamieszkujących na wschód
od wielkiego grzbietu górskiego, iż są to obłąkańcy, nazywają bowiem
węża ogniem (wyraz *turo* u jednych oznacza ogień, u drugich —
węża).²⁹ Ta dążność do uchwycenia osobliwości mowy lub ogólnego
charakteru wymowy istnieje nietylko w Australji. Występuje i u nas:
nasi Jacaki, rusińscy Lemkowie, polescy Hesztacy świadczą o tem
stanowczo. Oglądamy ją i w Afryce: Mandingowie zowią jeden z lu-
dów okolicznych Tiefo, ponieważ posługują się wyrazem *tie* na
oznaczenie człowieka, drugiemu zaś dają miano *Sienou-fo* lub *Se-
noufo*, bo ten w tym samym celu używa wyrazu *sien e*.³⁰ Wśród
Indjan oglądaliśmy wciąganie do nazw plemiennych wątków języ-
kowych: były tam „ludy-bełkoty“, „ludy mówiące językiem nieco
podobnym do naszego“ i t. d. Między innymi, Apachowie szydzą
z Navahów, iż ci mówią kiepską apacheczyzną, a Navahowie odpla-
cają im pięknem za nadobne, twierdząc, iż mowa Apachów, to
kiepski język navahoski³¹ — oba ludy mówią językami bardzo po-
krewnemi. Są inne nazwy czepiające się poszczególnych zwrotów
nazwy: Baniwa (porzeczce dolnej Isana) otrzymali od swoich sąsia-
dów przydomka Karutana lub Korekaru z powodu ciągłego używania
zwrotów *karu* — „nie“, oraz *Karupa-kapa* — „niema“.³² W po-

ludniowej części półwyspu Gazelli (N. Pomorze) są języki „prawdziwe“ i „bełkoczące“, a wśród „prawdziwej mowy“ istnieją narzecza, z których jedno wzięło swoją nazwę od brzmienia naszego zaimka „ten“; na całym północnym wybrzeżu panuje narzecze a ta ta la, zwane tak, ponieważ wyraz la (nieprawda? dobrze) jest wciąż na ustach tubylców w rozmowie.³³

Otóż wśród tubylców w Australji urabianie nazw tego rodzaju przybrało znaczne rozmiary. Nazwy te uwzględniają ogólny charakter wymowy: usta łagodne, twarde i t. d., albo chwytają właściwy danej grupie sposób oddania jakiegoś pojęcia, np. „wy“, jak to już oglądaliśmy wśród plemion Wiktorji, opisanych przez J. Dawsona. Rzecz to zrozumiała, iż te różnice będą przedewszystkiem chwytali bliscy krewniacy językowi — przy głębokiej różnicy, jaka istnieje zwłaszcza pomiędzy różnymi rodzinami lingwistycznymi, nazwom pozostawałaby do zaznaczenia jedynie ta okoliczność, iż inni „bełkoczą“, „są niemi“. To wykuwanie nazw własnych z materiału językowego w obrębie tego samego plemienia spostrzegamy u Kurnajów. Istniały tam, wśród 1.200—1.500 głów — tylu bowiem liczyło co najwyżej to plemię w dawnych czasach — trzy narzecza: jedno z nich było „prawdziwe“, „rzetelne“, „szlachetniejsze“, drugie — „surowe“, „szerokie“, znaczenia trzeciego nie odnaleźliśmy.³⁴ Powyższe nazwy kurnajskie wzięły pod uwagę przedewszystkiem ogólny charakter wymowy. Australczyk kształtuje tego rodzaju nazwy, odwołując się do terminów „usta“ lub „język“ (a właściwie „ozór“) i uzupełniając je odpowiednim określnikiem: łagodne, twarde i t. d., jak to już oglądaliśmy. Te „usta“ były niewątpliwie stosowane rozleglej w Australji niż to wynika ze studjów dotychczasowych, jednak nie przykuły do siebie baczniejszej uwagi badaczy. Natomiast za sprawą bądź swojej częstości, bądź oryginalności, doznały dużego uwzględnienia nazwy typu naszych Jacaków, lub południowo-słowiańskich Kajkawców, Szlokawców i Czakawców, tak nazywanych odpowiednio do tego, czy nasze „co“ wymawiają jako „kaj“, „szto“ i t. d. W tym wypadku wysuwają się na poczesne miejsce w Australji różne Nięchy, że w ten sposób oddamy angielskie no-ers, t. j. nazwy plemienne wzięte od brzmienia wyrazu „nie“. Tego rodzaju nazwy ciągnęły się na przestrzeni od rzek Dawsona i Mackenzie do zlewu rzek Darling i Murray, a stamtąd w górę Murray'u i jego dopływów, t. j. w prostej linii mniej więcej około 750 mil ang. Do

rzędu Nięchów należały plemiona Wonghibon (Wonghi), Wolaroi, Kamilaroi i Wirundjuri, oraz prawdopodobnie pokrewne im Kogai i Wailwun — wszystko to jest to samo, jak odezwał się któryś z pośród Wathiwathiczyków, różnią się jedynie nieco w mowie: Wiradjurowie mówią wira na „nie“, Wonghijczycy zaś wonghi, ale „wszystko to są przyjaciele“.³⁵ Nazwy te są utworzone od wyrazów wonghi, wol, wira, kamil, ko, wail, t. j. wyrazów oddających każdorazowo istniejące w odpowiednim plemienu przeczenie „nie“.³⁶ Na północno-zachód od powyższego rdzenia przebywały plemiona Ucumble i Quieumble, u których „nie“ brzmi jako ucum i quie,³⁷ lecz nazwa pokrewnego im plemienia Pikumbul (Bigumble) jest już utworzona od innego pierwiastka, wyrażającego mianowicie twierdzenie.³⁸ Na południo-wschód od rdzenia kamilaroisko-wirudjurskiego, poczynając w przybliżeniu od zlewu rzek Darling z rz. Murray'em, w górę tej drugiej rzeki i jej dopływów, na znacznej przestrzeni usadowił się „naród“, złożony z licznych plemion, ale którego nazwy zbiorowej Cameron nie wykrył. Plemiona te mówiły wprawdzie odmiennymi językami, ale członek jednego zdołał porozumieć się zazwyczaj z przedstawicielami dwóch lub trzech innych, rozumiał zaś jeszcze większą liczbę³⁹ — okoliczność, która świadczyłaby o dużym pokrewieństwie pomiędzy nimi. Cameron wylicza tylko pięć tych plemion, głównie z porzecza rz. Murrumbidgee. Są to: Ithi-ithi, Wathi-wathi, Muthi-muthi, Tatathi i Keramin. Nie wiemy, czy i niżej wyliczone, a idące od tamtych zwartem terytorjum w sąsiedztwie bezpośrednim, wchodzą także w skład powyższego „narodu“ — w każdym razie nazwy ich są zbudowane według tej samej zasady. Są to Leitchi-leitchi, Weki-weki, Bura-bura, Baraba-baraba, Wamba-wamba. Plemiona te zajmują pospołu przestrzeń w prostej linii około 250—300 mil ang. od zlewu Darlingu i Murray'u w górę tej drugiej rzeki. Wyrazy ithi, wathi, muthi, taat, leitchi i t. d. są przeczeniami. Słowem, gromada ludów, których nazwa powstała od podwojenia właściwego im przeczenia „nie“. (Są to Nienięchy lub, jak to wyrażono po francusku, les nonnon). Powyższe nazwy, przynajmniej u niektórych Nienięchów, nie są jedynymi: plemię Ta-ta-thi, a właściwie ich język słynie jako Nimp-man-wern,⁴⁰ t. j. jako „lekkie usta“, z powodu miękkiej wymowy; Wathiwathi nazywają siebie Narinari, t. j. prawdopodobnie „ludzie“. Prześledziliśmy więc Nięchów poprzez południowy Queens-

land, przez dzielnice Nowej Południowej Walji i Wiktorji. Ale w Wiktorji są jeszcze inni Nięchowic.⁴¹ Np. takie plemię przebywało w okolicach Melbourne'a: zwało swój język Nuther-gulla, n u t h e r było przeczeniem.⁴² W południowych i środkowych dzielnicach Wiktorji tworzone nazwy języków w sposób bardziej złożony: używano, jak już mówiliśmy o tem, wyrazu w u r r u, t. j. u s t a i, między innymi, jako jego określenie stawiano „nie“, np. Thaguwurru, Bunwurru, Woiwurru,⁴³ albo wyrazu t y a l l i (ozór), tak samo niektóre z poprzedzającym go przeczeniem: Yaqua—tyalli, Bewa—tyalli.⁴⁴ I na drugim, północnym krańcu Australji, mianowicie na półwyspie Koberg nazwy (prawdopodobnie języków): Yarło, Yyi, Yaako, Oitbi są właśnie utworzone od przeczeń.⁴⁵

Nięchy obfitością swoją przyćmiły inne wątki pokrewnej budowy, które, acz w liczbie niewielkiej, istniały przecież na lądzie australskim. A zatem nazwy w paru językach australskich zbudowane w duchu francuskich langue d'or i langue d'oui, a więc utworzone od brzmienia wyrazu „tak“. (Zresztą, właściwie chodzi tutaj o bardziej złożone pojęcie, a mianowicie o coś w rodzaju „tak“, „słusznie“, „racja“). Będziemy takie ludy nazywać Takowcami, choć termin ten zwięża poważnie istotną treść wyrazu australskiego. Takiej nazwy lud, Pikumbul, przebywał we wschodniej części Nowej Południowej Walji w pobliżu Nięchów: Ucumble i Quieumble — o nich już wspominaliśmy.⁴⁶ Inny tego rodzaju język, Nallarlie, był w użyciu w Queenslandzie w okolicach Brisbane'u. Także jeden z diałów dajerskich, Ngadi-ngani, wziął swoją nazwę od używanego w nim twierdzenia n g a d i.⁴⁸ Wogóle jednak Takowców było w Australji niewiele.

Istnieje parę wątków, w których zrębem nazwy jest wyraz „ty“: tacy Tykacze przebywali w południowo-zachodniej Wiktorji, gdzie plemieniu Dhauhurtwurru nadawano niekiedy nazwę Ngutuk,⁴⁹ plemieniu zaś Bungandity — Nguro. Tak samo plemiona Wongibon, Wailwun i inne w Nowej Południowej Walji, prócz nazwy utworzonej od przeczenia, słyęły pod inną jeszcze nazwą charakteru tykającego.⁵⁰

Plemiona, opisane przez J. Dawsona, odróżniały siebie niekiedy za pomocą nazw utworzonych od brzmienia w ich językach zaimka „wy“, a więc takich wyrazów jak g n u n t o k, g n u u n d o o k, w i n n a, g n a e, g n i c,⁵¹ ale wymieniony badacz nie podaje ani liczby takich „Waszeciów“, ani jakichkolwiek dalszych szczegółów.

Nad zatoką Byrona i nad rz. Brunswick, oraz w porzeczu rzeki Richmond istniały narzecza zwane Minyuqi Nyug biorące nazwę swoją od brzmienia zaimka „co“, oraz nad rz. Tweed narzecze Gando (gandowal) lub Gendo, tak przezwane od brzmienia wyrazu „kto“.⁵² Słowem czakawcy i sztokawcy australscy, że dla ich scharakteryzowania użyjemy terminów południowo-słowiańskich.

5. W powyższym uwydatniliśmy wątki, które nadają budowie nazw plemiennych w Australji właściwy im charakter. Nie sądzymy jednak, ażeby wyczerpywały sobą istniejący tam stan różnorodności słowniczey. Wprawdzie nie mamy na to nasze twierdzenie wystarczających dowodów. Na jego korzyść przemawia jedynie budowa nazw plemiennych u czerwonoskórych Ameryki północnej. Oglądaliśmy tam bogactwo nazw, które czepiają się zewsząd każdego plemienia. Że taka obfitość istniała i na lądzie australskim, o tem pozwala wnioskować obecność podwójnych i nawet poczwórnych nazw w plemionach opisanych przez J. Dawsona, jak również w paru plemionach z pośród Nięchów. A przede wszystkim przemawia za tem ta okoliczność, iż bądźco bądź atmosfera ambicji i nienawiści musiała być nieodłączna od ustroju plemiennego w Australji, jak była w Ameryce północnej. Rzecz ciekawa, iż z pośród 123 plemion, dla których udało nam się zebrać dane o liczbie głów, nie możemy wskazać jaką treść ukrywają pod sobą nazwy plemienne prócz kilkunastu. Cały nieznaną świat stosunku plemiennego! Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż przy rozleglejszej znajomości przedmiotu okazałoby się, że słownictwo australskie było zasobniej uposażone w wątki różnej budowy, niż wolno przypuszczać na podstawie posiadanego przez nas materiału. Nawet i przy tym materiale istnieją niejaki wskazówki w tym kierunku. A. W. Howitt np. uważa Baiangalów za Puszczaków i przeciwstawia ich Katungalom jako Rybakom, lecz dodaje do tego zastrzeżenie, które całkowicie zmienia istotę rzeczy. Mianowicie nazwa Baiangalów ma oznaczać tych, którzy „należą“ („przykładają się“) do tomahawku. Howitt wyjaśnia, że pochodzi to stąd, iż tomahawkiem robią nacięcia w drzewie, gdy się nań wdrapują. Stąd czyni wniosek, bardzo słuszny zresztą, ale jednocześnie niewłaściwy, gdy chodzi o wyjaśnienie nazwy, iż są „tymi, którzy się wdrapują na drzewa“, a zatem „puszczakami“, „tomahawkarzami“ i „wspiłającymi się na drzewa“.⁵³ Jeszcze bardziej przekonującej wskazówki dostarcza wiązanika nazw wśród plemion, które obsiadły po-

jeziorze jez. Eyre i sąsiednie okolice. Gason dla siedmiu z pośród tych plemion przytacza znaczenie nazw: trzy nazwy mają niewątpliwie charakter geograficzny („siedzący w okolicy kamienistej“, „zamieszkujący najbliższy brzeg rzeki“, trzecia nazwa geograficzna, prócz piętna, iż jest geograficzna, nie daje bliższego określenia o charakterze swojego stosunku do miejscowości). Pozostałe cztery nazwy dotyczą bądź przejść historycznych („ci, którzy wtedy podróżowali“, oraz „słysząc było wielki śpiew“), bądź zachowania się, a może wymowy „słysząc ich wyraźnie“, „wciąż śpiewają“.

A zatem właściwie słownictwo plemienne na lądzie australskim pozostaje dla nas utajone, prócz paru wątków. Wątpliwa, wobec daleko posuniętej zagłady tubylców, czy da się jeszcze wiele odsłonić z tej tajemnicy.

4. *Nazwy słowiańskie. Szczątki zwyczajów, które dały początek nazwom plemiennym, wśród ludów cywilizowanych. Przezwiśka wśród ludu polskiego. Dawne nazwy plemienne wśród szczepu słowiańskiego a germańskiego i przeciwstawność kulturalno-psychiczna pomiędzy nimi. Rodowód nazwy Łechów i Polaków.*

1. O ile wolno wnioskować z rozbioru dotychczasowego, nazwy plemienne wyróżniają się charakterem względnie mało urozmaiconym podczas dzikości i urastają w obfitość wątków w okresie barbarzyństwa. Naturalnie, chodzi tutaj o niższe szczeble barbarzyństwa. Natomiast na wyższych, kiedy człowiek jał się wdrażać w tory osiadłego trybu życia i kłaść coraz większy nacisk na uprawę roślin, nazwy plemienne ciężą ku braniu materiału do swej budowy od dzielnic, którą człowiek zamieszkuje — „nazwy geograficzne“. Ale, prócz pobudek idących od otoczenia terytorjalnego, działa całym swoim ciężarem tradycja, która bierze pod swoją opiekę nazwy okresu poprzedniego i tem samem pęta w pewnej mierze wpływy formacji kulturalnej, która zapanowała. (Zresztą tradycja w każdym okresie utrzymuje przy istnieniu niektóre nazwy wcześniejszego pochodzenia). W końcu w epoce nowoczesnej, mamy do czynienia z ludami liczącymi wiele miljonów głów. W urastającej jednolitości

narodowej rozplywają się ostatecznie szczątki dawnych plemion, z których zlania powstał naród nowoczesny. A życie nowoczesne ujednostajnia coraz bardziej psychikę każdego z ludów cywilizowanych, coraz gruntowniej ściera różnice istniejące w mowie i zwyczajach. Nikną pobudki sprzyjające powstawaniu przezwisk, jakimi obdarzały siebie nawzajem sąsiadujące okolice. Jednak obyczaj przezwisk, t. zw. *blason populaire*, jest wciąż tak zakorzeniony, że nawet w krajach bardzo ujednostajnionych „mieszkańcy każdej dzielnicy i miasta zręcznie przezywają siebie nawzajem, a więc odróżniają siebie na podstawie odchyień w zakresie kształtów fizycznych lub przymiotów, jakie są im przypisywane“.¹

Takie przezwiska istnieją i u nas, żądło ich niekiedy dotkliwie razi tych, do których jest skierowane: „tak się wyzywajom, jeden drugiego, bo cemzeby go jucha ugryz!“.² „Jakby to pan powiedział chłopu ze Starcynowa (pogwarke, w której zamiast *z a j a d ł e* mówi się *z a j a d u e* według wymowy starczynowskiej), to zaraz będzie się bił“.³ St. Ciszewski, od którego zacerpiliśmy powyższe cytaty, poświęcił przezwiskom niewielki, ale ładny przyczynek, obejmujący okolice Sławkowa w Olkuskim: w liczbie przezwisk są tam Gawrony, Palikozy, Krzykawcańskie pazury, Rzepaki, Podpasipepki, Kurze piaski, Poddańcuchy, Barchanowe spencerki, Łepaki, Moskale. Słowem, istniało tutaj całe zatrzęsienie przezwisk — wytwór owych czasów, kiedy „co wieś, to inna pieśń, co chałupa, to inna nauka“, a każda wieś lub osada żyła swoim odrębnym życiem i była świadoma swojej indywidualności. Sąsiedzi umieli dopatrzeć się istniejących różnic: często uchwyciwszy jakąś wydatniejszą odrębność, na nią tylko zwracali uwagę, poświęcając inne. „Jednak tak są zazwyczaj trafni w obserwacji, że najlepiej sami charakteryzują pewną grupę etnograficzną, chociaż charakterystyka ta zasadza się na jednej podchwyconej odrębności“.⁴ Niekiedy jednak uchwytowali parę właściwości i, naturalnie, każda dawała początek nowemu przezwisku. Skutkiem tego ludności którejś okolicy czepia się kilka przezwisk: Kabatkowie na Kaszubczyźnie, tak nazwani od noszenia kaftana o miejscowym kroju, słyną jako Ninoki (Niniaki, Niaki), bo „na każde słowo *ninia*, *bracc*, gadają“.⁵ Mieszkańców pewnej piaszczystej ubogiej okolicy w Sławkowskim sąsiedzi obsypywali różnymi drwinami: ci są Pichaczami, ponieważ jeżdżąc o jednym powodku (*leju*) wołają na konie: *picha*. Ale Pichaczów sąsiedzi zowią

jeszcze Jędrkami, wyśmiewają używaną przez nich końcówkę liczby podwójnej, wymawianą przeciągle: jedźma ma!, oraz zwyczaj wypuszczania przez nich koszuli: Jędreku, wypuść se kosule, jakże to staniem psed pana jak widuy.⁶ Ale nie należy myśleć, że jedynie Sławkowskie może się pochwalić taką obfitością przezwisk. Niewątpliwie i gdzieindziej odnależlibyśmy taką obfitość; że jej nie znamy, pochodzi to stąd, iż innym okolicom nie poszczęściło się znaleźć swego Ciszewskiego, któryby zdołał wczuć się tak samo głęboko w te rzeczy. Przewiska jako wątki drobnej rozległości wciaskają się w rozmaity sposób w obszerniejsze odłamy ludności o nazwach charakteru geograficznego, takich, jak Kujawiacy, Krainiaci, Krakowiacy, Książacy, Dobrzyniaci, Podlasiacy i inne nazwy, wzięte od nazw dzielnic. Obok tych nazw istnieją inne w węższym zakresie a zapożyczone również od charakteru otoczenia: Borowiacy na Kaszubach i na Kujawach (Gierylasy, Dziurlasy), Lasowiacy i Lesacy, Puszczeniacy, Zagórzanie, Górale, Równiaci, Dolacy, Podhalanie, tak przezwani od przebywania w lasach, w górach, w dolinach, na równinach.⁷ A wśród nazw rozleglejszych, poniekąd plemiennych, dwie charakteru przewiskowego: Kaszubi i Mazurzy. Kaszub podobno tak nazwany od swego ubioru⁸ i zagadkowy Mazur, dla którego w języku polskim istnieje jedynie źródłosłów zawarty w czasowniku „mazać“, co nasuwa nam analogję z pokrewnymi nazwami barbarzyńskimi od smarowania twarzy i nawet ciała tłuszczem lub pociągania ich w pewnych okazjach szczególnym barwnikiem. Nazwa tego pochodzenia była prawdopodobnie w czasach późniejszych dla Mazurów bolesna, tak samo jak różne szyderstwa: „psi narodzie, śleporodzie mazurski!“.

Przechodzimy do przezwisk mniejszej rozległości.

Z pośród tych przezwisk usuwamy te, jakimi wieśniacy obrzucają mieszczuchów, a mieszczuchy włościan. Są to bowiem przewiska formacji stosunkowo późnej i raczej pochodzenia stanowego lub klasowego,⁹ dalekie swoim charakterem od nazw plemiennych. Tak samo pochodzenia późniejszego są przewiska, któremi zamożniejsi wieśniacy obdarzają małorolnych sąsiadów i komorników.¹⁰ Tymczasem chodzi o przewiska, któreby swoim stosowaniem odpowiadały dawnym nazwom plemiennym. Tego rodzaju są już nazwy, jakimi jedna część wioski przezywa drugą, np. Osieleczanie dolnej części są Dolanami, górnej — Kijaniarzami („bo robią kijanki“): „Oj! na górze, na górze sami kijaniarze“, jak głosi piosenka.¹¹ Do obrzucenia miesz-

kańców pewnej okolicy jakimś przewiskiem dają pobudkę najrozmaitsze okoliczności. Ubiór i obuwie swoim ukształtowaniem zrodziły moc przezwisk. Są więc: Leczoki lub Łyczaki (w Kościerzyńskim),¹² Kurpie w dawnej puszczy Zielonej, Kurpiarze w Jagodnem,¹³ górale są Kierczami, pod Janowem Lubelskim siedzą Chodaczniacy¹⁴ — wszystko przezwiska od obuwia. Kabatkowie na Kaszubach wzięli swoją nazwę od kaftana,¹⁵ Kidlony w Kościerzyńskim od szerokiego płaszcza,¹⁶ Czuhańcy i Kurtaki w Karpatach zachodnich od opończy, względnie kurtki,¹⁷ Sierczaki w Tatrach od ubrania zwierzechniego, zwanego sierczkiem,¹⁸ Parcianciarze i Parciaki w Lubelskim od chodzenia w parciankach,¹⁹ Kaliciarze w Janowskim i Biłgorajskim, u których „człowiek przysięga kobiecie i torbie“²⁰ — od nierozstawiania się z torbą (kalitą). Niektóre przezwiska są wzięte od przeważającej hodowli lub sposobów użycia bydła: są więc różni Koziary (w Siedleckiem), Kozłarze (pod Stoczkiem i w Skępem) od hodowli kozy; Krowiarze w Piotrkowskim od używania krów do robót polnych. Niekiedy spożywane potrawy dają pobudkę do przezwisk: w Sławkowie mieszkają Bobrarze,²¹ a w Jordanowie Bobiarze, „bo jedzą bób, a udają, że jedzą migdały“²² Makowian nazywa się „Barszczami makowskiemi“, mieszkańców zaś pewnych wiosek w porzeczu Raby „Żurowniakami“.²³ Drobna szlachta ze wsi Biardy (w Łukowskim) nosi nazwę Maśluchów, bo jada grzyby maślaki.²⁴ Niekiedy tworzy się przezwisko od wyglądu ogólnego ludności, od jej charakteru — takimi w Brzozowskim są mieszkańcy wsi Wesolej, słynący jako Chabasie, t. j. prawdopodobnie zalotnicy, kobieciarze.²⁵ Myśleniczanie są Mungami, t. j. safandulami,²⁶ a w Łękach (Sławkowskie) mieszkają Boskie (ludzie), „bo taki som pokorne“.²⁷ Wogóle nazwy powstają jako odpowiedź na mnóstwo różnych właściwości danej okolicy. Np. Nowotarzanie są Owsiarzami, bo sieją najwięcej owsa, Wadowiczanie Flaczarzami, bo w Wadowicach jest dużo rzeźników, Zambrzycczanie Łupierzami, bo garbują skóry końskie;²⁸ Rebocy (rybacy) na Helu, bo żyją z połowu ryb,²⁹ Basiorniacy w Bocheńskim za czasów pańszczyźnianych byli bici basiorami,³⁰ Budnicy w puszczech Jaktorowskiej i Kampinowskiej, bo mieszkali budami.³¹

Ale na uwagę zwłaszcza zasługują przezwiska związane z mową właściwą danej grupie.

Są więc przezwiska od ulubionych zwrotów mowy, a więc: Rywy cudzynowiccy w Pińczowskim od wymawiania rów jako

ryw;³² Dochy i Belocy na Kaszubach, jedni do częstego używania wyrazu *d o c h*, drudzy od mówienia „*bel*“ zamiast „*był*“;³⁴ Jacaki lub Giecaki około Janowa ordynackiego, od częstego używania wyrazu „*jaki*“;³⁵ Pichacze w Olkuskiem, Heciaki w Lubelskiem, Taštaki nad Wartą od wołania na konie: „*picha*“, „*hecia*“, „*tašta*“;³⁶ Istkowie na wybrzeżu kaszubskiem od używania partykuły „*istka*“, oraz tamże Niniaki od wyrazu „*nina*“.³⁷ Hałeczkarze (pochodzenia morawskiego) pod Raciborzem, bo zamiast „*gałeczka*“ (kluski), mówią „*hałeczka*“.³⁸ Przy okazji, potraciwszy o nazwy tego rodzaju, winniśmy zaznaczyć, iż lud przewybornie odróżnia nawet drobne osobliwości wymowy, a tem bardziej poważniejsze: „za Babią Górą gadają, a przed Babią Górą gwarzą“. W Sławkowskiem styka się parę gwar z sobą. I różnice spostrzegane znalazły wyraz jaskrawy w opinii ludu tamtejszego. A zatem „dziwostwornie (dziwnie) mówią... tamok już inaksa mowa, zatraćajom mocno“ (chodzi o mazurzenie). „W Zerkowicach to mówią na twardo: *bił*, *robił*, a w Sułkowicach: *biuł*, *zabiuł*“. O tych, którzy posługują się końcówką aorystową *ch* odzywają się, iż mówią po góralsku“.³⁹ Gdzieindziej, w Siedleckiem, powiadają, iż Wocha to zaraz poznać i z mowy i z przydziejku... „oni to jakoś tak zgóry gadają jak Mazury z pod Warsiawy: *bandę*, *siandę*, albo mówią: *pon*, *Jon siodł*“.⁴⁰ Lud graniczący z Walkoniami, t. j. tymi, którzy zamiast *ł* mówią krótkie *u*, orjentuje się dobrze w tem walczeniu czy wałkonienu (lub wałowaniu). A zatem w okolicy Krzeszowic podwałczący i wymawiający *ł* „nawzajem z siebie się wyśmiewają“.⁴¹ W Dobrzyńskiem z ludności siedzącej ku dawnej granicy pruskiej w kierunku Brodnicy drwią, iż mówi „*kobyua byua, biua, fikaua*“.⁴² W Przybyśławicach pod Sławkowem z podwałczących wszyscy się śmieją: „o na podwałke podwijas, *nimas to języka?* — A, *kiej, peda, ni-moge!*“.⁴³ Tak samo dobrze lud wyróżnia „szastanie“, „szadzenie“, „czedzenie“. Mieszkańcy jednej wsi, niemazurzącej, wyśmiewają się z drugiej za taką jej wymowę, np. Osieleczanie drwią z Łętowian, że „*sićko końciście kieby sićło mówią*“.⁴⁴ Wymowa taka wyróżnia włościan. Dwory mówią poprawnie *sz*, *cz* i t. d., drobna zaś szlachta, obawiając się, iż może niewłaściwie wsadzić do rozmowy dźwięki mowy chłopskiej, zazwyczaj „*sadzi*“, t. j. *przesadza*, wymawiając np. *sz*, *cz* tam, gdzie tego nie potrzeba. „*Szadzą kurę beż płoć*“, jak z niej dwory podkpiwają.

A zatem nazwy od zwrotów mowy i podkpiwanie z wymowy nie są wśród ludu polskiego rzadkością. I nie są również rzadkością w bliższym i dalszym naszym sąsiedztwie etnicznym. Do takiej formacji należą przezwiska wśród Litwinów traktu zapuszczańskiego, t. j. terytorjum ciągnącego się od północy ponad puszcza augustowską od Niemna ku granicy pruskiej. Są tam różne Dziuki, Gogi, Staki, Szaki. Np. nazwa Dziuków powstała z powodu wymawiania przez nich miękkich spółgłosek *dz* i *ć* zamiast *d* i *t*.⁴⁵ Wśród Rusinów nazwa Lemków jest wzięta od wyrazu *l e m*, t. j. „tylko“; który-to wyraz jest właściwie zruszczonym słowackim *l e n*.⁴⁶ Poleszuców włościanie ukraińscy nazywają Hesztakami, dlatego że używają zwrotów *h e t a*, *h e s z t a*, co znaczy „na prawo“, „na lewo“; Poleszucy odwzajemniają się, zowiąc ich Sekałami, od używanego często na Ukrainie wyrazu *se*, *ce*.⁴⁷ Na Morawach lud wyróżnia poszczególne okolice według wymowy, są tam: Potomaci — mówią *p o t o m a* zamiast „potom“; Kedaci — *k e d* zamiast „kdyż“, Baiaci — *b a i* zamiast „i“; Lecowjane — *l e c i* zamiast „jestli“.⁴⁸ O Kajkawcach, Czacakawcach, Szto-kawcach w Słowiańszczyźnie południowej jużśmy wspominali.

W powyższym prócz ostatniego ustępu zatrzymaliśmy się nad ludnością rdzennie polską. Zbyteczna nadmienić, iż przezwiska takie istnieją i wśród Rusinów, zwłaszcza górali. Ci górale, pomimo iż rozpadają się na odłamy wyodrębnione, które w stosunku do siebie zachowują się niekiedy i zachowywali lekceważąco, przecież poczuli się do solidarności wzajemnej, jakiej nie uznawali względem Rusinów nizinnych. „Hucuł napada na Niemca, na szlachcica polskiego, na Lacha, lub Rusina północnej i zachodniej części Galicji, ale na górala nigdy... tak dalece, że kupiec, którego towary przewozi góral, może być pewny, że wszelkiej ujdzie napaści... Do ośmiu wozów góralskich naładowanych towarami przyłączyły się dwa podobne wozy Niemców... Karawana została napadnięta przez Hucułów. Furmanki Niemców poznali i ich towary zabrali z sobą w góry, a góralskie puścili nietknięte“.⁴⁹ Wśród tych górali rusińskich w obrębie Polski wymienia się Łemków, Tucholców, Połonińców, Bojków, Hucułów. Nazwy Bojków, Łemków i Hucułów są nazwami szydebnymi. Sami oni zowią siebie Rusnakami,⁵⁰ Werchowińcami.⁵¹ O pochodzeniu nazwy Łemków już wspominaliśmy. Wyraz Bojko, istniejący w narzeczu huculskim ma oznaczać tchórza.⁵² Nazwa zaś Hucułów pochodzi z rumuńskiego: *h o c*, *h o c u l*, t. j. zbójca.⁵³ I w ob-

rębie dawnych Węgier, obecnie Czechosłowacji, Rusini nizinni zowią górali Wirchowińcami. Mieszkający pośrodku gniewają się, gdy ich ktoś nazwie Werchowińcami, sami zaś Werchowińcy zowią ich Błachami i Dzieczkami. Błachami, gdyż palą fajki do połowy okute blachą, Dzieczkami zaś, ponieważ często zaznają głodu i wtedy spożywają owoce dzikiej gruszy. Werchowińcy i Błachy niebardzo siebie lubią, członkowie każdego odłamu uważają siebie za bardzo mądrych, a sąsiadów za wielkich durniów. Rusini nizin południowych znani są pod nazwą Doliszniaków, gdyż żyją w dole; częściej zaś Namulaków, ponieważ wody spływające z gór osadzają tam dużo gnoju i czarnoziem.⁵⁴ Podaliśmy zasadnicze nazwy górskich rodów rusińskich. W te nazwy wplatają się inne, drobniejsze, dwie z nich przytoczyliśmy, wymieniając Czuchańców i Kurtaków, tak zowiących się od ubioru. J. Karłowicz⁵⁵ podaje parę takich nazw: Spindzaki w Krasnym Łęku około Żabiego, Jachwałki poniżej Baligrodu ku Liskowi, Forosnianie (Chorościanie) w puszczy na Pokuciu.

Jeszcze jedno.

W całokształcie swoim przezwiska będące w użyciu wśród ludu naszego nie odbiegają swoim charakterem ogólnym zbyt od nazw plemiennych, z którymi mieliśmy do czynienia na niższych szczeblach kultury. Ale zbyteczna nadmienić, iż w powyższych wywodach, wiążąc któreś przezwisko kursujące u ludu naszego z otoczeniem przyrodzonym, w którym jego przedstawiciele przebywają, z osobliwościami ubioru i obuwia, z właściwościami wymowy i t. d., przytoczyliśmy tylko te z pośród przezwisk, których znaczenie jest wciąż żywe w świadomości ludu. Ale jak co do nazwy „Mazur“ zatraciliśmy poczucie, co w rzeczy samej ukrywa się pod nią, tak samo dzieje się z wielu przezwiskami. Gocie, jak zwano w Przasnyskiem Kurpiów pańszczyźnianych, Wochowie w Siedleckiem i wiele innych odłamów są takimi zagadkami. St. Ciszewski, podając przezwiska wśród ludu w Sławkowskiem, podkreśla często tę niemożliwość wyjaśnienia rodowodu nazwy: Moskale (mieszkańcy wsi Bukowna) — „nazwy tej nie umiano uzasadnić“; mieszkańców Strzemieszyc Wielkich nazywają Palikozy — „nie umiano wytłumaczyć powstania nazwy“; mieszkańców Krzykawki zowią Krzykawcańskimi pazurami — „dlaczego, nie mogłem się dowiedzieć“ i t. d.⁵⁶ Klucz do rodowodów przezwiska ginie zwłaszcza rychło, choć samo przezwisko pozostaje, jeśli poczęło się ze zdarzeń natury „historycznej“, t. j.

jeśli usiłuje uwiecznić jakiś pojedynczy wypadek, zachowanie się w nim ludności i t. d.

2. Zatrzymaliśmy się nieco nad przezwiskami, które są w obiegu wśród ludu naszego w chwili obecnej. Warto jednak dokonać wycieczki w przeszłość, ażeby przyjrzeć się nazwom plemiennym, które występują w zaraniu dziejów naszych, i to nie tylko w świecie słowiańskim, ale i germańskim.

Przedtem jeszcze parę słów o nazwach plemiennych wśród barbarzyńców Ameryki północnej.

Otóż rozbiór nazw plemiennych właściwych ludom pierwotnym przyczynia się niewątpliwie do zaostrenia stosunku krytycznego względem przyczynków poświęconych wyjaśnianiu tego rodzaju nazw z przeszłości szczepów europejskich, np. nazw etnicznych wymienionych u Herodota i Ptolemeusza, u Tacyty i Geografa bawarskiego. W zbiorowym dziele poświęconem Indianom Ameryki północnej⁵⁷ wyszczególniono przy każdym plemieniu wszystkie nazwy, jakimi to plemię kiedykolwiek darzono. Ileż tam jest dziwolągów! Oto wiadomość o ludzie Dzitsistas, t. j. „my inni, my ludzie“, dotarła do białych, ale pod nazwą, którą ten lud posiadał w jednym z narzeczy siuskich: Shaiela, co znaczy „lud obcej mowy“. Z tego powstała u białych przybyszów nazwa Cheyennów, pod którą lud ów znany jest obecnie w etnografji. Termin Cheyennów przekształcił się u niektórych pisarzy w Chien, Chiennes, a nawet w Dog-nation, t. j. Psi Lud.⁵⁸ Inne plemię, które samo siebie zwało Nimipu („lud“, „ludzie“), Francuzi przewali Nosami Przedziurawionemi, a więc Nez percés — z powodu dziurawienia nosa celem zawieszania tam ozdoby. Nazwa dostała się pomiędzy autorów amerykańskich, którzy, nie znając francuskiego, przekształcili ją na Neckpercie, Neepercil, Nelpersaas, Nepercyc, Nezierces.⁵⁹ Tak samo plemię Menominee u niektórych autorów francuskich przybrało „zrozumiałszą“ dla nich postać Malhominis, Malhommes⁶⁰ i t. d. I to wszystko działo się przy stosunkowo częstem stykaniu się białych z przedstawicielami wymienionych plemion, przy olbrzymiem rozpowszechnieniu umiejętności pisanie i czytania! Cóż dziać się musiało za czasów Ptolemeusza, Tacyty lub Geografa bawarskiego? Dodajmy, że przekształcenie nazw było niekiedy koniecznością, gdyż niezawsze dźwięki indyjskie dawały się ująć za pośrednictwem fonetyki języków europejskich.⁶¹ Rzecz naturalna, iż to samo miało, bo musiało mieć miejsce w prze-

szłości: Rzymianie lub Grecy mieli niewątpliwie dużą trudność w odnaniu nazw, np. germańskich lub słowiańskich. A jeszcze gorzej rzeczy się mają w nauce obecnej, gdy chodzi o wyjaśnienie, jaka treść ukrywa się pod daną nazwą. Wiele nazw indyjskich jak i naszych przezwisk, to nazwy tętniące w całej pełni życiem: żyje plemię lub odłam ludności, które tą nazwą obdarzono, żyją sąsiedzi, którzy ową nazwę stworzyli. A ileż niekiedy podsunęto pod którąś z takich nazw czerwonoskórych odmiennych wyjaśnień. O ile trudniejszą rzeczą musi być dotarcie do znaczenia nazw dawnych, które pozostały jedynie na stronicach książek!

Z tem doświadczeniem, zacerpniętem ze studjów nad słownictwem nazw plemiennych, zwracamy się do rozbioru nazw germańskich i słowiańskich. Zbyteczna nadmieniac, iż studja nasze natchnęły nas dużym sceptycyzmem względem spotykanych wyjaśnień. A tymczasem „znajomość słownictwa nazw ludów znajdujących się w stanie mniej lub więcej pierwotnym — pisze Ten Kate⁶² — posiada zgoła nie najmniejszą doniosłość dla etnologji. Przedewszystkiem charakterystycznym często znaczeniem nazw dostarcza ono wiadomości o odrębnych rysach fizjognomji, zwyczajów i obyczajów ludu... ujawnia stosunki, historyczne i obecne, plemion w zetknięciu wzajemnem i udziela wskazówek o ich znajomości geografji“. Słownictwo to teoretycznie posiada takie samo znaczenie dla początków ludów cywilizowanych: umiejętnie wyzyskane mogłoby rzucić światło na niejedną stronę zamierzełej przeszłości.

Pomimo utraty, w większości wypadków, klucza do nazw plemiennych przeszłości, podejmujemy to zadanie w stosunku do Germanów za czasów Tacyta, oraz Słowian podczas tworzenia się wśród nich zaczątków organizacji państwowej. Okaże się, iż każdorazowo nazwy plemienne posiadają zgoła odmienne oblicze i dają przewyborny obraz roli dziejowej tych dwóch szczepów i wogóle tego, co nauka ujęła pod nazwą „duszy narodowej“.

Z nazw germańskich bierzemy tylko te, które wymienia Tacyt w swoim opisie Germanji, słowiańskie zaś uwzględnimy w obrębie przyczynków Geografa bawarskiego i Nestora. Pojmujemy dobrze całą trudność przedsiębranego zadania. O niewdzięczności takiego rozbioru świadczy rozbieżność zdań pomiędzy lingwistami niemieckimi, gdy chodzi o wyjaśnienie nazw plemiennych wielu ludów germańskich. Wprawdzie niektóre z pośród nich są ustalone w swem

znaczeniu — t. j. ustalone bez zbyt wielkiej rozbieżności pomiędzy badaczami, — jak mieczonośnych Szwardonów, natomiast wyjaśnienia co do innych wahają się w bardzo rozległych granicach. Np. nazwę Usipii J. Grimm tłumaczy jako mieszkańców łąk,⁶³ K. Zeuss w jednej części tej nazwy doszukuje się pierwiastka *ip, ap*, występującego w nazwach rzek.⁶⁴ K. Müllenhoff widzi w niej „bezbożników, nieuznających żadnego prawa,⁶⁵ O. Schade zaś „włóczęgów posługujących się zwłaszcza koźmi“.⁶⁶ K. Zeuss tłumaczy nazwę Swewów jako „lud niestałego trybu życia“,⁶⁷ J. Grimm jako „pokojowych“ (pacyfści),⁶⁸ K. Müllenhoff jako „śpiochów“,⁶⁹ L. Laistner jako „rodaków“, a nawet „ludzi“,⁷⁰ W. Reeb jako „samodzielnych“, „wolnych“ lub jako „towarzyszy rodowych“.⁷¹ Według Fustel de Coulanges'a nazwa Franków nie służyła w takim charakterze żadnemu ludowi, ale, oznaczając „wałęających się“, a może „dzielnych“, była w użyciu w paru plemionach zwłaszcza w stosunku do luźnych band, które z tych plemion wychodziły. Ale zdaniem F. Kluge'go właściwie pochodzi od nazwy oręża *franco* w narzeczu dawnym górnoniemieckim,⁷² tak samo jak nazwa Sasów od krótkich noży, Szwardonów od miecza, Longobardów zaś od longbardy, pokrewnej halabardzie. Ale przecież ogół nazw, chociaż jedna i druga z pośród nich doczekały się krańcowo odmiennych wyjaśnień, daje wyraźne pojęcie o przedmiocie i uwydatnia inną prężność dziejową szczerpu germańskiego w porównaniu z zamięłowaniem do osiadłego trybu życia wśród Słowian.

Wśród ludów germańskich, wyliczonych przez Tacytą, wyróżnimosy dwie grupy: jedną znajdującą się w obrębie wpływów rzymskich, mniej więcej osiadłą, oraz drugą niepodległą i bardziej koczowniczą. W obu tych razach oblicze nazw plemiennych jest zgoła odmienne. Dla pierwszej grupy, zresztą bardzo nielicznej, z ogólnej liczby sześciu plemion⁷³ przypadało na nazwy:⁷⁴

	według Zeussa		według Müllenhoffa	
geograficzne	4	t. j. 57,1%	4	t. j. 57,1%
„dzielni“	1	„ 14,3%	2	„ 28,6%
niewyjaśnione . . .	2	„ 28,6%	1	„ 14,3%

Taką samą, t. j. przeważnie geograficzną, jest struktura nazw plemiennych słowiańskich. „Siedli byli Słowianie nad Dunajem — pisze Nestor — gdzie dzisiaj ziemia węgierska i bułgarska, od tych

Słowian rozeszli się po świecie i przewali się mianami, gdzie siedli na jakim miejscu⁷⁵. Kronikarz ruski wylicza 24 ludy słowiańskie, a z pośród tych nazw przypada na:⁷⁶

końcówki topograficzne (geograficzne)	16	t. j.	69,9%
„patronimiczne“	2	„	8,7%
prawdopodobnie przezwiska	5	„	21,8%
niepewni (Krzywicz)	1	„	4,2%

Przechodzimy do Geografa bawarskiego. Nazwy przezeń podane zrodziły moc wyjaśnień, które w większości wypadków są dla nas obojętne. Czy np. Glopeani będą Kołpianami, jak twierdzi Szafarzyk, czy naszymi Goplanami, czy w końcu Złopeanami, jak oświadcza A. Kraliček, zawsze we wszystkich tych wyjaśnieniach i nawet w innych, jeśli ktoś zechce jeszcze inaczej tłumaczyć ten termin łami-głównki bawarskiej, nazwa jest niewątpliwie słowiańska geograficzna. I gdziekolwiek siedzieli Velunzani, przecież jest rzeczą niewątpliwą, iż nazwa należy znów do tej samej kategorii, co Glopeani. Geograf bawarski wyszczególnia 57 ludów, z których kilka należy odrzucić jako niesłowiańskie.⁷⁷ Z pozostałych nazw słowiańskich, przypada na:

niewątpliwie geograficzne ⁷⁸	21	t. j.	42,0%
możliwie geograficzne lub rodowe ⁷⁹	22	„	44,0%
warstwa społeczna podana jako plemię ⁸⁰	1	„	2,0%
nazwy w brzmieniu niemieckim ⁸¹	5	„	10,0%
nazwa związku rodów ⁸²	1	„	2,0%
przezwiska ⁸³	2	„	4,0%

Zarówno ludy słowiańskie w okresie swego pojawienia się na stronicach historii, jak i plemiona germańskie, osiadłe w granicach posiadłości rzymskich, przeważnie noszą nazwy zaczerpnięte od miejsc zamieszkania. Nie wykluczało to naturalnie istnienia przezwisk ani u jednych, ani u drugich, przezwisk takich jak u nas Jackowie (Jacaki), Kurpie, Kaszubowie. Nazwy Dulębów, Lęchów i innych należą prawdopodobnie do liczby takich nazw-przezwisk.

Zgola inny widok przedstawiają niepodległe szczepy germańskie, wyliczone u Tacyty. „Z nazw tych nie sielanka słowiańska, lecz wojna i ruch zdobywczy do nas przemawiają... Od przejrzystości i jasności najznacniejszej części nazwisk szczepowych słowiańskich odbija się dziwnie zagadkowość i niezrozumiałość nazw

niemieckich⁸⁴. Badacze niemieccy głowili się i głowią, ażeby uporać się ze znaczeniem tych nazw. Naturalnie, na poczesne miejsce wysunęły się wywody lingwistyczne i z nimi niewyczerpane możliwości dla porównań, przypuszczeń i, w końcu, fantazji.⁸⁵ Przy klasyfikacji nazw dawaliśmy pierwszeństwo tej z nazw dla któregoś ludu, która chociaż w formie warunkowej powtarza się u paru pisarzy przytoczonych. A chociaż zdarza się, iż na tę samą rubrykę nazw, np. geograficznych, przypada ta sama lub bliska liczba u tych autorów, nie znaczy to bynajmniej, iż nazwy te dotyczą u nich zawsze tych samych ludów. Z ogólnej liczby 38 ludów niemieckich wymienionych u Tacyty, przypadało na nazwy:⁸⁶

	Müllenhoff	Zeuss	Reeb
Geograficzne lub możliwie geograficzne	6	6	6
od uprawy (?)	—	1	1
hieratyczne, organizacyjno-społeczne, patronimiczne lub w terminach krewniaczych	7	3	8
od barwy (malowanie ciała itd., może hieratyczne pomalunki)	2	—	8
„dzielni“, „sławni“, „wrogowie“, „gwałtowni“	10	14	11
od innych właściwości duchowych lub fizycznych (śpiochy, gaduły, dobrze zbudowani i t. d.)	1	4	1
od zbroi, stroju, zarostu	6	5	5
pochodzenia obcego	1	—	—
niewyjaśnione zupełnie	5	5	1

A zatem, jak widzimy, nazwy geograficzne tworzą u ludów germańskich zaledwie 15,5 % ogółu nazw i przezwisk plemiennych, a przytem ów charakter geograficzny blisko połowy z pośród nich jest wątpliwy nawet dla komentatorów. „Dzielni“, „sławni“, „sprzymierzeńcy“, „waleczni“, powtarzają się w różnych odmianach obok nazw wziętych od oręża. Obecnością swoją świadczą o wojowniczym, zabórczym duchu szczepu, który występuje na widowni historycznej jako żywioł niezmiernie ruchliwy, organizatorski. Dodajmy, iż nazwy te nie grzeszą statecznością: na powierzchni burzliwego morza germańszczyzny ukazują się wciąż nowe. W paręset lat po Tacycie w epoce wielkiej wędrówki ludów ludy germańskie będą w wielu wypadkach słynęły pod zgoła innemi nazwami: może będą to niekiedy te same plemiona, które wymienia historyk rzymski, ale w ruchliwym swem życiu spleły z nich dawne nazwy. Podczas wielkiej wędrówki

ludów pierwiastek ruchliwości i wojowniczości jest nieodłączny od słownictwa nazw plemiennych germańskich: ujawnia się w nazwie Gotów („dzielnych“), Wandalów, Sasów („mieczonośni“ od dużego, pierwotnie może kamiennego noża),⁸⁷ Franków („oszczepończy“). Ogół nazw germańskich swoim charakterem przypomina mocno synonimję plemienną czerwonoskórych, takich Komanczów, Siuków. Nazwy koczowniczego odłamu ludów germańskich zarysowują się zwłaszcza wyraźnie na tle nomenklatury plemiennej, właściwej ludom tego szczepu, osiadłym w granicach państwa rzymskiego w okresie Tacyta. I w takim samym stopniu odmienne są również od nazw plemion słowiańskich, przecież przeważnie geograficznych. Zestawienie porównawcze wszystkich tych kategorii, a więc koczowniczej germańskiej, germańskiej osiadłej, słowiańskiej dostarcza nowego dowodu, że nazwy plemienne kształtują się według warunków bytu, powstają i przekształcają się pod działaniem trybu życia, prowadzonego przez lud — naturalnie, o ile pewne nazwy nie utrwala się, t. j. nie pozostaną i w następnej epoce, któraby w swem samorządnym, własnym działaniu nigdy ich nie wyłoniła. Duch, właściwy słownictwu nazw plemiennych, jest odmienny podczas każdej fazy rozwoju kulturalnego.

To różne napięcie ruchliwości w dwóch szczepach sąsiadujących z sobą w ciągu wieków nie mogło nie oddziaływać na ich stosunki wzajemne.

Badacze niemieccy aż nazbyt często naginający swoje wywody, niekiedy całkowicie bezwiednie, do swoich pożądań i aspiracji, usiłują dowieść, iż Słowianie zachodni zajęli dzielnice, leżące na wschód od Łaby w czasach stosunkowo późnych. Nad Wisłą, nad Odrą miały siedzieć plemiona germańskie, między innymi: Wandalów, Burgundów, Gotów, Longobardów, Lugiów i innych, które w okresie poczynającej się wielkiej wędrówki ludów, pchane właściwą im ruchliwością wojaacką i żądzą łupów, opuszczały owe rzekome swoje sadyby, a terytorja przez nie opuszczane zajmowali Słowianie. Na poparcie tej tezy przytaczają raczej domysły niż fakty, a niekiedy aż rozważania o rozejściu się w różne strony plemion pnia pra-aryjskiego i o kolejności posuwania się jego odłamów ku zachodowi — pierwszą falę w niem tworzyli Celtowie, po niej Germanie, w końcu szli Słowianie, a wszystko to przewalało się przez obszary prowadzące ze stepów rosyjskich ku zachodowi (rozchodzenie się ze wspólnego pnia innych ludów aryjskich jest dla nas tutaj rzeczą obo-

jętną). W tem przesuwanu się Germanie opuścili porzecze Wisły, a następnie Odry już ku schyłkowi historii starożytnej, a zatem i Słowianie zachodni znaleźli się na swoich sadybach dopiero w jakimś w. IV po Chrystusie.⁸⁹ Wyliczenie ludów u Tacyta, spisy ich u Ptolemeusza i innych⁹⁰ mają popierać te założenia, przyczem niektóre nazwy (np. Lugiów) nagina się do założenia o owej wszechobecności germańskiej na późniejszych ziemiach słowiańskich za pomocą niekiedy mocno naciąganych wywodów lingwistycznych. Germańskie te ludy, które miały opuszczać porzecze Wisły, Odry, Łaby, ażeby iść na podbój świata rzymskiego, w oświetleniu współczesnej demografji historycznej były mało zasobne w liczbę głów. Wandalowie, pod nazwą tą należy rozumieć gromadę złożoną nietylko z Wandalów, ale i z band pochodzących z innych plemion, mieli liczyć początkowo 50.000 wojaków, liczba ta przez przyłączenie innych band urosła do 80.000 (około r. 455);⁹¹ Burgundowie po zajęci swoich sadyb w obecnej Francji, posiadali 40—50.000 wojaków; 350.000 Ostrogotów zajęło Włochy, a około 500.000 Wizygotów wtargnęło do Galji.⁹² Są to liczby mocno przesadzone: poruszanie się zbrojnych zastępów tak licznych, jak opowiadają kroniki o Ostrogotach i Wizygotach, nastęrczałoby duże trudności na początku w. XIX, a nawet i obecnie, gdy chodzi o wyżywienie takich gromad. Krytyczniejsi historycy bardzo sceptycznie traktują te liczby. „Barbarzyńcy, którzy uderzyli na Imperjum (rzymskie) nie byli liczni. Gotowie, których zwyciężył Valens w sławnej bitwie pod Adrianopolem, dosięgali zaledwie liczby 10.000. Wandalowie, którzy podbili Afrykę, liczyli 80.000 mężczyzn, kobiet i dzieci (t. j. było tam nie więcej nad 20.000 wojaków). Ostrogotowie pod Teodorykiem kwaterowali przez krótki okres czasu w Pawji, malej mieścinie w końcu w. V-go,⁹³ a po bitwie pod Campus Mauriacus niezliczone tłuszcze Atyli skurczyły się do niewielu tysięcy jeźdzców!”⁹⁴ Rzecz znamienna: plemiona germańskie zachodnie przedostają się jedynie na terytorja leżące na zachód od Renu i posuwają się ku sadybom celtyckim w obrębie Szwajcarji. Natomiast ludy germańskie wyróżniające się rozleglejszemi wędrowkami, jak powyżej wymienione plemiona, mają pochodzić z dzielnic na wschód od Łaby. A tymczasem jest rzeczą niewątpliwą, iż ludność słowiańska, którą historia udokumentowana zastaje na tych obszarach i którą następnie podbijają i tępią różni książęta germańscy w swoim Drang nach Osten, musiała tu siedzieć oddawna: uległ zróżnicowaniu nawet

ich typ fizyczny — Ibrahim ibn Jakób, który w końcu wieku X objeżdżał Słowiańszczyznę, zaznacza w tym względzie różnicę pomiędzy Czechami o czarnych włosach i ciemnej barwie, a blondynami Słowianami na północy. Da się jednak pogodzić te dwie tak z pozoru sprzeczne możliwości: współczesne przebywanie niektórych ludów germańskich oraz Słowian obok siebie na tych samych obszarach. Etnologia podsuwa na to proste rozwiązanie. Np. w Afryce w porzeczu Nigru współżyją obok siebie rolnicy (różne ludy murzyńskie) i półkoczownicy (Fulbowie). To samo współżycie powtarza się w różnych punktach dalszego Sudanu aż do dzielnicy Wielkich Jezior. Ci koczownicy i półkoczownicy (Fulbowie, różnej nazwy plemiona arabskie, Wahumowie i inni), są nieliczni w porównaniu z Murzynami, są jednak panami sytuacji, jak bywa wszędzie, gdzie zetknie się ruchliwy i wojowniczy koczownik lub półkoczownik z osiadłymi ludami rolniczymi. Właśnie taki stan rzeczy mógł istnieć na wschód od Łaby. Między innymi, taki był niewątpliwie stosunek przeciągających ku morzu Czarnemu Gotów do ludności słowiańskiej. Te plemiona czy bandy germańskie, usadowione pomiędzy rolnikami-słowianami, były niezbyt obficie uposażone w liczbę głów. Wiosną i latem pładrowałyby dalsze okolice, na jesieni powracałyby na leże zimowe i ściągalyby haracz od rolników, niekiedy może posługiwałyby się ludnością rolniczą, jak to robili Awarowie.⁹⁵ W okresie rozpoczynającej się wielkiej wędrówki ludów, bandy te pociągnęłyby za łupem ku granicom imperjum rzymskiego, może poniekąd wypchnięte ze swoich siedzib tymczasowych oporem ludności rolniczej urastającej w liczbę głów. O takim w czasach późniejszych zdarzeniu opowiada Konstantyn Porfirogenneta: Słowianie chrobaccy, wyprowadzeni z cierpliwości uciskiem jakiego doznawali od „Franków“ (nazwa zbiorowa Niemców), podnieśli rokosz, a wyłupiwszy swoich ciemniźcicieli wraz z ich księciem, wywalczyli sobie wolność. W każdym razie wpływ ich nie sięgał tak daleko, aby pozostawili rozleglejsze dowody swego pobytu w obrębie tych terytorjów. Przynajmniej, gdy chodzi o porzecze Wisły, nadaremnie byśmy szukali tułaj pierwiastków germańskich w nazwach np. rzek.

Parę słów o tych nazwach.

Studja nad nazwami rzek w obrębie Rosji na przestrzeniach, gdzie ongi siedzieli Finnowie, wydobły na jaw ciekawe zjawisko. A mianowicie nazwy strumyków i mniejszych rzek są tam słowiańskie

(t. j. rosyjskie), natomiast większych rzek (Wołga, Moskwa, Oka) fińskie — zjawisko zgoła zrozumiałe. Należałoby oczekiwać takich samych szczątków germańszczyzny w nazwach większych rzek porzecza Wisły. Tymczasem nic podobnego nie da się tutaj zauważyć. Wprawdzie usiłowano, między innymi, wyjaśnić nazwę Wisły na podstawie pierwiastków językowych germańskich, ale nie możemy próby tej uważać za fortunną.⁹⁶ Otóż, gdyby wypadło szukać źródłosłowu nazwy Wisły, Narwi, Bugu gdzieś poza językami słowiańskimi, należałoby się w naszym rozumieniu zwrócić raczej na wschód ku ludom fińskim lub grupie łotewsko-litewskiej. Na przestrzeni od porzecza Wisły aż ku Syberji powtarzają się nazwy rzek od pierwiastku *nur*, t. j. błoto,⁹⁷ do którego, odpowiednio do ludu, dołączano końcówkę: *wa*, *ja*, *ma* i t.d. oznaczającą rzekę, oraz zmieniano samogłoskę w źródłosłowie. Ukazują się różne nazwy: dla „błotnistej rzeki“: (Narew), (Neris, t. j. Wilja), Narwa, Narowa i Norowa, Nertwa, Narenga, Noringa, Nurenka, Normenga, Nurma, przy czem np. Norowa w narzeczu permskim odpowiada dokładnie nazwie Nurma u Wotjaków.⁹⁸ Na upartego moglibyśmy przytoczyć także fińskie nazwy rzek przypominające źródłosłów Wisły,⁹⁹ źródłosłowy litewsko-łotewskie co do Bugu¹⁰⁰ oraz fińskie, jeżeli chodzi o Niemien.¹⁰¹

Nie upieramy się przytęm, ażeby nasze wywody były słuszne.¹⁰² Przypomina mi się powiedzenie Karłowicza: „zbliżenie, aby na niem wnioski dziejowe lub etnograficzne opierać, powinno być czemś więcej niż dowcipem: powinno być niewątpliwem, oraz nie pojedynczem, ale poparte całym szeregiem równoległych danych“.¹⁰³ Moje wywody conajwyżej podsuwają konieczność systematyczniejszych studjów nad nazwami fińskimi rzek. Jedno jest rzeczą niewątpliwą, iż są bliższe prawdy niż wywody uczonych niemieckich o germańskich rodowodach: nazwy Wisły. Tutaj w porzeczu Wisły, przynajmniej we wschodniej jego części, Słowianie rugowali by nie Germanów, lecz raczej Finnów, a później Jadźwingów.

3. Zatrzymamy się jeszcze nieco nad nazwami plemion słowiańskich, specjalnie zaś nad nazwą Lęchów, która wywołała tyle polemik w naszym piśmiennictwie historycznym i zrodziła nawet całą „lęchomanję“.¹⁰⁴

Zaznaczyliśmy, iż u Nestora obok nazw niewątpliwie charakteru geograficznego istnieją jeszcze inne, które poczytujemy w znacznej

mierce za przeczyska. Są to Dulebowie, Chorwaci, Czesi, Lęchy, Lutycy i Serbowie. Swojem ukształtowaniem nazwy te nie wykazują najmniejszych śladów rodowodu geograficznego. Z wielkiem prawdopodobieństwem są płodem tej samej formacji kulturalnej, której twory oglądaliśmy w słownictwie nazw plemiennych wśród plemion germańskich. Germani tak ruchliwi i wojowniczy, osiadając za czasów Tacyta w granicach państwa rzymskiego, zaczynają słynać pod nazwami wziętymi od otoczenia geograficznego — okoliczność świadcząca, iż z przejściem do trybu osiadłego, rolniczego dokonaniem spokojnie i niepostrzeżenie, zamiast nazw doby koczowniczej, pojawiają się inne, zaczerpnięte od miejsc osiedlenia. Taka sama zmiana zaszła prawdopodobnie w nazwach plemion słowiańskich. W okresie przedosiadłym istniały wśród nich nazwy powszechnie przyjęte, jedne używane przez samo plemię na oznaczenie siebie (może np. Chorwaci), inne będące przezwiskami, nadawanymi przez sąsiadów. Ludy te urastały w liczbę głów, imaly się uprawy ziemi, a osiadając na stałe, rozpadały się na odłamy słyńące pod nazwami nowego kalibru — geograficznymi. Dawne nazwy zwolna zanikały, ustępując przed nazwami fazy osiadłej. Duleby przedziergają się w Wołyńców-Buzan. Dawni Lęchowie urastali w liczne plemiona, każde o innej nazwie. „Słowianie owi, przeszedłszy, siedli nad Wisłą, a od tych Lęchów przezwali się jedna Polanami, drudzy Lęchowie Lutycami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami“. To twierdzenie kronikarza ruskiego uprawnia nas do wniosku, iż grupa plemienna, słyńąca wśród pobratymczych sąsiadów pod przezwiskiem Lęchów, przybierała w miarę swego rozszerzania się nazwy przeważnie geograficzne, dawna zaś pozostała jako wspólna nomenklatura dla wszystkich działów, które z biegiem czasu wyłoniły się z jednej pierwotnej. Dociekania nad prastarem znaczeniem nazw plemiennych słowiańskich z okresu przedosiadłego pozostawiamy sławistom, którzy tak samo toczą spory bez wyników stanowczych o pochodzeniu nazw Chorwatów, Serbów, Czechów i t. d., jak badacze niemieccy z powodu Swewów lub Usipiów. Zdania są podzielone: kiedy prof. Perwolf¹⁰⁵ w imieniu Serbów widział „krewniaków“, „towarzyszy“, to prof. A. Brückner w rozmowie ze mną gotów był tę nazwę poczytać za ujęcie właściwości wymowy, t. j. przypisywał jej to samo znaczenie, jakie jest zawarte w australickim przezwisku plemiennym „twarde usta“. ¹⁰⁶ Może w nazwie Chorwatów ukrywa się idea „zbrojnego“, ¹⁰⁷

„towarzysza“, „dzielnego“. Duleba to „człek źle zrobiony“, „niezgrabiasz“, przynajmniej takie jest dzisiejsze znaczenie tego wyrazu w stosunku do mieszkańców Bołchowa.¹⁰⁸ Niewątpliwa, iż zagadki-nazwy, do których dobieramy klucza z takim trudem, bynajmniej nie były dla swoich twórców rzeczą niezrozumiałą. Jedynie my dzisiaj utraciliśmy poczucie ich właściwego znaczenia. Takimi samymi łami-główkami stałyby się nazwy Giecaków, Lemków, Chabasiów, gdybyśmy nie rozporządzali żyjącem jeszcze źródłem pochodzenia tych wyrazów.

Z temi uwagami i wnioskami, zwrócimy się do rozbioru nazwy Lęchów, pod którą pewna liczba plemion, w tem polskie, słyneła u sąsiadów.

Mimochodem zaznaczymy, iż nazwa Lęchów, a właściwie Lachów, jest nazwą wciąż jeszcze żywą u naszych górali i na Morawach. Rzecz znamienna, iż nazwę tę na Morawach zwala jedna wioska na drugą, sąsiednią, a żadna z nich do tego miana nie chce się przyznać. A więc w Kozłowicach mieszkańcy uważają siebie nie za Lachów, tylko za Wałachów; Lachy zaś, lub, jak brzmi wyrażenie miejscowe, Laszi, są według nich w Rychaltycach. Ale Rychaltyczanie zaprzeczają, aby byli Lachami i wskazują na Bruszperczan. Bartoš dotarł stąd do Frydka, później pomiędzy polskich Ślązaków cieszyńskich, ale nigdzie ci, których wymieniano jako Lachów, do tej nazwy nie przyznawali się przed nim.¹⁰⁹

Lachowie jednak siedzą, a raczej siedzieli przed laty kilkudziesięciu na Śląsku nad Wisłą od Ustronia do Skoczowa;¹¹⁰ Lachami był lud z okolic Kąt, Oświęcimia, Wadowic,¹¹¹ a stamtąd ku Myślenicom.¹¹² Wogóle górale w Wadowickiem, Bocheńskiem i Sądeckiem za czasów O. Kolberga zwali Lachami nie tylko mieszkańców równin, ale i Podgórze, a, jak zaznacza Witkiewicz, lud w dolinach według górali to nie „polocy“ — to „Lachy“.¹¹³ I w Tykocińskiem, gdy ktoś mówi dobrze po polsku, powiadają: „mówi z łacka“, t. j. posługuje się „łacką mową“.¹¹⁴ Polacy zaś to ludzie mieszkający wśród pól.¹¹⁵ Taki był źródłosłów nazwy zarówno Polan kijowskich i tamtejszej ziemi „polskiej“, jak odzywa się Nestor, jak i naszej Polski. I taki jest źródłosłów jeszcze innych Polaków nic nie mających wspólnego z naszą Polską. Tacy Polacy („włościanie polscy“) istnieją nad rzeką Kłazmą: niema tam bowiem wcale lasów, tylko pola.¹¹⁶ Nawet nad brzegami Jenisieja jest strona polska, polskaja — okolica niska,

bagnista, obfitująca w łąki i porośla lasem liściastym — pole oznacza tu nietylko właściwe pole, ale i obszar łączny.¹¹⁷ W końcu takie jest pochodzenie nazwy: „Polanicy“, pod jaką słynie na Pokuciu ludność osiadła na dawnym stepie, a więc w okolicy bez lasów i sadów, dokoła Tłomacza, Horodenki, Obertyna i Gwozdca.¹¹⁸

Powróćmy jednak do sprawy rodowodów nazwy Lęchów.

A. Małeckiemu należy się zasługa ustalenia faktu, iż nazwa Lęchów i pochodna od niej Lechitów są obcego pochodzenia. Słyszeliśmy pod nią przedewszystkiem u Słowian ruskich, od których zapożyczyli ją prawdopodobnie Litwini i Węgrzy, Serbowie południowi używali terminu Ledjanin. Nazwa Lęchów jest więc przezwiskiem nadanem przez sąsiadów tego samego szczepu jednemu z jego odłamów. Następuje pytanie, od czego ją wyprowadzono. Zdania o rodowodzie tej nazwy są podzielone. Kunig usiłuje dowieść, iż pochodzi od źródłosłowu „læg“ i wiąże naszych przodków z ludem Lygjów, uważanym przez badaczy niemieckich za germański. A. Małecki wyprowadza ją od źródłosłowu „læg“, który przechował się w wyrazach: „lęda“, „lada“, „ljadina“. „Leda znaczy równinę w stanie pierwotnej natury, pole leżące jeszcze ugorem, pomiędzy Polanami, mieszkańcami pól, lub może polan, a Ledjanami, mieszkańcami lęd, byłaby tylko względna, wiekowa czy kulturalna różnica“.¹¹⁹ Poglądy A. Małeckiego podejmuje w dalszym ciągu K. Potkański. „Nazwa Lechów jest topograficzna... oznacza mieszkańców odłogów, pól, stepów, czy kraj pierwotnych Lęchów musiał być krajem równym, stepowym i tem się musiał wyróżniać od innych sąsiednich, które tych fizjograficznych warunków nie posiadały“.¹²⁰ Ale nawet, jeśli przyjmiemy pochodzenie nazwy Lęchów od źródłosłowu, na jaki wskazuje A. Małecki, bodaj zaszło co do jej znaczenia nieporozumienie, wynikające stąd, iż zarówno ten badacz, jak K. Potkański nie zwrócili dostatecznej uwagi na treść, jaką wyraz „ljadina“ posiada w żywej mowie. Wyraz ten istnieje w ustach ludu białoruskiego, spotykamy go w Wielkiejrosji; w literaturze rosyjskiej Hleb Uspieński poświęcił jeden ze swoich szkiców opisowi ljadin gubernji Nowogrodzkiej. W tej żywej tradycji wśród ludności, której pradziadowie stworzyli bodaj nazwą Lęchów, „ljadina“ oznacza przedewszystkiem podmokłą nizinę leśną, a następnie polanę leśną oczyszczoną ogniem od pokrycia roślinnego i zasianą, a dopiero w ostatecznym ogniwie rozwoju pole pod ugorem. Taki tryb żarowy gospodarowania istniał

jeszcze w końcu w. XIX w wielu okolicach Rosji, zwłaszcza na północy, a polegał na stosowaniu ognia dla oczyszczenia ziemi od krzaków i drzew i zarazem dla jej użyznienia. Według tych żywych wzorów Lęchami nazywanoby nie mieszkańców stepów, ale bagnistych, podmokłych polan leśnych, a może pół-osiadłych rolników, których tryb gospodarowania polegał na wypalaniu gąszczu pod pole, a kiedy wytrzebione miejsce uległo wyjałowieniu, na przenoszeniu na nowe sadyby i nowem oczyszczaniu gruntu przy pomocy ognia. Nazwa Lęchów odpowiadałaby w tym razie nazwie skandynawskich Suiones, których imię Müllenhoff tłumaczy jako „Waldbrenner“. A więc „ledjanin“, to „wypalacz lasów“. Naturalnie, o tyle, o ile domysł A. Małeckiego o pochodzeniu nazwy Lęchów od źródłosłowu „lęd“ jest słuszny.

Ale czy „Lęch“ w rzeczy samej pochodzi od „lędu“? Czy nie jest to przezwisko chociażby w rodzaju Jacaków, których początku szukano wśród Jazygów starożytnych, a których nazwa tłumaczy się bardzo prosto używaniem przez nich zaimka „jaki“ w szczególnem znaczeniu. Z pozorów wygląda na to, iż nazwa Lęchów pozostaje w jakimś związku z nazwą Czechów, jak gdyby to były przeciwległe ogniwa niezrozumiałego dla nas dziś pasma przymiennych. Fr. Prusik wskazywał, że nazwa Czechów jest nazwą wyrażającą pochodzenie od Czecha, Czechl zaś ma być skróceniem z Czasława albo Cesława. K. Potkański zastanawia się nad tem szczegółowiej. „Jest ono widocznie zepsute, ale w każdym razie nie jego zakończenie, ale początek“, a w dalszym ciągu stara się dowieść, iż „istnieje imię osobowe Lech, może ono być oderwaną końcówką takich imion jak Bolech, Żelech“. Jak w okolicach Sławkowa mieszkańców jednej wioski nazywają Jędrkami od częstości odpowiedniego imienia, tak samo Czechami i Lechami byłyby plemiona obfitujące w licznych imienników Czecha i Lecha. Ale K. Potkański, naszkicowawszy taką możliwość, powstrzymuje się od przyjęcia tego wywodu wyjaśniającego — zupełnie słusznie. Jeszcze bodaj mniej ma podstaw przypuszczenie, że Lech i Czech są taką samą przeciwstawnością, jak Kajkawcy, Sztakawcy i Czakawcy w Słowiańszczyźnie południowej, nazwani w ten sposób dlatego, iż jedni mówią: „kaj“ (nasze „co“), drudzy „szło“, a trzeci „czto“. Takiej przeciwstawności dostarczyłyby wyrazy: „czy“ i „li“, co kazałoby przypuszczać, iż wyraz „li“ ongi swoim użyciem w starodawnej polszczyźnie przewyższał swego

następcę, a mianowicie wyraz „czy“, obecnie niemal jedynie występujący. Lechami byli ci, którzy „lechizowali“, Czechami — ci, którzy „czechowali“. Ale i to nasze przeciwstawienie obu nazw jest raczej dowcipnem dorzuceniem nowego pomysłu niż rozwiązaniem mogącem odwołać się do jakichkolwiek argumentów poważniejszych. Wywody A. Małeckiego są bodaj najbardziej ważkim wywodem w zakresie obchodzącej nas nazwy.

PRZYPISY

1.

¹ J. O. Dorsey: *Omaha Sociology*, §§ 2—3.

² Nestor, w *Mon. Hist. Pol.*, I. § 7.

³ M. Buchner, w *Ausland* 1883, 443.

⁴ Istnieją dwa sporne wywody nazwy „Deutsche“ (i „Dutchmen“). Wzdłuż jednego wywodu wyraz ten pochodzi od tego samego pierwiastka co „deuten“ obecne w języku niemieckim, „diutisca tonga“ oznaczałoby „rozumiałą mowę“, termin zaś „Deutsche“ posiadałby tę samą treść, jaką wielu przypisuje wyrazowi „Słowianin“ (od „słowa“, chociaż prawdopodobniejszem jest, iż, jak wskazuje końcówka, wyraz ten jest pochodzenia geograficznego). Inni badacze wywodzą nazwę Niemców od źródłosłowu właściwego wyrazom „thiot“, „diot“ („Volk“), por. K. Zeuss, 63—64; K. Müllenhoff, IV. 112.

⁵ Nazwy Gallowie (Walia), Welszowie (Wołosza, Włochy) mają pochodzić od pnia „mlah“, „walh“ (st. sanskr. „mlekl“), belkoczący, mówiący niezrozumiale, barbarzyńca, O. Schade, 1080. Zdaje się, iż nazwę tę początkowo nosiło jedno plemię, później zaś została rozszerzona na inne pokrewne pochodzenia. Por. W. Kędrzyński: *Volcae Tectosages a Włach, Wołoch*, Kraków 1901.

⁶ O. Meier, *Anthropos*, VII (1912). 1058.

⁷ Th. Hahn 1881, 2, 3 passim.

⁸ H. v. Francois, 76; Th. Hahn 1881, 17.

⁹ H. v. Francois, 176. Nazwę „omałoni“, używaną przez Hererów na oznaczenie siebie, tłumaczą niektórzy jako „my, którzy posiadamy testicula, my mężczyźni“, *Globus*, XLVIII. 324 (może ongi w przeciwstawieniu do Hotentotów, którzy mieli wycinać jedno testiculum). Nazwa zaś „Hererowie“ ma według jednych wyjaśnić znaczyć tyle, co „wesoły, radosny lud“, J. Hahn: *Ovaherero*, Z. f. Erd. Brl., IV (1869). 485, według innych „potrząsający asagejami“, H. Schinz, 144. (Używamy wyrazów obcych, takich jak gentlemen, Spitzbube, obawiając się, iż w wolnym polskim przekładzie ulegnie zniekształceniu pojęcie zawarte w tych wyrazach, a użyte przez spostrzegaczy bezpośrednich).

¹⁰ Martius: *Beiträge*, I. 171, 172.

- ¹¹ O. Baumann, 163.
- ¹² J. Gumilla, II. 171.
- ¹³ H. H. Codrington, 11, 21. I nad zatoką Astrolabe (N. Gwinea) tubylcy zowią siebie „tamo“, t. j. ludzie; B. H. Hagen, 943, ale, czy o tej nazwie zawyrokowały tutaj pobudki wyluszczone u Codringtona, nie wiemy.
- ¹⁴ Ph. Paulitschke, 306.
- ¹⁵ A. E. Erman, 56.
- ¹⁶ Por. L. Hennepin 1903, 62, 153.
- ¹⁷ Botokudowie np. mówią o sobie jako o „Nac-nanuk“, „Nac-poruk“: „tej ziemi“, t. j. „tutejsi“, A. H. Keane, *J. A. I.*, XIII (1884). 200.
- ¹⁸ J. W. Powell: *Ind. ling. families*, 36.
- ¹⁹ L. Hennepin 1903, 651. Fakty tego rodzaju wywołały pewne utyskiwanie u J. W. Powella: *Ind. ling. families*, 36.
- ²⁰ H. S. Lyman, w *Oreg. Qu.*, II (1901). 293—294.
- ²¹ W. M. Beauchamps, 45.
- ²² W spisie naszym mamy parę dziesiątków plemion, przywłaszczających sobie nazwę „ludzi“.
- ²⁴ E. Petitot 1886, 232—233.
- ²⁵ E. Petitot 1886, 230, 275, 247.
- ²⁶ Wrogów oznaczają w Ameryce z pośród nazw plemiennych powszechnie przyjętych w etnografii nazwy następujące: różni Atapaskowie, A. G. Morice, *Can. I. Tr.*, IV (1892—93). 17; Opatów (u pokrewnych Pimów, z którymi Opatowie są na stopie wojennej), A. F. Bandelier, III. 37; Modoków (u Szastów), Steele, I. Aff. 1861, 121; Chumaików (u sąsiadów), St. Powers, 136; Yuki (u Wintunów), St. Powers, 125, 126 i t. d.
- ²⁷ Np. nazwy „wszarze“, „Smerdy“, „gówniarze“, oraz inne, A. S. Gatschet: *Creek*, 123.
- ²⁸ J. W. Powell: *Introd. to the study of Ind. languages*, wyd. II. 39. Istnieją nazwy święte: Hopi noszą nazwę shumi, Zuńczycy — taashivani, t. j. ludu zbożowego, Fr. H. Cushing u F. W. Hodge'a, II. 1019.

2.

- ¹ J. Richardson, I. 340.
- ² Są to plemiona wyliczone u F. W. Hodge'a, I. 435—436; znaczenie nazw czerpaliliśmy z wyjaśnień umieszczonych w tej pracy pod odpowiednimi plemionami.
- ³ Nordenskjöld, R. d'E., VI. 2.
- ⁴ J. Murdoch, 43, 51; E. Petitot 1876, 169 oraz E. Petitot 1886, 5.
- ⁵ W. J. Hoffman: *Graphic art of the Eskimos*, w *Nat. Mus. Rep.* 1895, 956, 957.
- ⁶ E. Petitot 1876, 169; prócz takiej nazwy są nadawane Eskimom jeszcze inne: gówniarzy, nierządników, psiarzy i t. d.
- ⁷ J. Richardson, I. 408.

⁸ A. Dobbs, 12.

⁹ J. W. Powell: *Ind. ling. families*, 72.

¹⁰ V. I. Bogoraz, 11, 21. Bodaj u Kutchinów Eskimowie są Ta-Kutchi, t. j. ludem z nad oceanu, J. Richardson, I. 371.

¹¹ J. Richardson, I. 33, 34, 36; E. Petitot 1886, 445 (wyjaśnia nazwę ayis-iyiniwok jako anciens-hommes, ludzie prastarej rasy, por. także u J. Franklina 1823, 62). F. V. Hayden, 325, podaje neayaog, jako nazwę własną ogółu odłamów creeskich, t. j. „ci, którzy mówią tym samym językiem“.

¹² J. Heckenwelder, 24; D. G. Brinton, 34, 35 uw.; A. Gallatin, 44 (właściwie nazwa ta bodaj oznacza „naszych mężczyzn“, „mężczyzn naszego narodu“), u krewniaków swoich słynęli jako „opułnarke“, t. j. wschodniacy, nazwą tą posługiwali się i sami Delawarzy, L. H. Morgan 1871, 289.

¹³ Od wyrazu „ilini“, ludzie; właściwie wyraz ten oznacza mężczyzn w całej tężyźnie wieku, doskonałych i dojrzałych mężczyzn, L. Hennepin, 1903, 153.

¹⁴ L. H. Morgan 1871, 287. Duchem swoim tej nazwie bodaj odpowiadało miano dziadków, nadawane przez plemiona algonkińskie Lenapom. E. Petitot, *Anthropos*, I (1906). 235, podaje dla Chippewów (Saulteurs) nazwę „aniteinebewok“, którą tłumaczy jako „ludzie“ (G. K. Warren ma pokrewną nazwę, którą oddaje jako „ludzie samorodni“ — spontaneous men).

¹⁵ J. Mooney: *Ghost dance*, 1023; Ten Kate 1885, 361. Zresztą drobna zmiana akcentu nadaje tej nazwie inne znaczenie: „wysokiego“ lub „ciężko ranionego ludu“, J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 250. Nazwa: „Cheyennów“, powszechna wśród ludów siuskich, jest pochodzenia siuskiego — „lud, który używa mowy czerwonej“, t. j. niezrozumiałej. Krewniacy Cree odzywają się o nich jako o ludzie, który mówi podobną jak oni mową. Arapahowie, inni krewniacy, zowią ich „ludem bliznami pokrytym“; Komanczowie, Szoszonni, Ute, Hidatsowie dają nazwy wzięte od tej lub innej właściwości ich strzał. Por. synonimję Cheyennów: J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 256—257.

¹⁶ J. Mooney: *Ghost dance*, 953. Nazwa przyjęta w etnografji a więc Arapahów jest bodaj pochodzenia pawnijskiego: „pośrednicy“, „handlarze“, J. B. Dunbar u F. W. Hodge'a, I. 72, i jest w rozległym użyciu choć w zmienionem nieco brzmieniu u różnych plemion. Inną nazwą bardzo rozpowszechnioną jest nazwa „psiożercy“ (u ludów rodziny kaddoskiej, u Komanczów, Szoszonów), „chmurzyści“ lub „niebiańscy“ (u Cheyennów, Hidatsów, Siuków), w końcu różne nazwy w związku z bizonami (lud ścieżki bizoniej“, „krowi lud“), oraz nazwa „podniszczonych nogawic“ (u Kiowów). Por. synonimję Arapahów, J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 73.

¹⁷ H. Hale: *Report on the Blackfoot tribes*, w A. A. S., XV (1885), 707. Siksi są w etnografji znani bardziej pod nazwą Czarnonogich (takie jest znaczenie nazwy Siksi), zamieszkiwali okolicę o czarnej glebie i z tego powodu ich obuwie miało zawsze czarną barwę, ib. 700. Nazwę Czarnonogich stosują do Siksików liczne ludy, każdy w swoim języku, F. V. Hayden.

¹⁸ L. H. Morgan 1871, 222 (dokładniej: „lud z nad wielkiej wody, która się wciąż podnosi i opada“, D. G. Brinton, 20—21). Wm. Jones, 178, mówi o nich jako o „ludzie dalekich lesistych okolic“. Przez nieporozumienie nazywano ich wilkami z tego powodu, iż wyraz „maingan“, tak bliski ich nazwy, oznacza w narzeczach chippewańskich to zwierzę, D. G. Brinton, 20—21; A. Gallatin, 44 (między innymi J. H. Trumbull wyprowadza ich nazwę właśnie od tego wyrazu). Inne nazwy Delawarów będą rozważane na dalszych stronicach.

¹⁹ D. G. Brinton, 36 („ci z okolicy skalistej“, „w dole rzeki“, „w pobliżu morza“).

²⁰ J. Richardson, I. 36.

²¹ Por. H. R. Schoolcraft, V. 222—223.

²² J. A. Maurault, III—V. 2—6. Np. Massachusetts to lud „z pod wielkiej góry“, Penobscot — „z kraju kamienistego“, Socoki to „południowcy“, Pokanoket są „ludem z kraju, gdzie kora łatwo odchodzi od drzewa“. W tej powodzi nazw geograficznych wyodrębniają się swoją nazwą Narragansetowie — „ci co są bez strachu“.

²³ D. G. Brinton, 19.

²⁴ Por. D. G. Brinton, 19; L. H. Morgan 1871, 289; J. A. Maurault, II—III.

²⁵ J. Johnston u H. Howe: *Hist. Coll. of Ohio* 1852, 363; L. H. Morgan, 1871, 288.

²⁶ Co do własnej nazwy Foxów (Lisów), która brzmi Muskwakiag, „lud czerwonej gleby“, patrz Wm. Jones, Am. A. 1904, 370; A. Gallatin, 61. L. H. Morgan 1871, tłumaczy tę nazwę jako „lud czerwony“, nazwę zaś Sauków jako „kielkujących“ (sprouting up). P. Jones, 178, wyprowadza nazwę „ludu czerwonej gleby“ z tej okoliczności, iż Foxowie mieli nosić jako ubiór czerwone płachty. Dla Chippewów Foxowie byli „ludem po drugiej stronie rzeki“, Wm. Jones, l. c. Nazwa pospolicie używana, t. j. Foxowie, pochodzi z przeniesienia nazwy jednego z totemów na całe plemię. Nazwa własna Sauków — osakiwag — to „lud przy ujściu“, ale Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 471, przypuszcza, iż w tej nazwie chodzi właściwie o glebę żółtej barwy.

²⁷ H. R. Schoolcraft, V. 145; J. B. Bottineau u F. W. Hodge'a, II. 289. Kaddowie i Koasati zwali ich „ludem melonów“, A. S. Gatschet, MSS u F. W. Hodge'a, II. 292, 293.

²⁸ A. S. Gatschet u F. W. Hodge'a, II. 240. Dla Creeków byli „plasającymi Indianami“.

²⁹ J. H. Trumbull, 50. I. A. Maurault, IV, przytacza dla nich nazwę: „ci, którzy się oddalili“.

³⁰ F. W. Hodge, I. 684. Kickapoo byli „jeleniozercami“ dla Tankałów, „ludem z drugiej strony jeziora“ dla Huronów, J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 685, 686.

³¹ Nazwa „Menominee“ jest pochodzenia chippewańskiego, H. R. Schoolcraft, V. 145; L. H. Morgan 1871, 288. Podobnie jest utwo-

rzona nazwa plemienia Chichakominy wchodzącego w skład federacji Powhatańskiej od rośliny kominy, która dostarczała mąki, W. W. Tooker, A. Am., VIII (1895). 261—262.

³² Nazwa Ottawów jest pochodzenia chippewańskiego, H. R. Schoolcraft, V. 145.

³³ Tak przełożyli nazwę Moheganów Francuzi i tak ją tłumaczy J. H. Trumbull. Ale L. H. Morgan i Brinton dają, jak już o tem mówiliśmy, inną treść tej nazwie.

³⁴ J. A. Maurault, 6; Chamberlain i Rouillard u F. W. Hodge'a, I. 794.

³⁵ G. B. Grinell u J. Mooney'a, 14 Am. B. E., 1023.

³⁶ H. Hale, A. A. S., LV (1885). 707.

³⁷ F. V. Hayden, 235.

³⁸ F. Franklin (J. Richardson) 1823, I. 108. F. W. Hodge, II. 571, przytacza od Lacombe'a nieco odmienną nazwę Czarnonogich u Creeów, która również oznacza „obcych“, „wrogów“.

³⁹ H. R. Schoolcraft, V. 145.

⁴⁰ Rozporządzamy 26 nazwami, pod którymi te cztery plemiona były znane swoim krewniakom algonkińskim. Dla jedenastu z pośród nich nie znaleźliśmy znaczenia. Z pośród pozostałych jedna była jednoznaczna z nazwą „lud mówiący nieco tym samym językiem“; dwie, to obcy, „wrogowie“; trzy — „żebracy“, „kiszki“ (kadłuby); dwie — „lud“ (mówi obce plemię: Cheyennowie o Atsinach); dwie — „chmurzyści“, „niebiańscy“ (nazwa bodaj charakteru mitologicznego); dwie — „pokryci bliznami“; dwie od ubioru lub obuwia i tylko jedna charakteru geograficznego — na podstawie J. Mooney'a: *Ghost dance*, oraz F. W. Hodge'a (pod odpowiednimi ludami).

⁴¹ W różnych odmianach fonetycznych. Nazwa plemienia Nottowayów jest taką odmianą tego terminu, która pozostała w etnografii dla oznaczenia jednego z ludów irockich, wzięta zaś została z ust Algonkinów. O zastosowaniu wyrazu „nadowe“, por. H. R. Schoolcraft, II. 136, 139; P. Jones 1861, 32, 111; Lahontan 1703, II. 207 (słownik). Zresztą i Eskimowie byli „nodwayami“ dla Czarnonogich, A. Dobbs, 12.

⁴² J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 867—868. D. G. Brinton, 14, zaznacza, iż Delawarezy nazwą „mengwe“ obejmowali zazwyczaj Susquehannów, acz rozciągali ją także i na inne ludy pochodzenia irockiego, i termin ten wyprowadza z języka Onondagów (Iroków) od wyrazu „yenkwe“, „mężczyzna“.

⁴³ Lahontan 1703, 207 (słownik); J. Tanner u F. W. Hodge'a, I. 620.

⁴⁴ Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 585, 617.

⁴⁵ Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 921.

⁴⁶ Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 620; H. R. Schoolcraft, II. 136, 137. Co do użycia terminu „nadowe“ w zwykłej i zdrobniałej postaci, patrz F. W. Hodge, I. 376, 379; II. 8, 87.

⁴⁷ H. Lalemant, *Jes. Rel.*, XXVIII. 225 (oraz R. G. Thwaites, ib. 326). J. W. Powell: *Ind. ling. families*, 111. Zbiór tych nazw u F. W. Hodge'a, I. 379. U Chippewów Dakotowie mieli jeszcze nazwę „bwoin-nug“, t. j. „przypiekaczy“, J. Tanner 1909, 158. O innych nazwach będzie mowa później.

⁴⁸ Patrz synonimję Creeów, ułożoną przez J. Mooney'a i C. Thomsona u F. W. Hodge'a, I. 361—362.

⁴⁹ A. F. Chamberlain u F. W. Hodge'a, II. 571.

⁵⁰ Lloyd, w J. A. I. IV (1875). 20.

⁵¹ St. R. Riggs, 193; Washington Matthews, 200.

⁵² H. Lalemant, *Jes. Rel.*, XXI. 193.

⁵³ J. Mooney, 19 Am. B. E., 15.

⁵⁴ A. S. Gatschet 1879, 412; J. Mooney, 19 Am. B. E., 15. M. W. Beauchamps, 45 (o nieco innym brzmieniu, a właściwie o odmiennej transkrypcji w pisowni angielskiej: „oonqua-hone-we“). E. Petitot, *Anthropos*, I. (1905). 235, podaje dla Huronów nazwę „ontwaonoes“, nieznaną nam skądinąd i stanowczo identyczną z nazwą własną Iroków, a mającą oznaczać „ludzi“.

⁵⁵ H. Lalemant, *Jes. Rel.*, XXI. 193. Por. W. M. Beauchamps, 70; H. R. Schoolcraft, IV. 204, 207; F. W. Hodge, I. 585.

⁵⁶ Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 62.

⁵⁷ Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 508.

⁵⁸ H. Lalemant, *Jes. Rel.*, XLII. 145 (według R. G. Thwaites'a, ib. 316, owym ludem ściągany byli Shawnijczycy). O stosowaniu tego terminu, patrz *Jes. Rel.*, LXI. 249 (komentarze), L. Hennepin 1903, 87 (komentarze); W. M. Beauchamps, 70; Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 163.

⁵⁹ Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 136.

⁶⁰ Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 136.

⁶¹ H. Lalemant, *Jes. Rel.*, XXI. 193.

⁶² Por. Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 820; D. G. Brinton, 255 (o właściwej formie tego wyrazu i jego znaczeniu); J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 387 („bąkały“, „jąkały“), 788 („bełkoty“, „jąkały“), II. 172.

⁶³ Mr. Cuog u D. G. Brintona, 255.

⁶⁴ Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 87.

⁶⁵ Cayugowie mieli wziąć swoją nazwę od jeziora, J. Heckewelder, 109; Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 223, tłumaczy tę nazwę: „miejsce, skąd bierze się locusty“, Senekowie i Tuskarorowie zwali ich „dużemi fajkami“ w związku z ich rolą na posiedzeniach rady federacyjnej, Hewitt, ib. 224.

⁶⁶ Chodzi o głąz sterzający w pobliżu ich dawnego osiedla, Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 123; Senekowie zwali ich „wielkimi drzewami“, Hewitt, ib., 125, 126; a Delawarzy „wyrabiaczami fajek kamiennych“, J. Heckewelder, 109.

⁶⁷ A właściwie „lud na wierzchołku wzgórza“, J. Heckewelder, 109 (ponieważ ich osiedla tak były położone) oraz Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 129; „lud z pod wielkiej góry“ u Seneków; sami zwali siebie „nosicielami imienia“ od roli swojej na radzie federacyjnej, Hewitt, ib., II. 133.

⁶⁸ Senekowie to „lud sterczącej skały“, Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 502 („górale“ u Delawarów, J. Heckewelder, 109). O nazwie „tikwa“ już mówiliśmy.

⁶⁹ Pojęcie „krzemień“ występuje w nazwach Mohawków u kilku plemion. Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 921, tłumaczy ich nazwę jako „lud z krainy krzemienistej“; J. Heckewelder, 109, opowiada, iż pierwsi otrzymawszy broń palną od białych, do której używano skałki krzemiennej, krzesaniem do niej ognia z krzemienia zwrócili na siebie uwagę i zostali „krzemieniarzami“. Huronowie zwali ich „ludem niedźwiedzim“, Hewitt, ib., I. 923.

⁷⁰ J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 246.

⁷¹ J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 245, 248—249; W. M. Beauchamps 102, 225; A. S. Gatschet: Creek, 29. U Onondagów Czerokowie, to lud o pięknej barwie czerwonej W. M. Beauchamps, 102; L. H. Morgan, 1871, 286, tłumaczy ją jako „wielki lud“. Ten Kate 1885, 421, oświadcza, iż nie może odgadnąć, co oznaczałaby nazwa Czeroków.

⁷² Hewitt u F. W. Hodge'a, II. 842.

⁷³ L. H. Morgan 1871, 283; W. M. Beauchamps, 58, bodaj tak samo tłumaczy ich własną nazwę Skaurora.

⁷⁴ Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 430; nazwa ludu kociego powtarza się często w sprawozdaniach Jezuitów.

⁷⁵ L. Hennepin 1903, 60, 560; L. H. Morgan 1871, 283; Hewitt u F. W. Hodge'a, I. 584.

⁷⁶ G. Catlin 1844, I. 80.

⁷⁷ Washington Matthews, 14; Wied-Neuwied 1839—41, II. 103. Używać także mieli nazwy Mahna-Harri, „ci, którzy robią naprzekór“, „sprzeciwiają się“ — z czasów, kiedy, niekoniecznie z powodu harmonji, odzielali się od pnia macierzystego, Wied-Neuwied, II. 103; a także nazwy „Seepohskanu mahkahkee“, t. j. „ludu bażanciego“, G. Catlin 1844, I. 80, co wskazywałoby na ich przebywanie ongi w porzeczu Ohio. Według F. V. Haydena, 426, mieli siebie zwać „Miahtanes“ (Mandan), „lud z brzegów (rzeki)“; według Washingtona Mathewsa nazwa Mandanów jest zepsutem „metutahanke“ — „dolne osiedle“; L. H. Morgan 1871, 285, tłumaczy to jako „osiedle południowe“. Kruki (Crow) zwią ich „ludem z ziemianek“, F. V. Hayden, 402.

⁷⁸ J. Mooney: East Siouan tribes, 68—69. Zresztą znani byli pod nazwą „Issa“, t. j. „Rzeczan“, nazwy tej dostarczyła im Iswa (= rzeka), główna rzeka w tej okolicy, albo nosili miano „ushery“, t. j. „(mieszkających) w dół rzeki“ („ushery“ = to iswa-here, w dół rzeki). Niekiedy pospołu z innymi plemionami zwano ich „Płaskimi łbami“.

⁷⁹ A. S. Gatschet u J. Mooney'a: East Siouan tribes, 14.

⁸⁰ St. S. Riggs, 189 (Dakotowie, Omaha i t. d. przekształcili ten wyraz na hutenga, t. j. donośne głosy; H. R. Schoolcraft, IV. 227, 228. A. Gallatin, 120, podaje „Hochungorrah“ jako własną ich nazwę, t. j. „lud złoty“. Ołowie, Omahowie zwią ich Horoge, rybojedzcy, E. James, I. 339; A. Gallatin, l. c. Powszechnie używana nazwa Winnebagów jest pocho-

dzenia chippewańskiego „lud z nad cuchnącej wody“ (por. L. Hennepin 1903, 308), co im u Francuzów zjednało nazwę smerdów; właściwie chodziło tam o słoną wodę, por. P. le Jeune, *Jes. Rel.*, XVIII. 231, oraz komentarze, ib., XV. 247, t. j. byłby to raczej „lud z nad słonej wody“; L. H. Morgan, 1871, 285, wyjaśnia nazwę ich jako „lud pienisty“.

⁸¹ Wied-Neuwied 1839—41, 439—440; W. J. Potts, *J. Am. F.*, V (1892). 72; F. W. Hodge, I. 105.

⁸² A. Gallatin, 123; J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 161. Nazwa Assini-bojnow pochodzi od Chippewów: „lud, który gotuje, używając kamieni“, J. Tanner 1833, 45; pojęcie kamieni, skały, powtarza się w nazwach tego plemienia u Atapasków, E. Petitot 1876, 32; por. także A. Dobbs, 24.

⁸³ B. F. Bowen: *America discovered by the Welsh*, Ph. 1876, 92, przytacza, iż Chikasawowie zowią Kansów „Ka-Anjou“, t. j. „pierwsi ludzie“. Nawet, gdyby nazwa ta była rzeczywista, to okoliczność, iż jest nadawana przez plemię innego szczepu, czyni ją dla nas obojętną.

⁸⁴ St. R. Riggs, 156, 183.

⁸⁵ St. R. Riggs, 164.

⁸⁶ Por. wywody W. W. Tookera: the Algonquian appellatives of the Siouan tribes of Virginia, *Am. A.*, VIII (1895). Nazwa Monakanów (jak również Monahassanów) oznacza „ludy, które kopią ziemię, skałę“ (chodzi o materiał skalny do tomahawków i t. d.); Monahoaców — „lud wesoly“, Tauxanijów — „lud z nad strumieni“ i t. d.

⁸⁷ Le Sueur, 87.

⁸⁸ St. R. Riggs, 156—161 passim; J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 160, 216—217.

⁸⁹ J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 160—161.

⁹⁰ Według J. O. Dorsey'a, 15 *B. Am. E.*, 215—221 (dla ogniska Wahpekutów nie wyszczególniono gentów). Dla niektórych ognisk lub plemion podano dwie wersje nazw, uwzględnialiśmy tylko jedną z nich.

⁹¹ H. Bouquet, 145.

⁹² J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 161, 162.

⁹³ J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 161, 162; L. H. Morgan 1871, 283.

⁹⁴ J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 162.

⁹⁵ J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 162. Wied-Neuwied 1839—40, tłumaczy tę nazwę: „ci, którzy doszli do ujścia (rzeki)“; E. James, I. 339, oraz II. LXXX, zaś jako „ci, którzy osiedlili się przy ujściu rzeki“.

⁹⁶ E. James, I. 338; L. H. Morgan 1871, 285.

⁹⁷ F. W. Hodge, II. 612.

⁹⁸ J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 162. L. H. Morgan 1871, 285, tłumaczy tę nazwę jako „zakurzone nosy“, E. James, I. 339, jako „szary śnieg“.

⁹⁹ Washington Matthews, 34; Wied-Neuwied, II. 211. L. H. Morgan 1871, 285, tłumaczy tę nazwę jako „lud, który przybył z daleka“.

¹⁰⁰ Washington Matthews, 36; J. Mooney u F. W. Hodge'a, I. 547. G. Catlin 1844, I. 185, zowie ich wprost „ludem wierzbowym“.

J. O. Dorsey, 15 *B. Am. E.*, 164, odrzuca wszystkie te wyjaśnienia i bodaj nawiązuje do pojęcia, które tkwi w często powtarzającej się ich nazwie u białych — „Wielkie Kadłuby“.

¹⁰¹ Washington Matthews, 36.

¹⁰² J. Tanner 1909, 54.

¹⁰³ Washington Matthews, 36.

¹⁰⁴ V. F. Hayden, 402.

¹⁰⁵ L. H. Morgan 1871, 285.

¹⁰⁶ Por. F. W. Hodge, I. 369 (synonymja plemienna).

¹⁰⁷ Dźwięk oddany w języku angielskim przez *an* wyrażamy w polskim za pośrednictwem *q*. Powyższe nazwy są wzięte od ośmiu plemion, a więc w niektórych istnieją po dwie odmiany fonetyczne tego terminu, por. synonimję dakocką u F. W. Hodge'a, I. 378—380.

¹⁰⁸ Podejrzewamy, choć może niestusznie, iż źródłosłowem jest wyraz „skaea“, „mówić biało“, t. j. zrozumiałe, w przeciwieństwie do „Shaea“, „mówić czerwono“, niezrozumiałe, skąd między innymi pochodzi nazwa Cheyennów, por. St. R. Riggs, 193.

¹⁰⁹ Mówiąc o charakterze synonimji dakockiej, nie wykroczyliśmy poza materiał zebrany u F. W. Hodge'a, I. 378—380. Uwzględniłszy tylko te nazwy, których znaczenie jest tam podane.

¹¹⁰ St. Powers, 229.

¹¹¹ St. Powers, 349.

¹¹² A. S. Gatschet, *Z. f. E.*, IX. (1877). 370—371 *passim*. Wyraz Apache oznacza „wojowniczy, wrogi lud“, nazwę tę rozciągają Yumowie na dzikie, niespokojne odłamy Indjan bez różnicy szczepu, przebywające w okolicy górzystej, por. Corbusier u A. S. Gatscheta, *Z. f. E.*, XV. (1883). 125. Mesa to część płaskowyżu, w którym rzeka wyryla swoje łożysko, oddzielone od rdzenia i sterczące jakgdyby wyspa w dolinie.

¹¹³ Ten Kate 1885, 259. J. G. Bourke, 118, 227, oświadczają, iż termin Hopi (Opii) jest albo wzięty od sposobu noszenia czupryny, albo od kształtów pieczywa spożywanego powszechnie przez Hopijczyków.

¹¹⁴ J. W. Fewkes, *Am. F.*, V. (1892). 33.

¹¹⁵ J. W. Fewkes, *Am. F.*, V. (1892). 33. uw., zaznacza, iż terminu „cinyumuk“ używają Hopijczycy na oznaczenie każdego innego ludu, dodając jedynie odpowiednie określenie, np. Navajowie są Tacab-cinyumuk. Nazwę tę Ten Kate 1885, 259, oddaje terminem „shinomo“, przyczem nazwę „Hopi-shinome“ tłumaczy jako „dzielni, dobrzy ludzie“ i oświadczają, iż Hopijczycy stosują ją do ogółu Indjan z pueblów. Natomiast dla A. S. Gatscheta 1879, 412, „shinomo“, „hopi-shinomo“ oznacza „lud mieszkający w murowanych osiedlach“ i ta sama treść ukrywa się w tym terminie, co w irockiej nazwie własnej onkwe-honwe, t. j. prawdziwi, istotni ludzie.

¹¹⁶ J. W. Powell u F. W. Hodge'a, I. 568.

¹¹⁷ J. G. Bourke, 227—228. Hopijczycy protestują przeciwko nazwie Moqui, t. j. „śmierdzących, martwych“, często im nadawanej. Nazwa ta przylgnęła do nich z okazji wielkiej epidemji ospy, która ich zdziesiątkowała;

Zuńczycy zowią ich wprost amvekwine, t. j. „ci, których ospa nawiedziła“, Ten Kate 1885, 260, 264; J. W. Fewkes, *Am. F.*, V (1892). 33.

¹¹⁸ St. Powers, 229.

¹¹⁹ F. V. Hayden, 349; A. S. Gatschet, u F. W. Hodge'a, II. 216 (synonymja).

¹²⁰ Ten Kate 1885, 373; J. Mooney u F. W. Hodge'a, II. 947.

¹²¹ Wied-Neuwied, II. 237; F. V. Hayden, 349.

¹²² Ten Kate 1885, 374; A. C. Fletcher u F. W. Hodge'a, I. 179.

¹²³ E. Petitot 1876, XIX, por. tego samego autora, *Anthropos*, I (1905). 235.

¹²⁴ Ten Kate 1884, 357.

¹²⁵ Ten Kate 1884, 358.

¹²⁶ Por. synonimję Dakotów u F. W. Hodge'a, I. 378—379.

¹²⁷ Ten Kate 1884, 361—362.

¹²⁸ Ten Kate 1884, 361; A. S. Gatschet 1879, 413. Nazwa wymieniona w tekście, a więc Komanczów, pochodzi od wyrazu „komass“, są to „ci, którzy odeszli, oddzielili się“, co świadczy, iż Komancze są odnogą, która oddzieliła się od innego ludu, prawdopodobnie od Szoszonów, A. S. Gatschet, l. c.

¹²⁹ J. Mooney: *Ghost Dance*, 1043, 1045, usiłuje wyjaśnić tę nazwę jako przekręconą nazwę działu Komanczów, znanego pod nazwą „miodojedzców“ (Penateka).

¹³⁰ Według zbioru nazw u J. Mooney'a: *Ghost Dance*, 1043 i u F. W. Hodge'a, I. 328—329.

¹³¹ Ten Kate 1884, 361—362 (Wichitowie mają w tym zbiorze trzy nazwy, Cheyennowie dwie, różne działy Apachów są odrębnie traktowane).

¹³² Ten Kate 1884, 361.

¹³³ J. Mooney: *Ghost-Dance*, 1045.

¹³⁴ J. H. Trumbull, 50.

¹³⁵ L. v. Schrenck, III. 132—133.

¹³⁶ St. R. Riggs, 182—183.

¹³⁷ J. Mooney: *Ghost-Dance*, 1043. Na tej samej stronie Mooney przytacza inny przykład tego samego rodzaju.

¹³⁸ D. Cusic u H. R. Schoolcrafta, V. 636.

¹³⁹ de Mercier, *Jes. Rel.*, XLI. 87. L. H. Morgan 1887, 144.

¹⁴⁰ de Mercier, *Jes. Rel.*, XLI. 87; G. R. Thwaites, *Jes. Rel.* LXIV. 276.

¹⁴¹ L. H. Morgan 1887, 148.

¹⁴² L. H. Morgan 1887, 143.

¹⁴³ L. H. Morgan 1887, 149; por. G. R. Thwaites, *Jes. Rel.*,

LXIV. 276.

¹⁴⁴ L. H. Morgan 1871, 203.

¹⁴⁵ St. R. Riggs, 183; J. Mooney: *Ghost-Dance*, 1057.

¹⁴⁶ H. Hale, A. A. S., LXV (1885). 707.

¹⁴⁷ F. W. Hodge, II. 857.

3.

¹ E. M. Curr, I. 59, 83.

² Ridley, *J. A. I.*, II. 280.

³ A. W. Howitt i L. Fison, 187; A. Howitt 1904, 41.

⁴ A. W. Howitt, *J. A. I.*, XV (1886). 411.

⁵ A. W. Howitt 1904, 67.

⁶ A. R. Brown, *J. A. I.*, XLVIII (1918). 230.

⁷ G. Taplin 1894, 1; A. W. Howitt 1904, 67 uw.; (wyraz *narrinyeri* ma być skrótem z *kornarrinyeri*, gdzie *kornar* (ten sam źródłosłów, co w *Kurnajach*) oznacza ludzi, *inyeri* zaś przynależność do rzeczy wyrażonej w treści wyrazu poprzedniego, a więc „należący do ludzi“, G. Taplin u L. Fisona i A. W. Howitta, 187 uw. Na półwyspie Yorke przebywa lud *Narranga*, nazywany również *Adjadura*, co ma oznaczać „nasz lud“, „nasińscy“, A. W. Howitt 1904, 67 uw.

⁸ A. W. Howitt 1904, 78—79, wymienia plemię *Ngarigo* — nazwa ta jest właściwie nazwą ich języka, sami zaś plemięcy mówią o sobie jako o *Murringach*, t. j. jako o „ludziach“, „ta okoliczność wskazuje, iż plemię to należy do narodu, z którym ma ten termin wspólny“. W południowej Wiktorji przebywają różne plemionka, które mówią o sobie jako o *Mara* (ten sam źródłosłów, co w wyrazie *murring*), co oznacza ludzi, np. *Gournditchmara*, ludzie z miejscowości *Gournditch*, ib. 69.

⁹ A. W. Howitt 1904, 70.

¹⁰ A. W. Howitt, *J. A. I.*, XIII (1884). 185.

¹¹ A. W. Howitt, *J. A. I.*, XIII (1884). 185.

¹² A. W. Howitt, *J. A. I.*, XV (1887). 419.

¹³ A. W. Howitt 1904, 53; (*waimbi* — „człowiek“ u *Barkinjiów*, A. L. P. Cameron, 366).

¹⁴ A. W. Howitt 1904, 54; *J. A. I.*, XIV (1885). 324. *Wathiwatki* we własnej nazwie zowią siebie *Narinari*, co prawdopodobnie oznacza „ludzi“, choć A. L. P. Cameron, 347, nie mógł dociec, czy ten wyraz ma jakieś znaczenie w ich języku; jeszcze inni ludzie to *Kunandaburri*, według A. W. Howitta, *J. A. I.*, XX (1891). 34, jako powstałe z *Kornandaburi*, natomiast *M'Donnell* uważa wyraz *kunan* - ekskrementa za źródło tej nazwy.

¹⁵ A. W. Howitt, *J. A. I.*, XV (1886). 412, podsuwa właśnie ten wyraz jako termin na oznaczenie tego zespołu plemion. Tak samo gotów plemiona oparte na ustroju kamilarojskim nazywać „narodem *Murri*“ — z tych samych powodów, ib. 411.

¹⁶ J. Dawson 1881, 1—2.

¹⁷ Z tego powodu A. W. Howitt 1904, 69, przypuszcza, iż w zespole, opisanym przez Dawsona, było wszystkiego tylko 10 języków i prawdopodobnie tyleż plemion.

¹⁸ E. S. Parker, 12; A. W. Howitt 1904, 70.

¹⁹ L. Fison i A. W. Howitt, 227—229; A. W. Howitt 1904, 76—77 (nazwę nosicieli ognia przeniesiono na dzielnicę przez dodanie wyrazu *wurk*, kraj, ib. 173).

- ²⁰ A. W. Howitt 1904, 10—11.
- ²¹ Fr. H. Wells, 515; por. H. Basedow, XXVIII. 14.
- ²² Enright, J. Roy. N. S. Wa., XXXII. 123, i XXXIV, 104.
- ²³ E. M. Curr, II. 303.
- ²⁴ „Dział taki może być znany pod nazwą wziętą od miejscowości lub od gwary“, A. W. Howitt 1904, 52.
- ²⁵ A. W. Howitt 1904, 63.
- ²⁶ A. W. Howitt 1904, 62.
- ²⁷ A. W. Howitt, 60—64.
- ²⁸ G. Taplin, 1—2, podaje nazwy osiemnastu działów Narrinajerów — zwierzęce (i nieco roślinnych). Są to prawdopodobnie nazwy totemów zlokalizowanych.
- ²⁹ A. W. Howitt: Dieri *J. A. I.*, XX (1891). 32 (uw.); A. W. Howitt 1904, 49.
- ³⁰ Binger, I. 215.
- ³¹ A. Benavides, 40 uw.
- ³² Koch-Grünberg, 43.
- ³³ O. Meier, *Anthropos*, VII (1912). 1058.
- ³⁴ A. W. Howitt, *Smths.* 1883, 18; *J. A. I.*, XV (1886). 418 uw.; A. W. Howitt 1904, 73; *Pr. Am. Phil.*, XLVI. 347.
- ³⁵ A. L. P. Cameron, 346.
- ³⁶ Wm. Ridley 1864, 15; D. Bunce 1859, IX; W. T. Wyndham, *J. Roy. N. S. Wa.*, XXIII. 36; R. Brough Smyth, II. 8; A. W. Howitt 1904, 57—58; P. Beveridge 1883, 19.
- ³⁷ W. T. Wyndham, *J. Roy. N. S. Wa.*, XXIII. 36; J. MacPferon, *Pr. Linn. N. S. Wa.*, XXIX (1904). 677.
- ³⁸ R. B. Smyth, II. 8; A. W. Howitt 1904, 58.
- ³⁹ A. L. P. Cameron, 346.
- ⁴⁰ A. L. P. Cameron, 347.
- ⁴¹ A. W. Howitt 1904, 52—53; P. Beveridge 1883, 19; L. E. Threlkeld, IX (nazwy brzmią nieco odmiennie: Yerry-yerry, Watty-watty, Marra-marra itd.). Jeszcze bardziej przekształcono je w Au. A. J., XI (1910). No. 10, str. 200. Wymienione przez E. S. Parkera, 18, narzcza Burapper i Utar, a przez R. H. Mathewsa yota-yota (*Z. f. E.*, XXXVIII (1906). 940) i yabula-yabula (*J. Roy. N. S. Wa.*, XXXVII. 251). usadowiły się nad Murray'em, niektóre z nich są może przekształconymi nazwami wymienionych w tekście ludów.
- ⁴² D. Bunce 1859, IX.
- ⁴³ R. H. Mathews, *Z. f. E.*, XXXVIII (1906). 939—940. Językami temi mówią różne odłamy Kulinów, A. W. Howitt 1904, 70—71 (Woeworong, Bunurong, Thagunworung).
- ⁴⁴ R. H. Mathews, *Z. f. E.*, XXXVIII (1906). 940.
- ⁴⁵ G. Windsor Earl, *R. G. S.*, XVI (1846). 241—242. Wśród plemion wyliczonych przez B. Spencera 1914, 6—7, nie znajdujemy tych ple-

mion. Możliwa, iż są to działy plemienia obszerniejszego lub są to nazwy języków, istniejące równoległo do właściwych nazw plemiennych.

⁴⁶ R. Brough Smyth, II. 8; A. W. Howitt 1904, 58, podaje ich jako Bigambul.

⁴⁷ *Au. A. J.*, XI (1910), No. 10, str. 200.

⁴⁸ A. W. Howitt 1904, 45.

⁴⁹ R. H. Mathews, *Pr. Am. Phil.*, XLIII. 55.

⁵⁰ R. H. Mathews, *Z. f. E.*, XXXVIII (1906). 939.

⁵¹ J. Dawson 1881, 3.

⁵² L. E. Threlkeld: *Appendix*, 3.

⁵³ A. W. Howitt, *J. A. I.*, XIII (1884). 439.

4.

¹ A. F. Chamberlain, *J. Am. F.*, VI. 19 (o Francji).

² St. Ciszewski, *Wista*, IV. 380.

³ St. Ciszewski, *Wista*, IV. 379.

⁴ St. Ciszewski, *Wista*, II. 167.

⁵ G. Smólski, *Bibl. War.* 1902, 141, 142, 149 (uw.); G. Poblöcki: *Słownik kaszubski*, 55.

⁶ St. Ciszewski, *Wista*, II. 176—177, IV. 380.

⁷ Góry nie łączą ludzi, ale dzielą. Stąd wielka różnorodność rodów góralskich, noszących zazwyczaj nazwę od miejscowości zamieszkiwanej, por. art. Górale w *Słowniku Geograficznym*.

⁸ A. Brückner: *Słownik etymologiczny*, 222.

⁹ Mamy zatrzęsienie tych nazw, np. w Kieleckiem odpowiednio do okolicy mieszczanie są: gulonami, siurpami, mękalami, łykami, kołtunami, St. Ciszewski, *Wista*, IV. 381. R. Łubin, *Pisma fil.*, IV. 212, 217. Niektóre z tych przydomków powtarzają się niemal w całym kraju z odmianami. Takimi są: kulon, kujon, kołtun, kuldon, łyk — z tego ostatniego szlachta ukuła swoją łykerję. Gdzieindziej ukazują się: caban, pazurnik. Mieszczanie odpłacają się pięknem za nadobne: dla mieszkańców Skąły w Olkuskiem włościanie są Slimakami, R. Lubicz, *Prace filol.*, IV. 255. Na Kaszubach drobną szlachtę osiadłą w Kartuskim i Kościerzynskim zowią Koczakami, St. Ramułt, 76.

¹⁰ Około Czarnkowa komornicy i budnicy są dla zamożnych gospodarzy kosiakami, kózcami, choziakami, O. Kolberg: *Poznańskie*, III. 237 uw. — prawdopodobnie od trzymania kóz, a w Wieluńskim w Pałnowie: krowieni ogonami, J. Grajner, *Zb. Wiad.*, IV. 188.

¹¹ J. Traczyk, *Wista*, IX. 79 (Osielec w Myślenickim). I we wsi Białdoliny wyróżniają dolarzy, rokoszą wieś („bo mieszkają tam ludzie niezgodni“) i górę, K. Matyas, *Lud*, I (1895). 125.

¹² St. Ramułt; *Słownik*, 88.

¹³ Z. Wasilewski: *Jagodne*, 23.

¹⁴ *Prace filol.*, IV. 187; V. 709.

¹⁵ G. Smólski, *Bibl. War.* 1902, I. 141, 142.

- ¹⁶ St. Ramułt, 70.
- ¹⁷ *Słownik geograficzny*, I. 878, II. 693.
- ¹⁸ *Słow. jęz. pol.*, VI. 106.
- ¹⁹ *Bibl. Warsz.* 1892, III. 541; *Prace fil.*, IV. 230.
- ²⁰ R. Lubicz, *Pisma fil.*, IV. 203.
- ²¹ St. Ciszewski, *Wista*, IV. 379.
- ²² J. Traczyk, *Wista*, IX. 79.
- ²³ J. Świętek: *Lud nadrabski*, *Słownik*.
- ²⁴ ks. A. Pleszczyński, *Wista*, VII. 721.
- ²⁵ L. Magierowski, *Zb. Wiad.*, XIII. 151.
- ²⁶ J. Traczyk, *Wista*, IX. 79.
- ²⁷ St. Ciszewski, *Wista*, IV. 378.
- ²⁸ J. Traczyk, *Wista*, IX. 79.
- ²⁹ St. Ramułt: *Słownik*, 181.
- ³⁰ J. Świętek: *Lud Nadrabski*.
- ³¹ O. Kolberg: *Mazowsze*, I. 41.
- ³² R. Lubicz, *Praca fil.*, IV. 244.
- ³³ J. Derdowski: *O panu Czarlińskim*, 136.
- ³⁴ Dr. Nadmorski, *Wista*, VI. 218; St. Ramułt: *Słownik*, 7.
- ³⁵ R. Lubicz; *Pisma fil.*, IV. 275. Bodaj takie jest również źródło nazwy Jacków w Cieszyńskiem.
- ³⁶ *Pisma fil.*, V. 746.
- ³⁷ G. Smólski, *Bibl. Warsz.* 1902, I. 149; St. Ramułt: *Słownik*, 128.
- ³⁸ *Prace fil.*, V. 745.
- ³⁹ St. Ciszewski, *Wista*, IV. 378; II. 172.
- ⁴⁰ ks. R. Pleszczyński, *Wista*, VII. 720, podejrzewa, iż przezwisko Wochy, nadawane mieszkańcom kilku wiosek, pochodzi od jakiegoś mazura Wocha (Wawrzyniec), który pierwszy tu osiadł. Część Wochów przezywają Kozanami. W pobliżu siedzą Koziary i Maśluchy.
- ⁴¹ St. Ulanowska, *Zb. Wiad.*, II. 5.
- ⁴² A. Petrow, *Zb. Wiad.*, II. 5.
- ⁴³ St. Ciszewski, *Wista*, II. 172.
- ⁴⁴ J. Traczyk, *Wista*, IX. 78.
- ⁴⁵ J. Karłowicz: *Imiona niektórych plemion i ziem dawnej Polski. Pam. fiz.*, II, (1882).
- ⁴⁶ I. Kopernicki, *Zb. Wiad.*, t. XIII, cz. 3., str. 10.
- ⁴⁷ E. Rulikowski, *Zb. Wiad.*, t. III., cz. 3, str. 129—132.
- ⁴⁸ Fr. Bartoś, II. 301—302.
- ⁴⁹ Autor Listopada (H. Rzewuski): *Nie bajki*, Petersburg 1851, 106.
- ⁵⁰ S. Udziela, *Wista*, III (1889). 654 (Łemki).
- ⁵¹ I. Kopernicki, *Zb. Wiad.*, XIII, 15 (Bojkowie); I. Żatkowicz, *Etn. Zbir.*, II (1896). 1 (Lemkowie węgiercy).
- ⁵² J. Karłowicz, *Pam. fiz.*, II (1882).
- ⁵³ W. Pol, I. 218. Por. wywody R. F. Kaindla: *Huzulen*, Wiedeń 1894, 3.

⁵⁴ J. Żatkowicz, *Etn. Zbir.*, II (1896). 1. Wśród Rusinów dawniej węgierskich autor wyróżnia Lemków i Liszaków, u tamtych nasze „tylko” brzmi lem, u tych — lisz. Ale nie wiem, czy są to nazwy książkowe, czy też są w użyciu także wśród ludu.

⁵⁵ J. Karłowicz, *Pam. fiz.*, II (1882).

⁵⁶ St. Ciszewski, *Wista*, IV. 378.

⁵⁷ F. W. Hodge: *Handbook of Indians*.

⁵⁸ F. W. Hodge, I. 256—257.

⁵⁹ F. W. Hodge, II. 67.

⁶⁰ F. W. Hodge, I. 843.

⁶¹ Do czego rzecz dochodzi, o tem może zaświadczyć fakt, iż nazwy Wollaroi i Euahlayi są tą samą nazwą jednego z plemion australskich, każdorazowo inaczej oddaną w pisowni angielskiej.

⁶² Ten Kate 1884, 354.

⁶³ J. Grimm: *G. Spr.*, 582, 783.

⁶⁴ K. Zeuss, 88 uw.

⁶⁵ K. Müllenhoff, IV. 420.

⁶⁶ O. Schade, 1065.

⁶⁷ K. Zeuss, 55—56.

⁶⁸ J. Grimm: *GDS*, 322.

⁶⁹ K. Müllenhoff, IV. 128.

⁷⁰ L. Laistner, 39.

⁷¹ W. Reeb, 171. Dodajmy, iż W. Kętrzyński uważa ją za przerwę (w narzeczu podwalczącym) nazwy Słowian.

⁷² Fustel de Coulanges: *Invasion Germanique*, 461. Fr. Kluge, 116. H. Howorth, *J. A. I.*, XII (1883), wyprowadza raczej nazwę oręza od nazwy Franków, powołując się na Izydora, iż Hiszpanie od Franków nazwali maczugę bojową francisca.

⁷³ Są to: Trewirowie, Wangjonowie, Trebokowie, Nemeterowie, Ubjowie, Mattiakowie, Batawowie.

⁷⁴ Prócz K. Zeussa i K. Müllenhoffa podajemy także tłumaczenie nazw zawarte w opracowaniu Germanji Tacyty przez W. Reeb: *Germania*, Berlin i Lipsk 1930, jako streszczającym w sobie ostateczne wyniki poszukiwań w tej mierze.

⁷⁵ Nestor, I § 7—8.

⁷⁶ Za patronimiczne, a raczej, jak mniemamy, wodzonimiczne, uważamy Wętyczów i Radymiczów. O słowiańskim pochodzeniu Krzywiczów Nestor milczy. Jako przewziska traktujemy nazwy Czechów, Lęchów, Chorwatów, Serbów i Dulebów.

⁷⁷ A mianowicie: Bruzi (Prusacy), Vuinhenbeire, Vulgari, Casiri, Ruzzi, Ungare.

⁷⁸ Są to nazwy z końcówką ani, w tej liczbie Fraganeo oraz Lupiglaa (t. j. prawdopodobnie lud z nad „gławy”, t. j. źródeł Łaby).

⁷⁹ Tu umieszczono nazwy na ezi, oxi, ici, ozi, iti. Niektóre z nich mają charakter np. geograficznych (lub topograficznych) jak dzisiaj Łyżyce, inne są może nazwami patronimicznymi.

⁸⁰ Bethenici, bodaj warstwa wojacka, od wici, wśród Słowian zachodnich, niewłaściwie zaliczona do rzędu plemion.

⁸¹ Nazwy o brzmieniu niemieckiem, których odpowiednik słowiański jest wiadomy, acz nie zawsze wiemy, jak właściwie brzmiał. Są to: Hefeldi, Talaminzi, Beheimare, Marharii, Smeldingen; że są to, między innymi, Havelanie, Morawianie, Czesi, rzecz pewna, ale także, iż są to nazwy tych ludów mocno niezmięcone lub niemieckie.

⁸² Eptaradici, t. j. siedem rodów.

⁸³ Surbi, Vuilzi (Wilcy).

⁸⁴ A. Brückner, *Bibl. Warsz.* 1900, I. 208.

⁸⁵ Niektóre wyjaśnienia w całości swojej różnią się mocno od wywodów np. Zeussa lub Müllenhoffa. Pisząc to, mamy na myśli wywody L. Laistnera, który poddał rozbiorowi 26 nazw z pośród umieszczonych w naszej tablicy. Nazwy te wyprowadza od liczebności („liczni“, poniekąd „macierzyści“), od przymierza lub wrogości („my“, „swoi“, „sprzymierzeńcy“, „wrogowie“), od uzbrojenia itd.).

⁸⁶ Opuściliśmy plemię Suoiones.

⁸⁷ Kronika Widukinda, I. 6. 7 u Pertza: *Scriptores*, III.

⁸⁹ Do jakich wyników dochodziła niekiedy nauka niemiecka w tych swoich wywodach, wymownie świadczy mapa dołączona do tomu II-go pracy K. Müllenhoffa, a dotycząca rozmieszczenia ludów w w. I—II naszej ery w porzeczech Łaby, Odry, Wisły. Zatrzymamy się nad porzeczem Odry i Wisły. Na wybrzeżu pomiędzy Odrą a Wisłą siedzą Lemovii i Rugii, w porzeczu Warty Burgundi, nad Odrą Semnones, jeszcze niżej Silingi, Lygii i Buri. Gotones obsiedli prawy brzeg Wisły od morza aż powyżej ujścia Drwęcy, w górnym porzeczu Narwi są Igilliones (mają to być Jadźwingi). Nad Wisłą poniżej Narwi przebywają Sulones (Müllenhoff przypuszcza, iż może to być lud słowiański, lecz powątpiewa o słuszności swego przypuszczenia), jeszcze niżej są Frougondiones (mają to być Burgundiones) i Avarici (bodaj mają to być Varini). Natomiast pierwsze nazwy słowiańskie są dopiero na lewym brzegu Dniepru — Siewierzanie, a nad nimi około Smoleńska, Krzywicze!

⁹⁰ Fustel de Coulanges: *Invasion germanique*, 227—237, wykazuje jak germańskie źródła kronikarskie wieków VIII i IX, a nawet wcześniejsze niewiele wiedzą o dawnej Germanji.

⁹¹ Procopius: *περ τῶν πολεμῶν* logos III, c. V., 18—22.

⁹² Por. K. Lamprecht (wyd. II), I. 279, 236.

⁹³ Wielkie liczby Gotów są niemożliwe, chociażby dlatego, że lud ten rozpląnął się w krajach Imperjum rzymskiego, w których jego odłamy osiadły, przyswajając sobie język i kulturę podbitej ludności: nie oddziałał nawet w tym stopniu co Anglowie na późniejszą kulturę angielską.

⁹⁴ E. Lot 1927, 267.

⁹⁵ Fredegarius Scholasticus.

⁹⁶ Por. w tym względzie wywody J. Karłowicza i J. Hanusza, *Prace filologiczne*, I (1885). 162—179, wykazujące błędność wywodów niemieckich.

⁹⁷ Np. u Permiaków, Genetz: *Ost-permische Sprach-Studien* (Słownik), 24; Nuruk — „błotnista rzeka“, J. N. Smirnow: *Permiaki*, 81.

⁹⁸ J. N. Smirnow: *Permiaki*, 95, 101, 102, 105.

⁹⁹ J. N. Smirnow, l. c., 101. Istnieją tam nazwy rzek: Wieslenga, Wizenga. W obrębie ziemi zyrjańskiej w powiecie grjazewskim jest rzeka Wisja; w porzeczu Kołomy wśród tamtejszych osadników rosyjskich z północnej Rosji europejskiej każda niewielka rzeczka, zwłaszcza idąca od jeziora do jeziora i od jeziora do rz. Kołomy nosi nazwę „wiska“, Wł. Bogoraz, *Słownik gwary kołymskiej*, 31. W notatkach swoich mam nazwę fińskiej rzeki Wisłuchy, ale, niestety, nie zanotowałem autora, od którego nazwę tę wypisałem.

¹⁰⁰ Ks. Miezinis: *Słownik litewsko-łotewsko-polsko-rosyjski*, Tyża 1894. Nazwę Bugu związałybyśmy raczej z pierwiastkiem łotewsko-litewskim, od którego pochodzą takie wyrazy, jak: begis (litewski), begums (łotewski) oznaczające bieg, pęd wody.

¹⁰¹ Nimega, Niunega i inne. J. N. Smirnow, *Permiaki*, 101.

¹⁰² Co do nazw rzek w Małopolsce, niektóre z nich noszą piętno pochodzenia celtyckiego.

¹⁰³ J. Karłowicz, *Prace filol.*, I (1885). 165.

¹⁰⁴ Ważniejsze przyczynki: A. Małecki: *Lechici w świetle krytyki historycznej*, Lwów 1897; K. Potkański: *Lechowie i Lechici*, Rozpr. Ak. Um., wyd. fil., tom XII serji drugiej; Kunig: *Lechica*, Kw. Hist. 1900.

¹⁰⁵ Perwolf: *Slavische Völkernamen*, Arch. Slav. Phil., VII. 20; „Serbi znaczą w języku rzymskim: niewolnicy, skąd też serbulami zwyczaj nazywa obuwie niewolników“, Konstantyn Porfirogeneta, *Mon. Hist. Pol.*, I. 30.

¹⁰⁶ Sądząc z wyjaśnień w *Słowniku etymologicznym języka polskiego*, 485, A. Brückner zmienił swoje poglądy w tym względzie; obecnie zestawia te nazwy z pierwiastkami oznaczającymi pokrewieństwo (mleczne).

¹⁰⁷ A. Brückner, *Słownik etymologiczny*, 176; J. Lippert: *Sociale Gesch. Böhmens*, 39; według Konstantyna Porfirogenety jest to „lud, który posiada wielki kraj“, *Mon. Hist. Pol.*, I. 26.

¹⁰⁸ A. I. Saharow: *Jazyk krestijan Bolchowskago ujezda*, LXVIII. 68.

¹⁰⁹ Bartoś, II. 299.

¹¹⁰ W. Pol, II. 104.

¹¹¹ Amb. Grabowski: *Wspomnienia*, II. 360—361.

¹¹² O. Kolberg: *Krakowskie*, I. 75.

¹¹³ Witkiewicz, 198.

¹¹⁴ Z. Gloger: *Prace filol.*, IV. 837.

¹¹⁵ J. Karłowicz: *O imieniu Polaków i Polski* (Pam. fiz., I. 1881).

¹¹⁶ I. Naziwin: *Zapiski o rewolucji*, Wiedeń 1921, 43.

¹¹⁷ Castren, II. 469. Jeszcze w innym miejscu są na Syberji Polacy — w zachodnim podgórzu gór Ałtajskich. Polakami zowią tam starowierców. Ale źródło tej nazwy jest zupełnie inne: ci starowiercy żyli niegdyś w Polsce

i dopiero w w. XVIII (1763—1769) przenieśli się na Syberję, gdzie ludność miejscowa, od której mocno się przybysze wyodrębniają, nadała im nazwę Polaków, a nazwę tę przyjęli starowiercy. Liczba ich w r. 1897 wynosiła około 27 000 głów, M. Sz w j e c o w : *Polaki Zmieinogorskiego okruga* (Zapiski Zap. Sibirskiego Otdieła Imp. Russkiego Geogr.-Obszczestwa, zeszyt, XXVI, Omsk 1899). Pallas już w r. 1770 mówił o tych „polakach“.

¹¹⁸ J. Karłowicz, *Pam. fiz.*, II (1882).

¹¹⁹ A. Małeckki : *Lehici*, 36.

¹²⁰ K. Potkański : *Lehowie i Lehici*, 248—249.

JAN ST. BYSTRONŃ — WARSZAWA.

CZYNNIKI RASOWE W ŻYCIU LITERACKIEM

I.

Stwierdzamy różnorodność zainteresowań literackich i nierównomierną aktywność literacką w rozmaitych grupach społecznych (narodowych, regionalnych, klasowych, zawodowych i t. d.). Są grupy, bardzo istotnie czynne w tym zakresie, są inne, wśród których zainteresowania literackie są bardzo słabe; niektóre społeczeństwa mają wyraźne tendencje w kierunku tych czy innych rodzajów twórczości. Rozmaitość ta nie podlega wątpliwości; próbowano na ten temat teoretyzować, stwierdzano te różnice, wysnuwano wnioski co do charakteru narodowego, „duszy społecznej“ i t. d.

Nie chodzi nam tu oczywiście o mnożenie tych, licznych zresztą, charakterystyk twórczości literackiej poszczególnych grup; jest to zadanie opisowe, przyczem, zależnie od kierunku myśli i uczuć autora opis ten bywa najczęściej jednostronnie szkicowy, czasem nawet karykaturalny lub fantastyczny. Zagadnienie nasze sięga głębiej. Pytamy się: jakie są powody tej rozmaitości?

Odpowiedź wydaje się łatwa. Rzecz prosta, że na kierunek twórczości literackiej, jak zresztą wogóle na każdą twórczość, wpływają czynniki dwojakiego rodzaju: rozmaitość środowisk (naturalnego i społecznego), która wpływa na kształtowanie się różnorodności jednostek, tudzież zróżnicowanie ludzi co do ich niezmiennych, dziedzicznych cech. Ktoś zajmuje się literaturą dlatego, że ma wrodzone skłonności ku temu, ktoś inny znów uprawia dziedzinę literacką pod wpływem otoczenia. Najczęściej oczywiście mamy do czynienia z istotnym zespoleniem tych czynników; ktoś zajmuje się literaturą dlatego, że zarówno wrodzone skłonności, jak i warunki otoczenia

temu sprzyjają; niesposób kłaść wszystkiego na karb dziedzicznego zróżnicowania jednostek, ale też nie można wszystkiego tłumaczyć oddziaływaniem środowiska. Łatwa odpowiedź okazała się, jak zazwyczaj rzeczy zbyt łatwo nabyte, powiedzeniem bez większej wartości. Historycy literatury niejednokrotnie próbowali tłumaczyć takie czy inne właściwości charakteru i twórczości poszczególnych autorów przez dziedziczność lub wpływ otoczenia, oczywiście zupełnie dowolnie; są to najczęściej dorywcze i przypadkowe zbliżenia, nie poparte żadnym argumentem, mające w najlepszym razie wartość trafnej intuicji. Musimy jednak wyjść poza przypuszczenia i zgadywania.

Ale tutaj zaczynają się zaraz trudności, i to bardzo poważne. Wiemy, że mamy do czynienia z cechami wrodzonymi i nabytymi; z chwilą jednak, gdy próbujemy wyróżnić elementy dziedziczne od nabytych, zaczynają się piętrzyć coraz to nowe przeszkody. Przedewszystkiem, materiał obserwacyjny jest bardzo fragmentaryczny i powierzchowny; nawet biografje autorów, wydawałoby się bardzo szczegółowe, zawierają bardzo mało danych, któreby można ściśle badać dla naszych celów. Metody badawcze są jeszcze bardzo niedoskonałe i bardzo często jesteśmy zupełnie bezsilni wobec skomplikowanych zjawisk świata kultury. Brak wreszcie prac przygotowawczych; tematy te zaczęto podejmować dopiero bardzo niedawno i to przeważnie z powziętymi zgóry założeniami, niedającymi się teoretycznie uzasadnić.

Słowem, mamy do czynienia z materiałem luźnych, niewystarczających i niedokładnych obserwacyj, z niewyrobitymi jeszcze metodami, z dużym wkładem tendencji pozanaukowych w dotychczasowych pracach. Ale problemat jest jasny i bardzo ważny; spróbujemy więc, z wszelką ostrożnością, zagadnienie to podjąć.

II.

Przechodzimy do prób analizy kilku populacyj celem wskazania na ich zróżnicowanie rasowe i wpływ tej różnorodności na twórczość literacką.

Zaczynamy od Anglii: terytorjum to bardzo charakterystyczne, dość izolowane, znamienne przez występowanie dwu zasadniczych

elementów rasowych: wysokorosłego, długogłowego blondyna nordyjskiego i średniorosłego, długogłowego bruneta śródziemnomorskiego, którego Anglicy zwą zazwyczaj celtyckim (*celtic type*). Typy te bardzo łatwo wyróżnić; przeciętny blondyn będzie normalnie nordyjskim, brunet zaś celtykiem.

Do łatwo uchwytnych różnic fizycznych dołączają się również niemniej wyraźne odmienne cechy psychiczne: już zewnętrzna obserwacja np. ulicy londyńskiej pozwala nam poznać spokojną, powolną reakcję zrównoważonego blondyna i szybki odruch ruchliwego i niespokojnego bruneta. Havelock Ellis w świetnym studjum nad wielkimi ludźmi Anglii, *A study of British Genius*, stwierdza, że blondyn jest przeciętnie śmiały, energiczny, pracowity i władczy, podczas gdy brunet jest zrezygnowany, religijny, naśladowczy, zresztą bardzo inteligentny.¹ Oczywiście tak wyraźna różnica temperamentu zaznacza się wyraźnie w literaturze. Nordyjczycy są raczej naturalistami, konkretnie, jakby technicznie patrzącymi, Celtowie rasowi wnoszą tu większą wrażliwość, impulsywność, zadumę, zamiłowanie do tajemniczości, dekoratywnego przepychu.

Znamienne jest bogactwo i indywidualny artyzm dawnej literatury celtyckiej. Literatury celtyckie — wedle charakterystyki Czarnowskiego² — są znamienne różnorodnością i głębią przeżycia; mamy tu wyraźną skłonność do upajania się obrazem i dźwiękiem, do barwnego i plastycznego wizjonerstwa, wielką wrażliwość na piękno przyrody, mistrzostwo w odtwarzaniu uczuć religijnych i miłosnych, łatwość przejścia od świata rzeczywistego do bogatego świata fantazji.

Warunki polityczne i upadek wielkich niegdyś ośrodków kulturalnych doprowadza szybko do upadku literatur celtyckich; obszerne połacie ziem celtyckich podlegają anglicyzacji. Pozostała bogata i oryginalna twórczość ludowa, którą z końcem osiemnastego wieku spopularyzował Macpherson w *Pieśniach Ossjana*.

Anglicyzacja ziem celtyckich wprowadziła do społeczeństwa angielskiego znaczną ilość elementów rasowych celtyckich. Rzecz prosta, że element ten, tak w psychice odmienny od nordyjskich, musiał zaznaczyć swą odrębność także i w twórczości kulturalnej.³ Z okolic niegdyś celtyckich pochodził Szekspir; próbowano twórczość jego, tak daleką od nordyjskiego opanowania i zrównoważenia, tłumaczyć jego celtykiem pochodzeniem, podkreślano, że takie postaci jak Ham-

let czy Falstaff są bardzo typowo celtyckie. Z dawnego celtyckiego terytorjum pochodzą też autorowie tej miary i oryginalności, co Keats i Coleridge.

F. Grierson, autor studjum *The Celtic temperament* wskazuje na charakterystyczne cechy celtyckie, widoczne w twórczości literackiej: jest to żywa wyobraźnia, sentyment i nieokreślone poczucie poetyckiej tajemnicy. Styl autorów celtyckiego pochodzenia jest indywidualny i spontaniczny, gdyż melancholja i namiętność tworzą własne figury i symbole, nie uciekając się do naśladownictwa.⁴

Ciekawą jest rzeczą, że pogranicze antropologiczne nordyjsko-celtyckie zdaje się wykazywać wybitne tendencje artystyczne, zwłaszcza poetyckie.⁵ Granica walijska, *Welsh Border* jest ojczyzną Szekspira; stąd pochodzi też Fielding, sir Thomas Browne, Macaulay. Stwierdzenie tego faktu jest ważne; z podobnem zjawiskiem terytorjów granicznych spotkamy się jeszcze gdzieindziej, w Niemczech, we Włoszech, w Polsce.

Prócz tych zestawień, które zresztą mają charakter przypuszczeń i z natury rzeczy nie nadają się do ścisłego ujęcia, możemy jeszcze wskazać na inne fakty, potwierdzające odmienny kierunek zainteresowań obu ras. Tak np. uniwersytet w Cambridge, położony na terytorjum nordyjskiem jest najpoważniejszym centrum studjów przyrodniczych i matematycznych, podczas gdy Oxford, skupiający profesorów i młodzież z mieszanego rasowo terytorjum, jest tradycyjnym ośrodkiem nauk humanistycznych.⁶

Próbie stwierdzenia udziału obu ras w twórczości kulturalnej przedsięwziął Ellis, badając zewnętrzne cechy antropologiczne zasłużonych Anglików, których podobizny znajdują się w londyńskiej *National Portrait Gallery*.⁷ Materiał portretowy nie zawsze jest oczywiście pewny, ale w ogromnej większości wypadków nie mamy innej podstawy do określania przynależności rasowej tych osób, musimy więc, z wszelkimi zresztą zastrzeżeniami, korzystać z tych danych. Zresztą w stosunkach angielskich to określanie jest łatwe; w ogromnej większości wypadków blondyn jest nordyńczykiem, brunet zaś celtykiem, a nieznaczna ilość jednostek, reprezentujących inne typy rasowe, nie wpływa wydatniej na ogólny wynik. Ellis określił więc cały ten materiał, obejmujący niespełna tysiąc osób i ze-

stawił wedle rodzajów aktywności. Okazało się, że poszczególne rodzaje zawodów czy twórczości wykazywały bardzo rozmaity udział jasnych i ciemnych typów; wymieniamy tu szereg tych grup, ułożonych wedle zmniejszającego się udziału blondynów (liczby oznaczają indeks pigmentacji):

polityczni reformatorzy	233
marynarze	150
naukowcy	121
wojskowi	113
artyści (plastycy)	111
poeci	107
prawnicy	107
mężowie stanu	89
literaci	85
duchowni	58
aktorzy	33

Wyniki te są bardzo charakterystyczne. Okazuje się, że znaczną przewagę elementu nordyjskiego wykazują przywódcy polityczni, dalej wojsko i marynarka, także uczeni; literaci i duchowni mają większość elementu ciemnopigmentowanego, artyści sceniczni są prawie wyłącznie ciemni. Dość niespodziewany wydaje się znaczny udział nordyjczyków wśród poetów, zaznaczyć jednak należy, że są tu także poeci epiczni, dydaktyczni, i t. d., czasem poprostu pisarze, których wykształcenie klasyczne i moda ówczesna skłoniły do ujmowania swych myśli w formie wiązanej. Drobnny odsetek nordyjczyków wśród artystów scenicznych wydaje się zupełnie zrozumiały; przeciętny nordyjczyk niema talentu aktorskiego, niema zdolności wczuwania się w obcą psychikę, jest powolny i raczej niezgrabny na scenie.

III.

Przyglądając się rozmieszczeniu centrów aktywności literackiej na ziemiach polskich, stwierdzamy bez trudu zastanawiający fakt,

że ziemie zachodnio-północne, najwyżej pod względem kultury organizacyjnej i gospodarczej stojące, wykazujące najwyższy odsetek ludności z wykształceniem szkolnym, stoją pod względem kultury literackiej daleko niżej od ziem wschodnich, zwłaszcza zaś północno-wschodnich, pod tyłu znów innemi względami bez porównania niższemi. Znamienne jest rzeczą, że odwiecznie polskie ziemie, będące kolebką państwa, o rdzennie polskiej ludności, wydają mniej uzdolnionych twórców, aniżeli ziemie kresowe o mniejszości polskiej, częściowo nawet i nie tak dawno spolonizowanej, żyjącej w daleko trudniejszych warunkach gospodarczych i oświatowych. Dodać jeszcze można, że zjawisko to nie jest bynajmniej czemś ograniczonym do czasów dzisiejszych czy też ubiegłego wieku: w innych warunkach historycznych Wielkopolska i Pomorze czy północne Mazowsze były zawsze mało aktywne literacko, podczas gdy ziemie kresowe, nie podlegające jeszcze wpływowi łacińsko-polskiej kultury, miały bogatą literaturę ludową litewską czy ruską.

Rzut oka na mapę antropologiczną Polski nasuwa szybko przypuszczenie, że możemy tu mieć do czynienia z manifestacjami odmiennego podłoża rasowego ludności tych terytorjów. Północno-zachodnie ziemie, a więc Pomorze i większa część Wielkopolski, mają wyraźną przewagę elementu nordyjskiego, podczas gdy terytorja północnego wschodu są zamieszkałe przeważnie przez subnordyjczyków.

Różnice psychiczne tych ras są bardzo wyraźne. Możemy je stwierdzić już w zewnętrznej obserwacji; wiemy, że nordyjczyk jest bardziej opanowany, powoli reagujący, sumienny, subnordyjczyk zaś reaguje bardzo szybko, jest impulsywny, pospieszny, niedokładny, bardzo wrażliwy. Możemy dokładniej cechy te określić na podstawie danych eksperymentalnych. J a x a - B y k o w s k i przeprowadzał badania nad młodzieżą szkolną co do reakcji na współzawodnictwo,⁸ okazało się, że „zimni i wyrachowani“ nordyjczycy są mało wrażliwi na ten bodziec, podczas gdy subnordyjczycy „bujni, pewni siebie, pełni werwy i fantazji, lubiący się pokazać“, bardzo silnie nań reagują.

Jeszcze ciekawsze wyniki osiągnął S t u d e n c k i, który przeprowadził szczegółowe badania nad zróżnicowaniem psychicznym 105 osobników, dokładnie pod względem rasowym oznaczonych. Rezultaty cyfrowe tego badania są tak charakterystyczne, że należy je tu powtórzyć:⁹

	Żywość usposobienia %/o	Zmienność uczuciowa %/o	Lekko- myślność %/o	Towarzys- kość %/o	Impulsyw- ność %/o	Wrażliwość uczuciowa %/o	Opozycyj- ność %/o	Fantazja %/o	Opanowanie motoryczne %/o	Introwersja %/o	Depresyjność psychiczna %/o	Zwężenie pola świadomości %/o
Subnordycz.	35	36	27	36	11	20	44	15	18	15	15	15
Nordyczny .	15	16	8	8	0	8	23	8	46	30	48	55
Presłowiąń.	27	42	12	31	11	15	44	15	23	23	40	50
Dynarski .	66	30	12	20	?	11	70	11	11	0	33	33
Alpejski . .	45	27	22	22	?	?	?	33	18	11	45	33

Kontrasty typów nordyjskich i subnordyjskich występują tutaj nadzwyczaj wyraźnie; co do szeregu cech nordyjskich wykazuje największe procenty, podczas gdy subnordyjskich ma najniższe, i na odwrót. Tak więc (wedle Studenckiego) subnordyjski jest w porównaniu z innymi typami najbardziej lekkomyślny, impulsywny, wrażliwy, towarzyski, najmniej depresyjny, o rozległej skali przeżywania, czyli że jest najbardziej pogodny i duchowo rozwinięty. Nordyjski znów jest najbardziej ruchowo opanowany, depresyjny, zamknięty w sobie, o zwężonej świadomości, stały w uczuciach, wyraźny, uczuciowo opanowany i zimny, nietowarski, konserwatywny, melancholijny, wykazujący mało fantazji. Różnice te wskazują nam wyraźnie na odmienny kierunek aktywności kulturalnej tych typów: nordyjski będzie miał tendencje i najlepsze szanse w kierunku technicznym, racjonalistycznym, organizacyjnym, podczas gdy subnordyjski będzie szedł w kierunku humanistycznym i artystycznym. Różnicom w wynikach eksperymentalnego badania psychologicznego odpowiadają różnice w rozwoju i kierunku twórczości kulturalnej terytorjów o odmiennym składzie rasowym.

Słabszy udział ziem północno-zachodnich w pracy literackiej możemy również stwierdzić w ankiecie Związku Zawodowego Literatów Polskich. Na ogólną liczbę 192 odpowiedzi mamy tu tylko 7 literatów z b. zaboru pruskiego, a więc niespełna 4%, podczas gdy stosownie do ilości ludności polskiej należałoby oczekiwać 17,3%.¹⁰

IV.

Bardzo ciekawym terenem badań antropologicznych jest Ameryka. Wyraźnie występują tu różnice pomiędzy składem rasowym północnej, anglosaksońskiej, i południowej, łacińskiej Ameryki; niemniej wyraźnie śledzić tu możemy zmiany składu rasowego tych populacji w ciągu wieków. Różnice te wpływają bardzo istotnie na aktywność kulturalną, a więc i literacką tych krajów.

Przypatrzmy się zrazu Ameryce północnej. Ludność biała, napływająca tu w okresie t. zw. „kolonjalnym“, i później jeszcze przez kilka dziesięcioleci, pochodzi prawie wyłącznie z krajów północno-zachodniej Europy, a więc z wysp angielskich, Skandynawji, Holandji, częściowo także i z północnych Niemiec. Przypuszczać możemy, że bardzo silną większość ma w tej imigracji typ nordyjski, tak że populacja północno-amerykańska jest do połowy wieku XIX przeważnie nordyjska. Od połowy wieku zaczyna się wraz z szybkim rozwojem gospodarczym Stanów gwałtowny wzrost imigracji, pochodzącej w coraz to większej mierze z krajów południowej i wschodniej Europy; fakt ten wpływa na przesunięcie się składu rasowego populacji na niekorzyść nordyjczyków, zwłaszcza, że także przyrost naturalny ludności nordyjskiej jest daleko słabszy.

Oczywiście, nie jesteśmy w stanie zdać sobie dokładnie sprawy z tych przesunień, które zresztą nie ulegają wątpliwości. C. C. Brigham, w ciekawem studjum *A study of American Intelligence*, próbuje szacunkowo określić te zmiany, opierając się na założeniu (zresztą bardzo dowolnem), że Niemcy mają 40%, Francja 30%, a Polska 10% ludności nordyjskiej. Wedle tych obliczeń mamy w poszczególnych dziesięcioleciach taki skład rasowy imigracji białej (w procentach):¹¹

	Nordyjsczy	Alpejczy	Śródziemno- mocy	Inni i nieozna- czeni
1851—60	42,3	25,5	28,9	3,3
1861—70	50,6	26,0	19,2	4,2
1871—80	48,8	28,5	16,7	6,0
1881—90	46,1	35,2	16,0	2,7
1891—1900	30,2	43,8	22,5	3,5
1900—10	19,8	51,3	24,3	4,6

Widzimy tu, że dopływ ludności nordyjskiej, który przed siedemdziesięciu laty stanowił mniejwięcej połowę całej imigracji, stopniowo słabnie, spadając do piątej zaledwie części; ponad trzy czwarte imigracji w latach przedwojennych to alpejczycy i śródziemnomorcy.

Na tematy te niejednokrotnie rozprawiano i próbowano określać zmiany, które nastają w życiu i kulturze Stanów w związku z przegrupowaniem podłoża rasowego. *Brigham* stwierdza, że poziom intelektualny ludności amerykańskiej stale się obniża, zależnie od stopnia zmieszania rasowego.¹² *Madison Grant*¹³ głosi *finis Americae* w związku z mieszaniami się ras; Nowy York jest dlań *cloaca gentium* o ujemnej roli kulturalnej.

C. B. Davenport, rozpatrujący te zjawiska ze stanowiska eugeniki stwierdza, że ludność amerykańska staje się coraz ciemniej pigmentowana, coraz to niższa, bardziej skłonna do kradzieży, zabójstwa i przestępstw seksualnych, ale zarazem podkreśla, że taż sama mniej zrównoważona ludność jest bardziej uzdolniona artystycznie.¹⁴

Otóż o to właśnie nam chodzi: o stwierdzenie, że przesunięcia rasowe ludności Stanów wysuwają na pierwsze miejsce element bardziej od nordyjskiego uzdolniony artystycznie. Ożywienie się działalności artystycznej, zarówno muzycznej, jak plastycznej czy literackiej w Ameryce północnej w ostatnich kilkudziesięciu latach jest niewątpliwe: Stany Zjednoczone mają już dziś wielką sztukę, która służy nie tylko potrzebom ludności amerykańskiej, ale coraz to istotniej oddziałuje na życie artystyczne Europy. Na zjawisko to składają się niewątpliwie różne czynniki; możemy przypuszczać, że odmienny skład rasowy współczesnej ludności Stanów jest jednym z bardzo istotnych powodów tej zmiany.

V.

Japonja, choć przez długie wieki znajdowała się pod polityczną i kulturalną supremacją Chin, tworzy jednak literaturę o wyraźnie odrębnej fizjonomji. Możliwe tu widzieć oddziaływanie odmiennego podłoża rasowego: o ile Chiny w ogromnej większości zaludnione są przez element antropologiczny, określony w systematyce *Czekanowskiego*¹⁵ jako pacyficzny, o tyle Japonja wykazuje przewagę elementu paleoazjatyckiego, dość silnie na południu zmieszanego z pa-

cyficznym. Poszczególne składniki populacji japońskiej są nierównomiernie zainteresowane twórczością literacką. Ciekawe, choć na szczupłym materiale oparte badanie, rzucające ciekawe światło na nasze zagadnienie, dał Takeji Furukawa,¹⁶ stwierdzając związek pomiędzy grupą krwi a kierunkiem studjów. Otóż 280 uczenic seminarjum nauczycielskiego, specjalizujących się w pięciu oddziałach w różnych kierunkach, takie wykazują procenty grup krwi:

O d d z i a ł	Grupy krwi w ‰			
	O	B	A	AB
Gimnastyka	20,0	20,0	46,7	13,3
Nauki przyrodnicze	27,0	21,6	46,0	5,4
Gospodarstwo domowe	27,9	21,3	45,9	4,9
Japońskie i chińskie	29,4	29,4	32,3	8,8
Literatura	38,3	21,0	35,8	4,9

Widzimy więc wcale wyraźnie, że grupa O wykazuje znaczniejszą tendencję ku studjom filologicznym i literackim, grupa A ku zajęciom praktycznym i studjom przyrodniczym, grupa AB ma największą skłonność ku gimnastyce. Zaznaczyć należy, że mamy tu do czynienia z materiałem już starannie dobranym przez ściśle egzaminy wstępne; różnice te wystąpiłyby niewątpliwie daleko jaskrawiej, gdybyśmy mogli badania takie przeprowadzić na całej ludności. Z drugiej jednak strony dodać należy, że wybór zawodu czy kierunku studjów nie zależy wyłącznie od zamiłowań czy upodobań; nie jesteśmy oczywiście w stanie w poszczególnych wypadkach stwierdzić, jak silnie czynniki zewnętrzne mogły wpłynąć na przedstawiony powyżej stan cyfrowy.

VI.

Antropologowie, stwierdzający różnice psychiczne pomiędzy poszczególnymi rasami, naogół bardzo surowo oceniają ludność czarną. Murzyni wykazują bardzo niepomysłne testy inteligencji, niezdolni są do systematycznego wysiłku myślowego, są mało samodzielni, nie-

opanowani, niezdolni do pracy organizacyjnej i państwowej.¹⁷ Ale równocześnie także powszechna jest zgoda co do wybitnych uzdolnień murzynów w zakresie muzycznym, krasomówczym i lirycznym. „Jest coś istotnie szlachetnego w rasie, która okazuje tyle oryginalnych zdolności w zakresie muzyki“, pisze Davenport,¹⁸ profesor socjologii w Hamilton College, zresztą ostro oceniający negrów.

Wraz z uzdolnieniami muzycznymi stwierdzić można także i uzdolnienia liryczne. Literatury w wielkim stylu człowiek czarny nie stworzył; brakło po temu wytrwałości, ciągłości kultury, tradycji własnego piśmiennictwa. Twórczość literacka przejawiała się więc w bogatym folklorze murzyńskim, w pieśniach, przekazywanych pamięciowo lub też doraźnie tworzonych, w opowiadaniach, w przysłowia i żartach; folklor ten jest niejednokrotnie bogaty, ciekawy i artystycznie wartościowy. Zebrania towarzyskie, zwyczaje i obrzędy religijne dostarczały częstych i łatwych okazji do manifestowania tej spontanicznej twórczości; etnografowie stwierdzali niejednokrotnie żywołość tej twórczości, doraźnie powstającej. Ale brak ciągłości kulturalnej, zwłaszcza zaś nieznanomość pisma uniemożliwiały utrzymywanie się tych tworów przez czas dłuższy.*

Wcale ciekawie przedstawiają się losy twórczości literackiej wśród czarnych Stanów Zjednoczonych, posługujących się językiem angielskim w słowie, a także coraz częściej i w piśmie. Także i tu twórczość ta idzie w kierunku doraźnej, wybuchowej poezji lirycznej, przede wszystkim religijnej, tudzież w kierunku gwałtownej, namiętnej improwizacji kaznodziejskiej. Zebrania religijne czarnych chrześcijan Ameryki, znamienne przez silne natężenie sugestji zbiorowej, dochodzącej nieraz do stanów patologicznych, są wybornym terenem do manifestacji krasomówczych, deklamacyj i śpiewów. *Burghardt du Bois*, jeden z przywódców murzyńskich w Stanach, sam mulat, stwierdza, że w religii czarnego niewolnika trzy elementy występują na pierwszy plan: kaznodzieja, muzyka i szaleństwo.¹⁹ *Davenport* konstatuje, że najważniejszą dziedziną aktywności negrów

* Można tu dodać, że niektóre plemiona afrykańskie posługują się rozmaitymi pomocami pamięciowymi. Opowiadacze zachodnio-afrykańscy noszą ze sobą drobne przedmioty, drewniane czy metalowe, wyobrażające rozmaite osoby, zwierzęta, lub też poprostu węzły czy karby i przedmiot taki przypomina takiemu czarnemu rapsodowi odnośny wątek, niejednokrotnie wcale długi i skomplikowany. Zbiór takich drobiazgów jest jakby biblioteką klasyków literackich, czy raczej ich katalogiem.

amerykańskich jest religja, przyczem nadzwyczajna sugestywność czarnych sprawia, że każde zebranie religijne może przejść w formę psychozy zbiorowej.²⁰

Na takich to zebraniach powstają pieśni religijne o nadzwyczajnej sile wyrazu, z pierwotną plastyką, naiwne i potężne, wzruszające i rozrzewniające, znane pod nazwą *revellers*.

Czarni biorą też udział w twórczości literackiej anglo-amerykańskiej; poeci murzyńscy cieszą się uznaniem. Znamienną jest rzeczą, że z pośród tych, których murzyni wymieniają jako swoich wielkich ludzi, jeden jedyny, poeta Paul Lawrence Dunbar jest pełnej krwi czarnym, podczas gdy wszyscy inni są mieszańcami, czasem o bardzo nieznacznej ilości krwi murzyńskiej;²¹ widocznie więc tylko w zakresie liryki człowiek czarny zdolny jest osiągnąć wyższy poziom twórczości.

Spotykamy murzynów również w literaturze francuskiej; znany jest np. powieściopisarz René Maran, autor dzieł bez wewnętrznej zwartości konstrukcyjnej, ale plastycznych i zajmujących.

Francuska z języka jest również literatura murzynów i mulatów z Haiti, afektowana, wielkosłowna, pełna rozlewnego liryzmu; V. Hugo, Lamartine i Musset są wzorami tej literatury, tworzonych przez różnych czarnych Aleybjadesów i Tertuljanów (takie są ulubione imiona czarnych republikanów). Na pierwszy plan wysuwa się tutaj liczna plejada poetów, zajmujących najczęściej wygodne synekury rządowe. Historyk tej czarnej literatury, sam murzyn, V a v a l,²² z taką afekcją i egzaltacją przedstawia dzieje tej twórczości, że może służyć jako przykład rasowych uzdolnień literackich.

W literaturach europejskich spotykamy się z kilku autorami, mającymi w żyłach nieco krwi murzyńskiej; wśród nich znajduje się dwóch twórców światowej sławy. Aleksander Dumas (ojciec) był wnukiem napoleońskiego żołnierza, który na San Domingo ożenił się z murzynką; wedle terminologii amerykańskiej jest więc *quadroon*, ćwierćkrewi murzynem. Próbowano rozmach jego fantazji tłómaczyć tą właśnie genealogją. Wkład negroidalny, (widoczny zresztą na portretach) miał także i Puszkina, potomek afrykańczyka, który w służbie rosyjskiej doszedł stopnia generalskiego (t. zw. „Araba Piotra Wielkiego“).

*

Oto garść materiału i próba metodycznego postawienia zagadnienia. Widzimy, że od tej problematyki bardzo daleko do bojowej publicy-

styki rasowości! Ale podkreślić należy, że czynnik rasowy jest niewątpliwie bardzo istotny; przekreślenie deklamacyj i agitacyj rasistów nie oznacza bynajmniej niemożności zajmowania się naukowo zagadnieniami rasowości w życiu społecznym czy twórczości kulturalnej.

PRZYPISY

- ¹ H. Ellis, *A study of British Genius*. London 1927, str. 305.
- ² St. Czarnowski, *Literatury celtyckie*. Wielka literatura powszechna ilustrowana. Warszawa 1930, III. 6—9.
- ³ Ellis o. c., rozdział: *Celtic spirit in literature*.
- ⁴ F. Grierson, *The Celtic temperament*. London 1911, str. 36.
- ⁵ Ellis o. c., str. 47.
- ⁶ H. Onslow, *Fair and dark; is there a predominant type?* The Eugenic Review, XII. 214; Ellis o. c. 59.
- ⁷ Ellis o. c. 295 n.
- ⁸ L. Jaxa-Bykowski, *Badania eksperymentalne nad znaczeniem współzawodnictwa*, Warszawa 1923.
- ⁹ S. Studencki, *O typie psychofizycznym Polaka*. Poznań 1931 (odb. z „Kwartalnika psychologicznego II. 1931), str. 28 n.
- ¹⁰ *Życie i praca pisarza polskiego*. Na podstawie ankiety Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie. Warszawa 1932, str. 16.
- ¹¹ C. C. Brigham, *A study of American intelligence*. Princeton 1923, str. 163.
- ¹² Brigham o. c. 210.
- ¹³ M. Grant, *The passing of the great race*, New York 1916.
- ¹⁴ C. B. Davenport, *Heredity in relation to eugenics*. London 1912; str. 219.
- ¹⁵ J. Czekanowski, *Rasy i ludy*. Wielka Historia Powszechna, Warszawa 1931, tom I, str. 123; zob. też mapkę na str. 121.
- ¹⁶ Takeji Furukawa, *Die Erforschung der Temperamente mittels der experimentellen Blutgruppenforschung*. Zeitschrift für angewandte Psychologie XXXI, str. 296 n.
- ¹⁷ F. Lenz w dziele *Menschliche Erblchkeitslehre und Rassenhygiene*, München 1927, I. 324; E. B. Reuter, *The mulatto in the United States*, Boston 1918, str. 270.
- ¹⁸ F. M. Davenport, *Primitive traits in religious revival*, New York 1905, str. 59.
- ¹⁹ W. E. Burghardt Du Bois, *The souls of Black Folk*, London 1905, str. 190.
- ²⁰ Davenport, *Primitive traits*, str. 47—50.
- ²¹ Reuter o. c., zob. rozdziały *The leading men of the Negro Race; The history and biography of the Negro*.
- ²² D. Vaval, *La littérature haïtienne*, Paris 1911.

STEFAN CZARNOWSKI — WARSZAWA.

WARUNKI SPOŁECZNE ZMIANY ZNACZENIA SYMBOLÓW LITERACKICH

Spróbujmy poruszyć zagadnienie zmiany znaczenia symbolów literackich. Jest ono rozdziałem znacznie ogólniejszego zagadnienia konkretyzowania się i utrwalania wyobrażeń i myśli w postaci słów, dźwięków, barw, przedmiotów materialnych — słowem zagadnienia zbiorowo kształtującego się funkcjonowania myślenia i wogóle psychicznego życia ludzkiego. Wszak myślimy słowami, ściślej: zdaniami mowy; wszak barwy, kształty, różne w każdym społeczeństwie na każdym stopniu jego rozwoju rzeczy zmysłowe mają w temże społeczeństwie określoną wartość wzruszeniową, nie nadawaną im przez każdego z nas osobiście, lecz przez każdego uznawaną. Zagadnienie o granicach niezmiernie rozległych, płynnych, zawierające szereg jakości różnych: estetycznych, moralnych, gospodarczych, intelektualnych. Mieści się ono na pograniczu przynajmniej dwóch dyscyplin, socjologii i psychologii, a kto wie, czy rozważenie go w całej rozciągłości nie wymagałoby pociągnięcia do pomocy biologji. Nie zamierzamy podejmować się tego w krótkim artykule. Ograniczamy się do symbolów literackich, i to tylko do zagadnienia warunków społecznych w których następuje zmiana ich znaczenia. Niemniej, o owem szerszym zagadnieniu ogólnem pamiętamy, a stawiając naszą kwestję, mamy nadzieję zbliżyć się o mały krok do możliwości ujęcia go metodologicznie ścisłego.

I.

Ale co rozumiemy przez termin symbol literacki? Termin „symbol“ jest bowiem używany w znaczeniach różnych, nawet w odniesieniu tylko do utworów literackich i nawet, jeśli ograniczymy się do wzięcia pod uwagę już nie potocznego języka, ale naukowych teore-

tyków i historyków literatury. Właściwie zaś każdy wyraz języka ni-
czem innym nie jest, jak symbolem w rozumieniu dosłownym: σύμβολον
„współokruch“, rzecz, która istnieje niezależnie od określonej całości,
której jednak pojawienie się pociąga zawsze przypomnienie tejże
całości i która temsamem wystarcza, by całość reprezentować, jako
jej znak. Częstokroć zresztą będzie to rzecz — obojętne czy mater-
jalna, czy idealna — której wyobrażenie skojarzyło się na stałe
z określoną całością, tak, że można mówić z jednej strony o zrośnięciu
się, z drugiej o przeniesieniu istoty całości na jej symbol. Utracenie
sztyndaru pociąga rozwiązanie oddziału wojskowego, aczkolwiek
znak ten, choćby grał rolę taktyczną, nie jest przecież częścią pułku,
a tylko i wyłącznie właśnie znakiem. Nie inaczej z dzisiejszym sym-
bolem wartości gospodarczej, pieniądzem papierowym. Wiemy wszy-
scy z własnego doświadczenia, jakie perturbacje sprowadza zarówno
pomnożenie nadmierne jego obiegu, jak obiegu tego nadmierne po-
mniejszenie, zarówno inflacja, jak deflacja walutowa. Powracając do
naszej kwestji *symbolem literackim nazywać będziemy taki zwrot,
wyraz, formę, niekiedy imię własne bohatera, używany w utworach
piśmiennictwa lub tylko słownych, który, obok obrazu dosłownie
oznaczanego, wywołuje w odbiorcy obraz inny, względnie wywołuje
wzruszenie określonej jakości*. Przyczem zarówno ten drugi obraz,
jak wzruszenie, są u wszystkich odbiorców w pewnych granicach
jednakie — niezależnie od rodzaju ich indywidualnej receptywności,
— ustalone w obrębie danej kultury lub danych warstw. Jak wi-
dzimy określenie nasze obejmuje tę formę, którą przyjęto nazywać
przenośnią, równie dobrze, jak to wszystko, co teoretycy literatury na-
zywają poprostu symbolami, odróżniając je od przenośni w znaczeniu
ciaśniejszem.

Oto parę przykładów symbolów literackich w naszym rozumieniu:

Wyraz „sokół“ w języku polskim oznacza określonego ptaka dra-
pieżnego. Ale w tekście Wolskiego do utworu muzycznego Moniuszki,
gdy Halka śpiewa o kochanku „o mój sokole!“, termin „sokół“ nałado-
wany jest znaczeniem symbolicznem. Nie wchodzimy w to, czy źró-
dłem jest tu porównanie, czy nie. Dość, że Halka nazywa Janka
wprost „sokołem“ i że termin ten w słuchaczach wywołuje określone
wyobrażenia i wzruszenia, jakościowo różne od tych, które wywołuje
termin „sokół“ w czytelniku podręcznika ornitologii czy w słuchaczu
opowiadania myśliwskiego.

Drugi przykład. Wszyscy rozumiemy termin „lew“. Ale termin ten, obok znaczenia dosłownego, ma szereg znaczeń innych, moralnych. Zależnie od zwrotu lub od utworu, wymienienie lwa oznaczać może wspaniałomyślność, nieustraszoną odwagę, majestat. A oto, jaką naukę wysnuwa z lwa niejaki Filip z Thaon, „klecha“ wieku XII., który dla królowej Anglii Elianor Akwitańskiej ułożył wierszowaną encyklopedję wszechwiedzy o świecie nadziemskim i ziemkim. Lew, który

...at le vis herdu
 Gros le col et kernu
 Quaré le piz devant,
 Hardi e cumbatant
 Graille at le trait deriere...,

oznacza zespolenie w Chrystusie dwóch natur: boskiej, przodującej i potężnej, wyobrażonej przez „straszliwe oblicze, kark gruby i grzywiasty, kwadratowa pierś“ znamionującą „zuchwałość i wojowniczość“, oraz ludzkiej, równie mdłej, jak „słabym jest zad“ lwa. Ogon lwa jest znakiem, iż wszyscy podlegamy sądowi boskiemu. Filip z Thaon rozważa w dalszym ciągu właściwości lwa i jego obyczaje, by wysnuć z nich różne budujące „signefiances“ — jako to, że, gdy zamierza polować, zakreśla ogonem na ziemi krąg, z którego żadne zwierzę wyjść nie może: koło — to raj; ogon — to sprawiedliwość boska; zwierzęta — to my. Zaznaczamy, że Filip z Thaon, ubożuchny duchem klecha, nie dokonał wynalazku. Zarówno opis lwa, jak wiadomości o jego przedziwnych obyczajach zaczerpnął z wielu autorów. Zaznaczamy także, że przytoczona symbolika lwa powtarza się w szeregu późniejszych „Ymaiges du monde“ starofrancuskich, czy łacińskich „Imagines mundi“ aż do wieku XV włącznie, że następnie odnajdujemy jej okruchy w niwy naukowej literaturze wieków późniejszych, przeznaczonych dla szerokiego rzesz — np. w różnych „Oekonomikach ziemiańskich“, jak polskie dzieło Haura z końca wieku XVII, oraz w kalendarzach pouczających, jeszcze w wieku XVIII. Z drugiej strony symbolikę lwa, nie wyłączając interpretacji teologicznej, przejmują i rozwijają romans rycerski średniowieczny, zwłaszcza osnuty na t. zw. „matière de Bretagne“. Weźmy np. „Percevala“, albo bezimienną opowieść prozaiczną z pierwszych lat w. XIII o św. Graalu, nie mówiąc już o Chrestien de Troye i „Roman

de la Rose“. Odnajdziemy tam co krok naszego realno-symbolicznego lwa, obok szeregu gronostajów, chartów, orłów, obok kwiatów, drogich kamieni, kolorów, z których każdy gra rolę pełną znaczenia moralnego lub teologicznego, zgodną z przypisaną mu konwencjonalnie naturą. Każde z tych stworzeń i każdy z tych przedmiotów stanowią rzeczby można, wyrazy specjalnego słownika, zrozumiałego dla czytelników owych romansów, dla słuchaczy opowieści ludowych, niezrozumiałego już bez komentarza dla nas. Mamy tu do czynienia z typowymi symbolami literackimi w rozumieniu naszej definicji.

Jednocześnie przykłady te unaocniają nam, na czym polega zmiana znaczenia symbolów literackich. A także utrata przez nie znaczenia symbolicznego lub jego zachowanie. Albowiem, jeśli mrówka oznacza niekiedy dziś jeszcze zapobiegliwość i pracowitość, nie inaczej, niż u powołującego się w jej wypadku na Salomona, Filipa z Thaon, żadnemu autorowi nie przyjdzie dziś do głowy wymienić kamień „gagates“, jako otwierający zamki i rozplatający węzły, i przypuszczam, że żaden ze współczesnych włamywaczy nie próbuje używać owego kamienia zamiast wytrycha. Gagates używany jest w literaturze niezmiernie rzadko w znaczeniu symbolicznym, jednak zdarza się to, jak zdarza się wzmianka o djamencie, jako symbolizującym zarówno wiarę, jak niewinność, czystość i prawość. W literaturze i w mowie potocznej dzisiejszej ostatnie z tych znaczeń odebrały djamantowi kryształ i lza, inne znaczenia zatraciły się.

II.

Przytoczone przykłady pozwalają nam sformułować tezę następującą:

W rozwoju jednej kultury symbole literackie zmieniają swoje znaczenie — względnie zatracają wartość symboliczną — w zależności od zmiany warunków społecznych w czasie, rozumiejąc przez te ostatnie układ wszystkich rzeczy społecznych, równie dobrze idealnych, jak materialnych, któremi w danej chwili żyje grupa.

Weźmy przykład, który ułatwi nam sprecyzowanie naszej myśli.

Dość rozpowszechnionym symbolem literackim, zwłaszcza w poezji ludów zachodnio-europejskich jest kwitnąca jabłoń. We współczesnej poezji robotniczej niemieckiej pojawia się on jako obraz świetlanego piękna i powszechnego pogodnego szczęścia czasu, który

nastąpi po dokonaniu się wielkiej, wymarzonej przemiany socjalnej. Gdy np. u Petzolda czytamy:

Einmal werden sich die Tage ändern:
Leuchtend werden wie ein Baum im Frühling,

to, aczkolwiek gatunek drzewa nie jest wymieniony, rozpoznajemy bez trudu stary symbol jabłoni, znany nam dobrze zarówno z Eddy, jak przedewszystkiem z poezji i z opowieści Celtów. W samej rzeczy genealogja kwitnącego drzewa Petzolda prowadzi poprzez obrzędy majowe i poprzez związane z niemi pieśni ludowe o kwitnącej i jednocześnie owocującej jabłoni, aż do kultu skandynawskiej bogini Idun i jej nadreńskiego celtycko-germańskiego odpowiednika bogini Nehalenji, które strzegą jabłoni i jabłek, dającym bogom wieczną młodość i wieczne życie, oraz, po przerobieniu na jabłecznik, dającym upojenie nie tylko bogom, ale i wiernym, upodabniającym się do bogów. Z drugiej strony poprzez poezję zawodowych literatów i średniowiecznych klechów prowadzi ona do romansu średniowiecznego „bretońskiego“, do wczesnośredniowiecznej szkolarskiej poezji kimryckiej, by w końcu dotrzeć do staroceltyckich mitów kultowych. Trzecim źródłem odległym są niewątpliwie podania wschodnie o rajskiem Drzewie Życia, przekazane za pośrednictwem Biblii i Kościoła, ale także innemi drogami. Nie będziemy kusić się o odtworzenie tutaj tej skomplikowanej genealogji. Obchodzi nas w tej chwili jedynie, że owo Drzewo Życia, jabłoń kwitnąca i owocująca, jest wciąż żywa, jest rozumiana w opowieściach i pieśniach każdego czasu i każdego kraju przez tych, którzy pieśni te czy opowieści tworzą, opowiadają i śpiewają, jest przeto rzeczą społeczną w naszym rozumieniu. Ale jest rzeczą społeczną o treści każdorazowo różnej, aczkolwiek mimo różnic zachodzi między niemi bardzo ogólne, dość niejasne pokrewieństwo.

Kole mego ogródecka
Zakwitła mi jabłonecka...

powiada więc polska piosenka ludowa, niegdyś weselna, dziś śpiewana w różnych okolicznościach, także w środowiskach inteligentnych miejskich. Jabłonka oznaczała tu niegdyś dziewczynę miłowaną, o której posiadaniu marzy chłopiec. Jabłka, jak to widać z obrzędów weselnych, są tu symbolem dziewictwa panny młodej. Napewno

jednak nie interpretują naszej jabłonki jako symbolu erotycznego ci wszyscy, którzy uczą dzieci szkół powszechnych śpiewać piosenkę o jabłonce. Jabłonka spadła tutaj do roli etykiety, świadczącej o ludowym pochodzeniu piosenki. Jest już li tylko formalnym elementem „stylu ludowego“. Nastąpiło z nią to samo co z wielu elementami zdobnictwa plastycznego, niegdyś pełnymi znaczenia, dziś wyłącznie formalnymi, np. z przedstawianymi na fryzjach płasko-rzeźbionymi czaszkami byków, oraz girlandami. Oglądamy je na licznych budowlach w stylu t. zw. klasycznym, bez względu na przeznaczenie budynku. A przecież owe *bucrania* oznaczały niegdyś ofiary, zastępowały je symbolicznie. Były na miejscu na metopach świątyń, ale nigdy na frontonie giełdy, czy budynku maskującego zwykłą studnię, jak t. zw. okrągłak w parku Łazienkowskim.

Wróćmy jednak do kwitnącej jabłoni. W mitologii celtyckiej, znanej nam z opowieści irlandzkich, jest ona elementem istotnym przedstawienia Krainy Żyjących — *Tír innamBéo*, gdzie zamieszkują bogowie i gdzie zmarli czekający na nowe wcielenie spędzają czas w rozkoszy, spijając miód z potoków i piwo z deszczu, najadając się mięsem codziennie odradzających się wieprzy, ścigając się na wozach i na łodziach, tonąc w objęciach przepięknych kobiet — sami wiecznie młodzi, wiecznie zdrowi: nieśmiertelni, dzięki owocom rosnącej na środku wyspy wielkiej jabłoni o kryształowych kwiatach i złotych liściach, pełnej cudnie dzień i noc śpiewających ptaków. Jabłoń streszcza w sobie całą mistyczną moc życia dalekiej wyspy. Przepływał niegdyś około jej brzegów Mael Duin, irlandzki Odysseusz: otrzymał trzy jabłka od „Królowej Kobiet“ i te trzy jabłka starczyły za żywność dla niego i całej załogi na długie miesiące. Gdy zaś pojawi się przed bohaterem nieznaną niewiastą z Ziemi Nieznanej i potrząśnie przed nim melodyjną gałęzią cudownej jabłoni, bohater odpłynąć musi tam skąd się nie wraca: umiera. Jabłoń jest tu czemś więcej, niż tylko symbolem: wyobrażana jest jako istniejąca realnie i ma nawet swoje odpowiedniki w rzeczywistości zmysłowej. Każda *túath* irlandzka, t. j. każdy klan lokalny ma w miejscu zboru i kultu własne drzewo klanowe, z którego życiem związane są życie, trwanie, rozrost, potęga i wogóle pomyślność klanu. Drzewem tem jest zwykle jabłoń. Pełni ona funkcję realną: jest postacią, w której wyobrażana jest więź społeczna i jednocześnie jest symbolem, znakiem widowym grupy zasadniczej, którą w starożytnej Irlandji jest *túath*.

Inaczej w Walji wieku X. Najogólniejsze zasady ustroju społecznego są bardzo podobne do tego, co znajdujemy w Irlandji pogańskiej. Kimrowie żyją także w wielkich związkach pokrewieństwa, wewnętrznie zhierchizowanych, obejmujących zarówno panów, jak ich klientów. Ale obok tych szlacheśnych, szczyjących się swemi rodowodami i herbami *ceddl'ów*, ludność kraju obejmuje znaczną ilość plebejuszów, zaludniających wieś i będących bezpośrednio zależnymi od pana, którego nie są współrodowcami. Mamy obok siebie dwie hierarchie społeczne o wspólnym szczycie, którym jest wielki władca — król, podczas gdy w Irlandji *túath* obejmowała nieomal wszystkie, jeśli nie wszystkie funkcje życia społecznego. Wynika stąd różnica w położeniu i w funkcji zawodowego poety. Zarówno irlandzki *file*, jak walijski *bardd* są członkami krajowej korporacji zamkniętej. Ale *file* z czasów wczesnych jest w wyższym stopniu członkiem bractwa i poetą klanowym, *bardd* zaś jest przede wszystkim nadwornym poetą królewskim lub wielkopańskim. Odbija się to na jego utworach, przeznaczonych przede wszystkim dla audytorjów, lubujących się w wyrafinowanej formie, ceniących uczoność i nawet zawilość, której rozumienie odróżnia dworaka od człowieka z gminu, choćby z gminu herbownego. Jest pozatem między Walją wieku X, a Irlandją IV jeszcze jedna, bodajże najważniejsza różnica. Walja jest wówczas od dawna krajem głęboko chrześcijańskim i ostoją wiary chrześcijańskiej przeciwko do niedawna pogańskim Anglom i Sasom, którzy są jednocześnie jej odwiecznymi wrogami etnicznymi. Sześć wieków mija od czasu, jak bandy Hengista i Horsy rozpoczęły tępienie chrześcijańskich Celtów na całej przestrzeni od Kentu do Severn, cztery od czasów jak legendarny król Artur wstrzymał nawałę. A ten bohater narodowy jest przecież jednocześnie bohaterem chrześcijańskim: wszak, zanim Sasom wydał bitwę na górze Badon, krzyż drewniany ogromny i ciężki dobę całą obnosił na ramionach wkoło wojska, wzorem Jezusa niosącego krzyż własny na Golgotę. Nie dziw więc, że w Walji Kościół stał się organizacją duchowego życia narodu i że twórczość poetycka, o ile nie sprowadza się do wierszowanych genealogij lub panegiryków, stoi pod znakiem pojęć i wyobrażeń chrześcijańskich, a przynajmniej przeniknięta jest chrześcijańskim mistycyzmem.

Nie zniknęły z niej jednak ani Wyspa Jabłoni, ani sama jabłoń. Ale, straciwszy treść realną wraz z zanikiem pogaństwa i druidycz-

nego kultu drzew klanowych, stały się czystymi symbolami literackimi o wybitnym charakterze mistycznym i poczęści mesjanistycznym. Siedzibę jabłoni odnajdujemy w późniejszej opowieści o św. Graalu. Jest nią *Avalon* — dosłownie „Jabłonowo“, w którym żyją nabożni anachoreci i skąd już blisko bardzo do raju. Jabłoń zaś jest stałym tematem całej klasy utworów poetyckich, przypisywanych tradycyjnie Myrddinowi, t. j. Merlinowi, legendarnemu poecie wieku V, niewątpliwie jednak młodszych o blisko pięćset lat. Utwory te, to t. zw. *Avallenau*, t. zn. „Jabłonie“.

Biorę za przykład jeden z tych poemacików. Poeta wkracza do gęstego i ciemnego lasu, w którym gdzieś w ukryciu rośnie kwitnąca jabłoń dzika. Obraz jej zrazu niejasny, raczej przeczuwany, niż dostrzegany, zarysowuje się coraz wyraźniej w miarę, jak strofa następuje po strofie; aż wreszcie świetność okrytego kwieciami drzewa objawia się w pełnym blasku poecie, dążącemu przez ciernie i haszcze do ożywczej prawdy boskiej. Wizja kwitnącej jabłoni jest tu symbolem objawienia, a sama jabłoń okryta blaskiem śnieżnego kwiecia symbolizuje prawdę boską i prawdy tej triumf — prawdy, która jest jedynym źródłem poetyckiego natchnienia.

Pokrewieństwo symbolizowanej treści z tą, która się wiąże z obrazem jabłoni u Petzolda, wydaje nam się niewątpliwe. Niemniej niewątpliwymi są różnice. Objawienie „dni odmienionych“, dni nowych, dni, jakich jeszcze nigdy nie bywało, nie obejmuje w utworze Petzolda jedynie życiodajnej prawdy duchowej, prawdy religijnej i moralnej, ale jest objawieniem nowego porządku społecznego, w którym właśnie przez ten nowy porządek dobroć, miłość i szczęście staną się udziałem każdego. Porządek, w którym „Bóg stać będzie na każdym rozdrożu i z każdego serca czerpać będzie dobroć“ — Bóg ludziom bliski i miłością wzajemną ludzi uzasadniony. Porządek w którym nie znikną pożądanja, ale każde pożądanje będzie zaspokojone — przede wszystkim pożądanje intelektualne i estetyczne: „wszystko co przedziwne i cudne będzie nam dostępne“ i nie będzie niepoznawalnych tajemnic. Porządek wymarzony przez poetę współczesnego wielkoprzemysłowego proletariatu, wyzutego i gnębionego, pracującego, walczącego i karmiącego się wizją świetlanej przyszłości po osiągnięciu zwycięstwa.

A wreszcie jabłoń pieśni i obrzędów ludowych, ta „jabłonecka“ co wyrosła „kole mego ogródka“. Odnajdujemy ją, jak wyżej

wzmiankowano, w pieśniach obrzędów wiosennych, podczas których zdoła się maik przywieziony z lasu papierowymi kwiatami i obwiesza przechowanymi z jesieni jabłuskami. Pod tym maikiem, palonym w ofierze, wcieleniem nowej wiosny i rozpoczynającego się od niej roku, intronizuje się „Króla majowego“, i celebryje się zaślubiny jego z „Królową majową“ — *Queen of May*, sławi się „Majową Piękność“ — *la Belle de Mai*. Często bardzo para ta spożyć winna po połowie jednego jabłka. Wiadomo zaś od czasów Mannhardta i Fradera, iż hierogamia tych postaci wyobrażana jest jako mająca wpływ na płodność roślinności, zwierząt i ludzi i że obrzędowe orgje płciowe ogólnie kończą często uroczystość maika. Z drugiej strony, każdy, kto studiował wieśniacze obrzędy i pieśni weselne, wie, jak wiele wspólnego mają one z obrzędem zaślubin postaci dramatu majowego, i że z faktem *consummationis matrimonii* skojarzone są wyobrażenia o płodności roli i inwentarza żywego. Weselna różga zaś, różga niby to przyniesiona z niedostępnej części lasu przez druhnę i wręczona panu młodemu, symbol dziewictwa panny młodej, przyszłej żony, matki i gospodyni, obwieszona jest jabłuskami — jest charakteryzowana na gałąź jabłoni. W tem środowisku żyjącem, z uprawy roślin użytkowych, którem jest środowisko chłopskie, w warstwie mówiącej o ziemi jako o matce, lub — jak u Czuwaszów — wyobrażającej sobie ziemię jako kobietę pożądaną połączenia z ludzkim małżonkiem, by stać się płodną, — nie dziw, że w warstwie tej jabłoni stała się w pieśni symbolem pięknej, pożądanej dziewczyny, a zerwanie jabłek symbolem jej posiadania.

III.

Potem, co powiedziane, możemy sformułować tezę drugą:

Symbol literacki zmienia znaczenie, a przynajmniej znaczenia tego odcień, ilekroć przechodzi od jednej grupy do grupy innej w obrębie tej samej kultury.

Przykładów wymownych dostarcza współczesna literatura europejska, z jednej strony mieszczańsko-inteligencka, z drugiej robotnicza, którą, specjalnie w Niemczech, przestudjował Falk. Poszukując w niej zresztą występowania momentu religijnego, ukazał wyraźnie to, co zamierzeniem jego nie było i czego przeważnie nie formułuje, mianowicie, że poezja robotnicza niemiecka czerpie pełną ręką z re-

kwizytorni symbolów literackich tradycyjnych, ale nadaje im znaczenie nowe i hierarchizuje je swoście. A więc tęcza w wierszu Schönherra *Die heilige Brücke* symbolizuje solidarność ludzi pracy. W całym szeregu utworów nabożeństwo, modlitwa, obrzęd kojarzą się z wyobrażeniem pracy przemysłowej, wykonywanej przez robotników. I tak w jednym z wierszy Ardelta czytamy: o „kominach, skamieniałych módlcach, wyciągających ramiona ku niebu“ w błagalnym geście o łaskę dla tych:

...die in Zechen und Fabriken
in Werkstätten und Kantoren
den Domen der heiligen Arbeit
priesterlich darbringen das Opfer der Pflicht.

A wymowniejszem jeszcze od zacytowanego ustępu jest zakończenie wiersza:

Mächtig brausen die Orgeln der Maschinen
jauchzen Sirenen ihr Gloria.
Und Lärmen und Fauchen
und Stampfen und Knirschen,
der ganze rauschende Rhythmus der Arbeit
ist ein einziges Tedeum
nimmer endend bei Tag und bei Nacht.

W przytoczonym wierszu Ardelta praca upodobniona jest do nabożeństwa. Odwrotnie, w wielu utworach zwroty i terminy takie, jak „modlitwa“, „hymn“, „czynność święta“ czy „zbożna“, odnoszą się do pracy i tylko do pracy. Świętość jest cechą ziemskiego, ludzkiego świata, w tej mierze, w jakiej świat ten wysiłkiem mięśni i pracą maszyn wydobywa na jaw drzemiące w materji kształty, co wyczerpuje wyobrażenie tworzenia. Świętość jest przeto udziałem każdego robotnika; jest także udziałem maszyny. Bóg nie jest istotą zaziemską w tej poezji, ale symbolem potęgi twórczej, wcielonej w klasę robotniczą i manifestującej się klasy tej pracą. Naodwrot, wyraz „robotnik“ oznacza często Boga, rozumianego jako Demiurga.

Bardzo wyraźnie, jak to zresztą podkreślił Falk, występuje różnica w użyciu jako symbolu terminu „brat“ i „towarzysz“. Ze drugi z tych wyrazów nabral znaczenia symbolicznego w środowiskach socjalistycznych, wiadomo dobrze. Odsyłamy tu czytelnika do Hendrika de Mana. „Bratem“ zaś jest w poezji robotniczej przede wszystkim

nie człowiek jednej z nim krwi, ani „człowiek“ poprostu, ale człowiek rozumiany jako „syn ziemi matki“, w pierwszym jednak rzędzie towarzysz pracy, uczestnik wspólnego znoju i wspólnej walki, słowem członek klasy pracującej. Niezmiernie rzadko z terminem „bracia“ kojarzy się wyobrażenie wspólnego pochodzenia od Boga; jeszcze rzadziej wyobrażenie współdziałania w dziele odkupienia przez Chrystusa. Natomiast często, można nawet powiedzieć, że w przeważającej liczbie wypadków, „braćmi“ nazywani są ci, których dziełem własnym będzie przyszłe odkupienie z niewoli kapitalistycznej. Nie są więc braćmi wszyscy ludzie jako tacy. Nie znalazłem przynajmniej ani jednego utworu proletarjackiego, w którymby autor obejmował także posiadających i ciemniźcyce terminem „bracia“.

Bardzo wiele zaś symboli literackich, które są w powszechnym użyciu w literaturze europejskiej, znanej napewno poetom robotniczym, choćby ze szkoły powszechnej, z wypożyczalni książek i z gazet, nie weszło w użycie w literaturze robotniczej. Znaczenie symboliczne terminów nie zdołało przekroczyć granicy, dzielącej klasę robotniczą od drobnomieszczańskiej inteligencji i od burżuazji. Nie będziemy wyliczali ich tu. Wystarczy wskazać jeden przykład: w całej znanej mi poezji erotycznej, której autorami są autentyczni robotnicy wielkoprzemysłowi, nie występuje ani razu oklepany, przez nieomal każdego piszącego wiersze piątoklasistę używany symbol anioła dla oznaczenia umiłowanej — pięknej, dobrej, łagodnej. Nie zdarza się też, by liryk robotniczy zwracając się do ukochanej, wołał: „królowo moja!“ Co również znamienne, ogromna większość symbolów literackich, ustalonych w poezji ludowej wieśniaczej i w rzemieślniczych pieśniach towarzyszących pracy, zatrzymała się także na granicy nowoczesnego proletariatu wielkoprzemysłowego. Możemy tedy sformułować trzecią tezę:

Granica, w której obrębie symbol literacki zachowuje znaczenie niezmiennione, jest granica grupy, względnie — jak zobaczymy dalej — granica kultury, zarówno w czasie jak w przestrzeni.

IV.

Była już mowa o czasie. Przejdźmy więc do granicy przestrzennej. Kultura jest faktem geograficznym, obejmuje w danej chwili historycznej określony obszar, którego mieszkańcy, należący pozatem do grup

różnych pod względem rasowym, językowym, wogóle etnicznym, żyją jednak pewnym wspólnym dorobkiem materialnym i duchowym, niezależnie od gwałtownych częstokroć przeciwieństw ich dążeń politycznych i gospodarczych. Znamy szereg takich kultur, jako to kulturę północnego Pacyfiku, która obejmowała zarówno ludy dzisiejszej Kolumbji Brytyjskiej, jak wybrzeży i zwłaszcza wysp Azji wschodniej; kulturę Pacyfiku południowego, która od Oceanji rozszerzała się, być może, aż na wybrzeża dzisiejszego Peru i Chile; kulturę Ameryki środkowej, kulturę ludów Bantu w Afryce, kulturę chińską, która rozszerzając się z dolin rzek Niebieskiej i Żółtej, zjednoczyła ludy Dalekiego Wschodu azjatyckiego, zanim objęte one zostały ramami wspólnej organizacji państwowej. W obrębie każdego takiego wielkiego „kręgu kulturowego“ — że zastosujemy tu termin używany przez etnologów w odniesieniu do ściśle określonych elementów kultury — rozwija się twórczość słowna, która, aczkolwiek jej narzędziem są języki różne, częstokroć bardzo różne — czerpie ze wspólnego zasobu wyobrażeń, wątków, form literackich i literackich symboli. Geneza tego zasobu, lub jego części, bywa różna. Źródłem może tu być jakaś przez wszystkie grupy uznana za świętą, za objawioną księgą, jak Koran w kulturze Islamu, jak Biblia w kulturze judeo-chrześcijańskiej. Albo jakiś *corpus* maksym życiowych i filozoficznych, jak pisma Konfucjusza w Chinach; jakaś literatura, przejęta w spadku po kulturze minionej, jak w dzisiejszej kulturze europejskiej literatura grecka i rzymska. W tych wypadkach cała symbolistyka literacka owej księgi, czy owych pism bywa przejmowana wraz z jej znaczeniem, zmieniającem się już tylko w czasie, przez literatury ludów, objętych danym kręgiem kulturowym; i gra w literaturach tych rolę tem większą, im bardziej ta czy inna grupa czci swoją świętą księgę, rozczytuje się w niej i im bardziej ta księga jest sama symbolem adekwatnym jej więzi społecznej. Wystarczy przypomnieć taką np. twórczość purytańskich poetów angielskich i szkockich wieku XVII, albo poemat Milтона, aby zdać sobie sprawę z tego, jak na utworach tych zaciążyło codzienne rozczytywanie się w Biblii i jak dalece autorzy z Biblii zapożyczają używane przez siebie symbole literackie. Aczkolwiek, stwierdźmy to zaraz, nadają znaczeniu tych symbolów zabarwienie nowe, wynikłe z przetrawiania Biblii nie przez starożytno-izraelskie, ale purytańskie umysły. Że „sługa Beliala“ symbolizuje wroga Jehowy — to z Biblii; ale, że ten wróg

jest wyobrażany jako członek Kościoła anglikańskiego, albo jako „kawaler“ — to purytanizm.

Są jednak i inne wypadki. Wspólny zasób symbolów literackich, tak samo jak zasób wątków, powstać może w drodze międzygrupowej wymiany i międzygrupowego współdziałania, niejako na pograniczu pomiędzy poszczególnymi literaturami narodowymi czy etnicznymi. Takim symbolem wydaje się być postać teściowej, tak popularna w literaturze humorystycznej i satyrycznej wszystkich narodów, należących do naszego kręgu kultury; albo wyrażenie „gaska“, symbolizujące rzekomą naiwną głupotę młodej panienci; albo postać „silnego człowieka“, który nosi imiona rozmaite: Gilgamesz, Samson, Herakles, Thorr, u Gallów Esus, w opowieściach ludowych niemieckich *Der starke Mann*, w polskich *Toczygroszek*, albo *Żelazna Pałka*, u Józefa Conrada *Gaspar Ruis*. Wiemy dobrze, że wątki, które złożyły się na opowieść o tej postaci, wytworzyły się w Azji Przedniej. Niemniej dzisiejsze znaczenie tej postaci ustalone zostało w drodze współdziałania wszystkich tych ludów, do których w formie co raz to bardziej zmienianej dotarł wątek Gilgamesza — Samsona — Heraklesa, — bohatera, który symbolizuje połączenie brutalnej siły fizycznej i brutalnych apetytów cielesnych z ograniczonością umysłową, z niewyczerpaną poczciwością, z miękkością serca, z zupełną niezdolnością do bronienia się przed wyzyskiem i ze słabością w stosunku do przebiegłej kochanki, Omfali, Dalili, czy inne imię noszącej, zależnie od kraju i autora.

Jakkolwiek jest, symbol przestaje być rozumiany w obcym kręgu kulturowym, albo, co na jedno wychodzi, rozumiany bywa opacznie. Pozwalam sobie przynajmniej wątpić, czy nazwanie „słoniem“ pięknego, młodego księcia, budzącego zachwyt i miłość wśród wszystkich kobiet, rozumiane byłoby przez nas, jako znaczące, że z wymienionymi cechami cielesnymi łączy się w bohaterze powaga, przezorność, mądrość? Tymczasem słon jest w literaturze Indji właśnie symbolem często używanym tych zalet umysłu i charakteru. Czyż okrzyk „wspaniałyś jak niedźwiedź“, „jesteś niedźwiedziem“ kojarzy się u nas z wyobrażeniem majestatu królewskiego, odwagi nieustraszonej, wspaniałomyślności? W dzisiejszych naszych literaturach symbolem zwierzęcym ogólnie rozumianym jest w tym wypadku lew. Ale Skandynawowie nie znali lwa, znali natomiast niedźwiedzia: *Björn* było u nich przez czas długi imieniem królewskim, a i dziś jeszcze

uważane jest za imię własne bardzo piękne, bynajmniej nie kojarzące się z wyobrażeniem ociężałości i niezgrabności niedźwiedzia.

V.

Granice, w których znaczenie symbolu literackiego jest rozumiane, bywają jednak częstokroć znacznie ciaśniejsze, niż granice kręgu kulturowego. Wyrazy, zwroty, zestawienia, postacie podnoszone są do godności symbolów literackich przez szkoły, kościoły, ekskluzywistyczne korporacje, przez grupy dworzan — przez wszelkiego rodzaju „oligarchje“ i „elity“. Weźmy jako przykład dwie chińskie piosenki przytoczone przez Marcela Granet, wraz z okolicznościami, które towarzyszyły ich śpiewaniu. Przytaczamy tekst Graneta:

„Życie dworskie upływa na ceremonjach i na przemowach; ale ze wszystkich rodzajów zawodów turnieje oratorskie wydają się najbogatsze w skutki: są to zresztą turnieje śpiewane. W roku 545 (przed Chr.) władca Tcheng przyjął na ucztę Tchao Mong'a, potężnego pana kraju Tsin, w którego (Tchao) łaski wejść chciał Tcheng. Władca Tcheng otoczony był największymi z panów swego dworu. Tchao Mong wezwał ich do śpiewania „aby uzupełnić łaskę okazaną... a także by okazać mu ich uczucia“. W samej rzeczy, wszyscy obnażyli swoje dusze, bynajmniej nie układając wierszy nowych, ale dostosowując wybrane wiersze z *Che King* do uroczystości tak, że każdy śpiewak nadawał piosence ukryty sens intonacją głosu. Po każdej piosence Tchao Mong odpowiadał krótkim komentarzem, w którym zawierał swoją własną, osobistą wykładnię tych wierszowanych hołdów. Pierwszym powołanym do złożenia czci był Tsen-tchan, główny lennik Tchenga. Zaśpiewał:

„Świerszcz na łąkach śpiewa,
A świerszcz na wzgórzach skacze
Za nim pana mego ujrzę,
Serce moje, o! skacze w niepokoju.
Lecz gdy tylko ujrzę go,
Gdy tylko zjednoczę się z nim,
Serce moje dozna pokoju.“

Jest to piosenka miłosna. Ale rozumieć należy ją jak następuje: Tcheng pragnie zjednoczyć się z Tsin na pierwsze wezwanie tego bo-

gatego kraju, którym ty, o panie, rządysz i którego urok wzrusza moje serce. Tchao Mong odpowiada: „Zaiste doskonale! Chodzi tu jednak o władcę (godnego rządzić) państwem; co do mnie nie mam napewno zalet dorównywających mu“, to znaczy: przyjmuję twą pochwałę mego kraju, nie przyjmuję o ile chodzi o moją osobę. Po-yeou, potężny pan wysoko skoligacony, trochę warchoł, zaśpiewał:

Przepiórki chodzą parami,
A sroki chodzą po dwie.
Z człowieka niedobrego
Czyż uczynię sobie brata?
Sroki chodzą po dwie,
A przepiórki chodzą parami

Człowieka niedobrego,
Czyż uznam za pana?

Jest to także piosenka miłosna. Po-yeou uważa... że wskazaniem jest dobrać sobie odpowiednią parę, t. zn. „Wszystko co powiedzieć mogę urzędowo jest, że spodziewam się iż przymierze pomiędzy Tsin i Tcheng... jest wskazane, ale sensem ukrytym mojej piosenki — o ile zechcesz zawrzeć ze mną umowę tajną — jest, że Tcheng rządzony jest przez ludzi niecnolliwych, których władzy nie uznaję“. Ale Tchao-Mong, który niema zaufania do intryg Po-yeou odpowiada: „Cokolwiek dotyczy spraw płciowych winno nie przekraczać progu (apartamentów prywatnych), a tembardziej w czystym polu. Oto rzeczy, których nikt słuchać nie może,“ t. zn. „nie chcę słuchać, nie życząc sobie być podejrzanym o rozumienie twoich aluzyj“... (Następują piosenki szeregu innych lenników, poczem) turniej się zakończył; obecni obliczyli punkty; zasługi można było sklasyfikować i określić losy. (Oto orzeczenie): „Po-yeou zostanie stracony w sposób hańbiący. W pieśniach wypowiadają się uczucia duszy. Jego uczucie (pchnęło go) do oczerniania swego władcy... Rody sześciu innych śpiewaków, których dusze okazały się lojalne, będą kwitły w ciągu długiego szeregu pokoleń, a ród Tsen-Tchana, który śpiewając okazał się roztropnym ministrem, wymrze ostatni. Tsen-Tchan stał najwyższej, lecz umiał się ukorzyć“...

Przyznać trzeba, że gdyby nie komentarz *Tso tchowan'u*, przelożony przez Granet'a, i gdyby nie tegoż Graneta komentarze własne,

trudnoby nam było zrozumieć ukryty sens piosenek, składanych w hołdzie Tchen'owi przez jego dworzan. Stare piosenki miłosne nabrały znaczenia symbolicznego w warunkach ceremonijalnego życia feudalnych dworów chińskich, znaczenia zresztą zmiennego, zależnie od okoliczności chwilowych. Podobnie po dworach feudalnych i w środowisku wyrafinowanej i literacko wykształconej arystokracji miejskiej w Prowansji i we Włoszech końca wieku XIII i początku XIV wiersze miłosne poetów mają sens ukryty, rozumiały tylko dla wtajemniczonych uczestników *cours d'amour*, obok sensu dosłownego. Weźmy np. sonety i *canzoni*, wchodzące w skład dantejskiej *Vita Nuova*: nie domyślilibyśmy się ich znaczenia symbolicznego, uważanego przez poetę za ważniejszy od dosłownego, gdyby nie dał on nam komentarza do swych utworów wierszowanych w prozaicznej części tego pamiętnika miłości Danta do Beatryczy, gdybyśmy z tego tekstu charakteru narracyjnego nie widzieli, jak dalece obraz kochanki, jak obraz miłości przesiąknięty jest w wierszach spekulacją, w którą wchodzące obok siebie elementy uczuciowe, filozoficzne i teologiczne. Przecież podział *canzone'y* zaczynający się od słów:

„Gli occhi dolenti per pietà del core“

na trzy części, które w dalszym ciągu dzielą się znów na trzy części krótsze — podział podkreślony przez samego poetę w komentarzu — jest symbolem Beatryczy, której liczbą była dziewiątka. Co więcej, dowiadujemy się od Danta, że:

„...zgodnie z Prawdą nieomylną liczba ta była nią samą, przez podobieństwo; a rozumiem to jak następuje: liczba trzy jest źródłem dziewiątki, albowiem bez pomocy żadnej innej liczby sama z siebie czyni dziewięć. Jakoż widzimy w sposób oczywisty, że trzy razy trzy czyni dziewięć. Przeto, jeśli trzy jest samo z siebie przyczyną dziewięciu i jeśli samo przez się przyczyną cudów jest trzy, mianowicie Ojciec, Syn i Duch Święty, którzy są trzy i jedno, to rozumiem należy, że tę panią, jako będącą skojarzoną z liczbą dziewięć, rozumiem należy jako dziewiątkę, to jest cud, których to cudów źródłem wszak jest jedynie przedziwna Trójca.“

Niemniej szkolarsko-dwornym, wyspekulowanym symbolem okazuje się sama Beatrycze. Była ona kobietą z krwi i kości i jako taka występuje w *Vita Nuova*. Ale obok tego wciela miłość, nie wyłącznie

ziemską, ale przede wszystkim miłość, wznoszącą człowieka ku Bogu, i jednocześnie miłość, będącą Boga atrybutem i narzędziem Jego łaski.

Era venuta nella mente mia
 La gentil donna, che per suo valore
 Fu posta dall' altissimo Signore
 Nel ciel dell' umiltate, ov'è Maria,

powiada o Beatryczy poeta w jednym z sonetów w *Vita Nuova*, a w *Boskiej Komedji* Beatrycze jest tą, która go wita na progu Raju, jako wystanniczka Marji, szafarka Jej łask i, rzeczy można, odbicie Marji miłościwej.

Coprawda Beatrycze jest pierwotnie postacią specyficznie dantejską. Ale wprowadził ją Dant do literatury powszechnej, jako symbol przedmiotu miłości idealnej, przedmiotu ubóstwienia i jednocześnie jako symbol źródła natchnienia i łaski. Ma Beatrycze swoje młodsze siostry: taką jest mniej niebiańska, ale również idealnie miłowana Laura z sonetów Petrarcki. Jeśli zaś zwrócimy się do utworów prowansalskich trubadurów, jeśli dokonamy przeglądu „Królowych Miłości“ prezydujących na *cours d'amour*, nie tych, któremi były rzeczywiście, ale takich, jakimi są sławione przez poetów, to stwierdzamy, że Beatrycze, Laura i tyle innych nieprzeliczonych powstały w atmosferze środowisk, uprawiających ową dworną sztukę, nazywaną *amour courtois*, *amor cortese*. Sztuka to polegająca na umiętnem, w ścisłe prawidła ujętem, specyficzną metafizyką uzasadnionem, składaniu hołdów, czczeniem niewiasty jako takiej, istoty wyspekulowanej, raczącej objawiać się w postaci tej czy innej kobiety cielesnej. Im dłużej zaś uprawia się *amor cortese*, tem wymyślniejsze stają się jego formy i tem trudniejsze do zrozumienia symbole, któremi wyraża się literacko, tem ciaśniejsze grono wtajemniczonych, zdolnych w pełni delektować się poezją miłosną i tą zdolnością wyróżniających się jako elita intelektualna na dworach. Wystarczy porównać wyszukanie symbolistyki Petrarcki — wyszukanie dla dzisiejszego czytelnika częstokroć aż mdłe w swojej przesadzie, z symbolistyką Danta w *Vita Nuova*, aby się o tem przekonać. A przecież między jednym, a drugim upłynęło zaledwie niecałe pół wieku.

Cechą właściwą wszelkich t. zw. elit i korporacyj usiłujących wyróżnić się od ogółu rzeczywistą czy mniemaną wyższością inte-

lektualną, jest dążenie do wytworzenia nie tylko własnego, polerowanego języka codziennego, ale dążenie do tworzenia nowych, dla coraz mniejszej ilości ludzi zrozumiałych symbolów literackich oraz do podkładania nowych znaczeń pod symbole powszechnie znane. Rywalizują o lepsze organizacje kapłańskie i zhierarchizowane organizacje poetów — wieszczów. Posiadamy szereg hymnów polinezyjskich Maori: są one znane wszystkim członkom plemienia, ale jedynie kapłani wyższej rangi znają ich interpretacje ezoteryczne, w których każde słowo ma kilka znaczeń coraz bardziej abstrakcyjnych, w których każde imię boskie rozumiane jest jako coraz subtelniejszy, trudniejszy do zrozumienia symbol. Poeci dworscy irlandzcy i walijscy, związani w korporację, której godności nadawane były za wykazanie się nie tylko znajomością tradycyjnego zasobu poezji, ale wynalazczością interpretacyjną oraz twórczą — rangi zdobywało się w drodze rodzaju konkursu — poeci ci doszli do tego, że pisali wiersze, składające się z samych prawie niezrozumiałych symbolów. Ma się często wrażenie, czytając najślawniejsze, uznane przez stare szkoły poetyckie za arcydzieła, wiersze tych twórców, że tytuł *ollamh'a*, czy *bardda* naczelnego były nagrodą za sztuczność i niejasność. Do niektórych z tych utworów mamy klucze. Ale taki np. *Gododin*, najstarszy i niewątpliwie najcenniejszy historycznie z poematów epickich kimryckich jest dla nas przynajmniej w jednej trzeciej księgą zupełnie zamkniętą. Podobnie dzieje się w kościołach, w akademjach i w literackich salonach. Wytworny język dyskusyj na temat *Pays du Tendre*, prowadzone w Hôtel de Rambouillet za Ludwika XIII, pełen był również symbolów literackich, któremi operować umieli tylko zaufani goście salonu pani markizy, co pozwalało im gardzić resztą ludzi, bez względu na stan i budziło zazdrość i podziw nawet wśród arystokracji, otaczającej króla, i szczególną zazdrosną obawę u tak nawet potężnego człowieka, jakim był wszechwałdny kardynał minister.

VI.

Możemy przeto sformułować tezę czwartą:

Symbole literackie nowe, lub stare o zmienionem znaczeniu, wzmacniają odrębność grupy elitarniej, spełniając funkcję środka

wywyższenia się ponad grupy inne, a temsamem uzasadniającego panowanie, względnie elitarność w określonym zakresie.

W samej rzeczy, takie nawet drobne i nietrwałe grupy, jak salony i kółka literackie czy też poprostu towarzyskie, jak przytoczony salon markizy de Rambouillet, „panują“ w tem znaczeniu, że narzucają szerszemu kręgowi społecznemu reguły „dobrego tonu“, „pięknego języka“ — *le beau parler*, są kuźniami literackiej mody i literackich kierunków, a jednocześnie narzędziami konserwacji raz stworzonej mody, w czem socjalne oblicze literackiej funkcji grup elitarnych ujawnia się w sposób oczywisty. To samo, co o wymienionym rodzaju grup, stwierdzić można w odniesieniu do wszystkich wogóle stanów, klas gospodarczo-społecznych, grup funkcjonalnych itd., panujących nad stanami czy grupami innemi, rządzących niemi i wyzyskujących je. Aczkolwiek ani motywacje wyroków sądowych, ani obwieszczenia czy raporty administracyjne nie są zaliczane do „literatury“, to jednak roją się one od wyrażeń i zwrotów literackich, przeważnie zupełnie niezrozumiałych dla zwykłego obywatela, rozumianych natomiast przez prawnika lub biurokratę: odgradzają one jednego i drugiego od szarego tłumu profanów, niemniej skutecznie od togi i od zamkniętego okienka, przed którym w pokorze oczekuje ogonek interesantów. Podobnie dzieje się w „literaturze“ oraz w całej, że się tak wyrazimy, paraliterackiej produkcji piśmiennej czy oratorskiej szlachty, dworu, burżuazji. Weźmy np. taki termin jak „honor“ i sprawdźmy, jakie ma on znaczenie w tragedjach Racine'a, a następnie porównajmy użycie tego samego wyrazu u Woltera. Albo też porównajmy, co symbolizuje wyraz „honor“ u przenikniętego tradycją szlachecką Sienkiewicza, co zaś u współczesnego mu Prusa.

Symbole literackie są z drugiej strony czemś, co możnaby porównać do znaków rozpoznawczych członków bractw tajnych. Grają one rolę łącznika, wzmacniającego wewnętrzną spoiistość grupy. Uznany w pełni za swego członek stanu, klasy społeczno-gospodarczej, członek t. zw. „wyższego towarzystwa“, jest taki człowiek, którego kwalifikują nietylko urodzenie, majątek, posada, ale dla którego przyjęte w danej grupie znaczenie symbolów oraz same symbole są dobrze znane. To co się potocznie nazywa „kulturą ogólną“, „ogładą towarzyską“, w dawnej polszczyźnie „umysłem polerowanym“, albo „dystyngwowanym“ składa się w dużej bardzo mierze ze znajomości znaczenia literackich symbolów. Moljerowski Jour-

dain, ów wzbogacony mieszczanin chcący gwałtem uchodzić za dworaka, ośmiesza się właśnie tem, że obok wielu innych rzeczy, jako to znaczenia terminu „proza“, nie rozumie nadawanego w wyższym towarzystwie znaczenia szeregowi wyrazów i zwrotów. „Nowobogacki“ jest zawsze śmieszny dla tych „starobogackich“ oraz intelektualistów, w których towarzystwo wchodzi, lub których karmi i poi. Jest „grubjaninem“, człowiekiem, w stosunku do którego nie obowiązują w pełni przyjęte przepisy, powiedzmy: delikatności. Wolno jadać u niego obiady, wolno pożyczać odeń pieniędzy bez zamiaru oddania, wolno ogrywać go w karty, albowiem nic nie rozumie, jeśli nazywa się kogoś przy nim Hamletem, albo Kassandrą. W ten sposób mszczą się „klerki“ za upokorzenie doznane ze strony bogacza. Natomiast zarówno Hamlet, jak Cassandra są wspólnem dobrem tych klerków, łączą ich w jedno wielkie bractwo od San-Francisco po wschodnie granice Europy, gdziekolwiek zdaje się maturę i gdziekolwiek istnieją Pen-Cluby.

Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, że symbole literackie są konkretyzującą wartości duchowych, będących dorobkiem grupy. Przegląda się ona w nich, jak w zwierciadle, podobnie jak przegląda się w wytworzonych przez siebie bohaterach. Przegląda i delektuje się sama sobą. Stąd też z jednej strony konformizm wewnętrzny grupy wymaga rozumienia symbolów literackich, tak samo jak rozumienia wszelkich innych symbolów, jak stosowania się do przepisów stroju czy form obcowania. *Jedną z funkcyj społecznych symbolu literackiego jest wzmacnianie więzi, łączącej członków grupy, przez nadanie wartościom charakteru konkretnego i uczynienie ich w ten sposób zdolnymi do obiegania w granicach grupy.* Można porównać symbole literackie do znaków obiegowych, przyjmowanych w obrębie określonego systemu monetarnego: są one znakami, wyrażającymi kulturę duchową grupy. Poza jej obrębem tracą wartość: literatura przestaje być rozumiana i żadne humanistyczne „wczuwanie się“ w utwory przeszłości odległej czy też obcych kultur nie pomoże tu nic. Możliwe jest tylko naukowe wyjaśnienie, skomentowanie, uczynienie utworu dostępnym myśli poznawczej, nie estetycznemu wzruszeniu. To ostatnie może być wywołane, ale wtórnie, i rozkoszowanie się samem wyjaśnieniem gra w niem niemniejszą rolę, niż rozkosz, wywołana bezpośrednio rozumieniem symbolów literackich, którym nadaje się zresztą znaczenie nowe, dzisiejsze, nasze. „Dusza“ dawnego

Greka jest dla nas prawie równie nieodczuwalna, jak „dusza“ murzyna. Niema wartości wiecznych, ani powszechnych. Są tylko te, które grupa za wartość uznaje. Oto nasza teza piąta i ostatnia. Kończymy na niej.¹

¹ Ogłaszając niniejszy szkic, decyduję się, po namyśle, zrezygnować z przypisów. Musiałyby one zająć tyle miejsca, że tekst byłby, że tak powiem, zatopiony przez nie. Istotnie, nie wystarczyłoby samo powoływanie się na źródła i na opracowania, ale wypadłoby przedyskutować w przypisach wiele kwestyj, dotyczących genezy, przejmowania, używania tych czy innych symbolów literackich. Zresztą materiał, którym operuję, jest naogół znany wszystkim ewentualnym czytelnikom, wchodzi bowiem prawie w całości w zakres uważanej za obowiązkową kultury literackiej ogólnej. Ograniczam się przeto do kilku wskazówek bibliograficznych najogólniejszych.

a) O średniowiecznych *Imagines mundi* istnieje dobra książka Ch. V. Langlois, p. t. *La Connaissance de la nature et du monde au moyen-âge*, Paris, 1911, którą można pożytecznie uzupełnić tem, co o symbolistycznej interpretacji świata podaje Heinrich v. Eicken w *Geschichte und System der mittelalterlichen Weltanschauung*, wyd. 4, Stuttgart—Berlin, 1923. (Książka Jana Ptaśnika, *Kultura wieków średnich*, I, W-wa, 1925, zawiera wiele nieuzasadnionych uogólnień i sporo pomyłek faktycznych). Por. H. Mâle'a kapitalne dzieło o sztuce plastycznej średniowiecznej we Francji.

b) O jabłoni w mitach celtyckich i w celtyckich literaturach, o Avalonie itd. pisali m. in. H. d'Arbois de Jubainville w *le Cycle mythologique irlandais (Cours de littérature celtique, II)* Paris, 1880 i zwłaszcza Alfred Nutt w *The Voyage of Bran son of Febal to the Land of the Living (Grimm Library, nry 4 i 6)*, London 1895—1897, oraz w *Studies on the Legend of the Holy Graal*, London, 1888. Por. Birch-Hirschfeld, *Die Graalsage*. O drzewach kultowych irlandzkich por. moją książkę *Le Culte des héros et ses conditions sociales*, Paris, 1919. Tamże o ustroju społecznym i o korporacji poetów-wieszczarzy (*file*) irlandzkich. Bibliografje, dotycząca literatur celtyckich ob. w mojej rozprawie p. t. *Literatury celtyckie w Wielkiej Literaturze Powszechnej* Trzaski, Ewerta i Michalskiego, tom III. — Powołując się na prozaicznego Percevala mam na myśli tekst, wydany dla Société des Bibliophiles Belges przez Ch. Potvin p. t. *Perceval le Gallois ou le conte du Graal*, Bruxelles, 1866, zredagowany nie później, niż w r. 1220, jak to wykazał Sebastian Evans w przedmowie do angielskiego tłumaczenia (*Everyman's Library*, nr. 445). — O Avalonie: por. opis u Tennysona. Jak wiadomo, Avalon został utożsamiony z opactwem irlandzkim w Glastonbury w dzisiejszem hrabstwie Somerset, w Kornwalji, położonem niegdyś na wyspie rzecznej, obecnie na półwyspie. — O Chrestien de Troyes ob. Cohen, *Chrestien de Troyes*, Paris, Champion. — O obchodach wiosennych informują: Mannhardt, *Wald- und Feldkulte*, wyd. 2; 1904, oraz James Frazer, *The Golden Bough*, passim.

c) Przykład chiński: ob. Granet, *La Civilisation de la Chine ancienne*, I (Serja *Evolution de l'humanité*, wyd. przez Henri Berr).

d) Poezja robotnicza niemiecka: ob. Friedrich Falk, *Die religiöse Symbolik der deutschen Arbeiterdichtung der Gegenwart*, Stuttgart, 1930. Tamże bardzo sumienna bibliografia autorów i antologii. Tych ostatnich po roku 1930 wyszło zaledwie kilka, nakładem wydawniczych spółdzielni robotniczych socjalistycznych i komunistycznych, obecnie zlikwidowanych. W Polsce sporo wierszy robotników zamieszcza ukazujący się w Warszawie tygodnik socjalistyczny *Życie robotnicze*.

PAWEŁ RYBICKI — KATOWICE.

Z PODSTAWOWYCH ZAGADNIENÍ GRUPY SPOŁECZNEJ

Zbiór i grupa.

Podstawą istnienia grupy społecznej jest fakt życia zbiorowego. Samo jednak istnienie zbiorów ludzi nie stanowi jeszcze o powstaniu i utrzymywaniu się społecznych ugrupowań. Zbiór oznacza, że w tym samym okresie czasu pędzi obok siebie życie wielość podobnych do siebie osobników; mówiąc o grupie stwierdzamy natomiast nie tylko współistnienie zbioru ludzi, lecz zakładamy także, że między tymi ludźmi zachodzą określone procesy życia społecznego chociażby w postaci najogólniejszych przejawów ustosunkowania człowieka do człowieka.

To też nie każde zjawisko, które nazewnętrz przedstawi się jako zbiór ludzi jest przez to samo ugrupowaniem społecznem. Kiedy patrzymy na przechodzącą ulicą masę przechodniów, przesuwa się przed nami mnogość ludzi, zebranych na niewielkim odcinku przestrzeni i wrażenie zbioru jest nam dane. Brak nam jednak przekonania, że ludzi tych łączy jakikolwiek wewnętrzny związek i stąd ta masa nie posiada dla nas charakteru społeczności. Nie jest już tak samo, gdy idących oddzielnie przechodniów skupi np. jakiś nieszczęśliwy przypadek na ulicy, a zwłaszcza kiedy się złączą dając wyraz litości czy oburzeniu, niosąc pomoc, czy karząc sprawcę zdarzenia. Tłum, który tak powstaje, chociaż po kilku chwilach się rozprószy w krótkim swem istnieniu nie przedstawia się już tylko jako szereg oddzielnych jednostek, lecz jako pewna całość, złączona wspólnem zainteresowaniem, podsycająca się przez wzajemne oddziaływanie, znajdująca wyraz we wspólnej postawie lub w wspólnie dokonanym czynie.

W odróżnieniu od zbioru ludzi, określonego tylko przez warunki zewnętrzne (wspólność przebywania w danym okresie czasu, na pewnym wycinku przestrzeni), zbiór zespolony wzajemnem wewnętrznem ustosunkowaniem jego członków nazywamy grupą społeczną. Gdy zatem w przeciwieństwie do luźnej masy przechodniów ulicznych, tłum zebrany dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu zdarzeniu, skupiony naokół mówcy lub przywódcy uznajemy za grupę społeczną, taką właśnie łączność należących do zbioru ludzi mamy wtedy na myśli. W rzeczywistości nieraz niełatwo jest jednak określić, kiedy mamy przed sobą tylko zbiór, nietworzący jeszcze żadnej społeczności, a kiedy już zaczyna się istnienie grupy. W ugrupowaniach krótkotrwałych istnienie stosunku między zebranymi ludźmi, ich wewnętrzne zespolenie, niezawsze jest jasno widoczne i dostatecznie wyraźne.

Dlatego istnienie grupy społecznej można stwierdzić o wiele łatwiej i pewniej wtedy, kiedy zbiór ludzi łączy trwale i określone związki. Takim zbiorem, którego charakter społeczny występuje wyraźniej jest np. rodzina. A więc najpierw rodzina w znaczeniu najciaśniejszem, złożona z rodziców i dzieci — taka, jaka odgrywa przeważną rolę w nowożytnych społeczeństwach europejskich. Przedstawia ona ugrupowanie niewielkiej liczby jednostek, które łączy ze sobą kilka typowych związków: stosunek rodziców między sobą, stosunek rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, wreszcie stosunki między rodzeństwem. Stosunki te nie mają charakteru identycznego w poszczególnych rodzinach, wszelkie ich przejawy stanowią jednak indywidualne odchylenia i odmiany w granicach, ujętych przez naturalne podstawy węzła rodzinnego, oraz odpowiadające mu urządzenia stale i powszechnie obowiązujące w danym środowisku kulturalnem. W rodzinach tworzących liczniejsze ugrupowania krewnych (rzymskiej, germańskiej, południowo-słowiańskiej), związki pomiędzy członkami grupy rodzinnej są liczniejsze i bardziej skomplikowane, odpowiednio do większego zróżnicowania w samych związkach pokrewieństwa. Z drugiej strony liczebność ugrupowania nie musi jednak wpływać na różnorodność tych węzłów, które członków ugrupowania zespalają ze sobą. W zawiązanem dla jakiegoś specjalnego celu stowarzyszeniu, chociażby liczebnie bardziej wielkiem, wszystkie lub prawie wszystkie relacje między członkami grupy mogą być tego samego typu.

Związki między ludźmi jako istotami świadomymi, tego pokroju co wspomniane np. wzajemne związki członków rodziny, określamy

jako stosunki społeczne. Stosunki społeczne, których istnienie zauważymy w grupach, nie są zjawiskiem społecznym najprostszym. W każdym stosunku możemy jako jego element wyróżnić czynność jednostki ludzkiej, zwróconą ku innej, czy ku innym jednostkom. W pojęciu stosunku społecznego mieści się już natomiast wzajemne odniesienie się do siebie dwóch przynajmniej jednostek ludzkich; przyczem wzajemność nie oznacza bynajmniej by ustosunkowanie obu stron było to samo, lecz tylko to, że ustosunkowanie obu osób do siebie, pozostaje we wzajemnej zależności. Stosunki społeczne nie przedstawiają się w różnych grupach jednakowo. W niektórych grupach stosunki te opierają się na ustawicznych bezpośrednich stycznościach członków grupy, jak jest np. w rodzinie lub w niektórych mniej licznych stowarzyszeniach. W innych grupach w szczególności licznie wielkich podłożem stosunków są natomiast styczności wtórne; występuje tu konieczny element pośrednictwa w stosunkach między członkami społeczności, przyczem czynnikiem pośrednictwa są bądź osoby, bądź rzeczy, bądź wreszcie wartości idealne.

Nie każdy jednak fakt stosunku społecznego między ludźmi tworzy grupę społeczną. W życiu codziennem raz poraz ustosunkowujemy się do innych ludzi bez świadomości, że stanowimy z nimi jakiegokolwiek ugrupowanie odrębne. Stosunek dwu, lub więcej ludzi, oparty na sympatji, niechęci, zainteresowaniu, lub potrzebie, może trwać długo, może znajdować wyraz nietylko w żywnionych przez nich uczuciach i sądach, ale i w działaniach, a pomimo tego grupa społeczna jeszcze nie powstaje. Charakterystycznym przykładem mogą być właśnie w przeciwieństwie do wspomnianych rodzin tego typu, co rzymska lub południowo-słowiańska, zbioru krewnych dalszych w nowoczesnych społeczeństwach europejskich. Zazwyczaj krewni ci utrzymują między sobą pewne stosunki, jednak najczęściej o wspólności grupowej nie może już być mowy. Ażeby bowiem istniała grupa społeczna, nie wystarcza pewna sieć stosunków w obrębie danego zbioru ludzi, lecz nadto musi być jeszcze pewne wspólne ustosunkowanie się wszystkich do ich związku, jako osobnej całości. Niekiedy ustosunkowanie takie znajduje wyraz we wspólnem odniesieniu się wszystkich do jednej osoby; taki charakter ma w rodzinie typu patryjarchalnego stosunek wszystkich członków grupy do głowy rodziny. W innych przypadkach dobitniej występuje wspólne ustosunkowanie wszystkich do rzeczy stanowiących własność grupy, lub

też do szczególnie jej właściwych innych wartości. Jakikolwiek bądź zresztą jest wyraz tego ustosunkowania — grupa istnieje dopiero wtedy, gdy zbiór ludzi nie tylko łączy luźne poszczególne stosunki, lecz gdy sami uczestnicy zbioru czują i ujmują się w zakresie tych stosunków jako odrębną całość.¹

Uświadomiona tak przez członków zbioru grupa, przedstawia osobną jedność w świecie ludzkich działań. To też istnienie grupy uwydatnia się przede wszystkim w aktach i czynach, których pod względem ich znaczenia nie odnosimy do poszczególnych (choćby wszystkich nawet) jednostek, należących do grupy, lecz do niej samej jako do osobnego podmiotu działania. Oczywiście wypada tu tylko pilnie odróżniać działanie grupy od takich samych czy podobnych czynności, wykonywanych przez członków grupy. Jeżeli na wsi w porze żniw wszyscy lub przeważna liczba mieszkańców spieszy na pole i tam oddaje się pracy żniwiarskiej, jest to wspólna czynność poszczególnych jednostek, przynależnych do grupy wiejskiej, której jednak niema potrzeby uznawać za osobną działalność grupy. Inaczej już rzecz się przedstawia, kiedy mieszkańcy wsi zgromadzą się na wspólne zebranie i tam łącznie podejmą jakąś uchwałę lub gromadzkie postanowienie. Uchwała taka nie da się odnieść do poszczególnych ludzi i nie ma wogóle znaczenia, jeśli nie uznamy trwałego lub przejściowego zespolenia pewnej liczby jednostek w osobną jedność grupy społecznej. Rada rodzinna, która na swych zebraniach rozważa i rozstrzyga obchodzące całość rodziny sprawy, każde stowarzyszenie podejmujące własne postanowienia i uchwały, państwo, określające swój stosunek do własnych obywateli lub do innych grup państwowych, dają nam powszechnie znane przykłady działalności grupy. W niektórych ugrupowaniach, zwłaszcza liczebnie niewielkich w czynnościach grupy uczestniczą zazwyczaj wszyscy jej członkowie. W grupach o wielkiej liczebności natomiast czynności grupy bywają często spełniane przez jej przedstawicieli czy funkcjonariuszy i przybierają niekiedy przytem charakter działań, dokonywanych przez jednostki. Lecz oceniając te działania, rozumiemy, że jednostki które je spełniają reprezentują grupę i że czynności ich o tyle mają znaczenie, o ile uważane są za właściwy wyraz stanowiska grupy.

Jedną z najważniejszych czynności grupy jest stanowienie norm postępowania, które mają obowiązywać członków ugrupowania.² Ta czynność odgrywa wielką rolę zwłaszcza w grupach długotrwałych.

Są natomiast inne grupy, w których działanie grupowe przybiera charakter całkiem odmienny, pozanormalnych i spontanicznych wystąpień. Tak działa tłum rewolucyjny, który zdobywa więzienie lub niszczy pałac władcy. Kiedy w kole towarzyskim zespolonym wspólnością nastroju i warunków wytwarza się to, co nazywamy zabawą, widzimy w tym także czynność grupy, chociaż tutaj granica między działaniami jednostek, a działaniem zbiorowości społecznej wydaje się trudniej uchwytana. Ogólnie można określić jako czynność grupy to wszystko, co niema piętna czynu indywidualnego spełnianego przez jednostkę, a co nie jest także tylko szeregiem podobnych działań indywidualnych. Innymi słowy, jest czynnością grupy to, co ma charakter jednego a pozaindywidualnego działania.

Jednolite wystąpienia grupy, działania, których ona dokonywa, atmosfera, którą tworzy, sprawiają, że grupę jako osobną całość ujmują nie tylko przynależne do niej jednostki, lecz także poza nią stojący osobnicy i ugrupowania, o ile tylko stykają się z jej działalnością. Działacz polityczny, który ma do czynienia z obcą sobie partją polityczną, może pozostawać w różnym stosunku do poszczególnych jej członków, niemniej działanie swoje polityczne stosuje do partji, jako do całości odrębnej i jednej. Nauczyciel, który obejmuje naukę w klasie szkolnej liczy się nie tylko z szeregiem jednostek, lecz przede wszystkim z już wytworzoną całością danego sobie zespołu uczniów. Tembardziej w stosunku grupy do grupy — dwu plemion, dwu miast, dwu stowarzyszeń — każde ugrupowanie nie zwraca się szczególnie do szeregu jednostek, należących do drugiej zbiorowości, lecz ujmuje tę zbiorowość jako jedność w swoim postępowaniu i działaniu. Jako takie jedności grupy przeciwdziałają sobie i zwalczają się, albo też współdziałają ze sobą i łączą się w nowe ugrupowania społeczne.

Charakter grupy.

Wyróżniliśmy w pojęciu grupy (zgodnie z przeważnie ustalonymi w socjologii pojęciami) trzy elementy: a) element zbioru ludzkiego, b) element stosunku (ów) społecznego (ych) łączącego uczestników zbioru, c) uświadomioną sobie przez uczestników zbioru jedność grupy, która wyraża się w grupowych czynnościach o pozaindywidualnym charakterze. Przy pomocy tych elementów określone pojęcie

grupy jest bardzo rozległe. W jego zakresie mieści się tak dobrze ród, plemię, naród, jak gmina wyznaniowa, towarzystwo naukowe, klasa szkolna, tłum rewolucyjny — słowem wszelka zbiorowość społeczna, mała czy wielka, jaką można tylko spotkać w życiu. Używając też pojęcia grupy socjologia nie przesądza w niczem bliższych cech danej zbiorowości i celowo posługuje się pojęciem najszerszym, obejmującym wszelkie zbiorowości życia społecznego.

Każdy z trzech elementów wymienionych ma dla teorii grup społecznych doniosłe znaczenie. Kwestja zbioru jako niezbędnego substratu zjawiska społecznego jest bardzo ważna; przytem zbiór oznacza mnogość osobników, która może lecz nie musi być przestrzennie wydzielona od innych osobników i zbiorów. Że zbiory, które dzięki powstałym układom stosunków społecznych oraz wytworzonemu poczuciu jedności stają się grupami, mogą być bardzo różne, to jest łatwo uchwytną rzeczą; chociażby olbrzymie różnice w liczebności zbiorów nasuwają nam się w jakimkolwiek zestawieniu grup społecznych. Znaczenie tej różności zbiorów uwydatnia się atoli dopiero w związku z ujęciami klasyfikacyjnymi i dalszemi zagadnieniami teorii grup społecznych.

Co do dwu dalszych elementów — stosunku społecznego i odrębnej jedności grupy — są one obydwaj dla określenia grupy równie zasadnicze i charakterystyczne, jakkolwiek ich przejawy nie w każdej grupie występują z jednakową wyrazistością.³ Na ugrupowaniach liczebnie mniejszych wyciskają częstokroć piętno przede wszystkim bezpośrednie stosunki członków między sobą. Jednolity zaś charakter grupy wyraża się niekiedy raczej w jej atmosferze i wynikających z doboru indywidualności rysach postawy duchowej, aniżeli w ściśle określonych wystąpieniach. Przeciwnie w grupach liczebnie wielkich dzięki działaniom przez nie spełnianym i posiadanym przez nie szczególnym właściwościom, zbiorowym symbolom, zwierchnictwu, grupa wyraźnie przedstawia się jako jedność tak swoim członkom, jak innym jednostkom i ugrupowaniom. Natomiast bardzo zazwyczaj skomplikowana sieć stosunków, które łączą członków wielkiej grupy, ujawnia się dopiero drogą refleksji i analizy.

Jakkolwiek jednak element grupy wysuwa się na plan pierwszy w konkretnym przypadku, zagadnienie stosunku społecznego jako właściwego źródła społeczności pozostaje jednym z najbardziej zasadniczych zagadnień wstępnych w wszelkiem rozważaniu grup spo-

lecznych, wyprzedzających problemy klasyfikacji i teorii szczegółowej. Obserwacja potocznego życia społecznego poucza, że stosunki pomiędzy ludźmi tak w grupach jak i poza ugrupowaniami, mogą mieć treść bardzo różną. Lecz właśnie dlatego nasuwa się pytanie, czy stosunki społeczne, a w szczególności stosunki, dzięki którym najróżniejsze zbiory ludzi — gromada ludzi na ulicy, mieszkańcy danego terytorjum, zbiór jednostek wspólnego pochodzenia biologicznego — stają się grupą społeczną, są zawsze tamsamem rodzajowo zjawiskiem o specyficznym tylko zabarwieniu treściowym, czy też są różne w różnych przypadkach i na czym w takim razie ta zasadnicza różność polega.

Odpowiedź na pytanie tak postawione zdają się dawać niektóre klasyfikacje grup społecznych. Gdy René Maunier w swych „Essais sur les groupements sociaux”⁴ wyróżnia grupy oparte na pokrewieństwie, sąsiedztwie terytorjalnym (wspólnocie terytorjalnej) i (wspólnej) działalności, jest to jakby podział, oparty na rozróżnieniu głównych typów stosunków między ludźmi. Wnikając jednak bliżej w tę klasyfikację przekonujemy się, że wskazuje ona raczej czynniki dzięki którym powstają stosunki i kształtują się ugrupowania, aniżeli różność rodzajową samych stosunków. Bo przecież stosunek wzajemnej sympatii, czy stosunek wzajemnej pomocy lub współpracy może istnieć tak samo w grupie krewnych jak sąsiadów, jak i w jakimkolwiek „groupement de l'activité” i trudno by zdefiniować wyłączność jakiegokolwiek stosunku społecznego dla któregośkolwiek z tych ugrupowań.

Głębiej w istotę stosunków społecznych wnika podział taki, jak dane przez Durkheima rozróżnienie grup, opartych na solidarności mechanicznej i grup opartych na solidarności organicznej.⁵ I tu jednak jest wskazana nietyle różność stosunku społecznego, ile raczej dwa różne źródła jednego zjawiska ujętego jako fundament grupy — solidarności społecznej. Rzecz inna, że ta solidarność nie zdaje się być jednym i tamsamem w obu przypadkach.

Istnieje jednak rozróżnienie stosunków między ludźmi znane w teorii i znane w życiu praktycznym, które rozumieć można jako wskazanie dwóch różnych rodzajów stosunku społecznego. Rozróżnienie to odnajduje się już na drodze analizy najprostszego społecznego procesu, procesu zbliżenia jednostki ludzkiej do drugiej jednostki. Człowiek zbliżając się do drugiego człowieka może czynić to z potrzeby towarzystwa na podstawie pewnego pociągu do drugiej osoby, wywołanego chociażby zewnętrznym wyrazem, na podstawie

sympatji. Inny charakter ma natomiast zbliżenie się jednostki, która nie mogąc podolać w wykonaniu jakiegokolwiek trudniejszej, czynności, chociażby z zakresu pracy fizycznej, zwraca się do drugiej jednostki o pomoc i współdziałanie. Różnica, która uwydatnia się w obydwu tych czynnościach społecznych nie jest przytem tylko różnicą motywu, który w jednym i drugim przypadku skłania jednostkę do zbliżenia się do drugiej jednostki, lecz przedstawia różność w samym rodzaju ustosunkowania człowieka do człowieka.

To co możemy zauważyć w najprostszych czynnościach odnosi się również do procesów bardziej skomplikowanych i do stosunków społecznych. W niektórych przypadkach w stosunku luźnym i nie-trwałym dwóch ludzi, możliwa jest różność ustosunkowania każdego z uczestników stosunku do drugiej jednostki — zdarzają się stosunki, w których podstawą relacji jest z jednej strony ustosunkowanie do osobowości partnera: sympatja, zaufanie, z drugiej natomiast dążność do wyzyskania relacji dla jakiegoś celu pozasobowego. Stosunki bardziej trwałe, a zwłaszcza unormowane opierają się jednak zazwyczaj na wzajemności, lub wzajemnem podobieństwie postaw uczestników stosunku wobec siebie. W jednych przypadkach stosunki te wynikają z zainteresowania, które jednostki wzbudzą w sobie jako osoby i to bądź ze względu na indywidualne cechy swej osobowości, bądź ze względu na pewne posiadane, przez siebie, a właściwe większym zbiorom jednostek, cechy typu ludzkiego. W innych przypadkach natomiast stosunki społeczne powstają i kształtują się nie jako wyraz bezpośredniej relacji osobowej, lecz na podstawie ustosunkowania jednostek do pewnych wspólnych lub identycznych celów rzeczowych. Przykładem pierwszego rodzaju stosunku może być stosunek przyjacielski, przykładem drugiego rodzaju, stosunek dwóch przedsiębiorców, wspólnie podejmujących jakąś imprezę dla uzyskania korzyści pieniężnych.

Wszystkie zjawiska ustosunkowania człowieka do człowieka i wszystkie stosunki między ludźmi można podzielić zgodnie z tem rozróżnieniem na dwa rodzaje: stosunki społeczno-osobowe to stosunki, których zawartość stanowią odniesienia się ludzi do ludzi jako „wartości społecznych“ (według terminologii Znanieckiego). Stosunki społeczno-rzeczowe, to stosunki takie, które zawierają jako konieczny element odniesienie się osób uczestniczących w stosunku do jakichkolwiek wartości pozasobowych, pozaspółecznych i które przycho-

dzą dopiero na podstawie tego elementu do skutku.⁶ Wartości te nie muszą być wartościami materialnymi; mogą to być tak samo wartości idealne, należące do sfery religii, sztuki, poznania.

Stosunki społeczne pierwszego rodzaju (osobowe) są więzią wyraźnie zespalającą niektóre ugrupowania. Charakterystycznym przykładem grup opartych na stosunkach osobowych (przeważnie lub wyłącznie) są zespoły przyjacielskie i koleżeńskie; należą tu także różne koła towarzyskie od przygodnie skupionych ugrupowań z okresu wakacyjnego aż po grupy towarzyskie, utrzymujące się przy pomocy całego systemu zwyczajów i obyczajów. Jako przykład grupy o zupełnie przeciwnym charakterze można wymienić towarzystwo handlowe. Tu więzią zespalającą ludzi nie są uczucia o pokroju sympatii lub zainteresowania, nie są upodobania dotyczące osobowości, lecz wzgląd na wartości ekonomiczne, które sami uczestnicy grupy przyjmują za cel naczelny działania zespołowego. Gdyby śladem niektórych ekonomistów-socjologów dopatrywać się w rynku rysów ugrupowania społecznego, znaleźlibyśmy skrajny przykład układu społecznego, opartego na rzeczowych stosunkach. W obrębie rynku stosunki między jego członkami, dostawcami i odbiorcami, opierają się całkowicie na relacji do przedmiotów pozaspołecznych. Stosunki, które stanowią o istnieniu socjalnym rynku, występują o tyle, o ile istnieje zapotrzebowanie pewnych wytworów gospodarczych i ich podaż i kształtują się w zależności od warunków tej podaży i popytu.

Ilość ugrupowań oparta na stosunkach o charakterze rzeczowym jest bardzo wielka i nie ogranicza się bynajmniej do dziedziny życia gospodarczego. Niewątpliwie stosunki takie, jakie tworzy życie ekonomiczne, noszą szczególnie wyraźne piętno „rzeczowości“ i podobne znamię mają też w przeważnej mierze wyrastające z tych stosunków ugrupowania. Ale rzeczowość w przyjętym tu znaczeniu nie występuje tylko wtedy gdy chodzi o wartości ekonomiczne, lecz wogóle tam wszędzie gdzie stosunki między ludźmi mają jako podstawę jakiegokolwiek rodzaju ustosunkowania tych ludzi do innych niż osoby i grupy ludzi przedmiotów. Cechę rzeczowości mają stosunki, jakie zachodzą między uczonymi, których zainteresowania i badania dotyczące jednego przedmiotu łączą, skłaniają do wymiany poglądów i wyników naukowych i skupiają w naukowe zrzeszenia. Grupa techników pracujących nad zbudowaniem sieci komunikacyjnej, klub sportowy, zespolony wspólną członkom chęcią osiągnięcia

sprawności fizycznej, tworzą podobne przykłady stowarzyszeń, w których element rzeczowy stanowi podłoże dla stosunków społecznych. Wiemy zaś, jak stosunek do wartości religijnych jest substratem istnienia wielu bardzo ważnych grup społecznych.

Wyróżnienie stosunków o podłożu osobowym i rzeczowym nie zmierza do wyróżnienia dwu całkowicie przeciwstawnych sobie typów ugrupowań. Już w stosunkach nieujętych nawet w życie grupowe, lecz bardziej trwałych trudno o stosunek, który byłby czysto osobowym lub czysto rzeczowym. Jeśli stosunek dwóch przyjaciół nie wciąga w zakres żadnych sprecyzowanych celów rzeczowych to jednak kontakt myślowy i rozmowa, łatwo zabarwiają osobowy związek zainteresowaniami dotyczącymi przyrody, sztuki czy nauki; upodobania wspólne w tym względzie uważa się nawet za ważny czynnik przyjaźni. Tembardziej w grupach koleżeńskich czy towarzyskich do głównego celu wzajemnego obcowania towarzyskiego przylączają się z łatwością przygodne cele rzeczowe, objawiające się we wspólnym organizowaniu studjów, ćwiczeń fizycznych, lub rozrywek. Łatwiej może o zachowanie czystości typów w grupach zbudowanych na podłożu stosunków rzeczowych w stowarzyszeniach gospodarczych, technicznych, naukowych; i tu jednak jakkolwiek drugorzędnie przenikają elementy osobowe. Wzajemne ustosunkowanie poszczególnych osobników, ich uczucia i nastawienia wobec siebie grają rolę także w grupie zawodowej, w towarzystwie naukowem, a nawet wciskają się w tak zazwyczaj związane przez względy rzeczowe ugrupowania życia gospodarczego. Stąd nie wyłączość, ale przewaga stosunku osobowego lub rzeczowego jest miarodajna dla poszczególnych ugrupowań — to jakiego rodzaju stosunki są zasadnicze, stanowią *conditio sine qua non* danego ugrupowania, jakie zaś tylko akcydentalne, stanowią o charakterze grupy społecznej.

Nazwaliśmy — w braku odpowiedniejszego terminu — określoną przez przeprowadzone rozróżnienie właściwość grupy jej charakterem i wymieniliśmy kilka ugrupowań o osobowym i o rzeczowym charakterze. W odniesieniu do niektórych tylko ugrupowań, można charakter grupy wyznaczyć odrazu i z łatwością. O innych grupach nie możemy twierdzić, iż przeważają w nich stosunki osobowe lub rzeczowe w sposób zupełnie wyraźny. W grupie tak ważnej i w tylu postaciach powtarzającej się, jak rodzina, zawsze członków grupy zespalają więzy osobowe i wspólne ustosunkowanie do pewnych pozaspo-

łecznych wartości. Bezsprzecznie zaczynając już od stosunku matki i dziecka w rodzinie przede wszystkim element więzi osobowej odgrywa rolę; stosunek osobowy wynikający z uświadomionego poczucia związków krwi, ujęty współżyciem, normowany obyczajem, zdaje się być podstawą wspólnoty rodziny. Niemniej przecież elementy rzeczowe nie tylko powtarzają się w rodzinach najróżniejszych typów i odmian etnicznych, ale wydają się istotnym i niezbędnym składnikiem grupy rodzinnej. Rodzina, czy to jako szersze ugrupowanie krewnych w różnych wspomnianych już formach, czy rodzina w znaczeniu najciaśniejszym, złożona z rodziców i dzieci jest gospodarczą wspólnotą, posiada pewne wspólne dobra materialne i wspólną prowadzi chociaż zwykle opartą na podziale pracy gospodarkę. Nawet skrajnie zindywidualizowana nowoczesna rodzina miejska, w której mąż i żona oddzielnie pracują zarobkowo, w której dzieci dążą do możliwie szybkiego osiągnięcia własnych dochodów, zachowuje jeszcze znaczny zakres wspólności w sprawach gospodarczych, jak długo zaś dzieci są nieletnie i muszą być żywione i chowane, zakres ten zbliża się do całkowitej wspólnoty. Ale nie tylko gospodarcze wartości mają znaczenie dla rodziny. Z innej sfery wymienić wystarczy wartości życia religijnego; jakkolwiek zdarzają się rodziny o mieszanej przynależności wyznaniowej, ma to raczej charakter wyjątku od typowego zjawiska rodziny, jako grupy religijnie jednolitej.

Większe i trwające poprzez pokolenia zbiorowości społeczne zwłaszcza o ile opierają się częściowo na realnych lub fikcyjnych związkach pokrewieństwa mają jako podłoże swojej jedności grupowej zwykle cały splot stosunków o osobowym i rzeczowym charakterze. Jeżeli takie grupy zajmują jakieś określone terytorjum, to już przede wszystkim to terytorjum uważane za własność grupy jest ośrodkiem stosunków rzeczowych. Pozatem te właśnie zbiorowości są — według dobrego terminu Wiesego — nosicielami wartości kulturalnych, co oznacza, że stosunki między członkami tych grup układają się na podstawie wspólnego ustosunkowania do wartości religijnych, moralnych, estetycznych, technicznych i innych. W każdym przypadku byłoby jednak błędne ograniczać w grupach tego rodzaju więź społeczną, łączącą członków zbiorowości do stosunków rzeczowych chociażby w najszerszym zakresie. Obok znaczenia jakie mają dla tych grup wszelkie wartości kulturalne, nie mniejszą jest ważność jaką posiada wzajemny stosunek ich członków oparty na świadomości pokre-

wieństwa i łączności osobowej. Wreszcie w zbiorowościach największych, a w szczególności w grupach narodowych, w zespoleniu z elementami kulturalnymi i gospodarczemi występuje poczucie odrębnego typu narodowego jako wartość społeczna, która węzłami stosunku osobowego łączy członków grupy.

Zakres życia grupowego.

Jeżeli mówimy, że pewien zbiór ludzi tworzy grupę społeczną, nie oznacza to, by ludzie, których zaliczamy do tego zbioru należeli do grupy całą swoją osobowością. Hipotetycznie przyjmuje się niekiedy istnienie takiego układu stosunków — na najprymitywniejszych szczeblach cywilizacji — w którym zbiór ludzi należy do jednej tylko grupy społecznej i grupa taka zawiera całe lub niemal całe życie duchowe swoich członków. W rzeczywistości nie znamy jednak żadnego takiego ugrupowania, które całkowicie pochłaniałoby należących doń ludzi. Na tem, że grupa nie absorbuje całej osobowości ludzkiej, opiera się nie tylko przeciwstawienie życia indywidualnego i grupowego, lecz także podstawowy fakt społeczny — to, że każdy człowiek może być i bywa równocześnie członkiem wielu lub kilku przynajmniej ugrupowań społecznych.

Stwierdzając, że grupa tylko częściowo obejmuje życie duchowe jednostki, podejmuje się zarazem jedno z najważniejszych zagadnień w teorii grup społecznych. Zagadnienie, w jakiej mierze grupa społeczna ogarnia osobowość należącego do niej człowieka, względnie w jakiej mierze osobowość jednostki należy do grupy. Nie idzie przytem o stałą i niezmienną funkcję grupy lecz właśnie o różność ujawniającą się pomiędzy poszczególnymi rodzajami ugrupowań. Bo właśnie granice, w jakich grupa absorbuje jednostkę i jednostka poświęca swoją uwagę i swoją działalność grupie, są w różnych rodzajach grup bardzo rozmaite. Towarzystwo finansowe zajmuje członków swoich sprawami, należącemi do jednej specjalnej sfery działań gospodarczych, i nie sięga w inne dziedziny życia ludzkiego. Klub sportowy może wiele pochłaniać czasu i energii swoich uczestników, cała jednak działalność jednostek w obrębie grupy obraca się tylko w zakresie czynności dotyczących uprawiania ćwiczeń fizycznych. Podobnie stowarzyszenie poświęcone celom naukowym lub artystycznym wiąże swoich członków wspólnotą działań tylko w odniesieniu do właściwej

sobie specjalnej dziedziny zainteresowań i celów. W każdym z tych przypadków działalność członków grupy nie ogranicza się do samych czynności gospodarczych, fizycznych, artystycznych, poznawczych, lecz obejmuje również i przede wszystkim funkcje dotyczące zbiorowego działania grupy i jej organizacji. Lecz właśnie fakt, że całe życie społeczne danej grupy zamyka się w obrębie spraw związanych z danymi specjalnymi celami, określa granice życia społecznego grupy i wyznacza zakres czynności w obrębie grupy uprawianych.

Zakres ten przedstawia się jako stosunkowo ciasny, gdy którekolwiek z wymienionych stowarzyszeń zestawie z ugrupowaniami innego rodzaju, chociażby z kilkakrotnie już wspomnianą grupą rodzinną. W rodzinie dzięki stałemu współżyciu ich członków przede wszystkim wysuwa się bliski stosunek wzajemny osób, tworzących grupę i z tego stosunku osobowego wytworzona więź grupowa. Lecz dla rodziny nie tylko ten element osobowy jest ważny; stosunki członków rodziny mają także podłoże rzeczowe. Rodzina ma wspólne dobra materialne (dom, sprzęty, środki i urządzenia gospodarcze) ma wspólność tradycji i zwyczajów, niekiedy specjalny obyczaj i własne kultury religijne. Zachodzą tu oczywiście znów różnice bardzo znaczne między odmiennymi typami rodzin. Rodzina patriarchalna dawniejszego typu łączy członków swoich szeregiem węzłów, z których ważniejsze to uprawianie wspólnej gospodarki, posiadanie osobnych stosunków prawnych, odprawianie osobnych kultów religijnych. Rodzina podobnego typu — ugrupowanie krewnych, żyjących wspólnie, posiadających wspólne dobra materialne i prowadzących częściowo wspólną gospodarkę domową — jest i dzisiaj przedmiotem obserwacji badaczy, jak rodzina Kabyłów w Afryce Północnej, o której pisze Maunier w swych „Essais”. Takie grupy rodzinne polegają na wspólnym dzieleniu losów i na wspólności życia w obrębie wszystkich niemal ważniejszych spraw obchodzących członków grupy. W porównaniu z podobnymi grupami rodzina, jaką obserwujemy w nowoczesnych społeczeństwach europejskich, ma o wiele ciaśniejszy zakres łączącej jej członków wspólności grupowej. W każdym razie jednak rodzina zespala zawsze członków swoich nie na jakimś jednym specjalnym wycinku rzeczywistości, lecz w szerszym, często nie dającym się ściśle sprecyzować zakresie spraw życiowych.

Wystarczy kilka najprostszych przykładów, by zauważyć, że grupy społeczne różnią się co do dziedzin, w jakich absorbują przy-

należne do nich jednostki, i co do rozległości tych dziedzin. Czemś innym jest uczestnictwo w stowarzyszeniu poświęcającem się jakiemuś specjalnemu celowi, czem innym uczestnictwo w grupie rodzinnej, w plemienu, w narodzie. Może się zdawać w niektórych przypadkach, że uczestnictwo to zależy od jednostki i że jednostki decydują o tem, w jakiej mierze oddają swą osobowość dla spraw grupy. Rozróżnia się gorliwych i niegorliwych członków stowarzyszenia i rozróżnienie to wskazuje na różny stopień udziału jednostek w ugrupowaniu, podobnie jak i udział członków w sprawach rodu, plemienia, narodu, nie musi być i nie bywa bynajmniej jednolity. Ale to wszystko są tylko przejawy ustosunkowania jednostki do grupy, które może być różne u członków jednej społeczności i także u jednostki może w następujących po sobie okresach czasu podlegać wahaniom. Ustosunkowanie to jednak posiada pewne granice i wykraczając poza nie jednostka niszczy swój związek z grupą, jak się to mówi, przestaje być członkiem ugrupowania. Można w sposób bardziej lub mniej gorliwy uczestniczyć w życiu grupy, istnieją jednak pewne świadczenia, których grupa wymaga od każdego kto do niej należy, istnieje pewien konieczny stopień współudziału w życiu zbiorowym, który musi spełnić każdy członek grupy.

Czynności, które składają się na takie właśnie uczestnictwo określone przez samą grupę jako konieczne, nazywamy zakresem życia grupowego. Dla zakresu życia grupowego w określonym znaczeniu nie są zatem miarodajne nastawienia jednostek wobec grupy, lecz to co stanowi stałe i konieczne elementy uczestnictwa jednostki w życiu grupowym. Nazywa się najczęściej te elementy obowiązkami lub powinnościami członka wobec grupy, chociaż nie we wszystkich grupach używa się takiego określenia i nie do wszystkich da się ono zastosować. W ugrupowaniach wybitnie krótkotrwałych nie tworzy się żaden sąd o konieczności takiego czy innego uczestnictwa jednostki w życiu grupy, lecz spontaniczne wzięcie udziału przez jednostkę w procesie zbiorowym, spontaniczne związanie się jej z innymi jednostkami w społeczną całość rozstrzyga o przynależności do grupy. Natomiast w ugrupowaniach długotrwałych, w których uczestnictwo wszystkich członków nie może być stale jednakowo aktualne powstają normy regulujące, jakie czynności jednostka obowiązana jest spełnić, ażeby do ugrupowania należyć. W tych grupach powstają indywidualne odchylenia od norm i czasowe zaniedbania lub uchylania się

członków od* przepisowych form uczestnictwa. Jest już kwestją osobną, w jakich granicach są one jako zjawiska indywidualne dopuszczalne, a w jakich stają się czynnikiem usunięcia się jednostki poza nawias grupy.

Zakres życia grupowego w ten sposób pojęty, łączy się blisko z zagadnieniem rodzaju stosunków społecznych, na których opiera się życie ugrupowania. Towarzystwo finansowe lub klub sportowy zespalają swoich członków więzią stosunku społeczno-rzeczowego, wynikającego z dążenia do wspólnych, a w istocie swej, pozaspółecznych celów. Zakres życia tych grup przedstawia się jako węższy, aniżeli zakres życia grupowego w społeczności, która zespała swoich członków zarówno węzłem stosunku osobowego, jak i ustosunkowaniem do sfery wspólnie danych wartości. Rozróżniając grupy, oparte na stosunkach społeczno-rzeczowych, grupy oparte na stosunkach społeczno-osobowych, i wreszcie ugrupowania, w których podłoże życia społecznego stanowią równorzędnie stosunki jednego i drugiego rodzaju, możnaby przyjąć, że pierwsze i drugie są analogicznie grupami o zakresie ograniczonym do jednego wycinka rzeczywistości, dopiero zaś w grupie trzeciej przedstawiają szerszy i niewątpliwie zróżnicowany zakres życia grupowego. Byłoby to jednak ujęcie zbyt schematyczne i w pewnej mierze mylące. Bo ze stanowiska zakresu życia grupowego zagadnienie rodzaju stosunków społecznych i zbudowanych na nich ugrupowań doznaje nowego oświetlenia, które uchyla pozorną analogję.

Spotykane w socjologii określenie, że do grupy wchodzi się częścią swojej osobowości nie jest całkowicie ścisłe, ponieważ osobowości nie można dzielić na części, zbliża nas ono jednak obrazowo do istoty rzeczy, zwłaszcza gdy chodzi o niektóre typy grup społecznych. Człowiek uczestniczy w danej grupie o tyle o ile pewne cechy jego osobowości, kierunki zainteresowań i dążeń znajdują wyraz w świadectwach na rzecz grupy i wogóle w życiu grupowym. Kiedy więc jakaś grupa poświęca swoją działalność wyłącznie lub prawie wyłącznie specjalnym zadaniom np. ekonomicznym lub technicznym, jednostki należące do niej wkładają w życie grupowe tylko te swoje dane intelektualne, emocjonalne, wolicjonalne, które aktualizują się w owej działalności specjalnej, uczestniczą zatem w grupie jakby wycinkiem swojej osobowości, wszystko zaś, co nie wiąże się w nich z osiągnięciem zbiorowym wyników technicznych lub ekonomicznych, pozostaje poza

obrebem tego ich uczestnictwa grupowego. W tym jednak sensie zachodzi różnica zasadnicza między grupami, w których dominują stosunki społeczno-rzeczowe, a grupami, w których stosunki osobowe mają rolę naczelną. Gdzie nawet sama osobowość jest przedmiotem wzajemnego zainteresowania, tam stosunek społeczny, a za nim i ugrupowanie społeczne nie może absorbować jednostki tylko w jakiejś jednej specjalnej dziedzinie jej celów i zainteresowań, lecz zbliża się raczej do stanowiącego o istnieniu osobowości zespolenia cech w jedność indywidualną.

Grupy oparte na stosunkach osobowych i grupy oparte na stosunkach rzeczowych nie są więc co do zakresu życia grupowego zjawiskami analogicznymi. Grupa towarzyszy lub przyjaciół nie pochłania także całej osobowości swych uczestników; w najściślejszych stosunkach osobowych niektóre zainteresowania specjalne i kierunki działalności uchylają się z pod grupowej wspólnoty. Niemniej związanie jednostek w grupie społeczno-osobowej jest rodzajowo czemś innym i czemś pełniej ogarniającem osobowość, niż związanie ich w ugrupowaniu, w którym właściwa więź społeczna opiera się na wspólnocie zadań rzeczowych.

Mając tę zasadniczą różność na uwadze, łatwo możemy ze stanowiska zakresu życia grupowego określić, o ile mamy do czynienia z grupami, o czystym typie rzeczowym lub osobowym, o ile zaś elementy rzeczowe i osobowe zespalają się w istnieniu grupy. Wyraźniej występuje to zagadnienie przedewszystkiem w ugrupowaniach, które w działalności swojej są zwrócone ku celom pozaspołecznym. W grupach takich, jak wspomnieliśmy poprzednio, można się spotkać często z infiltracją elementów osobowych, które mogą wpływać na szczegóły działalności w grupie sportowej, technicznej i handlowej; często także wytwarza się na tle współpracy rodzaj koleżeństwa, pewien stosunek społeczno-osobowy, wynikający właśnie z zaangażowania się, zresztą bardzo jednostronnego szeregu osobników w związku społecznym. Z drugiej strony w grupach tego samego typu, mogą przejawy relacji osobowych nie pojawiać się zupełnie lub ujawniać się tylko w sposób bardzo nikły; wreszcie mogą w jednym i temsamem ugrupowaniu wytwarzać się pewne stosunki osobowe między niektórymi członkami grupy, gdy inni członkowie grupy wcale w nich nie uczestniczą. Otóż te wszystkie relacje personalne w grupach poświę-

cających się specjalnym celem rzeczowym są tylko przejawami, powstającymi na tle życia grupy, które jednak w zakres życia grupowego nie wchodzi. Grupa pozostaje grupą rzeczową czystego typu jak długo czynności, które uważa się za konieczne elementy uczestnictwa jednostki w grupie, ograniczają się do sfery działań społeczno-rzeczowych, to znaczy w każdym razie do działań, zwróconych ku wartościom i celom znajdującym się poza sferą osobowego stosunku między członkami ugrupowania. Dopiero wówczas, gdy wartość tego stosunku staje się istotnym czynnikiem życia grupy i uczestniczenie w tym stosunku staje się stałym elementem życia grupowego, wchodzi w zakres jakkolwiek pojętej powinności członka, grupa ulega przemianie i przestaje być grupą czysto rzeczową.

Nieco bardziej skomplikowanie przedstawia się sprawa z grupami o charakterze społeczno-osobowym. Osobowość bowiem nie jest niczem izolowanym od świata wartości religijnych, moralnych, estetycznych i innych, lecz przeciwnie aktualizuje się ustawicznie w odniesieniu do tych wartości. Stosunki zatem, które wynikają z wzajemnego oddziaływania osobowości, nie są także wolne od pewnego związku z światem tych wartości: tak przyjaźń łączy jednostki o podobnych nastawieniach moralnych, lub zbliżonych upodobaniach estetycznych. Linja graniczna między grupą czystego typu osobowego i grupą w której osobowe i rzeczowe stosunki zespalają się, daje się jednak i tutaj wyznaczyć. Jak długo stosunki między uczestnikami grupy zawierają się tylko w oddziaływaniu społecznym jednych na drugich i jak długo wartość społeczna wzajemnego ustosunkowania pozostaje jedynym celem grupy, zachowuje ona charakter ugrupowania społeczno-osobowego. Zmiana dokonywa się dopiero wtedy, kiedy koło przyjaciół lub towarzyszy w obręb życia grupowego wciąga działania, które zmierzają ku jakimś celom stojącym poza sferą bezpośrednich wartości społecznych: propagandę ideałów moralnych, dokonanie wspólnie jakiegoś przedsięwzięcia w zakresie sztuki, nauki lub techniki. I tu jednak musi się jeszcze rozróżnić między przygodnym obraniem sobie specjalnego zadania przez daną grupę a między włączeniem takiego zadania w stałą działalność grupową. Inaczej więc przedstawia się rzecz gdy jakiś zespół towarzyski decyduje się urządzić jednorazowo amatorskie przedstawienie teatralne, inaczej zaś, gdy postanawia stale się poświęcać tego rodzaju artystycznym przedsięwzięciom.

Jakkolwiek grupy o charakterze społeczno-osobowym i społeczno-rzeczowym nie są zjawiskami analogicznymi, wszelki proces przemiany tych grup w ugrupowania zespalające obydwa rodzaje stosunków społecznych można określić jako rozszerzenie zakresu życia grupowego. Istnieją grupy dla których proces taki przedstawiać może pewne niebezpieczeństwo. Kiedy w ugrupowaniu, które poświęca się działalności artystycznej, moment osobistego ustosunkowania się członków zaczyna stawać się samoistną i oddziaływującą na czynności grupy wartością, grupa może łatwo wykoleić się ze swoich torów. Podobnie przyjęcie jakiegoś zadania rzeczowego może oddziaływać burząco na ustalony już układ stosunków w grupie towarzyskiej lub przyjacielskiej. W miejsce roli, którą odgrywała wartość osobowa członków grupy zaczyna wysuwać się niewspółmierna z nią zdolność do wykonywania pewnych zadań specjalnych i równowaga dotychczasowych stosunków w grupie ulega zachwianiu.

Tak dzieje się tylko w ugrupowaniach, których rozszerzenie zakresu życia grupowego dokonywa się okolicznościowo i grupa nie okazuje się zdolną do zmiany swojej struktury. W innych grupach znajdujemy natomiast takie zespolenie elementów osobowych i rzeczowych, iż wyłączenie jednego lub drugiego elementu musiałoby oznaczać nie tylko zubożenie zakresu życia grupowego ale i całkowitą zmianę i prawdopodobny rozkład grupy.

Zespolenie tego rodzaju widzimy najlepiej w społecznościach opartych na więzi pokrewieństwa, na kryterjach rodowych. Podobnie jak w rodzinie obok ścisłej więzi stosunku osobowego zakres życia grupowego obejmuje tak samo działanie związane z majątkiem, gospodarstwem, a także z niektórymi wartościami idealnymi, tak też w rodzie, w klanie, w plemieniu występuje oparta na uświadomionych związkach pokrewieństwa solidarność społeczna wespół z działalnością zbiorową, która dotyczy obrony lub rozszerzenia posiadanego terytorjum, przedsięwzięć gospodarczych i technicznych, spraw obyczajów i kultów religijnych. Przytem stosunek osobowy i społeczno-rzeczowy nie pozostają oddzielnymi przejawami życia grupowego. Stosunek do wartości gospodarczych, religijnych i kulturalnych wogóle pogłębia i utrwała stosunek osobowy, gdyż urobienie osobowości jednostek, które mają działać w charakterze członków grupy dokonywa się w sferze wspólnego odniesienia do szeregu wartości.

W ten sposób pojęte zagadnienie z zakresu życia grupowego otwiera również drogę do ujęcia wielkich grup społecznych, które są nosicielkami całych cywilizacji, a których istnienie w charakterze osobnych całości społecznych zasadza się na domniemanej odrębności pochodzenia i uświadomionej odrębności typu osobowego. Te grupy, lud i naród w szczególności⁷ są właśnie społecznościami, w których proces rozszerzenia życia grupowego dokonał się w sposób najpełniejszy.

Zespolenie rzeczowych i osobowych elementów znajdujemy także w ugrupowaniach, wyodrębnionych przez inne kryterjum aniżeli uświadomione związki pokrewieństwa. Średniowieczna korporacja cechowa łączy swoich członków w szerokim zakresie życia grupowego: nie obejmuje ich tylko ze względu na uprawianą działalność rzemieślniczą, lecz zespala siecią wzajemnych obowiązków i świadczeń, normuje sprawy życia gospodarczego i obyczajowego, wciąga głęboko w obręb związku osobowość człowieka, wyznaczając jej kryteria moralne i religijne. Związek społeczny, jaki się tu uwydatnia, jest tem znamienny, że wyodrębnienie grupy dokonywa się ze względu na uprawianą w obrębie grupy działalność specjalną, a więc ze strony stosunków społeczno-rzeczowych, pełnię zaś swego zakresu osiąga grupa przez wciągnięcie osobowości i wytworzenie na tym podkładzie szerokiej sfery stosunków społeczno-osobowych.

Szkicując w ten sposób niektóre rysy grup społecznych w odniesieniu do zakresu życia grupowego można dostrzec, że zagadnienie tego zakresu daje się rozważać na dwu płaszczyznach, stosunku jednostki do grupy i działalności samej grupy. Z pierwszego punktu widzenia zakres życia grupowego — jak go już określiliśmy — przedstawia się jako całość tych czynności, które składają się na stałe i uważane za konieczne uczestnictwo jednostki w grupie. Zakres życia grupowego rozważany na innej płaszczyźnie to sfera, w której objawia się jedność grupy jako osobna całość. Grupę poznajemy w wystąpieniach, które zewnętrznie przedstawiać się mogą jako czynności wszystkich lub niektórych jej członków, lecz które w ich znaczeniu przypisuje się nie komukolwiek z tych członków, lecz samemu ugrupowaniu. Transakcje, których dokonywa towarzystwo finansowe, nagroda, którą uchwała akademja, zabawa, którą organizuje zespół towarzyski, wyrażają czem jest grupa i jaka jest sfera jej działal-

ności. Między zakresem życia grupy w tem znaczeniu, w którym możemy określić go jako zakres działalności grupy, a między zakresem życia grupowego, ujętego na płaszczyźnie stosunków jednostki do grupy, niema różności istotnej. Z dwu stron ujmujemy jedno zjawisko: świadczenia, które składają się na stałe uczestnictwo członków w grupie są równocześnie podstawą jedności grupy i stanowią o tem, w jakim zakresie działania ta jedność jest możliwa i faktycznie się objawia. Działalność grupy mieści coprawda jeszcze element dalszy, którego nie zawiera sam zakres życia grupowego rozpatrywany od strony udziału jednostki w tem życiu. Jest to mianowicie element normatywny wyrażający się w działalności grupy, która reguluje obowiązki swoich członków i która dokonywa oceny działalności tych członków na rzecz dobra zbiorowego. Każde trwalsze ugrupowanie, chociażby najbardziej specjalne, różnemi drogami od nieuchwytnych nacisków aż do pisanych postanowień prawnych wykreśla powinności swoich uczestników, każde udziela wyróżnień lub nagród za czynności gorliwiej grupie poświęcone, każde za zaniedbania lub uchylenia się od powinności gani członków lub wręcz wyłącza ich ze swego grona. I w tem znaczeniu jednak działalność grupy łączy się z zakresem życia grupowego, dotyczy go bowiem i ujmuje właśnie czynnościami regulującami i oceniającami. Jak głęboko może sięgać norma grupy, jakie mogą być kryteria oceny działalności członków, to właśnie jest funkcją zakresu życia grupowego.

Grupa rodowa, której członków zespala bliskie współzycie, stosunek wspólny do ideałów moralnych, troska o wspólny majątek i dobra materialne, wykreśla w odpowiednio szerokim zakresie krąg ich powinności, włączając weń postawy moralne, czynności gospodarcze, społeczne, techniczne. Średniowieczny cech, ogarniając życiem społecznem w dużym zakresie osobowość należących doń jednostek, stawia im nietylko zadania dotyczące uprawy rzemiosła, lecz równocześnie powinności religijne, moralne, obyczajowe, obowiązki wzajemnej pomocy i współpracy. Przeciwwstawienie skrajne takich grup znajdujemy w nowoczesnem stowarzyszeniu, które skupia członków tylko w odniesieniu do specjalnego obranego zadania rzeczowego i pozostawia poza obrębem zainteresowań grupy nietylko moralną i religijną stronę osobowości, ale i ogólną postawę społeczną człowieka.

Perspektywy dalszej problematyki.

Rozważania nad charakterem grup społecznych i zakresem życia grupowego nie mają być narzędziem klasyfikacji ugrupowań ludzkich. Gdy chodzi o charakter grupy zbyt wielką jest liczba ugrupowań, w których skojarzone są stosunki społeczno-osobowe i społeczno-rzeczowe, ażeby podział dokonany z tego stanowiska mógł dać praktycznie użyteczne wyniki. Jeśli zaś idzie o zakres życia grupowego to badania dokładniejsze musiałyby doprowadzić do wniosku, że nie mamy tutaj do czynienia z wyraźnie odcinającymi się sferami, ale z graduacją od zakresów najciaśniejszych ku coraz szerszym i pełniejszym przez głębsze wciąganie osobowości w obręb związku społecznego i przez zwiększanie zadań rzeczowych grupy.

Niemniej ujęcie rodzajów stosunków społecznych oraz zakresu życia zbiorowego w grupie ma znaczenie jako czynnik analizy socjologicznej. Dwa przytem zagadnienia nasuwają się w sposób szczególniejszy: zagadnienie relacji między różnymi grupami społecznymi i zagadnienie uczestnictwa jednostki w grupie i w życiu społecznym wogóle.

Roli społecznej jednostki nie wyznacza przynależność jej do jednego ugrupowania, ale cały splot stosunków społecznych w obrębie którego upływa jej życie i mnogość grup społecznych do której przychodzi jej należeć. Taksamo obraz środowiska społecznego, to obraz nie jednej grupy społecznej chociażby najsilniejszej liczbą członków i znaczeniem, lecz całego szeregu współistniejących, zązębiających się o siebie i ścierających się ze sobą ugrupowań.

Otóż zagadnienie współistnienia zgodnego, lub też współzawodnictwa i walki między różnymi grupami, działającymi w jednym środowisku, to przedewszystkiem kwestja zakresu życia grupowego. Najłatwiej możemy sobie przedstawić zgodne współistnienie w jednym środowisku różnych grup, które absorbują jednostkę tylko w ciasnych zakresach specjalnych zadań rzeczowych i związanych z niemi spraw organizacyjnych. Spółka handlowa, klub sportowy, stowarzyszenie miłośników teatru, towarzystwo dobroczynne istnieją obok siebie bez specjalnych antagonizmów i jednostka w ramach swoich społecznych możliwości jest zdolna należeć do tych wszystkich ugrupowań i rozwijać w ich obrębie pewną działalność. Bezspornie istnieją i między takimi ugrupowaniami podstawy dla

pewnego antagonizmu, które polegają nietylko na kolizji między celami i działalnością grup, ile na świadomości, że jednostka nie może zbyt rozpraszać swojej energii społecznej i że angażując się gorliwie w jednej grupie, może z łatwością osłabić swój współdziałal w życiu innego ugrupowania. Częściej jednak niż antagonizm dokonują się między podobnymi grupami podział materiału ludzkiego, polegający na tym, że w jednym środowisku ugrupowania skupiają częściowo różne jednostki, zależnie od ich zainteresowań i skłonności.

Nie tak łatwo przedstawia się zagadnienie współlistnienia tych ugrupowań, w których dominują stosunki społeczno-osobowe. Nie znaczy to, by jednostka miała należeć tylko do jednego kręgu stosunków osobowych; zazwyczaj należy ono raczej do kilku takich kręgów, z których każdy ujmuje jej osobowość na nieco innej płaszczyźnie. Niemniej prawie powszechnie ujawnia się między grupami o charakterze społeczno-osobowym rywalizacja i współzawodnictwo, tem chociażby wytłumaczalne, iż każda z grup obawia się, by inne ugrupowanie nie absorbowало zbyt silnie osobowości jednostki i by nie odciągnęło jej zainteresowań i nastawień poza sferę stosunków pierwszej grupy. Najstarszym może przejawem takiego współzawodnictwa jest emulacja pomiędzy grupami, w których stosunki osobowe oparte są na różnicy płci i związku mężczyzny i kobiety, a między grupami łączącymi jednostki jednej płci, podobnego wieku, podobnego typu działalności. Już w społeczeństwach o typie cywilizacji niezbyt różnicowanej i niezbyt wysokiej, więc w tak zwanych społeczeństwach prymitywnych lub barbarzyńskich, uwydatniają się takie niezupełnie zgodne relacje między grupami małżeńsko-rodzinnymi, a tak rozpowszechnionymi i ważnymi związkami mężczyzn.⁸ W różnych formach i różnych postaciach te konflikty między kręgami rodzinnymi, a kręgami towarzyszy pojawiają się w różnych społeczeństwach i niektóre ich znamiona może wydobyć analiza tak samo w życiu nowoczesnych społeczeństw cywilizowanych.

Ugrupowania, które w swej strukturze kojarzą elementy społeczno-osobowe i społeczno-rzeczowe, są dzięki szerokości swoich zakresów terenem, na którym najsilniej wyrastają wszelkie antagonizmy pomiędzy grupami i w których też ścieranie się tych zakresów, ich zwięzania się i rozszerzania kosztem innych ugrupowań tworzą jeden z ważnych momentów społecznego życia. Na terenie tych grup występuje też jako szczególnie ważne zagadnienie hierarchji grupowej

i tych stosunków pomiędzy grupami, dzięki którym jedne z nich zyskują supremację nad innymi i przedstawiają się nam jako nadrzędne, inne zaś pozostają od nich przynajmniej częściowo uzależnione, bądź w zakresie swego życia, bądź nawet w pełnionych przez siebie funkcjach specjalnych.

Już te uwagi, zresztą luźne i pobieżne, prowadzić muszą do przyjęcia, iż między liczbą grup, działających w jednym środowisku, a między ich charakterem i zakresem zachodzi pewien związek. O ile różnicowanie społeczeństwa ujawnia się w pomnożeniu ilości grup społecznych, to zatem idzie również zwężenie zakresów życia grupowego, zwężenie tych sfer rzeczywistości, na płaszczyźnie których jednostka uczestniczy w poszczególnych ugrupowaniach. Najbardziej typową formą tego zwężenia jest ograniczenie grup, które poświęcają się specjalnym zadaniom rzeczowym, do sfery stosunków społeczno-rzeczowych ściśle z temi zadaniami związanych. Nietylko jednak w grupach tego rodzaju występuje zjawisko zwężenia zakresu życia grupowego i nie jedyna to jest jego forma. W grupach, w których bądź dominują bądź występują jako ważny współczynnik stosunki osobowe, redukcja życia grupowego ujawnia się w dwojakiej postaci. Gdzie grupa na podkładzie stosunków osobowych kształtuje własne zadania rzeczowe, redukcja ta polega na stopniowym eliminowaniu czynności i zadań specjalnych, które przypadają w udziale osobnym wyspecjalizowanym w nim ugrupowaniom. Śledząc dzieje stosunku rodziny i grup rodowych do powstających obok nich ugrupowań zawodowych i innych jesteśmy właśnie świadkami takiej stopniowo dokonywanej się redukcji zakresu życia grupowego. Inną mniej uchwytłą postać przybiera redukcja życia grupowego w grupach o charakterze społeczno-osobowym, które zadań rzeczowo-specjalnych nie mają wogóle. W nich ta redukcja tak wygląda, iż osobowość uczestniczy w związku społecznym w sposób coraz mniej pełny, bo poza sferą więzi osobowej pozostają wszelkie zainteresowania specjalne i odpowiadające im kierunki działalności, których społeczna realizacja znajduje swój wyraz w innych grupach.

Nowoczesną cywilizację zachodnią cechuje wielka liczba ugrupowań i przynależność jednostki do większej liczby grup równocześnie. Analizując i oceniając to zjawisko Simmel podnosi, że przynależność do wielkiej liczby grup idzie w parze z wrastaniem indywidualnego stanowiska jednostki i z tworzeniem się niezależnej od jednej grupy

osobowości;⁹ przynależność do innych grup jest tym czynnikiem, który uwalnia jednostkę od nadmiernego wpływu i nacisku jakiegokolwiek ugrupowania.¹⁰ Teoria ta wydaje się i dzisiaj słuszną, jednak w ujęciu zjawiska, o które chodziło Simmelowi, jesteśmy skłonni dzisiaj dostrzec i podkreślić raczej inne momenty i także ocenę jego przesunąć na inną nieco płaszczyznę.

Ze stanowiska rodzaju stosunków, które są podłożem ugrupowania społecznego, przynależność równoczesna do wielkiej liczby grup społecznych ma jeden przedewszystkiem rys znamieny. W liczbie tych grup muszą jak się zdaje przeważać bardzo znacznie grupy o charakterze społeczno-rzeczowym, i to grupy o jak najciaśniej wyodrębnionym zakresie życia grupowego. Istotnie grupy ekonomiczne, związki zawodowe, stowarzyszenia sztuki lub nauki, kluby sportowe i rozrywkowe, które spotykamy w nowoczesnym zróżnicowanym społeczeństwie — wszystkie one tylko ze względu na jakąś specjalną sferę rzeczywistości wciągają jednostkę w obręb swego życia i rdzeń jej osobowości pozostawiają całkowicie poza sobą. Równocześnie jednak zarówno fakt przynależności do licznych grup, jak i typ przynależności grupowej reprezentowanej przez udział we wspomnianych ugrupowaniach nie mogą, jak wydaje się, pozostawać bez wpływu na uczestnictwo jednostki w grupach innego rodzaju. W tym związku możnaby tłumaczyć słabnięcie wspólnoty rodzinnej i zwężanie się zakresu życia rodzinnego w społeczeństwach nowoczesnych; tu również należałoby szukać dróg do zrozumienia procesów nadwątlających istnienie społeczności, w których stosunki osobowe wiążą się z szerokimi zadaniami kulturalnymi.

W ten sposób, to co z jednego punktu widzenia przedstawia się jako uniezależnienie indywiduum od grupy, to rozważane na innej płaszczyźnie prowadzi do sądów o rozszerzaniu się sfery osobowości społecznie niezwiązanej i co zatem idzie do społecznego osamotnienia jednostki w najgłębszych może pokładach jej życia duchowego. Ma zaś ten proces znaczenie tem znamiennejsze jeśli dostrzegamy, że tem co coraz bardziej pozostaje w miarę potęgującego się zróżnicowania społecznego poza obrębem zainteresowania grup społecznych, jest właśnie moralna strona osobowości człowieka. To też twierdzenie Simmela, iż liczba różnych kręgów społecznych w obrębie których stoi jednostka, jest miernikiem kultury,¹¹ może się wydać na tle tych rozważań jednostronne.

Kwestje, do których zbliżamy się tą drogą, należą do sfery skomplikowanych zagadnień, w których krzyżują się różne i trudne momenty problematyki socjologicznej. To też w zaznaczeniu tych kilku rysów nie szło o stwierdzenie jakichkolwiek zależności pomiędzy faktami społecznymi, lecz jedynie o wskazanie perspektyw, które otwierają się, gdy podchodzi się do zagadnień grupy społecznej, mając na uwadze charakter grupy wyznaczony przez rodzaj dominujących w niej stosunków społecznych oraz zakres życia grupowego. Obok zagadnienia stosunków między grupami społecznymi, dostrzegamy tutaj przede wszystkim problem uspołecznienia jednostki, tak ważny zarówno dla teorii socjologicznej jak i dla polityki społecznej, która bada możliwości kształtowania stosunków społecznych i wiązania ludzi w zbiorowe całości. Uspołecznienie, rozumiane jako wciągnięcie jednostki ludzkiej w obręb życia społecznego i w szczególności grupowego, jest nie tylko zagadnieniem psychologii społecznej, ale bezpośrednio łączy się z problemami struktury grupy społecznej i struktury społeczeństwa, jako układu współistniejących grup różnych. Występuje związek między warunkami i możliwościami uspołecznienia a charakterem grup danych jednostce w jej środowisku i zakresie ich życia.

W ten sposób elementarne zagadnienia z zakresu teorii grupy społecznej o formalnym napozór tylko znaczeniu prowadzą bezpośrednio ku wielkiemu problemowi człowieka i społeczeństwa, ku pytaniu, czym jest dla jednostki życie społeczne wogóle i grupa w szczególności.

PRZYPISY

¹ Por. Znaniecki: *Socjologia wychowania*, T. I. Warszawa 1928, str. 28 nn.

² Zagadnieniu normy w grupie poświęcone są analizy w dziele prof. Znamierowskiego: *Prolegomena do nauki o państwie*. Warszawa 1930.

³ Znaczenie stosunków w teorii grup uwydatniła szczególnie socjologia Wiesego (v. Wiese: *System der allgemeinen Soziologie*. 2 Aufl. München—Leipzig 1933).

⁴ Maunier: *Essais sur les groupements sociaux*. Paris 1929.

⁵ Durkheim: *De la division du travail social*. 6. éd. Paris 1932.

⁶ Dobre terminy w języku niemieckim *Personenbeziehung* i *Leistungsbeziehung*. W związku z zagadnieniami obyczaju i prawa użył ich F. Darmstaedter. *Leistungsbeziehung und Personenbeziehung*. Archiv f. Sozialwissenschaft u. Sozialpolitik. Bd. 58. Tübingen 1927.

⁷ Znaniecki: *Socjologia wychowania*, tom I. Warszawa 1928, strona 40 nn., określa te grupy, jako grupy kulturalne.

⁸ Schurtz: *Altersklassen und Männerbünde*. Leipzig 1902, poświęca w pierwszym rozdziale uwagi zagadnieniu grup małżeńsko-rodzinych i grup męzczyzn oraz stosunku między temi grupami.

⁹ Simmel: *Soziologie*. Leipzig 1908, str. 413 i nn.

¹⁰ To podkreślił Schurtz l. c. str. 64.

¹¹ Simmel l. c. str. 411.

EDWARD ARNEKKER — WARSZAWA.

O KONTROLOWANEJ OBSERWACJI PORÓWNAWCZEJ, JAKO METODZIE BADANIA STRUKTURY I WŁAŚCIWOŚCI ZESPOŁÓW SPOŁECZNYCH

I. Ogólnie o metodzie w socjologii.

Podstawą wiedzy o społeczeństwie musi stać się z natury rzeczy nauka o strukturze społecznej, opierająca się na dokładnej znajomości tworów społecznych, zwanych w socjologii grupami społecznymi albo, co na jedno wychodzi, ale brzmi lepiej zespołami. Jak dotychczas, mimo znacznego rozwoju tej nauki, znajomość procesów, jakie zachodzą w zespołach, wzajemnych zależności między częściami zespołów, formami i drogami oddziaływania w zespole i przez zespół — wszystko to znajduje się jeszcze ciągle raczej na pograniczu zagadnień najczęściej poruszanych. Nic dziwnego, że w tych warunkach posługiwanie się terminem „zespół“ niema większego znaczenia; wszystko bowiem pod ten termin da się podciągnąć, a naukowa klasyfikacja „zespołów“ zupełnie nie rusza z miejsca. Szkoła Wiesego w Niemczech, która czyni może najwięcej w tym kierunku, poza bardzo interesującymi pracami samego twórcy szkoły właściwie do dziś operuje terminologią apriorycznego charakteru.

Rozwój nauki na polu badania struktury społecznej nie powinien właściwie napotykać na większe przeszkody od czasu uzgodnienia, choćby względnego, podstawowych poglądów na istotę socjologii jako nauki. Ugruntowało się już wszak dostatecznie przekonanie o konieczności przejścia od spekulacji do badań bezpośrednich nad istotą poszczególnych *środowisk* społecznych; widowym znakiem tego są „surveys“ amerykańskie (opracowywane przez tych, którzy pragną stosować socjologję praktycznie) oraz coraz liczniej pojawiające się prace socjograficzne.

Przedmiotem badań socjologii są procesy społeczne, jakie zachodzą między osobnikami ludzkimi, powiązanymi w zespołach społecznych. Dla zbadania tych procesów i ich treści sięgnąć trzeba do procesów świadomości indywidualnych wchodzących w skład zespołów. Powiązania badanego z resztą członków zespołu, stanowisko jego w danej całości społecznej, wyznaczone przez wzajemne postawy społeczne, odległości społeczne, będące wynikiem tych postaw i możliwości oddziaływania — oto treść świadomości społecznej jednostek, a z drugiej strony — przedmiot socjologii w dziale zajmującym się strukturą społeczną.

Jak dotychczas, ci, którzy reprezentują przyrodniczy punkt widzenia, wyrażają opinię, że nauka o społeczeństwie wogóle nigdy nie uzyska podstaw wobec trudności badania całości, w których sam badacz bierze udział jako pewna część. Trudność podejścia eksperymentalnego jeszcze więcej wzbudza wątpliwości co do naukowej wartości badań, które nie mogą oprzeć się na eksperymencie.

Otóż życie społeczne przez ogromne zróżnicowanie stwarza coraz to większe możliwości obiektywnego podchodzenia do zjawisk społecznych przez badacza; z drugiej strony, nie stwarzając umyślnie sytuacji dowolnych, badacz ma możliwość podejścia do zjawisk, które go interesują w sposób analogiczny do eksperymentalnego. Czyni on to wówczas, gdy traktuje zjawisko społeczne jako szereg zmian szybko po sobie następujących: rodzaj tych zmian stanowi właśnie o istocie procesu społecznego, który stanowi przedmiot jego badania; o ile więc uwzględnia on coraz więcej istotę zmiany społecznej, stanowiącej o procesie społecznym, to tem bardziej oddala się od statycznego ujmowania zjawiska społecznego, a zbliża się do stanowiska przyrodniczo-eksperymentalnego.

Zwrócić trzeba uwagę na to, iż sam proces zachodzący w świadomości ludzkiej w zespole nie daje się inaczej ująć, jak tylko drogą rejestrowania następujących po sobie stanów świadomości, które to stany wyrażają się w postawach względem osób wchodzących w skład zespołu, i przez postawy tych osób są uwarunkowane. W miarę więc, jak następują zmiany w postawach osób wchodzących do zespołu — następują i zmiany w stanie świadomości społecznej danej osobowości. Tylko więc metoda rejestrowania tych stanów, dająca pogląd na zmiany w ustosunkowaniach społecznych osobowości, może przynieść odpowiedź na główne zagadnienia badania socjologicznego.

Wobec tego, iż w każdym zespole wszyscy jego członkowie oddziałują w pewien sposób na istotę procesu społecznego — badanie socjologiczne winno zaczynać od takich zespołów, w których liczba członków jest ograniczona, dzięki czemu można będzie ująć badaniem wszystkich członków zespołu. Rola społeczna poszczególnych osób w zespole jest tak różnorodna, a ta różnorodność — tak istotna dla życia społecznego, że należy z jaknajwiększą energią dążyć do wyjaśnienia roli społecznej wszystkich osób wchodzących w skład zespołu, począwszy od tych, którzy są wybitni, stanowią elitę i piastują role zaszczytne, włącznie do tych, którzy stanowią element podrzędny, spełniają funkcje pogardzane i zaliczani są do „proletariatu“ społecznego, a nawet do „wyrzutków“ społecznych.

Należy ująć badanie zespołu społecznego jako obserwowanie zmian w postawach wszystkich członków zespołu do siebie, i rejestrując owe postawy — porównywać je jaknajczęściej ze zmianami zachodzącymi w osobowościach danego zespołu, jak i zespołów innych. Badanie to musi więc polegać na częstym kontrolowaniu zmian i porównywaniu tych zmian: z tych powodów można tego rodzaju badanie nazwać kontrolowaną obserwacją porównawczą w badaniu zmian postaw społecznych jednostek w zespole.

Tego rodzaju badanie, polegające na zbieraniu obserwacji, porównywaniu ich i kontrolowaniu, napotyka na trudności, oceniane zwykle jako nie do przewyciężenia; chodzi o to, że przy badaniu wzajemnych postaw indywidualnych w zespole zachodzi konieczność zebrania wypowiedzi indywidualnych wszystkich członków zespołu o wszystkich innych. Wobec zależności różnego rodzaju jakie naogół istnieją w zespołach ludzkich oraz zwykłego w takich wypadkach braku zaufania do zbierającego i opracowującego materiał — wypowiedzi te bywają często nieszczerze bądź zafalszowane. Ponieważ nie można tutaj zbierać wypowiedzi bezimiennych, wszystkie bowiem wypowiedzi — wobec konieczności ustalenia wzajemności w nastawieniach indywidualnych do siebie — muszą być imienne, wielu kwestjonuje naukową ich wartość. Wydaje mi się jednak, że tutaj spoczywa istotna trudność wszelkiego badania czysto socjologicznego i to trudność, której nie da się pominąć w żadnym socjologicznym badaniu. Tam gdzie chodzi o wzajemność nastawień, bezimiennosc nawet najściślej ujętych wypowiedzi nie zastąpi nigdy imiennych,

częściowo nawet wadliwych wypowiedzi. Stąd wniosek, iż należy przystąpić z konieczności do zbierania takich właśnie wypowiedzi i, eliminując nieudane, przystępować do opracowywania tych, które mają charakter wypowiedzi szczerych.

Wobec konieczności uzyskania szczerych wypowiedzi imiennych, musimy wielki nacisk położyć na konieczność zagwarantowania pełnej tajności wypowiedziom indywidualnym. Zbierający tego rodzaju dane winien być socjologiem, bądź znać metody socjologicznego badania; pozatem musi on posiadać zaufanie badanego środowiska, połączone z przekonaniem, że nie zużytkuje on zebranych informacji ani przeciw poszczególnym członkom zespołu, ani przeciw całemu zespołowi jako takiemu. Z tego wynika, iż badań tego rodzaju nie może przeprowadzić bezpośredni ani nawet pośredni przełożony, ani też jednostka, od której zespół jest uzależniony, bądź w stosunku do której zespół znalazł się w układzie jako podrzędny w stosunku do nadrzędnego. Eliminowanie tak wielkiej liczby osób z szeregów ewentualnych badaczy sprawi niewątpliwą trudność, stanowi jednak konieczny warunek badania.¹

II. Wypowiedzi członków zespołu o sobie jako materiał socjologiczny.

Jednym z rodzajów wypowiedzi odnoszących się do badania struktury społecznej jest biografia społeczna; najczęściej używanym

¹ Czynnikiem, który wpływa bardzo silnie na szczerłość wypowiedzeń jest właściwe poinformowanie zespołu dotyczące celów badania. Koniecznym wydaje się poinformowanie dosyć szczegółowe, operujące zrozumiałymi przykładami z poprzednich badań, do czego służy tego rodzaju badanie zespołu, przedstawienie zaś późniejsze opracowanego materiału w formie przedstawienia zespołowi jego głównych charakterystyk społecznych i jego struktury z zasady wzbudza ogromne zainteresowanie i nawet entuzjazm do tego rodzaju badań. To też o ile pierwsze badanie napotyka jeszcze na znaczne trudności to każde następne odbywać się powinno w warunkach coraz to lepszych, członkowie zespołu bowiem coraz wyraźniej rozumieć będą cel badania i coraz ściślej ustalać własne postawy względem poszczególnych członków zespołu; naturalnie w międzyczasie badający nie powinien dopuścić do tego, by zaufanie do niego zostało zachwiane, wpłynęłoby to bowiem niekorzystnie na wartość wypowiedzi.

rodzajem wypowiedania się społecznego jest autobiografia, która szczególnie w ostatnich czasach zyskała na znaczeniu, jako sposób zbierania materiału socjologicznego. Naturalnem jest, że o ile socjologia ma stać się badaniem procesów społecznych, a więc przede wszystkim badaniem stanów opartych na wzajemności przebiegów, to autobiografia staje na pierwszym miejscu jako materiał socjologiczny i pod tym względem dystansuje biografię, która z konieczności daje materiał mniej wartościowy. Autobiografia aby mieć jaknajwiększą wartość jako źródło dla badań — musi być życiorysem uwzględniającym przede wszystkim postawy społeczne wypowiadającego się do jednostek i zespołów w miarę jak te jednostki i zespoły oddziałują nań w życiu. Powinna dać pełny obraz tych oddziaływań, a w szczególności uwzględniać zmiany jakie zachodzą w postawach społecznych tego, na którego zespół oddziałuje. Autobiografie więc, jako materiał socjologiczny zbierane, winny dostarczać jaknajwięcej postaw charakterystycznych dla różnych środowisk społecznych i z tego powodu zbierane one są w pewnych wyłączeniach środowiskach, a więc autobiografie robotnicze, autobiografie z życia zawodowego itp. Trudnością istotną opracowania autobiografii i użytkowania ich do jakichś uogólnień w socjologii jest to, że trzeba tu bardzo wielkiego nakładu pracy, a więc wielkiej ilości autobiografii, ażeby można było sądzić o całości, a właściwie mówiąc, aby zdobyć dość bogaty materiał reprezentacyjny do właściwego oświetlenia tak bogatej zawsze rzeczywistości społecznej, która, dając nawet egzemplarze i jednostki „typowe“ zawsze i jednocześnie aż nazbyt wiele daje odchyień od tego co można uznać za „typowe“ i wprowadza trudność co uznać za „typowe“ a co nie.

Podjęcie więc do badania społecznego poprzez autobiografię, niewątpliwie bardzo właściwe — ze względu na pracę, jaką należy każdorazowo wykonać, ze względu na trudność zdobycia dostatecznego materiału, wreszcie ze względu na niebezpieczeństwo, jakie zachodzi zawsze przy operowaniu materiałem tylko reprezentacyjnym a więc opuszczenia wielu nader istotnych wiadomości o życiu danego środowiska społecznego — pozostanie jednak zawsze tylko jednym ze środków metody socjologicznej. Metoda ta, idąc od całokształtu nastawień jednostki do wszelkich środowisk, z jakimi się styka (to właśnie winna dawać autobiografia) — nie może na tem poprzestać, lecz z konieczności musi się oprzeć jednocześnie na badaniu poszcze-

gólnych nastawień w jakimś pojedyńczem środowisku społecznem, obejmując zato wszystkie jednostki tego środowiska: jest to przede wszystkim dostępne wszędzie tam, gdzie dane środowisko liczy pewną ograniczoną liczbę członków oraz składa się z indywidualów wykazujących wspólne cechy (poszczególne zawody, klasy szkolne, oddziały wojskowe, grupy religijne itp.)¹

W ten więc sposób właściwa metoda socjologiczna polegałaby na jednoczesnem zastosowaniu dwóch kierunków badania, z których a) pierwszy polegałby na zbieraniu możliwie wyczerpujących autobiografij odnoszących się do osób danego środowiska, naturalnie przedstawiających z konieczności materiał zebrany drogą reprezentacyjną: tutaj znaleźlibyśmy materiały ilustrujące formowanie się osobowości typowych dla danego środowiska, wpływ obcych zespołów na te osobowości i obecne ustosunkowanie się osobowości do tych obcych zespołów, oraz b) drugi, któryby polegał na uzyskaniu wypowiedzi wszystkich członków zespołu względem wszystkich swych współkolegów, a więc uzyskanie wykazu wzajemnych postaw społecznych w zespole.

W niniejszym szkicu ograniczyć się pragnę wyłącznie do przedstawienia materiałów i omówienia metod ustalania wzajemnych postaw społecznych w zespołach, na początek w bardzo ograniczonym zakresie tak co do liczby zespołów, jak i co do liczby osób wchodzących w ich skład. Chodzi mi przede wszystkim o to, aby można było zastosować jednolitą metodę zbierania wypowiedzi w różnych środowiskach społecznych, a więc w środowisku rodzinnem, szkolnem, religijnem, zawodowem, wojskowem, sportowem itd. Przedstawiony tutaj projekt jest pierwszą próbą tego rodzaju badania; ograniczony do bardzo niewielkiej liczby pytań, operuje materiałem zebrany tylko z jednego środowiska społecznego i przedstawia tylko część opracowanego materiału: wobec tego ciężar gatunkowy pracy leży raczej w opisie zastosowanej metody, aniżeli we wnioskach, jakie z opracowania wynikają.

¹ Metodę zbierania masowego autobiografij stosują u nas, o ile mi wiadomo, trzy instytucje naukowe t. j. *Polski Instytut Socjologiczny* w Poznaniu, *Instytut Gospodarstwa Społecznego* w Warszawie i *Żydowski Instytut Naukowy* w Wilnie.

III. Zastosowanie zbierania wypowiedzi w praktyce i zakres tego rodzaju badania.

W poszukiwaniu sposobów zbierania wypowiedzi wszystkich członków zespołu, któreby służyły za materiał do określenia postaw tych członków do siebie, zastanowić się należy nad tem, jakie wypowiedzi charakteryzują najlepiej postawy społeczne osób. Zapytując bowiem wzajemnie członków zespołu o postawy względem członków danego zespołu, zebrać możemy bardzo wiele materiału, który w konsekwencji nie da nam poglądu na to, czym jest dany zespół, a więc np. nie wyjaśnia, czy należy uważać go za bardziej czy też mniej skonsolidowany, czy istnieje w nim więcej czy mniej antagonizmów, i czy całość formuje się naokoło tej czy też innej indywidualności. Chyba nieprędko wynaleziony zostanie uniwersalny sposób, który umożliwi udzielanie wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie te i szeregi innych jeszcze pytań. Obecnie chodziłoby więc o zdobycie najbardziej podstawowych danych dotyczących charakterystyki ogólnej zespołu, roli poszczególnych członków w całości, wykazu jednostek społecznie przodujących, ich wzajemnego stosunku do siebie, oraz, obok listy określającej miejsce każdego członka w zespole wykazu jednostek „upośledzonych“ t. j. dla tych lub innych powodów nie odgrywających dodatniej roli społecznej w zespole, lub odgrywających, — zdaniem wypowiadających się — rolę ujemną: wszystko to naturalnie w ujęciu należących do zespołu osób.

Już te zagadnienia, które powyżej zostały wymienione, wskazują na to, w jakim kierunku winny iść pytania, ale z drugiej strony nadają pytaniom tym bardzo szeroki zakres. Aby się zbyt nie rozprasać, zadając każdemu wiele naraz pytań, a także ze względu na trudności opracowania większej liczby wypowiedzi, trzeba się uciec do wypowiedzi jaknajbardziej stereotypowych i jaknajmniej licznych. To też ująłem całość tylko w dwóch zapytaniach, które dają jednak całą gamę postaw członków względem siebie w zespole.

W dwóch pytaniach należało ująć te nastawienia członków do siebie, które są najbardziej twórcze społecznie, które więc wpływają najsilniej na wzajemne postawy i wywołują w nich zmiany. Jakież to nastawienia wpływają najsilniej na zmianę postaw ludzi do siebie w ramach zespołu? Otóż jednym

z nich jest nastawienie uczuciowe, a więc — sympatja względnie antypatja członków zespołu do siebie. Odgrywają one rolę decydującą wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z zespołami, do których jednostki wstępują wyłącznie pod wpływem własnej woli: nazywam te zespoły „woluntarnymi“ w przeciwstawieniu do tych, do których jednostka wstępuje niezależnie od swej woli, a które zowią zespołami „przymusowymi“ (np. rodzina, w której człowiek przychodzi na świat). Znaczenie dodatniego lub ujemnego nastawienia uczuciowego członków do siebie wzrasta więc bardzo w zespołach pierwszego typu (t. j. woluntarnych), przyczem znaczenie to rośnie tem bardziej, im wyrobienie społeczne członków danego zespołu jest mniejsze i odwrotnie. W niektórych zespołach tego typu dodatnie nastawienie uczuciowe członków do siebie stanowi bodaj główny czynnik twórczy społecznie: np. możemy to powiedzieć częściowo o życiu towarzyskiem społeczeństwa, które się formuje w ramach jednej warstwy czy klasy społecznej; tutaj ludzie często zbliżają się do siebie pod wpływem sympatji, którą wywołać może cały szereg czynników. Wśród różnych form współżycia ludzi cierpi ono bardzo silnie z powodu wzajemnych negatywnych postaw społecznych uwarunkowanych silną antypatją.

Nie znaczy to by w zespołach, gdzie wybór członków nie zależy od naszej woli, wzajemne uczucia nie oddziaływały na konsolidację, a więc będą one odgrywały poważną rolę np. w zwykłym zespole wojskowym (kompanji piechoty), gdzie wzajemne sympatje lub antypatje, związanych koniecznością służby jednostek, często przeżywających bardzo ciężkie chwile, mogą utrudnić bardzo realizację celów społecznych i pozaspołecznych danej całości.

Wybierając wśród innych czynników nastawienie uczuciowe jako jedno z tych, które ma nam dać oświecenie charakteru funkcjonalnego pewnej całości społecznej — zdajemy sobie sprawę z tego, iż mamy tutaj do czynienia z czynnikiem, najbardziej ogólnym kształtującym stosunki międzyludzkie; sam on nie daje jeszcze wyraźnego poglądu na daną zbiorowość. Z drugiej strony — czynnik ten można traktować jako pewien kompleks rozkładający się na szereg czynników prostszych i obejmujący niezbyt jednorodne elementy; według np. Schelera mamy kilka rodzajów sympatji, do której zaliczymy tak litość, miłosierdzie, jak i pragnienie współodczuwania, a więc różne elementy.

Pomimo tych objeekcyj będziemy tymczasowo traktować nastawienie uczuciowe jako element (a więc całość nierozkładalną), posiadający w dodatku tę wielką zaletę, że jest ściśle odgraniczony od innych: ponieważ indagowany zdaje sobie sprawę ze swego stanu uczuć, może wobec tego ściśle określić ustosunkowanie się do drugiej osoby.

Ponieważ czynnik uczuciowy nie może sam przez się dostarczyć wystarczającej podstawy do wytworzenia sobie ogólnego nawet poglądu na strukturę jakiegoś zespołu, sięgamy przeto do drugiego jeszcze czynnika, jakim jest sąd każdego ze stowarzyszonych o walorach współtowarzyszy, naturalnie w odniesieniu do ich własnego zespołu. Wyszuną się więc tu na plan pierwszy te wartości, jakie indywidua reprezentują w charakterze członków zbiorowości lub zrzesseń, a więc przede wszystkim walory koleżeńskie, jak uczynność i uprzejmość, oraz zdolność podtrzymywania na duchu innych, sprawiedliwość i t. p.; nie mają zaś znaczenia dla oceny roli społecznej takie cechy jak — zdolności i szczególne umiejętności, oraz pracowitość i t. p., o ile te niewątpliwe walory indywidualne — w świadomości stowarzyszonych — nie znajdują żadnego zużytkowania we współżyciu społecznym, a są natomiast w całości i wyłącznie wykorzystywane przez ich posiadaczy na własne indywidualne potrzeby.

W ten sposób zapytując każdego z członków zespołu co czuje i co sądzi o zrzyszonych — każemy mu przy pierwszej odpowiedzi zagłębić się na chwilę w siebie i uprzytomnić sobie, czy charakter jego uczuć dla danego współtowarzysza jest dodatni, czy ujemny — czy ewentualnie obojętny, przyczem, nie powinien on swej wypowiedzi zabarwiać żadną oceną; z drugiej strony — stawiamy mu wymagania, by odpowiadając na pytanie drugie pozostawił swe nastawienia uczuciowe na boku i dał wyraz wyłącznie swym sądom o danej jednostce. Te dwie odpowiedzi wchodzące ze sobą w związek i będące w szczególnej łączności wewnętrznej, pragniemy traktować następnie jako całość, składającą się na postawy społeczne członków zespołu do siebie. Nie otrzymujemy przez to monotonnej stereotypowości wypowiedzi, lecz dość barwną gamę różnych postaw, na które składają się tak uczucia jak i sądy — wobec tego, że każda z dwóch odpowiedzi przewiduje nie dwa, lecz trzy typy odpowiedzi. A więc w nastawieniach uczuciowych rozróżniamy: dodatnie (sympatja),

ujemne (antypatja) i obojętne („zerowe“); podobnie jeśli chodzi o ocenę walorów rozróżniamy trzy typy odpowiedzi, a więc: wartościowy (dodatni), szkodliwy (ujemny) i bez znaczenia (obojętny) dla grupy. Jeżeli wziąć pod uwagę, że każde z trzech nastawień uczuciowych występuje łącznie z każdą z 3 ocen walorów — to uzyskujemy w ten sposób bardzo zróżnicowane postawy społeczne członków zespołów, przyczem rozróżnić musimy aż 9 różnych postaw społecznych, z których każda świadczy o innym ustosunkowaniu się współczłonków do siebie, wszystkie zaś razem dają bogaty bardzo przegląd tych postaw. Naturalnie łączenie nastawienia uczuciowego z oceną walorów nie zamyka nam wcale drogi do badania nastawień uczuciowych niezależnie od badania rodzaju sądów wzajemnych.

Ten typ zbierania wzajemnych wypowiedzi w zespole, jaki został powyżej w zarysie przedstawiony, zdaniem autora, może stać się zaczątkiem odrębnej metody badania socjologicznego zjawisk. Dla socjologa miałyby ona duże znaczenie poznawcze, daje bowiem możliwość wniknięcia w istotę zespołu i zachodzących w nim procesów oraz zwrócenia uwagi na rodzaj zmian zachodzących w zespołach. Nie dając sama przez się odpowiedzi co spowodowało daną zmianę, zwraca uwagę na samą zmianę i wymaga ustalenia jej genezy. Nie traktuje więc badania jako zamkniętej w sobie całości; wymaga ono od badacza, by zechciał równolegle wnikać w badane środowisko, by drogą bezpośredniego kontaktu z niem stwierdzał, co spowodowało zmianę, jaką ustalił poprzednio przy pomocy badania przez wypowiedzi indywidualne.

Metoda, o której mowa, oprócz rezultatów poznawczej natury, daje bogate rezultaty praktyczne, tak dla praktyków stosujących socjologję wogóle, jak i dla tych, którzy pracują w pewnych pokrewnych dziedzinach, a w szczególności dla praktyków — pedagogów. Poza szczegółowym przeglądem nastawień indywidualnych jednostek w zespole, daje nam ona wgląd w procesy tworzenia się przywództwa i upadku przywódców, daje zaszerogowanie członków zespołu i to w dwu różnych kierunkach oraz pogląd na wzajemne na każdym „stopniu społecznym“ stosunki, a w szczególności na stosunki przodujących i upośledzonych w grupie, a więc — najbardziej i najmniej wartościowych i popularnych. Dzięki szczegółowym „tabelom popularności“ i „tabelom walorów“ otrzymujemy przegląd szczegółowy w zależności od tego, co kto reprezentuje dla całego zespołu — wszyst-

ko to naturalnie tylko tak, jak to odbija się w świadomości członków zespołu. Możemy więc w ramach całości wyodrębnić dowolnie:

- a) jednostki najbardziej „popularne“ i najbardziej „wartościowe“,
- b) jednostki najbardziej „niepopularne“ i najbardziej „szkodliwe“,
- c) grupki bardziej i mniej zwarte, bytujące w ramach większej całości społecznej i ze sobą w różny sposób powiązane,
- d) jednostki bytujące poza daną całością — bądź w charakterze „wyrzutków“ danego środowiska, bądź w roli „balastu społecznego“, bądź z niem niepowiązane, lecz pragnące się w niem znaleźć — t. zw. „satelici społeczni“.¹

Wszystko to możemy naturalnie klasyfikować nie na podstawie jakiegoś oderwanego wartościowania, lecz wyłącznie na podstawie postaw zbiorowości. Przez zwykłe porównywanie np. stopnia powiązania podgrupek w większej całości i kontrolę zmian zachodzących, możemy mówić o ich „silniejszym“ lub „słabszym“ powiązaniu społecznym — w odniesieniu do tej całości, bądź też w odniesieniu do powiązań, jakie miały miejsce poprzednio np. w czasie poprzedniego badania (np. przed rokiem). Mamy więc tutaj możliwość opierania się wyłącznie na relatywnych ale zato konkretnych danych.

Zaznaczyć muszę, że tego rodzaju badanie nie może służyć za środek do stwierdzenia, czy w danym wypadku mamy do czynienia z zespołem społecznym czyli t. zw. „grupą“ czy też nie. Nie stanowi to jednak moim zdaniem wcale jej wady. Czy mamy do czynienia z grupą w socjologicznym znaczeniu — to wszak stwierdzić możemy na podstawie już ustalonych i nietrudnych do stwierdzenia cech. Natomiast badanie przez nas przedstawione daje nam możliwość orjentować się wśród różnorodności zespołów i oceniać je zgodnie z ich strukturą i procesami, jakie w nich zachodzą. Możemy więc ustalać postawy między poszczególnymi członkami, stwierdzać istnienie czy też brak mniejszych ugrupowań w ramach zespołu, określać rolę spełnianą przez poszczególne jednostki, oraz ustalać napięcie wewnętrznych antagonizmów w zespole i t. p. — Jest to więc, jak widać, bardzo ważne a może nawet ważniejsze, aniżeli ustalenie gołego faktu, że mamy do czynienia z zespołem, ponieważ daje nam niezawodny środek do poznania danego zespołu i istotnej wiedzy o nim.

¹ Terminy zastosowane tymczasowo przeze mnie w niniejszej pracy.

Metoda wyżej przedstawiona nie daje naturalnie możności ustalania, w jakim stopniu to, co w świadomości ogółu członków przedstawia się takie lub inne, lubiane lub nielubiane, cenione lub potępiane — na owe sympatje, czy też na te oceny zasługuje z punktu widzenia absolutnej obiektywności. Wszak zdarza się, że bardzo lubiani niezawsze na tę sympatję zasługują, a społecznie oceniani dodatnio okazują się małowartościowi, a nawet wogóle bez wartości, nawet w stosunku do tego środowiska, w którym działają i które sąd o nich wydaje. Ustalenie więc ściśle „obiektywnego“ nie jest tutaj możliwe i pozostaje całkowicie poza zakresem naszego badania. To więc, co będzie „obiektywne“ jako wysiłek ze stanowiska całej zbiorowości — nie będzie „obiektywne“, jeżeli stanie się przedmiotem rozpatrywanym powiedzmy — przez szerszą zbiorowość, do której zbiorowość przez nas badana wchodzi jako jeden ze składników — członów; nie będzie także „obiektywnem“ z absolutnego — pozaspołecznego punktu widzenia: tutaj jednak już przekraczamy ramy określone nauką socjologii, a przechodzimy do dziedziny, która należy niepodzielnie do filozofji.

IV. *Opis i analiza metody.*

Badanie przeprowadzone w kilku środowiskach społecznych, wśród których były takie, które liczyły ponad 100 członków, polegało jak już wspominałem — na opinjowaniu wszystkich członków danego zespołu o wszystkich swoich współtowarzyszach.

Pierwsze pytanie dotyczyło ustalenia faktu, do których członków zespołu odnosi się ankietywany z sympatją, do których czuje antypatję, a do których obojętność, przyczem — bez analizowania bliżej powodów, dla których powstało takie lub inne nastawienie uczuciowe. Ankietywany nie podaje powodów nawet wtedy, kiedy obojętność jest wynikiem tego, że nie poznał dostatecznie danej osoby; tak samo jak wówczas, gdy jest ona wynikiem dłuższej znajomości, która nie nabrała jednak zabarwienia uczuciowego. To pytanie nie nastęrcza zwykle większych trudności wobec tego, że jest stosunkowo łatwe do ustalenia i wyraźnie może być oddzielone przez ankietowanego od wszelkich innych nastawień, a przedewszystkiem od ocen. Raczej wątpliwości wzbudza to, że w wielu wypadkach zdarza się,

iż członkowie zespołu wzajemnie nie zbliżyli się do tego stopnia, by wogóle mogło powstać jakieś nastawienie: wówczas mamy do czynienia z dużą ilością nastawień obojętnych; spotyka się to szczególnie u nowicjuszków, którzy wstąpili do danej grupy stosunkowo późno, a więc już po utworzeniu zespołu. „Nowicjusze“ zasługują na to, żeby ich uczynić przedmiotem osobnego badania; polegałoby ono na tym, aby dokładnie prześledzić w jaki sposób odbywa się „wrastanie“ nowego członka do zespołu już uformowanego i dawno istniejącego.

Dla skrócenia i ułatwienia sobie opracowania przyjmujemy znak plus (+) dla oznaczenia sympatji, znak minus (—) dla oznaczenia antypatji, oraz znak zero (0) dla oznaczenia obojętności.

Drugie pytanie stawiane ankietowanym polega na wypowiedzeniu się, których z członków zespołu każdy z ankietowanych uważa za wartościowych dla danego zespołu, a więc jak już wyjaśniałem, kto posiada walory koleżeńskie, kto odgrywa rolę pomocną w rozwoju zespołu jako całości, przyczem wyraźnie pytanie dotyczy danego, a nie jakiegoś innego zespołu, bądź walorów „osobistych“ jednostek. Ci, których ankietowani uważają za szkodliwych dla danego zespołu zostają wyodrębnieni, tak samo, jak i ci, którzy są bez znaczenia dla zespołu, a więc dla rozwoju całej grupy. Pierwszych, t. j. wartościowych, oznaczamy znakiem plus (+), drugich t. j. szkodliwych — znakiem minus (—), trzecich — znakiem zero (0). Wyjaśnienie członkom zespołu zagadnienia oceny z punktu widzenia walorów dla grupy jest trudniejsze, aniżeli wyjaśnienie o co chodzi w pytaniu pierwszym. Jednakże w środowiskach bardziej społecznie wyrobionych i to nie napotyka na większe trudności; jedynie w środowiskach o mniejszym wyrobieniu społecznym i o słabym ogólnym wykształceniu stanowi to większą, a często nawet wielką trudność, a to z tego powodu, że wśród nich istnieje skłonność do wiązania sympatji do osoby z dodatnią oceną, a więc — oceną jej użyteczności społecznej i odwrotnie, t. j. antypatji do osoby z ujemną oceną, więc — szkodliwości społecznej. Możemy więc ustalić zasadę: że im bardziej społecznie wyrobione środowisko, tem rozróżnianie między nastawieniem uczuciowem a oceną walorów będzie łatwiejsze i naodwrot.

Tak w pierwszym, jak i w drugim pytaniu pomijam zupełnie powody danego nastawienia uczuciowego względnie powody dla których ocena walorów danej jednostki

wypadła korzystniej lub ujemniej. Wszak pierwsze mogło być wynikiem nic nieznaczącej sprzeczki, mogło też być rezultatem wieloletniego i poważnego w skutkach antagonizmu; tak samo drugie mogło być wynikiem drobnego zdarzenia — mogło też być wynikiem poważnej w skutkach kompromitacji społecznej tego, o którego w danym wypadku chodziło. Otóż wszystkich tych wiadomości przy zbieraniu materiału ankietowego drogą bezpośrednią nie uzyskamy, przez co obniżymy wartość materiału, zyskujemy jednak na przejrzystości i możliwości opracowania. Nie rezygnujemy przez to z poszukiwań przyczyn, jakie złożyły się na dane postawy — tę możliwość zawsze sobie rezerwujemy, ale możliwe to będzie dopiero po o p r a c o w a n i u całego materiału i stwierdzeniu zgóry, na podstawie liczb tego, co stanowi o istocie danego zespołu. Przejdziemy więc w ten sposób do porządku dziennego nad całym szeregiem nastawień, konfliktów i t. p. drugorzędnego znaczenia, a będziemy za to mogli zająć się zebraniem tych najbardziej istotnych dla życia zespołu danych.

Jak wynika z wyżej podanego opisu uzyskujemy od każdego z członków zespołu po 2 wypowiedzi, odnoszące się do każdego z współtowarzyszy, wobec czego będziemy mieli do czynienia z 9 kombinacjami, dającymi nam podstawy do rozróżniania między poszczególnymi postawami społecznymi, a mianowicie:

- | | | | | | | | |
|----|-----|------------|-----------|---|-------|------------|--------------|
| 1. | +/+ | sympatja | połączona | z | oceną | społecznej | dobroci |
| 2. | +/0 | „ | „ | Z | „ | „ | obojętności, |
| 3. | +/- | „ | „ | Z | „ | „ | szkodliwości |
| 4. | 0/+ | obojętność | „ | Z | „ | „ | dobroci |
| 5. | 0/0 | „ | „ | Z | „ | „ | obojętności |
| 6. | 0/- | „ | „ | Z | „ | „ | szkodliwości |
| 7. | -/+ | antypatja | „ | Z | „ | „ | dobroci |
| 8. | -/0 | „ | „ | Z | „ | „ | obojętności |
| 9. | -/- | „ | „ | Z | „ | „ | szkodliwości |

Te dziewięć postaw daje dostatecznie bogatą skalę, niewątpliwie w praktyce niewyczerpaną, wzajemnych ustosunkowań się członków zespołu do siebie. Nie rezygnując z dalszego różnicowania w dziedzinie postaw społecznych, należy przeprowadzić szczegółowiej analizę wyżej wymienionych 9 postaw, które moglibyśmy nazwać „podstawowymi“. Na każdą z nich składają się 2 elementy, znajdujące się ze sobą w wewnętrznej łączności; w zależności od rodzaju tej łączności

może bądź jeden, bądź drugi element wyznaczać postawę społeczną, która w tym wypadku zależy bardziej od zmian owego elementu; może być też, i zapewne najczęściej ma to miejsce, iż związek dwóch tych elementów nie pozwala na wydzielenie żadnego z nich, wobec czego synteza dwóch tych składników wyznaczać będzie postawę społeczną.

Zmienność postaw społecznych jest zjawiskiem codziennem, wskazuje więc, iż zmiany w omawianych uczuciach i ocenach zachodzą ciągle, a nawet bez przerwy; raptowniejsze zmiany wskazują na to, iż nastąpiło jakieś bardziej zasadnicze „przegrupowanie“ w układzie elementów, w sile uczuć, w pewności ocen, zaczynają wówczas przeważać te elementy, które nie dawały o sobie znać dotychczas, inne znów wycofują się lub nabierają „drugorzędnego znaczenia“.

Przejdę obecnie do próby charakterystyki wyżej wymienionych 9 typów postaw społecznych; przejdźmy je pokolei:

1. Pierwsza z wymienionych postaw — to postawa wyznaczona przez uczucie sympatji połączone z dodatnią oceną współtowarzysza jako członka danego zespołu: oznaczamy tę postawę znakiem $+/+$. Jest to postawa, która bardzo silnie wpływa na proces społeczny w danym zespole, wobec tego, iż zbliża społecznie, a więc zmniejsza dystans społeczny między wykazującym tę postawę, a tym którego ta postawa dotyczy. W wyniku tej postawy dany członek zespołu ustosunkowuje się społecznie dodatnio, gotów jest najczęściej przebywać w towarzystwie owego współczłonka, którego postawa dotyczy, liczyć się z jego opinią, podlegać jego wpływom, słuchać jego poleceń. Gdy mamy do czynienia z postawą tego typu wykazywaną przez jednego członka względem drugiego: nazwiemy ją optymalnie dodatnią jednostronną.

Postawa strony przeciwnej może być podobna, a więc wyznaczona także uczuciem sympatycznym i dodatnią oceną, ale może być i inna, t. j. wyznaczona inaczej. W pierwszym wypadku możemy mówić o wzajemności postaw — wypadek, jak się okazuje dość częsty, a który powoduje obustronne, a więc istotne społeczne zbliżenie zainteresowanych: możemy wówczas powiedzieć, że dystans społeczny między tymi dwoma członkami zespołu zmniejszył się wydatnie. Gdyby zaszedł wypadek, że postawy, o których mowa, były wyznaczone uczuciami tego samego charakteru np. miłości, a ocena społeczna — temi samymi sądami np. koleżeństwa — wówczas możnaby

uważać wzajemność postaw społecznych za identyczną, naturalnie „społecznie identyczną“, nie przesądzając przez to zupełnie sprawy jakiejś bezwzględnej identyczności, którą socjologja się nie zajmuje.

Optymalnie dodatnie postawy zasługują na baczną uwagę, ponieważ one silnie kształtują proces społeczny, zachodzący między członkami zespołu, a przez to i proces w zespole. Temi też postawami zajmujemy się szczegółowiej w niniejszej pracy.

2. Drugą postawą, którą z kolei należy omówić, będzie postawa wyznaczona przez antypatję połączoną z oceną szkodliwości społecznej współtowarzysza zespołu. Jest to więc postawa stanowiąca pewnego rodzaju przeciwieństwo poprzedniej, ponieważ opiera się na elementach negatywnych, tamta zaś — na pozytywnych. Postawa ta naturalnie będzie miała zupełnie inne skutki, aniżeli pierwsza, ponieważ będzie powodować nie zbliżanie się społeczne jednostek do siebie, lecz raczej oddalanie, wobec czego dystans społeczny będzie się między nimi powiększał. Naturalnie tego rodzaju postawy mogą stanowić tylko pewien odsetek wśród ogółu postaw w zespole, ponieważ w przeciwnym wypadku, t. j. gdy te negatywne postawy bardzo wzrastają liczbowo, zespół wykazuje tendencje rozkładowe i bardzo często się rozpada. Postawy tego typu nazwiemy postawami negatywnymi (—/—). Współczłonkowie zespołu wykazujący względem siebie tego typu postawy, w rezultacie silnego antagonizmu, bądź a) wychodzą wogóle z grupy, a więc społecznie odpadają, bądź b) pozostaje ten z nich, który jest powiązany większą liczbą postaw wzajemnych optymalnie dodatnich, bądź c) pozostają w grupie obaj, wobec silnych powiązań obu z nich z członkami zespołu, wyrażających się w stosunkowo znacznej liczbie postaw wzajemnych i optymalnie dodatnich: w tym ostatnim wypadku zespołowi grozi rozkład na 2 części, bądź też rozgorzeje w nim silna walka wewnętrzna, wyrażająca się w zmianie postaw wielu z pośród członków zespołu względem siebie i — znacznym przekształceniem zespołu.

Wiese proces tego rodzaju nazywa „dzielącym“, charakteryzuje go zaś powiększenie dystansu społecznego i w pewnym wypadku to powiększenie dystansów społecznych dotyczyć może wszystkich członków zespołu, który wówczas bardzo traci na znaczeniu społecznym. Naogół w zespołach tego rodzaju postawy nie są liczne. Szczególnie szkodliwie oddziałują postawy tego typu, gdy dotyczą osób przodujących w zespole. Trudna też wytwarza się sytuacja, gdy antagoniści

są zbyt silnie powiązani z resztą członków zespołu i wobec tego nie mogą lub nie chcą zeń wystąpić: wówczas mamy do czynienia z prawdziwą chorobą społeczną, oddziałującą silnie i nader szkodliwie na członków zespołu w procesie społecznym. Niekiedy silne „więzi pośrednie“ — z innymi członkami zespołu paraliżują powstały antagonizm, który w interesie zespołu zostaje zlikwidowany nawet niekiedy drogą przymusową; musi to mieć miejsce z zasady tam, gdzie mamy do czynienia z zespołem przymusowym i gdzie rozpad społeczny nie może spowodować rozproszenia się zupełnego członków zespołu. Czasami na tem tle gromadzące się antagonizmy społeczne mogą doprowadzić do wybuchu społecznego (np. bunt w wojsku).

3. Trzecią postawą, która posiada także poważne znaczenie społeczne — to postawa wyznaczona obojętnością uczuciową i oceną obojętności społecznej dla grupy danego członka zespołu z punktu widzenia jego walorów dla niej. Wyrażamy to znakiem % i postawę tę nazywamy *absolutnie obojętną*. Zachodzi obecnie pytanie, w jaki sposób oddziałuje postawa tego rodzaju na ustosunkowanie się członków zespołu? Otóż postawa obojętności społecznej, dopóki istnieje i nie zostanie zastąpiona przez inną, nie wpływa na zmiany dystansu społecznego między członkami zespołu, ponieważ wogóle powstanie dystansu wyklucza. Osoby odnoszące się w ten sposób do siebie wogóle nie biorą udziału w procesie społecznym, zachodzącym w zespole, naturalnie, o ile odnoszą się w powyższy sposób do wszystkich innych członków zespołu. Tego rodzaju „członków“ zespołu, którzy w socjologicznym znaczeniu członkami zespołu nie są, nazywam *balastem społecznym* w zespole.

Czasami zdarza się, że powiązania członków zespołu ze zwykłymi członkami zespołu — należącymi do residuum — opierają się na takich postawach, a więc są społecznie bez znaczenia, natomiast charakteryzuje osoby te postawa zupełnie inna względem osób wchodzących w skład organów zespołu. Jest to szczególnie wypadek, który jednak w praktyce zdarza się często: wówczas zespół istnieje dzięki wzajemnym postawom członków tegoż do jego funkcyjnarjuszów; naturalnie w danym wypadku nie można się spodziewać szczególnego rozrostu życia społecznego w danym zespole i oddziaływań wszystkich na wszystkich drogą silnego i zdrowego procesu społecznego; raczej naodwrot życie społeczne będzie się tu sączyło wąskim i słabym strumykiem. Ma to np. miejsce, gdy wielu członków ze-

społu należy doń ze względu na postawy ich względem np. prezesa lub, w innym wypadku — ze względu na przymus, na konieczności gospodarcze itp., a więc z powodów właściwie pozasocjologicznych.

O ile postawa, o której mowa, zaczyna w grupie przeważać, a więc staje się „typową“, zespół opiera się na coraz to mniej licznych postawach społecznie twórczych, „balast społeczny“ zaczyna coraz silniejsze wywierać piętno i coraz silniej go przytłaczać. Wówczas coraz więcej jednostek należy do zespołu już nie ze względu na swe uczucia i sądy co do celowości kontynuowania wspólnoty społecznej w danym zespole, z danymi jednostkami i dla danych celów, lecz coraz bardziej przeważają inne pozasocjologiczne względy, które doprowadzają najczęściej zespół do upadku lub go społecznie degenerują.

4. Czwartym typem postawy, szczególnie interesującej socjologa — to postawa wyznaczona przez sympatję połączoną z oceną szkodliwości społecznej (+/—) oraz jej przeciwstawność t. j. antypatja, połączona z oceną dodatniości społecznej (—/+) danego członka zespołu. Otóż co charakteryzuje te postawy? Przedewszystkiem to, że nie są to, że się tak wyrażę, „postawy dnia codziennego“ w tem rozumieniu, iż powstanie ich wymaga większego wyrobienia społecznego, ponieważ jednostki mało społecznie wyrobione zawsze skłonne są oceniać dodatnio pod względem społecznym tego, kogo darzą sympatją i odwrotnie — skłonne są oceniać jako szkodliwych tych, do których czują antypatję lub nienawiść. Dla tego zapewne systemy religijne (np. nauka Chrystusa) taki nacisk kładą na rozwój najsilniejszego typu sympatji t. j. miłości względem bliźnich, ponieważ w środowisku mało wyrobionem społecznie, nie było innego sposobu na rozwój postaw dodatnich względem siebie członków obszerniejszej społeczności. W takich wypadkach uczucie odgrywa rolę jakby „katalizatora“ społecznego, zbliża bowiem ludzi, którzy ze względu na poziom umysłowy i społeczny inaczej zbliżyłby się nie mogli.

A czy jest możliwy proces odwrotny, t. j. czy możliwe jest pośrednio oddziaływać na sympatje po przez wyrabianie dodatnich ocen społecznych? Ta możliwość, do wykonania chyba nawet łatwiejsza, odnosi się raczej do środowisk bardziej społecznie wyrobionych, które przez wewnętrzne nakazy i normy nawet autonomicznego charakteru mogą w sobie wytworzyć nastawienia uczuciowe

sympatyczne względem współczłonków pewnych środowisk społecznych i przez to zbliżać się społecznie.¹

Postawy, o których tutaj mowa, posiadają tę cechę charakterystyczną, że nie wykazują tendencji do stabilizacji, ale naodwrot są one nader chwiejne. Postawa jest bądź wyznaczona przez jeden bądź przez drugi element, które wszak oddziałują w dwóch różnych kierunkach. W psychice więc jednostki powstaje pewnego rodzaju stałe rozdwojenie, spowodowane dążnością bądź zbliżenia do osoby, ale brakiem ufności, jeśli chodzi o jej zalety, i odwrotnie — dążnością do oddalenia się od osoby, którą się jednak pod pewnymi względami nauczyło cenić. Postawy tego typu, o ile będą zachodzić w zespole, często będą charakterystycznie oddziaływać na przebieg procesu społecznego — a mianowicie proces ten będzie wykazywał skłonność do częstych zmian, jeśli chodzi o jego zasadniczy kierunek, często będą to wprost niespodzianki dla zrzeszonych, gdy się okaże, że po pewnym czasie nie można się właściwie poszczycić rezultatami w dziedzinie np. życia się społecznego członków zespołu sportowego w pewną całość. W takim wypadku przy braku stabilizacji procesu społecznego trudno jest ustalić kierunek tego procesu w grupie.

5. Szczególnym typem postawy będzie też postawa wyznaczona przez sympatię połączoną z oceną obojętności społecznej (+/0) oraz przeciwstawność tegoż t. j. obojętność uczuciowa połączona z oceną dodatnich walorów członka dla grupy (0/+). I tutaj, jak w wypadku poprzednim, mamy do czynienia z brakiem pewnej stabilizacji postaw, jednakże chwiejność, jaka jest tego wynikiem, nie daje wprost nieograniczonych możliwości w kierunku wpływania na postawy, które będą chwiejne, ale tylko w pewnych wąskich granicach. I tutaj istnieje pewne rozdwojenie w osobowości jednostki, rozdwojenie to jednak nie powoduje tworzenia się nastawień przeciwstawnych; jest to raczej pewna niezgodność aniżeli rozdwojenie. W wypadku, gdy sympatja wybija się na plan pierwszy, zespół utrzymuje się przez nastawienia osobiste członków, w przeciwnym wypadku t. j. przy obojętności uczuciowej członków względem siebie raczej

¹ Tą drogą kroczy także działalność pedagogiczna, która przez właściwy rozwój koleżeńskości oczekuje szczególnych wyników na polu zbliżenia społecznego wychowywanych.

zobiektywizowany cel staje się łącznikiem, wiążącym członków zespołu. Tego rodzaju ustosunkowanie się społeczne będzie specyficznie oddziaływać na przebieg procesu społecznego w zespole.

6. Przechodzimy do ostatniego typu postaw społecznych, jakie dają się zanalizować przy zastosowaniu wyżej opisywanej metody badania struktur zespołowych. Postawy te wyznacza bądź obojętność uczuciowa połączona z oceną szkodliwości społecznej członka zespołu ($0/-$), bądź przeciwstawność tegoż t. j. antypatja połączona z oceną obojętności społecznej ($-/0$). Pierwsza postawa będzie indywidualna w grupie raczej oddalać, druga będzie albo je oddalać, albo wogóle wpływać na zlikwidowanie dystansów społecznych jako takich. Ten typ postaw charakteryzuje silnie jednostki niecieszące się popularnością społeczną, bardziej lub mniej izolowane społecznie, a więc niezadowolone ze swej sytuacji społecznej w zespole i z tego powodu skłonne oceniać członków wchodzących w skład zespołu surowo i bez kompromisu.

W ten sposób w sześciu punktach zanalizowaliśmy ogólnie dziewięć różnych postaw społecznych, jakie spotykamy w rozpatrywanym poniżej materiale socjologicznym. Naturalnie, nie chodzi nam tutaj o wyczerpanie nader interesującego społecznie zjawiska, chodzi raczej o możliwie naukowe postawienie zagadnienia.

Na szczególną uwagę, poruszoną mimochodem zresztą przy rozpatrywaniu postaw w punkcie 1-ym, zasługuje kwestja wzajemności postaw społecznych. Każda wszak postawa, o ile jest udziałem jakiegoś indywidualium, skutkuje niezależnie, oddziałując na postępowanie owego indywidualium względem osoby, której dotyczy dana postawa. Skutki te jednak będą o tyle ograniczone społecznie, o ile nie spotkają się z wzajemnością, naturalnie niekoniecznie opartą na identyczności postaw, który to wypadek stanowić będzie sytuację krańcową i do pewnego stopnia — wyjątkową. Okaże się w praktyce, iż niektóre postawy wykazują wzajemność często, inne — spotykają się bardzo rzadko i należą wprost do rzadkich wyjątków. Naturalnie, postawy których wzajemności są najczęstszem zjawiskiem w zespole będą najsilniej oddziaływać na proces społeczny w nim zachodzący.

W ten sposób odróżniając postawy wzajemne i identyczne od postaw jednostronnych i różnorodnych.

musimy szczególną uwagę zwrócić na pierwsze, uważając je za specyficznie społeczne zjawisko i wobec tego za szczególnie interesujące dla nauki o społeczeństwie.

Zaznaczyć trzeba, że obok identyczności w szerszym znaczeniu, mamy też do czynienia z identycznością wyłącznie uczuć i identycznością wyłącznie sądów — nie zaś postaw; np. gdy obie różne postawy charakteryzuje sympatja, lub też tylko dodatnia ocena — wówczas mamy do czynienia z taką identycznością w węższym zakresie.

Konsekwencje, jakie wynikają z powyższej analizy wymagają zupełnie odrębnego traktowania zespołu w porównaniu z popularnym poglądem wyobrażającym sobie zespół ten jako „całość“. Okazuje się, że każdy zespół winien być rozumiany jako pewien kompleks powiązanych społecznie węższych tworów społecznych, uformowanych „wewnątrz“ na zasadach większego lub mniejszego dystansu względem siebie. Silniej wiązani są to ci, których postawy wzajemnie optymalnie dodatnie prowadzą silniejszy stopień zbliżenia członków, aniżeli tych, których postawy wyznaczone bądź wyłącznie przez sympatję, bądź przez dodatnią ocenę powodują zbliżenie ale tylko do pewnych granic; specjalne miejsce należy się tym, którzy wykazują względem siebie postawy absolutnie obojętne, bądź negatywne.

Zespół więc winien nam się przedstawić jako szereg związków, powiedzmy grup członków pomieszczonych na obwodach kół o różnej długości promienia w zależności od siły ich zbliżenia i powiązanych w całość zespołową luźniejszymi więzami. Powstaje w ten sposób bardzo skomplikowana struktura społeczna, o pewnym centrum i pewnych peryferjach. W ten sposób będziemy musieli rozróżniać członków zespołu ze względu na ich przynależność podzespołową, sklasyfikować jednostki na oddziałujące dodatnio i ujemnie na całość struktury zespołu, oddzielić „trzon“ grupy, od „balastu“ społecznego i „satelitów“ społecznych; ci ostatni najczęściej „wiszą“ tylko przy niektórych jednostkach wchodzących w skład zespołu, ale dla całości są nieznanymi; nie mogąc się poszczycić wzajemnością postaw, pretendują „wejść“ do zespołu, wyczekując odpowiedniej chwili po temu. Awans społeczny w zespole wyraża się więc w przechodzeniu z kół znajdujących się na peryferjach i luźniej wiązanych członków do „trzonu zespołu“ najsilniej powiązanego i stanowiącego o zespole.

V. Wyniki badania 4 zespołów typu sportowego.

Dla dokładnego zorientowania się co daje praktyczne zastosowanie metody, należało przeprowadzić badanie i to nad większą liczbą grup, możliwie różnorodnych, aby jaknajwięcej zebrać materiału socjologicznego, któryby pozwolił na wszechstronne wyjaśnienie skomplikowanego zjawiska struktury zespołowej. Badania przeprowadzałem, jak dotychczas, w kilku grupach społecznych, z których wyniki opracowałem dopiero częściowo. Na początek, wobec wielkiego nakładu pracy jakiego wymaga opracowanie, oprę się w pracy niniejszej na wynikach wyłącznie badań nad jednym środowiskiem t. j. wychowanków Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Żelazkach w Warszawie.

Uczelnia ta przygotowująca przyszłych wykładowców wychowania fizycznego o czasie kształcenia dwuletnim i systemie internatowym, stanowiąc środowisko specjalnie selekcyjonowane i zamknięte, oraz ściśle wyodrębnione terenowo i społecznie, szczególnie dobrze nadawała się do tego rodzaju badań. Słuchacze rekrutują się z różnych sfer, pochodzą z różnych dzielnic i miejscowości, składają się tak z mężczyzn, jak kobiet i w okresie dwuletnich studiów, dobierając się według wzajemnych sympatyj, zamieszkując razem po 2—4 w jednym pokoju, silnie żyją z sobą. Jak dotychczas badań nad procesem społecznym zachodzącym w takiej grupie nie przeprowadzano, chociaż potrzeba tego rodzaju badań dawała się silnie odczuwać. Stykając się ze słuchaczami w charakterze wykładowcy, miałem możliwość poznania ich i nie w charakterze obcego, ani też przełożonego — stworzyć niezłe warunki dla szczerego wypowiedzenia się słuchaczy o sobie.

Badanie przeprowadzone w m-cu marcu b. r. objęło:

na kursie	I-ym:	mężczyzn	23,	kobiet	34,	ogółem	57 osób
„	„	II-im	„	33	„	38	„ 71 „

razem więc 128 osób, czyli środowisko stosunkowo liczne i zróżnicowane.

Z arkuszy indywidualnych, przedłożonych przez każdego ze słuchaczy oddzielnie przepisane zostały wyniki na „arkusze robocze“.

Segregując wyniki dla uproszczenia od razu na 4 różnych arkuszach zbiorczych, uzyskaliśmy na każdym roku studjów:

1. odrębnie wypowiedzi mężczyzn dotyczące środowiska męskiego;
2. „ „ „ kobiet „ „ kobiecego;
3. „ „ „ mężczyzn „ „ kobiecego;
4. „ „ „ kobiet „ „ męskiego.

Wpływ więc płci na charakter grupy został w ten sposób uwzględniony w wynikach; co winno dostarczyć materiału, jak poszczególne płci odnoszą się do siebie, a jak do osób płci odrębnej, naturalnie wchodzących w skład danego zespołu.

Jak widać z powyższego w środowisku, w którym występuje zróżnicowanie pod względem jednej jakiejś cechy — występuje konieczność rozpatrywania w sposób czworaki danego środowiska. W wypadku większego zróżnicowania a więc w wypadku dwóch, trzech itd. cech — opracowanie nadzwyczajnie się komplikuje.

Na stroniej następczej w tablicy p. t. *Zestawienie dotyczące postaw 128 wychowanków w zespołach według płci i roku studjów* pomieszczone zostały surowe rezultaty obliczeń pod ogólnym kątem widzenia, z uwzględnieniem elementu płci oraz dwóch środowisk: rocznika I-go studjów oraz oddzielnie rocznika II-go.

W tablicy liczby odnoszą się przede wszystkim do dwóch zespołów zasadniczych t. j. roczników studjów, a następnie uwzględniają 4 podzespoły t. j. pierwszy rok — męski, pierwszy rok — żeński, drugi rok — męski, oraz drugi rok — żeński. Co do wzajemnych odnośzeń kobiet do mężczyzn i mężczyzn do kobiet na każdym roku, to liczby dostarczyć winny materiału dotyczącego odnośzeń się do siebie tych dwóch „trzonów“ zespołów większych, aby przez porównanie dać pogląd na nie same (t. j. podzespoły).

Ponieważ badanie nie objęło postaw wzajemnych różnych roczników do siebie, wobec tego liczby uzyskane dla poszczególnych kursów nie zostały podsumowane.

Że mamy tutaj do czynienia z zespołami w socjologicznym znaczeniu, to fakt ten nie nasuwa wątpliwości. Każdy z podzespołów wykazuje cechy grupy w socjologicznym znaczeniu tego słowa, a więc posiada odrębne normy postępowania, posiada odrębne tra-

Zestawienie dotyczące postaw 128 wychowanków w zespołach w-g płci i roku studiów

(liczby względne i absolutne)

Marzec 1935

Rodzaje zespołów	Członków w zespole	Zarejestrowanych postaw																		Nastawienia uczuciowe (subiektywne)			Sądy (obiektywne)			Nastaw. uczuc. (subiektywne)			Sądy (obiektywne)			
		rodzaje postaw w liczbach absolut.										rodzaje postaw w procentach								+			0			-						
		+/+	+0	0/0	0/+	-0	+/-	-/-	-/+	0/-	+/+	+0	0/0	0/+	-0	+/-	-/-	-/+	0/-	+	0	-	+	0	-	+	0	-	+	0	-	
w liczbach absolutnych															w procentach																	
Kurs I ogólnie:	57	3192	1405	646	659	196	80	56	65	49	36	44	20	21	6	2	2	2	2	1	2114	894	194	1658	1388	156	107	27	652	43	5	
Mężczyźni wzgl. siebie . . .	23	506	317	66	35	33	7	19	16	11	2	63	13	7	7	1	4	3	2	—	402	70	34	361	108	37	80	14	6	71	21	8
Mężczyźni wzgl. kobiet . . .		782	342	117	187	49	30	8	20	22	7	44	15	24	6	4	1	2	3	1	467	243	72	413	334	35	60	29	11	53	41	6
Kobiety wzgl. siebie . . .	31	1122	464	309	173	61	22	28	27	13	25	41	28	15	5	2	3	3	1	2	801	259	62	538	504	80	72	23	5	48	44	8
Kobiety wzgl. mężczyzn . .		782	282	154	264	53	21	1	2	3	2	36	20	34	7	3	—	—	—	—	437	319	26	338	439	5	56	40	4	43	55	2
Kurs II ogólnie:	71	4970	1730	988	1031	320	215	164	291	97	134	35	20	21	6	4	3	6	2	3	2882	1485	603	2147	2234	589	58	30	12	43	45	12
Mężczyźni wzgl. siebie . . .	33	1056	514	181	112	68	29	42	54	36	20	49	17	11	6	3	4	5	3	2	737	200	119	618	322	116	70	19	11	59	30	11
Mężczyźni wzgl. kobiet . . .		1254	358	228	312	73	33	47	97	32	24	28	18	25	6	6	4	8	3	2	633	409	212	463	623	168	50	33	17	37	50	13
Kobiety wzgl. siebie . . .	38	1406	466	349	272	65	52	47	85	13	57	33	25	19	5	4	3	6	1	4	862	394	150	544	673	189	61	28	11	39	48	13
Kobiety wzgl. mężczyzn . .		1254	392	230	335	114	51	28	55	16	33	31	18	27	9	4	2	5	1	3	650	482	122	522	616	116	51	39	10	41	49	10

dycje, ma własne organa społeczne, przez które oddziałuje, a w zeknięciach ze światem zewnętrznym każdy z podzespołów zachowuje pewną dążność do zachowania dystansu i ekskluzywizmu. Zresztą nad tem, czy mamy tu do czynienia z zespołami w znaczeniu socjologicznem — w myśl zasad już powyżej wyłuszczonych — nie będziemy się zastanawiać.

Na charakter każdego z podzespołów poza płcią i rokiem studiów wpływać będą dodatkowo:

a) okres istnienia danego zespołu: a więc podzespoły kursu II-go jako istniejące dłużej, bo od 1½ roku posiadają pewną przewagę nad podzespołami kursu I-go, istniejącymi tylko od ½ roku. Dało to możliwość członkom wchodzącym w skład podzespołów kursu II-go lepiej się poznać i wytworzyć postawy bardziej zdecydowane, które zapewne nie będą już podlegać silnym fluktuacjom w zależności od drobnych nawet zdarzeń społecznego charakteru. Postawy społeczne członków podzespołów na kursie I-ym muszą być jeszcze z konieczności bardziej chwiejne i niezdecydowane;

b) liczba członków zespołu: kurs drugi jest liczniejszy, aniżeli pierwszy; najmniej liczny jest podzespół mężczyzn na kursie I-ym (23 osoby), najbardziej liczny — podzespół kobiet na kursie II-im (38 osób). Liczba członków zespołu wpływa naogół na jego charakter, trudniej bowiem osiągnąć jednolitość społeczną albo nawet zbliżenie w ramach większego, aniżeli mniejszego zespołu. Naturalnie, bywają tutaj częste wyjątki, naogół jednak zasada ta będzie słuszna przy rozpatrywaniu większej liczby zespołów.

Przechodząc do analizy liczb jakie zawiera przytoczona powyżej tablica, muszę przedewszystkiem rozbić całość liczb na a) odnoszące się do postaw, b) odnoszące się wyłącznie do nastawień uczuciowych, c) odnoszące się do ocen (sądów). Przejdźmy więc najpierw do postaw społecznych, jako najbardziej ogólnych, obejmujących bowiem w sobie i dwie kategorie następujące:

A. Postawy społeczne w zespołach.

Analizując liczby, zwracamy się przedewszystkiem do liczb względnych. Okazuje się, iż:

a) Zespół roku pierwszego jako całość wykazuje więcej optymalnie dodatnich postaw (44%), w tem więcej postaw wzajemnych, taką samą liczbę postaw absolutnie obojętnych (21%), mniejszą zaś znacznie liczbę postaw negatywnych (2%) w porównaniu z zespołem roku II-go dla którego odpowiednie liczby wynoszą 35%—21%—6%. Z tego wnioskować możemy, że rocznik I-szy w porównaniu z drugim stanowi — mówiąc językiem popularnym — bardziej skonsolidowaną i pod względem społecznym, jednolitą całość.

b) Najwyższy odsetek optymalnie dodatnich postaw wykazuje zespół męski roku I-go (63% ogółu postaw), najmniej zaś — zespół żeński roku II-go (33%). Podobnie się sprawa przedstawia, jeśli chodzi o wzajemność tych postaw: w pierwszym wypadku mamy do zanotowania 66%, w drugim — tylko 35% wzajemności w optymalnie dodatnich postawach. Stąd możemy ogólnie sądzić, iż I rocznik męski wykazuje znacznie więcej jednolitości społecznej, a więc mówiąc językiem popularnym — jest silniej ze sobą związany w całość, aniżeli II rocznik żeński, przyczem różnica pod tym względem jest bardzo znaczna.

c) Zespoły żeńskie w porównaniu z męskimi wykazują mniej postaw wyznaczonych przez różną sympatję i ocenę (+/- i -/+), co by świadczyło może o mniejszem wyrobieniu społecznem zespołów kobiecych; wykazują natomiast więcej postaw obojętnych (0/0), oraz absolutnie ujemnych (-/-) na kursie II-im, co by świadczyło o większej liczbie antagonizmów, jakie mają miejsce w tym zespole; znacznie więcej wykazują kobiety postaw wyznaczonych przez sympatję połączoną z oceną obojętności społecznej (+/0), podczas gdy odwrotność tejże jest raczej postawą bardziej typową dla mężczyzn (0/+). Więcej także trzeba zanotować wśród kobiet postaw wyznaczonych przez obojętność połączoną z oceną szkodliwości i jej odwrotność (0/- i -/0).

d) Szczególną uwagę zwrócić trzeba na postawy wzajemne poszczególnych płci względem siebie, one bowiem dają dodatkową miarę dla oceny powiązań członków w ramach podzespołów. Otóż okazuje się, iż w każdym zespole notujemy wyższy odsetek postaw optymalnie dodatnich do członków własnego zespołu aniżeli do obcego (różna płeć), przyczem silniej zaznacza się to u mężczyzn, niż u kobiet; z pośród innych postaw, to istnieje jednolita tendencja tylko w sio-

sunku do niektórych postaw, a mianowicie kobiety wykazują więcej względem mężczyzn postaw absolutnie obojętnych (0%) aniżeli względem członków własnych zespołów, natomiast mniej postaw, oznaczonych przez nas jako: $+/0$, $+/-$, $-/-$ oraz $0/-$, co do reszty tendencja nie jest jednolita; jeśli chodzi o mężczyzn to wykazują oni względem kobiet więcej postaw $+/0$ oraz $-/0$, co do innych — tendencja niejednolita. Okazuje się więc, że wspólnej postawy dla wszystkich zespołów charakteryzującej odnoszenia się do członków zespołu własnego w przeciwieństwie do obcego — w naszym przykładzie nie spotykamy, wobec czego nie można wyprowadzać żadnych nawet prowizorycznych wniosków. Powiększenie materiału liczbowego zapewne wpłynie dodatnio na bardziej wyraźne uformowanie się tendencji. Zwraca uwagę fakt, iż na II roku zespół kobiet wykazuje zaledwie o 2% więcej postaw optymalnie dodatnich względem siebie, aniżeli względem zespołu męskiego: jest to pewnego rodzaju miarą dystansu między własnym a obcym zespołem: wskazuje na względnie słabe powiązania zespołu żeńskiego, który wykazuje prawie tyleż postaw optymalnie dodatnich wewnątrz swego zespołu, co nazewnątrz. W zespołach męskich mamy pod tym względem do czynienia z bardzo silnie akcentującym się zintegrowaniem zespołów.

B. Nastawienia uczuciowe i oceny w zespołach.

Przy analizowaniu liczb względnych, odnoszących się do uczuć i ocen członków zespołów nasuwają się następujące wnioski ogólne:

a) we wszystkich czterech zespołach członkowie tychże wykazują naogół więcej dodatnich uczuć aniżeli dodatnich ocen względem członków swego zespołu;

b) oceny ujemne są zjawiskiem naogół częstszym, aniżeli nastawienia uczuciowe ujemne względem członków własnego zespołu (poza jednym wyjątkiem);

c) ocena obojętności społecznej jest zjawiskiem częstszym, aniżeli obojętność uczuciowa względem członków własnego zespołu.

Przechodząc do zespołów w/g płci i lat studjów, zwracamy uwagę na wyższy udział nastawień sympatycznych wśród członków kursu

I-go w porównaniu z drugim. W obu zespołach kobiety wykazują więcej antypatji i więcej ujemnych ocen, aniżeli mężczyźni. W ocenie wzajemnych walorów dochodzi do sytuacji takiej, iż kobiety na kursie II-im wykazują stosunkowo więcej ocen dodatnich względem mężczyzn (41%) aniżeli względem siebie (39%), gorzej więc sądzą o sobie aniżeli o bardziej obcym sobie środowisku męskiem. Kobiety na kursie I-ym wykazują 4 razy więcej ocen ujemnych względem członkiń własnego zespołu, aniżeli względem członków zespołu męskiego. Tak wielkiej różnicy na drugim roku nie spotykamy.

Tutaj nasuwa się wniosek, dotyczący postaw względem członków własnej grupy — w przeciwstawieniu do postaw względem członków grupy obcej: czy postawy względem własnej grupy zawsze musi cechować stosunkowo większy udział postaw $+/+$ -ych, mniejszy zaś $0/0$ -ych oraz $-/-$ -ych? Wydaje się, iż niekoniecznie, naogół jednak tak będzie, w przeciwnym razie mamy do czynienia ze zjawiskiem paradoksalnym dla poczucia grupy, a mianowicie — iż postawy względem obcych są bardziej dodatnie aniżeli względem własnego zespołu: świadczy to o tem, iż „własny zespół“ jako taki staje się dla wielu członków zespołem obcym, natomiast „obcy“ zespół staje się dla nich własnym, względnie własny staje się tak obojętnym, jak obcy.

Przejdźmy obecnie do ustalenia miejsca każdego z członków 4 zespołów w ramach każdego z tych zespołów. Możemy to uczynić najprościej przez ułożenie dwóch tabel, a mianowicie:

- a) tabeli popularności członków w zespołach,
- b) tabeli walorów członków w zespołach.

W tym celu układamy listy członków zespołów, oddzielnie dla mężczyzn, oddzielnie dla kobiet, uzyskując w ten sposób dla każdego kursu po 4 tablice popularności i 4 tablice walorów. Tabele te możemy następnie „skomasować“, uzyskując dla każdego kursu po jednej tablicy popularności i jednej tablicy walorów.

Postawy mężczyzn względem siebie w zespołach.

Zespół na roku I-ym studjów:						Zespół na roku II-im studjów:									
Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-	Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-
Sądów ogółem	361	108	37	Nastawień ogółem	402	70	34	Sądów ogółem	618	322	116	Nastawień ogółem	737	200	119
Nr. kolejny				Nr. w-g tab walorów				Nr. kolejny				Nr. w-g tab walorów			
1	22	—	—	6/1	22	—	—	1	30	2	—	16/1	30	2	—
2	22	—	—	7/2	22	—	—	2	30	2	—	3/2	30	2	—
3	22	—	—	1/3	21	1	—	3	29	3	—	6/3	30	1	1
4	21	1	—	2/4	21	—	1	4	27	5	—	11/4	29	3	—
5	19	3	—	14/5	20	1	1	5	27	4	1	14/5	29	3	—
6	19	3	—	11/6	20	1	1	6	26	3	3	21/6	29	3	—
7	19	3	—	5/7	19	3	—	7	25	4	3	2/7	29	1	2
8	19	3	—	13/8	19	3	—	8	24	7	1	1/8	27	5	—
9	19	2	1	12/9	19	3	—	9	24	3	3	8/9	27	4	1
10	19	—	3	20/10	19	3	—	10	23	6	3	7/10	27	3	2
11	18	3	1	21/11	19	3	—	11	22	10	—	17/11	26	6	—
12	18	3	1	4/12	19	1	2	12	21	10	1	15/12	26	5	1
13	17	5	—	9/13	19	1	2	13	21	10	1	27/13	26	5	1
14	15	5	2	3/14	18	4	—	14	20	12	—	24/14	26	5	1
15	13	8	1	17/15	18	4	—	15	20	11	1	5/15	26	4	2
16	13	7	2	19/16	18	1	3	16	20	9	3	18/16	25	7	—
17	12	9	1	16/17	17	5	—	17	19	12	1	22/17	24	6	2
18	11	6	5	10/18	15	6	1	18	19	11	2	13/18	24	5	3
19	10	7	5	15/19	14	7	1	19	19	8	5	12/19	24	4	4
20	10	7	5	8/20	14	6	2	20	18	8	6	28/20	21	8	3
21	9	12	1	18/21	12	3	7	21	17	14	1	10/21	21	7	4
22	9	8	5	23/22	11	4	7	22	17	13	2	4/22	20	7	5
23	5	13	4	22/23	6	10	6	23	16	11	5	25/23	20	6	6
								24	15	14	3	29/24	19	10	3
								25	15	12	5	9/25	19	8	5
								26	14	12	6	26/26	17	9	6
								27	13	13	6	23/27	16	10	6
								28	13	12	7	32/28	14	11	7
								29	9	15	8	19/29	13	11	8
								30	8	12	12	33/30	13	8	11
								31	6	17	9	31/31	11	11	10
								32	6	17	9	30/32	10	8	14
								33	5	18	9	20/33	9	12	11

Postawy kobiet względem siebie w zespołach.

Zespół na roku I-ym studjów:						Zespół na roku II-im studjów:									
Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-	Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-
Sądów ogółem	538	504	80	Nastawień ogółem	801	259	62	Sądów ogółem	544	673	189	Nastawień ogółem	862	394	150
Nr. kolejny				Nr. w-g tab. walorów				Nr. kolejny				Nr. w-g tab. walorów			
1	32	1	—	1/1	33	—	—	1	34	3	—	5/1	34	3	—
2	31	2	—	8/2	32	1	—	2	32	5	—	7/2	32	4	1
3	28	4	1	2/3	30	3	—	3	30	6	1	6/3	32	4	1
4	27	5	1	30/4	29	4	—	4	29	8	—	1/4	31	6	—
5	26	5	2	24/5	29	4	—	5	29	8	—	9/5	30	6	1
6	26	5	2	16/6	28	5	—	6	28	7	2	3/6	29	8	—
7	25	6	2	26/7	28	5	—	7	27	8	2	4/7	29	8	—
8	22	10	1	7/8	28	3	2	8	25	6	6	15/8	28	9	—
9	21	12	—	3/9	27	6	—	9	24	13	—	12/9	28	8	1
10	20	11	2	13/10	27	6	—	10	19	18	—	19/10	27	9	1
11	19	14	—	12/11	27	6	—	11	18	15	4	21/11	27	8	2
12	18	15	—	11/12	27	6	—	12	17	18	2	16/12	27	8	2
13	17	16	—	18/13	27	5	1	13	16	18	3	10/13	26	11	—
14	17	12	4	10/14	27	5	1	14	14	20	3	20/14	26	10	1
15	17	11	5	27/15	26	6	1	15	14	20	3	13/15	26	10	1
16	16	17	—	20/16	25	7	1	16	12	23	2	14/16	26	8	3
17	16	17	—	9/17	24	9	—	17	12	18	7	2/17	25	11	1
18	16	14	3	19/18	24	7	2	18	12	15	10	22/18	25	10	2
19	15	12	6	25/19	24	7	2	19	11	23	3	27/19	25	10	2
20	14	18	1	23/20	24	6	3	20	11	22	4	17/20	25	8	4
21	13	18	2	21/21	23	9	1	21	10	23	4	36/21	23	12	2
22	12	19	2	15/22	23	8	2	22	10	23	4	29/22	22	14	1
23	12	17	4	14/23	23	6	4	23	10	23	4	32/23	20	14	3
24	11	21	1	17/24	21	11	1	24	10	14	13	8/24	20	11	6
25	11	20	2	29/25	21	10	2	25	9	25	3	28/25	20	9	8
26	11	18	4	4/26	21	8	4	26	9	22	6	23/26	19	13	5
27	10	20	3	28/27	20	13	—	27	8	28	1	34/27	19	10	8
28	8	25	—	6/28	19	9	5	28	8	20	9	11/28	19	9	9
29	7	24	2	34/29	18	13	2	29	7	27	3	25/29	18	17	2
30	7	23	3	32/30	16	15	2	30	7	24	6	30/30	18	14	5
31	6	18	9	5/31	15	14	4	31	7	24	6	31/31	18	11	8
32	3	23	7	22/32	13	13	7	32	6	22	9	26/32	17	18	2
33	3	23	7	31/33	12	11	10	33	6	17	14	18/33	17	11	9
34	1	28	4	33/34	10	18	5	34	5	22	10	37/34	16	17	4
								35	5	21	11	33/35	14	10	13
								36	4	26	7	38/36	9	13	15
								37	4	23	10	35/37	8	14	15
								38	4	16	17	24/38	7	18	12

Postawy mężczyzn względem kobiet w zespołach.

Zespół na roku I-ym studiów:						Zespół na roku II-im studiów:									
Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-	Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-
Sądów ogółem	413	333	36	Nastawień ogółem	467	243	72	Sądów ogółem	463	623	168	Nastawień ogółem	633	409	212
Nr. w-g tab. walorów ¹				Nr. w-g tab. walorów ¹				Nr. w-g tab. walorów ¹				Nr. w-g tab. walorów ¹			
2/1	21	2	—	1/1	22	—	1	1/1	28	5	—	21/1	29	4	—
6/2	21	1	1	2/2	21	1	1	2/2	26	6	1	3/2	28	5	—
1/3	20	2	1	27/3	20	3	—	8/3	25	8	2	28/3	27	3	3
7/4	19	3	1	8/4	19	4	—	28/4	21	8	4	5/4	26	6	1
27/5	18	5	—	14/5	19	3	1	11/5	21	8	4	7/5	25	7	1
15/6	17	6	—	13/6	17	6	—	4/6	20	8	5	15/6	25	7	1
22/7	17	4	2	10/7	17	5	1	21/7	18	14	1	1/7	25	6	2
10/8	16	7	—	23/8	17	4	2	5/8	18	13	2	14/8	24	7	2
5/9	15	8	—	18/9	17	4	2	7/9	17	12	4	22/9	23	10	—
4/10	15	8	—	17/10	17	4	2	6/10	16	14	3	20/10	23	10	—
13/11	15	8	—	4/11	16	5	2	3/11	14	17	2	18/11	22	8	3
17/12	15	7	1	11/12	15	8	—	24/12	14	13	6	2/12	21	10	2
24/13	14	9	—	5/13	15	7	1	12/13	13	19	1	34/13	20	7	6
8/14	14	9	—	24/14	15	7	1	14/14	13	18	2	8/14	20	7	6
3/15	14	9	—	12/15	15	7	1	18/15	13	17	3	4/15	20	5	8
11/16	12	11	—	3/16	14	9	—	26/16	13	17	3	26/16	19	13	1
9/17	12	11	—	28/17	14	9	—	13/17	13	16	4	37/17	18	13	2
14/18	12	10	1	15/18	14	8	1	22/18	12	20	1	6/18	18	13	2
12/19	11	12	—	9/19	13	9	1	15/19	12	19	2	13/19	18	12	3
23/20	11	12	—	26/20	13	7	3	37/20	11	20	2	19/20	18	12	3
18/21	10	11	2	7/21	12	6	5	16/21	11	18	4	24/21	18	8	7
19/22	10	9	4	6/22	12	5	6	27/22	11	17	5	6/22	16	14	3
28/23	9	14	—	25/23	11	12	—	20/23	10	22	1	27/23	15	14	4
25/24	9	14	—	34/24	11	9	3	34/24	10	16	7	12/24	15	14	4
16/25	9	11	3	16/25	11	8	4	10/25	9	22	2	35/25	13	11	9
20/26	8	15	—	19/26	11	6	6	9/26	9	20	4	29/26	11	18	4
21/27	8	14	1	20/27	10	13	—	29/27	8	24	1	16/27	11	13	9
31/28	8	14	1	32/28	10	7	6	25/28	8	23	2	25/28	10	17	6
32/29	8	10	5	21/29	9	13	1	35/29	7	19	7	17/29	10	16	7
29/30	7	16	—	33/30	9	9	5	19/30	6	24	3	36/30	10	12	11
33/31	7	14	2	30/31	9	7	7	23/31	6	21	6	9/31	9	17	7
34/32	5	16	2	29/32	8	14	1	32/32	6	20	7	31/32	9	14	10
26/33	4	15	4	31/33	8	12	3	17/33	6	19	8	11/33	8	15	10
30/34	2	16	5	22/34	6	12	5	38/34	6	12	15	32/34	8	12	13
								36/35	5	20	8	23/35	7	18	8
								31/36	5	16	12	30/36	6	11	16
								33/37	4	18	11	33/37	5	9	19
								30/38	3	17	13	38/38	3	10	20

¹ Kolejność tu przyjęta jest kolejnością uzyskaną przez kobiety w ramach własnych, kobiecych zespołów.

Postawy kobiet względem mężczyzn w zespołach.

Zespół na roku I-ym studiów:						Zespół na roku II-im studiów:									
Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-	Tabela walorów	+	0	-	Tabela popularności	+	0	-
Sądów ogółem	338	439	5	Nastawień ogółem	437	318	27	Sądów ogółem	522	616	116	Nastawień ogółem	650	482	122
Nr. w-g tab. walorów				Nr. w-g tab. walorów				Nr. w-g tab. walorów				Nr. w-g tab. walorów			
10/1	33	1	—	4/1	31	1	2	7/1	36	2	—	6/1	33	4	1
4/2	32	2	—	20/2	29	5	—	6/2	31	6	1	16/2	31	7	—
13/3	31	3	—	2/3	28	5	1	10/3	28	9	1	7/3	31	6	1
2/4	24	9	1	9/4	27	7	—	12/4	26	12	—	26/4	31	5	2
3/5	24	9	1	13/5	27	7	—	26/5	24	13	1	13/5	27	10	1
9/6	23	11	—	10/6	27	6	1	1/6	23	15	—	12/6	27	9	2
1/7	17	17	—	3/7	27	6	1	21/7	23	14	1	21/7	26	12	—
20/8	15	19	—	16/8	26	8	—	13/8	23	14	1	28/8	26	10	2
18/9	15	19	—	1/9	22	12	—	5/9	22	14	2	27/9	25	13	—
14/10	14	20	—	6/10	22	10	2	2/10	21	17	—	1/10	22	16	—
12/11	14	20	—	14/11	21	12	1	16/11	21	13	4	11/11	22	15	1
11/12	14	20	—	7/12	21	12	1	3/12	20	13	5	10/12	22	15	1
6/13	14	19	1	18/13	20	13	1	9/13	20	7	11	2/13	22	13	3
16/14	12	22	—	19/14	19	13	2	29/14	18	13	7	15/14	21	16	1
23/15	12	21	1	11/15	17	17	—	8/15	16	20	2	17/15	21	16	1
19/16	11	23	—	12/16	16	18	—	4/16	15	19	4	29/16	21	10	7
7/17	11	22	1	23/17	11	19	4	18/17	14	24	—	23/17	20	16	2
8/18	5	29	—	22/18	10	24	—	28/18	14	16	8	14/18	19	18	1
5/19	4	30	—	21/19	10	23	1	19/19	14	13	11	18/19	19	18	1
21/20	4	30	—	5/20	7	27	—	27/20	13	22	3	25/20	19	15	4
22/21	3	31	—	15/21	7	22	5	24/21	13	22	3	3/21	19	11	8
15/22	3	31	—	17/22	7	22	5	11/22	10	28	—	24/22	17	19	2
17/23	3	31	—	8/23	5	29	—	22/23	9	29	—	22/23	16	19	3
								17/24	9	29	—	33/24	14	19	5
								15/25	9	27	2	8/25	14	18	6
								32/26	9	23	6	31/26	14	16	8
								20/27	9	18	11	5/27	12	23	3
								23/28	7	29	2	32/28	12	21	5
								25/29	7	26	5	30/29	12	20	6
								14/30	6	28	4	9/30	12	18	8
								31/31	6	26	6	20/31	10	17	11
								30/32	3	28	7	4/32	8	25	5
								33/33	3	27	8	19/33	5	12	21

W 4-ch tablicach w całości przytoczonych oznaczeni zostali członkowie poszczególnych zespołów numerami kolejnymi, które wzięte zostały z tabeli walorów i oznaczają miejsce danego członka zespołu w tej tabeli. Aby zachować sobie możliwość odszukania danego członka zespołu i w innym uszeregowaniu — podana wszędzie została ta numeracja zasadnicza według tabeli walorów (w liczniku ułamka).

Zwrócić trzeba uwagę na rozpiętość zachodzącą między najwyższą popularnością a — że się tak wyrażę — popularnością najmniejszą lub, co na jedno wychodzi — największą niepopularnością. To samo obserwujemy i w tabelach walorów — jako rozpiętość w ocenie społecznej członków. Okazuje się, iż maksimum popularności oraz maksimum dodatniej oceny — sięgają zwykle prawie liczby wypowiedzi a więc obejmują prawie wszystkich członków zespołów; nie należy więc do wyjątków zjawisko popularności obejmującej prawie cały zespół, a to samo jest w ocenach.

Wśród 4-ch zespołów największą rozpiętość w popularności wykazuje (różnica między minimum a maksimum plusów — w %-tach do możliwego maksimum) zespół męski I roku i żeński II roku (73%) oraz — w kategorii walorów — zespół I żeński, przyczem tak w pierwszym jak w drugim wypadku rozpiętość ta waha się niezbyt znacznie (I — od 66% do 73%, II — od 77% do 94%).

Zagadnienie rozpiętości w dziedzinie popularności społecznej w zespole oraz rozpiętości w ocenach walorów społecznych posiadają szczególne znaczenie tak teoretyczne, jak i praktyczne. Zastanawia fakt, że zagadnieniu temu tak niewiele uwagi poświęca literatura, w szczególności literatura pedagogiczna, dla pedagogiki bowiem stanowi to problem krzyżowy, problem ogromnej wagi.¹ Wiąże się on wszak z dążnością pedagogiki do postawienia każdego z członków zespołu szkolnego czy innego w najbardziej odpowiednie warunki rozwojowe, tymczasem nieuchwytny czynnik społeczny (klasa) w formie negatywnych postaw zespołu do jednostki może całkowicie przekreślić tę najbardziej istotną w wychowaniu dążność.

Jak widzimy z tablic, naogół popularność członków zespołu nie idzie ściśle w parze z oceną społeczną: za wyjątkiem jednego (I kurs

¹ Patrz mój artykuł w *Ruchu Pedagogicznym* nr. 9 rok 1935 p. t. „Proces wychowawczo-społeczny jako rezultat celowego oddziaływania nauczyciela w szkole“.

żeński) w trzech zespołach spotykamy się z faktem, iż pierwsze miejsca w obu tabelach są obsadzone przez różnych członków zespołu: sądzę, iż uzyskanie pierwszego miejsca w obu tabelach będzie zwykle zjawiskiem wyjątkowym i właściwie — dziełem przypadku.

W tablicach spotykamy się często z tem, iż poszczególni członkowie zespołów są znacznie bardziej lubiani aniżeli cenieni i odwrotnie; dotyczy to tak zespołów męskich jak i kobiecych. W jednym z zespołów kobiecych spotykamy się nawet z wypadkiem, iż jedna z członkiń zajmuje jedno z pierwszych miejsc w tabeli popularności, a jedno z ostatnich w tabeli walorów: wskazuje to z jednej strony, na rozróżnianie w wypowiedziach między nastawieniem uczuciowem a oceną; z drugiej strony wskazuje to na fakt, że rozróżnienie to ma duże znaczenie praktyczne i nie powinno być pomijane. Należałoby zanalizować pozycję społeczną tych właśnie członków zespołów w stosunku do których następuje tak silnie różnicowanie, oni bowiem, w rezultacie tego zróżnicowania, będą się odnosić względem zespołu inaczej, aniżeli ci co do których niema tego rodzaju zróżnicowania.

Jak widać z tablic zdarza się dość często, że pierwsze miejsce w tabeli przypada nie jednej ale jednocześnie kilku członkom zespołu, względem których notujemy tę samą liczbę postaw dodatnich: np. na kursie I-ym męskim w tabeli walorów uzyskało aż trzech członków zespołu pierwsze miejsce i — jak w danym wypadku — po 22 oceny dodatnich walorów, w tabeli zaś popularności w ten sam sposób pierwsze miejsce uzyskało dwóch członków zespołu. Podobnie ma się sprawa i na drugim kursie męskim, gdzie w jednej i drugiej tabeli znajdujemy po dwóch członków zespołu na pierwszym miejscu (30 plusów i 2 zera). W ten sposób w grupie pierwszej mamy do zanotowania, iż 5-ciu członków odgrywa pewnego rodzaju przodujące role i wobec tego oddziaływania ich względem siebie oraz reszty zespołu zasługują na szczególną uwagę; w grupie zaś drugiej 4 osoby, zyskały szczególne stanowiska społeczne i wobec tego winny stanowić przedmiot dokładniej scharakteryzowany. W zespołach żeńskich nie spotykamy się ze zjawiskiem podobnem, ponieważ we wszystkich 4-ch wypadkach uszeregowanie obejmuje na pierwszych miejscach wyłącznie po jednej przodowniczce. Te właśnie przodujące miejsca w grupie i ich obsada stanowić winny szczególny przedmiot zainteresowań socjologa, a postawy przodowników tak względem siebie, jak reszty zespołu zawsze szczegółowo rozpatrywane.

Zdarza się nierzadko, że ostatnie miejsca w zespole, a więc najbardziej upośledzone zajmują jednostki dodatnie społecznie i wcale nie zasługujące na ujemne ustosunkowanie się do nich zespołu; bywa to wywołane postawą przodowników, którzy, odnosząc się do pewnych jednostek negatywnie — organizują przeciw nim zwarty front zespołu, urabiają im złą opinię, oddziałują szkodliwie na postawy tych, którzy odnosili się dotychczas pozytywnie. W ten sposób popularność wielka albo jednolita, dodatnią oceną walorów w grupie może być niewątpliwie używana jako środek antyspołeczny i wobec tego wymagać będzie reakcji pedagogicznej, uwzględniającej interesy społeczne wszystkich członków zespołu i wypowiedzającej walkę tego rodzaju destrukcyjnym postawom.

W obu tabelach na miejscach następujących po przodownikach zdarza się nader często, iż kilku jednocześnie członków zespołu uzyskuje tę samą „lokata społeczną“ albo miejsca bardzo zbliżone. I ci członkowie zespołu winni być rozpatrywani tak w postawach wzajemnych jak i w stosunku do reszty zespołu. O ile w zespole poza nieliczną jednostkami znajdującymi się na pierwszych miejscach i na ostatnich większość członków uzyskuje lokaty bardzo zbliżone do siebie — wówczas możemy a priori przypuszczać, iż układ społeczny przez wyznaczenie miejsca każdemu z członków przez całość zespołu wykazuje cechy dodatnie i będzie wpływał zapewne w następstwie na dalszą konsolidację społeczną. W wypadku przeciwnym t. j. przy znacznych różnicach i wielkiej rozpiętości w lokatach społecznych rozwój zespołu jako całości będzie napotykał na poważne trudności wobec wytwarzających się na tym tle antagonizmów.

Z przytoczonych przez nas tabel nie wynika wyraźnie czy popularność, czy też raczej dodatniość ocen społecznych wykazuje tendencje do silniejszej koncentracji w odniesieniu do członków przodujących w zespole. A więc np. w obu zespołach męskich i popularność i ocena walorów jednakowo lokują przodowników (w obu wypadkach — po 22 plusy, a więc wszyscy członkowie zajęli stanowisko dodatnie). Wśród kobiet na I roku studjów znajdujemy niewielką różnicę na korzyść popularności (33 plusy, w tabeli walorów — 32 plusy). Nie możemy wysnuwać dalej idących wniosków, co stanie się zapewne możliwe po opracowaniu bogatszego materiału. Prawdopodobnie w praktyce życia społecznego spotykać się będziemy ze zjawiskami dwojakiego rodzaju: w jednych zespołach zaznaczać się bę-

dzie silniej popularność, aniżeli walor społeczny, w innych — raczej będzie odwrotnie i dominować będzie walor społeczny przodownika nad największą popularnością. Ponieważ zjawiska te będą silnie oddziaływały na charakter danego zespołu i nawet — będą go w pewnym stopniu wyznaczały — sądzę, iż tutaj sięgnęliśmy do jednego z najbardziej istotnych czynników odnoszących się do struktury zespołów społecznych i wobec tego rozróżnienie zespołów i naukowa klasyfikacja tych zespołów winna się odbywać w zależności od tej cechy strukturalnego charakteru; w ten sposób zbiorowa postawa członków zespołu w stosunku do dwojakiego typu przodowników może się stać jednym z kryterjów do klasyfikowania zespołów społecznych.

Tabele popularności i walorów stanowiąc mogą niewyczerpany materiał do studjów nad strukturą zespołów społecznych. W naszych przykładach znajdujemy sporo materiału jeszcze, któryby należało omówić. Wobec trudności pomieszczenia w ramach niewielkiego artykułu tak obszernej treści, ograniczamy się do wskazania zagadnień najbardziej podstawowych, rezerwując sobie prawo w przyszłości zająć się tym tematem bardziej szczegółowo.

Przejdźmy obecnie do ujawnienia wzajemnych postaw członków zespołu w zależności od tego, jakie miejsce zajmują oni według zróżnicowanej dwojako hierarchji; a więc: a) jakie postawy względem siebie wykazują najbardziej popularni i najbardziej cenieni, a jakie najbardziej niepopularni i najmniej cenieni;

b) jakie postawy wykazują najbardziej popularni i cenieni względem najmniej popularnych i cenionych i odwrotnie — jakie postawy wykazują najmniej popularni i cenieni względem najbardziej popularnych i cenionych;

c) jak — co do punktów a) i b) — odnoszą się w zespołach kobiety, a więc czy istnieją różnice w porównaniu z przodownikami męskimi, a kobiecemi w odnoszeniu się wzajemnem do siebie i t. d.;

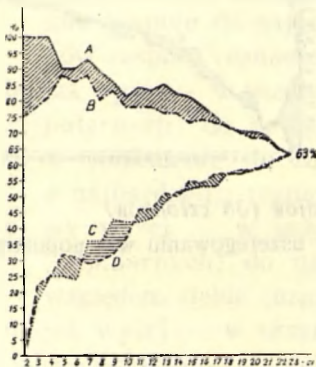
d) jak oddziałuje na postawy według wymienionych zaszergowanych czas istnienia zespołu (w naszym przykładzie — rok studjów).

Aby odpowiedzieć na szereg postawionych wyżej bardzo ważnych dla socjologii pytań należy przedstawić materiał w formie graficznej, a mianowicie liczbowych diagramów — jak poniżej:

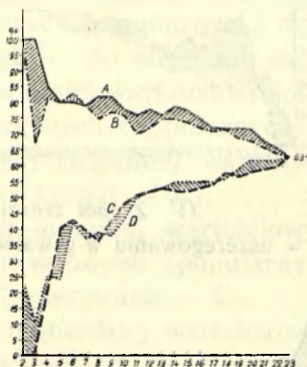
Wzajemne postawy członków czterech zespołów w zależności od roli społecznej w grupie.

1. Zespół męski roku I-go studjów (23 członków)

1. w uszeregowaniu w-g walorów

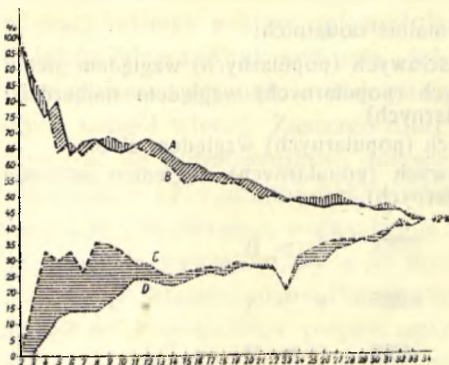


2. w uszeregowaniu w-g popularności

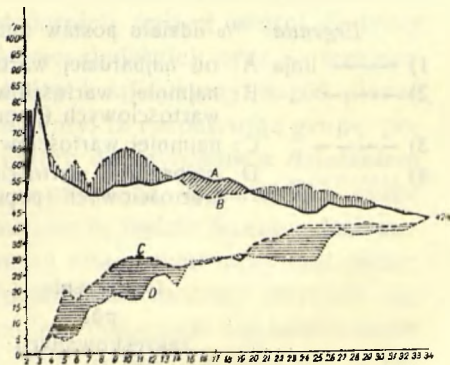


II. Zespół żeński roku I-go studjów (34 członków)

3. w uszeregowaniu w-g walorów



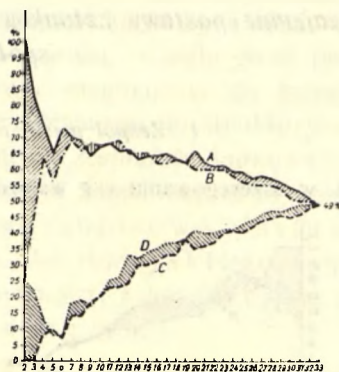
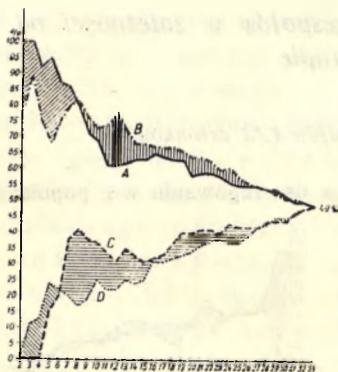
4. w uszeregowaniu w-g popularności



III. Zespól męski roku II-go studjów (33 członków)

5. w uszeregowaniu w-g walorów

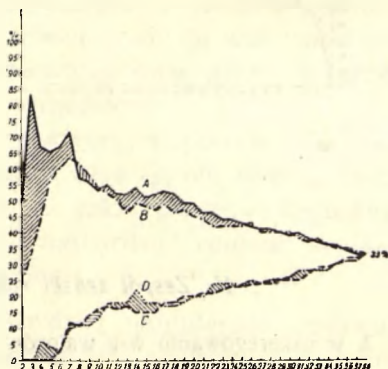
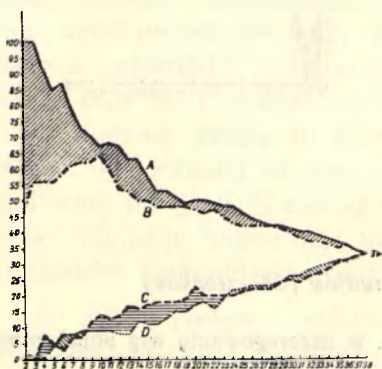
6. w uszeregowaniu w-g popularności



IV. Zespól żeński roku II-go studjów (38 członków)

7. w uszeregowaniu w-g walorów

8. w uszeregowaniu w-g popularności



Legenda: % udziału postaw optymalnie dodatnich:

- 1) ——— linja A: od najbardziej wartościowych (popularnych) względem siebie
- 2) - - - - - „ B: najmniej wartościowych (popularnych) względem najbardziej wartościowych (popularnych)
- 3) - - - - - „ C: najmniej wartościowych (popularnych) względem siebie
- 4) „ D: najbardziej wartościowych (popularnych) względem najmniej wartościowych (popularnych)

Oznaczenie
pól
zakreskowanych:

	A > B
	B > A
	C > D
	D > C

W diagramach na osi poziomej oznaczyliśmy członków zespołów w kolejności w-g walorów, względnie — w-g popularności w grupie. Na osi pionowej odnotowujemy udział w %-tach optymalnie dodatnich postaw (+/+) w kolejności członków zespołu wykazywanych względem siebie (a więc: dwóch pierwszych, trzech pierwszych itd.). Cztery rodzaje linii oznaczają:

- a) udział %-wy postaw optymalnie dodatnich członków w uszeregowaniu od najbardziej wartościowych (popularnych) członków zespołu do najmniej wartościowych (popularnych) członków zespołu (oznaczenie: linja ciągła — A) względem siebie;
- b) jak wyżej — w uszeregowaniu od najmniej wartościowych (popularnych) do najbardziej wartościowych (popularnych) — w odniesieniu do strony przeciwnej (najmniej wartościowi o najbardziej); (oznaczenie: kreski i kropki — B);
- c) jak wyżej — w uszeregowaniu od najmniej wartościowych (popularnych) do najbardziej wartościowych (popularnych) względem siebie (oznaczenie: linja przerywana — C);
- d) jak wyżej — w uszeregowaniu od najbardziej wartościowych (popularnych) do najmniej — w odniesieniu do strony przeciwnej (najbardziej wartościowi o najmniej); (oznaczenie: linja kropkowana — D).

Ogólnie musimy skonstatować, że:

1. przodujący, t. j. znajdujący się na pierwszych miejscach w grupie tak pod względem popularności, jak i walorów społecznych naogół odnoszą się do siebie inaczej, aniżeli znajdujący się na miejscach ostatnich w tej klasyfikacji, a mianowicie pierwsi wykazują znacznie większy odsetek postaw optymalnie dodatnich, aniżeli ostatni. Dotyczy to także odrębnie tak sympatji, jak i ocen dodatnich oraz — wzajemności postaw optymalnie dodatnich, których spotykamy wśród pierwszych naogół więcej. Zastrzec tutaj musimy, iż rozpatrując grupę, poczynając od przodowników, zawsze mamy do czynienia z działaniem silniejszym przypadkowości, aniżeli rozpatrując większą już liczbę członków „residuum“, wobec czego metodę tą będzie trzeba udoskonalić pod tym względem, by o ile możności eliminować przypadkowość.

Na podstawie niewielkiego materiału nie możemy określić czy naogół większy odsetek postaw optymalnie dodatnich względem siebie wykazują najbardziej popularni czy najbardziej wartościowi. I ten

wniosek należy pozostawić na przyszłość. Stwierdzenie jednak faktu tego rodzaju da socjologii narzędzie ogromnego znaczenia teoretycznego i praktycznego, wskaże bowiem na bardzo ważną cechę struktury zespołu społecznego i ustali wytyczne dla działania praktycznego w tej dziedzinie. Obok kryterjum dla klasyfikowania zespołów społecznych, a odnoszącego się do 1) postawy zbiorowej członków zespołu do dwojakiego typu przodowników, uzyskalibyśmy w ten sposób kryterjum drugie dla tej klasyfikacji, a polegające na 2) ustaleniu typowości postaw społecznych dwóch rodzajów przodowników względem siebie.

2. Znajdujący się na końcowych miejscach tabeli członkowie zespołów naogół wykazują mniejszy udział postaw dodatnich względem siebie aniżeli przodujący. Najmniej wartościowi naogół gorzej odnoszą się do najbardziej wartościowych, aniżeli najmniej popularni do najbardziej popularnych.

3. Mężczyźni naogół wykazują więcej postaw dodatnich, niż kobiety. Dotyczy to także przodowników, co by wskazywało na fakt, że antagonizmy i negatywny stosunek przodowniczek do siebie zaznacza się silniej, niż wśród mężczyzn. Zwraca uwagę fakt, iż w zespole żeńskim roku I-go najmniej popularne jak i najmniej cenione wykazują większy udział dodatnich postaw względem najbardziej popularnych i najbardziej cenionych, aniżeli te względem siebie.

Zwraca uwagę fakt, iż o ile w zespołach męskich najmniej wartościowi wykazują niższy odsetek postaw optymalnie dodatnich względem siebie, aniżeli najbardziej wartościowi względem nich, to wśród kobiet widzimy zjawisko odwrotne: udział postaw optymalnie dodatnich wśród ocenionych jako najmniej wartościowe jest naogół wyższy, aniżeli udział tych postaw względem nich u najbardziej wartościowych. Szczególnie wyraźnie daje się to zaobserwować w odniesieniu do zespołu kobiet na roku I-ym studjów. W przyszłości uda się niewątpliwie odpowiedzieć tak na pytanie odnoszące się do wzajemnych postaw różnego typu przodowników, jak i różnego typu „upośledzonych“ społecznie; wówczas będzie można zastanowić się nad celową działalnością organizacyjną, któraby od strony „socjotechniki“ pozwoliła podchodzić praktycznie do tak trudnych zagadnień celowego oddziaływania na zespoły.

Przejdę obecnie do przedstawienia rozpatrywanych przez nas zespołów z punktu widzenia stopnia zespolenia członków grupy w całość społeczną. W tym celu należy nader szczególnie zanalizować wszystkie postawy członków w grupie. Wobec tego, że postaw tych jest bardzo znaczna liczba, bo w najmniejszym rozpatrywanym przez nas zespole wynoszą one 506 (kurs I męski 23 osoby), przeto istnieją znaczne techniczne trudności przedstawienia grupy jako całości w jakiś dostępny dla oka sposób. Utrudnia sytuację to, iż wszystkie właściwie oceny i uczucia lub ich brak wpływają na postawy członków do siebie, przyczem różnice, jakie w tym względzie powstają są bardzo znaczne.

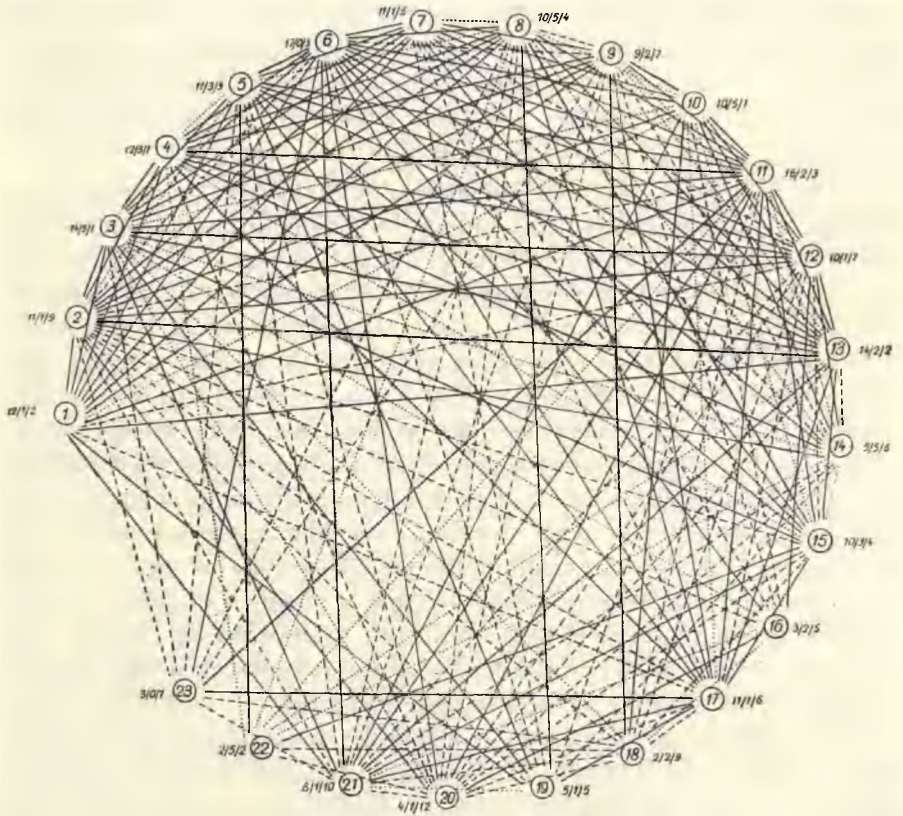
Dla szematycznego uwidocznienia układu ustosunkowań wzajemnych członków zespołu wystarczy nam tymczasem przedstawienie graficzne ustosunkowań najbardziej twórczych społecznie; nie rezygnując w przyszłości z przedstawienia wszelkich szczegółów ustosunkowań w zespole, obecnie zajmę się tylko temi, które są jednocześnie i d e n t y c z n e i w z a j e m n e. Biorę więc przedewszystkiem pod uwagę postawy optymalnie dodatnie (+/+) i identyczne, a więc postawy wyznaczone sympatją i oceną dodatnią, które spotykają się z taką samą postawą współczłonków; co do dwóch innych elementów, to rozpatrzmy dodatkowo — a) wzajemnie dodatnie uczucia (sympatje), niezależnie od tego, z jakimi są powiązane ocenami, i odwrotnie — b) wzajemnie dodatnie oceny, niezależnie od tego, z jakimi są powiązane uczuciami. Te dwa ostatnie elementy wchodzące w skład postaw — nie wytworzą nam naturalnie postaw identycznych, podczas gdy w pierwszym wypadku możemy przyjąć, iż mamy do czynienia z postawami członków grupy identycznymi względem siebie.

Najmniejsza z rozpatrywanych przez nas grup liczy 23 członków (I rok, mężczyźni) uszeregowanych w/g walorów i została przedstawiona w formie 23 kółeczek rozmieszczonych na obwodzie koła i połączonych trojakiemu typu w z a j e m n e m i w i ą z a n i a m i :

- a) wiązania wzajemne oznaczone linią ciągłą oznaczają postawy wyznaczone przez wzajemne sympatje i dodatnie oceny (+/+ i +/+);
- b) wiązania oznaczone linią przerywaną oznaczają wzajemne dodatnie oceny (?/+ i ?/+), niezależnie od charakteru uczuć;

c) wiązania oznaczone linią kropkowaną oznaczają wzajemne sympatje (+/? i +/?), niezależnie od charakteru ocen.

Powiązania 23 członków grupy męskiej roku 1-go studjów:



1. Postawy
wzajemne
optymalnie
dodatnie

2. Oceny
wzajemne
dodatnie

3. Sympatje
wzajemne

Członkowie zespołu zostali zaznaczeni kolejno jako kółka na niepełnym obwodzie koła. Jak wynika z liczb odnoszących się do wiązań łączących poszczególnych członków, a umieszczonych obok kółek wyobrażających tych członków, są wśród członków zespołu tacy, którzy są powiązani 17-krotnie przez wzajemne optymalnie dodatnie postawy współczłonków, są natomiast tacy, którzy poszczycić się mogą zaledwie dwukrotnymi wzajemnymi tego rodzaju wiązaniami; co się tyczy wzajemnych dodatnich ocen i wzajemnych sympatyj, to zdarzają się one rzadziej, nie wyznaczają ściśle postaw i wobec tego mają znacznie mniejsze znaczenie. Identyczność postaw, wynikających z wzajemności uczuć i ocen w kombinacjach poza wyżej rozpatrywanymi zdarzają się widocznie stosunkowo rzadko; w naszym przykładzie spotykamy się zaledwie jeden raz z identycznymi postawami wyznaczonymi przez wzajemną obojętność (0) i brak oceny społecznej (0), nie spotykamy zaś zupełnie postawy absolutnie negatywnej (—/—) wyznaczonej przez antypatję, połączoną z oceną szkodliwości społecznej. Poza tym spotykamy się dwa razy z identycznością wzajemnych postaw wyznaczonych przez sympatję połączoną z oceną obojętności społecznej względem współczłonka (+/0) oraz jeden raz z identycznością wzajemnych postaw wyznaczoną przez obojętność połączoną z oceną dodatniości społecznej współczłonka (0/+).

Jak widzimy z powyższego, identyczność postaw na naszym szmacie ujęta została prawie całkowicie, a to, co zostało pominięte, jest raczej wyjątkowym i nie oddziałuje wobec tego na strukturę całości. Charakterystycznym jest, iż kolejność według walorów nie stwarza takiej samej kolejności ani w identyczności postaw optymalnie dodatnich, ani w liczbie identyczności sympatyj, ani w liczbie identyczności dodatnich ocen.

Członkowie grupy, uszeregowani w zależności od liczby wiązań, jakie stanowią ich udział w grupie, począwszy od powiązanych najliczniej do najuboższych pod tym względem, dają ująć się w formie zestawienia przedstawionego poniżej; zaznaczam, iż wiązania te są wynikiem i powstają jako rezultat identycznych optymalnie dodatnich wzajemnych postaw.

Kolejność członków grupy ¹			
według zaszeregowania w tabeli walorów	liczba wiązań przypadających na danego członka zespołu		
	liczba +/+ -ów	liczba /+ -ów	liczba +/- -ów
Na 23 członków przypada ogółem wiązań	210	114	52
1) 6-ty	17	—	3
2) 11-ty	16	2	3
3) 13-ty	14	2	2
4) 3-ci	14	5	1
5) 4-ty	12	3	1
6) 1-szy	12	1	2
7) 5-ty	11	3	3
8) 2-gi	11	1	9
9) 17-ty	11	1	6
10) 7-my	11	1	5
11) 8-my	10	5	4
12) 10-ty	10	5	1
13) 15-ty	10	3	4
14) 12-ty	10	1	7
15) 9-ty	9	2	7
16) 21-szy	8	1	10
17) 14-ty	5	5	6
18) 19-ty	5	1	5
19) 20-ty	4	1	12
20) 16-ty	3	2	5
21) 23-ci	3	0	7
22) 22-gi	2	5	2
23) 18-ty	2	2	9

Jak wynika z powyższego 6-ty członek grupy w/g zaszeregowania w tabeli walorów powiązany jest największą liczbą razy wiązaniami optymalnie dodatnimi (17-krotnie), przytem nie wykazuje wcale wzajemnych identycznych ocen dodatnich oraz — tylko 3-krotnie wzajemne identyczne sympatje względem współczłonków.

Jak wynika z przedstawienia graficznego zespołu męskiego I-go roku studjów i przytoczonej tablicy wzajemnych postaw członków zespołu względem siebie — zespół ten można scharakteryzować przy

¹ Kolejność członków w tablicy w-g liczby identycznych wzajemnych optymalnie dodatnich postaw.

pomocy pewnych danych nietylko opisowego, ale i liczbowego charakteru. Możemy bowiem przedstawić wiązania przedstawione w zespole w formie współczynników, przeliczając je na jednego członka zespołu i uwzględniając stosunek wiązań faktycznych do teoretycznego możliwego maksimum. A więc okaże się, iż 210 identycznych wzajemnych postaw optymalnie dodatnich w przeliczeniu na 1 członka zespołu daje 9,1 wiązań; współczynnik więc, o którym mowa, wyniósłby dla postaw tego typu — w stosunku do możliwego maksimum (22 wiązania na 1 członka) — $\frac{9,1}{22} = 41,4\%$. Wzajemność wyłącznie dodatnich ocen społecznych waha się w zależności od członka zespołu — od 0 do 5, ogółem wynosi 52, co w przeliczeniu na 1 członka wyniesie przeciętnie 2,3. Wzajemność wyłącznie dodatnich uczuć (sympatyj) daje 114 jednostek, na jednego więc członka zespołu 5,0.

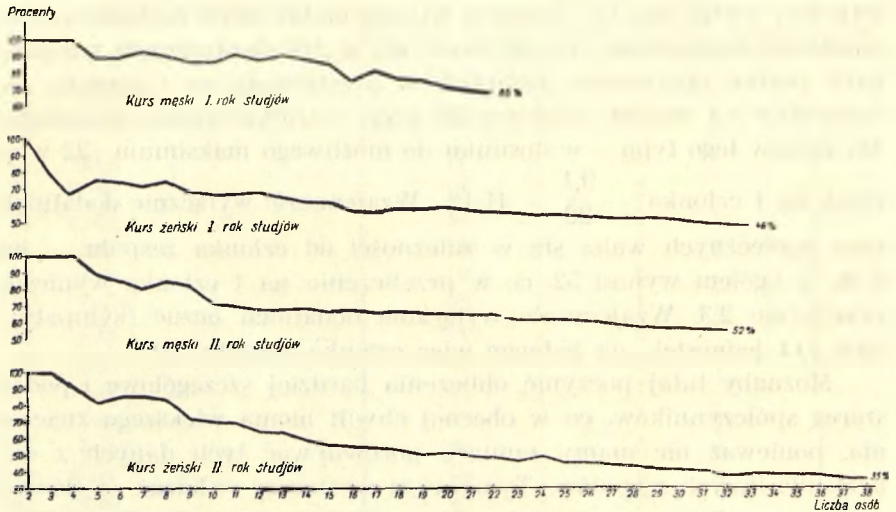
Możnaby tutaj poczynić obliczenia bardziej szczegółowe i podać szereg współczynników, co w obecnej chwili nie ma większego znaczenia, ponieważ nie mamy zamiaru porównywać tych danych z danymi dla innych zespołów. Tymczasem wystarczy wskazać, iż główne postawy społeczne w stosunku do możliwych wyniosły około 41 %.

Do postaw, które zasługują na uwagę obok postaw wzajemnych należą postawy niewzajemne albo jednostronne. Większość postaw społecznych w grupie należy do postaw jednostronnych, przyczem zdarzają się tutaj najrozmaitsze kombinacje. Okazuje się, iż wśród nich nie należą do wyjątków postawy — z jednej strony optymalnie dodatnie — z drugiej jako odpowiedź na tę postawę — postawa absolutnie obojętna lub ujemna. Zadanie nader skomplikowane stanowić będzie ustalenie, w związku z różnymi typami postaw społecznych — różnych typów reakcyj społecznych wyrażających się w kontrpostawach często różniących się ze sobą w zasadniczy sposób.

Na podstawie już opracowanego materiału wyraźnie rzuca się w oczy ogromna różnica w postawach społecznych wzajemnie optymalnie dodatnich członków przodujących w grupach społecznych, a tych względem których ogół ustosunkowuje się negatywnie.

Wobec tego, że rozkład wzajemności postaw i ich identyczności posiada szczególne znaczenie dla całokształtu życia społecznego grupy, poniżej przedstawiam graficznie, ile wynoszą w %-tach wzajemne postawy optymalnie dodatnie w 4 grupach członków zaszeregowanych w kolejności w-g walorów:

Udział %owy wzajemności optymalnych dodatnich postaw członków czterech zespołów (ogół optymalnych dodatnich postaw = 100):



Jak się okazuje, istnieje bardzo poważna różnica tak w ogólnej liczbie wzajemnych postaw $+/+$ -wych, jak i w rozmieszczeniu tych postaw wśród członków różnych grup oraz w zależności od miejsca, jakie dani członkowie zajmują w tabeli walorów. Okazuje się, iż względnie najwięcej wzajemnych identycznych optymalnych postaw spotykamy w grupie mężczyzn I kursu — 66%, najmniej zaś w grupie żeńskiej II kursu — 35%. Rzuci się w oczy niewielki stosunkowo odsetek tych postaw w grupie żeńskiej I kursu wśród przodujących na liście walorów (67% tych postaw wykazują 4 członkinie najbardziej cenione); podobnie można wyraźnie rozróżnić, jak niektórzy członkowie 4-ch grup oddziałują w kierunku podnoszenia się względnego tego odsetka lub obniżania go: w pierwszym wypadku będziemy mieli do czynienia z tymi, którzy niezależnie od miejsca w tabeli walorów oddziałują w kierunku silniejszego powiązania członków, a przez to i całego zespołu; w drugim wypadku będziemy mieli do czynienia z tymi, którzy oddziałują na zespół raczej szkodliwie, nie przyczyniają się bowiem do wzrostu liczby wiązań optymalnie dodatnich.

Przedstawienie graficzne grupy w formie jak powyżej zadawała nas tylko częściowo, a to dlatego, że, jak widać z przytoczonego

zestawienia, znaczenie poszczególnych członków dla całości jest bardzo różne, a to w danym ujęciu nie znajduje właściwego wyrazu: i ten członek zespołu, który jest wiązany 17-krotnie i ten, który jest wiązany zaledwie dwukrotnie optymalnie dodatnimi wzajemnymi postawami, niczym się na szemacie nie różnią; tymczasem pierwszy spełnia ważną rolę społeczną, jest organem zespołu, jest pewnego rodzaju przywódcą i przodownikiem, podczas gdy ostatni, bardzo słabo powiązany z całością, stoi na pograniczu tego, co byśmy nazwali „balastem społecznym“ zespołu.¹ Należałoby więc znaleźć sposób innego, bardziej odpowiedniego przedstawienia zespołu, sposób któryby jednocześnie ujął rolę społeczną każdego z członków w zespole. Niestety i w tej dziedzinie panują zupełnie dziewicze stosunki, nie było bowiem prób graficznego przedstawienia zespołów społecznych w zależności od liczby członków w ich skład wchodzących, oraz funkcji społecznych przez nich spełnianych. Po Simmel'u który poruszył to zagadnienie, nie było żadnych prób dalszych. Wobec powyższego należałoby zastanowić się nad możliwością właściwego przedstawienia zespołów społecznych w formie graficznej. Otóż można przedstawić przestrzennie zespół, biorąc pod uwagę funkcje danej jednostki w grupie; w formie „wielościanów“, w których jednak należy ustalić zgóry miejsca przywódców, wiążących większą liczbę członków aniżeli tych, którzy są powiązani tylko rzadko lub wyjątkowo z współczłonkami. Okaże się, iż mamy często do czynienia z niepełnym, niekompletnym „wielościanem“. Zamiast uszeregowania na płaszczyźnie, otrzymujemy rozmieszczenie w przestrzeni, a mianowicie — piramidkę czteroramienną, w której 4-krotnie wiązany członek grupy zajął miejsce szczególne, a mianowicie — na szczycie piramidki, przyczem on oddziałuje na wszystkich członków grupy, każdy zaś z pozostałych tylko między sobą — i wyłącznie na dwóch innych oraz na społecznie wyróżnionego; w ten sposób członek grupy na szczycie ma dane ku temu, by stać się organem grupy, przodownikiem, przywódcą itp. Jasne przedstawienie w podobny sposób któregoś z naszych zespołów jest bardzo utrudnione wobec ogromnej liczby wiązań jaka wchodzi w grę (w naszym przykładzie — 506 postaw!).

¹ Przez pierwszych członków zespołu (organa, przywódcę) przechodzą przede wszystkim wpływy, oni oddziałują, oni modyfikują to co uważają za społecznie ważne, w myśl własnych założeń, poglądów i zainteresowań — często nawet wbrew t. zw. „interesom grupy“.

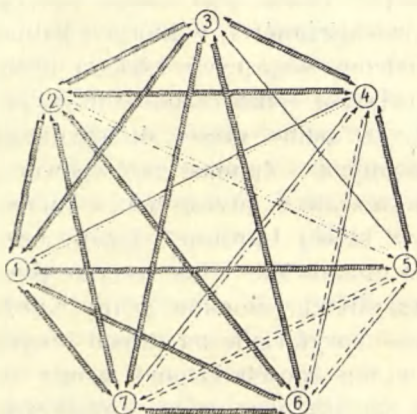
Okazuje się, iż istnieje konieczna potrzeba ujęcia w ten sposób grup złożonych z dwóch, trzech, czterech i więcej członków, uwzględniając przytem wszelkie możliwe kombinacje i warjanty jakie mogą wchodzić tutaj w grę.¹

Dla zorientowania dokładniejszego w celach tego rodzaju przedstawiania i analizy grupy, podaję poniżej próby przedstawienia postaw wzajemnych pierwszych 7-miu członków zespołów rozpatrywanych w niniejszej pracy w zaszeregowaniu według popularności. Inaczej powiedziawszy — chodzi o przedstawienie wzajemnych postaw 7-miu najbardziej popularnych (lubianych) tak mężczyzn jak kobiet, tak na pierwszym, jak na drugim roku studjów. Wzajemne postawy tych osób względem siebie posiadają szczególne znaczenie społeczne, szematy pozwalają na szczegółowe porównanie tych postaw.

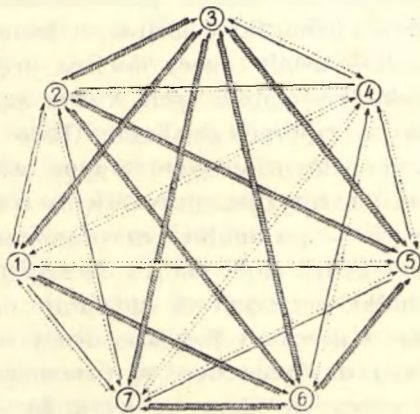
Powiązania wzajemne siedmiu najbardziej popularnych członków czterech zespołów między sobą:

A. Zespoły męskie

Na kursie I-ym liczba wiązań 41



Na kursie II-im liczba wiązań 43

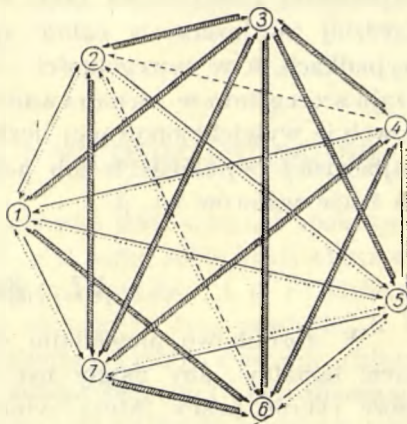
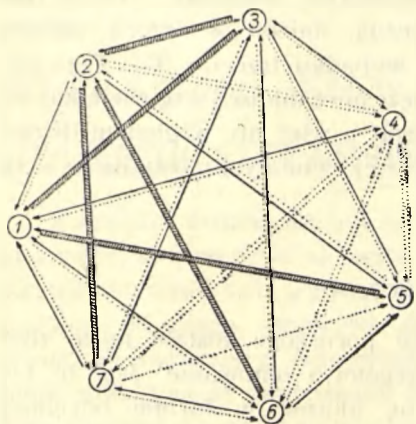


¹ Np. grupa trzech osób może mieć cały szereg warjantów w zależności od ustosunkowania się wzajemnego członków. Można i należy uwzględnić tutaj nie tylko liczbę członków i wzajemny ich do siebie stosunek, ale i rodzaj ustosunkowania się wyrażony w postawach; można więc uznać, iż pewne postawy wskazują np. na pojedyncze wiązania członków (słabsze zbliżenie = większy dystans), inne — na podwójne wiązania (silniejsze zbliżenie = mniejszy dystans) itd.

B. Zespoły żeńskie

Na kursie I-ym liczba wiązań 41

Na kursie II-im liczba wiązań 40



LEGENDA:

— Postawa optymalnie dodatnia (+/+)
 — Wzajemna postawa optymalnie dodatnia
 - - - - - Ocena walorów dodatnia
 ······ Nastawienie sympatyczne

- - - - - Ocena dodatnia bez sympatii
 ······ Sympatja bez oceny dodatniej
 - - - - - Brak sympatii i dodatniej oceny

Postawy 7-miu członków najbardziej popularnych w zespołach.

	Ogółem postaw	Postaw optymalnie dodatnich		Inne postawy				
		ogółem	w tym wzajemnych	cenia (?/+)	lubią (+/?)	cenia ale nie lubi	lubi ale nie ceni	nie lubi i nie ceni
A. Zespół męski rok I	41	33	28	2	3	1	1	1
B. Zespół męski rok II	43	30	20	—	12	—	1	—
C. Zespół żeński rok I	41	21	10	—	20	—	—	—
D. Zespół żeński rok II	40	30	22	1	9	—	—	—

Otóż okazuje się, iż największa liczba postaw (43) nie idzie w parze z charakterem tych postaw: w ugrupowaniu C. około połowy postaw — to wyłącznie nastawienia sympatyczne, podczas gdy

w ugrupowaniu A. około 68 % — to wzajemne optymalnie dodatnie postawy; wobec tego sądzić możemy, iż z pośród 4-ch ugrupowań najbardziej popularnych osób w pierwszym wypadku (A) są one bardziej powiązane w całość społeczną, aniżeli w trzech innych wypadkach, a w szczególności — w wypadku trzecim (C). Tego rodzaju szczegółowsze rozpatrywanie może mieć miejsce względem każdej dowolnie wyselekcjonowanej liczby osób, a więc np. względem dwóch najbardziej popularnych lub najbardziej cenionych; ostatnich 5-ciu na liście walorów i t. p.

VI. Zakończenie.

W stosunkowo niewielkim szkicu poruszone zostało może zbyt wiele tematów, aby mogły być szczegółowo omówione. Jest to też raczej jskróć pracy, która winna się ukazać w formie odrębnej książki, co zapewne nastąpi w dalszej przyszłości. Obecnie to, co zostało ogólnie omówione na pewnym tylko typie zespołów, będzie musiało znaleźć głębsze uzasadnienie przez rozszerzenie pola badania na różnego typu zespoły pod względem wielkości, jak i struktury. Materiały w tym kierunku zbierane systematycznie od kilku miesięcy będą opracowywane; niestety ogrom pracy jest tak wielki, że właściwie przekracza to, czego może dokonać pojedynczy badacz. To też autor chętnie nawiązałby kontakt z tymi, którzy mają podobne zainteresowania i pracują, bądź chcieliby pracować nad badaniem struktury społecznej. Temat nader wdzięczny, niewątpliwie stanie się jednym z tych, które będą ośrodkiem zainteresowania socjologów; wogóle nie można sobie wyobrazić rozwoju nauki socjologii bez położenia podstaw na tym odcinku. Gdybyśmy chcieli zająć się zebraniem literatury zajmującej się stroną strukturalną zagadnień zespołów to — nie apriorycznych roztrząsań i ogólników — ale zajmujących się konkretnymi faktami w tej dziedzinie — nie znajdziemy prawie wcale. Świadczy to o trudności podejścia do przedmiotu tak leżącego zupełnie odłogiem, gdzie najprostsze pojęcia nie zostały dotychczas opracowane, brak wogóle określenia pojęć zasadniczych, niema wcale stworzonej nomenklatury, już nie mówiąc o definicjach i wnioskach z nich wynikających. Tem tłumaczy też autor usterki, które tu i owdzie niewątpliwie się zakradły.

WILHELM STOK — WIEDEN.

TAJEMNICA, KŁAMSTWO I NIEPOROZUMIENIE ¹

Pomiędzy dwoma ludźmi A i B zachodzi jakiś stosunek społeczny; to znaczy: A przeżywa stosunek z B, wytwarza sobie jakiś obraz B; kieruje do niego swe wypowiedzi, żądania, prośby i t. d. i „odbiera“ podobne od niego; przeżywa siebie samego w tym stosunku z B w sposób szczególny. Odpowiedni stosunek (jakby zwrotnie działający) przeżywa ze swej strony B w swoim świecie. To, co oznacza się jako stosunek społeczny — (a co stanowi najbardziej elementarny przedmiot rozważań socjologicznych), to nie jest ani przeżywany stosunek w świecie A, ani inny stosunek w świecie B, lecz jest to relacja między temi dwoma przeżywanemi stosunkami. W przypadku granicznym relacja ta polega na zupełnej odpowiedniości obydwóch przeżywanych stosunków; tej odpowiedniości partnerzy relacji przeważnie sobie zupełnie nie uświadamiają; A wytwarza w tym wypadku trafny obraz B, i naodwrot; akty wyrażania się jednego wywołują u drugiego odpowiednie znaczeniowo reakcje; o ile A i B nastawieni są na rzeczowe sprawy, wówczas myślą to samo. Jest to, jak powiedziałem, wypadek graniczny. W rzeczywistości jednak natrafiamy zawsze na pewne zakłócenia, na niezgodności pomiędzy obydwoma przeżywanemi stosunkami. W stosunku A do B rozgrywa się coś, co w stosunku B do A nie posiada żadnej paraleli. Niezgodność tego rodzaju może powstać w sposób dwojaki:

1. A wstrzymuje ujawnienie czegoś przed B: nazywam to *retencją* (zatajeniem, skrytością i t. d.).
2. Wypowiedź A nie jest przez B przyjęta: nazywam to *wylączeniem* (B wypowiedzi nie rozumie, nie przyjmuje do wiadomości i t. d.).

¹ Zob. moją książkę p. t. „*Geheimnis, Lüge und Missverständnis*“, *Ergänzungshefte zu den Kölner Vierteljahrshäften für Soziologie*, II. Duncker i Humblot, Monachjum 1929.

1. *Retencja (Retention).*

Jeśli A powstrzymuje wiadomość przeznaczoną dla B, wówczas mamy do czynienia z tajemnicą, założywszy, że A czuje się zobowiązany do ujawnienia i uznaje roszczenie partnera do tego ujawnienia. Tylko to bowiem może być innemu „zatajone“, co go „obchodzi“; natomiast to, co się rozgrywa poza granicami danego stosunku, co do niego całkiem nie należy, co jest „dyskretne“ — nie może być przedmiotem zatajenia. Podobnie przedstawia się sprawa ze skrytością i powściągliwością, z tą tylko różnicą, że zaniechane ujawnienie odnosi się tu nie do obiektywnych stanów rzeczy, lecz do samego podmiotu. Zatajamy coś, zamykamy się.

W innych wypadkach retencji istnieje może silne pragnienie wypowiedzenia się, natrafia ono jednak na opór. Tego rodzaju przeszkodzenia wyrażenia się, przygotowanego już dla drugiego, dadzą się często wyjaśnić szczególną strukturą charakteru (schizoidzi). W innym wypadku sama sytuacja, np. obecność osoby trzeciej, nie sprzyja wypowiedzi. Każdy stosunek między ludźmi posiada tendencję do skostnienia, tak że szczerem wszelkie zachowanie się, które przekracza pewne już ustalone ramy, staje się niedopuszczalne. W podobny sposób konwencje, panujące w społecznym środowisku, w którym się dany stosunek rozgrywa, wywierają silne hamulce. Jak dalece jest ograniczona swobodna przestrzeń wyrażania się, to okazuje się właśnie wówczas, gdy ewentualnie znikoma zmiana psychicznej atmosfery, niezwykle miejsce spotkania, posługiwanie się obcym językiem stwarza możliwość wypowiedzenia się dla zatamowanych treści psychicznych. Przyjemność, wynikająca z przebierania się i z maskarady, polega prawdopodobnie w znacznej mierze na takich możliwościach „pofolgowania sobie“.

Wielkie znaczenie dla stłumienia zamierzonych wypowiedzi posiada fakt następujący: Przy każdym zachowaniu się, które nie posiada charakteru wyrażnie erupcyjnego, A jest skazany na gotowość przyjęcia ze strony B. Jeśli A czuje, że u B nie znajdzie żadnego zrozumienia czy to z powodu wewnętrznej niemożności, czy też z powodu braku odpowiedniej gotowości, wówczas próby wypowiedzenia się zostają stłumione już w samych zaczątkach; często stłumienie to dokonywa się w sposób tak gwałtowny, że zanikają także impulsy

do wyrażania się, a w końcu nawet i te pobudzenia psychiczne, które miały być wyrażone.

Wielką rolę w retencji odgrywa brak odpowiednich form wyrazu. Środki wyrażania się w bardzo niedostatecznej tylko mierze nadają się do wypowiedzania psychicznych faktów. Rzadko to sobie uświadamiamy, to bowiem, co psychicznie jest jeszcze nieukształtowane, bezpostaciowe, niewyraźne, jest zgóry bardziej odsunięte od sfery życia społecznego. Jest ono niedostępne słownemu wyrażeniu i społecznemu ujawnieniu, co więcej, nie potrzebuje ich nawet. W każdym nadto społecznym stosunku istnieje tendencja do zachowania tego poziomu psychicznego bogactwa i duchowej różnorodności, które odpowiadają skali możliwości wyrażania się obydwóch partnerów; jeśli jednak nieoczekiwanie wyłoni się jakaś nowa i skomplikowana sytuacja, od której nie można się uchylić, (jeśli np. jednostki, pozostające ze sobą w stosunkach powierzchownych, zmuszone są omawiać jakiś temat drażliwy), wówczas trudności wypowiedzenia się uświadamiają się dręcząco.

II. *Wyłączenie (Aussperrung).*

Retencji należy przeciwstawić „wyłączenie“; wyrażenie się dochodzi wprawdzie do skutku, ale „spływa“ po drugiej jednostce. Retencja i wyłączenie posiadają w gruncie rzeczy dla stosunku społecznego identyczne znaczenie, jakkolwiek sytuacja psychiczna jest w obydwóch wypadkach dla jednostek całkiem odmienna. W obydwóch wypadkach wyłączone zostają pewne treści psychiczne ze stosunków społecznych. W przypadku granicznym jeden partner nie zauważa wogóle wypowiedzi drugiego. Naogół polega wyłączenie na tem, że B wprawdzie przyjmuje dane wyrażenie A, ale go nie rozumie. Nie rozumie się przeważnie partnera dlatego, że jest się zbyt pogrążonym w sobie samym. Zanim jeszcze zostaje dokonany akt zrozumienia, własna reakcja na zachowanie się innego przerywa rozpoczynający się proces rozumienia. Cudze przeżycia i zachowanie się rozumiemy naogół tylko o tyle, o ile to jest potrzebne dla sensownej reakcji, zapoznając niejednokrotnie w wysokim stopniu jego swoistą odrębność. Podobny brak zrozumienia daje się szczególnie wówczas zauważyć, gdy nastawienie nasze do danej osoby jest wrogie, albo przynajmniej przeciwstawiające się; jednak granice rozumienia

są również i wtedy wąsko zakreślone, kiedy ktoś jest nam bliski: jesteśmy wówczas bowiem przekonani, że i tak już znany swojego partnera i nie staramy się o bliższe jego zrozumienie: uważamy, że jest już dla nas zupełnie zrozumiały. Szczerem wytwarza się stały i oszlifowany obraz jego osobowości i tracimy wrażliwość na wszelkie doświadczenia, które odbiegają od tego obrazu lub się mu sprzeciwiają.

Podobnie jak retencja (w formie tajemnicy), tak i wyłączenie może być wywołane umyślnie: B nie przyjmuje do wiadomości wypowiedzi A (przeważnie ażeby zwolnić się od wymaganej reakcji); odmawia wogóle wszelkiej uwagi osobie innego, ignoruje i bojkotuje ją.

Pośrednie stanowisko pomiędzy retencją a wyłączeniem zajmuje „uszkodzenie przewodu“: np. list ginie, zawiadomienie nie zostaje doręczone, jeden nie rozumie języka drugiego.

Otóż we wszystkich wymienionych wypadkach zachodzi coś wspólnego: rozbieżność między stosunkiem przeżywanym przez A, a stosunkiem przeżywanym przez B. Zachodząca rozbieżność może być uświadomiona tylko przez jednego z nich (tajemnica), podczas gdy drugi nie zdaje sobie z niej sprawy. Często jest tak, że obydwaj partnerzy, albo jeden z nich zauważa tylko, że „coś tu nie jest w porządku“, nie wiedząc jednak na czym to zakłócenie polega. Często jednak istniejąca rozbieżność nie jest przez obu partnerów zauważona. Jest ona tylko widoczna dla zzewnątrz stojącego obserwatora, który dokonywa syntezy obu stosunków, przeżywanych przez A i B, w stosunek społeczny.

Zarówno wskutek retencji, jak wskutek wyłączenia powstają luki w społecznym procesie; powstały defekt zapełnia przeważnie jakaś namiastka (Ersatzbildung). Na miejsce zaniechanej wypowiedzi występuje jakaś inna, która łudzi partnera co do treści owej zaniechanej wypowiedzi; zamiast wyłączenia wyrażenia A przez B powstaje nieporozumienie między B i A (B rozumie fałszywie A).

1. Formy łudzenia.

Dla ukrycia przed innym istnienia jakiejś tajemnicy a zarazem dla zachowania własnej tajemnicy, A ucieka się często do kłamstwa jako środka. Podaje zniekształcony stan rzeczy na miejsce prawdziwego, zatajonego. Niezawsze jednak tajemnica jest przyczyną, a

klamstwo skutkiem, może być również odwrotnie. A przechwala się przed B, kłamie przed nim, ażeby pozyskać jego zaufanie; odtąd jest jednak związany swoim kłamstwem, musi nieuchronnie zatajać zafałszowaną rzeczywistość. Od kłamstw „pokrywających“ (Decklügen) należy odróżnić kłamstwa celowe (Zwecklügen), które dopiero wtórnie pociągają za sobą zatajenie.

Kłamstwa „pokrywające“ mają spełnić trudne zadanie: odwrócić uwagę innego od tajemnicy, a właśnie przez kłamstwa zwraca się uwagę partnera na drażliwy temat. Dlatego kłamstwami pokrywającymi posługujemy się więc przeważnie wówczas, kiedy tajemnica jest zagrożona, kiedy ktoś inny przez pytania i wybadywanie jest nazbyt blisko odsłonięcia jej.

Podczas gdy kłamstwo posługuje się tylko wyrażaniem się słownem, to udawanie, symulowanie, podawanie fałszywych faktów, „hochsztaplerstwo“ i t. d. kształtuje całe zachowanie się po linii zamierzonego łudzenia; krok dalej a mamy już do czynienia z oszustwem, które fałszuje równocześnie także i otoczenie.

Łudzenie drugiego niezawsze jest umyślne. Jeśli ktoś nakłada pewną maskę (np. maskę nic nieznaczącej uprzejmości), wówczas często wbrew woli, wiąże się z tą maską; nie może się od niej uwolnić, maska uniemożliwia formy prawdziwego wyrazu. Podobnie przedstawia się rzecz z rolą, którą zmuszeni jesteśmy odgrywać wskutek naszej społecznej sytuacji i pozycji. Formy zachowania się są zawsze o wiele bardziej skostniałe, aniżeli fakty psychiczne, które zmuszone są dostosować się do nich. Poza to wypowiedzanie się rozporządza tylko ograniczoną ilością konwencjonalnych form zachowania się; gdyby cała różnorodność życia psychicznego mogła znaleźć odpowiednie formy wyrazu, wówczas stosunki społeczne byłyby o wiele bardziej różnorodne i o wiele bogatsze, ale równocześnie o wiele mniej uregulowane, aniżeli są naogół w rzeczywistości.

Fakt, że rozbieżność pomiędzy „wewnętrznym“ a „zewnątrznym“ nie jest w tej samej mierze uświadomiona, w jakiej naprawdę istnieje, polega na tem, że jednostka utożsamia się częstokroć z rolą, którą odgrywa, oraz z maską, którą nakłada. (Lecz nawet wówczas, kiedy chcielibyśmy wewnętrźnie zachować rezerwę, otoczenie zmusza nas do utożsamiania się z naszym zewnętrznym postępowaniem; nie uznaje ono naszego wewnętrznego zastrzeżenia).

A ludzi B (nie rozmyślnie) także wówczas, gdy się sam ludzi co do treści swego wypowiedzania się. Np. A ludzi B, że posiada pewną postawę uczuciową, której wprawdzie nie ma, w której posiadanie jednak sam wierzy; być może nawet, że odnośną psychiczną postawę przeżywa rzeczywiście, (np. miłość do innego), ta jednak jest nieszczerą, a tylko on sam uważa ją za szczerą i za taką podaje. Emocjonalne pobudzenia mają często tę tendencję, że się je przecenia i wyolbrzymia.

Zafalszowanie w sensie złudzeń, dotyczących siebie samego, występują także w różnych innych postaciach. Przedewszystkiem akcentujemy i podkreślamy na własnej osobie wszystko to, co jest społecznie uznane; natomiast to, co jest wartościowane negatywnie, wypieramy. Złudzenia tego rodzaju są często życiowo konieczne; gdyby się rozwiązy, osobowość zostałaby w swoich posadach zachwiana.

Pomiędzy ludzeniem samego siebie, a ludzeniem drugich leży mroczna dziedzina zakłamania: nie przyznając się do tego przed sobą, ludzimy samych siebie, by ludzi innych z czystym sumieniem; i podczas kiedy oszukujemy drugiego, utwierdzamy się w złudzeniu co do nas samych i wierzymy w nie coraz mocniej.

2. Formy fałszywego zrozumienia.

Tak jak A może wyrównać dokonaną retencję wypowiedzania się przez ludzenie innego, podobnie B może przerzucić pomost nad wyłączeniem wypowiedzi A zapomocą nieporozumienia. Jeśli pominiemy wprowadzające w błąd przypadkowości i wywołujące nieporozumienia zachowanie się A, to rozumienie ze strony B kierują na fałszywe tory przedewszystkiem następujące tendencje:

1. B jest nastawiony zbyt „subiektywnie“; widzi wszystko tylko ze swego stanowiska; interpretuje wszystko w myśl swych oczekiwań, swych obaw, swych uprzedzonych mniemań; odnosi wszystko do siebie samego. Łudzimy się prawie zawsze co do wysiłku, który inni wkładają w podziwianie nas czy pogardzanie, życzliwość do nas czy niechęć.

2. Przeważnie usiłujemy zrozumieć drugiego przez analogję do nas samych: ludzie młodszy czynią to stosownie do swych możliwości przeżyciowych, które w sobie odczuwają; ludzie starszy stosownie do życiowych sytuacji, przez które przeszli. Któż nie podlega owemu

nieporozumieniu: że drugi jest do niego w gruncie rzeczy podobny (że posiada tę samą psychiczną konstytucję, że żyje w tym samym świecie i t. d.) i że różni się od niego tylko w szczegółach; podczas gdy przecież jest prawdopodobnie jaknajgruntowniej odmienny i — w najlepszym razie — tylko w szczegółach podobny.

3. B usiłuje pojąć A zapomocą kategorii, które nie są dla niego odpowiednie. Zalicza go do pewnych określonych typów (zawód, wiek i t. d.), mniemając, że w ten sposób charakteryzuje go jaknajzupełniej; a przecież A odpowiada owym typom tylko jedną stroną swej psychicznej egzystencji — o ile im odpowiada wogóle.

4. Podlegamy przeważnie pokusie tłumaczenia zachowania się innych nazbyt sensownie i jednolicie. Przeoczamy natomiast niesensowne strony naszego postępowania, jak np. wynikające z rozbieżności pomiędzy wewnętrznym przeżyciem a cielesnymi jego uzewnętrznieniami, nie uwzględniamy zawłości i wielowarstwowości ludzkiej psychiki.

* * *

Zakłócenia stosunków społecznych, o których tutaj mowa, zarówno zjawiska wykazujące pewne braki (Ausfallerscheinungen), jak też zawierające pewne uzupełnienia (Ersatzbildungen) rozwijają się po swem wystąpieniu w pewnym określonym kierunku. Jeśli np. A zataja przed B swój stosunek do C, to w następstwie będzie przed B zatajał wszystko, co ma jakikolwiek związek z C. Będzie więc w obecności B schodził z drogi wszystkim ludziom, którzy wiedzą o jego stosunku do C; zatajenie wreszcie — o ile tajemnica, będąca punktem wyjścia ma odpowiednią wagę — rozszerzy się na cały krąg życia, do którego pierwotna tajemnica należała. Koniecznym jednak tego warunkiem (jak do pewnego stopnia wogóle dla każdej tajemnicy), jest zróżnicowanie kręgu życiowego A, jego rozczłonkowanie na wielość, wzajemnie od siebie wyodrębnionych dziedzin.

Podobnej tendencji do ekspansji jak tajemnica podlega również kłamstwo, i to nietylko w tym sensie, że rozszerzenie jakiegoś zatajenia pociąga za sobą coraz to nowe kłamstwa; również każde łudzenie zmusza ze swej strony do dokonywania coraz to dalszych łudzeń. Wszystko to, co pozostaje w jakimkolwiek związku z pierwotnie zafałszowanym stanem rzeczy, musi — jeśli drugi kieruje na to swoją

uwagę, — zostać również zafalszowane. Sieć kłamstw jest tak samo przyczynowo uporządkowana jak sama rzeczywistość. Kłamca podkreśla nawet najczęściej uzasadnienie istniejących związków i usiłuje same fakty zepchnąć bardziej w cień.

Pomiędzy ekspansją tajemnicy a ekspansją ludzeń zachodzi zasadnicza różnica: Podczas gdy tajemnica zatrzymuje się na granicy tego kręgu życiowego, którego dotyczy pierwotne zatajenie, to kłamstwo z istoty swojej skazane jest na postępujący rozrost i, podobnie jak złośliwa narośl, wytwarza ono na odległych miejscach „przerosty“, z których dalej się rozrasta. Prócz tego różni się ekspansja kłamstwa od ekspansji tajemnicy faktem następującym: tajemnicę można bez trudności cofnąć, natomiast z kłamstwem jest człowiek związany, nie może się już więcej wycofać, musi się albo do kłamstwa przyznać — albo dalej kłamać.

Skłonność do rozszerzania się posiada również nieporozumienie; nastawienie większości ludzi do innego człowieka jest tego rodzaju, że zarówno jego przeżycia, jak też jego wewnętrzne i zewnętrzne zachowanie się ujmuje się tak jakgdyby wypływały z jednego ośrodka, w którymby cała osobowość koncentrowała się i skupiała; nie przyznaje się więc danej jednostce wieloogniskowości i wielowarstwowości, różnych stron i sprzeczności; gdy np. w skłonności partnera ujawnia się trochę obojętności, wówczas miłość jego uważana jest odrazu za obłudną.

Pogląd taki, mylny już sam w sobie, prowadzi jednocześnie do tego, że z każdego nieporozumienia (ale także z każdego fałszywego zrozumienia, wywołanego łudzeniem ze strony drugiego) wyciąga się pewne wnioski — zgodne z nieporozumieniem. Wobec tego, że wszystkie doświadczenia, dotyczące drugiej osoby, wtłaczamy w pewien system zamknięty i pozbawiony sprzeczności, ogólny obraz partnera musi stopniowo ulegać zniekształceniu — przystosowując się do fałszywego poszczególnego doświadczenia; każde dalsze doświadczenie pokazuje nam się skutkiem tego w fałszywym świetle. Do tego stanu rzeczy przyczynia się również fakt, że pierwotne nieporozumienie nie powstaje zazwyczaj przypadkowo, lecz jest wynikiem pewnej gotowości do fałszywego zrozumienia, pewnego oczekiwania lub pewnej obawy, które nadal istnieją i nadal działają w kierunku nieporozumienia. Z chwilą, gdy jakieś nieporozumienie już się zakorzeniło, B jest raczej gotów poświęcić poszczególne doświadczenia, czy też je

zniekształcić, aniżeli skorygować swój obraz osoby A, który tak konsekwentnie, — aż nadto konsekwentnie — rozbudował.

Jeśli A zależy na tem, by B uległ nieporozumieniu, lub gdy nie może wybrnąć z sytuacji, wówczas będzie gotowy pójść B na rękę, by zapomocą ludzeń podbudować jego nieporozumienie lub sprawić, by się mu przynajmniej nie sprzeciwił; w końcu A może nawet sam w to uwierzyć, co więcej, pogodzi się z nieporozumieniem i dostosuje się do niego. Szasem może tą drogą wytworzyć się tak spójny i nierozwiązalny splot ludzeń samego siebie i ludzeń przez drugą stronę, odgrywania własnej roli i roli, do której jesteśmy zmuszani przez drugą stronę, nieporozumienia i twórczego rozumienia, — że nikt nie jest już w stanie rozstrzygnąć, co tutaj jest pozorem, a co rzeczywistością; co więcej, i to właśnie jest istotne dla przebiegu społecznego, rozróżnienie to zatraca ostatecznie wszelki swój sens.

Poza ekspansją kłamstwa i nieporozumienia kryje się prawie zawsze nieufność jako siła popędowa. Na nieufność składają się: 1) połowiczna wiedza, połączona z dręczącą niewiedzą; 2) postawa niewiary w stosunku do drugiego, która jednak nie wykracza poza granice zwykłego podejrzenia i nie jest tak bezwzględna, abyśmy mogli żywić pewność, że inny nas oszukuje; wątpliwość i niepewność, zarówno we wiedzy, jak i w wierzeniu. A wreszcie: 3) owe osobliwe szukanie i dociekanie, które tu ogranicza się do podejrzliwego obserwowania, ażeby tam rozwinąć się w czyhanie i czatowanie, w szpiegowanie i wystawianie na próbę. Coś ukrywa się poza tem! Chęć przeniknięcia innego — oto postawa nieufnego. Nieufność zarówno wyrasta ze skrytości i tajemności, jak i do nich zmierza: podejrzliwe, ukradkowe patrzenie z boku jest dla niej charakterystyczne. Pełne znaczenie osiąga ona jednak dopiero wówczas, kiedy adresat nieufności odczuwa ją, kiedy sam również staje się nieufny i poza każdym niewinnem słowem węszy coś podejrzanego. Jeśli A skłamał, lub coś rzeczywiście zataił, będzie musiał wciąż na nowo uciekać się do nowych kłamstw i zatajeń; ale nawet wówczas, jeśli nie ma zgoła zamiaru ludzić drugiego, będzie jednak zmuszony przez jego nieufność do ostrożności; będzie zmuszony ukrywać rzeczy, z których drugi mógłby wyciągać fałszywe wnioski, będzie zmuszony go okłamywać z obawy, że tamten mógłby prawdę fałszywie tłumaczyć. Wkońcu powstaje pewna obojętność wobec kłamstwa i prawdy, ponieważ drugi stale mniema, że jest okłamywany.

Nietylko nieufność i lądzenie potęgują się wzajemnie, lecz podobnie rzecz ma się z nieufnością i nieporozumieniem. Nieufny przypisuje każdej wypowiedzi drugiego pewne znaczenie, stosownie do swego nastawienia; ma słuch bardzo wyczulony, słyszy jednak przeważnie więcej, niż rzeczywiście zostało powiedziane.

Jeśli nie każda tajemnica i nie każde kłamstwo wykazują nieograniczoną ekspansję — tłumaczy się to działaniem antagonistycznych tendencyj, niezależnie od tego, że większość zatajeń i kłamstw jest tylko mało znacząca i szybko traci swą aktualność. Poza każdą tajemnicą kryje się impuls do wydania jej na łup drugiego partnera (gdzie tego impulsu niema, tam niema tajemnicy, tam jest tylko coś „dyskretnego“); impuls ten uzewnętrznia się często wbrew naszej woli. Przemawiamy się i w przemówieniu tem zdradzamy samych siebie; albo: przyczyna zatajenia traci swe znaczenie; albo też: właśnie dlatego że impuls został stłumiony — staje się on przepotężny i to, co było powstrzymane, toruje sobie (czasem w sposób wybuchowy) drogę; albo wreszcie własne „ja“ jest wrogiem we własnym obozie i nie uznaje dokonanego zatajenia: jednostka zeznaje tajemnicę, przyznaje się do popełnionego kłamstwa (przyznanie się do kłamstwa, szczególnie zaś do udawania, jest o wiele cięższe aniżeli przyznanie się do zatajenia; odsłania się wówczas przed drugim nietylko treść kłamstwa, lecz przyznaje się temsamem, że się skłamało. Obawa przed upokorzeniem, które z niem jest związane, podtrzymuje niejednokrotnie kosztem całkiem niewspółmiernych wysiłków kłamstwo o wiele dłużej, aniżeli to wynika z istotnej potrzeby wytworzenia pewnego złudzenia).

Każda tajemnica i każde kłamstwo są ponadto tem zagrożone, że inni mogą uzyskać wgląd w prawdziwy stan rzeczy drogą czy to przez zdradę czy przez jakiś przypadek. Także w splocie kłamstw mogą się samorzutnie wyłonić nieprzewidziane sprzeczności, które innych kierują na właściwe ślady.

O ile B stara się aktywnie o odkrycie tajemnicy, albo o zdemaskowanie kłamcy, wówczas czynność jego polega w zasadzie na aktywizowaniu powyższych tendencyj do samorozkładu. B prowokuje groźbą lub namową do zeznania A; zmusza go do konsekwencyj, których on nie jest w stanie w sposób kłamliwy przedstawić, albo też do konsekwencyj, z których wyniknęłaby dla niego tak przykra sytuacja, że podtrzymanie kłamstwa już się nie opłaca. B zmusza A

do coraz to nowych wykrętów, tak że A musi się w sieci swych kłamstw zaplątać. Zaskakuje go pytaniami, których konsekwencji A naprędce docenić nie może.

Nieporozumienie jest o wiele bardziej trwałe, aniżeli tajemnica i kłamstwo. Zdarzają się wprawdzie w szczegółach korektury i przystosowania w rozumieniu, przeocza się jednak fakt, że się wzajemnie do gruntu fałszywie rozumieją; partnerzy przeważnie nie dostrzegają wzajemnego nieporozumienia. Nie chcą go nawet wcale dostrzec; większość stosunków polega raczej na nieporozumieniach niż na wzajemnym zrozumieniu.

A przeżywa pewien stosunek — B przeżywa pewien stosunek; niewątpliwie, pewne zgodności istnieją. A i B mogą się w pewnych sprawach porozumieć; ale przedewszystkiem ulegają uspakajającemu złudzeniu, że pozostają w jednym i tym samym stosunku — w który, tylko od czasu do czasu, wkrada się zakłócająco jakieś nieporozumienie.

Z oryginału niemieckiego przełożył *GUSTAW ICHHEISER*.

GUSTAW ICHHEISER — WARSZAWA.

MACHIAWELIZM JAKO ZJAWISKO SPOŁECZNE

PRZYCZYNEK DO TEORJI POWODZENIA.

„... Perchè un uomo che voglia fare in tutte le parti professione di buono, conviene che roviini infra tanti che non sono buoni.“

I.

Machiawel doznał dziwnych kolei losu. Pisma jego i doktryny zyskały wprawdzie niebawem po ukazaniu się należyty rozgłos, stając się tematem różnorodnych dyskusyj; rozgłos który im, choćby dzięki niezrównanym walorom stylistycznym musiał przypaść w udziale. Ale podczas gdy w nim samym i w jego niesłusznie najżywiej dyskutowanym „Principe“ widziano nasamprzód cynicznego, ba, przewrotnego znawcę intryganckiej gry politycznej i, oczerniając go, tem bardziej stosowano wyluszczone przez niego zasady, potem zaś podziwiano świetnego historyka, wkońcu wreszcie — w XIX w. — w chwili budzącego się ruchu niepodległościowego, odkryto i zaczęto uwielbiać wielkiego patryjotę, który wyżej stawiał i cenił ojczyznę niż etykę — to doktryny jego, mające charakter systematyczny, socjologiczny, jakbyśmy to dziś nazwali, a rzeczowo właśnie najciekawsze, nie znalazły nigdy należytego zrozumienia. W ostatnim czasie dopiero ukazało się kilka prac, usiłujących wydobyć na światło dzienne ten systematyczny, teoretyczny dorobek jego pism.

Jakkolwiek oddawna odczuwano, że antynomja między polityką a moralnością była punktem wyjścia i wogóle ośrodkiem wszelkich rozważań M., to jednak — jak wykażemy — centralny ten problem ujmowano i rozpatrywano prawie zawsze mniej lub więcej niewłaściwie. Poglądy i doktryny M., dotyczące tej antynomji, uchodziły zawsze za tak potworne, za tak zupełnie nieprawdopodobne, że wyszukiwano najdziwaczniejsze interpretacje, aby zgryźć jakoś twardy

orzech „machiawelizmu“. Nie umiano się pogodzić z myślą, że oto nareszcie znalazł się umysł intelektualnie rzetelny, wolny od przesądów i uprzedzeń, a obdarzony niepospolitym darem obserwacyjnym i niestychaną wnikliwością, który uwidocznili jeden z najdziwniejszych i najbardziej niepokojących objawów wszelkiego współzycia i który tę bolączkę, zakrywaną dotąd nieprzeniknioną zasłoną społecznych konwencji, poddał dyskusji w sposób jaskrawy i nie dający się więcej przemilczeć. A dyskusja ta od szeregu wieków utrzymywała w ustawicznym napięciu ludzi myślących.

Niewątpliwie, sam M. był poczęści przyczyną tych nieporozumień, które powstały dokoła jego doktryn. Rozważania bowiem których celem było uprzystępnienie zrozumienia praw, decydujących o sukcesie w środowisku społecznym, o zyskiwaniu i traceniu władzy, przeprowadzał M. pod potrójnym kątem widzenia, przy czem niejednokrotnie sam nie zdawał sobie sprawy, który z tych punktów widzenia kierował w danej chwili biegiem jego myśli. Te trzy „punkty widzenia“ można oznaczyć pokrótce jako: socjologiczno-historyczny, polityczno-techniczny i wartościujący (czy też moralizujący). Z pierwszego z nich usiłował M. opisywać przebieg historycznego, jednorazowego stawania się i — o ile możności — odkrywać w nim to, co się w nim zawsze powtarza, to co jest typowe. Z drugiego starał się, na podstawie socjologiczno-historycznych wytycznych, zanalizować te nieuchronnie z praw społecznych wynikające techniczne formy postępowania, któremi należy się posługiwać, chcąc wśród ludzi osiągnąć pewne cele — przy czem treść tych celów była obojętna; M. wskazywał np., z zimnem zainteresowaniem „technika“ społecznego, zarówno na to, co ma uczynić spiskowiec, aby osiągnąć swoje zamierzenia, jak też i na to, co ma przedsięwziąć władca, aby się skutecznie uchronić od spisków. Z trzeciego wreszcie punktu widzenia wartościował M. — o czem będzie jeszcze mowa — te okazane sposoby postępowania i inne warunki sukcesu, wartościował je ze stanowiska ogólnie uznanej moralności, potępiał więc naogół tę właśnie taktykę, której techniczną konieczność wykazywał równocześnie bez najmniejszych sentymentów.

Reguły sukcesu podlegają pewnym prawom społecznym, które decydują o szansach powodzenia różnych rodzajów postępowania w środowisku ludzkim. Podobnie zatem jak technik może zastoso-

wywać poznane prawa przyrody, celem jej opanowania, tak też i polityk może, zrozumiałwszy odnośne prawa społeczne, posługiwać się nimi, aby osiągnąć zamierzone cele społeczne. Poszukiwanie więc metod postępowania, któremi należy się posługiwać w dążeniu do sukcesu politycznego (a nie do doskonałości moralnej), poszukiwanie ich w dziedzinie zasad moralności, jest według M. oczywiście niedorzecznością. Z drugiej jednak strony można (a nawet należy) wartościować postępowanie ludzkie w imię zasad moralnych. Obydwa punkty widzenia są — każdy w swoim zakresie — zupełnie uzasadnione. Należy sobie jednak całkiem wyraźnie uświadomić, że normatywne, wartościujące osądzanie jakiegoś postępowania, a techniczna analiza szans powodzenia tego samego postępowania, to dwie zupełnie różnorodne funkcje, których znaczenie jest od siebie nawzajem całkowicie niezależne.

Celem należytego ujęcia tego zarówno niepokojącego jak i fascynującego problemu „machiawelizmu“, czyli właśnie antynomji między polityką a moralnością, należy określić politykę jako naukę o technice postępowania ludzkiego, mierzącego do sukcesu (do osiągnięcia zamierzonych celów w środowisku ludzkim); powodzenie „polityczne“ w potocznym sensie tego słowa jest więc tylko poszczególnym przypadkiem znacznie szerszego i ogólniejszego stanu rzeczy. Tutaj właśnie, na progu tego zagadnienia, napotkał M. na antynomję, która nas po dziś dzień nęka: podczas bowiem, gdy konwencja społeczna każe nam wierzyć (a wszelkie jej pociągnięcia praktyczne polegają na tem przekonaniu), że wszystkie te właściwości osobiste i sposoby postępowania, które stosownie do zasad prawnych, moralnych, czy obyczajowych, wartościujemy dodatnio, są nietylko wartościowe ale także i korzystne z punktu widzenia szans powodzenia, jednym słowem, że panuje identyczność między polityką a moralnością, to M. wykazał w niezmiernie alarmujący sposób, że identyczność taka nietylko nie istnieje, lecz że wręcz przeciwnie, zachodzi tutaj zgoła nieuchronna antynomja: moralność to co innego, a polityka znowu co innego.

Dzięki wykazaniu i analizie tego ogromnie niewygodnego stanu rzeczy stał się M. pierwszym — i omal że ostatnim — istotnie naukowym, pozbawionym wszelkich iluzyj a niemiłosiernie prawdziwym twórcą teorii sukcesu, a więc także — lecz nietylko —

i teorii władzy. Jak wyglądała zemsta ludzkości za to, że M. odważył się pokazać jej prawdziwe oblicze, to później jeszcze zobaczymy.

II.

Rozważania nasze zmierzają wprawdzie w gruncie rzeczy do celów systematycznych, a zamiarem naszym jest wykazać w teorjach M. pewne zasadnicze prawa, dotyczące tych sytuacji życiowych, w których się mniejwięcej wszyscy znajdujemy, mimo to jednak wskazanem będzie zaznajomić się z najważniejszymi interpretacjami, jakich teorie te z biegiem czasu doznały.

Najdawniejszy, a zarazem najwulgarniejszy pogląd usiłował uniknąć konieczności zajmowania się tem niewygodnem zagadnieniem i interpretował przedstawione przez M. warunki powodzenia, czy warunki osiągnięcia i utrzymania władzy, jako „wskazówki“, jako „zachęty“, których nikczemny charakter miał oczywiście być objawem nikczemności charakteru tego, kto je zalecał. Interpretacja ta, pomijając jej nierzeczowe i — w gruncie rzeczy faryzeuszowskie nastawienie — polegała właśnie na kompletnem pomieszaniu z sobą tych dwóch punktów widzenia, o których mówiliśmy powyżej; wskazówki M. miały charakter techniczny, hipotetyczny, a wyraźne ich sformułowanie brzmiałoby chyba jak następuje: jeżeli chcesz osiągnąć powodzenie, jeżeli chcesz dojść do władzy i utrzymać się przy niej, to musisz postępować tak i tak. Czy chcesz osiągnąć swoje cele, czy chcesz dojść do władzy, czy chcesz używać tych — nieodzownych — środków, to twoja rzecz. Nonsensem jednak i donkiszoterją jest chcieć osiągnąć pewne cele, gardząc równocześnie jedynymi środkami, które do nich wiodą. Demoniczne wrażenie, jakie wywołują pisma M. polega właśnie na tem, że był on w samej rzeczy zakapturzonym moralistą, że sam potępiał te środki, których techniczną niezbedność równocześnie wykazywał.

Ta dwutorowość nastawienia M. sprowokowała drugą charakterystyczną interpretację antynomji między moralnością a polityką, interpretację Rousseau'a. Według niej jest „Principe“, zatajoną wprawdzie, ale mimo to bardzo oczywistą satyrą w największym stylu; satyrą, której przedmiotem jest człowiek zmierzający do sukcesu, względnie zyskujący go. Russo twierdził, że tylko na tej drodze można należycie zrozumieć intencje M. Nie należy przytem za-

pominać, że M. był autorem najlepszej bodaj komedji włoskiej (Mandragola) i że — podobnie jak wszyscy ludzie, posiadający dar obserwacyjny — skłaniał się do humorystycznego spojrzenia na życie. Z dalszych naszych wywodów wyniknie, że — bez względu na to, czy w danym wypadku istniał zamiar satyryczny czy też nie — interpretacja Russa zawiera niewątpliwie część prawdy.

Trzecia interpretacja (typowym jej przedstawicielem jest np. Ranke) usiłowała, zgodnie z ogólnymi tendencjami historyzmu, pojmować doktryny M. o nieuchronnej antynomji między polityką a moralnością, jako objaw ówczesnych, skorumpowanych stosunków. M. zapisał według Rankego swoim rodakom truciznę, ponieważ w czasach, w których żył i działał, normalne (czytaj: moralne) środki przestały już skutkować. „M. tęsknił za uzdrowieniem Włoch, lecz stan ich był tak rozpaczliwy, że musiał się zdecydować na podanie trucizny ojczyźnie“. Ta, do dziś jeszcze pod różnemi postaciami bardzo rozpowszechniona interpretacja, nie rozumie (czy nie chce rozumieć), że antynomja między polityką a moralnością wynika z pewnej zasadniczej sytuacji, której struktura może wprawdzie, pod wpływem pewnych konstelacyj historycznych, doznać większego lub mniejszego naprężenia, której istota jednak jest związana z każdym bodaj współzyciem.

Wreszcie jeszcze jedno typowe i wciąż w różnych formach powracające ujęcie: Antynomja między moralnością a polityką miałyby być objawem czy wynikiem sprzeczności między moralnością indywidualną a moralnością grupową. Według tej interpretacji polegałaby zasługa M. na tem, że zrozumiał i wykazał, iż grupa społeczna i jej kierownicy podlegają innym prawom (czy też normom?), niż pojedyncza jednostka jako taka. Przedstawicielem tego ostatniego ujęcia jest zarówno słynny historyk włoski Villari, jak i znany niemiecki historyk Meinecke (autor „Idee der Staatsraison“). Otóż: Pomijając, że interpretacja ta otwiera szeroką drogę do nieporozumień na temat moralizującego i technicznego (wzgl. socjologicznego) ujęcia zagadnienia, tak że jest zupełnie niejasnem, czy należy inaczej osądzać i wartościować postępowanie jednostek względnie grup społecznych, czy też jednostki wzgl. grupy społeczne podlegają odmiennym zasadom powodzenia — pomijając więc tę typową dla tej kategorji zagadnień dwuznaczność, pogląd ten jest naszym zdaniem także dlatego zupełnie mylny, ponieważ utrudnia (o ile wręcz nie uniemożliwia) zrozumienie zasadniczego charakteru tej antynomji

w odniesieniu do wszelkiego działania w środowisku społecznym; a przecież zrozumienie to jest właśnie najistotniejszą i najdonioślejszą zdobyczą doktryn M.'a. Wnikliwe, pozbawione uprzedzeń i przesądów studjum dzieł M. wykazuje mianowicie, że „władca“, czy „mąż stanu“, będący niejako oficjalnym bohaterem dociekań, jest tylko jaskrawym symbolem człowieka, zmierzającego do sukcesu, czy wogóle do władzy i że wobec tego właściwym tematem jest tutaj analiza tych metod postępowania, które faktycznie wiodą do sukcesu, oraz analiza konsekwencji wynikających z niego (np. sukces jako warunek działania wogóle).

I właśnie fakt, że czytając M. odnajdujemy w pociągnięciach wielkich mężów stanu w gruncie rzeczy te same formy postępowania, których używa mały urzędnik w zabieganiu o swoją karierę, czy drobny sklepikarz zwalczający niewygodnego konkurenta, lub uczony posługujący się nierzetelnymi chwytami w dyskusji, że więc spotykamy te same właściwie sytuacje i te same taktyki działania we wszystkich poczynaniach ludzkich, zmierzających do sukcesu lub broniących się przed niebezpieczeństwem niepowodzenia, właśnie ten fakt był przyczyną, dla której pisma M. posiadały zawsze niepospolity urok dla ludzi, lubujących się w rozpoznawaniu rzeczywistości takiej, jaką ona jest faktycznie.

III.

W przeciwieństwie do wyżej omówionych interpretacji antynomji między polityką a moralnością, brzmi nasza teza następująco: antynomja ta wynika zupełnie nieuchronnie z struktury tych sytuacji, w których jest nam danem działać; struktura tych sytuacji jest w bardzo dalekiej mierze niezależna od warunków historycznych; wreszcie: znaczenie jej nie ogranicza się bynajmniej do działania politycznego, lecz odnosi się do każdego działania wogóle.

Cheąc zatem należycie zrozumieć doktryny M., w szczególności zaś sens tej antynomji, która jest niejako osią omawianej tu sytuacji, należy te doktryny rozpatrywać pod kątem widzenia czysto technicznym, usuwając zarazem wszelkie tendencje moralizujące i nastawienia wartościujące. Postępowanie zgodne lub niezgodne z normami i ich postulatami należy analizować z punktu widzenia ich konsekwencji dla kształtowania szans powodzenia. Jeśli więc stwier-

dzimy np., że pewne określone postępowanie sprzeciwia się pewnym normom społecznym, wówczas stwierdzenie to posiada, w zakresie naszych zagadnień, znaczenie jedynie jako charakterystyka danych form postępowania. Właściwy zaś problem powstaje dopiero wówczas, gdy się zastanawiamy, jakie typowe konsekwencje wynikają z owego sposobu postępowania i w jakim kierunku kształtuje ono szanse powodzenia.

Spróbujmy nasamprzód, w możliwie zwięzły sposób uprzystępnić sobie zrozumienie tego, o co tutaj chodzi:

Jednostka działająca w swoim środowisku życiowym, spotyka się z całym systemem norm społecznych, przykazałów i zakazów, które w mniej lub bardziej energiczny sposób domagają się od niej, aby postępowała po ich myśli. Normy te są zwykle tylko w mniejszej części (normy prawne) sformułowane wyraźnie; w o wiele większym zakresie, w zakresie obyczajów i moralności, nie są przeważnie wyraźnie sformułowane, lecz działają raczej jako rzeczywisty motyw, jako rzeczywiste przyzwyczajenie postępowania. Za wszelkie przekroczenia, względnie niezważanie na te normy, są przewidziane pewne sankcje, przyczem jednoznaczność i intensywność tych groźących sankcyj dopuszcza wszelkie możliwe stopnie i warjacje. Podobnie przedstawia się sprawa w zakresie przewidzianych związków pomiędzy postępowaniem odpowiadającym postulatowi norm społecznych a ewentualnym wynagrodzeniem. Szczególny charakter norm prawnych, w przeciwieństwie do norm etycznych i obyczajowych polega, jak wiadomo, na tem, że specjalne organa społeczne mają gwarantować, ewentualnie wymusić respektowanie ich; natomiast jako organa strzegące norm etycznych i zwyczajowych fungują tylko niektóre nieorganizowane instancje, jak „opinia publiczna“ w pierwszym i „sumienie“ w drugim wypadku. Mimo, iż specjalnie w tym celu przewidziane organa mają zapewnić respektowanie norm prawnych, i tylko tych, to jednak w życiu codziennym rzeczywisty charakter przymusowy owych „jedynie“ konwencjonalnych norm jest niejednokrotnie nietylko nie mniejszy, lecz raczej większy niż w tamtych, prawnych; jest często rzeczą mniej niebezpieczną i mniej brzemioną w skutki nie dotrzymać norm prawnych, aniżeli niektórych norm, które nie podpadają wprawdzie pod sankcje karne w pojęciu prawnem, które jednak bezwzględnie muszą być przestrzegane, jeśli się nie chce samemu wykluczyć z swojej grupy (pomyślmy

tylko o postanowieniach kodeksu honorowego, lub nawet o niektórych zewnętrznych formach ubrania i zachowania się, których nieprzestrzeganie zwykło pociągać za sobą nietylko wykluczenie z „towarzystwa“, lecz także poważne kolizje zawodowe).

Skuteczność norm społecznych wywodzi się zatem z mniej lub bardziej skomplikowanego systemu nagród i kar. Jego najbardziej gruboziarnistą postacią jest wyraźne ukaranie czy wyraźne nagrodzenie, nieco delikatniejszą formę stanowią owe różnokrotnie stopniowane i cieniowane rodzaje towarzyskiego faworyzowania lub postpowania; najdelikatniejsza natomiast (i najbardziej zamaskowana) forma znajduje swój wyraz w „wewnętrznej“ satysfakcji względnie w wyrzutach sumienia, w których zgodne względnie niezgodne z normami postępowanie, wypłaca niejako w psychicznej walucie swoje nagrody i kary (Simmel).

Otóż jest rzeczą oczywistą, że wszelkie dotrzymywanie norm społecznych i wiązanie się niemi, oznacza ograniczenie pola działania, niewyzyskanie nadarzających się szans; natomiast niezważanie na normy, niewiązanie się niemi jest równoznaczne z rozszerzeniem swobodnej przestrzeni i z możliwością wykorzystania wszelkich szans.

Następstwa, wynikające w sposób naturalny z przestrzegania norm, byłyby zatem nieuchronnie ujemne dla sukcesu, te zaś, które wynikają z nieprzestrzegania ich, byłyby dodatnie dla sukcesu i dopiero premje ustanowione przez specjalne społeczne urządzenia dla postępowania zgodnego z normami, oraz sankcje za postępowanie z niemi niezgodne, starają się stworzyć i zagwarantować pewien związek, dzięki któremu z przestrzegania norm, mimo nieuchronnego ograniczenia swobodnej przestrzeni, wynikają jednak następstwa dodatnie dla sukcesu, zaś z pogwałcenia ich następstwa jednak dla sukcesu ujemne.

Nasuwają się jednak pytania, czy te, przez społeczeństwo ustanowione instytucje, wystarczają przy użyciu jakiegokolwiek systemu kar i nagród do skutecznego opanowania naturalnych następstw tego ograniczenia, względnie rozszerzenia swobodnej przestrzeni działania. Czy tamte samorzutne mechanizmy sukcesu, mające mocne oparcie w samej sytuacji powodzenia, nie okażą się wkońcu przecież silniejsze od tych planowych mechanizmów selekcyjnych, których skuteczność i niezawodność trzeba by dopiero sprawdzić.

Interesuje nas tu oczywiście nie to „jak powinno być“, tylko jedynie to, „jak jest rzeczywiście“. Sformuławszy w ten sposób zagadnienie, spróbujmy na nie odpowiedzieć:

Różne normy społeczne tworzą, jak powiedzieliśmy ramy, wewnątrz których musi się obracać jednostka. Dopilnowanie tego, czy postępowanie przestrzega, czy gwałci normy, odbywa się, jak to wykazaliśmy, bardzo różnie w różnych dziedzinach. Powtarzamy raz jeszcze, iż tylko w zakresie norm prawnych istnieją własne organa, które wymierzają sprawiedliwość. Przy normach obyczajowych — przyczem obyczaj może być uważany za konwencję, uświęconą tradycją — pozostawiono kontrolę sądowi współludzi, kara zaś polega tylko na mniej lub więcej jednoznacznej reakcji społeczeństwa: za najpoważniejszą jej postać musi uchodzić bojkot, za stosunkowo najłagodniejszą szyderstwo. Co się zaś tyczy norm etycznych, w ściślejszym tego słowa znaczeniu, to karę i jej wymiar pozostawia się tutaj czysto wewnętrznej instancji sumienia.

Otóż te trzy najważniejsze dziedziny norm społecznych są tak uwarstwione, że normy prawne określają tylko ten porządek postępowania społecznego, który społeczeństwo uważa za minimum, normy obyczajowe wiążą znacznie dalsze zakresy postępowania, przykazania zaś etyki nakoniec wyrażają program maksymalny.

Sytuację, wyłaniającą się z punktu widzenia szans powodzenia, w obrębie tej naszkicowanej konstelacji, można dobitnie sformułować w następujący sposób: ten, kto, zmierzając do osiągnięcia celów w środowisku społecznym, chciałby sprostać wszystkim istniejącym normom postępowania, znajdzie się w niekorzystnej sytuacji wobec wszystkich jednostek, które potrafią wypełnienie postulatów norm zredukować do tego minimum, jakie można osiągnąć bez narażenia się na jakąkolwiek karę społeczną. Jeśli się teraz zważy, że wszelkie przestrzeganie norm oznacza zrezygnowanie z pewnych form postępowania, jeśli się przedewszystkiem zważy jak wielka jest rozpiętość między tem, co według norm prawnych jeszcze jest dopuszczalne, a według bardziej subtelniejszego odczucia etycznego już jest zgoła niedopuszczalne, jak wielką więc wyższość w swobodzie ruchów posiada jedno postępowanie nad drugim, wówczas musi się z rezygnacją dojść do wniosku, że osławione i często cytowane słowa Machiavela, które mówią, że istnieją cnoty, wiodące w swych konsekwencjach

niezawodnie do ruiny i niektóre przeciwieństwa cnot, gwarantujące zapewniony sukces, że słowa te nie są niczem innym, jak tylko nieuprzedzonym wyrazem rzeczywistego stanu rzeczy.

Tutaj jednak należy jeszcze zwrócić uwagę szczególnie na następujące fakty: Te różne sankcje, które przewidziane są za niestosowanie się do poszczególnych norm, posiadają w odniesieniu do rzeczywistości dla jednostki ujemnych skutków nierówną wagę i nierzadko zdarza się także rozbieżność między pozornym a rzeczywistym zasięgiem tych skutków. Tę nierówną wagę tych sankcyj, względnie ich następstw, musi się dobrze rozważyć przy konkretnej analizie sytuacji powodzenia. Jeśli np. ktoś, dążąc do pewnych określonych celów, znajdzie się w położeniu, dzięki któremu może osiągnąć bardzo realny sukces — czy to w postaci wpływowego stanowiska, czy też zysku materialnego — musi się przytem imać środków, któreby mogły nieco nadwyrężyć jego dobre imię, wówczas jako taktyk „machiawelistyczny“ rozważy na zimno, czy, patrząc realnie, te rzeczywiste korzyści płynące ze stanowiska, czy też zysku materialnego nie zrównoważą — lub czy może nawet nie przeważają — tych w gruncie rzeczy często efemerycznych niekorzyści, wynikających ze „złej opinii“. Przecież — abstrahując zupełnie od wszystkiego innego — zdobycie stanowiska czy sytuacji materialnej — umożliwi jednostce takie postępowanie i taki tryb życia, dzięki którym, jak to wszak w życiu bywa, „zła opinia“ albo zupełnie zginie w zapomnieniu, albo też wśród konkretnych styczności, kształtujących ostatecznie sytuację życiową każdej jednostki, stanie się conajmniej zupełnie obojętnym schematem. Natomiast zrezygnowanie z nadarzających się szans mogłoby właśnie wprowadzić tę jednostkę w ciężką sytuację życiową, któraby ją wkońcu *via facti* zmusiła do postępowania zagrażającego już nadobre jej opinii.

To „uwarstwienie“ norm społecznych, jakby można krótko nazwać dopiero co omówioną sytuację, i następstwa jego, stanowią jednak tylko jedną stronę tej konstelacji, którą pragniemy rozważyć; druga strona stanie się widoczna, jeśli uwzględnimy, że siła, z jaką się faktycznie urzeczywistnia normy społeczne, pozostaje zazwyczaj znacznie w tyle poza formalnem postulowaniem ich urzeczywistnienia. Stąd wynikają znowu, dla odpowiednio zastosowanego machiawelizmu, korzystne szanse powodzenia. Najlepiej chyba można śledzić tę sytuację w dziedzinie norm prawnych:

We wszystkich, kiedykolwiek zrealizowanych ustrojach społecznych, istniały zawsze pewne ustawy, które wprawdzie formalnie pretendowały do takiego samego posłuchu, jak inne, których rzeczywista skuteczność jednak albo wogóle nie istniała, albo przynajmniej była mocno ograniczona (wystarczy pomyśleć, dla przykładu, o dość luźnych stosunkach, panujących na polu zeznań podatkowych we wszystkich krajach). Jasnem jednak jest, że system prawny tylko wówczas może udzielić ochrony wszystkim członkom społeczeństwa, jeśli przeprowadza i urzeczywistnia swoje zadanie na każdym miejscu i wobec każdego; jeśli tak nie jest, wówczas dochodzi do nieuniknionego, wprawdzie niechcącego, uprzywilejowania szans powodzenia tych jednostek, które potrafią bezwzględnie wykorzystać istniejącą swobodę ruchów, i do ograniczenia szans sukcesu tych innych, które czy to z przyzwyczajenia, czy też nie orjentując się w faktycznej bezkarności, krępują się jednak owymi normami i tem samym zagrażają własnym szansom, lub co więcej, muszą nawet w pewnych warunkach nieuchronnie ulec w walce konkurencyjnej.

Bardzo charakterystyczną dla tej sytuacji jest relacja Herberta Spencera o pewnym krawcu londyńskim, z owego czasu, który nie chciał stosować się do półoficjalnie legitymowanego przez zwyczaj, niedbałego mierzenia i obliczania materiału przy szyciu ubrań i surowo upierał się przy przepisanych, ale przez nikogo nie przestrzeganych miarach. Cóż było następstwem tego? Trzechkrotne bankructwo, raz po razie. Czy był to tylko przypadek? Napewno nie. Stało się raczej to, co się stać musiało: bezgraniczne przestrzeganie norm i niewykorzystanie swobody ruchów, wynikającej z faktycznie niedbałego wykonywania ustawy, którą wszyscy inni konkurenci umieli bardzo dobrze wyzyskać — sprawiło, że stał się poprostu niezdolny do konkurencji. Ludziom, posiadającym podobne nastawienie w innych dziedzinach, nie dzieje się lepiej.

W każdym regulaminie społecznym, który z procesu współzawodniczenia zrobił metodę, mającą za zadanie wyznaczenie każdej jednostce „nałężnej“ jej pozycji w hierarchji społecznej, istnieją rozliczne instancje i sztucznie wytworzone mechanizmy selekcyjne, które mają pilnować, aby między postępowaniem, uchodzącym zgodnie z panującą etyką za wartościowe a powodzeniem, względnie między tem postępowaniem, które uchodzi za pozbawione wartości a niepowodzeniem, istniała zapewniona zależność. Okazuje się jednak,

że istniejący porządek selekcyjny wcale nie jest w stanie regulować procesów selekcyjnych tak, jakby zamierzał i że dopiero konkretna analiza sytuacji daje nam obraz rzeczywistego kształtowania szans powodzenia i ich najważniejszych wyznaczników. Jak wogóle świadome i planowe ustanowienie systemu selekcyjnego prowadzi często do zgoła nieprzewidzianych konsekwencji, które stoją w zupełnej sprzeczności do tego, co się właściwie zamierzało.

Konkretna analiza sytuacji, którą przeprowadziliśmy odnośnie do anTYnomji między „polityką a moralnością“ dała zatem następujące wyniki: To, że przestrzeganie norm społecznych pociąga za sobą uszczuplenie swobodnego pola działania i wskutek tego ogranicza szanse sukcesu, że zaś niezważanie na normy przynosi z sobą rozszerzenie swobodnego pola działania i w następstwie tego powiększa szanse powodzenia, jest konsekwencją, która wynika z samej sytuacji. Celem skutecznego przeciwdziałania tej konsekwencji przewiduje się sankcje i premje, które na podstawie planowych zabiegów ze strony ustroju społecznego i jego mechanizmów mają wywołać postępowanie zgodne z normami, a przeszkodzić postępowaniu, które z nimi nie jest zgodnem. Równocześnie podtrzymuje panująca ideologia pogląd, że między postępowaniem odpowiadającym normom (postępowaniem wartościowem) i sukcesem, oraz między postępowaniem przeciwstawiającem się normom i wartościom a niepowodzeniem, istnieje zapewniona zależność, którą stwarza i gwarantuje właśnie porządek społeczny oraz jego instancje i mechanizmy.

Otóż okazuje się, że z jednej strony samorzutność pierwotnej sytuacji powodzenia, z drugiej zaś strony planowo ku sukcesowi zmierzająca działalność w społecznym środowisku, są silniejsze niż ten idealny regulamin selekcyjny, którego skuteczność stale podminowują i paraliżują przeciwdziałające siły. „Uwarstwienie norm“ i „niedbała realizacja norm“ otwierają szeroką przestrzeń swobodną świadomemu celów i nie przebiegającemu w środkach dążeniu do sukcesu, które umie się znaleźć i działać odpowiednio w obrębie każdorazowo istniejącej sytuacji.

Dla takiego dążenia „machiawelistycznego“ jest więc stosowanie i niestosowanie się do norm nie sprawą jakiegoś sentymentalno-wartościującego rozważania, czy też kwestją utartego zwyczajem nastawienia, lecz rzeczą decyzji, która kalkuluje na zimno pod kątem szans powodzenia. Jeśli stosowanie się do norm obiecuje zysk w dro-

dze do sukcesu (choćby tylko zysk w formie „dobrego wrażenia“) wówczas się je wykonuje; jeśli jednak przynosi niekorzyści, oznacza ograniczenie swobody ruchów bez dostatecznej kompensacji przez odpowiednie premje, ustanowione za dochowanie norm, wówczas wstrzymuje się je natychmiast.

Antynomja między postępowaniem związanem z normami a takim, które zmierza do sukcesu, antynomja między moralnością a polityką, nie jest więc żadną teorią, lecz prosto faktem. Jakiego rodzaju jest ta sytuacja, w której tkwią korzenie tej sytuacji, to spróbowaliśmy wykazać. Wyższość postępowania machiawelistycznego, które na zimno rozważa wszystkie wyznaczniki sukcesu, które więc rozpatruje także stosowanie lub niestosowanie się do norm li tylko pod tym kątem widzenia, nie jest zatem czemś przypadkowym, lecz jest — dopóki sytuacje i ludzie są takimi, jakimi właśnie są — rzeczą wręcz nieuchronną. Mechanika selekcyjna nie okazuje swych względów, jakby to można przypuścić raz temu to znowu tamtemu rodzajowi postępowania, lecz wytwarza — z żelazną prawidłowością — wyższość tego właśnie machiawelistycznego postępowania ponad wszelkie inne.

Kwintesencją antynomji a zarazem jednym z najwyższych jej objawów jest oczywiście wszelkie postępowanie obłudne: bo przecież funkcja taktyczna postępowania obłudnego polega na tem, iż zapewnia ono zarówno wszystkie te korzyści i wygody, które wynikają z postępowania pozornie zgodnego z normami, jak też równocześnie te wszystkie korzyści, które wypływają z niekrepowania niczem pola działania. Dlatego też rozważania dotyczące obłudy i innych, pokrewnych zjawisk, posiadają szczególne znaczenie u Machiavela: „Nic nie jest tak ważne — tak brzmi słynne miejsce z „Il Principe“ — jak pozory cnotliwe. Bo sądy ludzkie kierują się naogół raczej wrażeniem, niż rzeczywistym zrozumieniem. Każdy ma otwarte oczy: nielicz posiada trafne poczucie. Każdy widzi kim się być wydajesz: nieliczni tylko wiedzą, jakim jesteś rzeczywiście, a ci nieliczni nie mają odwagi oprzeć się zdaniu wielkiej masy... Motłoch kieruje się zawsze pozorami i wynikiem. A na świecie niema nic innego, jak tylko motłoch...“

Podczas gdy prawie wszystkie teorie zajmujące się zagadnieniem ludzkiego działania w środowisku społecznem, rozpatrywały wszelkie sprawy z punktu widzenia tego, co powinno być, to Machiavel, jako

prawie jedyny, zajmował się ludzkim postępowaniem takim, jakim ono, w sprzeczności z pozorami, jest rzeczywiście. Na tem, zdaje mi się, polega największa zasługa Machiavela. A jeśli mu częstokroć zarzucano, że nie posiadał zainteresowania ani zrozumienia dla wartości kulturalnych i rozważał wszystko tylko pod kątem szans powodzenia, pod kątem dochodzenia do władzy i upadku, i że wobec tego był „jednostronny“, to jednak należy zważyć, że powodzenie i niepowodzenie, wzbicie się i upadek, są bezapelacyjnie ostatnią instancją wszelkich działań ludzkich i że Machiavel może głębiej ujął i rozumiał sprawy arcyłudzkie niż ci, którzy mu zarzucali jednostronność.

Niewątpliwie: niewesoły jest obraz współzycia, który nam malują doktryny Machiawela, ale zato rzetelny i prawdziwy. Pisma jego nie są przeznaczone dla ludzi, pragnących widzieć obraz takiego życia, jakim ono nigdy nie było i nigdy nie będzie.

Ale ludzkość nie przebacza tym, którzy ośmielają się pokazać jej prawdziwe jej oblicze. Los ten, niepozbawiony głębokiej ironji, spotkał także Machiawela. Nazwisko tego niesłychanie rzetelnego umysłu stało się symbolem tego właśnie postępowania, którego z d e m a s k o w a n i u poświęcił swoje życie.

KILKA UWAG DOTYCZĄCYCH GENEZY TEORJI POWODZENIA

Zagadnienia — zwłaszcza zagadnienia w naukach tak bliskich życiu, jak socjologia i psychologia — nie powstają „przypadkowo“. Są one zawsze — aczkolwiek niejednokrotnie w sposób nieświadomy — wyrazem i objawem z a n i e p o k o j e n i a, powstającego w obliczu z a k ł ó c e n i a jakiegoś oczekiwanego „porządku“, którego istnienie posiada dla nas pewne znaczenie uczuciowe. Socjologia, jako swoista nauka, powstała wogóle jako reakcja na nasuwający się „problem społeczny“: zaniepokojenie u c z u c i o w e w obliczu jego istnienia i coraz to jaskrawszego ujawniania się, wywołało dopiero, jako i n t e l e k t u a l n ą reakcję, teoretyczne sformułowanie odnośnych zagadnień. H. Freyer (*Soziologie als Wirklichkeitswissenschaft*) twierdzi nawet, że socjologia jest wogóle teorią, czy też samoświadomością społeczeństwa, znajdującego się w stanie „nieporządku“. Społeczeństwa i epoki znajdujące się w „porządku“ (albo przynajmniej takie, które uważają, że są w porządku) nie posiadają socjologii, lecz tylko naukę o państwie, ekonomję społeczną itd. Historia socjologii i jej wysiłków w XIX wieku jest odzwierciedleniem intelektualnego niepokoju, w obliczu społecznego stanu rzeczy, odczuwanego coraz wyraziściej jako karykatura prawdziwego porządku.

Także psychoanaliza nie powstała „przypadkowo”. Była ona raczej niewątpliwie intelektualną reakcją na groźnie mnożące się nerwice, na zneurotyzowanie, że tak powiem, współczesnego człowieka wogóle. A niezwykle, wręcz nadmierne i podejrzanie zainteresowanie dla zagadnień psychologicznych w dobie współczesnej, nie jest przecież niczem innym, jak właśnie najoczywistszym wyrazem zaniepokojenia jednostki wobec własnego „wewnętrzznego nieporządku”.

Otóż ten związek pomiędzy nieporządkiem pewnej określonej dziedziny życiowej, wywołaniem nim zaniepokojeniem i powstaniem odnośnego zagadnienia zachodzi niewątpliwie również w sprawach powodzenia i jego teorii. Fakt mianowicie, że według panujących poglądów i wartościowań powodzenie „powinno” przypaść w udziale pewnym jednostkom, posiadającym pewne określone właściwości, zaś selekcje społeczne funkcjonują tak, że powodzenie przypada w udziale w rzeczywistości jednostkom zgoła odmiennym — fakt ten, który w pewnej mierze prawdopodobnie zawsze istniał, stał się w dobie współczesnej tak oczywisty i tak jaskrawy, że metoda nieprzyjmowania niewygodnych stron rzeczywistości do wiadomości, naogół zresztą wcale dobrze funkcjonująca, stała się obecnie niewykonalną: niewygodna rzeczywistość przełamała opory i utorowała sobie dostęp do społecznej świadomości.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną i godną uwagi, że podczas gdy dotychczas nie istniała prawie zupełnie literatura naukowa, dotycząca spraw powodzenia, to w ostatnich latach powstała już literatura na ten temat. W r. 1928 ukazała się praca W. Lange-Eichbauma *Genie, Irrsinn und Ruhm*, Monachjum, a w r. 1930 pojawiły się, równocześnie i zupełnie niezależnie od siebie, 3 prace na ten temat o dość zasadniczym, teoretycznym charakterze; a mianowicie K. Lewin *Erfolg und Misserfolg* (Psychologische Forschung); K. Mannheim *Zur Soziologie des wirtschaftlichen Erfolgstrebens* (Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik) i G. Ichheiser *Kritik des Erfolges* (C. L. Hirschfeld, Lipsk).

Ale nie dosyć na tem. Mniej więcej o tym samym czasie ukazuje się szereg innych prac, których tematem — po części przynajmniej — nie jest wprawdzie bezpośrednio zagadnienie powodzenia, ale jednak bardzo mu pokrewny problem społecznych selekcji (i kontraselekcji). „Powodzenie” i „selekcja”, to w gruncie rzeczy ta sama grupa faktów, widziana raz pod kątem jednostki, raz znowu pod kątem otaczającego ją środowiska. Są to prace: P. R. Thurnwald *Führerschaft u. Siebung*, 1926; Sorokin *Social Mobility*, 1927; Ossip-Lourié *L'arriovisme*, 1929; J. Nothaas *Auf und Abstieg im deutschen Volke*, 1930; I. St. Bystron *Szkola i społeczeństwo*, 1930 (akcentuje wyraźnie problem selekcji i kontraselekcji); J. Chasiński *Drogi awansu społecznego robotnika*, 1931; I. Vida *Das Problem des Aufstiegs*, 1933. Wręcz naiwnością byłoby przypuszczać, że mnożenie się prac na ten temat jest rzeczą przypadkową. Byłoby również — na razie przynajmniej — rzeczą niesłuszną przypuszczać, że mamy tu do czynienia z wzajemnym wpływem autorów na siebie. Równoczesne po-

wstanie odnośnych zagadnień jest wyrazem podobnych sytuacji, w których znajdują się poszczególni autorowie — mianowicie właśnie „sytuacji współczesnych“, — oraz objawem zaniepokojonej reakcji intelektualnej na te sytuacje tak pełne sprzeczności.

O ile chodzi w szczególności o kwestję machiavelizmu, to jest on bodajże najbardziej alarmującym zjawiskiem w dziedzinie warunków powodzenia. Właśnie doszła do rąk moich ostatnia książka K. Mannheim'a (*Individuum und Gesellschaft im Zeitalter des Umbaus*, 1935), w której autor zaznacza, że mnożenie się literatury, dotyczącej machiavelizmu, jest objawem niepokojącej aktualności machiavelistycznych sytuacji życiowych. „Podczas gdy ongiś istniał pewnego rodzaju społeczno-moralny podział pracy, dzięki któremu szary człowiek mógł pozostać przyzwoity, a tylko panujące warstwy popadały w sytuacje konfliktowe, obecnie, wskutek postępującej demokratyzacji, sytuacje te zaciążyły na każdej jednostce. Podczas gdy dotychczas „moralność przemocy“ istniała tylko w sytuacjach granicznych i była świadomie uznawana tylko przez warstwy panujące, konflikt ten w związku z demokratyzacją społeczną — wbrew oczekiwaniom, dotyczącym danego rozwoju — nietylko się nie złagodził, lecz przeciwnie stał się publiczną mądrością (öffentliche Weisheit) całego społeczeństwa. Jakie losy oczekują etykę społeczną, gdy szerokie masy zawiadną tą tajemnicą (mianowicie koniecznością machiavelistycznego postępowania, o ile się chce osiągnąć sukces, przyp. aut.), z którą nie zdołały się nawet uporać warstwy kierujące, jest rzeczą wręcz nieobliczalną.“

Krytyczna teoria powodzenia, która, ujawniając konflikty, antynomie i iluzje, panujące w tej dziedzinie prowadzi temsamem do destrukcji mitologii sukcesu — prawdopodobnie najważniejszej społecznej mitologii czasów nowoczesnych — winna w imię swego krytycyzmu zrozumieć także sytuacje, w której się sama znajduje, sytuację, na tle której sama powstała. Uświadomienie sobie tej sytuacji jest sprawą tak wielkiego znaczenia, że uwagi niniejsze wypowiedziane w związku z powyższą pracą o machiavelizmie, nie były może całkiem zbyteczne.¹

Pragnęlibyśmy w końcu jeszcze zaznaczyć, że wykazanie pewnych afektywnych względnie społecznych źródeł teorii powodzenia nie zagraża bynajmniej jej zupełnie obiektywnemu nastawieniu. Uwagi nasze wykazują tylko istnienie owych nierzeczowych źródeł, które decydują o kierunku teoretycznego zainteresowania; dociekania i rozważania rozbudowujące się w kierunku tego tak powstałego zainteresowania mogą natomiast — i powinny oczywiście — zachować charakter jaknajzupełniej obiektywnej.

¹ Dokładniejsza analiza tej sytuacji w mej pracy *Probleme einer Theorie des Erfolges* (Kölner Vierteljahrshefte für Soziologie, 1933).

STANISŁAW RYCHLIŃSKI — WARSZAWA.

SOCJOLOGJA MIASTA

1. Rozwój badań nad miastem współczesnym.

Zainteresowanie życiem i kulturą miejską powstało równie dawno, jak samo miasto. Nie chodzi mi jednak o zbyteczne w danym wypadku perspektywy historyczne. Zajmę się wyłącznie miastem o zrębie współczesnym i ograniczę do ujęć bądź to ściśle socjologicznych, bądź przynajmniej stanowiących cenne przyczynki poznawcze dla rozwoju właściwej socjologii miasta.¹

Krótki i ułamkowy ten przegląd ma na celu uchwycenie procesu kształtowania się wiedzy o środowisku społecznym wielkomiejskim w związku z żywotnymi zagadnieniami społecznymi, które stwarzała dynamika rozwoju miasta społecznego.

Reformatorzy społeczni zajęli się miastem jako siedliskiem nędzy. Fryderyk Engels pierwszy podejmuje badanie środowiska materialnego i kulturalnego proletariatu angielskiego połowy XIX w., stwarzając podstawy nowoczesnych dociekań nad stosunkami mieszkaniowymi (slums robotnicze).² Dopiero jednak czterdzieści lat później Charles Booth rozwija survey czyli lustrację warunków ekonomicznych bytu ludności proletariackiej Londynu,³ uzupełniając zresztą badania te ciekawymi dochodzeniami na temat stosunków religijnych. W dziele, redagowanym przez Booth'a, tkwi już w załączku socjologia dzielnic robotniczych współczesnego miasta. Rzecz została jednak ujęta wyłącznie pod kątem widzenia dokumentacji, niezbędnej dla reform społecznych; o uogólnienia teoretyczne nie ubiegano się bynajmniej. Jest to epoka, w której zainteresowania społeczne miastem osiągnęły szczególnie silne natężenie: walka z nędzą i ruderami mieszkalnymi żywo porusza opinię publiczną. Towarzystwo Fabiańskie (Fabian Society), oraz Liga Muncypalna (Municipal League) zmierzają do reform społecznych, na gruncie samorządu miejskiego w pierw-

szym rządzie. Zainteresowania te znajdują oddźwięk zarówno w literaturze powieściowej,⁴ jak i w ściśle naukowych pracach badawczych.⁵

Prądy owe wywierają również wpływ za oceanem. Znajdują bardzo podatny grunt w reakcji intelektualistów i reformatorów amerykańskich przeciw przerażającym stosunkom społecznym, jakie przyniósł gwałtowny napływ nędzy imigranckiej do miast i stłoczenie jej w slums wielkomięjskich. Towarzyszy temu niesłychana korupcja polityczna, rodząca silny sprzeciw w demokratycznym sumieniu amerykańskim. Jacob Riis⁶ daje barwny obraz życia nędzy nowojorskiej. Apel sentymentalny jest znacznie silniejszy, niż w Anglii. Pierwszy wielki survey warunków bytu proletariatu, dokonany w Pittsburghu,⁷ zawiera bardzo wiele momentów czysto literackich. Niemniej otwiera serię tego typu badań, posiadających cechy ścisłości naukowej.⁸ Również settlements, czynne w najgorszych dzielnicach miast, przyczyniają się do poznania stosunków, które panują w slums. R. Woods⁹ kreśli sylwetki dzielnic proletariackich Bostonu na podstawie dociekań działacza i obserwatora społecznego.¹⁰

We Francji ideały reformy społecznej tkwią u podstaw socjografii szkoły Le Play'a. Stara się ona w sposób ścisły, z zachowaniem pozorów (jeśli nie istoty) metod naukowych, ująć procesy społeczne, towarzyszące narastaniu gospodarki kapitalistycznej. Czyni to Paul du Maroussem w swoich badaniach Paryża,¹¹ według skupień odrębnych typów przedsiębiorczości rzemieślniczej i procederów handlowych (villes du métier). Maroussem przyczynił się wydatnie do poznania struktury gospodarczej wielkiego miasta. Niemniej utrzymany przezeń martwy schemat ankiety „monograficznej“ Le Play'a nie sprzyjał głębszemu wglądowi w środowisko społeczne.

Szkoła Le Play'a, oddalając się od pierwotnych ideałów reformy społecznej, wyznawanych przez jej twórcę, wniosła jednak pewne nastawienie socjologiczne do geografii skupień ludzkich, a więc także i większych miast.¹² Niestety socjologowi geografja miasta daje bardzo mało, często zaciemnia bodaj obrazy procesów społecznych przez doszukiwanie się wszędzie prostych oddziaływań środowiska przyrodniczego.

Z pośród zwolenników metod ściśle socjologicznych (związanych z kierunkiem Durkheima) miastem zajął się bliżej M. Halbwachs oraz R. Maunier.¹³ Pierwszy przedewszystkiem stroną struktury przestrzen-

nej miasta i wpływu na układ demograficzny,¹⁴ a także co ważniejsza, środowiskiem pracy w wielkim mieście.¹⁵

W Niemczech miasto doczekało się bogatej literatury przede wszystkim z zakresu historii gospodarczej. Tu też powstały pierwsze próby analizy różnych obliczy kultury miejskiej.

Przejsięcie od kultury wiejskiej do miejskiej w Anglii i we Francji dokonało się w pierwszej połowie XIX w., kiedy nauka nie była jeszcze wrażliwa na tego rodzaju przeobrażenia. Ślady pozostały głównie w literaturze powieściowej.¹⁶

Natomiast w Niemczech rozwój miast wielkich i masowa wędrownica z małych miasteczek i wsi nastąpiły dopiero pod koniec XIX w. Proces tworzenia się kultury wielkomiejskiej został zinwentaryzowany i oświetlony wszechstronnie. W ten sposób położono fundamenty pod właściwą socjologję miasta.¹⁷

Niemniej niwa naukowa niemiecka nie nadawała się w pełni do tego rodzaju dochodzeń. Nie sprzyjało temu przede wszystkim abstrakcyjne i spekulacyjne nastawienie socjologii. Nadto proces urbanizacji kultury odbył się stosunkowo szybko: środowisko wielkomiejskie wkrótce przestało być nowością.¹⁸ Dopiero demokratyzacja powojenna (w parze z gwałtownym zmechanizowaniem środowiska miejskiego w związku z udoskonaleniami technicznymi i kopjowaniem wzorów amerykańskich) obudziła specyficzne zainteresowania kulturą miasta powojennego.¹⁹

Właściwa przecież socjologja miasta zaczęła rozwijać się na gruncie amerykańskim. Oczywiście wiąże się do pewnego stopnia z pierwszemi próbami poznania środowisk imigranckich, które to badania czerpały natchnienie z dociekań angielskich.

Niemniej podłoże społeczne zainteresowań naukowych uległo od tego czasu dużej zmianie. Ów płynny zespół wiadomości i wskazań praktycznych, który w Ameryce zwie się socjologją, utrzymuje wprawdzie nadal ścisły związek z pracą społeczną. Slums imigranckie przestały być wszakże głównym ośrodkiem zainteresowań. Badaczy amerykańskich zajęło miasto jako całość, jako dynamiczny zespół oddziaływań, urabiających swoiście postępowanie jednostki, o nie-wielkomiejskim zrębie psychicznym. Socjologja miasta (Urban Sociology)²⁰ w Ameryce jest wynikiem gwałtownego zetknięcia się żywych pierwiastków tradycyjnej kultury małomiasteczkowej amerykańskiej ze zmechanizowaną i indywidualistyczną kulturą wielkomiejską. Pro-

ces podobny do tego, który uwydatnił się w Niemczech w końcu ubiegłego stulecia w postaci znacznie zresztą łagodniejszej, niż w Ameryce.

W Stanach Zjednoczonych powstały od razu warunki wszechstronnego i bogatego rozwoju dokumentacji naukowej tego procesu: i przełom kulturalny jest silniejszy, i środki finansowe większe, i nastawienie nauki praktyczniejsze, przez co ujęcia nazbyt oderwane nie brózdzą tak dalece, jak to się zdarza w Europie.

Piętnaście lat powojennych przyniosły ogromny rozkwit badań nad najróżnorodniejszymi procesami demograficznymi (płynność ludności, segregacja typów ludnościowych w poszczególnych dzielnicach miasta), rozprzężenia społecznego (rozpadu rodziny, przestępczości, zwłaszcza młodzieży), oraz kulturalnymi. Badania te dotyczą nietylko miast jako całości, lecz wyodrębnionych obszarów naturalnych (natural areas), dzielnic miejskich w rodzaju villes du métier Maroussem'a.

Socjologia amerykańska nie posiada tego żywego związku z analizą szerszych procesów gospodarczych, właściwą wiedzy społecznej Europy. Wynagradza to poniekąd inwentaryzowaniem wszelkich innych czynników. A przede wszystkim odznacza się niesformulowanym często, ale bardzo doniosłym podkładem szczerze socjologicznym, w postaci wycucia więzi społecznej, którego tak brak podobnym próbom w Europie. To, w parze ze swoistym, choć nie zawsze zgodnym z naukowością, eklektyzmem w zbieraniu materiału ze wszystkich możliwych źródeł (udoskonalone metody survey'u, oraz case studies) sprawia, że socjologia amerykańska dała stosunkowo najwięcej w zakresie poznania całokształtu środowiska miejskiego. Wielką też jej zasługą było wyodrębnienie obszarów „naturalnych“ miast, zwłaszcza takich dzielnic, w których w rozmiarach wręcz potwornych można było badać procesy, właściwe otoczeniu wielkiego miasta. Wreszcie Chicago, główne laboratorium społeczne socjologii amerykańskiej, stanowi szczególnie wdzięczne pole dla wytworzenia odrębnej dziedziny socjologii środowisk.²¹ Fakty są tak wymowne i bogate w treść społeczną, że nawet pewne nieudolności metody badań i wykładu nie zdolne są zniweczyć wartości metodycznie konstruktywnej tego rodzaju dochodzeń.

Jakkolwiek proces urbanizacji w Polsce rozpoczął się późno i osiągnął wysoki stopień natężenia dopiero w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia, niemniej w przeciwieństwie do Niemiec zna-

laż słaby tylko oddźwięk w literaturze naukowej. Szczególne warunki polityczne najbardziej uprzemysłowionej dzielnicy, Kongresówki, nie sprzyjały badaniom tego rodzaju. Istniało przecież duże zrozumienie społecznych skutków narastania skupień proletariackich. Powieść²² podkreśla niektóre momenty. Społecznicy i higieniści²³ podchwytują najbardziej odrażające objawy z życia nędzy miejskiej. Podejmują urywkowe dochodzenia nad warunkami mieszkaniowymi.

Całokształt kultury miasta kapitalistycznego, kultury duchowej przede wszystkim, stara się dać Ludwik Krzywicki w artykułach, zebranych następnie w książce p. t.: *W otchłani*. Podejmuje analizę komercjalizacji twórczości kulturalnej, oraz procesów rozkładowych fin-de siècle'u.

Stefan Gorski próbuje odtworzyć, w zupełnie innej płaszczyźnie i po dziennikarsku raczej, oblicze społeczne Łodzi.²⁴ Jest to rodzaj reportażu, o tyle może tylko wartego wzmianki, iż próba to bodaj pierwsza, gdy chodzi o wielkie miasto w Polsce.

Badania historyczne i statystyczne nad Warszawą²⁵ i Krakowem²⁶ wnoszą nieco do poznania struktury miejskiej. Przyczynki z zakresu demografii miejskiej posiadają też swoistą wymowę.²⁷ Wreszcie badania nad rodziną robotniczą²⁸ przysparzają urywkowych wiadomości do poznania środowiska proletariackiego wielkich miast. Dzieło W. Thomas'a i F. Znanieckiego o chłopie polskim (1918) odzwierciedla mnóstwo procesów, związanych nie tylko z asymilacją emigranta, ale wynikających z samego przebiegu urbanizacji.

Próby socjologii społeczności miejskiej, a właściwie stosunku jednostki do tej społeczności i instytucyj samorządowych, dokonał Prof. F. Znaniecki.²⁹ Pojawiają się również ujęcia różnych przejawów życia grup miejskich, ujęte pod kątem widzenia socjologicznym.³⁰

Wszystkie wspomniane przyczynki (a dałoby się jeszcze wymienić znacznie więcej prac z zakresu zagadnień życia miejskiego) wnoszą i świeże materiały i ważne ujęcia do socjologii wielkiego miasta.

Niemniej miasta nasze pozostają jeszcze zupełnie prawie nieznanne jako siedlisko procesów, których zasięg rozszerza się na kraj cały. Zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości i wzmożeniu tętna promieniowania kultury miejskiej, oraz przemian społecznych, jakie demokracja i urbanizacja kulturalna wywołują, zagadnienie ana-

lizey oblicza społecznego procesów wytwarzania się tej nowej kultury ma szczególne znaczenie. A sprawa to właśnie leżąca zupełnie u nas odłogiem. Cierpi na tem i socjologia wsi, błakająca się ciągle w rozważaniach nad środowiskiem przyrodniczem i tradycjami dawnej kultury ludowej, a niedoceniająca należycie umiastowienia kulturalnego wsi.

2. Założenia i zakres socjologii miasta.

Jakkolwiek krótki i mało wyczerpujący jest powyższy rzut historyczny, zdać sobie można sprawę z tego, jak wiele już dokonano na polu poznania środowiska miejskiego. Jednak, mimo wysiłków socjologów amerykańskich, pisujących nawet z zakresu tego podręczniki, właściwa socjologia miasta znajduje się jeszcze w stanie mgławicowym. I ta właśnie mgławicowość przeszkadza poniekąd w naukowym ujęciu wielu zagadnień.

Musimy wyjaśnić sobie parę spraw, zanim dojdziemy do próby syntetycznego określenia socjologii miasta.

Przedewszystkiem: co to jest miasto i jaka jego rola w strukturze społecznej.

Dotychczasowe określenia grzeszą tem, że chcą ująć w czambuł wszelkie skupienia miejskie wszystkich czasów i przestrzeni. Istnieje tyle różnych socjologicznie miast, ile systemów gospodarczych i społecznych. Będziemy zajmowali się, jak wspomniałem na wstępie, wyłącznie miastem o zrębie społecznym, t. zn. cywilizacji europejskiej i kolonialnej okresu wielkoprzemysłowego, czyli wielkoka-pitalistycznego. Miasto jest w naszym ujęciu kategorią aktualną, nie historyczną.

Pod względem ludnościowym jest to skupienie większe, wielotysięczne, powstałe w drodze gwałtownej, żywiołowej imigracji. Znamionuje je nadto duża płynność ludności: wędrowniki z miejsca na miejsce między różnymi ośrodkami miejskimi, czy wewnątrz obszaru miasta. Obok przesuwania się w przestrzeni także zmiany sytuacji społecznej (zawodowej, majątkowej).

Pod względem gospodarczym — miasto społeczne zrywa całkowicie związek ludności z ziemią i pracą na roli. Przemysł, handel oraz aparat finansowy i dyspozycji dostarczają zajęcia mieszkańcom miasta. Różnicę między miastem a osadą fabryczną stanowi fakt na-

gromadzenia wielu odmiennych warsztatów pracy i przedsiębiorstw, słowem zróżnicowanie gospodarcze. Co nie znaczy, by twórcą obecnego miasta nie był bezpośrednio, czy pośrednio wielki przemysł.

Miasto społeczne znamionuje także rola maszyny w zastosowaniu do produkcji i przewozu, zarówno jako czynnika, powodującego narastanie wielkich skupień (fabryki, węzły kolejowe, porty), jak i pierwiastka kształtującego całe środowisko miejskie. Zwłaszcza ostatnie dziesięciolecia przyniosły pod tym względem daleko posuniętą mechanizację środowiska miejskiego w zakresie komunikacji, środków porozumiewania się (telefon), urzędzeń domowych, rozrywek (np. kino) itd. Maszyna wszędzie przenika i oddziałuje na wszystkie dziedziny codziennego życia.

Również stosunki handlowe urabiają w mieście wszelkie styczości ludzkie. Wszystko, czego jednostka potrzebuje, musi kupić. W zasadzie także wszystko można kupić. Komercjalizacja dokonywa dzieła urzeczowienia środowiska miejskiego, pozbawienia go pierwiastków społecznych.

Dotyczy to zwłaszcza bogatej sfery kultury miejskiej — masowej, zmechanizowanej i skomercjalizowanej. Od tej strony miasto społeczne równie silne, jak od strony gospodarczej, stanowi rażący kontrast zarówno ze wsią, z jej kulturą ubogą, pierwotną, ale jednocześnie wybitnie uspołecznioną, jak i z miastem przedwielkoprzemysłowym — z kulturą zindywidualizowaną wprawdzie, ale intensywną, bogatą, głęboką i często bardzo osobistą. Kultura wielkomijska — wytwór maszyny i pieniądza — jest błyskotliwa, hałaśliwa, bezosobowa i pozbawiona pierwiastków społecznych.

Powyższa próba określenia miasta współczesnego od strony pierwiastków ludnościowych, gospodarczych i kulturalnych podnosi tylko pewne jego strony. Jeśliby chodziło o definicję lapidarną, możnaby powiedzieć, że miasto doby obecnej — to wielkie skupienie ludności, będące bezpośrednim, czy pośrednim wynikiem gospodarki wielkoprzemysłowej, ześrodkowujące, niby w soczewce wszystkie skutki materialne, kulturalne i społeczne tej gospodarki na niewielkiej stosunkowo przestrzeni.

Miasta, które do ostatnich niemal czasów, były zawsze skupieniami, oderwanymi od całości organizacji gospodarczej i społecznej krajów, stały się obecnie ośrodkami, z których promieniują przeobrażenia struktury ekonomicznej i życia zbiorowego. Miasta, owoc in-

dustrjalizmu, są jego bastjonami, oraz twórcami nowej kultury i nowej społeczności doby wielkoprzemysłowej.

Poznanie miasta obecnego prowadzi do poznania procesów przekształceń społecznych, które dokonywują się zarówno w jego murach, jak i na zapadłej do niedawna wsi. Słowem wszędzie, gdzie zachodzą zmiany w życiu zbiorowym. Niema już przecie miejsca na globie ziemskim, gdzieby nie docierały skutki wielkiego kapitalizmu i rewolucji przemysłowej.

Z uwag powyższych występują już pierwsze zarysy socjologii miasta. Dział ten socjologii zajmowałby się środowiskiem miejskiem pod kątem widzenia przemian, jakie gospodarka współczesna wprowadziła do więzi społecznej. Nie miastem, jako zbiorowiskiem domów, czy nawet mniej, lub bardziej wyraźnie odcinających się od siebie niewielkich skupień przestrzennych (obszarów naturalnych w ujęciu socjologów chicagoskich), ale tą nową treścią społeczną, którą stwarzają industrjalizm i kapitalizm, a które skupiają się w mieście i zyskują w niem maximum nasilenia.

Socjologia miasta jest działem specjalnej dziedziny metodologicznej socjologii ogólnej, a mianowicie socjologii środowiska. Socjologję środowiska możnaby przeciwstawić socjologii procesów społecznych, grup czy instytucyj, rozpatruje bowiem w przekroju terytorjalnym to, co inne metodycznie ujęcia socjologii rozważają w oderwaniu od konkretnej przestrzeni, w pewnej abstrakcji. W pracy nad gromadzeniem materiałów do syntezy naukowej socjologia środowiska stanowi niejako pierwsze ogniwo: za pośrednictwem socjografji zbiera materiały, klasyfikuje je, pozwala wydobyć wątki do ogólniejszych, bardziej abstrakcyjnych ujęć.

Rola socjologii miasta w ujęciu takim jest zupełnie jasna: zbadanie przeobrażeń więzi społecznej, oraz czynników, przeobrażenia te wywołujących, w środowisku wielkomiejskiem. Biorąc pod uwagę przedewszystkiem procesy szersze, które w środowisku miejskiem nabierają tylko szczególnego nasycenia, socjologia nie spadnie do rzędu geografji społecznej. Nie znaczy, by zastanawianie się nad szczególnymi cechami środowiska miejskiego (wynikającymi wręcz ze skupienia pewnych typów ludności, ze stłoczenia ich na wąskim terenie itd., a występującymi niezależnie poniekąd od szerszych procesów gospodarczych i społecznych) nie miało wchodzić w zakres socjologii miasta. Lecz to są raczej sprawy na marginesie, ciekawe

przykłady izolacji gospodarczej, społecznej, czy kulturalnej. Najdonioślejsze jest może podłoże tego rodzaju izolacji, wytwarzania się takich miasteczek w wielkim mieście. Socjologja, nawet w najkonkretniejszej postaci, zawsze bada procesy, a nie zamknięte układy przestrzenne. Socjologowie amerykańscy, z właściwą sobie mechanistycznością ujęć i pragnieniem wykrywania prostych wzorców (patterns), mieszają niekiedy socjologję środowiska z geografją miasta.

Socjologja miasta nie zajmuje się też całokształtem postępowania (behavior) ludzkiego w środowisku miejskim, ale skupia swoją uwagę na tych sferach postępowania, w których najjaskrawiej uwidaczniają się przekształcenia więzi społecznej.

Dziedziny wiedzy społecznej coraz bardziej stają się pewnymi całokształtami metodologicznymi, nie zaś, jak się popularnie sądzi, wyłącznie zbiorem wiadomości z pewnego określonego zakresu. Fizyka i chemja pracują w jednej dziedzinie. Są tylko odrębnymi zespołami metod badania. To samo dotyczy większości nauk teoretycznych, prowadzących dociekania nad człowiekiem i jego postępowaniem. Socjologja jest metodą podejścia do człowieka od strony jego życia zbiorowego, czyli więzi społecznej. Jako nauka winna się ograniczać tylko do tego rzędu zjawisk, jakkolwiek zastosuje konkretną metodę prowadzenia badań.

Nie znaczy, by podejście socjologiczne nie mogło być cenne dla poznania innych procesów. Ostatecznie nic, cokolwiek z człowiekiem ma do czynienia, nie pozostaje bez wyraźnych pierwiastków społecznych: gospodarowanie, kultura, nawet fizyczna istność człowieka (rozmnażanie, pewne właściwości osobnika zależne od jego środowiska, czy od rodziców). Można procesy te badać jako funkcję więzi społecznej. Będziemy mieli socjologiczne podejście do zjawisk natury fizycznej, czy duchowej. Nie będzie to jednak właściwa socjologja, choć dla skrótu można posługiwać się pojęciami: socjologja kultury, socjologja pracy, socjologja ludności itp.

Socjologja miasta nie jest przeto ani socjologją pracy, ani socjologją ludności, ani socjologją kultury w mieście. Będzie socjologją społeczności, grup i wogóle pierwiastków więzi społecznej w środowisku miejskim. Więź społeczną będzie rozpatrywała natomiast w zależności od całokształtu przebiegów materialnych, ludnościowych i kulturalnych, które wpływają na wzajemne stosunki ludzkie. Stąd zainteresowanie wszelkimi niemal zjawiskami, zachodzącymi w mie-

ście. Tylko nie jako faktami „samemi w sobie“, ale jako czynnikami, kształcącymi pewne procesy społeczne. A więc socjolog musi być obeznany przede wszystkim z warunkami gospodarczymi życia w mieście: produkcji, wymiany, podziału dochodu i spożycia; ze środowiskiem przestrzennym miasta: strukturą, ośrodkami gospodarczymi i mieszkalnymi, ich wzajemnym powiązaniem, warunkami mieszkaniowymi; ze składem, ruchami i rozkładem ludności; z kulturą miejską. Wszystko to prowadzi dopiero do zrozumienia przekształceń więzi społecznej, zachodzących w środowisku miejskim. A o przekształcenia te przecież właściwie chodzi przy analizie rozpadu form tradycyjnych i narastania nowych, biegunowo nieraz odmiennych.

Już więc kształtuje się zarys socjologii miasta: najprzód opis inwentaryzacyjny czynników, które wpływają na więź społeczną, następnie właściwa analiza tej więzi.

Jeszcze jedna uwaga. Wyodrębnianie jakiegoś działu z nauki ogólnej, jak, w tym wypadku, socjologii miasta z socjologii wogóle, znajduje uzasadnienie nie tylko w korzyściach teoretycznych ściśle, a więc w ułatwieniu zbadania pewnych procesów. Takie działy specjalne są również forpocztami, wysuwanymi przez teorię w kierunku umiejętności praktycznych. Jak z jednej strony nonsensem jest jakaś ogólna socjologia stosowana — boć potrzeba działania płynie z bardzo różnych stron praktycznego życia społecznego i rzadko konkretyzuje się w gabinecie uczonego — tak samo niewłaściwym jest rozbudowywanie specjalnych aparatów teoretycznych przy poszczególnych umiejętnościach praktycznych (czy wedle coraz bardziej uciecającego się terminu — naukach praktycznych). Wąskość horyzontów, brak dostatecznego przygotowania teoretycznego, chaos pojęciowy, powtarzanie tych samych dociekań w różnych płaszczyznach — oto najjaskrawsze skutki takich przybudówek teoretycznych przy naukach praktycznych.

Zamiast tego zbytecznego wysiłku należy dążyć do rozbudowy teorii w kierunkach, w których praktycy szukają rozwiązań. Teoria winna dostarczać gotowego, właściwie przerobionego metodycznie materiału do tworzenia programów reformy społecznej.

Socjologia miasta może dać szczególnie wiele w tym zakresie, jako że zagadnienie życia społecznego w mieście wkracza w pole zainteresowań wielu pokrewnych umiejętności i nauk. Są to po pierwsze dziedziny wiedzy praktycznej, zainteresowane normowaniem i kształ-

towaniem zrębu materialnego, czy prawnego środowiska miejskiego, jak urbanistyka, polityka komunalna, nauka o samorządzie. Naukom tym najwięcej daje samo podejście socjologiczne do różnych zagadnień struktury przestrzennej, gospodarczej i prawnej miasta. Nadto właściwa socjologia miasta otwiera doniosłe perspektywy programom reform (np. nadanie treści społecznej zmechanizowanemu i zbiurokratyzowanemu aparatowi samorządowemu, rozbudowa miasta jako zbioru żywych społecznie jednostek sąsiedzkich).

Ważniejsza jeszcze jest socjologia miasta dla nauk, zajmujących się, częściowo przynajmniej, zagadnieniami patologii społecznej, oraz metodami przeciwdziałania procesom rozprzężenia. Do tej kategorii należy polityka społeczna i kryminologia. Tutaj analiza więzi społecznej jest wręcz niezbędna (aczkolwiek dotychczas traktowana po macoszemu). Dla udzielenia pomocy tym naukom w socjologii miasta winien rozwinąć się szczególnie szeroko dział dotyczący procesów rozpadu więzi społecznej, aż nadto zresztą uzasadniony rozprzegającym wpływem ustroju wielkoprzemysłowego w środowisku miasta społecznego.

3. *Środowisko wielkomiejskie procesów społecznych.*

W mieście współczesnym, jako bezpośrednim, czy pośrednim twórcze radykalnych przeobrażeń ekonomicznych, zrąb gospodarczy ma znaczenie rozstrzygające.

Może to nie być, jak już o tem była mowa, wyłącznie produkcja wielkoprzemysłowa. Ewolucja stosunków idzie raczej w kierunku rozbudowy aparatu wymiany i dyspozycji gospodarczej.³¹ Rozwijają się również większe skupienia, pozbawione bezpośredniego związku z gospodarowaniem: ośrodki polityczne, miasta emerytów i rentjerów itd. I w tych wszystkich wypadkach ważnym jest bardzo zrozumienie podstaw dochodów ludności, odbija się to bowiem na całym układzie stosunków społecznych.

Pierwszym przeto zadaniem badacza miasta jest zapoznanie się ze zrębem gospodarczym skupienia, oraz wydobycie wszystkich ważniejszych gałęzi pracy i sposobów zarobkowania.³² Sięgnąć musi i do historii: wyodrębnić dziedziny gospodarcze, będące pozostałością minionej epoki, wegetujące, lub przystosowujące się do nowych warunków, oraz dziedziny, wyrosłe z industrjalizmu społecznego. Będą tu

i takie, które już podupadają naskutek przeobrażeń techniki i organizacji finansowej, i takie, które znajdują się w pełni rozkwitu, i takie, które stawiają dopiero pierwsze kroki. Przy obecnym tempie udoskonaleń technicznych i stanie koncentracji dyspozycji gospodarczej zmiany mogą zachodzić niemal z roku na rok. Zwłaszcza Stany Zjednoczone w ciągu ostatnich lat 20—25 dostarczyły mnóstwa przykładów narastania milionowych ośrodków dokoła jednego, lub paru rozwijających się z zawrotną szybkością przemysłów (Detroit, Los Angeles).

Zdarzają się też częste nawroty — załamania linii rozwojowej. Długotrwałe przesilenie gospodarcze i bezrobocie zmuszają osoby, pozbawione zatrudnienia, do poszukiwania innych źródeł zarobkowania. Odradzają się często formy gospodarcze zacofane (np. chałupnictwo), powstają nowe, dotychczas często nieznanne, choć może o zrębie bardzo pierwotnym (np. handel uliczny).

Ze wszystkich tych zjawisk musi zdawać sobie sprawę socjolog miasta. W zaciętej walce o byt jednostka, odosobniona, pozbawiona zazwyczaj oparcia w jakiegokolwiek więzi społecznej, wpleciona bywa w ciągle zmienny a bezlitosny kierat przemian warunków materialnych.

Po zapoznaniu się z zasadniczym zrębem gospodarczym i wyodrębnieniu poszczególnych kategorii ludności w związku z różnicami warunków pracy i dochodu (niezależni: kupcy, przemysłowcy, rzemieślnicy, rentjerzy itp.; zależni: urzędnicy publiczni, pracownicy biurowi i techniczni, robotnicy, chałupnicy, dorywczy wyrobnicy itd.), — z kolei wypada poddać analizie technikę (rola maszyny!) i środowisko pracy: wpływ na zdrowie, psychikę, udział w grupach społecznych. Zwłaszcza doniosły jest moment nerwowości pracy w mieście, poszukiwanie podniet (alkohol, erotyka, rozrywka), niestałość postaw, trudność trwałszego spóżywania. Jednocześnie następuje urzeczowienie i odspołecznienie psychiki. Rodzą się nowe solidarności, ale pierwiastki społeczne bądź rozplywają się w abstrakcjach, bądź opierają się na zupełnie rzeczowej więzi gospodarczej.³³

Zagadnienia dochodu i spożycia stanowią odrębny dział, ściśle już związany z życiem wewnętrznym rodziny. Niedarmo Le Play chciał badać oblicze społeczne rodziny od strony jej budżetu (choć, przyznać trzeba, zabrał się do tego niezbyt umiejętnie).

Środowisko przestrzenne miasta, w którym człowiek społeczny pracuje, obraca się, a zwłaszcza mieszka, staje się czynnikiem natury geograficznej, odrębnym poniekąd od środowiska gospodarczego. Dotyczy to zwłaszcza ogromnej kategorii ludności zawodowo biernej, na którą technika pracy i walka o zdobycie środków utrzymania nie wpływają bezpośrednio. Jest to szczególnie ważne w stosunku do młodego pokolenia, które z łatwością ulega wpływom sąsiedztwa przestrzennego, w jego postaci płynnej i niekontrolowanej, słowem ulicy wielkomiejskiej.

Mechanizacja i komercjalizacja przenika z coraz większą siłą środowisko przestrzenne miasta. Nikną pozostałości form małomiasteczkowych, czy wioskowych. Uwydatnia się to zwłaszcza w krajach anglosaskich, gdzie budownictwo jednorodzinne ustępuje miejsca kamienicom i hotelom. Również na stałym lądzie Europy, mimo postępującej ostatnio decentralizacji ludności miejskiej, siła przyciągania zmechanizowanego śródmieścia wielkiego miasta, czyli city, rośnie raczej, niż słabnie. Jednym z objawów tej tendencji jest wzrost znaczenia wielkich magazynów towarowych kosztem sklepów miejscowych: sprzedaży masowej i mechanicznej w miejsce niepozbanionego pierwiastków więzi społecznej (plotka, targi, przekomarzenia) handlu z najbliższym sąsiedztwem.³⁴

Przeobrażenia te są wynikiem dojrzewania miasta, które objawia się w postaci coraz dalej posuwającego się urzeczowienia i komercjalizacji środowiska przestrzennego. Ale już w założeniach topografii miejskiej tkwią pierwiastki, uzależniające całą rozbudowę miasta kapitalistycznego (aż do czasu wkroczenia regulujących czynników publicznych) od interesów materialnych jednostek, czy ugrupowań interesów.

Skupienie ludności na niewielkiej stosunkowo przestrzeni podnosi wartość użytkową terenu. Występuje zjawisko, znane w ekonomii pod pojęciem renty gruntowej: korzystając z monopolu przestrzeni posiadacz terenów miejskich osiąga korzyści z odprzedaży czy dzierżawienia placów i nieruchomości. Płaci ten, kto musi mieszkać w mieście. Najwięcej ten, kto nie może pozwolić sobie na osiedlenie się daleko od miejsca pracy. Przedewszystkiem robotnik. Stąd rozbudowa wzwyż i stłoczenie nor mieszkalnych na jak najmniejszej przestrzeni: aby korzyść była jak największa, a jedno-

częście robotnik mógł ponieść wygórowane koszty komornego w ramach niedźnego budżetu.

Tak powstaje renta „koszarowa“. A ponieważ renta gruntowa miejska osiąga zawrotne wprost rozmiary, rozwija się potężny proceder spekulacyjny. „Silne ręce“ przetrzymują tereny okoliczne, nie pozwalając na zbytnią ekspansję dzielnic przeludnionych. Inni spekulanci rzucają na rynek odległe nawet tereny podmiejskie, znajdujące się pod użytkami rolnymi, aby rozszerzyć na nie rentę miejską.³⁵ W ten sposób rozbudowuje się miasto pod wpływem spekulacji terenami — tu skupia, tam rozlewa się na szerokiej przestrzeni. Topografia miasta nie jest wynikiem prostych warunków geograficznych. Rozbudowa, związana ściśle ze spekulacją terenową, może je wykorzystać (jeśli przynoszą doraźne zyski), albo dowolnie pominąć. Układ wewnętrzny miasta jest wynikiem zapotrzebowania na rozmaite typy użytków gospodarczych i mieszkalnych, zapotrzebowania, które załamuje się poprzez pryzmat najróżnorodniejszych poczynań spekulacyjnych.

Ostatnie dziesięciolecia przynoszą dopiero wydatne wkroczenie czynnika publicznego, porządkującego potrosze istniejący chaos, oraz starającego się wprowadzić pewną regulację na przyszłość. Oczyszczanie stajni Augjasza znajduje się jednak zaledwie w pierwszych stadiach. Ogromna większość ludności miejskiej wzrasta w dżungli żywiolowo narosłego środowiska przestrzennego miasta doby wielkoprzemysłowej. Warunki mieszkaniowe i najbliższego sąsiedztwa przyczyniają się do zaniku tradycyjnych wioskowych i małomiasteczkowych więzi społecznych, utrudniają natomiast narastanie nowych form organizacyjnych.

Wielkie miasto jest zbiorem mniejszych niejako miast-dzielnic, bądź też odmienne typy środowisk mieszkalnych. Segregacja ta bywa szczególnie silna w krajach anglosaskich, gdzie wcześniej wyodrębniają się: śródmiejska dzielnica handlowa (city, downtown), dzielnice przemysłowe przy portach i dworcach towarowych kolei, dzielnice mieszkalne zamożne, położone w okolicach najbardziej malowniczych i posiadających najlepsze powietrze, wreszcie dzielnice robotnicze slums, pokrywające przestrzeń wolną dokoła fabryk, lub obejmujące podupadłe gospodarczo skraje dzielnicy handlowej, niegdyś zamieszkałe przez ludność, która znajdowała się w lepszej sytuacji materialnej.

W ten sposób kształtują się obszary naturalne (natural areas) badane przez socjologów w miastach amerykańskich. Obszary naturalne stają się odrębnymi obszarami kulturalnymi; odmiennie kształtują się tu różne procesy więzi społecznej w zależności od żywiotu, który je zamieszkuje, względnie nawiedza.

Obszary takie, zwłaszcza w miastach szybko się rozwijających, stosunkowo często zmieniają swoje oblicze: przeobrazeniu ulega ich charakter gospodarczy (np. wkroczenie przemysłu do dzielnic mieszkalnych), ludność dotychczasowa odpływa, zastępuje ją inna. Odbywa się krążenie sąsiedztw, tak znamienne dla stosunków amerykańskich ostatnich dziesięcioleci. Występuje ono i w Europie w tempie powolniejszym i w mniej jaskrawej postaci. Procesowi decentralizacji miejskiej towarzyszy przemiana oblicza przestrzennego, ludnościowego, a tem samem i społecznego różnych dzielnic.

Zatrzymałem się dłużej nieco nad zagadnieniami gospodarczymi i struktury przestrzennej miasta, nie zawsze są one bowiem doceniane przez socjologów. Stosunki demograficzne wiążą się już ściślej z badaniami grup społecznych. Błędem dociekań w dziedzinie ludnościowej było może nadmierne posługiwanie się statystyką, a niedoceniańia strony socjologicznej zjawisk.

Przedewszystkiem ma znaczenie sam proces urbanizacji, jego tempo, oblicze biologiczne (płeć, wiek, rasa), gospodarcze i społeczne, przybyszów. Dalej przeobrażenia, jakim ulega ludność w mieście: różnicowy przyrost naturalny poszczególnych kategorii mieszkańców (rozrodczość i śmiertelność), przesunięcia w strukturze zawodowej i majątkowej. Niezmiernie ważnem dla socjologa jest zdanie sobie sprawy z procesów kształtowania się ludności o zrębie demograficznym już czysto miejskim, to znaczy, w mieście od dłuższego czasu osiadłej (zawód, zamożność, wielkość rodzin i t. p.).

Następnie wchodzi w grę rozmieszczenie ludności w mieście; wiąże się ono ściślej z omawianą sprawą obszarów kulturalnych. Wreszcie występuje zagadnienie płynności i ruchliwości mieszkańców miasta. Socjologowie amerykańscy szkoły chicagoskiej rozpatrują wiele zjawisk rozprzężenia społecznego jako wyłączny niemal wynik owej mobility, czyli ciągłej zmiany miejsca pobytu. Związana ściślej z dynamiką przeobrażeń gospodarczych, oraz z udoskonaleniami techniki komunikacyjnej (samochód), ruchliwość ludności staje się

bezsprzecznie niezmiernie ważnym czynnikiem kształtowania więzi społecznej w mieście wielko-przemysłowym.³⁶

Życie kulturalne, poza pierwotnymi bardzo postaciami, wytwarzało się zawsze w mieście. Zazaczyłem już jednak mimochodem różnicę kultury doby mieszczańskiej, poprzedzającej wielki kapitalizm, oraz współczesnej kultury urbanistycznej.

Przedewszystkiem demokratyzacja sprawia, że kulturą wielkomiejską żyją masy i to w sposób coraz intensywniejszy, kosztem tradycyjnych form spędzania czasu wolnego od pracy w trwalszych grupach społecznych. Kultura wielkomiejska wyrzywa jednostkę ze środowiska społecznego.

Wyrzywa zaś dlatego, że jest wysoce urzeczowiona. Polega na dostarczaniu mnóstwa wzruszeń intelektualnych (mało zresztą wysubtelnionych, stojących niemal na granicy podnieć fizycznych) przy pomocy różnych mechanizmów masowej produkcji (kino, radio, gazeta). Oddana przytem, w gospodarce kapitalistycznej, wolnej grze interesów materialnych, kultura staje się wysoce skomercjalizowana. Książka, gazeta, powieść, sztuka teatralna, czy film, muszą być kasowe, by wogóle znaleźć się na rynku. Kasowym jest zaś przedewszystkiem narkotyk, tkwiący we wszystkich produktach kultury społecznej, a tak sprzeczny z normalnem współżyciem społecznem. Potrzeba jego pojawia się jako wyraz dążenia do ucieczki od rzeczywistych styczności ludzkich dnia codziennego.

Ten społecznie rozprzegający wpływ kultury wielkomiejskiej niezawsze bywa ujmowany w całej rozciągłości. Badacze kultury miejskiej zastanawiają się głównie nad jej intelektualnymi właściwościami, pomijając refleks na więzi społecznej. O tę zaś stronę procesu chodzi właśnie socjologowi miasta.

4. *Więź społeczna w mieście.*

Po zinventaryzowaniu czynników zzewnątrz niejako kształtujących środowisko społeczne miasta przychodzi kolej na właściwą analizę więzi społecznej, przedewszystkiem przekształceń w niej zachodzących pod wpływem różnych konstelacyj owych czynników.

Na plan pierwszy wysuwają się zagadnienia rodziny. Socjolog zdać sobie musi sprawę z tych pierwiastków organizacyjnych, jakie wnoszą przybysze do wielkiego miasta ze środowisk o silniejszym zrębie tradycyjnym. Bada następnie, jak procesy gospodarcze, lud-

nościowe, otoczenie przestrzenne, kultura, oraz rozrywka wpływają na więź rodzinną;³⁷ wiadomo zgóry, że raczej na jej zachwianie, niż umocnienie. Ciekawe przecież będzie wniknięcie w istotę form przytłoczonych, owo uporczywe utrzymywanie się żywotności wspólnoty rodzinnej, mimo wielu niepomyślnych warunków. Przedmiotem rozważań będą przejawy procesów rozprężenia w stosunkach między małżonkami, między rodzicami i dziećmi, między rodzeństwem, w stosunku do krewnych i dalszej rodziny: zagadnienia istotnego oblicza społecznego rozvodu, porzucenia rodziny przez jednego z małżonków, ucieczki i emancypacji dzieci. Wszystko to przebiegi, jeśli nie specjalnie wielkomięskie, to w każdym razie nabierające w wielkim mieście swoistej ostrości i masowego charakteru.

Siła rodziny, jak i wszelkiej więzi społecznej, polega na uznaniu i poparciu zwartej grupy terytorjalnej, spójnego a słabo zróżnicowanego sąsiedztwa wioskowego z żywotnymi instytucjami i organami kontroli. Już zanikanie jednolitości tej grupy, przeobrażanie się jej w luźniejszą społeczność miejscową, świadczy zazwyczaj o osłabieniu kontroli gromadnej. Zanik znaczenia społeczności o zrębie terytorjalnym i rozmnożenie się grup o innym układzie, w których jednostka występuje epizodycznie i przelotnie, prowadzi do dalszego związania więzi społecznej.³⁸ Występuje to właśnie w mieście.

Praca wyrывa ze środowiska miejsca zamieszkania głowę rodziny, a często jeszcze paru jej członków. Na tle pracy w fabryce, czy w biurze rodzą się nowe solidarności gospodarcze i koleżeństwa. Różne społeczności zawodowe wysuwają się na czoło więzi społecznej miasta z całą właściwą tego rodzaju organizacjom dorywczością (częstość zmiany miejsca i rodzaju pracy) i jednostronnością, płynącą zarówno z dominowania momentów solidarności gospodarczej, jak i ze styczności krótkotrwałych i raczej dorywczych.

Obok grup zawodowych różnice zamożności stwarzają mnóstwo odrębnych społeczności majątkowych, wyrosłych na tle różnic dochodu i stanowiska społecznego. Często, zwłaszcza wśród najbogatszych, pojawia się dążenie do zamieszkiwania w odrębnych dzielnicach miejskich o charakterze wyłącznym. Snobizm sprawia, że w drodze doboru majątkowego wytwarza się zwarte kulturalnie sąsiedztwo. Tak rzecz się ma (a przynajmniej miała do niedawna) w krajach anglosaskich. Na kontynencie europejskim wyodrębnienie przestrzenne silnych nawet grup i koteryj majątkowych jest zjawiskiem

rzadkiem. Kamienica czynszowa, dająca schronienie lokatorom, rekrutującym się ze wszystkich niemal szczebli drabiny społecznej nie nawiązuje — wbrew bliskości przestrzennej — żadnej więzi między członkami odrębnych społeczności majątkowych.

Powstają wreszcie na bruku miejskim czwartego typu grupy i społeczności, mianowicie kulturalne i rozrywkowe. Rzetelne zainteresowania estetyczne i umysłowe, czy tylko płytki snobizm mogą tkwić u podstaw takich grup. Kultura intelektualna odgrywa zresztą coraz mniejsze znaczenie. Rozrywka, jako moment wiążący, wysuwa się na czoło. Z jednej strony czynnikiem organizacyjnym będzie hulanka i zabawa: „knajska“, szynk, sala tańców — stają się ośrodkami luźnych społeczności rozrywkowych. Z drugiej strony sport z bogatą gamą wzruszeń i symbolów (odznaki, rekordy), z właściwymi mu korzyściami, często wręcz materialnymi, stanowi ważny pierwiastek organizacyjny w życiu wielkich rzesz miejskich, przede wszystkim młodzieży.

Proces zastępowania zwartej społeczności terytorjalnej przez słabo zorganizowane grupy o zrębie zawodowym, majątkowym, czy kulturalnym, dokonywa się obecnie również i w mniejszych skupieniach wiejskich i miejskich. W wielkim jednak mieście zjawisko to występuje ze szczególną mocą wobec zupełnego niemal zaniku trwalszych styczności przestrzennych, rozpadu sąsiedztwa i jego instytucji.

Przelotność, bezmiejscowość i postępujące urzeczowienie znamionuje stosunki społeczne wielkiego miasta. W tych warunkach nie mogą wykształcić się bardziej spójne grupy społeczne. Żywiłowo, albo pod wpływem celowego działania instytucji, narastają mgławicowe pod względem treści społecznej (acz z pozoru może nawet zwarte) utwory doraźnego współżycia wielkich rzesz ludności miejskiej. Utrzymuje się wprawdzie wiele form tradycyjnych: wychowaniu celowemu udaje się czasem umacniać wątłe ich wpływy na młode pokolenie. Również silne bywają potrzeby bliższego współżycia, zwłaszcza u natur bardziej uczuciowych, tak silne, że przeciwdziałają częściowo rozprzegającemu wpływowi miasta na więź społeczną. Za to wszystkie zgóry narzucane formy współżycia (instytucjonalizacja) bywają pozbawione trwalszych pierwiastków więzi społecznej.

Wielkomięskie środowisko społeczne stanowi przede wszystkim arenę zmagania się jednostki z tradycyjnym zrębem życia zbiorowego, nie dostosowanym do nowych warunków bytu, oraz do rosnącej indy-

widualizacji duchowej człowieka. W walce tej kultura rzeczowa zdobywa coraz większe władztwo nad mieszkańcem miasta. Usuwa nie tylko przeżytki, ale wręcz niszczy podstawy życia zbiorowego. Jednostka popada wkrótce (nieświadomie zazwyczaj) w konflikt z takim układem stosunków. Cliwyta się najrozmaitszych sposobów przeciw jałowieniu społecznemu środowiska i rosnącej dookoła pustce. Badanie zamętu postaw, pojęć i pragnień, zrodzonych z tej walki, stanowi właściwe clou analizy przeobrażeń więzi społecznej w wielkiem mieście. Prowadzi również do rozważań nad wykształcaniem się odmiennych od wszelkich poprzednich zrębów osobowości społecznego człowieka.

Z rozpadem więzi społecznej wiąże się niezmiernie doniosły dział patologji społecznej, przede wszystkim w jej najbardziej rażącej postaci, a mianowicie przestępczości. Socjologowie-kryminologowie amerykańscy gotowi są pewnym znamionom środowiska miejskiego przypisać charakter przyczyn zbrodniczości. W istocie rzeczy objawy te wzmagają tylko nasilenie przestępczości, która wynika z rozprzężenia społecznego, właściwego społecznemu ustrojowi wielkoprzemysłowemu. Zagęszczenie pierwiastków rozkładowych w mieście, a zwłaszcza w jego niektórych dzielnicach, sprawia, że zbrodnia, zwłaszcza zbrodnia zorganizowana i obliczona na zysk, jest zjawiskiem coraz bardziej wielkomiejskiem. Lasy i pustkowia są schroniskiem bandytów tylko w krajach gospodarczo zacofanych; w krajach bogatszych przestępstwo gnieździ się nadewszystko w dżunglach wielkomiejskich. Tu też wykształcają się postawy, właściwe środowisku zbrodni i wychowuje się młode pokolenie przestępców.³⁹ Socjologia kryminalna zbiega się w wielu punktach z soejologją miasta.

Brak miejsca nie pozwala na wyodrębnienie wszystkich zagadnień, związanych z kształtowaniem się więzi społecznej w wielkiem mieście. Podkreśliłem tylko momenty zasadnicze, z pośród licznych już zastępu zagadnień, wysuniętych przez dotychczasowe badania socjologiczne. Istnieją jednak całe dziedziny psychologii życia miejskiego, które do chwili obecnej leżą odłogiem, albo ujmowane są po macoszemu.

Socjologia miasta musi wejrzeć we wszystkie zakątki wiedzy o mieście społecznem, wydobywając to, co może mieć ogólniejsze znaczenie dla poznania przeobrażeń więzi społecznej w ramach ustroju wielkoprzemysłowego.

PRZYPISY

¹ Ważniejsza bibliografia przedmiotu zamieszczona w końcu artykułu W. Sombarta: *Städtische Siedlung* (Handwörterbuch der Soziologie, 1931. 521—533), oraz u L. Wirth'a: *A Bibliography of the Urban Community* w książce zbiorowej: *The City*, 1925, pod red. R. E. Park'a.

² Fryderyk Engels: *Die Lage der arbeitenden Klasse in England*, 1845.

³ Charles Booth: *Life and Labour of the People of London*, 1892 do 1897.

⁴ Zwłaszcza bogata literatura, dotycząca East End Londynu, goniąca często za sensacją (Gissing, Zangwill).

⁵ Szczególnie ciekawe badania Seebohm Rowntree nad miastem York: *Poverty, a Study in Town Life*, 1901; tegoż autora dociekania nad położeniem bezrobotnych (*Unemployment: A Social Study*, 1911).

⁶ Jacob Riis: *How the Other Half Lives*, 1890.

⁷ *Wage-Earning Pittsburgh*. New York 1914.

⁸ Eaton Allen: *A Bibliography of Social Surveys*, 1930; 1—9.

⁹ Robert Woods: *The City Wilderness*, 1898; *Americans in Process*, 1902; *The Zone of Emergence* (rękopis nieogłoszony drukiem).

¹⁰ Por. także dla Chicago wspomnienia najwybitniejszej amerykańskiej działaczki settlementowej: Jane Addams: *Twenty Years at Hull House (Chicago)*, 1911, oraz *The Second Twenty Years at Hull House (1909—1929)*.

¹¹ Paul Du Maroussem: *La question ouvrière*, 4 vol., 1892. Por. także podręcznik tegoż autora: *Les enquêtes*, 1900.

¹² Wyraźny wpływ na socjogeografów kierunku Patrick'a Geddes'a w Anglii (*Cities in Evolution*, 1915). Silne oddziaływanie na geografów niemieckich.

¹³ René Maunier: *L'origine et la fonction économique des villes*, 1910.

¹⁴ Maurice Halbwachs: *La population et les tracées de voies a Paris depuis un siècle*. 1928.

¹⁵ Maurice Halbwachs: *La classe ouvrière et les niveaux de vie*, 1913

¹⁶ A więc w Anglii w utworach Dickensa i Mrs Gaskell, we Francji u Balzaca, następnie w twórczości E. Zoli.

¹⁷ Z okresu tego pochodzą najdonioślejsze zbiory dokumentów społecznych, jak *Die Grossstadt* w wydaniu Th. Petermanna, 1903, oraz *Grossstadt Dokumente*, wyd. O. Haus, 1905.

¹⁸ Nie znaczy, by niemiecka filozofja kultury nie powracała do splotu zagadnień, związanych z kulturą miejską. Czyni to np. O. Spengler: *Der Untergang des Abendlandes*, 1923 (Bd. II, kap. 2).

¹⁹ Do najciekawszych książek tego okresu należą M. Leinert'a *Die Sozialgeschichte der Grossstadt*, 1925, oraz L. Heitman'a *Grossstadt und Religion*, 2 Bde, 1925—1927.

²⁰ Bibliografia do 1925 we wspomnianym odnośniku ¹⁾ artykule L. Wirth'a; ważniejsze podręczniki wymienione w *Encyklopaedia of the Social Sciences*, artykuł: *The City*. W innym kierunku od zasadniczego odłamu

socjologii miejskiej, reprezentowanego przez szkołę chicagoską, idą dociekania nad procesem urbanizacji u P. Sorokina i C. Zimmermanna: *Principles of Rural-Urban Sociology*. New York, 1929.

²¹ M. Halbwachs: *Chicago — expérience ethnique*. Annales d'histoire économique et sociale. IV. Janvier 1932.

²² Prus (*Lalka*), Żeromski (*Ludzie bezdomni*), Reymont (*Ziemia obiecana*).

²³ Zwłaszcza na łamach miesięcznika „Zdrowie“.

²⁴ Stefan Gorski: *Łódź współczesna*, 1904.

²⁵ S. Dziewulski i H. Radziszewski: Warszawa, 1914.

²⁶ *Wielki Kraków*. Studja do sprawy przyłączenia gmin sąsiednich do miasta Krakowa. Kraków 1905.

²⁷ Zwłaszcza J. St. Bystron: *Rozwój demograficzny dzielnic Krakowa*. Ekonomista 1915, I i II.

²⁸ Zwłaszcza praca T. Siwonia: *Rodzina wiejska i małomiasteczkowa, jako środowisko wychowawcze* (Obserwacje nad kilku rodzinami ze Śląska) w wydawnictwie *Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze* (pod red. Z. Mysłakowskiego), 1931; 199—341.

²⁹ F. Znanięcki: *Miasto w świadomości jego obywateli*. Poznań, 1931.

³⁰ Jerzy Piotrowski: *Kupiectwo poznańskie a zadania rozwojowe miasta*. Przegląd Socjologiczny. Tom II, 1934; 96—125.

³¹ R. D. McKenzie: *The Metropolitan Community*, 1933; 53—63.

³² Najdonioślejsze badania nad strukturą gospodarczą wielkiego miasta dokonał Ch. Booth w Londynie (por. odnośnik 3); także L. Pasquet: *Londres et les ouvriers de Londres*, 1914). Nowsze materjały w *New Survey of London*, vol. II, V i VIII. Dla New Yorku porówn.: *The Regional Plan of New York and Its Environs*, vol. I.

³³ Porówn. niezmiernie doniosłe rozważania M. Halbwachsa (j. w. odnośnik 15) nad odosobniającym społecznie wpływem pracy w mieście.

³⁴ S. Rychliński: *Rozpad sąsiedztwa w mieście amerykańskim*. Przegląd Socjologiczny, T. III, 1935, zesz. 1—2.

³⁵ S. Rychliński: *Spekulacja terenowa w miastach amerykańskich*. Samorząd Terytorjalny. I/1934. Por. także: H. Hoyt: *One Hundred Years of Land Values in Chicago*, 1934. Socjologowie amerykańscy skłonni są błędnie ujmować ceny ziemi jako oderwane od całości procesów czynniki kształtowania się topografii społecznej miasta, nie jako objawy szerszych procesów. Porówn. np. rozważania R. Park'a w książce W. Gee: *Research in the Social Sciences*, 1929, 36.

³⁶ R. Heberle: *Ueber die Mobilität der Bevölkerung in den Vereinigten Staaten*. 1929.

³⁷ Ernest Mowrer: *The Family. Its Organization and Disorganization*. 1932.

³⁸ F. Znanięcki: *Socjologja wychowania*, 1928, I, 92 i nast.

³⁹ C. R. Shaw: *Delinquency Areas*. C. R. Shaw i H. D. McKay: *Social Factors in Juvenile Delinquency*. Report on the Causes of Crime, vol. II, 1931.

NINA ASSORODOBRAJ — WARSZAWA.

ZAGADNIENIE SIŁY ROBOCZEJ W ZARANIU INDUSTRJALIZMU *

I.

„Największa trudność, z którą“ — w połowie wieku XVIII — „borykać się musieli pionierzy przemysłu manufakturowego w Anglii, polegała nie tyle na potrzebie wynalezienia samoczynnych i wydajnych mechanizmów, ile na rozdzieleniu poszczególnych członków aparatu wytwórczego tak, by stanowili jedno ciało spółdzielcze; na nadaniu każdemu organowi odpowiadającej mu precyzyjności i szybkości; a ponad wszystko na przyuczeniu istot ludzkich do wyrzeczenia się ich nawyknienia pracowania dorywczo i do zespolenia się z niezmienną regularnością skomplikowanego automatu“.¹

W ustępie tym Ure, ów apologeta i piewca uroków kapitalizmu,² ujął istotę organizacji i charakteru pracy w manufakturze oraz wysunął na plan pierwszy główną trudność, z której musiał znaleźć wyjście przemysł wczesno-kapitalistyczny: nieprzystosowanie rzemieślnika i robotnika systemu produkcji przedkapitalistycznej do pracy typu manufakturowego.

Manufaktura zastała określony typ rzemieślnika czy robotnika, będący wytworem warunków społecznych zgoła odmiennych od tych, które stwarzał rodzący się industrjalizm. Między sposobem życia i pracy robotnika, odziedziczonym po minionych wiekach, a tem, czego wymagał od niego manufakturzysta, wyraził i rzecznik nowego systemu produkcji i nowego typu pracy, zachodziła sprzeczność zasadnicza i jaskrawa. Sprzeczność nie do uniknięcia, sprzecz-

* Artykuł niniejszy jest częścią wstępną będącej na ukończeniu większej pracy p. t. *Warunki wytwarzania się proletariatu przemysłowego w zaraniu industrjalizmu.*

ność, która musiała być usunięta, by manufaktura mogła istnieć, rozwijać się, działać i przekształcić w nowoczesną fabrykę.

Na czymżeż polegała owa sprzeczność i niemożność, a najczęściej niechęć do przystosowania się i wciągnięcia w system produkcji manufakturowej ówczesnych ludzi pracy? Wystarczy uprzytomnić sobie w zasadniczych rysach charakter pracy rzemieślnika, czeladnika, czy też wyrobnika, w zestawieniu z charakterem pracy manufakturowej, by zdać sobie sprawę z całej odmienności systemu pracy i sytuacji społecznej, którą stwarzało kapitalistyczne przedsiębiorstwo przemysłowe dla robotnika.

Rzemieślnik samodzielny był w zasadzie panem swego warsztatu, swej pracy i wytworu tej pracy. Produkt, który wytwarzał, był w całości tworem rąk jego i, mimo rutynę i silny tradycjonalizm, cechujący rzemiosło, dawał ujście indywidualnej twórczości i możliwości niemal artystycznych osiągnięć. Kwalifikacje rzemieślnika polegały na zdobyciu wszechstronnej sprawności poprzez terminowanie, pracę czeladniczą oraz sztukę majstrowską w danej, ograniczonej ściśle, gałęzi produkcji.³ Rzemieślnik był panem swego czasu. Pracował na zamówienie dla klienta, którego najczęściej znał i z którym pozostawał w stosunkach sąsiedzkich, na termin ustalony umownie. Kontakt z konsumentem stwarzał poczucie odpowiedzialności za produkt, wytworzony od początku do końca przez rzemieślnika. Warsztat rzemieślniczy pozostaje w ściślejszej łączności z gospodarstwem rodzinnym. Pod względem przestrzennym najczęściej nie jest on oddzielony od izby mieszkalnej. Rzemieślnik jest jednocześnie ojcem rodziny, przedsiębiorcą, pracownikiem technicznym, właścicielem warsztatu i małego kapitału, nauczycielem rzemiosła. Życie rodzinne i życie warsztatu wzajemnie zachodzą na siebie. Prowadzenie warsztatu nie wymaga wielkiej przedsiębiorczości ani ryzyka. Ryzyko usuwają ustawy cechowe, stwarzające możliwie jednakowe szanse i możliwości pracy i poziomu życia dla wszystkich członków cechu.⁴ W ramach ustaw cechowych rzemieślnik, osiadły czy też wędrowny, jest sobie panem, jest samodzielny, jest twórcą lepszym czy gorszym całości przedmiotów, które należą do jego specjalności.

Nie wszyscy rzemieślnicy znajdowali się w wyżej scharakteryzowanej sytuacji społeczno-gospodarczej. Należy rozróżnić rzemieślników-majstrów od rzemieślników-czeladników. Wzajemny stosunek tych dwu grup układał się różnie w ciągu wieków. W Europie Za-

chodniej w okresie nowożytnym ogromnie pogłębiły się różnice pomiędzy majstrami a czeladnikami, zarówno różnice gospodarcze, jak społeczne, w związku z tendencją cechów do utrudniania wyzwolenia na mistrza i szeregiem nadużyć, które przekształcały powoli cech w organizację zamkniętą dla ludzi nowych, nie będących członkami rodzin majstrów.⁵ Coraz częstszy był typ „wiecznego czeladnika“ spauperyzowanego, bez możliwości awansu społecznego. Cechowe prawo pracy nie opierało się na zasadzie wolności, jeśli chodzi o czeladników. Ograniczenia jej wyrażały się zarówno w przepisach, dotyczących wykształcenia zawodowego, jak i przymusowego pośrednictwa organów cechowych przy zawieraniu umów o pracę. Władzom cechowym przysługiwała możność w pewnych wypadkach rozwiązywania bez współdziałania ze strony czeladnika jego dotychczasowego stosunku pracy oraz przeniesienia go do warsztatu innego majstra. Często czas trwania umowy o pracę był zgóry przewidziany w statutach. Czeladnicy nie mogli zawierać nowych umów, jeśli rozwiązanie ostatniej umowy nastąpiło przed terminem z ich winy czy też na ich żądanie.⁶

Mimo jednak niższości społecznej i zależności gospodarczej, czeladnik pracował w warunkach podobnych, jeśli nie tych samych, co majster. Pracował z majstrem w jednym warsztacie, wykonywał produkt od początku do końca, znał konsumenta, dla którego pracował. Ponieważ najczęściej mieszkał i jadał u majstra, stawał się domownikiem, niejako członkiem jego rodziny; w praktyce, w patriarchalnej atmosferze domu majstra pogłębiające się różnice społeczne ulegały zatarciu.⁷ Czeladnik, pracujący u majstra przez czas dłuższy, zespalał się z warsztatem i solidaryzował z nim. Mimo różnic w charakterze członkostwa, należał do tego samego cechu co i majster. Miał związek czeladniczy i gospodę czeladniczą. Rzecz oczywista, że podlegał dyscyplinie wewnętrznej warsztatu i rozkazom majstra. Z tem wszystkim czeladnik miał jednak pewną wolność poruszeń, miał możliwości zaspokojenia potrzeb bujności charakteru i fantazji, właściwej pewnym kategorjom ludności w ówczesnych społeczeństwach, głównie właśnie czeladzi rzemieślniczej i wyrobnikom wszelkiego rodzaju.

Wyrobnik był naprawdę panem swego czasu i pracy. Pracował ciężko, ale wtedy, gdy chciał, lub gdy zachodziła potrzeba zarobku. Pracował dorywczo. Z chwilą, gdy kończył pracę, do której się zgodził, stawał się człowiekiem niezwiązanym. Odnosi się to do tych

różnych kategorii ludności wyrobniczej, ludności zwanej w Polsce luźną, które przechodziły od jednej pracy do drugiej, nieprzyzwyczajone i wrogie wszelkiej dyscyplinie, wszelkiemu związaniu i nużące jednostajności.

Manufaktura stwarzała zupełnie odmienny pod względem charakteru i organizacji typ pracy. Odmienność nie polegała na zmianie techniki produkcji, któraby nastęrczała trudności w jej opanowaniu. Punktem wyjścia przewrotu w rękodzielniczym sposobie produkcji jest siła robocza, a nie środek produkcji. Manufaktura opiera się pod względem technicznym na rzemiośle,⁸ mimo, że narzędzia ulegają udoskonaleniu i siły mechaniczne — np. napęd wodny — są w szerokiej mierze wykorzystywane w produkcji.⁹ Robotnicy manufakturowi pracują ręcznie i sposobami rzemieślniczymi. Praca w manufakturze przybiera jednak zupełnie inną postać, inną organizację i odbywa się w atmosferze zgoła odmiennej od pracy w samoistnym warsztacie rzemieślniczym. Robotnik w manufakturze jest robotnikiem cząstkowym, t. zn., że nie wykonywa, tak jak rzemieślnik, całego procesu produkcji od początku do końca, według indywidualnych zdolności i indywidualnego tempa pracy, lecz stale jedną część tego procesu. Proces produkcji zostaje podzielony na szereg czynności cząstkowych, przez które wytwór przechodzi; robotnicy przydzieleni do cząstkowej pracy rzemieślniczej specjalizują się w niej.¹⁰

Ten podział pracy charakterystyczny dla manufaktury, dokładnie w swych przejawach i skutkach zanalizowany przez Marksa, zmienia zasadniczo pracę robotnika manufakturowego i określa kwalifikacje zarówno techniczne, jak i psychiczne, których wymaga od niego przedsiębiorca. Rzemieślnicza wszechstronna doskonałość techniczna staje się niepotrzebna, opanowanie w szczegółach całego procesu produkcji nieużyteczne dla manufaktury. Kwalifikacje techniczne robotnika manufakturowego polegają na nabyciu sprawności, szybkości, precyzji, równości pracy w tej czynności cząstkowej, do której zostaje przydzielony i przy której jest przeważnie zatrudniony stale. Podział pracy i wynikające z niego uproszczenie wykwalifikowania robotnika w stosunku do kwalifikacyj rzemieślnika cechowego umożliwia kapitaliście użycie do pracy w manufakturze kobiet, dzieci i wszelkiego rodzaju wyrobników, którzy z pracą przemysłową nie mieli nic wspólnego.¹¹ Stwarza on także hierarchję robotników, zależnie od wagi i skomplikowania czynności wykonywanych. Prace

cząstkowe, sprowadzone przy dalej posuniętym podziale pracy do czynności mechanicznych, pozwalają z jednej strony na szybkie nabywanie sprawności technicznej, z drugiej stwarzają miejsce dla robotników niewykwalifikowanych, niemożliwych nawet do pomyślenia w rzemieślniczym trybie produkcji.¹² Doskonałość i mistrzostwo rzemieślnicze w wykonaniu produktu przechodzi w manufakturze na „robotnika zbiorowego“, jak mówi Marks, złożonego z tych wszystkich robotników cząstkowych, jednostronnych, wyspecjalizowanych, zmechanizowanych, stanowiących jedno ciało współdzielcze. Podział pracy narzuca proporcję pomiędzy różnymi grupami robotników (np. odpowiednia liczba gremplarzy i przątek na jeden warsztat tkacki), wykonanie pracy jednej grupy robotników uzależnia od siebie pracę innej grupy. Minimalna liczba robotników w manufakturze jest określona samym procesem produkcji typu rękodzielniczego. Robotnicy poszczególni tworzą zbiorowy mechanizm wytwórczy, nad którego sprawnym działaniem czuwa kierujący całością umysł kapitalisty, czy też jego wykonawcy — dyrektora. Robotnik poszczególny zostaje oddzielony od wytworu pracy i pozbawiony, rzecby można, myślowego wysiłku, woli i wzruszeniowego stosunku, które towarzyszą pracy samodzielnego pracownika.¹³ Robotnik w manufakturze jest podporządkowany całkowicie władzy, woli, kierownictwu kapitalisty, w którego interesie leży prawidłowe funkcjonowanie mechanizmu zbiorowego, jaki stanowi manufaktura. Robotnik musi zachowywać się tak, jak tego wymaga interes całości, i poddać się nieubłaganym konsekwencjom manufakturowej organizacji pracy.

Jakież są te konsekwencje?

Jako część organicznej całości, w której wszystkie części są współzależne i zazębiają się o siebie, robotnik musi pracować „z regularnością cząstki maszyny“.¹⁴ Musi więc pracować równo pod względem tempa i jakości pracy, przyczem zarówno tempo, jak i jakość są uzależnione całkowicie od woli kierowniczej i od rytmu całości. Praca robotnika mechanizuje się, „odczłowiecza“ niejako, poddana rytmowi całości i przezeń regulowana. Chodzi o to, by robotnik odrabiał swoją część pracy z szybkością, wymaganą przez całość kształt produkcji, z precyzją i z wykluczeniem indywidualnych odchyleń w pracy. By produkcja w manufakturze mogła odbywać się bez zahaczeń, załoga robotnicza, a więc także poszczególni robotnicy muszą pracować bez przerw samowolnych, bez tracenia czasu. Praca

w rękodzielni jest ciągła, monotonna, powtarzająca się z dnia na dzień, jednostajna, zmechanizowana, ujęta w karby żelaznej dyscypliny. Dyscypliną musiał przedsiębiorca utrzymać w harmonii poszczególne człony mechanizmu zbiorowego, oraz wychować robotnika do karnej, równej, pozbawionej indywidualizmu i fantazji pracy, w poczuciu organicznego związku z całością. Urobiona, zgrana, pracująca dobrze załoga robotnicza w manufakturach była ceniona i chroniona przed jakimikolwiek możliwościami rozejścia się. Manufakturzysta niekiedy szedł na ustępstwa, przepłacał, nie zaniedbywał żadnych sposobów utrzymania załogi robotniczej w niezmiennym składzie.¹⁵

Dyscyplina przedsiębiorstw manufakturowych wpływa zarówno z ich właściwości organizacyjnych, jak i z jaskrawej dysharmonii pomiędzy cechami i przyzwyczajeniami robotników i rzemieślników, których udało się kapitaliście zwerbować, a temi kwalifikacjami technicznymi i psychicznymi, które były nieodzowne dla funkcjonowania rękodzielni.

Historja okresu manufakturowego we wszystkich krajach dostarcza bogatego materiału faktycznego do atmosfery pracy i żelaznej dyscypliny w manufakturach. Regulaminy manufakturowe obejmowały zarówno życie zawodowe jak i prywatne robotnika, należałoby raczej powiedzieć, że likwidowały to ostatnie. Robotnicy najczęściej byli koszarowani i żywni przy manufakturach oraz przywiązani do niej surowymi zakazami opuszczania przedsiębiorcy.¹⁶ Godziny pracy były ściśle określone i wynosiły 14—16 na dobę, niekiedy więcej. Pod żadnym pretekstem nie wolno było wchodzić do innego warsztatu, a nawet spacerować po własnym. Za nieprzyjście do pracy płaciło się kary, za samowolne opuszczenie warsztatu groziły kary cielesne i więzienie.¹⁷ Robotnicy manufaktury w Saint-Gobain np. nie mieli prawa oddalać się od miejsca pracy więcej niż o milę — t. j. o cztery kilometry — pod bardzo surowymi karami.¹⁸ Szczególnie ostre regulaminy obowiązywały w manufakturach francuskich z okresu Colbert'a. Były one odczytywane w kościele oraz w warsztatach fabrycznych.

We wszystkich manufakturach robotnicy pracowali pod okiem przedsiębiorcy i odpowiednich urzędników, gdyż dzięki nadzorowi produkt wypadł lepiej. Robotnicy pracowali w obszernych budynkach o wyglądzie koszar, klasztorów lub fortec, otoczonych często

fosą, jak np. w Bordeaux lub w Tourbeville. Bramy były zamykane wieczorem o 8 lub 10 godz. i otwierane wczesnym rankiem. Podczas pracy, która rozpoczynała się znakiem krzyża, robotnikowi nie wolno było odrywać się od zajęcia. Narzędzia i materiał miał pod ręką. Cisza była zasadą bezwzględnie obowiązującą; dozwolone były tylko pieśni religijne, które zresztą grały rolę regulatora tempa pracy. Nie wolno było przechodzić z warsztatu do warsztatu, rozmawiać, opowiadać, palić. Za przekroczenia płaciło się kary.

Dyscyplina moralna była także przedmiotem bardzo surowych i szczegółowych przepisów. Nie wolno było zdradzać sekretów fabryki. Podczas pracy zabronione były żarty, przekleństwa, śpiewanie piosenek. Pijaństwo i przesiadywanie w szynkach, z którymi tak mocno związany był czeladnik i robotnik ówczesny, karane było ostro. Nawet podczas świąt robotnik nie był swobodny i nie mógł spędzać czasu wedle swych upodobań. O 9-tej wieczór robotnik musiał być w domu. Gdzieindziej robotnikom nie wolno było wychodzić wieczorem na ulicę. W święta i niedziele obecność w kościele była obowiązkowa.¹⁹ Czas pracy w manufakturze był często określony zgóry na 5 do 6 lat, np. w manufakturze Gobelins, w Bordeaux, w Beauvais. Robotnicy, którzy opuszczali swoje warsztaty, traktowani byli tak samo, jak dezertrzy wojskowi.²⁰

Zupełnie analogicznie przedstawiała się dyscyplina w manufakturach w Brandenburgji, które znamy z gruntownego studjum Hinzego. Rozciągała się ona zarówno na życie w warsztacie, jak i poza warsztatem.²¹

Surowa dyscyplina panowała także w manufakturach polskich, choć nie wszędzie były regulaminy pisane, a z pisanych niewiele się zachowało. Regulamin dla przątek manufaktury sukieniczej w Węgrowie z r. 1776 jest ogromnie interesującym dokumentem epoki i nie odbiega w niczem od takichże regulaminów zachodnio-europejskich. Określony w nim jest dokładnie czas pracy i czas odpoczynku, posiłku, rodzaj dozwolonych pieśni i rozmów.²²

Oto punkty najważniejsze wspomnianego regulaminu:

1-mo. Wszystko co czynicie ku chwale Bożej czynicie. Więc ocknąwszy ze snu i wstawszy, powinność każdy po umywaniu i chędożeniu codziennym Bogu Najwyższemu za opatrność i obronę udzielaną dziękować i o progres szczęśliwy i błogostawieństwo dzieł rąk swoich naprzód prosić i używać.

- 2-do. O godzinie piątej precyze początek roboty, trafi się aby jedna lub druga prędzej wstała, później zaś żadnym sposobem.
- 3-to. Polskie obowiązane niemieckim, a niemieckie polskim żadne uczynić zazdrości lub przykrości, lecz przy robocie alternative od godziny jednej do drugiej, mianowicie polskie od 5 do 6, niemieckie od 6 do 7 śpiewaniem lub chwałą boską powinny się animować. Od 7 do 8 godziny wyznaczamy przy robocie dyskurs do rozmowienia potrzebnego, a osobliwie o rzeczach gospodarskich przystojnych.
- 4-to. Od 8 do 9 czas śniadania.
- 5-to. Od 9 do 12 także robotą i śpiewaniem kontynuować trzeba, jako w godzinach przed śniadaniem.
- 6-to. Od 12 do 1 czas obiadu.
- 7-mo. Przędka każda powinna równej i cienkiej nici wystawić lub prząść...
- ...10-mo. Od 1 do 6 z robotą pilną pod alternativem śpiewaniem powinno kontynuować i cienko prząść.
- 11-mo. Od 6 do 7 czas wieczery.
- 12-mo. Od 7-ej zaś do 10-ej trzeba robotę dobrą kontynuować przy alternativem śpiewaniem, lub dyskursu przystojnego. Przyczem warujemy surowie, aby ostrożnie z światłem i ogniem były i wszelkiego dyskursu nieprzystojnego się wstrzymywali i chroniły, która w tem przeciwna, co raz powinna do puszek dla ubogich 3 gr. polskie kary włożyć, a to albo też na obrócenie swoje do kościoła.

X. Sierakowski, właściciel i kierownik fabryki sukiennej krakowskiej, zwraca się do rządu z prośbą o wyznaczenie mu do fabryki warty wojskowej „dla utrzymania porządku, dla trzymania wszystkiego ludu w subordynacji i posłuszeństwie“.²³

Niemniej ostry regulamin obowiązywał w Grodnie w manufakturach królewskich, szczególnie w stosunku do uczniów fabrycznych.

Powyższa w zasadniczych rysach podana charakterystyka pracy, jej warunków i atmosfery — rzemieślnika, czeladnika, wyrobnika i robotnika manufakturowego, i proste zestawienie tych typów, zasadniczo różnych w swych kwalifikacjach technicznych, społecznych i psychicznych, doprowadza nas do punktu wyjścia, do skarg Ure'a na trudności związane z urobieniem i wychowaniem robotnika manufakturowego, co wymagało przełamania jego dotychczasowych tradycyjnie przekazywanych sposobów pracy, przyzwyczajień i sposobu życia. Manufaktura stanęła wobec trudnego zadania: zdobycia wystarczającego pod względem liczebnym oraz odpowiedniego pod względem jakościowym robotnika.

Któraż z wyżej scharakteryzowanych grup społecznych stanowiła materiał ludzki dla powstającej i rozwijającej się rękodzielni?

Ure, uskarżając się na ułomność natury ludzkiej, podkreślał jak mało przydatny dla manufaktury był wykwalifikowany rzemieślnik: „...im sprawniejszy jest dany robotnik, tem jest bardziej uparty, tem trudniej dojsć z nim do ładu, a wskutek tego jego kaprysy są bardzo szkodliwe dla całego mechanizmu pracy“.²⁴ Anarchiczne usposobienie rzemieślników zatrudnionych w manufakturach polskich było źródłem wielu szkód i dezorganizacji pracy. W Grodnie np. majster jedwabniczy Inard był w stałym konflikcie z kantorem fabrycznym, nie chciał się podporządkować dyscyplinie przedsiębiorstwa, w warsztacie manufakturowym chciał widzieć rozszerzony warsztat samodzielnego rzemieślnika z całą jego atmosferą pracy, z typowo rzemieślniczym stosunkiem do uczniów i czeladników, z wyznaczeniem odpowiedniego miejsca w hierarchji warsztatu pani majstrowej. Gdy Inard wyjechał, pani majstrowa Kamilla Inard uważała się za naturalną jego zastępczynię. W czasie jego nieobecności chłopcy z manufaktury jedwabniczej ze zbytków omało nie podpalili fabryki. Administrator fabryk grodzieńskich, Bécu, ukarał ich surowo. Na to otrzymał list pełen oburzenia od majstrowej: „Monsieur! kiedy chłopcy moje co złego robili (podkreślenia Bécu, jako wyraz jego oburzenia), trzeba było mnie o tem oznajmić, i nie profiutując z niebytności męża mego swoją autoritas pokazać...“²⁵ O fakcie tym oburzony Bécu donosi Tyzenhauzowi. Podobne trudności miał Bécu z innym majstrem, Dupiney, który był winien „wszelkiego nieporządku i niesubordynacji Francuzów, którzy od niego przyjęli równe sentymenta i sami sobie chcą rządzić i kantor publicznie wzgardząc (sic)...“²⁶ nic sobie nie robią z dyrekcji.

W Staszowie rzemieślnicy pracujący w manufakturze sukiennej napastowani byli przez sukienników cechowych, ogłoszeni za zdrajców i srodze pobici w karczmie. Wchodzący do karczmy ludzie fabryczni przywitani zostali okrzykiem: „Hier kommt das Lumpengesindel von der Fabrique“, a majster Fröhlich: „Fröhlich wäre ein falscher Streber“;²⁷ i pod hasłem, rzuconem przez sukienników cechowych: „der Teufel werde die ganze Fabrique holen“, rozpoczęła się bójka.

Podłożem wrogości nie była w danym wypadku konkurencja między fabryką a rzemieślnikami cechowymi, choć urojona w tym

wypadku obawa materialnych strat, odgrywała z pewnością swoją rolę. Rzemieśnikom cechowym zarząd fabryki przekazywał część zamówień, którym nie mógł wydołać.

Przykłady braku dyscypliny i niesubordynacji rzemieślników w manufakturze, czy też wrogości rzemieślników cechowych w stosunku do przedsiębiorstw kapitalistycznych i rzemieślników w nich zatrudnionych, możnaby mnożyć bez końca. Fakty analogiczne podaje Hinze dla Brandenburgji i Prus.²⁸ Przerobienie rzemieślników na robotników przedsiębiorstwa kapitalistycznego i zdyscyplinowaną część organizmu zbiorowego napotykało na trudności ogromne. Sposób pracy i życia rzemieślnika, który nie chciał się nagiąć do nowych warunków pracy, uniemożliwiał często normalne funkcjonowanie przedsiębiorstwa.²⁹

Naturalny rezerwuar sił ludzkich dla manufaktury stanowili ludzie gospodarczo niezwiązani z żadnym stałym warsztatem pracy, a więc ludzie nic nie posiadający, „nie mający sposobu do życia“, włóczęgi i „gołota“ miejska, najogólniej: „ludzie luźni“, jak zwykle się ich nazywać w dawnej Polsce, żyjący z różnego rodzaju wyrobku, zajęć dorywczych, służby często zmienianej i żebractwa.³⁰ Oni to byli kandydatami *in potentia* na proletariuszy w znaczeniu nowoczesnym, i byli głównym tworzywem późniejszego proletariatu przemysłowego. Ten to element mógł i miał dostarczyć robotnika wolnonajemnego, sprzedającego swą pracę manufakturzyście. Elementy rzemieślnicze nadają się na personel instruktorski, kierowniczy, wyższe warstwy w hierarchji różnych grup robotników manufakturowych. Szara masa robotników, której istnienie w dużej ilości wpływało z samej organizacji manufaktury (wchodziło to w grę szczególnie w różnych gałęziach przemysłu tekstylnego, który najwcześniej przybrał formy rękodzielniczej produkcji), rekrutowana być musiała z innych warstw ludności. Pozatem rzemieślnik wykwalifikowany był robotnikiem za droгим dla przedsiębiorstwa kapitalistycznego, którego podstawą musiała być jaknajtańsza siła robocza.

Samo fizyczne istnienie tych ludzi nic nie posiadających, niezwiązanych, społecznie niezaszeregowanych, nie rozwiązywało jeszcze kwestji zaspokojenia potrzeby rąk do pracy w manufakturach. Człowiek zdolny do pracy w sensie fizycznym może nie umieć pracować, lub nie chce pracować w nowych dla siebie warunkach pracy.³¹

Problem robotnika manufakturowego zarówno w jego postaci ilościowej jak i jakościowej, znajduje swoje jaskrawe odbicie w stwierdzonym dla wielu krajów i obecnie już w nauce uznanym za zjawisko ogólne, fakcie jednoczesnego istnienia w okresie rozpoczynającego się uprzemysłowienia dużej liczby ludzi młodych i zdrowych, włączających się, żebrzących, żyjących z dnia na dzień, chwytających się różnych prac i zarobków dorywczych, i braku robotników do manufaktur.³²

Zjawisko to jest tak uderzające, że narzuca się jako punkt wyjścia przy badaniu problemu zaopatrzenia manufaktur w siłę roboczą, wystarczającą pod względem liczebnym i odpowiednią pod względem jakościowym.

Jednocześnie z tem zjawiskiem występuje inne, niemniej charakterystyczne i symptomatyczne. W okresie wczesnego industrjalizmu we wszystkich państwach europejskich występują różne formy rekrutacji robotników manufakturowych, oraz różne postacie pracy z punktu widzenia różnic w kontrakcie i statucie pracy — od pracy wolnonajemnej do przymusowej pracy więźniów, włóczęgów, żebraków, sierot, poprzez szereg stadjów pośrednich, jak najem pod takim czy innym naciskiem, najem przymusowy, pańszczyzna. Różnice te występują w jednej gałęzi przemysłu w tym samym kraju i w zakładach mniej więcej tej samej wielkości. Wynika z tego, że względy techniczne nie grają tu roli.

Czemżeż wyjaśniają się te formy tak obce w teorji systemowi przemysłowej produkcji kapitalistycznej, którego to systemu naturalnym odpowiednikiem w dziedzinie stosunków pracy jest kupno pracy wolnego najemnika na wolnym rynku pracy?

Istnienie tych różnych pod względem prawnym i faktycznym rodzajów pracy i uciekanie się do uważanych za obce naturze i potrzebom kapitalizmu systemów pracy i sposobów rekrutacji robotników do manufaktur, zwraca uwagę naszą na „materjał ludzki“, — na owych kandydatów na robotników *in potentia*, żeby nie użyć terminu przedwczesnego dla tego okresu — na „rynek pracy“, w okresie rozpoczynającego się na podstawach kapitalistycznych industrjalizmu. Istnienie dużej liczby różnego rodzaju wyrobników i najemników bez stałej pracy i stałego zarobku, a więc ludzi, których, wydawałoby się, te czy inne procesy społeczne przygotowały dla kapitalisty-przemysłowca — i jednoczesny brak robotnika w manufakturach, pogoń za nim i trzymanie go przy manufakturze wszelkiemi

sposobami; zastosowanie różnego rodzaju i stopnia przymusu pracy w rękodzielniach — każą szukać wyjaśnienia w uwarunkowaniu ludzkim zjawisk, związanych ze sprawą zaspokojenia potrzeby rąk roboczych w manufakturach. Ponieważ, jak powiedzieliśmy wyżej, rzemieślnik wchodził dla manufaktury w grę tylko dla pewnych kategorii pracy, ze względu na wdrożenie do pracy przemysłowej innego rodzaju i drogość, problem robotnika manufakturowego w jego całokształcie musi być rozpatrywany i zbadany poprzez ustalenie zależności i wzajemnego stosunku pomiędzy formami, typami i charakterem pracy manufakturowej, a liczbą, właściwościami i sposobem życia ludności „luźnej“, będącej naturalnym rezerwuarem sił roboczych dla manufaktury.

I tutaj dochodzimy do właściwego problemu. Zadaniem naszym będzie zbadanie w materiale konkretnym polskim, w jakim kierunku tradycyjne sposoby zarobkowania, postawa społeczna, tradycyjna psychika, większa lub mniejsza niezależność niezwiązanej ludności pracującej, czy też włączającej się i żebrzącej, warunkują stosowanie przez przemysł tych czy innych sposobów rekrutacji, stosowanie się do przyzwyczajzeń robotników lub zwalczanie ich sposobami przymusowymi, oraz zwracanie się do tych czy innych kategorii ludności dla wytworzenia z nich stałego zastępu robotników, wykwalifikowanych technicznie i psychicznie przygotowanych.

Biorąc więc za punkt wyjścia możliwie wszechstronne studjum „ludności luźnej“, jako leżące u podstaw problemu robotnika manufakturowego, poprzez wyjaśnienie niemi form pracy i sposobów rekrutacji robotników do przedsiębiorstw przemysłowych dojdziemy do scharakteryzowania zarówno poczynań i posunięć praktycznych jak i przejawów ideologicznych i projektów teoretycznych, zmierzających do uproduktywienia ludności w sensie nagięcia jej i wychowania do pracy przemysłowej w ramach przedsiębiorstwa kapitalistycznego. Praca nasza jest pomyślana jako przyczynek, będący wynikiem drobiazgowej analizy źródeł charakteru historycznego, do teorii socjologicznej powstawania i wytwarzania proletariatu przemysłowego przez industrjalizm, czy to okresu wczesno-kapitalistycznego, czy rozwiniętego kapitalizmu, w krajach, w których proletariatu tego jeszcze nie ma.

Praca nasza będzie miała więc za zadanie przeprowadzenie na konkretnym przykładzie dowodu, że kapitalistyczny przemysł, powstający w kraju, w którym proletariatu przemysłowego nie ma, dąży

do wytworzenia go środkami przymusowemi, stosowanemi do osób, lub też stawianiem w położeniu przymusowem pewnych grup ludności, przyczem zastosowanie tych środków jest uwarunkowane charakterem społecznym (jakością, cechami psychiczno - społecznymi) ludności, która jest do rozporządzenia dzięki niezwiązaniu z żadnym stałym warsztatem pracy i jest do pracy przymusowej przyciągana.

* * *

Praca nasza oparta jest na materiale polskim z ostatniego czterdziestolecia wieku XVIII, ściślej, z okresu panowania Stanisława Augusta. Już samo historyczne opracowanie przemysłu, jego rozwoju, warunków powstawania i przyczyn częściowego upadku, przedstawiałoby interes naukowy ze względu na niedostateczne, fragmentaryczne, na zbyt wąskiej i jednostronnej podstawie źródłowej oparte badania tych, tak ważnych zagadnień, w owym, ze wszech miar interesującym dla historyka okresie głębokich przemian społeczno-gospodarczych w Polsce. Z punktu widzenia więc pożytku naukowego wybór choćby tylko pewnych zagadnień z tej dziedziny i zbadanie niektórych tylko zjawisk historii przemysłu w Polsce tego okresu, jakżeśmy to uczynili, byłby najzupełniej uzasadniony. Na syntetyczne bowiem ujęcie kwestji zawczasie, ze względu na brak głębszych badań monograficznych, na nietknięcie przez naukę całego szeregu kwestyj oraz na niedostępność niektórych archiwów, a więc niemożność wykorzystania materiałów podstawowego znaczenia.³³

Ale nie to jedno zadecydowało o wyborze. Historia przemysłu manufakturowego w Polsce, oraz materiał źródłowy polski, mimo luk i braków, nadają się szczególnie do wzięcia za podstawę przy badaniu tego zagadnienia, a raczej całej tej grupy zagadnień, które powyżej zostały sformułowane jako przedmiot naszej pracy. Mamy głównie na myśli dwie okoliczności, podnoszące wartość materiału polskiego z naszego punktu widzenia. Pierwsza — to skupienie interesujących nas faktów w ograniczonym okresie czasu, ograniczonym nietylko względną krótkością, ale także jednolitością, w tym sensie, że w całości kształcie zachodzących w nim procesów społeczno-gospodarczych stanowi on zamkniętą i wyraźnie wydzieloną całość. Mamy więc do czynienia z faktami, które występują, rzecby można, na jednej płaszczyźnie, co jest rzeczą bardzo dużej wagi przy pracach, stawiających sobie za zadanie wykrycie i ustalenie zależności i związku po-

między różnymi kategorjami zjawisk. Ograniczenie zaś w czasie sprawia, że nie jest się zalanym powodzią faktów i materiału, co ułatwia ogromnie pracę i umożliwia przeprowadzenie bardziej szczegółowej analizy faktów. W krótkim okresie mniej jesteśmy narażeni na to, że zmiany czy to ustrojowe, czy w stosunkach ludnościowych, zaciemnią nam rysy obrazu. Z tego względu badanie zagadnienia odbywa się w warunkach pomyślnych. Nie bez znaczenia jest, że w okresie panowania Stanisława Augusta interesujące nas zjawiska występują bardzo wyraźnie z ogromną, rzeczy można, świeżością, gdyż, mimo że początek przemysłu rękodzielniczego Polski datuje się od czasów saskich, w tym dopiero okresie nabiera on rozmachu, zarówno w dziedzinie praktycznych posunięć i realizacyj, jak w sferze kształtowania się myśli gospodarczej i opinii publicznej, coraz bardziej uzależniającej od gospodarczego odrodzenia państwa jego odrodzenie polityczne. W tym sensie rozwój przemysłowy w Polsce za panowania Stanisława Augusta stanowi *mutatis mutandis* okres bliźniaczo podobny do okresu Ludwika XIV i Colbert'a we Francji, czy też do okresu Fryderyka Wielkiego w sąsiednich Prusiech, w których merkantylistyczne zasady gospodarcze osiągnęły możliwie pełną realizację. Tak jak we Francji w okresie Colbert'a, zjawiska, związane z wytwarzaniem, rekrutacją i urabianiem dla rodzącego się przemysłu robotnika, występują najwyraźniej, tak samo i w Polsce za Stanisława Augusta sprawa wystarczającego liczebnie i odpowiedniego pod względem kwalifikacyj robotnika manufakturowego staje się ze wszech miar aktualna i pilna; rozwiązania jej domaga się zainteresowana tem ze względów praktycznych część społeczeństwa, zabiera często, przy każdej niemal sposobności, głos światła opinia publiczna, hołdująca nowym prądom ideologicznym i opowiadająca się za daleko idącymi reformami. Ze względu na praktyczne znaczenie tych spraw i poświęcanie im dużej uwagi, znajdujemy w publicystyce ówczesnej krytykę istniejącego stanu rzeczy, a więc często ocenę warunków społeczno-gospodarczych, w których kształtował się przemysł manufakturowy, konkretne bolączki codziennego życia, projekty rozwiązań, owiane nowym duchem. Słowem, interesujące nas zjawiska w epoce Stanisława Augusta znajdują szczególnie wyraźne odbicie zarówno w ustawodawczej działalności sejmu, jak i w uniwersałach, zarządzeniach czy wreszcie, w projektach zarządzeń władz oraz w ideologii gospodarczej i w ideologii dobroczynności tego okresu.

Rozwiązanie problemu, któryśmy postawili dla stosunków polskich, ustalenie ze ścisłością historyczną zjawisk, związanych z początkami i rozwojem przemysłu w Polsce wieku XVIII, pozwoli na porównanie ich z takimiż zjawiskami innych krajów, które są od strony historycznej opracowane. Pozwoli na stwierdzenie podobieństw i ustalenie różnic, co z punktu widzenia teoretycznego ma znaczenie istotne.

II.

Polska okresu Stanisławowskiego zna zarówno zagadnienie robotnika przemysłowego, jak problem zbytku ludności, uważanej przez współczesnych za nieproduktywną.

Publicystyka ówczesna rozbrzmiewa skargami na liczną ludność luźną, wędrującą po kraju za zarobkiem i jałmużną, odczuwaną, jako plaga społeczna ówczesnych czasów. Z ludnością tą walczą liczne uniwersały, zarządzenia władz administracyjno-policyjnych. Światła opinia publiczna domaga się znalezienia sposobów likwidacji żebractwa i włóczęgostwa; pojawiają się projekty uproduktywienia ludzi, „bawiących się próżniactwem“.

Nie znaczy to bynajmniej, by plaga żebractwa i włóczęgostwa pojawiła się dopiero wówczas. Została ona odziedziczona po wiekach minionych; niemniej jednak wydaje się, że w drugiej połowie wieku XVIII ludności, oskarżanej przez współczesnych o włóczęgostwo, próżniactwo i żebractwo, było szczególnie dużo.

W związku z nowymi tendencjami społeczno-gospodarczymi epoki zwrócono na tę ludność szczególną uwagę. Stąd włóczęgostwo, żebractwo, próżniactwo i „luźność“ stają się pierwszorzędnej wagi kwestją społeczną, której rozwiązanie narzucało się współczesnym z nieznośną zwłoką koniecznością.

Doniosłością sprawy tłómaczy się fakt, że każda niemal broszura, dotycząca zagadnień społecznych, gospodarczych, wojskowych czy ustrojowych, każdy numer ówczesnych czasopism poruszał w ten czy inny sposób, w takim czy innym związku zagadnienie żebractwa i włóczęgostwa — plagę luźnych ludzi, dorywczo pracujących lub udających poszukiwanie pracy, zwykle dokuczających swem natręctwem, próżniactwem, siejących nieporządek, kradnących i pijących, zapelniających wsie i miasta. „Mnóstwo próżniaków, bez wszel-

kiego zostających stanu, do miasta kupami się ciągnie i po większej części w nieprzystojnym ginie życiu...³⁴ pisze Wybicki, ów polski piewca licznej i pracowitej ludności, stanowiącej bogactwo kraju. Bezimienny autor *Uwag obywatelskich nad żebrakami* uskarża się, że miłość bliźniego nie jest „rozumem kierowana“, co sprawia, że ludzie, licząc na pewną jałmużnę, rzucają „jedni... warszłaty, drudzy pole zaniebawiają, a z przybraną żebraka postacią... na letki się chleb poświęcają i cudzego potu krwawego szukają...“³⁵ Doświadczenie uczy, pisze tenże autor, „że teraz najwięcej ludzi czerstwych, sił pełnych i zdrowia, oraz w kwiecie jeszcze wieku do pracy najzdadniejszego tę na się postać żebraków przybierają...“³⁶

„Rzućmy okiem na miasteczka nasze, chodźmy po wszystkich wioskach, znajdziemy pełno ludzi bawiących się próżniactwem...“³⁷ skarży się jeden z pisarzy. Plagę włóczęgostwa i „próżniactwa“ poruszał każdy, kto myślał o reformie życia gospodarczego i społecznego, i to nie w sposób incydentalny, ale jako sprawę o bardzo doniosłym znaczeniu, której rozwiązanie warunkowało przeprowadzenie szeregu projektowanych reform. W postępowym, śmiałym w poglądach *Pamiętniku historycznym i politycznym*,³⁸ skupiającym światłą opinię i głoszącym konieczność zmian często radykalnych, sprawa żebractwa, włóczęgostwa, „próżniactwa“ pojawia się raz po raz w artykułach treści rozmaitej. „Jedną z największych plag, która kraj ten uciska, jest to zagęszczona i długim nałogiem wkorzeniona skłonność do próżniactwa i włóczęgi, która panuje między gminem polskim“,³⁹ czytamy w r. 1787. „Już kraj nasz tak jest nieszczęśliwy, że ma ludzi próżnujących i z cudzej pracy żyjących więcej, niż który inny w Europie“.⁴⁰

Ludność uważana za włóczęgoską i luźną ciągnęła szczególnie do większych miast oraz do miasteczek, które dostarczały więcej okazji do łatwych i dorywczych zarobków, ze względu zaś na skupienie ludności żebranina przynieść mogła obfitszy plon. Tę siłę atrakcyjną miast czy nawet części kraju bardziej gospodarczo zaawansowanych, o większym zagęszczeniu ludności, jak np. Wielkopolska, da się stwierdzić i w naszym materiale aktowym. Podkreślenie jej spotykamy raz po raz w publicystyce oraz zarządzeniach władz. Tak np. bezimienny autor zachowanego w rękopisie *Głosu obywatela... skierowanego do obradujących Stanów Rzeczypospolitej*, omawiając sprawę uzdrowienia stosunków miejskich, podniesienia miast pod

względem gospodarczym i zaprowadzenia w nich porządku, zwraca uwagę, iż „bardzo wiele jest w miastach hołoty, niemal po szalaszach mieszkającej między murami i po przedmieściach, która może bardziej uciekając od pracy rolniczej, włazi do hultajstwa do miast...” „Po miastach większych nieprzeliczona, z wielką szkodą rolnictwu tuła się tłuszcza hultajów bez pracy, żyjących pod pozorem sług i najemników miejskich, a ci to są zbiegowie, złodzieje, rozbójnicy, włóczęgi.”⁴¹

To ściąganie ludności wyrobniczej do miast działo się, jak uważano, ze szkodą wsi i rolnictwa. Częste są skargi na brak najemników po wsiach, które nie mogą konkurować możliwościami zarobku z atrakcjami, zarówno zarobkowymi, jak i rozrywkowymi, miasta. „Teraz niedostatek sług, osobiwie czeladzi wiejskiej, bardzo niektóre okolice uciska, ale najbardziej wsie o dwie, trzy mile od Warszawy leżące. Pochodzi to stąd, że lud zbytami i wygodami, toż lekkim życiem i zarobkiem pociągniony, ciśnie się do stolicy, a na wsiach jako żywo do robót rolniczych służyć nie chce...”⁴² Jest więc rzeczą policji,⁴³ by położyć kres różnym atrakcjom miasta, odciągającym młodzież od pracy rolniczej, a cały szereg zajęć łatwych zawarować jedynie starym i spracowanym. „Widzimy np., że parobki młode i dziewczyny chodzą po ulicach z koszykami, z obwarzankami, z ciastkami, z pudrem, owocami, które po domach roznoszą; to mogliby czynić ludzie podeszli. Zaś młodym powinno to być zakazane... Podobnie widzimy liczbę zbytę młodzieży wiejskiej, cisnącą się do rżnięcia drzewa i służenia za parobków po miastach, z wielką szkodą wsi okolicznych.”⁴⁴ Zapobiec temu można przez ustanowienie niskich płac w mieście; płace wysokie bowiem ściągają próżniaków i uganających się za łatwym zarobkiem. Miasta wabią ludność wyrobniczą „nadzieją pewną wyżywienia się tam bez żadnej pracy, przez rozpustę, karty, oszukania, złodziejstwo i nabożne fundusze (ogromnie wymowne zestawienie tak różnych źródeł utrzymania!), albo też z pracy czasem tylko trafiającej się...”⁴⁵

Jak widać z szeregu powyższych cytatał, między włóczęgą, żebrakiem, najemnikiem dziennym, sługą często zmieniającym pana granica była płynna: zwalczanie żebractwa i włóczęgostwa łączyło się w opinii ówczesnej w sposób organiczny z kwestją ludności wyrobniczej i służebnej. Przechodzenie ludzi z jednej kategorii do drugiej jest zjawiskiem, które występuje zupełnie wyraźnie w źródłach. Tę płyn-

ność i zatartą granicę między owymi grupami ludności sygnalizują ustępy uniwersałów i obwieszczeń, głosy skarżące się na służbę, używanie niemal zamiennie terminów „człowiek luźny“, „sługa“, „wyrobnik“, „włóczęga“, „próżniak“, „hultaj“, wreszcie „ubogi“. Za włóczęgów uważani są przez władze administracyjne ludzie „bez służby kwartał bawiący się“.⁴⁶ Ubogim ludziom, pragnącym wyjść z własnej parafji, najczęściej na wyrobek, nie wydaje się paszportów „aby się nie bawili włóczęgą“;⁴⁷ każdy ubogi, udający się na zarobek jest więc, jak widać z powyższego, uważany za możliwego włóczęgę. Z uniwersału Komisji Policji dowiadujemy się, że się w Warszawie „pod Statuą Zygmunta, pod pretekstem dziennych najemników ukrywają i włóczęgi, albo, nie chcąc się najać, w końcu dnia włóczą się za zebractwem lub kradzieżą“.⁴⁸ Do budowli trudno dostać najemników w Warszawie nawet za wysoką zapłatę. „Mający nawet tu w tym mieście (sc. w Warszawie) fabryki (t. zn. budowle), najać nie mogą robotników, chociaż sowicie onych opłacają“ — czytamy w obwieszczeniu przeciwko żebrakom marszałka Mniszcha w 1786 r., który, jak i inni marszałkowie przed nim, usiłował wyzwolić stolicę od „znajdujących się, pod imieniem żebraków próżniactwem bawiących się, ludzi“.⁴⁹

Komisja Cywilno-Wojskowa Wileńska wydaje uniwersały „końcem utrzymania ściągających się zewsząd włóczęgów do miasta“.⁵⁰ Masalski, biskup wileński wydaje odpowiednie zarządzenia pasterzom w związku z dużą liczbą „ubogich wiejskich do miast stołecznych cisnących się“.⁵¹

Wielu z tych ludzi po przybyciu do miasta, według panującej opinii, zamiast pracować, prowadzi życie ladajackie, „przystojnie ubrawszy się, chodząc po pałacach i domach, jedni filuterją, drudzy pod pretekstem jałmużny kradzieżą bawią się, inni nawet słowami wzgardy pełnemi, jałmużny wymuszają“.⁵² Na próżniactwo chłopców i dziewcząt w Krakowie skarży się także X. Sierakowski, kierownik fabryki sukiennej; roznoszą oni rozmaite rzeczy po mieście, jak żurki, bułki, owoce tak, że „pod temi obiegania miasta pozorami, lud się próżniactwa uczy i w nim rośnie“.⁵³ Świadcstwo przekładania zajęć dorywczych, drobnych handelków, połączonych z krążeniem po mieście, znajdujemy także i dla Warszawy: „Utyskują i na to obywatele, iż służących, a osobliwie niewiast do służby dostać nie mogą. Przyczyna niedostatku sługi jest ta, że niewiasty młode, nie końcem zaro-

bienia kawałka chleba, ale końcem lubieżności noszą po pałacach, kamienicach i różnych publicznych miejscach koszykami pomarańcze, cytryny, frukta, ciasta...⁵⁴

Sprawa zapobieżenia porzucania służby bez dotrzymywania rocznych terminów, była przedmiotem ciągłych trosk i skarg. „*Pamiętnik historyczny i polityczny*“ w jednym z artykułów wzywa władzę, by tych ze służących, którzy nie będą służyć pilnie, uznać za włóczęgów i lajdaków, jako takich ścigać i „do życia pracowitego twardemi nawet sposobami pociągać”.⁵⁵ W kwestji służby zabiera nawet głos pewna dama, występując z projektem zrównania płac służby i ich ścisłego określenia, co może sprawi wreszcie, że służbę będzie można utrzymać na miejscu, że służący „raz przyjęty nie będzie często miejsca odmieniał, nie czując nigdzie lepiej, tylko równie, i mniej będzie włóczęgów i hultajów, którzy mierną gardząc służbą, lepszej nie znalazłszy, chwytają się próżniactwa, a przeto z hultajstwa i złodziejstwa sposobu do życia”.⁵⁶ Komisja Cywilno-Wojskowa powiatu Krakowskiego i Proszowskiego, zabierając się energicznie do zwalczania włóczęgostwa i opanowania ludności luźnej, stwierdza, że „liczba ludzi luźnych, po ówierć roku mniej lub więcej bez służby próżniackim tułaniem się po miastach i wsiach bawiących, z powszechną kraju szkodą i niebezpieczeństwem co raz się pomnaża”.⁵⁷

Zatarcie granicy między służącym, włóczęgą czy hultajem, który to termin oznacza jednocześnie człowieka żyjącego z najmu dziennego oraz człowieka, łąącego po drogach i nie pracującego, występuje w sposób wyraźny i wskazuje na ogromnie mieszany charakter owej tropionej wszelkimi sposobami „ludności luźnej“, włóczęgoskiej i żebrackiej. To łączne traktowanie tak różnych zdawałoby się kategoriej ludności, skupia w sobie niejako splot zjawisk, związanych z charakterem społecznym i położeniem ludności najemnej; wyjaśnienie tego pomieszania, jakże symptomatycznego, będzie końcowym wynikiem naszego studjum o ludności luźnej.

Z powyżej przytoczonych głosów współczesnych, z których wybraliśmy tylko najwymowniejsze, występuje wyraźnie fakt, że sprawa żebractwa, włóczęgostwa, ludności luźnej i wyrobniczej była wówczas odczuwana, jako doniosła kwestja społeczna. Ludność ta przepełniała miasta, miasteczka i wsie, nieuchwytna, niedająca się przytwierdzić do miejsca, żyjąca z dorywczego zarobku, z przechodzenia ze służby

na służbę, z jałmużny czy z okazyjnej kradzieży. Walczą z nią władze lokalne na terytorjum całej Rzeczypospolitej.

Komisja Policji, do której kompetencji należy „wstrzymywanie żebractwa i włóczęgi”,⁵⁸ zasypywana jest memorjami podległych jej Komisyj Cywilno-Wojskowych w sprawie instrukcyj co czynić z włóczęgami; zwracają się więc z pytaniami Komisje: Warszawska,⁵⁹ Sochaczewska,⁶⁰ Bielska,⁶¹ Brańska,⁶² Wołkowyska,⁶³ Poznańska,⁶⁴ Mińska,⁶⁵ Zakroczyńska,⁶⁶ Wilkomirska,⁶⁷ Orszańska,⁶⁸ Pińska,⁶⁹ Sandomierska i Wiślicka,⁷⁰ Braclawska.⁷¹ Komisja Policji pochwała chwalebne poczynania Komisji Cywilno-Wojskowej Krakowskiej w kierunku „uwolnienia miasta Krakowa od naprzykrzającego się żebractwa”.⁷² Magistrat miasta Wilna wydaje zarządzenie dla wszystkich miast wolnych wydziału wileńskiego „ku powściągnięciu ludzi podejrzanych, a niewiadomo z jakiej intencji włóczących się”.⁷³ Poczmiistrz tulczyński, w korespondencji do *Dziennika Handlowego*, pisze „o szczęśliwości Ukrainy”, o dobrym stanie gospodarczym, do czego przyczyniła się „JW. wojewody ruskiego baczość, że wszelkich włóczęgów i próżniaków oraz ludzi bez służby zostających” ujął w karby.⁷⁴

Działalnością władz centralnych i lokalnych w zwalczaniu włóczęgotwa i ludności luźnej zajmujemy się gdzieindziej; na tem miejscu pragniemy jedynie podkreślić, że plaga włóczęgotwa i żebractwa, pozostająca w związku z ruchliwością i niestałością ludności wyrobniczej i służebnej, dawała się odczuwać na całym terytorjum państwa ze szczególną jej dokuczliwością po miastach, głównie w Warszawie. „Wstyd Polakom”, woła autor jednego z artykułów w *Pamiętniku historyczno-politycznym*, „patrzeć na kraj cały próżniakami i włóczęgami napelniony”.⁷⁵

Cudzoziemcy, podróżujący po Polsce, zwracali także uwagę na mnóstwo żebraków i włóczęgów w kraju, którym trudno się opędzić. Coxe w drodze z Krakowa do Warszawy stale napastowany był przez żebraków. „Gdzieśmy się tylko zatrzymali przybiegali do nas kupami żebracy i prosili o jałmużnę z najpodlejszem naprzykrzaniem się.”⁷⁶ Jan Erik Biester podkreśla przy opisie swych wrażeń z Poznania dużą liczbę żebraków i ich zorganizowanie: „Z marszałkiem spomiędzy siebie wybranym włóczą się żebracy po ulicach...”⁷⁷ Zgrozą przejmowali go żebracy warszawscy, wystający przy drzwiach kościelnych i przy drzwiach pałaców. „Zdaje się, jakoby najokropniejszymi łachmanami i zupełnem zagrzęgnięciem w brudzie, ludzie

ci chcieli przemocą zdobyć miłosierdzie świata i niebios⁷³ — woła Biester. Lekarz warszawski La Fontaine zwraca także uwagę na szczególnie dużą liczbę żebraków w Polsce, przechodzących z miasta do miasta i zastanawia się nad zagadnieniami higieny i zdrowia, pozostającymi w związku z tem zjawiskiem.⁷⁹

Niezależne od siebie głosy, stwierdzające dużą ilość ludzi objętych ogólną nazwą „próżniaków“, każą uznać za objaw szerzący się nagminnie włóczęgostwo i próżniactwo, które w ówczesnych czasach są czemś zgoła innym niż dzisiaj: włóczęgostwo jest sposobem poszukiwania pracy opłacalniejszej i lepszej, żebractwo jest dorywczym sposobem zarobku.

*

*

*

Rzecz jasna, że dla końca wieku XVIII nie rozporządzamy danymi statystycznymi, które pozwoliłyby ująć cyfrowo omawiane zjawisko i stwierdzić prawdziwość skarg i wyrzekań na wielość owych ludzi „bawiących się próżniactwem“. Te cyfry, które znamy, przyjmując musimy jako względne bardzo co do ścisłości i posługiwać się nimi możemy raczej jako danymi orjentacyjnymi. Przytem zgóry możemy powiedzieć, że jeśli chodzi o obliczenia urzędowe takich kategorii ludności jak żebracy, włóczędzy, ludzie „bez sposobu do życia“, to były one skazane na niedokładność *in minus*, ze względu na płynność tej ludności oraz na ukrywanie się w obawie represyj. Ukrycie się nie sprawiało trudności dzięki pomocy ogółu ludności ubogiej i włościańskiej oraz zainteresowanych w tem karczarzy.⁸⁰

Najściślejsze dane, naukową metodą opracowane obecnie, dotyczą Warszawy z 1792 r.; potwierdzają one całkowicie głosy współczesnych o przepełnieniu stolicy elementem ludzkim „luźnym“, społecznie niezaszeregowanym. Jeśli chodzi o cyfry dla całego kraju, to są one najmniej pewne; niektóre są tylko szacunkiem „próżniaków“ na oko. Tak np. Pamiętnik stwierdza, że w całym kraju jest z pewnością sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt tysięcy włóczęgów i próżniaków.⁸¹ Jacek Jezierski zapalony do idei uprzemysłowienia kraju i wciągnięcia do pracy przemysłowej ludności pozostającej, zdaniem jego, w bezczynności, uważa, „że próżnujących mieszczan, nienawykłych do pracy Żydów i różnych wołokitów“ jest w kraju milion.⁸² Niedokładność i dowolność tego szacunku jest oczywista. Trudno bowiem określić o jakie kategorie ludności Jezierskiemu chodzi, nie mówiąc już

o tem, że w swej pogardzie dla miast i mieszczaństwa skłonny był wszystkich „mieszczanków“ poczytywać za próżniaków.⁸³ Cyfra podana przez Jezierskiego jest fantazyjna i dowolna, nie ulega jednak kwestji, że ludność luźna pod względem liczebnym przedstawiała się pokąźnie.

Cóż mówią statystyki urzędowe? Z cyfr lustracyj Komisji Wojewódzkich z r. 1790 wynika, że „luźni za robotą chodzący“,⁸⁴ oraz żebracy w prowincji Wielkopolskiej stanowili razem 3,2% ludności, powyższe zaś kategorie wraz z czeladzią służącą — 9,7% ogółu ludności. Trzy te grupy możemy traktować łącznie, ze względu na płynną między nimi granicę, oraz ze względu na niezwiązanie ich ze stałym warsztatem i miejscem pracy. Dla prowincji Małopolskiej odpowiednie pozycje przedstawiają się 1,4% oraz 3,3%. Widzimy więc, że w Wielkopolsce ludności chodzącej za zarobkiem, służącej oraz żebrzącej było znacznie więcej niż w Małopolsce, co bez wątplenia wiąże się ze ściąganiem ludności do zamożniejszej, bogatszej i ludniejszej części kraju.⁸⁵

Włóczęgostwo i żebractwo bardzo było rozpowszechnione wśród Żydów, wśród których mnóstwo było biedoty. Czacki podaje, że na 900 000 Żydów w Polsce było 72 000 próżniaków i 9 000 żebraków, co stanowi 9% ogółu ludności żydowskiej.⁸⁶ I w tym wypadku trudno ufać bezwzględnie obliczeniom; częste jednak skargi na włóczęgów, próżniaków i ubogich żydowskich miejscowych,⁸⁷ czy też z za ościennych kordonów⁸⁸ ciągle kłopoty z nimi kahałów żydowskich⁸⁹ oraz dość dużo przypadków zatrzymywania włóczęgów się bez paszportów Żydów, jakie spotykamy w aktach Komisji Cywilno-Wojskowych, każą przypuszczać, że cyfry powyższe są raczej mniejsze niż zbyt wielkie.

Wspomnieliśmy wyżej, że stosunkowo najdokładniejszymi cyframi dla określenia stanu liczebnego ludności luźnej, służebnej i żebraczej, rozporządzamy dla Warszawy i Krakowa.

W Warszawie w r. 1792 na 81 271 mieszkańców, objętych spisem, było 6 187 osób, czyli 7,6% ludzi „bez sposobu do życia“. Na Pradze było 15,7% ludzi „bez sposobu do życia“.⁹⁰ I tutaj dowolnie sądowi rewizorów pozostawiona była ocena, kogo zaliczyć do rubryki „mający sposób“, czy „nie mający sposobu do życia“. W tej ostatniej rubryce znaleźli się ludzie bez określonego zawodu, drobni handlarze, wyrobownicy, żebracy, złodzieje. Wśród wyrobników i robotników różnych,

obejmujących wraz z rodzinami 2 165 osób, 47% nie miało pewnego sposobu do życia.⁹¹ Sporo wyrobników musiało być także wśród ludności bez określonego zawodu (2 907 osób z rodzinami), z których 15,1% było bez sposobu do życia. Jak widać więc ludności luźnej, żyjącej z wyrobku, bez stałych zajęć, było dużo w stolicy. Grupa służby domowej stanowiła 2 965 osób, wraz z rodzinami — 7 625. W r. 1787 służba domowa stanowiła 21,51% całej ludności.⁹² Należy przypuszczać, że uderzająca różnica pomiędzy temi danymi spowodowana została prawdopodobnie różnością kryterjów kwalifikacyjnych. Nieprawdopodobnie małą jest uwidoczniona w spisie liczba żebraków, prostytutek, złodziei, jest ich bowiem tylko 927 osób. Nie ulega kwestji, że liczba ta musiała być dużo większa, skoro, podczas jednodniowej obławy na włóczęgów i żebraków w dniu 2 listopada 1791 r., zatrzymano 501 osób, a każdy dzień następny pomnażał tę liczbę.⁹³ Generał Brühl w memorjale do króla w r. 1786 w sprawie Instytutu Ubogich pisze, że licząc najskromniej w mieście znajduje się 2 000 żebraków.⁹⁴ Jeden zaś z publicystów wzywając do oczyszczenia miast „z ludzi luźnych, bez służby, bez sposobu do życia, nie biorących się do roli, ani rękodziel, hultajstwem i kradzieżą się bawiących“, stwierdza, że „sama Warszawa takiej zgrai 6 000 dostarczy“.⁹⁵

Ogromnie duża jest także liczba ludzi luźnych wszelkiego rodzaju, czeladzi służącej, wyrobników i żebraków w Krakowie w roku 1790. Na 8 740 mieszkańców, luźnych jest 1 241, czeladzi służącej — 2 024, żebraków — 203; ludzie luźni i służba stanowią więc przeszło trzecią część ludności.⁹⁶

Przytoczone cyfry oraz stosunek procentowy interesujących nas grup do ogółu ludności mają jedynie wartość orientacyjną, bez przywiązywania wagi do ścisłości liczb absolutnych. Statystyczne ujęcie zagadnienia włóczęgostwa, żebractwa oraz ludności luźnej nie leży zresztą bynajmniej w naszych intencjach, pomijając już fakt, że, gdybyśmy nawet zamierzali to uczynić, to zamierzenie nasze byłoby niewykonalne, ze względu na rozporządzanie znikomą ilością danych cyfrowych dla XVIII wieku i niemal zupełny brak naukowego opracowania tych danych, które posiadamy. Prymitywne sposoby obrachowań ludności, przeprowadzanie ich według różnych zasad i podziałów, często niedających się zestawić z sobą, wreszcie sam sposób życia interesujących nas grup ludności, odznaczający się niesłychaną płynnością i zmiennością zawodową i terytorjalną (przestrzenną), uniemożli-

wiają wszelkie próby ujęcia kwestji z punktu widzenia statystycznego.

Nas interesuje jakość społeczna owych ludzi niezaszeregowanych, „luźnych“ w dosłownym znaczeniu, wchodzących w rachubę jako wolni najemnicy, czy to dla rolnictwa, czy dla przemysłu. Z tego punktu widzenia, na podstawie przytoczonych głosów współczesnych, żalących się na przepelnienie miast, miasteczek i wsi ludnością wyrobniczą, włóczęgoską, żebraczą, na służbę łatwo przechodzącą z miejsca na miejsce, na ubóstwo miasteczek i wszelkiego rodzaju biedotę „bez sposobu do życia“; na podstawie przybliżonych i raczej nieściślych *in minus* cyfr, wreszcie na podstawie licznych uniwersałów króla, władz porządkowych, centralnych i lokalnych, duchowieństwa przeciwko próżniakom i żebrakom — wystarczy stwierdzić, że wolnych rąk do pracy w sensie fizycznym było w Polsce dość, by na wolnym najemniku oprzeć skromny przemysł polski. Stwierdzenie to wystarczy skolei, by zdać sobie sprawę z konieczności zbadania sposobu życia tych ludzi, ich postaw społecznych, ich funkcyj w organizmie społecznym; wyjaśnienia zjawiska owej masowej włóczęgi, żebraniiny przeplatanej wyrobkiem i służbą, owego specyficznego dla ówczesnych czasów zachodzenia na siebie tych kategorii ludności i ustawicznej wymiany jednostek między niemi. Staje się dla nas rzeczą jasną, że w drodze obiektywnego badania poznać musimy możliwie wszechstronnie ten element ludzki, by stał się dla nas czemś społecznie określonym, a tem samem określonym elementem badania problemu robotnika manufakturowego.

Publicystyka nie daje nam tego poznania. Zwraca ona wprawdzie w sposób sugestywny uwagę naszą na istnienie zjawiska społecznego nazywanego próżniactwem, włóczęgostwem, trudnością dostania „dobrego usłużenia“, na pewne cechy i tendencje ludności wyrobniczej, jak ciążenie ku miastom, przekładanie wyrobku dorywczego nad służbę czy stałe zajęcie, częste zmiany służby, uprawianie żebraniiny przez ludzi młodych, zdolnych do pracy. Pozwala nam stwierdzić wreszcie, że kwestja ludności wyrobniczo-włóczęgosko-żebraczej oraz służebnej zaprzatała uwagę ówczesnych teoretyków, praktyków-polityków, zwykłych przeciętnych szlachciców, reformatorów życia miejskiego, światłych obywateli przejętych prądami Zachodu, pragnących do niegć upodobnić Polskę, z ducha swego, ustroju i gospodarstwa szlachecką. Zaprzatała uwagę tak, jak zaprzata kwestja społeczna o dużem znaczeniu dla życia codziennego, która, choć nie nowa, w no-

wej atmosferze ideologicznej, w okresie faktycznego i zamierzonego przeobrażania życia społeczno-gospodarczego, odczuwana była w sposób bardziej dokuczliwy i narzucający konieczność jej rozwiązania. Publicystyka jednak, bez zestawienia jej z konkretnymi faktami życia codziennego i uzupełnienia stwierdzeniami przejawiania się tych zjawisk w praktyce życia społecznego, nie jest w stanie dać nam obiektywnego poznania tych elementów ludzkich, które zamierzano uproduktywnić i obrócić do stałej pracy rolniczej czy przemysłowej. Ludzie, których głosy przytaczaliśmy, nie dają gwarancji obiektywizmu.

Kimże są oni jeśli nie tymi, którzy trzymają służbę, używają najemników do tych czy innych prac, w mieście posługują się wyrobnikami dla różnych czynności, bez których obejść się nie było można? Czyż nie mamy więc do czynienia ze zwykłymi skargami pracodawców na pracobiorców, skargami, w których obok stwierdzeń prawdziwych dużo być może przesady i bezpodstawnych utyskiwań. To jedno. Poza tem publicystyka, mimo, że wprowadza nas w atmosferę pojęć, nazw i terminów okresu panowania Stanisława Augusta, nie może jednak dostarczyć nam obiektywnego materiału do wypełnienia ówczesną treścią konkretną słów: „próżniak“, „włóczęga“, „żebrak“, „człowiek bez sposobu do życia“, „sługa“, „hultaj“, „człowiek luźny“, wreszcie „wyrobnik“, które są symbolami żywych działających ludzi, mieszczących się w ówczesnej strukturze gospodarczo-społecznej i odgrywających w niej rolę istotną. Terminy te zawierają dziś zgoła inną treść społeczną, oznaczają innych ludzi, nie mówiąc o tych, które wyszły z użycia. Publicystyka operuje temi właśnie symbolami, ogólnymi stwierdzeniami, mimo, że dostarcza niejednego rysu dla społecznej charakterystyki ludzi pod symbolami temi ukrywających się. W uniwersałach i zarządzeniach tych czy innych władz interesujący nas luźni ludzie są traktowani jako ci, którzy sięją nieporządek, zgorzsenie, urągają społeczeństwu swem rzekomem próżniactwem i skłonnością do takich czy innych występków; one także nie są tym materiałem źródłowym o charakterze bezstronnym i bezpośrednim, który pozwoliłby nam poznać tych ludzi ze stanowiska niejako widza, obserwującego ich życie codzienne i notującego fakty, by stworzyć wierny obraz ich życia i obyczajowości. O takie bowiem poznanie nam chodzi.

Kim była, z jakich elementów się rekrutowała, jak żyła i zarabowała ludność wyrobnicza w Polsce w ostatniej ćwierci XVIII w.?

Formułując zagadnienie konkretniej: kim byli i jak żyli ci „próżniacy“, którzy nimi zresztą w dosłownym znaczeniu tego słowa nie byli, „wyrobnicy“, „służący“, „hultaje“, „włóczędzy“, „żebracy“, — biedota miejska i wiejska — słowem ci wszyscy, których obejmowano nazwą „ludzie luźni“ lub „hultaje“ (w starszym znaczeniu słowa). Rozumiano przez nich ludzi „nie mających żadnej osiadłości, stanu, profesji, rzemiosł, służby, ani żadnego pewnego do życia sposobu“,⁹⁷ Interesują nas także i ci z nich, którzy są w „aktualnej“ służbie, których „luźność“ uległa niejako zawieszeniu, gdyż utrata pracy czy jej porzucenie czyniła z nich z powrotem ów płynny element bez stałego zaszeregowania społecznego; interesują nas ci wszyscy ubodzy, przez których rozumieją współcześni takiego człowieka, „który innego nie ma dobra, jak pracę rąk własnych.“⁹⁸

Poznanie wyżej wymienionych kategorii ludzi, stopień i sposób wciągnięcia ich w proces produkcji ówczesnej i w ówczesną strukturę społeczną, wypełnienie konkretną treścią symbolów, za którymi kryją się określone społecznie typy ludzi, pozwoli nam zrozumieć głosy publicystyki i zarządzenia władz, charakter owej plagi żebractwa i włóczegostwa, projekty uproduktywnienia ludzi uważanych za próżniaków. A nadewszystko wydobyty z akt i ożywiony „luźny człowiek“ XVIII wieku, powie sam niejako czy i o ile mogła nań liczyć manufaktura, czy też inaczej zorganizowana wytwórczość przemysłowa, jako na najemnika wolnego, jakie miał sposoby uniknięcia nowego typu pracy; zrozumiemy bez gubienia się w apriorycznych dociekaniach, czy fizycznie rozporządzalny najemnik był faktycznie rozporządzalny i odpowiedni dla manufaktury.

* * *

Fakty polskie są szczególnie wdzięcznym materiałem do badania w interesującym nas zakresie. Rozporządzamy bowiem źródłami, które stanowią niezastąpiony materiał dla poznania t. zw. „ludności luźnej“, chodzącej za zarobkiem czy jałmużną — znaczenie zaś studjum tej ludności dla rozwiązania problemu robotnika manufakturowego w wyżej wyłożonym ujęciu jest ogromne. Studjum to bowiem jest centralną częścią naszej pracy.

Mamy na myśli akta, pozostałe po Komisjach Cywilno-Wojskowych, ustanowionych w r. 1789,⁹⁹ a szczególnie jedną ich grupę, mianowicie, akta charakteru policyjnego i sądowego. Są one rezultatem

działalności Komisyj w sprawie zwalczania dezercji i włóczęgostwa. Jeden z punktów ordynacji komisyj Cywilno-Wojskowych nakazywał wprowadzenie paszportów powiatowych oraz bezwzględne zatrzymywanie ludzi, którzyby chodzili po kraju bez nich lub też bez zaświadczeń od korpusów wojskowych, dziedziców, czy pracodawców. Ludzie zatrzymywani mieli być przez Komisje badani, kim są, skąd przybywają i dokąd idą, oddawani do wojska, lub inaczej ukarani „jeśli się dezertkami, czy ćwierć roku bez służby bawiącymi włóczęgami być pokażą“. Surowe kary czy to pieniężne, czy cielesne, zależnie od stanu i stopnia zamożności przekraczających prawo, nakładane być miały na tych, którzy takich ludzi ukrywali, pomagali im, lub przyjmowali do jakiegokolwiek pracy bez zaświadczeń.¹⁰⁰

Komisje Cywilno-Wojskowe bardzo poważnie potraktowały ten artykuł swej ordynacji, który kładł na nie obowiązek zatrzymywania i karania ludzi bez paszportów. Gorliwość wyrażała się w często powtarzanych uniwersałach, obwieszczeniach, w uświadamianiu ludności i karaniu tych, którzy wbrew zarządzeniu przepuszczali ludzi bez paszportów i zaświadczeń lub też przyjmowali ich do pracy.

Przymus paszportowy, zaprowadzony na terytorjum całego państwa i rygorystycznie przez władze administracyjno-policyjne przestrzegany, był w Polsce nowością. Ludność z trudem wdrażała się do przestrzegania przepisu, przekraczając go w praktyce i zaniedbując zaopatrzenia się w potrzebny dokument. Ludność luźna, której sensem istnienia, była właśnie „luźność“, swoboda poruszeń i niezwiązanie ze stałym miejscem pracy i zamieszkania, niemal z reguły zaniedbywała zaopatrywania się w paszport. Tembardziej, że nie zważały na nie najczęściej ani gromady wiejskie, które wbrew zakazowi przepuszczaly ludzi, chodzących bez zaświadczeń, ani karczmarze, zainteresowani w zysku i w ożywionej migracji, a bardzo często lekceważyła je szlachta, dwory, pracodawcy, przyjmując do pracy ludzi, nieopatrzonych w paszporty lub zaświadczenia.

To też w sieci Komisyj wpadali ci, którzy spowodu braku paszportu lub zaświadczenia nie byli w zgodzie z przepisem policyjnym; właściwie wpadała ta ich część, która trafiła na stróżę, bądź na dwór, przestrzegający przepisu, rzadziej na karczmarza, odstawiającego do Komisji człowieka, który nie miał wymaganego dokumentu.

Zatrzymani byli to ludzie najrozmaitsi: kupcy domokrażni, rzemieślnicy wędrowni, kramarze, wyrobownicy różnego rodzaju, parobcy,

służący, chłopci idący na jarmark, czasem podróżująca szlachta, dezertery wojskowi, zawodowi żebracy i włóczędzy, słowem, ci wszyscy, którzy ruszali się, zmieniali miejsce pobytu, byli w drodze, szli w określonym lub nieokreślonym celu i kierunku. Rzecz oczywista, że wśród zatrzymanych ludzi najczęściej było wyrobników, służących, włóczęgów, żebraków, dezertarów, tych więc, którzy ze względu na swe niezwiązanie najczęściej nas interesują. Przeciwno nim właśnie skierowany był przymus paszportowy. Akta Komisji pozwalają nam niejako zatrzymać ich w ruchu i objąć spojrzeniem tę grupę ludności, której poznanie i opis odgrywa tak ważną rolę w naszej pracy.

W aktach Komisji Cywilno-Wojskowych pozostały protokoły indagacyj poszczególnych zatrzymanych ludzi, materiał żywy, bezpośredni, bezcenny dla poznania ludzi, których dotyczy.

W rezultacie indagacyj otrzymywano często zwięzłe wprowadzie, ale pełne życia, rzecby można, *curricula vitarum* zatrzymanych osób. Dowiadujemy się często o ich pochodzeniu, o tem co robili w ciągu ostatnich lat kilku, a nawet kilkunastu, jaka była ich rzeczywista postawa w stosunku do pracy takiej czy innej, jakie zarobki i zajęcia, jakie obyczaje. Dzięki temu materiałowi terminy takie jak: „człowiek luźny“, „wyrobnik“, „służący“, „włóczęga“, „żebrak“, „hultaj“ wreszcie — nabierają życia, właściwego epoce znaczenia i stają się określeniami, za którymi stoją żywi ludzie — ludzie XVIII wieku, dający się scharakteryzować, jako typy społeczne w drodze zestawienia całego szeregu niezależnych charakterystyk i stwierdzeń indywidualnych.

Materiał ten, jako źródło historyczne do poznania tej grupy ludności, ma wartość nieocenioną. Przenosi nas w sposób sugestywny w atmosferę i zjawiska epoki minionej, wnosi bardzo bogaty zasób faktów i anegdot, pozwalający, jak żaden inny z dotychczas poznanych, odtworzyć interesujący nas wycinek rzeczywistości. Wprawdzie zdarza się nieraz, że ten lub inny szczegół w zeznaniach poszczególnych ludzi budzi wątpliwości co do swej prawdziwości, jeśli chodzi o fakty z życia danej jednostki. W znaczeniu społecznym wszystkie szczegóły są prawdziwe i wszystkie stanowią rysy charakteryzujące interesującą nas kategorię społeczną. Dotyczą bowiem sytuacji możliwych i mieszczących się w ówczesnych stosunkach społecznych. Najczęściej bywają nieprawdziwe motywy nieposiadania zaświadczenia czy paszportu, lecz te, jak i inne kłamliwe szczegóły, po wczytaniu się w owe protokoły indagacyj, dają się łatwo wykryć i w niczem nie

obniżają wartości tego materiału. Naogół jednak zatrzymani ludzie zeznają „dobrowolnie“, jak podkreślają protokoły, szczerze i prawdziwie, nie ukrywając włóczęgi, prac porzucanych przed terminem, kradzieży — w zrozumiałym przekonaniu, iż są to fakty zbyt ogólne i codzienne, by mogły być karane i by warto je było ukrywać.

Interesujący dla nas jest nie tylko produkt policyjnej działalności komisji w postaci protokołów indagacji, ale także i produkt ich działalności sądowej: szereg spraw o zbiegostwo z poddaństwa czy ze służby i ich okoliczności, zatargi pracy, w których jedną ze stron są nasi ludzie. Sprawy te ujawniają splot faktów i zjawisk, związanych z różnymi rodzajami pracy oraz z postawą ludzi pracę tę wykonywujących. Stanowią więc z naszego punktu widzenia materiał źródłowy bardzo cenny dla poznania ludzi luźnych, t. j., używając terminów nam bliższych, wszelkiego rodzaju wyrobników, najemników i włóczęgów. Jeśli uwzględnimy, że tego typu materiał poznaliśmy dla różnych części kraju, od Wizny poprzez Czersk, Rawę, Kalisz, Wieluń, Radomsko, Lelów, Kraków, a więc od północo-wschodu aż do południo-zachodu poprzez powiaty zachodnie i środkowe, to stwierdzenia nasze i wnioski możemy odnieść do całej Korony, a nawet rozszerzyć i na inne dzielnice państwa.

Wyżej scharakteryzowaną grupę źródeł uzupełniamy źródłami innego rodzaju. Są nimi: prywatna korespondencja gospodarcza, publicystyka ówczesna, oraz zarządzenia władz w stosunku do interesującej nas ludności, jako całości, czy też w stosunku do pewnych jej grup. Korespondencja i w ogóle archiwa gospodarcze prywatne dostarczają nam danych o płaćach, kontraktów pracy, wiadomości o bolączkach dnia codziennego w związku z najemnikami i wyrobnikami, słowem, tego wszystkiego, co doskonale uzupełnia i jednocześnie sprawdza materiał z Komisji Cywilno-Wojskowych. Publicystyka ówczesna, przesiąknięta sprawami dnia codziennego, odzwierciadlająca zjawiska życia gospodarczego i społecznego, porusza niejednokrotnie w formie krytyki stanu obecnego i projektów na przyszłość cechy usposobienia, zachowania się i zwyczaje tej ludności, która, w związku z rodzącym się przemysłem, zaczęła zwracać na siebie szczególną uwagę bynajmniej nie wyłącznie z punktu widzenia porządkowego. Zarządzenia władz są jednocześnie materiałem dla stwierdzenia stanu faktycznego, jak i symptomem, wyrazem zachodzących zmian społeczno-gospodarczych.

W ten sposób dobrane grupy źródeł pozwolą nam, jak sądzimy, wniknąć w konkretne fakty z zakresu sposobu życia i pracy ludności luźnej, nakreślić sobie jej obraz i oprzeć zbadanie przydatności tych ludzi na robotników manufakturowych na podstawie ścisłego, naukowego stwierdzenia i zestawienia.

III.

W wysunięciu na plan pierwszy przy badaniu spłotu zagadnień, związanych ze znalezieniem odpowiednich dla przedsiębiorstwa przemysłowego rąk do pracy, studjum ludności luźnej, ludności, uznanej przez historyków gospodarczych za naturalny rezerwuar siły roboczej dla rodzącego się przemysłu kapitalistycznego, różnimy się ujęciem zagadnienia zarówno od historyków, zajmujących się problemem rekrutacji robotników do manufaktur w krajach europejskich, jak i od historyków polskich.

Stwierdzić należy przedewszystkiem, że niewiele w dotychczasowej literaturze naukowej jest prac, poświęconych specjalnie badaniu problemu robotnika manufakturowego, a więc badaniu warunków „ludzkich“, w których kształtował się przemysł rękodzielniczy. Pewnym stronom tego zagadnienia poświęcone są niektóre tylko rozdziały prac, zajmujących się czy to przemysłem manufakturowym i jego rozwojem, czy też zmianami ideologii dobroczynności, oraz zmianami w wartościowaniu moralnym i społecznym pracy ludzkiej w epoce oświecenia.

Jeśli więc chodzi o literaturę francuską, to znajdujemy w niej sporo materiału faktycznego, dotyczącego różnych form pracy, stosowanej w manufakturze, warunków pracy, wyzyskiwania pracy przymusowej, sposobów zwalczania włóczęgostwa, żebractwa, „próżniactwa“ w imię produktywizacji ludności na korzyść przemysłu. Dużo pod tym względem dają prace Boissonnade'a, szczególnie praca poświęcona okresowi Colbert'a. Nie wnikają one jednak w sedno interesującego nas zagadnienia i nie usiłują znaleźć wyjaśnień dla poszczególnych opisywanych faktów w głębszej analizie tych zjawisk. W pracach tych kwestja pochodzenia, rekrutacji i urabiania robotnika manufakturowego w zależności od charakteru ludności najemnej nie stanowi problemu odrębnego i nie wychodzi poza opis.

Problem wystarczających i odpowiednich rąk do pracy dla industrializmu — poza Marksem, który w zasadniczych rysach tylko wskazał na proces wytwarzania się wolnych najemników i wchłanianie ich przez przedsiębiorstwo kapitalistyczne, — postawił Sombart w ramach ogólnych i raczej w teoretycznym sformułowaniu w *Der Moderne Kapitalismus*, oraz rozwinął i sprawdził na przykładzie historii przemysłu w Prusiech uczeń jego Hinze.

Sombart rozbił zagadnienie siły roboczej na dwie kwestje: jak i dlaczego powstała dostateczna liczba ludzi nic nie posiadających (najemnych robotników *in potentia*), oraz: w jaki sposób przedsiębiorca zdobył sobie siłę roboczą (robotników najemnych *in actu*). Kwestja pierwsza, bez wątpienia ogromnie doniosła, dotyczy procesu społecznego pierwszorzędnej wagi, zarówno dla zrozumienia struktury społecznej okresu, jak warunków powstawania przemysłu kapitalistycznego. Wychodzi ona jednak poza granice naszego badania. Jedną z przesłanek tego badania będzie już produkt rzeczzonego procesu — liczni ludzie nic nie posiadający i zdani na pracę rąk własnych — bez analizy przyczyn tego zjawiska czy też przebiegu samego procesu. Sięga on w czasy średniowieczne; poznanie go wymaga studjów specjalnych, wychodzących poza nasze zadanie. Z ujęcia więc problemu przez Sombarta interesuje nas bezpośrednio rzecz inna, mianowicie, jak, zdaniem jego, rozwiązuje się sprzeczność między brakiem robotników w manufakturach, a jednoczesnym istnieniem dużej ilości ludzi bez stałego warsztatu pracy, czynnych i zarabiających dorywczo, włóczących się i żebrzących, będących prawdziwą plagą społeczną, z którą walczą władze; sprzeczność, którą dostrzegł i podkreślił, jako zjawiska pozostające we wzajemnym stosunku do siebie i które muszą być ze sobą zestawione. Czemuż ci najemni robotnicy *in potentia* tak wolno i opornie stają się robotnikami *in actu*? to zagadnienie sformułował Sombart i zdaniem naszym jego sformułowanie ma dużą doniosłość teoretyczną.

Sombart poszedł jeszcze dalej, gdyż wskazał nietylko, że w zestawieniu wyżej wymienionej sprzeczności tkwi problem, ale także drogę jego rozwiązania przez doszukiwanie się w postawie ludności wolnej, w stosunku jej do pracy i zarobku, istotnych przyczyn nie-trafiania jej do manufaktur i istnienia paradoksalnej, w naszym pojęciu, sytuacji: fizycznej obecności robotników i faktycznego ich braku. Na podstawie przykładów z różnych krajów wskazał na niechęć ludzi

do pracy stałej, regularnej, a więc takiej, jakiej wymagał od nich kapitalistyczny system przemysłowy. Przytacza poglądy współczesnych lenistów, próżniactwo, wstręt do systematycznej pracy ludzi tego okresu, oraz wprowadzane w praktykę poglądy, że jedynie niską płacą można ich wdrożyć do pracy regularnej. Tę postawę robotnika uważa Sombart za naturalną, t. j. odpowiadającą typowi człowieka przedkapitalistycznego, zarabiającego tylko na jakieś wyżywienie się, opanowanego niejako przekonaniem: *dass man wirtschaftet, arbeite um zu leben, nicht lebe um zu wirtschaften, zu arbeiten*.¹⁰¹

Jak widać z powyższego, Sombart kładzie główny nacisk na nieprzystosowanie robotnika do stałej pracy manufakturowej i na jego postawę, odpowiadającą średniowiecznej gospodarce naturalnej i średniowiecznemu porządkowi społecznemu. Stwierdzenie powyższe służy Sombartowi za odskocznię do rozpatrywania różnych form rekrutacji robotników i pracy przymusowej w manufakturze oraz do charakterystyki polityki robotniczej państwa.

Doniosłość wywodów Sombarta polega głównie na tem, że ze względu na syntetyczny i systematyczny charakter dzieła i one noszą charakter syntetyczny i ujmują zagadnienie w skali europejskiej dla okresu wczesno-kapitalistycznego. Mają one jednak jednocześnie braki wielu tego rodzaju stwierdzeń ogólnikowych, nie będących końcowym ujęciem syntetycznym pogłębionych, wyczerpujących badań monograficznych, lecz raczej dopiero sformułowaniem kwestji i próbą rozwiązania na podstawie analizy, przykładów i faktów typowych, dobranych ze wszystkich krajów i przynajmniej trzech wieków. Większym jednak brakiem jest to, że w sformułowaniu problemu przez Sombarta, obok postawy formalnej i negatywnej robotnika ówczesnego, nie zostały uwzględnione także jego cechy pozytywne, jego charakter, jako czynnika życia społecznego. Z tego też względu charakterystyka sprowadzona do kilku postaw formalnych, jako to: niechęć do pracy regularnej, dążenie tylko do wyżywienia się, brak zrozumienia owych kandydatów na robotników przemysłowych dla zarobku i zysku, jest niewystarczająca i słowna, bo sprowadzona do pojęć, za którymi nie stoi człowiek żywy, działający, odgrywający swą rolę w systemie, w którym żyje — najemnik wczesno-kapitalistyczny.

W jaki sposób zarabkował, żył, jakiego typu prace przekładał nad inne, jak je wykonywał? czy był elementem produktywnym i wchłanianym przez aparat produkcyjny mimo swego nieprzywią-

zania do określonego warsztatu pracy? jak wysokie były jego zarobki, jakie były potrzeby życiowe, jaka była jego obyczajowość w najszerszym rozumieniu — oto pytania, raczej działy opisu, których wypełnienie faktycznym materiałem dać nam może dopiero prawdziwe pojęcie o interesującym nas człowieku luźnym, że użyjemy terminu polskiego. Dopiero tak zakrojona charakterystyka społeczna stać się może elementem istotnym w badaniu naszej kwestji. W gruncie rzeczy bowiem ów człowiek średniowieczny, myślący li tylko o wyżywieniu się, jest taką samą konstrukcją pomocniczą, jak jego przeciwieństwo *homo oeconomicus*, powodujący się wyłącznie dążeniem do zysku. By dotrzeć do istoty naszego problemu, unikać musimy zastępowania rzeczywistości konstrukcjami.

Powyższy brak w wywodach Sombarta nie jest bynajmniej wynikiem tylko ogólnego charakteru jego dzieła i, co za tem idzie, niemożliwości wyczerpania kwestji; wiąże się on z jego postawą poznawczą i ujęciem problemu, w którym zjawiska podstawowe zostały potraktowane czysto formalnie, z pominięciem tkwiącej w nich treści społecznej i ich złożoności.

Za dowód, że tak jest, posłużyć może praca ucznia Sombarta, Hinze'go, p. t. *Die Arbeiterfrage zu Beginn des modernen Kapitalismus in Brandenburg—Preussen, 1927*, — praca ogromnie cenna i jedyna bodajże dotychczas w literaturze naukowej specjalnie poświęcona zagadnieniu rąk roboczych w przemyśle manufakturowym. „Sombartowskie“ formalne i schematyczne ujęcie zjawisk sprawiło, że problem nie znalazł w pracy całkowitego rozwiązania, że dwa jego oblicza — analiza czynników gospodarczo-społecznych, powodujących brak robotników przemysłowych, i sposoby ich rekrutacji i wykształcenia dla manufaktury — zostały potraktowane w sposób nierówny pod względem zgłębienia zagadnień, ich podstawy źródłowej i wyników naukowych badań.

Jeśli chodzi więc o tę część pracy, która poświęcona jest rekrutacji robotników, a więc opisowi mechanizmu państwowego i prywatnego z wszystkimi jego sposobami, zmierzającymi do wyciągnięcia ze społeczeństwa potrzebnej armji robotników przemysłowych i jakościowego ich urobienia, to ma ona wartość ogromną i jest niezwykle cennym wkładem do badań nad okresem wczesno-kapitalistycznego przemysłu. Praca Hinze'go, oparta na bardzo bogatym materiale archiwalnym, dotychczas niewyzyskanym, daje wyczerpujące pozna-

nie całego systemu sposobów i metod dostarczania rodzącemu się industrjalizmowi robotnika, daje poznanie mechanizmu rekrutacji robotnika zarówno zagranicznego jak i miejscowego. Ta część pracy przesądza o wartości jego dzieła i stwarza doskonały wzór badań analogicznych dla innych krajów.

Jeśli chodzi jednak o pierwszą część pracy, o analizę tych czynników społeczno-gospodarczych, z których wyrósł problem robotnika manufakturowego w jego specyficznej postaci, to, zdaniem naszym, autor stwarza raczej pozory ich wyjaśnienia; ulega bowiem „sombartowskiemu“ formalnemu ujęciu zjawisk, bez uwzględnienia ich konkretnego charakteru społecznego oraz ich funkcjonowania. Do tej części pracy Hinze'go odnoszą się nasze zastrzeżenia.¹⁰²

Autor rozpatruje ludność Brandenburgji od strony ilości i jakości. Na podstawie danych cyfrowych, których ścisłość i wiarygodność sam podaje w wątpliwość, wykazuje, że Marchja Brandenburska była uboga w ludność, że przeciętna gęstość zaludnienia na klm² była niższa, niż w innych krajach, że wreszcie ogromna część ludności była, wyrażając się terminem dzisiejszym, zawodowo czynna w rolnictwie, rzemiośle i służbie wojskowej; stąd wniosek, że element zdeklasowany, niezwiązany i niezaszeregowany nie był w rzeczywistości tak liczny, jakby to wynikało ze skarg na niedające się zlikwidować żebractwo i włóczęgostwo, uprawiane przez ludzi w pełni sił, zdolnych do pracy.

Analiza ilościowa ludności doprowadza Hinze'go do wniosku, że już w sensie fizycznym zamało było ludzi do pracy w manufakturach, abstrahując od ich właściwości i postawy w stosunku do pracy takiej czy innej.

Niezależnie od analizy ilościowej wysuwa autor moment jakościowy przez danie ogólnej, opartej na zdaniach współczesnych, charakterystyki postawy w stosunku do pracy i zarobku człowieka średniowiecznego, postawy, która nie sprzyjała przejściu robotników *in potentia* do szeregów robotników przemysłowych.

Jak zaznaczyliśmy, analiza ilościowa i jakościowa stosunków ludnościowych przeprowadzona przez Hinze'go, zdaniem naszym, nie wyjaśnia istoty zjawisk, które uwarunkowały zarówno charakter problemu robotnika manufakturowego, jak i sposoby praktyczne jego rozwiązania. Ostre oddzielanie strony ilościowej od jakościowej; operowanie oderwaniami kategorjami gęstości zaludnienia, grup zawodo-

wych i stanowych w sensie czegoś stałego, zamkniętego i oddzielnego od reszty; stwierdzenie negatywnej postawy ludności w stosunku do pracy manufakturowej bez bliższego określenia, o jaką to ludność chodzi; rozpatrywanie zjawisk w przekroju statycznym, bez wypełnienia konkretną treścią i dynamiką życia społecznego, sprawiają, że często używany przez autora zwrot „brak robotników“ nie jest jasny co do charakteru tego braku. Brak bowiem analizy konkretnych, typowych wypadków powoduje, że nie orjentujemy się, czy mamy do czynienia z brakiem robotnika w sensie fizycznym, statystycznym, czy też niedostatkiem wywołanym jakością społeczną ludzi pracujących i ich postawą w stosunku do nowego typu pracy.

Jak dalece zawodne jest wyjaśnienie interesujących nas zjawisk przy pomocy, tak wątpliwej zresztą co do swej ścisłości, struktury liczbowej ludności, świadczą fakty zaczerpnięte z wyników pracy tegoż Hinze'go: przy zastosowaniu mniej lub bardziej przymusowych sposobów rekrutacji znaleźli się miejscowi robotnicy do manufaktur (robotnik zagraniczny był przeważnie robotnikiem wysoko kwalifikowanym i stanowił personel instruktorski i kierowniczy), czyli, że istnieli oni *in potentia*, jako liczba, nie istnieli natomiast, jako odpowiednia jakość i jako dobrowolni kandydaci. Stwierdzenie, że olbrzymi procent ludności brandenburskiej zajmował się rolnictwem, nie przesądza bynajmniej sprawy, by ludność ta nie wchodziła w grę dla manufaktury. Czyż wśród tej ludności nie było małaorolnych i bezrolnych, czy nie wychodziła jej część ze wsi na wyrobek, nie odrywała się od niej, nie wędrowała po kraju w charakterze ludności luźnej, nie przywiązanej do żadnego stałego warsztatu pracy? Czy miasta i miasteczka nie wyrzucały elementów zdeklasowanych i zmuszonych do zarabiania wyrobkiem i służbą? Oto istotne momenty przy rozpatrywaniu naszego zagadnienia. Liczba ogólna czy wyliczenie procentowe, choćby najbardziej ścisłe, nie mówią nic bez uwzględnienia zróżnicowania jakościowego, stopnia płynności, konieczności dorabiania i sposobów dorabiania, stopnia ruchliwości itd. Ludność wiejska stanowiła poważny element ludzki, na którym oparła się manufaktura, niewiadomo jednak, by działało się to kosztem rolnictwa i wywołało w niem jakiś kryzys.

Tak samo czysto formalne i nic nie wyjaśniające jest twierdzenie Hinze'go, że liczne wojsko Brandenburgji przyczyniło się w znacznej części przez związanie dużej liczby ludności ze służbą wojskową do

braku robotnika. Jak niewiele znaczy oderwana liczba, przekonywa nas i w tym wypadku sam autor, gdy mówi o szeroko stosowanym systemie urlopowania i niemożności wyżywienia się za niewystarczającą na utrzymanie żołd, o ogromnej liczbie przy garnizonach kobiet i dzieci żołnierskich, także niedostatecznie zaopatrzonych i zmuszonych do dorabiania, by się wyżywić.¹⁰³ Gdy wreszcie zważymy zdyscyplinowanie elementu wojskowego, to dojdziemy do wniosku, że system wojskowy pruski przez odrywanie ludzi od tradycyjnego stałego warsztatu pracy,¹⁰⁴ przez ujęcie ich w karby dyscypliny — jakże podobnej do dyscypliny manufakturowej!¹⁰⁵ — nie tylko że nie usuwał z pod zasięgu manufaktury ludzi, ale przez stosowanie urlopów produkował ów element oderwany, zmuszony do zarabiania wyrobkiem, bardziej może niż inny znajdujący się w położeniu przymusowem i trafiający do manufaktury. Rozdział, poświęcony rekrutacji robotników z elementu wojskowego służyć może za dowód słuszności powyższych uwag i wykazać raz jeszcze, jak liczby same przez się niewiele wyjaśniają, a powiedziałyby nawet, jak zaciemniają przez stwarzanie pozorów wyjaśnień; jak mało przydatny jest formalny podział na kategorie ludności bez uwzględnienia społecznych warunków życia poszczególnych rozpatrywanych grup społecznych. Nie rozpatruje autor zresztą pod względem liczbowym najbardziej interesującej nas grupy — ludności wyrobniczej, włóczęgowskiej i żebrackiej, o której twierdzi tylko, że nie była tak liczna, jak myślano i jak się wydaje na podstawie licznych edyktów i skarg.

Jeśli nawet przyjmiemy za Hinze'm, że rzeczywiście Brandenburgja przedstawiała się szczególnie niepomyślnie pod względem zaludnienia, że ludności było mało i że brak robotnika był częściowo spowodowany niedostatkiem ludzi do pracy, to istoty tego braku doszukiwać się musimy gdzieindziej, gdy zważymy, że dawał on się odczuwać w sposób równie dotkliwy we Francji w okresie Colbert'a, mimo, że ludności było dość, oraz w miastach o dużym skupieniu, w których istnieje liczna ludność uboga, zarobkująca wyrobkiem. W sposób jaskrawy występuje problem robotnika manufakturowego w Warszawie, do której ściągają ludzie luźni za zarobkiem ze wszystkich stron kraju. Właśnie fabrykanci warszawscy oprzeć muszą swe przedsiębiorstwa na pracy przymusowej, podczas gdy, jakśmy widzieli, znaczna część ludności Warszawy w okresie Sejmu Wielkiego była „bez sposobu do życia“ i najemników wszelkiego rodzaju było pod-

dostatkiem. Pod względem liczebnym, aż zawiele ludzi w stosunku do potrzeb manufaktur — a jednak robotników brak, czy też są oni nieodpowiedni.

Jak zaznaczyliśmy i Hinze kładzie duży nacisk na moment jakościowy w trudnościach znalezienia robotników manufakturowych. Ujęcie tej strony problemu wydaje się tak samo uproszczone i grzeszące formalnym traktowaniem zjawisk, jak i poprzednia analiza. Częściowo poddaliśmy już krytyce przy omawianiu wywodów Sombarta wyjaśnienie negatywnej postawy ludzi ówczesnych w stosunku do pracy dążeniem tylko do wyżywienia się; *Idee der Nahrung*, jak nazwał ją Sombart,¹⁰⁶ która sprawiała, że człowiek pracował tylko tyle, ile było koniecznie potrzeba, by utrzymać się przy życiu. Nie kwapił się z pójściem do manufaktury, do pracy stałej. Bezsprzecznie jest to postawa dająca się stwierdzić u ludzi przedkapitalistycznych i stanowiąca ich cechy istotne. Ale jako zrozumienie problemu robotnika manufakturowego nie wystarcza; przecież i dzisiejszy robotnik pracuje, by się wyżywić, a nie, by się dorobić, ma jednak zasadniczo inną postawę w stosunku do pracy i życia. *Idee der Nahrung* jest abstrakcją, w sposób racjonalistyczny wyjaśniającą postępowanie człowieka; będzie nią tak długo, dopóki w faktycznym konkretnym materiale nie poznamy sposobów życia tych ludzi, sposobów zarobkowania, rzeczywistej postawy w stosunku do pracy. Dopiero te stwierdzenia, w zestawieniu z tem, co wiemy o charakterze pracy w manufakturze, wyjaśnić nam mogą dlaczego robotnik rzadko dobrowolnie szedł do manufaktury,¹⁰⁷ dlaczego był strzeżony przed ucieczką, wzięty w karby żelaznej dyscypliny, dlaczego wreszcie sprawiało tak wiele trudu nagięcie go i przyzwyczajanie do nowego typu pracy. Abstrakcyjna *Idee der Nahrung* jest raczej symbolem całego kompleksu zjawisk, które powinny być na podstawie faktycznego materiału poznane w ich funkcjonowaniu.

Zagadnienie rąk roboczych dla powstających manufaktur znalazło także uwzględnienie w literaturze naukowej rosyjskiej.

Poświęcił mu dużo uwagi Tuhan-Baranowski w swem znanem dziele *Russkaja fabrika w prošłom i nastojaszczem*, zajmują się niem obecnie jako zagadnieniem specjalnem uczeni sowieccy.

Jedną z głównych trudności, na którą napotkali przedsiębiorcy przemysłowi w Rosji w wieku XVIII, był brak robotników, na co się ustawicznie uskarżają. Brak robotnika wolnonajemnego sprawił, że

manufaktury rosyjskie okresu Piotra Wielkiego nieomal wszystkie posługiwały się pracą przymusową — przeważnie pracą chłopów poddanych, którzy odrabiali pańszczyznę w fabryce, względnie byli do fabryki przypisani. Ukaz Piotra I z 1721 r., pozwalający przemysłowcom nieszlacheckiego pochodzenia kupować wsie i użyć osiadłych w nich poddanych do pracy przemysłowej, był usankcjonowaniem nieuniknionej konieczności oparcia manufaktur rosyjskich na przymusowo zatrudnionym elemencie chłopskim. Poza tem zmuszano do pracy przemysłowej włóczęgów, żebraków, sieroty, żony żołnierskie — różne zdeklasowane elementy społeczne.

Jeśli więc chodzi o faktyczny stan rzeczy i historyczne poznanie manufaktur od strony zatrudnionego w niej robotnika, to nauka rosyjska doszła do rezultatów poważnych. Musimy jednak ocenić jej wyniki z punktu widzenia naszego problemu. Czy był on stawiany, i jakie znalazł rozwiązanie?

Tuhan-Baranowski usiłuje wyjaśnić dlaczego oparto przedsiębiorstwa przemysłowe tego okresu na przymusowo zatrudnionym robotniku.¹⁰⁸ Zdaniem jego, w ówczesnych warunkach społeczno-gospodarczych rosyjskich mało było rozporządzalnych najemników wolnych, mogących pracować w przemyśle; koniecznością gospodarczą było więc zastosowanie pracy przymusowej, co skłania autora do twierdzenia, że ówczesne przedsiębiorstwa przemysłowe nie były kapitalistyczne, właśnie spowodu zastąpienia pracy wolnonajemnej pracą przymusową, i to najczęściej ludzi niewolnych. Pracę przymusową w przemyśle wyjaśnia więc autor ilościowym brakiem robotników wolnych, przytaczając liczne skargi fabrykantów na groźną dla rozwoju przemysłu trudność dostania robotnika. Jest to wyjaśnienie niedostateczne. Bo oto Tomsinskij stwierdza,¹⁰⁹ że w miastach był duży rezerwuar wolnonajemnych sił roboczych, zastosowanie zaś pracy przymusowej poddanych w przemyśle wynika, jego zdaniem, z faktu ustroju feudalnego Rosji wieku XVIII, w którym nie mieściło się przedsiębiorstwo kapitalistyczne; warunkiem bowiem zaliczenia zakładu przemysłowego do przedsiębiorstw kapitalistycznych jest stosowanie w niem pracy wolnonajemnej.

Pomijamy w tej chwili kwestję czy za przedsiębiorstwo kapitalistyczne uznać można tylko takie, które oparte jest na robotniku wolnonajemnym. Z postawienia sprawy przez Tuhan-Baranowskiego i Tomsinskiego wynika jedno: że ani jeden, ani drugi nie zwrócił,

właściwie uwagi na konieczność poznania pod względem ilościowym i jakościowym najemnika wolnego. Gdy więc Tuhan-Baranowski twierdzi, że było go mało, Tomsinskij — że zwłaszcza po miastach był dość znaczny rezerwuar wolnych rąk roboczych. Jakżeż więc było w rzeczywistości?

Schemat ustroju feudalnego zaciążył zarówno nad badaniami Tuhan-Baranowskiego, jak i Tomsinskiego, choć w sposób różny. Tuhan-Baranowski bowiem, wychodząc ze wspomnianego schematu, bez dalszego badania, stwierdził ilościowy brak robotnika — dla niego bowiem wystarcza stwierdzenie, że społeczeństwo jest feudalne, by nie przypuszczać istnienia w niem elementów niezwiązanych, wolnonajemnych. Tomsinskij uznaje wprawdzie istnienie tych elementów, ale, wychodząc także ze schematu, stara się wyjaśnić, że w ustroju feudalnym nie mieściło się pojęcie, a co zatem idzie, zastosowanie pracy wolnonajemnej w przemyśle. Stąd polemika jego z Tuhan-Baranowskim i Złotnikowem, zmierzająca do wykazania, iż od samego początku swego istnienia przedsiębiorstwo przemysłowe rosyjskie opierało się na pracy przymusowej.

Najbliższy jest istoty problemu, zdaniem naszym, właśnie Złotnikow,¹¹⁰ który dowodzi, iż dopiero za Piotra Wielkiego usiłowano w tak szerokiej mierze stosować pracę przymusową, pracę chłopów pańszczyźnianych, która wyparła początkowo stosowaną pracę najemną. Robotnik wolnonajemny był oporny, nie dawał takich gwarancji ciągłości pracy, posłuszeństwa, jak robotnik przymusowo zatrudniony. Jeśli uwzględnimy długie kontrakty pracy, któremi związywano wolnych robotników przemysłowych oraz majstrów, to wydaje się, iż Złotnikow dotknął istoty zagadnienia.

Problem w naszym ujęciu nie znalazł pełnego rozwiązania. Tomsinskij, stwierdzając powstanie manufaktury w ustroju feudalnym, wręcz neguje potrzebę badań dalszych. Uważa, że niema potrzeby wdawać się w poszukiwania tych czy innych przyczyn zjawiska pracy pańszczyźnianej w manufakturach. Zjawisko to bowiem wyjaśnia się dlań całkowicie feudalnym, pańszczyźnianym ustrojem Rosji wieku XVIII. Tuhan-Baranowski mylnie stawia zagadnienie w płaszczyźnie czysto ilościowej. Złotnikow zaś nie wchodzi głębiej w problem, którego dotknął.

*

*

Historja odrodzenia przemysłowego Polski za Stanisława Augusta, historja okresu manufakturowego, jest w literaturze naukowej polskiej zaledwie dotknięta. Rzec można, że od czasów Korzona leży odłogiem; nie posunęliśmy się w poznaniu historji przemysłu tego okresu niemal ani o krok naprzód i poprzestajemy na znajomości tego zrębu faktów, które znajdujemy w *Dziejach Wewnętrznych*, a które są dalekie od wyczerpania kwestji.¹¹¹ Jak dotychczas brak w literaturze naszej pracy gruntownej, poświęconej specjalnie wystudjowaniu przemysłu polskiego od strony jego organizacji, funkcjonowania i form, które przybrał.

Mało zadowolająca pod względem naukowym i pod względem wyników badań jest część pracy Wobłyja, poświęcona historji przemysłu naszego okresu w książce p. t. *Oczerki po istorji promyszlennosti w Polsce*,¹¹² mimo pozorów pójścia wgląd. Wobłyj, zasugerowany formami rosyjskiego przemysłu wieku XVIII, szukał w materiale polskim jedynie potwierdzenia gotowej teorii, co w połączeniu z bardzo ograniczonym materiałem źródłowym, którego często nie rozumiał, sprawia, że studjum jego mało wzbogaca wiedzę naszą o okresie manufakturowym w Polsce i częściowo wprowadza nas na błędne drogi.

Cóż wiadomo o robotniku manufakturowym w dotychczasowej literaturze?

Korzon podaje faktów bardzo niewiele. Co najwyżej podkreśla przy omawianiu tej czy innej manufaktury fakt sprowadzania rzemieślników zagranicznych (np. manufaktura grodzieńska), posługiwanie się pracą sierot (Kompanja Manufaktur Welnianych), włóczęgów (fabryka sukienna krakowska), gdzieśgdzie Żydów czy Żydówek, pracą poddanych. Jest to garść faktów, porozrzucanych wśród innych, interesujących, ale w swem oderwaniu i incydentalności, nie składających się na żadną całość. Na podstawie badań Korzona nie sposób zdać sobie sprawy na jakich elementach ludzkich opierała się manufaktura, czy i w jakiej postaci przejawiała się w Polsce kwestja rąk roboczych w wyżej podanem ujęciu, jakich czynników i zjawisk społecznych była wypadkową, jakie stosowano praktyczne sposoby wyjścia z sytuacji, dlaczego takie a nie inne.

Wobłyj nietylko że nie wniósł pracą swoją żadnych nowych faktów, ale całe zagadnienie robotnika przemysłowego ujął najzupełniej błędnie, w oderwaniu od faktów determinujących je, bez ich zrozumienia.

Urobiwszy sobie pogląd, że w Polsce istniały jedynie nieomal manufaktury szlacheckie, powstałe jako wynik „fanaberyj pańskich“ (*panskije zatiei*),¹¹³ stara się wykazać na podstawie zresztą tylko przedsiębiorstw Kompanji Manufaktur Wełnianych (głównie Węgrowska), do których materiał archiwalny znał, oraz fabryk grodzieńskich, opierając się wyłącznie na znanym ustępie z Coxe'a, że manufaktury polskie stosowały wszelkiego rodzaju pracę przymusową: pańszczyźnianą pracę poddanych, przymusową pracę włóczęgów, żebraków, sierot — wszelkiego rodzaju zbieraniny i mętów społecznych. Oparcie przedsiębiorstw przemysłowych na pracy przymusowej stało się, zdaniem Wobłyja, przyczyną ich upadku i dowodziło, że manufaktury polskie nie były wynikiem poważnej myśli gospodarczej, czy gospodarczego odrodzenia państwa, ale mało znaczącymi zachciankami pańskimi.

W ujęciu tem błędny jest zarówno pogląd na manufaktury polskie, jak i pogląd na stosowaną w nich pracę. Bo:

1-mo. Zanalizowanie jednej grupy źródeł, i to, jak wykazemy gdzieindziej, błędne, i oparcie się na relacji jednego podróżnika nie uprawniają do twierdzenia, że w manufakturach polskich stosowany był wyłącznie niemal system pracy poddańczej. Zużycie sił, obowiązanych do pańszczyzny, do przemysłu nie było rzeczą tak łatwą i chętnie stosowaną w Polsce, jak w Rosji, wobec dość powszechnego braku robocizny po wsiach.¹¹⁴ Nie spotkaliśmy stosowania pańszczyzny do przemysłu w Polsce, a w każdym razie do przemysłu przetwórczego. W tem mechanicznem przeniesieniu stosunków rosyjskich do Polski tkwi zasadniczy błąd Wobłyja. Nie uwzględnił autor takich manufaktur, jak Niemirowskiej, Staszowskiej, Łowickiej, Koreckiej, że zacytujemy je tylko przykładowo, które rzucają jasne zupełnie światło na zagadnienie rąk roboczych w ówczesnych przedsiębiorstwach przemysłowych. Nie uwzględnił także faktu podstawowego, że manufaktury polskie zakładane były przeważnie w miastach i miasteczkach, a nie we wsiach, co samo przez się wskazuje, iż praca pańszczyźniana ludności włościańskiej nie była przewidywana, jako podstawa tych przedsiębiorstw.

2-do. Twierdzenie, że stosowanie wszelkiego rodzaju pracy przymusowej w manufakturach było wynikiem „panującego wówczas poglądu“,¹¹⁵ który rzekomo bardziej przyjął się w Polsce, niż gdzieindziej, że na elementach przymusowo zatrudnionych oprzeć się da

rentowne przedsiębiorstwo przemysłowe, co daje autorowi jedynie okazję do swego rodzaju spóźnionego kazania pod adresem owych niemądrych przedsiębiorców — naukowo jest najzupełniej błędne. Tego rodzaju „poglądy“ nie powstają bez przyczyny; powszechne i szerokie stosowanie pracy przymusowej we wszystkich krajach w okresie wczesnego kapitalizmu, nie wyłączając Anglii, każe szukać w konkretnych zjawiskach społecznych uzasadnienia tego zastanawiającego systemu. Fakt, iż nietylko w Polsce, ale gdzieindziej stosowano także pracę przemysłową w przemyśle, wywołuje zdziwienie Wobłyja, nie pobudza go do zastanowienia się nad społecznym sensem tego zjawiska. Jest to tem dziwniejsze, że wspomniany przez nas Tuhan-Baranowski, którego pracę Wobłyj zna i cytuje, usiłuje znaleźć wyjaśnienie w stosunkach ekonomiczno-społecznych zastosowania pracy przymusowej w Rosji; znajomość studjum Tuhan-Baranowskiego zobowiązywała niejako badacza zagadnień analogicznych do głębszego ujmowania zjawisk i uwzględnienia warunków, w których rozwijał się przemysł wczesno-kapitalistyczny. Nie znajdujemy u Wobłyja nawet wzmianki o ówczesnym wolnym najemniku, owym naturalnym elemencie ludzkim kapitalistycznego przedsiębiorstwa przemysłowego. Czy był taki i czy był odpowiedni, czy chciał i umiał pracować w manufakturze? Ta zasadnicza kwestja dla Wobłyja nie istnieje.

Jak widzimy Wobłyj nie dostrzegł wogóle istoty zagadnienia, oparł się na materiale tak fragmentarycznym, że nie uprawniającym w żadnym razie do wniosków ogólnych, na które pozwala sobie autor; całą sprawę sprowadził na bezdroża apriorycznych rozważań i błędnych stwierdzeń. Poglądy jego stały się monetą obiegową w literaturze gospodarczej Polski i po dziś dzień są powtarzane bez sprawdzenia i bez gruntownej rewizji.¹¹⁶

Profesor Rutkowski nie zajmował się specjalnie w swych badaniach historją przemysłu w okresie Stanisława Augusta. Musiał więc z konieczności oprzeć się w swym *Zarysie Gospodarczych Dziejów Polski* na cytowanych pracach.¹¹⁷

Chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę na jeden ustęp z rozdziału, poświęconego przemysłowi, odbijający abstrakcyjny charakter rozważań dotychczasowych nad zjawiskami, dotyczącymi manufaktur i robotników w nich zatrudnionych. Stosowanie pracy przymusowej w manufakturach w miastach wyjaśnia Rutkowski słowami: „Spowodowało małego napływu ludności wiejskiej do miast z przyczyny pod-

daństwa odczuwano tu brak robotników przemysłowych.¹¹⁸ Względem ten, a więc w ujęciu Rutkowskiego, brak fizycznych jednostek wolnonajemnych do pracy zmuszał przedsiębiorców do zastosowania pracy przymusowej włóczęgów, żebraków, oraz sierot w manufakturach. W tym samym czasie, gdy fabrykant warszawski Rehan oparł swą manufakturę sukienną na elemencie przymusowo zatrudnionym, Warszawa i Praga przepełnione są wszelkiego rodzaju wyrobnikami, służbą, włóczęgami, żebrakami, słowem ludźmi pozostającymi bez stałego zajęcia. Nietylko, że nie brak ludzi do pracy, ale stanowią oni prawdziwą plagę stolicy. Poddaństwo nie wykluczało bynajmniej ruchu ludności wiejskiej, co stwierdził zresztą sam Rutkowski, dla wieku XVIII w Polsce.¹¹⁹ Wskazanie więc na fizyczny brak ludzi do pracy, celem wyjaśnienia przymusu pracy w miastach, nie może się ostać wobec faktów i jest czysto apriorycznym wyjaśnieniem, wydedukowanym z faktu prawnie istniejącego poddaństwa, bez uwzględnienia w tym wypadku faktycznego funkcjonowania tej instytucji.

Charakteryzując ogólnie wyżej omówioną literaturę, stwierdzić należy, że nie zajęto się dotychczas dokładnie, źródłowo ugruntowanym zbadaniem zagadnienia elementu ludzkiego, na którym oparła się manufaktura, jego rekrutacją, formami pracy i wyjaśnieniem ich, tak, jakżeśmy to sobie postawili za zadanie.

Stan badań nad przemysłem w epoce Stanisława Augusta, a co za tem idzie i nad elementem ludzkim, zatrudnionym w manufakturach sprawia, że nawet pod względem faktycznym mało oprzeć się możemy na tem, co już zostało zrobione. Cóż dopiero mówić o problemie naszym w całokształcie składających się nań zjawisk?

Zmuszeni byliśmy niemal każde z ogniwi naszej pracy oprzeć na samodzielnych badaniach źródłowych. Jeśli bowiem historia przemysłu nie leży całkowicie odlogiem, to t. zw. ludnością luźną, czyli ludnością wolnonajemną, której poznanie ma tak zasadnicze znaczenie dla postawionego problemu, nie zajmował się dotychczas nikt. Trudno nam także poprzestać na tem, co zrobił Grotowski dla historii dobroczynności w epoce Stanisława Augusta, ze względu na ubogi materiał faktyczny i wąską podstawę źródłową jego badań.

Zamiarem naszym jest zbadanie postawionego problemu w całej jego złożoności na podstawie konkretnych faktów z zachowaniem ich związków i zależności. Chcemy nadewszystko uchronić się od apriorycznych sugestyj i uproszczeń, które jakżeż często rozpaść się muszą w zestawieniu z konkretnymi faktami.

P R Z Y P I S Y

Skróty: A. G. — Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie. A. M. Kr. — Archiwum Miejskie w Krakowie. Ar. Skrb. — Archiwum Skarbowe w Warszawie. Ar. Przedz. — Biblioteka i Archiwum hr. Przeddzieckich w Warszawie. A. XX. Czart. — Archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie. Bibl. Kr. — Biblioteka Ordynacji hr. Krasińskich w Warszawie. Dział starych druków; archiwalja zdeponowane.

¹ Andrew Ure, *Philosophy of Manufactures* ed. I. 1835; ed. II. London, 1861, cit. ap. Mumford, *Technics and Civilization*, str. 173. Przekład francuski, Bruxelles 1836, *Philosophie des manufactures*, t. I, str. 21 i nast.

² Andrew Ure, chemik i pisarz angielski, żył w latach 1778—1857. W roku 1802 został profesorem chemji i filozofji przyrody w Andersonian Institution w Glasgow, oraz pierwszym dyrektorem Obserwatorium w temże mieście. Poza pracą w swojej specjalności interesował się bardzo przemysłem typu manufakturowego i fabrycznego; jest on słusznie uważany za apologetę kapitalizmu wiktoriańskiego. Dwa jego dzieła: *Philosophy of Manufactures*, 1835 oraz *Dictionary of Arts, Manufactures and Mines*, 1837 r. są niezastąpionem źródłem dla poznania i zrozumienia zjawisk przemysłu kapitalistycznego owych czasów. Ob. *New International Encyclopedia*; Mumford, *Technics and Civilization*, passim (szczególnie str. 168—169), Marks, *Kapitał*, t. I. passim.

³ Borkenau, *Der Uebergang vom feudalen zum bürgerlichen Weltbild*, str. 7; Ereciński: *Prawo przemysłowe miasta Poznania w XVIII w.*

⁴ Schmoller, *Grundriss der allgemeinen Volkswirtschaftslehre*, t. I. str. 419—421.

⁵ Boissonnade, *Colbert*, str. 273 i nast.; Hinze K., *Die Arbeiterfrage zu Beginn des modernen Kapitalismus in Brandenburg—Preussen*.

⁶ Ereciński, *op. cit.*, str. 646.

⁷ Levasseur, *Histoire des classes ouvrières*, 2 wyd., t. I, str. 386 i nast.

⁸ Marks, *Kapitał* (tł. polskie 1930), t. I. str. 341; Sombart, *Gewerbewesen*, I, str. 26 oraz str. 77.

⁹ Schmoller, *op. cit.*, str. 433.

¹⁰ Marks, *op. cit.*, I, str. 341.

¹¹ Borkenau, *op. cit.*, str. 7—8; Gaston-Martin, *Capital et travail à Nantes*, str. 17.

¹² Marks, *op. cit.*, I, str. 353.

¹³ *Ibid*, str. 365.

¹⁴ *Ibid*, str. 352.

¹⁵ Związywanie robotników z manufakturą długimi kontraktami pracy i krepowanie ich ruchów szeregiem surowych przepisów jest właśnie dążeniem do zapobieżenia płynności robotników, zarówno wykwalifikowanych jak i niewykwalifikowanych, zatrudnionych w danem przedsiębiorstwie. Dla

przemysłu zachodnio-europejskiego wymowne przykłady znaleźć można w cytowanych pracach Hinze'go i Boissonnade'a. Manufakturzyści polscy wykazują tę samą troskę o utrzymanie załogi fabrycznej. Fakty te omówimy szczegółowo w jednym z rozdziałów naszej pracy.

¹⁶ Sée, *La vie économique et les classes sociales*, str. 130—137.

¹⁷ Levasseur, *op. cit.*, str. 386—389.

¹⁸ Sombart, *Der moderne Kapitalismus*, 2 Aufl. I., str. 832 i nast.

¹⁹ Boissonnade, *op. cit.*, str. 263—68.

²⁰ Boissonnade, *op. cit.*, str. 261—263.

²¹ Hinze, *op. cit.*, str. 196—198.

²² Ar. Skrb. XXX, 33 niep.

²³ Sierakowski, *Rękodzieło fabryki krakowskiej*, 1797 r. Rozdział XI, str. 32.

²⁴ Ure, *op. cit.* ap. Mumford, *Technics and Civilization*, str. 173. Przekł. franc. t. I., str. 30.

²⁵ Ar. Przedz., *Korespondencja Tyzenhauza*. b. 5. Bécu do Tyzenhauza, 13 juil 1772 r.

²⁶ *Ibid*, 23 maja 1774 r.

²⁷ Bibl. Nar., *Rkp. Wilanowskie*, b. s. Korespondencja Gospodarcza Augusta Czartoryskiego. Seydewitz do Czartoryskiego. Załącznik do listu z dn. 23 X. 1777 r.

²⁸ Hinze, *op. cit.* str. 134 i nast. Przykłady niesubordynacji, *passim*.

²⁹ Rennschmidt, *Der Lehrling in der Industrie*, str. 13, cytuje bardzo wymowny list fabrykanta Koeniga z Würzburga. Początkowo oparł on swoją fabrykę na rzemieślnikach. Rzemieślnicy okazali się jednak zupełnie bezużyteczni, roznosili fabrykę; trzeba ich było powydalać i przejść na inny system. Fabrykant zwerbował chłopców wiejskich z okolicy i z nich pod kierunkiem majstra fachowca urabiał załogę fabryczną.

³⁰ Schmoller, *op. cit.*, I, str. 431; Sombart, *Der moderne Kapitalismus*, I, str. 319; *Handwörterbuch für Soziologie*, art. p. t. *Betriebssoziologie*. Marks, *op. cit.* I, str. 764 i nast.

³¹ Sombart, *op. cit.*, I, str. 798 i nast.

³² Kulischer, *Allgemeine Wirtschaftsgeschichte*, wyd. 2, t. II, str. 148 i nast.; Sombart, *op. cit.*, I, str. 788—798.

³³ Mamy tu na myśli materiały archiwalne, które znajdują się w Jąbłonie; są one dotychczas jeszcze niedostępne.

³⁴ Wybicki, *Listy patryjotyczne*, t. I, str. 155.

³⁵ *Uwagi obywatelskie nad żebrakami*, 1782, str. 9.

³⁶ *Ibid*.

³⁷ *O związku i przystosowaniu wzajemnem rolnictwa, rękodziel i handlu*, str. 112.

³⁸ Smoleński, *Przewrót umysłowy w Polsce*, str. 327.

³⁹ *Pamiętnik historyczny i polityczny*, r. 1787, str. 570—571.

⁴⁰ *Ibid.*, 1790 r., str. 1303.

⁴¹ A. G. I. *Zbiór Popielów* Nr. 205, fol. 188, *Głos obywatela prywatnego, przez szczupłość majątku, nie mającego wchodzić w grono bogaczy, układających instrukcje na Sejm do Najjaśniejszego Króla, Senatowi i wszystkich zgromadzonych stanów, wołający o ratunek... pismem na Sejmie r. 1788 podany.*

⁴² *Pam. hist.-polit* r. 1791, str. 638.

⁴³ Policja, t. zn. Komisja Policji, ówczesne Min. Sp. Wewnętrznych.

⁴⁴ *Pam. hist.-polit.*, r. 1791, str. 640.

⁴⁵ *Ibid.* r. 1792, str. 247.

Do jakiego stopnia utrwalilo się wyobrazenie o prowadzeniu w miastach próżniackiego życia świadczy czterowiersz w broszurze *O rolnictwie dla wygody gospodarzów w Pawłowie mieszkających*, w której wskazówki gospodarskie przeplatane są budującymi przypowieściami i wierszami:

„Córeczki życie chwaliły wieśniackie,
Chłopcy gardzili po miastach próżniackie,
Śpiewając razem rodziców cieszyli,
Ze w zgodzie na wsi zawsze będą żyli.“

A r. X X. Czart. *Rkp.* 807. Broszura pomiędzy stroną 527—528. Data wydania 1770.

⁴⁶ *Vol. Leg.* IX, 146, CXIII. Ob. przypisy do wstępu Nr. 36. Czasami uważa się nawet za włóczęgów ludzi, pozostających miesiąc bez służby.

⁴⁷ A. G., *Akta Warszawskie, Kom. CW. Czarska*, 3, str. 150.

⁴⁸ A. G., *Akta Ekonomiczne Starej Warszawy*, 857, niep. Obwieszczenie Komisji Policji względem włóczęgów i żebraków w Warszawie i na Pradze z dn. 2. XI. 1791 r.

⁴⁹ *Bibl. Kr.*, *Rkp.* 751, fol. 159. Obwieszczenie marszałka W. K. Muiszcha z dn. 3. VI. 1786 r.

⁵⁰ A. G., *Akta Komisji Policji*, 1, str. 674.

⁵¹ A. G., *Komisja Policji*, 8, Nr. wpisu 1518.

⁵² *Bibl. Kr.*, *Rkp.* 751, fol. 159.

⁵³ *Sierakowski, Rękodzieło fabryki sukiennej*, str. 32.

⁵⁴ A. G., *Akta miasta Warszawy*. Ekonomiczne 1258 d niep. Raport cyrkułu I, z 1791 r.

⁵⁵ *Pam. hist.-pol.* 1791 r., str. 637.

⁵⁶ *Ibid*, 1784 r., str. 495.

⁵⁷ A. M. K r., *Kom. CW. pow. Krak. i Proszow.* 156 plik. VII. Nr. 19. Obwieszczenie w sprawie służących z dn. 10. IX. 1790 r.

⁵⁸ *Vol. Leg.* IX, 326, tyt. IV, str. 279.

⁵⁹ A. G., *Kom. Pol.* 1, str. 540.

⁶⁰ *Ibid*, str. 413.

⁶¹ *Ibid*, str. 299.

⁶² *Ibid*, 11, str. 223.

⁶³ *Ibid*, 1, str. 150.

⁶⁴ *Ibid*, str. 36.

⁶⁵ *Ibid*, str. 42.

- ⁶⁶ *Ibid*, str. 33.
- ⁶⁷ *Ibid*, str. 155.
- ⁶⁸ *Ibid*, str. 81.
- ⁶⁹ *Ibid*, 11, str. 291.
- ⁷⁰ *Ibid*, str. 77.
- ⁷¹ *Ibid*, str. 235.
- ⁷² *Ibid*, 1, str. 277.
- ⁷³ A. G. t. zw. *Metryka Litewska IX*, 81, Nr. 26.
- ⁷⁴ *Dz. Handl.* 1786 r., str. 432.
- ⁷⁵ *Pam. Hist.-Pol.* 1787 r., str. 626.
- ⁷⁶ *Pam. Hist.-Pol.* 1785 r., str. 788.
- ⁷⁷ Liske, *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 277.
- ⁷⁸ *Ibid*, str. 293.
- ⁷⁹ F. L. de La Fontaine, *Chirurgisch-medizinische Abhandlungen Polen betreffend*. Breslau und Leipzig 1792, str. 173 i nast.
- ⁸⁰ A. G., *Kom. Pol.* 1, str. 113; A. XX. Czart., *Rkp.* 1174, str. 322; *Bibl. Kr.*, *Rkp.* 751, fol. 159. Wszędzie spotykamy stwierdzenia, że pociągani chęcią zysku szynkarze ukrywają włóczęgów, „ubogich dziadów, ludzi bez służby zostających“ i udzielają im wbrew zakazom schronienia. Akta Komisji Cywilno-Wojskowych pełne są spraw wytaczanych szynkarzom za nieprzestrzeganie uniwersałów i przyjmowanie ludzi bez paszportów i zaświadczeń.
- ⁸¹ *Pam. Hist.-Pol.* 1785 r., str. 172.
- ⁸² Jezierski Jacek, *Wszyscy błędzą*, cz. II, str. 71.
- ⁸³ Tenże, *Mowy...*, str. 198 i nast.
- ⁸⁴ W kategorii ludności luźnej znaleźli się zarówno wszelkiego rodzaju wyrobownicy i najemnicy, jak i włóczędzy i ludzie bez określonego stanu i zawodu. Trzeci punkt *Informacji... do wzoru schematu spisu dymów i ludności* brzmi: „W wątpliwości zaś czyby kto był bez stanu, podrzutek albo włóczęga, wpisać go w rubrykę luźnych“. A. XX. Czart. *Rkp.* 1174, str. 196.
- ⁸⁵ *Pam. Hist.-Pol.*, 1790 r., str. 226 i nast. „Ludność krajów Rzeczypospolitej w Koronie, jaka się okazała z lustracji Komisji Wojewódzkich w r. 1790“.
- ⁸⁶ Ringelblum E., *Projekty i próby przewarstwowania Żydów w epoce Stanisławowskiej*, str. 21.
- ⁸⁷ Skarg na ubóstwo Żydów spotyka się w aktach i w publicystyce wiele. Na Litwie np. Komisja Trocka zarządziła ściśle przestrzeganie praw, zabraniających Żydom przyjmowanie chrześcijan do pracy. Czyni to Komisja i z tego względu, że „...ciż Żydzi w religji swej mając tak wielu ubóstwa, onych do tej pracy do której chrześcijan chowają, użyć i przeto sposób do życia im podaćby mogli.“ A. G. t. zw. *Metryka Litewska IX*, 27, fol. 247.
- ⁸⁸ *Pam. Hist.-Pol.* r. 1791, str. 328.
- ⁸⁹ Ringelblum, *op. cit.*, str. 19 i nast.
- ⁹⁰ Dr. Szymkiewicz Samuel, *Maszynopis pracy doktorskiej p. t. Warszawa w świetle pomiarów, opisów i dochodzeń statystycznych z końca*

XVIII wieku i początku XIX, str. 98 i nast., łaskawie udzielony mi przez autora, za co, jakoteż za zezwolenie skorzystania zeń dla mojej pracy, wyrażam niniejszem wdzięczność d-rowsi Szymkiewiczowi.

⁹¹ *Ibid*, str. 165 i nast.

⁹² Berman J., *Służba domowa w Warszawie*, str. 6.

⁹³ A. G., *Akta Starej Warszawy*, 1208 niep.

⁹⁴ *Bibl. Kr.*, *Rkp.* 751, fol. 122.

⁹⁵ *Poparcie uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*, str. 73—74.

⁹⁶ A. X X. Czart., *Rkp.* 1187, str. 153, *Okaz ludności m. st. Krakowa w r. 1790 podług woli i dyspozycji Szlachetnego Magistratu* przez pisarza Henryka Zeidlera sporządzony 29. III. 1791 r.

Posiadamy także spis ludności miasta Krakowa z r. 1792, który wykazuje, iż Kraków posiada w tym czasie 5 017 mieszkańców. Skąd wzięła się tak znaczna różnica w liczbie ludności po upływie zaledwie 2-ch lat nie potrafimy wyjaśnić. I ten spis wykazuje znaczny odsetek ludzi luźnych, jest ich bowiem 1 514, ubogich 190. A. G., *Akta z b. Dyrekcji Policji* Nr. 49 „*Protokół rewizji m. Krakowa r. 1792.*“

⁹⁷ *Vol. Leg.*, IX, 326, tyt. IV, str. 279.

⁹⁸ *Monitor*, r. 1777, str. 65.

⁹⁹ Komisje Porządkowe Cywilno-Wojskowe, wojewódzkie i powiatowe, powołane zostały do życia dn. 15 grudnia 1789 r. Konstytucja sejmowa określiła zakres działalności tych organów zarządu lokalnego, działalności bardzo rozległej w dziedzinie wojskowej, gospodarczej, administracyjnej i sądowej. Charakterystykę działalności podał Korzon, *Dzieje Wewnętrzne*, t. V, str. 196 i nast.

Przerobiliśmy akta dziesięciu Komisyj, t. zn. prawie wszystkie, które się zachowały. Dobór ich jest więc w pewnym sensie przypadkowy; na szczęście zachowały się akta Komisyj często odległych od siebie, funkcjonujących w różnych częściach kraju, co pozwala na wyciąganie wniosków dających się rozszerzyć przynajmniej na całą Koronę. Tak więc w Archiwum Głównem w Warszawie znajdują się akta Komisyj: 1) powiatu Piotrkowskiego i Radomskiego, urzędującej w Radomsku, 2) powiatu Radziejowskiego w Radziejowie, 3) wojew. Kaliskiego w Kaliszu, 4) powiatów Wieluńskiego i Ostrzeszowskiego w Wieluniu, 5) ziemi Czerskiej w Warce, 6) powiatów Rawskiego i Bialskiego w Rawie, 7) ziemi Wiskiej w Wiznie; w Archiwum Miejskiem w Krakowie znajdują się akta Komisyj: 8) powiatów Krakowskiego i Proszowskiego, urzędującej w Krakowie; 9) powiatów Książskiego i Łelowskiego w Szczekocinach; wśród rękopisów *Bibl. Uniw.* w Warszawie znajduje się jedna księga akt Komisji 10) powiatu Sandomierskiego.

Nie zapoznaliśmy się z aktami, znajdującymi się w Archiwum Państwowem w Lublinie, pozostałymi po działalności Komisyj powiatu Urzędowskiego i ziemi Łukowskiej oraz ziemi Chełmskiej. Przypuszczać jednak możemy na podstawie przerobionych akt, które pod względem terytorjalnym są rozrzucone, że nie wpłynęłyby one na zmianę naszych wniosków. Bez wątplenia w aktach każdej z wymienionych Komisyj znajdują swe odbicie

stosunki i sprawy lokalne; niemniej jednak zjawiska nas interesujące występują w zadziwiająco identycznej niemal postaci z nieznacznie odchyleńmi lokalnymi.

¹⁰⁰ *Vol. Leg. IX, 146, CXIII, o rekrutowaniu.*

„Dla zapobieżenia tak dezercji żołnierza jako też hultajstwa beczynnie włóczącego się Komisja Porządkowa... obmyśli najskuteczniejsze sposoby wprowadzenia... paszportów pewnych, a to dla ułożenia znaku, jaki ma być na tychże paszportach sztychowany tak, aby każde miasto, dwór, wieś, karczmy, młyny, futory, ludzi bez urlopu korpusu lub bez paszportu powiatowego, czy też przez dziedziców albo posesorów formą ustanowionego wydanego, zatrzymywały i do Komisji Porządkowej przystawiały; których Komisje wyegzaminowały, jeśli się czy dezertkami, czy ćwierć roku bez służby bawiacami włóczęgami być pokażą, do komendy ich konsystującej odda, dopomniawszy się od tejeż słusznej za przywiezienie i przytrzymanie dostawiającemu nagrody. Z włóczęgami niezdatnymi do rekrutów komisja postąpi podług osobnych przepisów prawa. Rzemieślnicy zaś wędrujący, krajowi... paszportem... opatrzeni i ich czeladź nie mają być uważani za włóczęgów. Ktoby zaś w wyrażonym gatunku bez urlopu albo paszportów przechodzących ludzi wiadomie przepuszczał, albo przechowywał, takowy za dowodem słusznym w sądach komisji porządkowej ukarany być ma zaplaceniem za każdego wiadomie przechowywanego lub przepuszczonego zbiega zł 200,— do kasy Komisji dla nagrodzenia uszkodzonemu. A gdyby per plebeium nastąpiło to przestępstwo, karze osobistej podpadać ma.“

¹⁰¹ *Sombart, op. cit., I, str. 809.*

¹⁰² *Hinze, op. cit., str. 10—66.*

¹⁰³ *Hinze, op. cit., str. 172 i nast.; E. m. Daniels, Geschichte des Kriegswesen, V (Geschichte des Kriegswesen der Neuzeit, t. III), str. 85.*

¹⁰⁴ *Hinze, op. cit., str. 36.* Poza tem nie należy lekceważyć faktu, że armja pruska składała się w dużej części z elementów obcych, jeńców wojennych, ludzi zwerbowanych poza granicami kraju. Niemało było także w wojsku wszelkiego rodzaju włóczęgów. Dezercja żołnierzy była na porządku dziennym: w ciągu jednej nocy uciekały nieraz tysiące. *Daniels, op. cit., str. 92 i 98.*

¹⁰⁵ *Daniels* opisuje dyscyplinę w wojsku pruskiem, która miała na celu doprowadzenie do absorpcji jednostki przez oddział.

Daniels, op. cit. V, str. 86, 100. — Na znaczenie wojska nowożytnego jako szkoły automatyzmu i bezmyślnego współdziałania wskazuje *Mumford, Technics and Civilization, str. 87; 91—92.*

¹⁰⁶ *Sombart, op. cit., 6 wyd., I, str. 190; II, str. 816.*

¹⁰⁷ *Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers, Tome X, (1765) r.) art. „Manufacture“.*

¹⁰⁸ *M. Tuhán-Baranowski, Russkaja Fabrika w proslom i nastojaszczem, T. I, (Izd. „Proletarij“ 1926), str. 23 i n.*

¹⁰⁹ *S. Tomsinskij, K woprosu o raboczich kadrach kriepostnoj manufaktury XVIII w. (Istorija Proletarijata S. S. S. R., 1933, I/II), str. 156 i n.*

¹¹⁰ M. Złotnikow, *K woprosu o formirowanii wolnonajemnowo truda w kriepostnoj Rossiji* (Tamże, ob. I, str. 145 i n.).

¹¹¹ Korzon, *Dzieje wewnętrzne*, t. II, str. 226 i nast.

¹¹² Praca Wobłyja ukazała się w r. 1909. Interesująca nas część zawarta jest na str. 35—103.

¹¹³ Wobłyj, *op. cit.*, str. 62.

¹¹⁴ W korespondencjach gospodarczych niejednokrotnie spotykamy się z faktem niewystarczania pańszczyzny do pracy rolnej; niezwykle wymowne zresztą pod tym względem są dane z Kozienic i Białaczewa. Fontana, komisarz ekonomji Kozienickiej, bardzo niechętnie i tylko w ostateczności przydziela chłopów do odrabiania pańszczyzny na potrzeby fabryki rusznikarskiej (podczas pospiesznego budowania domów dla rzemieślników) i prosi króla „iżby rolnictwu i innym gospodarskim czynnościami fabryka na przeszkodzie nie była“. Ar. XX. Czart., *Rkp.* 935, str. 147.

W Białaczewie gdy chłopci są przydzielani do zwożenia drzewa dla fabryki, czy też do budowy, brak pańszczyzny na roli; wynikają z tego opóźnienia w pracach rolniczych, nieporządki itp. Bibl. Kr. 4747, fol. 698.

¹¹⁵ Wobłyj, *op. cit.*, str. 49—50 oraz str. 69.

¹¹⁶ Tak więc N. Gąsiorowska w *Historji Gospodarczo-Spolecznej Polski* (w zarysie) r. 1932, *Wiedza o Polsce*, t. I, str. 758—759, ocenia okres manufakturowy w Polsce w duchu Wobłyja; stosowanie pracy rzekomo pańszczyźnianej oraz pracy przymusowej jest dla autorki wynikiem niejako niefachowości szlachty i magnaterji, działającej w kierunku zakładania przedsiębiorstw przemysłowych. Streszczeniem Wobłyja jest praca ks. Wójcickiego p. t. *Dzieje robotników przemysłowych w Polsce*, Warszawa, 1929.

¹¹⁷ Rutkowski, *Zarys Gospodarczych Dziejów Polski*, r. 1923, str. 186 i nast.

¹¹⁸ Rutkowski, *op. cit.*, str. 190.

¹¹⁹ Rutkowski, *Poddaństwo włościan*, str. 60. „Przy ówczesnej organizacji władz nie mogło być mowy o rzeczywistym i absolutnym przytwierdzeniu do gleby włościan, tak, że włościanin niewątpliwie aż do końca niepodległości Rzeczypospolitej posiadał możność przenoszenia się; poddaństwo swobodę tę kępowało, lecz jej nie niweczyło.“

JÓZEF CHAŁASIŃSKI — WARSZAWA.

PARAFJA I SZKOŁA PARAFJALNA WŚRÓD EMIGRACJI POLSKIEJ W AMERYCE

STUDJUM DZIELNICY POLSKIEJ W POŁ. CHICAGO.

1. Południowe Chicago.¹

Studjum moje dotyczy jednej dzielnicy Chicago, mianowicie South Chicago (Południowe Chicago). Dzielnica ta była początkowo samodzielnym miasteczkiem i dopiero w 1891 r. przyłączona została administracyjnie do Chicago. Pod względem ekonomicznym i społecznym wyraźnie wyodrębnia się jednak; posiada charakter „miasteczka stalowego“ (steel town). Z Loop'em (handlowe centrum Chicago), oddalonym od 12 mil ang., połączona jest linjami tramwajowymi i koleją elektryczną Illinois Central Electric, która przebiega tę przestrzeń w pół godziny.

South Chicago przylega na wschodzie do wielkiej stalowni Illinois Steel Company, położonej nad jeziorem Michigan w miejscu, gdzie

¹ Z drukowanych materiałów, dotyczących Poł. Chicago istnieją: *Złoty Jubileusz Parafji Niepokalanego Poczęcia N. M. P.* w South Chicago, Ill. Księga pamiątkowa 1882—1932. Wyd. Polonji, 8723 Commercial Ave. Chicago, Ill. — *Album Jubileuszowe, 25-lecie dziejów parafji św. Michała Arch.* w So Chicago, Ill. 1892—1917. — *Roczniki tygodnika Polonja.* — Pozatem wszystkie cytaty, o ile inaczej nie zaznaczone w tekście, pochodzą z moich notatek, będących możliwie dosłowną reprodukcją rozmów, które spisywałem bądź bezpośrednio po rozmowie, bądź nieco później, w każdym razie tego samego dnia, w którym rozmowa miała miejsce. — Tej samej dzielnicy dotyczy artykuł mój p. t. *Wśród robotników polskich w Ameryce* (z fot.). Wiedza i życie 1934. Nr. 8/9, s. 653—668. — Dane statystyczne opracowane dla małych „census tracts“, na które podzielono całe Chicago, znajdzie czytelnik w *Census Data of the City of Chicago, 1920.* Edited by E. W. Burgess and C. H. Newcomb. The University of Chicago Press, 1931, pp. XII + 633; oraz *Census Data for the City of Chicago, 1934.* Edited by C. H. Newcomb and R. O. Lang. The University of Chicago Press.

wpada rzeka Calumet River. Mieszkali tu kiedyś Indjanie Potawatomii, a pierwszy biały człowiek osiedlił się tutaj dopiero w 1830 r.

Na zachodzie dzielnica przechodzi w rzadziej zabudowane „pre-rje“ i ograniczona jest ulicą SoChicago Avenue, biegnącą od ujścia Calumet w kierunku północno-zachodnim wzdłuż dawnego szlaku indjańskiego.

Na południu graniczy z robotniczo-imigranckimi dzielnicami, a na północy z zamożną dzielnicą amerykańską.

Najstarsza ulica handlowa dzielnicy (Harbor Avenue), ciągnąca się wzdłuż rzeki Calumet, poczynając od jej ujścia, założona została w 1871 r.; z rozwojem dzielnicy rolę centra handlowego ustąpiła ulicy 92-ej,² a sama zdegradowana została do roli lokalnego ośrodka przestępczości i prostytucji.³

Całą tę dzielnicę zamieszkiwało w 1930 r. 56 683 mieszkańców, z czego 36,62% to ludność polska (t. j. urodzona w Polsce, wraz z pokoleniem urodzonych już w Ameryce z rodziców Polaków).⁴

Polacy, którzy stanowią tu tak duży procent, i posiadają cztery swoje parafje, a przy nich parafjalne polskie szkoły, nie są równomiernie rozmieszczeni po całej dzielnicy. Najgęściej zgrupowani są przy samej stalowni, w której pracują. Na najbliższych więc ulicach, przy samej stalowni położonych stanowią od 52,25% do 65,55% ogółu ludności. Dalej zaś o kilka ulic na zachód od stalowni w dzielnicy murowanych domków zamożniejszych reprezentują 39,52%, a jeszcze nieco dalej na zachód już tylko 4,79%; podobnie kilka ulic na północ procent ludności polskiego pochodzenia wynosi tylko 2,57%; o kilka ulic na południe 3,82%.

Ulice najbliższej stalowni położone, zamieszkałe w tak olbrzymiej większości przez Polaków, należą do najuboższej części dzielnicy. Jest to polska parafja św. Michała, zwana także w potocznym języku Bush'em lub „kierzkami“ od krzaczków, które tutaj nad brzegiem jeziora pół wieku temu rosły. Zabudowana przeważnie drewnianymi domami, ta część dzielnicy zachowuje do dzisiaj najwięcej „starokraj-

² Następnie znaczenie handlowe ul. 92-ej przejęła nowsza Commercial Avenue.

³ Dane te o historii dzielnicy zaczerpnąłem z H. E. McGill, *Land values an ecological factor in the community of South Chicago*, 1927. Maszynopis w bibliotece University of Chicago.

⁴ Oparte na spisie ludności z 1930 r.

skich“ tradycyji, najmniej uległa zamerykanizowaniu i najmniej ma naturalizowanych obywateli amerykańskich. W r. 1920 Bush miał 28,65% obywateli wśród emigrantów w wieku 21 lat i wyżej, a w 1930 r. — 34,79%.

Bush należy do najgęściej zaludnionych części dzielnicy. Na paru ulicach przy samej stalowni na akr kwadratowy wypada 75—100 osób; nieco dalej na zachód — 50—75 osób, a jeszcze dalej 25—50 i 0—25. Tylko 10% mieszkań należy do kategorii 30 dol. i wyżej czynszu miesięcznego; podczas gdy zaraz na następnych kilku ulicach, dalej na zachód, do tej kategorii należy 70% mieszkań; a jeszcze dalej na zachód — przeszło 92%. 31,2% rodzin w Bushu ma aparaty radjowe; następne ulice na zachód 57,36%, a dzielnica zamerykanizowana, niemiecko-szwedzka — 88,18%.

Zaznaczyć trzeba, że cała ta dzielnica polska, położona na południowej stronie Chicago nie posiadała nigdy tak silnie rozwiniętego życia narodowego polskiego, jakie cechowało wielką dzielnicę polską, położoną na północno-zachodniej stronie miasta i ciągnącą się wzdłuż Milwaukee Avenue (zwanej przez robotników polskich Miłwałki). Dzielnica ma wprawdzie silne lokalne oddziały Z. N. P. i Zjednoczenia Polskiego Rzym.-Kat., nie ma jednak biblioteki polskiej, jak również nie ma w niej związków grupujących emigrantów z sąsiednich okolic; takie związki sąsiedzkie są bardzo liczne w północno-zachodniej dzielnicy polskiej. W całym Południowym Chicago Bush zachował najwięcej przeniesionych z kraju tradycyji, i najwięcej ofiarował na 10-miljonowy Fundusz dla Polski.⁵

Południowe Chicago ma dwie lokalne gazety: dziennik drukowany po angielsku „Daily Calumet“ (zał. około 1880 r.) i tygodnik polski (drukowany w formie gazety) „Polonia“ (zał. w 1906 r.).

2. Początki kolonji polskiej.

Najstarsza parafja polska w tej dzielnicy, Parafja Niepokalanego Poczęcia powstała w 1882, a według ustnie przekazanej historii parafji, około 1873 r. było tutaj zaledwie 7—8 rodzin polskich.⁶ Znaczną część obecnej dzielnicy pokrywały jeszcze wówczas bagna, a tam, gdzie obecnie idzie część głównej lokalnej arterji handlowej, Commer-

⁵ *Polonja*, 30. I. 1919.

⁶ Patrz *Złoty Jubileusz Parafji N. P. N. M. P.*

cial Avenue, „Main Street“ Południowego Chicago, polowano w najlepsze na kaczkę. Dopiero z założeniem stalowni w 1881 r. rozpoczyna się rozwój Południowego Chicago, które do tej daty było miejscowością rybacką i farmerską. Rozwój ten wiąże się ściśle z napływem polskich emigrantów do stalowni.

W tym przełomowym dla SoChicago roku dzielnica ta, licząca obecnie zgórą 50 tys. mieszkańców, zaledwie rozpoczynała swoją egzystencję. „Wówczas — opowiada stary postmaster, który przybył tutaj w 1881 r. jako chłopiec — można było stanąć na rogu i policzyć wszystkie domy w Poł. Chicago... Mieszkali tu Anglicy, Walijczycy, Niemcy i trochę polskich rodzin wszystkiego razem znacznie mniej niż sto rodzin.“⁷

Polska kolonja tworzyła się tutaj w sposób swobodny i bezplanowy. Często nie pytano nawet do kogo należała ziemia, na której budowano domki. I nierzadko właściciel zgłaszał się dopiero później. Budowano bez planu i jak się komu podobało i dopiero w kilkanaście lat później władza zarządziła przesunięcie domków i ustawienie ich w jakiś porządek, ażeby i dla parku zrobić miejsce.

Początkowo też była to społeczność głównie kawalerska. Wyjeżdżali sami mężczyźni na zwiady. Ściągali następnie krewnych i sąsiadów. Obecnie jeszcze wśród emigrantów powyżej lat 21 liczba mężczyzn znacznie przewyższa liczbę kobiet. W Bushu w 1930 r. na 2 167 „foreign born white“ w wieku 21 l. i wyżej mężczyźni stanowili 1 251 (w tem 210 kawalerów), a kobiety 916 (w tem 37 panien). Pomiędzy tu Meksykańczyków, wśród których, jako najnowszej emigracji, przewaga mężczyzn jest jeszcze większa. Wśród nich liczba mężczyzn jest dwukrotnie wyższa niż kobiet.*

O początkach dzielnicy i jej pierwszych polskich mieszkańcach opowiadają jeszcze starzy mieszkańcy. „To tu tak było, że ojciec jak przyjechał to świnie z miasta na piechotę gonił, bo żadnych karów (tramwaji) jeszcze nie było. Jeny zwyczajne drogi. A w fabryce to brał 1 dolara, albo 1 dolara i 15 centy, to nie było wiele za 10 godzinów pracy, ale i ceny były bardzo niskie, 3 fonty nyrek kosztowało 1 cynt; a cały miesiąc to żył za 7 talary (dolary), jak brał na książkę na samego siebie, ale jak we czterech, to wyszło dużo tani, bo jakie 4 talary na każdego na miesiąc. To jak mój ojciec wzion

⁷ McGill: *Op. cit.* 73—74 odnośnik.

* W 1920 r. w Bushu „foreign born white“ tej samej kategorii wynosili 2 956, z tego 1 769 mężczyźni, a 1 187 kobiety.

25 talary na miesiąc, to z tego 15 wysłał do kraju, a przecie i wy-
poił także. — Ale to ja już sam pamintam jak uni tu mieszkali,
20 chłopca w jednym roomie (pokoju), dziesięć pracowało na dzień
a dziesięć na noc, to jak się pokładły na zimi, to tak jak szczury jeden
koło drugiego leżeli. A ta kobita to gotowała im w taki wanince, sa-
ganie od prania, i jak ugotowała to każdemu to jego mięso na kijku
dała — to był jego font. — To tu na początku to tych kobit to było
bardzo mało do żyniaczki, jeno same chłopcy. To jak się który zwie-
dział, że drugi ma siostrę w kraju, to jeno tak koło niego chodził
a fundował mu, żeby się mógł z tą jego siostrą ożynić. To niejeden
szyfkartę kupił i sprowadził ją na swój koszt, a ta jak przyjechała, to
jeno mu dupę pokazała i poszła do stokjardów na robotę. Ale i nieje-
den się tak ożynił. Nikt do wtynczas nie stojał o to czy on jo znał czy
nie, jak jeno guzik przyszyła to już było dobrze, wincy nie trza było.“

Familijno-sąsiedzki sposób rekrutowania się kolonistów spowodowa-
wał, że do kolonji napływał głównie element, który był nietylko et-
nicznie jednorodny, ale pochodził z jednych okolic. Napływała tu
ludność głównie z Kujaw (tak z pod zaboru pruskiego, jak i rosyj-
skiego). Bismarkami i Ruskami zwali się wzajemnie przybysze z pod
obydwóch zaborów. Bardzo niewielu pochodziło z Galicji.

Porządek społeczny, jaki się tu zaczął wytwarzać wyrastał z tych
treści społecznych: zwyczajów, obyczajów i pojęć moralnych i organi-
zacyjnych, które ze sobą i w sobie przynieśli. Władze amerykańskie
nie narzucały im się z opieką, pozostawiały ich samym sobie. Odtwa-
rzano też możliwie wiernie wzory społeczne przeniesione z wiejskiego,
sąsiedzkiego życia.

Pierwotnie też osada przypominała raczej polską wioskę, niż
amerykańską osadę przemysłową. „Domy to były takie gorsze jeszcze,
jak kurniki po dworach“. „Każdy to se jeszcze krowy trzymał, kurów
to tu było zatrzynienie, niektórzy tyż mieli po 50 kaczków. A w nie-
dziele to muzyki grali, i wesoło tu było“.

3. *Pierwsze instytucje społeczne.*

Jedną z pierwszych instytucyj nowo-powstającej osady imigranc-
kiej była karczma. Do karczmy kierowały się pierwsze kroki nowego
przybysza ze starego kraju: tutaj bowiem spotykali się z krewnymi
i znajomymi i korzystali ze światłej rady karczmarza obytego najle-
piej z lokalnemi stosunkami.

„Tu na całe to South Chicago to wtedy był jeden policyjant.
A lampy to jeszcze były kerasynowe. To jak w saloonie (karczmie)

spierać się zaczyni o dziewczuchę, to jeden lampe rozbił, nóż tymu drugimu w brzuch wcisnął i flaki wypruł, salooniarz nic nie powiedział i się nie wydało. Salooniarz to była tu najwinksza władza.“

„To jakem tu przyjechał na dypo (stację kolejową) — opowiadał inny, staruszek mieszkający w osadzie od 42 lat — to nie wiedziałem gdzie się podziać, tom się pytał jednego gdzie je ten, a tyn, co był mój znajomy. To on nie wiedział, ale mi mówił, żebym sedł do saluniarza, to on mi powi, bo oni się tam wszystkie schodzą.“

Karczma była dla osady nietylko „urzędem meldunkowym“, miejscem zebrań, zabawy, lecz i bankiem. U karczmarza bowiem inkasowano czeki otrzymywane za pracę.

Wkrótce po zebraniu się małej gromadki rodaków, przeważnie sąsiadów z tej samej okolicy w kraju (początkowo głównie z Poznańskiego), utworzyło się towarzystwo religijne i wzajemnej pomocy Św. Wincentego ą Paulo w Poł. Chicago. Następnie założone zostało Tow. Bratniej Pomocy Króla Jana III Sobieskiego; później Legjon Św. Józefata; Tow. wzajemnej pomocy Jana Kilińskiego; Tow. im. T. Kościuszki; Związek Braci Polaków (r. zał. 1900). Wszystkie to były tow. wzajemnej pomocy, które zajmowały się pogrzebem: płaciły pośmiertne, a nawet i zapomogi tygodniowe w czasie choroby.

Staraniem najstarszego towarzystwa Św. Wincentego założona została pierwsza parafja w dzielnicy — Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny. Według księgi Jubileuszu 50-lecia istnienia Parafji N. P. N. M. P., w 1882 r. (rok założenia parafji) było już w dzielnicy około 70 rodzin polskich.

W 10 lat później w 1892 r. kolonja polska już się tak rozrosła, że od tej parafji macierzystej nie bez silnego sprzeciwu z jej strony, oddzieliła się część i utworzyła parafję Św. Michała Archanioła. Następnie powstały jeszcze dwie nowe parafje Św. Magdaleny (zał. 1910) i Św. Bronisławy (zał. 1929), tak że obecnie dzielnica ma 4 polskie parafje i cztery szkoły parafjalne. W r. 1932 szkoła parafjalna Św. Michała Archanioła miała 1 725 dzieci; szkoła N. P. N. M. P. — 1 029; szkoła Św. Magdaleny — 850 i szkoła Św. Bronisławy — 467.⁸

4. Parafja w życiu zbiorowem kolonji.

Parafji musimy się przyjrzyć bliżej. Jest to bowiem forma społeczna o zasadniczem znaczeniu dla zbiorowego życia kolonji polskiej

⁸ Dziennik Zjednoczenia 23. IX. 1932.

w Ameryce. Przenika ona wszystkie sfery życia zbiorowego; jest zasadniczą, naczelną grupą społeczną i podstawowym stereotypem myślowym, przy pomocy którego emigrant myśli o zbiorowości — o sprawach społecznych wogóle, o samym sobie. Ze stereotypem „parafji“ kojarzy się nierozłącznie jego poczucie wartości, jego poczucie godności. Rozpatrzmy więc zasadnicze funkcje społeczne parafji i właściwości jej struktury.

1. Parafja jest organizacją wspólnego, zbiorowego kultu religijnego. Kult ten zajmuje w życiu zbiorowym polskich robotników centralne miejsce. Znikły wprawdzie wioskowe odpusty, ale czterdziestogodzinne nabożeństwo, nowenna, przyjmowanie Pierwszej Komunii Świętej przez dzieci szkolne, pogrzeb, misje — w dalszym ciągu należą do najważniejszych wydarzeń kolonji. Kult ten zachował charakter zbiorowy — jest sprawą całej grupy. U podłoża tej religijno-parafjalnej więzi, leży jeszcze, choć już mocno nadwyreżone, przekonanie o zbiorowej solidarnej odpowiedzialności całej parafji wobec Boga. Inteligentny robotnik z parafji Sw. Michała zakończył swoje opowiadanie o rozpuszcie, jaką widział w jednym z klubów amerykańskich, zdaniem: „Gdyby u nas w kolonji coś podobnego działo się, to byśmy się bali, aby kara Boża na całą kolonję za to nie spadła“.

W hierarchji społecznej stanowisko księdza należy do najzaszczytniejszych. Michałowo dumne jest z tego, że żadna parafja w So Chicago, nie wydała tyle księży. „Nasza parafja to bituje inne.“ „Żadna parafja się tak nie szcyci jak nasza: z naszy najwincy księży wyszło.“ „Ten nasz kościół to całe SoChicago zdobi.“ Wyświęcenie nowego księdza, należy do największych uroczystości kolonji. Na uroczystym obiedzie prymicyjnym ks. Z. z parafji Sw. Michała zebrało się, jak podaje Polonia, około 600 osób.⁹

Uwzględniając tę bogatą treść społeczno-religijną parafji, łatwo zrozumieć, że i nazwa parafji nie jest sprawą obojętną. Święty, którego parafja wybiera sobie za patrona, jest dla parafjan nietylko symbolem, bogatym w skojarzenia, lecz realną istotą, która ma pośredniczyć pomiędzy parafją a Bogiem i roztaczać nad parafją opiekę. Nie obojętne jest więc, jaki święty będzie parafji patronował.

⁹ *Polonia*, 1. V. 1930.

Przyjęcie nazwy dla najstarszej w dzielnicy parafji N. P. N. M. P. — poprzedziła walka o świętego patrona dla parafji. „Członkowie... Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo — czytamy w Księdze Złotego Jubileuszu Parafji N. P. N. M. P. — pragnęli ją mieć pod swojego świętego wezwaniem, a uczestnicy zaś innego stowarzyszenia, młodszego od pierwszego, ale już wówczas liczniejszego i silniejszego, mianowicie Tow. Św. Józefata chcieli koniecznie mieć pod swego patrona opieką. Zdawało się chwilowo, że sporom nie będzie końca, jedni drugim ustąpić nie chcieli, udano się ostatecznie ze sprawą do ks. Proboszcza. Po przesłuchaniu obydwóch stron przez ks. Proboszcza i komitetu ad hoc wybranego doszli do przekonania, aby przedmiot sporów usunąć i oddać parafję pod wezwanie i opiekę Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny; na to ostatecznie ogół się zgodził.“

Siłę więzi parafji jako grupy zbiorowego kultu religijnego potwierdza fakt znajdowania się wśród obcych — na obczyźnie. W przeszczepionym na obczyznę kulcie religijnym skojarzone jest nierozdzielnie to wszystko, do czego w kraju emigrant był przywiązany: okolice rodzinne, groby pozostałych krewnych i krewni żyjący. Kościół jest dla emigranta polskiego symbolem wszystkiego, co rodzinne. Patron parafji, to ten ich patron ze starego kraju, z ich okolicy. Dzwony kościoła parafjalnego, wydzwanianą dzień w dzień Anioł Pański, tak samo tutaj na obczyźnie, jak w starym kraju. Przywiązania do ziemi i okolicy rodzinnej, nie potrafiły zerwać ani dobre zarobki amerykańskie, ani pamięć niedoli chłopskiej. Najdrobniejsze pamiątki przypominają mu tę ziemię. Dzwony na Anioł Pański zastały mnie raz na rozmowie z tymi robotnikami. Było lato. Rozmowa nam się urwała, a jeden z robotników odezwał się: „Kiedy tak te dzwony dzwonią, to jakby sianem w powietrzu pachniało.“ I rozmowa nasza zeszyła na siano, na zboże — gdzie w jakiej okolicy było lepsze — na dziedzica.

Parafja, to dla robotnika-emigranta część starego kraju. Część tego, z czem czują się związani całą swoją osobowością. Ta część musi im zastąpić *wszystko, co zostawili*, staje się symbolem wszystkiego, co ich było, a od czego musieli odejść. Nic też dziwnego, że rola parafji w psychice emigranta rozrosła się do rozmiarów tak wielkich, w jakich nie występuje w najbardziej zapadłych wioskach Polski. Zajmuje w tej psychice tak nieproporcjonalnie dużo miejsca,

że z siły dobroczynnej, staje się dla emigranta — szkodliwą, utrudniając mu przystosowanie się do nowych warunków życia i walkę o lepsze miejsce dla siebie w społeczeństwie amerykańskim.

2. Parafja jest grupą „swoich“. W tradycyjną, przeniesioną z kraju formę parafji zamknięta została nie tylko treść religijna, ale wszystkie wspólne wartości społeczne, które emigranci przynieśli ze sobą. Parafje narodowe w Ameryce — także i polska — nie są tworami terytorjalnymi w głębszym rozumieniu, w jakim są niemi parafje w Polsce. Parafję emigrantów wiąże wspólność wartości, które są przeniesione a nie znajdują oparcia, ani w terytorjum, ani w instytucjach szerszego amerykańskiego społeczeństwa. Bódcem do zawiązania parafji są nie tylko motywy religijne, ale instynktowe dążenie „swoich“ do skupienia się.

W Polsce parafja jest pewnego rodzaju nadbudową nad terytorjalno-sąsiedzką więzią wsi. Ziemia i oparte na niej stosunki ekonomiczne istnieją niezależnie od tego, czy istnieje parafja. Wśród emigrantów tworzenie się parafji jest przejawem dążenia do odbudowy tej tradycyjnej formy bytowania zbiorowego, jaką jest sąsiedztwo. Krewny — krewnego, sąsiad — sąsiada ścigał do Ameryki, zamieszkiwali obok siebie, tworząc kolonje z ludzi z jednej okolicy. „Jak jeden przyjechał, to popóźni bratu lub siostrze sztyfkarte posłał i tak my się tu wszyscy posprowadzali.“

Zebrawszy się razem, tworzyli parafje, nie tylko dla religii, ale w instynktowym dążeniu do wzmocnienia tego związku rodzinno-sąsiedzkiego, który przeniesiony na obczyźnie, oderwany został od ziemi ojczystej i stracił naturalną swoją podstawę.

„Parafja — piszą Thomas i Znaniecki w odniesieniu do parafji emigrantów polskich — jest istotnie poprostu dawną pierwotną społecznością (primary community) zreorganizowaną i skoncentrowaną. W swojej konkretnej całości zastępuje ona zarówno węższą, lecz bardziej zwartą, wioskę, jak i rozleglejszą, lecz bardziej rozproszoną i nie tak wyraźnie określoną, okolicę. W swojej zinstytucjonalizowanej organizacji pełni te funkcje, jakie w Polsce spełnia parafja i gmina.“

* W. I. Thomas i F. Znaniecki: *The Polish Peasant in Europe and America*. I ed., 5 vols, 1918—21; II ed., 2 vols., 1927. (Cyt. za R. E. Park i H. A. Miller: *Old World Traits Transplanted*, 1921, s. 211—212).

„Pokrewieństwo“ jest podstawą społeczną parafji. Parafja ma być rozszerzoną rodziną. Rodzina jest też jej najważniejszym fundamentem. Parafja stoi na straży autorytetu rodziców, na straży przywiązania dzieci do rodziców, na straży jedności rodziny. Rozgałęzione stosunki rodzinne są podstawą silnej więzi parafjalnej. Nie brak ich też w naszych parafjach. Małżeństwo jednego z najstarszych osadników w Poł. Chicago K., liczy obecnie 150 potomków.

Religijno-parafjalna działalność polega wszak na rozszerzaniu tej więzi rodzinnej: tworzy ojców chrzestnych, a przez swoje bractwa: braci i siostry.

Element rodzinny, stały i nieruchliwy, stanowi podstawę parafji. Łatwo też zrozumieć niechęć do elementów kawalerskich, zmieniających miejsce pracy i zamieszkania — boartników. Jednemu z wybitnych i zasłużonych księży przypisują w parafji powiedzenie: „Wolałbym diabła zobaczyć, jak tego wszorza borciarza“.

Tworzenie parafji było dyktowane instynktowem dążeniem do skupienia się swoich, do trzymania się razem. Potęgował je lęk przed zgubieniem się w obcym morzu. Czemże bowiem stawał się emigrant, bez tej grupy swoich? Najemnikiem, wartością ekonomiczną na rynku pracy, istotą bez znaczenia społecznego, z którą nikt się nie liczył. Dopiero w parafji, w grupie swoich nabierał znaczenia. Z siłą tej grupy wiązało się jego poczucie wartości i mocy.

Im więcej polskich parafji, im one są większe i silniejsze, tem większe jest znaczenie parafjan. Stąd zrozumiała jest reakcja przeciw porzucaniu parafji polskich przez Polaków.

Chicagowskie zrzeszenie kapłanów polskich, Pierwsza Grupa Zw. Kapłanów Polskich w St. Zjedn. w r. 1928 powzięło następującą uchwałę:

„Ubolewamy nad objawem coraz to częściej dziś się powtarzającym, że nasza inteligencja, która wyrosła w naszych polskich parafiach i w naszych parafiach dorobiła się majątku i na swoich rodakach wzniosła się na wyżyny wpływów politycznych i od tych rodaków jeszcze nadal domaga się poparcia, dziś te parafie polskie opuszcza, dzieci swoje nie wychowuje w tradycjach polskich i nie dba o przyswojenie dzieciom języka swych ojców; ślubuje w kościele nie polskim; chowa się z kościoła niepolskiego; popiera parafie niepolskie, a zostawia trudności w utrzymywaniu tych ostoi tradycji i naszych ojców najbiedniejszym z naszego ludu; nie pomagają ani parafiom polskim, ani też sierocińcowi polskiemu, który otrzymuje tylko pewien procent dochodu z ofiar, złożonych na dobroczynności katolickie

jedynie w kościołach polskich... zaraźliwa choroba opuszczenia swoich, żywotne siły naszej Polonji Chicagoskiej zupełnie zrujnuje."¹⁰

(—) Ks. F. Feldheim,
sekretarz.

Równocześnie parafja broni się przed innem niebezpieczeństwem, które zagraża jej sile i jedności: przed inwazją obcych elementów (przez mieszane małżeństwa katolickie różno-narodowe). W parafji Św. Michała istnieje zasada, że z zawarciem takiego małżeństwa, parafjanin musi się przenieść do niepolskiej parafji katolickiej. Parafja zamyka się przed obcymi, chce zostać grupą *swoich*.

Poza parafjami swoich zaczynają się już „Żydy i masony“. „Żydostwo i masuny runują (rządzą) stalownią“. „Żydostwa tam tego pełno, co te większe stanowiska zajmują, to oni się tam popierają, ale Polaków to usuwają“. I oni też „runują“ całą Amerykę.

Oni też demoralizują Polaków. W baptystycznym settlemente są według udzielonej mi przez robotnika informacji „same Poloki, ale zydostwa słuchają, bo na tę naukę, co oni mają, to przychodzi jaka zydówka czy angielska. Co oni się tam uczą, to ja nie wiem, ale wiem, że im coś tam z książków czyta. Także tym dzieciom to mliko dają. A na wieczór to się tam znów starsze schodzą chłopcy i kobity do kupy i cudzołóstwo uprawiajum, to taki krzyk robiom, że już trudno wytrzymać. Ja wam powim, że te Polaki to ze wszystkich narodowości najłatwi sie ogłupotać dadzą i najwincy tych nowych wiarów nawytwarzają.“

Kiedy zaintrygowany powszechnem używaniem określenia „Żyd“ dla obcych bez zróżnicowania, zapytałem, co rozumieją przez to, odpowiedziano mi: „Wszystko, co nie Polak, to są Żydy“.

5. *Życie towarzyskie parafji.*

„Jak była ta robota to robotniki znali drogę z dumu do fabryki z fabryki do dumu, a tera jak roboty nima, coby się mógł rozweselić (bo ma czas), to znów pinindzy nima, to jeno z dumu do tego parku i spowrotem. I to tak je.“

Ale w życiu parafjalnem były i lepsze czasy. „Dawni jak te zaluny były otwarte... to pełno było naroda w zalunach i muzyka nieraz była. A jak to ten dzień przyszedł, nie pamiętam, jak to nazy-

¹⁰ *Polonja*, 5. VII. 1928.

wają (miał na myśli Thanksgiving Day) to grali w kości na indyki i ten, co wygrywał to dostawał indyka, albo gęś, albo kaczkę... Załooony były pootwierane, to się tam najadł. Zapłacił za wisiki czy za piwo to ten luncz to miał za darmo. Minso było świzo gotowane, niektórzy to trzymali specjalnego kucharza. To niejednen do domu nie szedł na kolację jeno do zalunu, bo lepi smakowało.“

„Co to za czasy byli. Jak tylko żem przyjechał (1910), to w parę dni się żynił ten, co to koło mnie siedział. Jaka to zabawa była. A na weselu to musiało być conajmni 16 par przybocznych, wszystko w bieli. I to szły kujawiaki i krakowiaki i wszystko polskie tańce.“

Ne weselu syna robotnika X. w 1925 r. (według informacji rodziców) było 250 gości. Zjedzono 12 tuzinów kur. Pieczywo kosztowało 50 dolarów. Były cztery kucharki i zmywaczka. Czterech muzykantów grało całą noc (za 85 dolarów). Wódka i napoje kosztowały 155 dolarów. Całe wesele bez ślubu kosztowało 1 200 dolarów. Na czepek zebrali na weselu 1 500 dolarów.

Urodziny, chrzciny, imieniny, wesela, jubileusze rodzinne i pogrzeby, to najważniejsze wydarzenia życia parafjalnego. Jak w grupie sąsiedzkiej, tak i tutaj ludzie podają sobie z ust do ust wiadomości osobiste, a i tygodnik lokalny zawdzięcza swoją popularność tym właśnie funkcjom plotkarskim. Są wprawdzie towarzystwa, ale starzy należą do nich głównie dla ubezpieczenia. Rok rocznie *Polonja* podaje sprawozdanie z nowych instalacyj, czyli wyborów zarządu, i na tem kończy się przeważnie zainteresowanie towarzystwami u członków. Młodszy mają towarzystwa śpiewackie, ale przedewszystkiem sport. Ale sport to nie jest już dziedzina polskiej parafji: dział sportowy drukuje się nawet w *Polonji* po angielsku; zajmuje on tu jednak niewiele miejsca, jest prawie całkowicie zmonopolizowany przez angielski *Daily Calumet*. Młodzież czyta ten dziennik, starzy *Polonję*. „Jak gramy — mówił N., grający obecnie z klubem Brandon Speed Boys, a dawniej członek „Świętych Michałów“ — to zawsze w *Daily Calumet* je opis i pikczery dawają, i jak ja raz wygrał, to i mój pikczery chcieli wziąć, ale ja nie chciał. Ja się nigdy odebrać nie chciał od małeńkości.“

Polonja jest organem miejscowej elity towarzyskiej. Z niej dowiadują się znajomi o wydarzeniach familijnych i towarzyskich. Niech kto z elity wstępuje w związek małżeński, a *Polonja* na frontowej, lub najdalej na drugiej stronie drukuje sążniste sprawozdanie

ze ślubu i wiadomość, że „Młodzi państwo udali się w podróż poślubną automobilem do Hot Springs“ lub innej miejscowości.

Rzadko jednak o taką uroczystość jaką był ślub kuzyna redaktora naczelnego *Polonji*, na którym zebrała się elita So Chicago.

„Ślub p. B. z panią A. R. — czytamy w *Polonji* z dn. 22. XI. 1928 — w środę, dn. 21-go b. m. o godz. 5-ej wieczorem sprowadził do kościoła N. P. N. M. P. bardzo liczny zastęp gości i wiernych.

Na wstępie do kościoła marsza weselnego dla młodych państwa odegrał p. J. J. na skrzypcach z towarzyszeniem organu miejscowego organisty p. F. Sz. Ceremonji ślubnej dokonał ks. W. P., miejscowy asystent i przyjaciel rodziny B.; w sanktuarium też był obecny ks. J. M., prob. par. św. Stanisława B. i M. w K., również przyjaciel pp. B.

Cudnie na chórze śpiewała „Veni Creator“ sympatyczna solistka panienska G. M. — obligato na skrzypcach grał p. J. J., „Ave Maria“ (Rosewig) silnym tenorem odśpiewał brat nowożeńca, p. J. B.

Nastrój w kościele był uroczysty — zewsząd biła radość, rozpromieniało wszystkich wesele — to też gdy pp. S. J. i A. B. wyszli z kościoła zaczęły się sypać życzenia — otoczyło ich kołem kilkaset ludzi. Łzy radości i wdzięczności rosły lica szczęśliwej a dobranej pary.

Wieczorem o godz. 7-ej w klubie Windsor Shore, przy 75 ul. i Yates Ave zebrało się przeszło 250 gości weselnych.

Zasiedli do kolacji weselnej w dwóch oddzielnych salach, gdyż niemożliwością było aby wszyscy mogli pomieścić się nawet w najobszerniejszej tam sali. Inwokację przed kolacją wypowiedział ks. W. P.

Po kolacji program mów otworzył p. A. F. B., redaktor „*Polonji*“ i kuzyn nowożeńca. W słowie wstępnem określił on piękne zalety charakteru młodych państwa i z kolei powołał adw. I. I. P., który zna p. S. B. od lat chłopięcych. Przemówienie swoje przeplatał p. P. humorystycznymi epizodami z dawnych lat ich koleżeńskiego współżycia.

Pani K. S. O. w języku polskim snuła życzenia dla młodych i też wspominała o długich latach bliższej znajomości z młodym państwem.

Tow. Śpiewu im. Bol. Dembińskiego sprawiło niespodziankę swemu koledze i wystąpiło ze śpiewem, który tak się zebrany podobal, że aż trzy razy musieli śpiewać. — Serdecznie też przemawiali księża I. M. i W. P.

Ob. L. N. z Chicago jako długoletni znajomy nowożeńców składał serdeczne życzenia.

Następnie życzenia składali: A. L. B., sekr. So Chicagoskiej Izby Handlowej, kapitan policji C. i adwokat M. W. O. Toastmistrz przedstawił tedy zebrany wybitnych obywateli tutejszych i pozamiejscowych.

W końcu nowożeńiec p. S. B. w serdecznym słowie dziękował we własnym i żony imieniu za tak hojne wyrażenie dla nich uczuć.

Nowożeńcom telegramy nadesłali krewni i znajomi z Chicago, South Bend, Milwaukee i Detroit.

Pod koniec wieczoru przybył na salę p. Mojica, sławny tenor z opery chicagoskiej by złożyć też życzenia. Znakomitość tę goście jeszcze obecni powitali huraganem oklasków. Pan Mojica prześliznym, bogatym, cudnym swym tenorem dla obecnych odśpiewał kilka pieśni, słuchali goście, wsłuchiwali się a artysta — porwał ich, uniósł w stropy arcyzmu, pieścił ich uszy, sercem za serce płacił.

Goście bawili się do późnej pory przy dźwiękach orkiestry braci U.“

Dłuższe lub krótsze sprawozdania (zależnie od społecznej i towarzyskiej pozycji osób) z jubileuszów rodzinnych stanowią również stałą część „Polonji“. Na bankiecie w sali parafjalnej Św. Marji Magdaleny urządzonej przez przyjaciół i znajomych z okazji 25-lecia pożycia małżeńskiego pp. M .S. i P .F., jednego z wybitnych działaczy miejscowych, zebrało się około sześciuset osób. Jubilatów powitano „Marszem Weselnym“. „Podano — pisze Polonja — naprzód kolację składającą się z kilkunastu dań; kuchmistrem był p. L. . . . Mowa ks. F. M. W. proboszcza parafji N. P. N. M. P. była nader rzeczową i zastosowaną do okazji.“ W upominku od zebranych otrzymali pp. F. srebro stołowe i pektolator. „Tańczono do orkiestry braci U.“¹¹ Szczegóły o kolacji znajdują się prawie zawsze w sprawozdaniach. Czasem przytem, wykwintną kolację urządzają znajomi jako „niespodziankę“.

W sprawozdaniu z 20-lecia pożycia I. i J. R. (adres podany) czytamy: „Przyjaciele i znajomi pp. R. dowiedziawszy się o jubileuszowej chwili . . . zrobili taki nieoczekiwany najazd na gościnny dom jubilatów. Pan Józef żdziwił się wraz z małżonką . . . Elegancką wykwintną kolację z kurcząt, gołębi i ozora z grzybkami przygotowała niespodzianie pani Sz.“¹²

Na uroczystości 25-lecia pp. W. i M. P. zgromadziło się 119 osób. Ojciec C. proboszcz Św. Bronisławy „przedstawił gościom zgodne pożycie małżeńskie, biorąc za przykład pożycie małżeńskie jubilatów“. „Do stołów usługiwały: J. K.; A. K.; L. Sz.; L. B.; S. W.; I. M. Cygara podawał p. J. K. Napojami miękkimi częstował zięć jubilatów p. W. J.“¹³

W uroczystości 25-lecia pożycia pp. Jana i Apolonji M. — wzięły udział 52 osoby. W sprawozdaniu z tej uroczystości „Polonja“ infor-

¹¹ *Polonja*, 29. XI. 1928.

¹² *Polonja*, 2. III. 1928.

¹³ *Polonja*, 6. II. 1930.

muje, że „wspaniały tort z drabiną, na której szczeble oznaczały lata pożycia małżeńskiego — to dar od kuzyna, piekarza z Calumet City p. M.“, a Pan Redaktor A. F. B. „z naciskiem podkreślił polskość ich (jubilatów) i katolicyzm“.¹⁴

Również wyjazd, albo powrót do domu z podróży daje powód do zabawy i sprawozdania w „Polonji“. Oto w domu pani M. L. akuszerki urządzono zabawę na przyjęcie przybyłych z Florydy państwa M. Podano „znakomitą kolację“ do której zasiadło 36 osób. Syn gospodyni, którego p. M. jest chrzestną matką, przemówił pięknie i wręczył państwu M. cudny kosz kwiatów. Piękny bukiet wręczyli p. F. i M. B. „Następnie został mianowany toastmistrzem p. A. R., przemawiali pp. M. młodszy i starszy. — Pp. M. opowiedzieli nieco szczegółów o pobycie we Florydzie“. „Następnie rozdano panom cygara, a paniom małe bukietki kwiatów.“¹⁵

Tak samo wielkie bale polskie są uwzględniane. Na bal Polskiego Stow. Dobroczynności w Hotelu Stevens „największym obecnie hotelu w świecie“ — blisko 3 000 osób przyszło. „Stroje i toalety pań odznaczały się niezwykłą wytwornością i zwracały powszechną uwagę, zaś szczególnie licznie wystąpiła najmłodsza generacja polsko-amerykańska, uderzając oczy bezstronnego widza swą urodnością i znakomitą układem w zachowaniu.“¹⁶

Bardzo uroczyście i z wykwinną kolacją święcone było również 15-lecie istnienia Tow. Św. Stanisława Kostki.

„W poranek zeszło-niedzielną członkowie-jubilaci przystąpili in corpore do Komunii Świętej podczas Mszy Świętej odprawionej na ich intencję w kościele Św. Michała Arch. — Wieczorem zaś zebrali się w sali W. gustownie przybranej w narodowe kolory amerykańskie i polskie... Było obecnych około 200 uczestników uroczystości. Na sali do stołów białymi obrusami nakrytych, z których odbijały się systematycznie poustawiane naczynia, zasiedli goście. Biesiada była przepyszna a przy odgłosie trio muzycznego, — fletu, skrzypiec i harfy z orkiestry J., bawiono się i zjadano potrawy następujące:

Oliwki, Korniszony, Buraki, Kompot owocowy, Zupa pomidorowa, Pstrąg pieczony au gratin, Młody indyk pieczony, Sos z zórawin, Bite

¹⁴ *Polonja*, 13. II. 1930.

¹⁵ *Polonja*, 11. VII. 1929.

¹⁶ *Polnja*, 26. I. 1928.

kartofelki, Zielony groszek, Sałata z ogórków, Sos francuski, Lody, Ciastka francuskie, Kawa.

Nastrój panował wśród wszystkich wspaniały. Panie przybrane były w biel odświętną, panowie we frakach i „tuxedo“ marynarkach — sala rzęsiście oświetlona, zieleń na stołach, bukszpany i palmy na estradzie, — wszystko to jedną uroczystą całość nadawało chwili. Gdy się już wszyscy pokrzepili, języki się rozwiązały...¹⁷

Parafjalne „society“ ma swój *savoir-vivre*. Zbieranie książek nie należy do zwyczajów parafjalnych i poza „Żywotami Świętych“ rzadko spotykałem bibliotekę (za wyjątkiem drobnej bardzo garstki inteligencji). Raz jednak natrafiłem na interesujący zbiorek książek, w którym obok *Tajemnic życia i śmierci* W o ł o w s k i e g o, *Drogi do poznania światów tajemnych*, *Eliksiru życia* i *Sztuki kochania* znalazłem *Listy Miłosne*. — *Najnowszy poradnik do pisania listów miłosnych wraz z dodatkiem zawierającym wpisy do imienników, pieśni miłosne oraz toasty weselne*, 1914.

Listy miłosne dostarczają wzorów listów na wszystkie okoliczności: „oświadczyńy po krótkiej znajomości“, „oświadczyńy po dłuższej znajomości“, „oświadczenie miłości i prośba o spotkanie się“, „przychylna odpowiedź panny“, „odmowna odpowiedź“, „wymijająca odpowiedź“, „odpowiedź brała za siostrę“, „list do natarczywego kochanka“, „odpowiedź rodziców“, „list rzemieślnika np. szewca lub krawca“, „list młodego farmera do córki farmera“, „list z ogólnem wynurzeniem miłości i z prośbą o rękę“, „list jakiegokolwiek rzemieślnika“, „list górnika“, „odpowiedź na list rzemieślnika“, „list wdowca“, „list żołnierza do kochanki“, „drugi list żołnierza do oblubienicy“, „list tęskniącej kochanki“, „list z Ameryki“, zgórą dwadzieścia listów „kochanków i narzeczonych“ i wiele innych.

Jeżeli list z „oświadczeniem miłości i prośbą o spotkanie się“ nie spotkał się z odpowiedzią ani odmowną, ani wymijającą i oblubienicy spotkali się, to przepisy dalszego zachowania się znajdują w innym dziełku p. t. *Sztuka kochania, czyli sposoby przypodobania się, zakochania i znalezienia miłej i dobrej małżonki, względnie miłego i dobrego małżonka. Niezbędny poradnik dla osób mających wejść w związku małżeńskie oraz dla małżonków*. Wydał B. Żelski. *Na podstawie starożytnych źródeł zaczerpniętych z Salomona Anakreonta* (bez przecinka pomiędzy Salomona i Anakreonta), *Saphony*

¹⁷ *Polonja*, 20. II. 1919.

z *Lesbos i Owidiusa, mistrza w sztuce kochania*. (Cena 40 cent. Nakładem i drukiem gazety „Motyl“, New York, Skład Główny M. P. Paryski, Pittsburgh 1916).

Z tej „sztuki kochania“ wynoszą zainteresowani wiele cennych wskazówek, dotyczących poznawania się na ludziach, robienia dobrego wrażenia i podobania się.

Oto „kilka wskazówek, które panienka rozsądnie pojąć powinna. Oko nieśmiałe, nie pozwala sądzić o zbyt bystrym umyśle. Wzrok niespokojny oznacza gwałtowne namiętności. Kto swemu bliźniemu nie śmie wprost w oczy spojrzeć, ten niema czystego sumienia. Kto z otwartymi ustami świata się przygląda, bywa zwyczajnie nieudolnym. Częsty śmiech zdradza głupca. Szyderski uśmiech w około ust oznacza mało szczerości. Twarz, której rysy często się zmieniają, oznacza brak silnych zasad. Nadmierna otyłość mężczyzny oznacza brak siły i duchowych zalet. Nadzwyczajne wychudzenie oznacza burzliwie spędzoną młodość lub też silne namiętności.“ (s. 74).

„Używanie perfum — dowiadyuje się czytelnik na innym miejscu — nie jest rzeczą złą, o ile się ich nie nadużywa, a są one nieraz wprost potrzebne, gdy wrodzony odór ciała jest za ostry i zbyt rażący, nawet pomimo starannego mycia i kąpania.“ Trzeba jednak perfumy odpowiednio dobierać. „I tak np. powszechnie lubiane perfumy fiołkowe mniej się nadają dla dziewcząt, więcej raczej dla dam zamężnych. Działają one w kierunku afrodyzyjnym przytłumiająco. Najodpowiedniejsze dla dziewcząt — o ile potrzebne — są perfumy różane, w lepszym gatunku. Te bowiem najtrudniejsze są do sztucznego naśladownictwa, a powtórę działają rozkosznie i wzbudzają w otoczeniu uczucie podniecające, afrodyzyjne. Lecz i tu trzeba umieć zachować miarę. Dziewczę młode i czyste, a uczciwe, ma najmiłszą perfumę dla młodziana w naturalnym zapachu jej dziewiczego ciała. Są ludzie tak wrażliwi, sami czyści i nietknięci pod względem czystości duszy, którzy po zapachu ciała poznają moralną wartość dziewczęcia.“ (s. 54).

„Pomady na włosy nie powinno się używać, chyba z konieczności, bo włosy czyste i zdrowej dziewczyny mają swój specjalny, nęcący zapach naturalny.“ (s. 53).

Wreszcie książeczka zawiera także sentencje życiowe społecznej i ogólnofilozoficznej natury. „Aczkolwiek pycha ludzka, — czytamy — fałszywie równouprawieniem zwana, stara się zatrzeć różnicę między mężczyzną i kobietą w życiu publicznym, to jednak faktem jest i pozostanie, że uwarunkowanie bytu ziemskiego kobiety bardzo odmiennym jest od bytu mężczyzny... Biblia mówi, że kobieta powstała z żebra mężczyzny. Jest więc częścią integralną jego natury... Ktoby

był ciekawy zbadać dwupłciowość istoty ludzkiej, mógłby się dokładnie przekonać, jak dziwnie przystająco do siebie są zbudowane poszczególne członki mężczyzny i kobiety. Podobieństwo między nimi jest mniej więcej takie, jak między formą a odlewem, który wyszedł z formy.“ (s. 6—7).

Nie wiem jak popularny jest ten „savoir-vivre“. Podobne „sztuki kochania“ spotykałem jednak często na wystawach polskich księgarń w Ameryce, leżące obok amerykańskiej „art of love making“. Wśród młodego pokolenia ta ostatnia wypiera polską, może bardziej udoskonalona, uproszczona i lepiej do samochodu przystosowana.

6. *Obowiązek wzajemnego popierania się.*

Jak wspomniałem poprzednio, towarzystwo o charakterze religijnym i wzajemnej pomocy poprzedzało zorganizowanie parafji.

To powiązanie momentu religijnego z momentem wzajemnej pomocy jest bardzo ścisłe i nie przypadkowe. Wzajemna pomoc, dla której zawiązywały się pierwsze towarzystwa emigrantów, dotyczyła pierwotnie głównie posług religijnych, a przede wszystkim pogrzebu. Utrzymywanie kasy pośmiertnej i zorganizowanie pogrzebu dla współczłonka, było naczelnym motywem organizowania takich towarzystw. Funkcja ta stanowi nadal podstawę utrzymywania się licznych związków polskich. Związek Narodowy Polski, jak i Zjednoczenie Polskie Rzym.-Kat. są równocześnie towarzystwami ubezpieczeniowymi, i funkcje te stanowią podstawę ich liczebności.

Zasady wzajemnej pomocy nie należy jednak mieszać z zasadą zbiorowej organizacji zaspokajania potrzeb, z jakimkolwiek sympatjami dla socjalizmu, dla uspołecznionej formy organizacji zbiorowej. Przeciwnie, duch uspołecznienia w głębszym tego słowa rozumieniu jest obcy polskim parafjom. Jak każdy ostatecznie indywidualnie będzie zbawiony lub potępiony, tak też sam powinien zabiegać o zaspokojenie swoich potrzeb. Indywidualnie powinien się dorabiać. Obowiązkiem grupy swoich jest popieranie się w indywidualnych dążeniach. Parafje dzielnicowe jako całość podejmują nadzwyczaj mało funkcji społecznych. Opieka nad biednymi w parafjach dzielnicowych jest nadzwyczajnie słabo zorganizowana — i nie nosi charakteru parafjalnego; prowadzona jest przez szersze organizacje Kościoła Katolickiego. Podobnie rzecz się ma z opieką nad przestępcami.

Parafja nie prowadzi również żadnych agend kulturalnych, za wyjątkiem przedstawień i zabaw, które traktowane są jako imprezy dochodowe. Biblioteka polska znajduje się w Południowym Chicago w settlemente baptystycznym. Urząd i władze parafjalne ograniczają swoją działalność niemal wyłącznie do terenu religijnego i towarzyszeń kościelnych.

Obowiązek wzajemnego popierania się jest zasadą moralną, która swój sens zawdzięcza istnieniu obcych. Każe ona popierać swoich a nie obcych, nie natomiast nie mówi o tem, jak „swoi“ powinni współżyć między sobą, kiedy są sami. Zasada ta oznacza postawienie „swojego“ przed obcym. „Żeby on tam nie wiem jaki Polak był, to on jeszcze lepszy niż obcy; najgorszy Polak lepszy niż obcy.“ Jest to wyrazem moralności grupowej, ale nie koniecznie znajduje wysokie zastosowanie etyczne. „Jak to się mówi, panie, jak mają być pieniądze ukradzione z insurance (ubezpieczenia), to lepi niech nasz ukradnie“, wyjaśniał mi prezes, jednego z najliczniejszych towarzyszeń miejscowych.

a) Popieranie się w życiu politycznym. Zasada popierania swoich znajduje więc zastosowanie głównie na terenach stykania się „swoich“ z obcymi: przedewszystkiem więc w życiu politycznym i ekonomicznym.

Funkcja popierania swoich występuje wyraźnie, w związku z ogromną ilością urzędów wybieralnych w administracji lokalnej w Ameryce i dużą ilością „jobów“. Kandydaci na posady polityczne odwołują się do swoich o poparcie. Oto woźny sądowy podaje swoją fotografię i pod nią umieszcza następujące wezwanie do rodaków, by głosowali za p. S. W. G., któremu on zawdzięcza swoją posadę.

„Niniejszem zwracam się z serdeczną prośbą do moich rodaków, ażebyście w dniu wyborów poparli swoimi głosami mojego i waszego szczerego przyjaciela p. Sheldona W. Goviera, aldermana 9-ej wardy, ubiegającego się o urząd klerka sądu apelacyjnego. Pamiętajcie w budkach wyborczych o nazwisku tego, który pamięta o was nie tylko w czasie kampanji, ale w każdym czasie.

Jestem jednym z tych Polaków, o których pan Govier nie zapomniał, gdy chodziło o rozdanie posad miejskich. Znam pana Goviera od wielu lat i mogę śmiało powiedzieć, „aby tacy przyjaciele jak on rodzili się na kamieniu“. Mimo swego szacowanego urzędu aldermana,

jest on zawsze, dla nas Polaków w szczególności, przyjacielem i w dodatku takim, na którego zawsze możemy liczyć.

W mej prośbie gorącej proszę o oddanie jemu głosów w dniu wyborów, abyśmy mogli wykazać, że pamiętamy o tych, którzy pamiętają o nas nie tylko w potrzebie, ale w każdym czasie.¹⁸

A oto znowu wezwanie do rodaków, kandydata na klerka Sądu Najwyższego, pomieszczone na frontowej stronie Polonji pod olbrzymią fotografią kandydata.

„Rodacy! Nam potrzeba pomocy, bośmy słabi i ponad siły własne są starania, jakie powinny być przeprowadzone. Wszyscy przyznajemy się otwarcie, że nie potrafimy sami bez waszej pomocy, Rodacy — nic zrobić. Tak samo jak i Wy odczuwamy kryzys, bo niby pracując — całymi miesiącami czekamy na wynagrodzenia, które i tak jest do kości okrojone — każdy, z każdej strony natarczywie żąda od każdego kandydata rzeczy wprost niemożliwych w dzisiejszych czasach, a nawet i miliony nie wystarczyłyby na zaspokojenie żądań, gdyby kandydaci miliony posiadali, naciągają ich naciągacze z prawej i lewej strony — tak iż wprost trudno się opędzić od natarczywców. W takich warunkach trudnych, ciężkich ubiegają się Polacy o urzędy. Czy Wy, Rodacy pomożecie swoim ludziom? Czy Wy, pozwolicie na to aby Polaków pomijano, dlatego, że są Polakami? Nigdy w historii perspektywa nie była tak przychylną zwycięstwa Polaków jak w nadchodzących wyborach. Pokonali Polacy pierwsze trudności prawyborcze po ciężkiej pracy kampanijnej — zaco serdeczną i dozgonną wyrażam wdzięczność — teraz Rodacy, we własnem imieniu i dla mych kolegów kandydatów na całym balocie demokratycznym o tę szczerą pomoc proszę — dla chwały imienia polskiego i amerykańskiego.“¹⁹

„P. B. — pisze znowu Polonja — jest synem jednej z najstarszych tu rodzin polskich, bowiem rodzice jego przybyli do Chicago, — gdy było tu dopiero około 75 rodzin polskich. Murem wszyscy przyrodaku! Stańmy jak jeden mąż, oddając p. B. nasze głosy polskie — a agitujmy za nim jeszcze w tych ostatnich dniach między Amerykanami.“²⁰

I zwyciężył. A zwyciężywszy, temi słowami dziękuje rodakom:

Słowa wdzięczności od pana A. F. B.

„Urząd klerka najwyższego sądu stanowego — jak rezultaty wyborcze wykazują, przypadł mi w udziale obok zwycięstwa wszystkich demokratów.

Pragnę gorąco, Rodacy moi, by moje zwycięstwo było zwycięstwem Waszem wraz ze wszystkimi obywatelami amerykańskimi.

¹⁸ *Polonja*, 3 listopada 1932 r.

¹⁹ *Polonja*, 25 sierpnia 1932 r.

²⁰ *Polonja*, 3 listopada 1932 r.

Wiem, że wraz z partją demokratyczną cieszyicie się ze mną i dlatego szczególnie wdzięczny jestem wszystkim moim rodakom, którzy oddali mi swoje głosy i tym, którzy żywy udział w kampanji mojej wzięli. Gdybym chciał ich wszystkich tu wymienić, nie starczyłoby miejsca, ale raczcie wiedzieć, Rodacy, że każdemu, czy to najmniejszemu czy to najwyższemu — wszystkim wyrażam słowo wdzięczności, boście wszyscy zrozumieli co to znaczy solidarność. Obok innych narodowości tworzących z nami zespół obywatelstwa amerykańskiego, poszliśmy naprzód i dlatego właśnie, że zaczynamy w życie wprowadzać nasze teorie i hasła, dziś posunęliśmy reprezentację polską w polityce amerykańskiej o kilka szczebli wyżej i da Bóg w następnych kilku latach rodacy nasi jeszcze wyżej pójdą — tylko zawsze i wszędzie pracujmy zgodnie i wytrwale, bez zazdrości, bez prywaty, stosując się do okoliczności politycznych w jakich żyjemy i działamy, szczególnie zaś zgodnie też z innymi narodowościami bo w nas i w nich łączna siła to potęga, której nikt się nie oprze. Zdaję sobie rację z faktu, iż jestem drugim Polakiem, który obejmuje urząd stanowy — pierwszym był ś. p. Jan F. Smulski, który w roku 1907 objął urząd skarbnika stanowego. Chcę Rodacy dla Was być zaszczytem — proszę o dalszą zachętę i podtrzymanie imienia polsko-amerykańskiego jak najwyżej ku chwale i pożytkowi wszystkich Polaków i ku chwale wszystkich obywateli amerykańskich bez względu na pochodzenie, bo w oczach Boga jesteśmy dziećmi Jego równymi. Niech Was Bóg błogosławi za zaufanie, jakim obdarzyliście mnie.

(—) A. F. B.²¹

Ale życie polityczne parafji polsko-amerykańskiej nie różni się wiele od życia politycznego wogóle. W pięć miesięcy od daty, kiedy na naczelnem miejscu *Polonji*, drukowany był sążnisty artykuł o zasługach p. B. z jego ogromną fotografią, i z adresem kandydata, ukazuje się na ostatniej stronie *Polonji* drobna notatka Redakcji tej treści. „W ubiegłą sobotę rano zawezwano policję do domu pod numerem... do uśmierzenia bójkii pomiędzy mężem i żoną. Gdy przybyła policja pod powyższy adres już było wszystko „quiet on the western front“. Na stacji nie zanotowano nazwiska wojowniczego małżeństwa.“²²

²¹ *Polonja*, 10 listopada 1932 r.

²² *Polonja*, 9 marca 1933 r., str. 6. We wzmiance tej, której znaczenie stwierdziłem u kompetentnego źródła, i którą dopełniała akcja ustna mająca za przedmiot domowe i prywatne życie elekta, zmieniono tylko (nie wiem intencjonalnie czy przypadkowo) w czterocyfrowej liczbie domu przedostatnią cyfrę (4 na 5). Nazwę ulicy pozostawiono. O ile sobie przypominam, to informowano mnie, że zmianę tę zrobił sam zecer.

Co się stało? Wybraniec losu nie był w stanie spełnić wszystkich obietnic danych przyjaciółom, których poparciu zawdzięcza zwycięstwo. Rozpoczęła się walka o „joby“, a z nią podziemne knowania pokrzywdzonych. Ci sami ludzie, którzy go przed pół rokiem reklamowali jako największego patryjotę, obecnie kopią pod nim dolki. Tak intensywne i pełne wzajemnej nienawiści walki jak ta, która tu właśnie powstała, toczą się tylko wśród „swoich“.

b) Popieranie się w życiu ekonomicznym. Drugą dziedziną, w której zasada popierania się wzajemnego znajduje rozległe zastosowanie jest życie ekonomiczne. Propaganda handlowa polska jest oparta na tej zasadzie popierania „swoich“ i ich produktów. Przez jakiś czas rozpoczynano polską godzinę kupiecką w radio wezwaniem „Popierajcie tych, którzy nas popierają“. „Tak smacznych wędlin, jak polskie wędliny — reklamuje godzina polska w radio — niema na świecie“. „Że my Polacy znamy się lepiej na mleku od innych narodów, tego dowodem jest, że kwaśne mleko z kartoflami jest naszą polską potrawą, podczas gdy inne narody nie wiedzą, co z tem zrobić.“ „Zdążajmy solidarnie do niezawisłości gospodarczej...“ „Popierajmy się nawzajem a świat będzie dla nas rajem.“ „Pijcie tylko polskie piwo z nalepką białego orła.“ „XN. czystopolska pralnia — oddajcie tam swoją bieliznę, a otrzymacie ją czystą, miłą i pachnącą.“ „Gdy Bóg powoła do wieczności jedną z drógich wam osób, to polski pogrzebowy najlepiej was zrozumie i obsłuży.“

Zarówno udział Polaków w polityce i administracji, jak i ich życie ekonomiczne zależy od istnienia polskich parafij. Polskie życie ekonomiczne rozwinęło się w ramach tych skupień polskich i zależne jest od istnienia patryjotyzmu Polaków, od ich trzymania się razem w polskich parafjach, od przywiązania do parafji. Dlatego też politycy, kupcy stanowią ważne filary parafij — a propaganda polityczna i handlowa opiera się na parafji. „Kupujcie bilety na nasz koncert religijny — słyszymy na polskiej godzinie radiowej — cały dochód na malowanie Kościoła, prosi was o to serdecznie komisarz powiatowy N.“

... . Każdy kupiec polski — pisze wybitny działacz kupiecki w artykule propagandowym — składa daninę na twój kościół, na twoją szkołę, na twoich śpiewaków, na twoich sokołów, wogóle na twoje

wszystkie organizacje ideowe. Nie tylko że składa, ale sam bierze w nich czynny udział. On jest częścią twego narodu, on jest twoim bratem. Czy wojna, czy głód, czy nieszczęście, on zawsze jest z tobą, pomaga ci, podczas gdy różne przybłędy w nieszczęściu opuszczają cię, ogłaszają publicznie, że są „neutralni“ a ty pozostajesz sam z twoją biedą.“

„... Nasz człowiek ma sumienie, jest katolikiem, jest rzetelny, więc sądzi, że i inni rzetelnie obsługiwać go będą. Tymczasem inni nadużywają tych zalet i rabują nasz naród.

I dlatego, gdy się słyszy, takie przysłowiowe już zdanie w sklepie polskim: „Takiej łaski ja i u żyda dostąpię“, to wtedy wyrывa się wraz z Juljuszem Słowackim wielki krzyk bólu:

„Niczem Sybir, niczem knuty,
Lecz narodu duch zatruty,
To dopiero bólów ból.“

Albowiem kupiec polski, jako Polak i jako katolik od tysiąca lat uczony jest, że kradzież jest grzechem, że trzeba mówić prawdę, że trzeba rzetelnie obsługiwać. Więc wyznacza on stałe ceny i od nich odstąpić nie może, bo te ceny są sprawiedliwymi cenami.

Zaś przybłędy obce, którzy nie mają sumienia, ceny dostosowują do osoby, którą mają przed sobą. Gdy widzi łatwowiernego rodaka, rzuca się na niego niby wilk na owcę, obrabuje go i jeszcze mu mówi, że mu łaskę zrobił. Dlatego kupujcie u swoich.“²³

Właściciel jedynego polskiego w SoChicago Zakładu Fotograficznego ogłasza swój zakład w następujący sposób:

Rodzice Polscy! Dzieci przystępujące do Komunji Św. fotografujcie w Polskim Zakładzie.

„Za kilkanaście dni przystępować będą do Stołu Pańskiego dzieci polskie, opuszczające mury szkolne. Chwile uroczyste w domach polskich należycie Polacy obchodzą i cieszą się razem z dziatwą. Tę chwilę też utrwalają dla dzieci na pamiątkę życiową w postaci fotografii, która później obok modlitewnej książeczki dorosłej już wtedy młodzieży przypominać będzie w zwątpieniach życiowych tę chwilę, w której poraz pierwszy przystępowały do Stołu Pańskiego. Często się zdarza, że rodzice polscy fotografują u ludzi, którzy wprost lekceważą sobie nasze obrządki religijne — to też przypomnąć im należy o obowiązku fotografowania dzieci w zakładzie polskim i chrześcijańskim...“

W Księdze Jubileuszowej 50-lecia istnienia parafji N. P. N. M. P. składają życzenia jubileuszowe (w postaci reklam) wszystkie lokalne przedsiębiorstwa handlowe: rzeźnicy, aptekarze, piekarze, banki, mle-

²³ *Dziennik Zjednoczenia*, 28. XI. 1932. Dział kupiecki.

czarnie, spółki budowlano-pożyczkowe, wytwórnia piwa i innych napojów, lekarze, malarze, fabryka trumien, właściciele restauracyj itp. „Najserdeczniejsze życzenia składa syn organizatora Parafji Jan I. T. — Sala do wynajęcia.“ „Jaknajserdeczniejsze życzenia dalszego rozwoju i zbożnej pracy życzy parafji N. P. N. M. P. Najstarszy Polski Zakład Pogrzebowy w SoChicago“, a dla zadokumentowania śnać szczerości swoich życzeń umieszcza ogromną fotografię swoją, idąc za wzorem innych przedstawicieli elity miejscowej, a zwłaszcza polityków, którzy pomieścili także swoje fotografie. „Życzenia od familji“ — składa J. K. — „Europejski wyrób wędlin.“ „Serdeczne życzenia dla całej parafji składa — M. L. akuszerka.“ Brak tylko życzeń kwiatciarni, które życzeń nie składają od czasu, jak wprowadzono do parafij „bukiety duchowe“²⁴ zamiast kwiatów na trumnę.

7. Społeczno-kulturalny system parafji.

Pod wpływem wymagań, które sobie wzajemnie stawiają członkowie parafjalnej grupy „swoich“, wykształca się pewien wzór parafjanina. Wzór ten jest podstawą sądu wzajemnego współparafjan, i choć trudno go całkiem wyczerpująco opisać, to jednak ostatecznie samo istnienie parafji opiera się na istnieniu takiego wzoru, czyli systemu obowiązków i norm obyczajowych stawianych przez parafję swoim członkom. Niejeden z członków parafji, sam w swoich aspiracjach sięga wprawdzie poza sferę parafji, ilekroć jednak jako członek parafji wydaje sąd o współparafjanach, to sąd ten opiera na tym systemie norm obyczajowych i społecznych — na wzorze parafjanina. Na istnieniu takiego stereotypu parafji i parafjanina opiera się także publiczna opinia parafji.

²⁴ Bukiety duchowe polegają na tem, że zamiast kwiatów na trumnę zamawia się msze święte za dusze zmarłego. Kartkę z zamówieniami na mszę i z pieniędzmi umieszcza się w kopercie i kładzie na trumnę. Koperty te są do każdego pogrzebu przygotowywane przez pogrzebowych. Najtańsza msza kosztuje 2 dol. 50 cent. W parafjach Poł. Chicago w kościele wogóle kwiatów na trumnę nie wolno umieszczać, trzeba je zostawić w kruchcie, a na trumnę wolno umieszczać tylko bukiety duchowe. „Z kwiatów nic nikomu nie przyjdzie — uzasadniał mi ten zwyczaj ksiądz X. — a modlitwa zawsze pomoże“. Zwyczaj bukietów duchowych istnieje także w kościołach irlandzkich.

Wzór parafjanina decyduje o tem, że pewne tylko jednostki mogą liczyć na uznanie w parafji, inne mogą być tylko tolerowane. Jakżeśmy się przytem przekonali, parafja jest wścibska: chce wszystko wiedzieć o parafjanach, na życie prywatne nie wiele pozostawia miejsca. Dlatego dla typów nie przystosowanych do wymagań parafji miejsca w niej niema. Trudno się w niej ukryć.

Ksiądz z ambony ogłasza, ile kto dał na ołtarz, a ile na nowe okna w kościele. Normalne kolekty nie są ogłaszane z ambony, drukuje się tylko roczne sprawozdania rachunkowe z wyszczególnieniem imiennem ile kto dał na parafję. Sprawozdanie takie otrzymuje każdy parafjanin i na liście alfabetycznej może sprawdzić, ile dał jego sąsiad. Zarząd parafji stara się oszczędzać wszakże nadmiernych przykrości sąsiedzkich, któreby mogły wyniknąć (przez przedwczesne opublikowanie listy ofiarodawców) z niezapłacenia składek zwłaszcza nadzwyczajnych. „Niechcąc przykrości sprawiać parafjanom, którzy z powodu złych czasów nie byli w stanie uiścić się z zobowiązań na kolorowe okna — czytamy w Sprawozdaniu Finansowem parafji Św. Michała z 1930 r. — sprawozdanie z ofiar na ten cel wydamy pół roku później. W tem sprawozdaniu wyszczególnione będzie, ile kto obiecał, a ile w rzeczywistości dał.“²⁵

System spowiedzi za kartkami stanowi zawsze poważne narzędzie kontroli społecznej, a w warunkach życia polsko-amerykańskiego, gdzie całe życie ogniskuje się przy parafji jest to narzędzie bardzo skuteczne. Nie trzeba imiennego wymieniania z ambony tych, którzy do spowiedzi nie chodzą, czego się nie praktykuje; wystarcza ostrzeżenie w praktykowanej formie: „ja wiem kto nie był u spowiedzi, niech się poprawia, będzie z nimi inaczej źle.“

Nie może więc być mowy o wyłamaniu się z pod tego obowiązku. Kto chce żyć w parafji, mieć w niej przedsiębiorstwo, praktykę lekarską lub adwokacką, musi pójść do parafji w godzinach „ofisowych“ po kartkę, przy tej okazji, jak zwyczaj każe, zapłacić 5 dolarów, i odbyć spowiedź. Niema innej rady: niewielu może opuścić parafję i przenieść się z przedsiębiorstwem do amerykańskiej dzielnicy. „Ja chodzę do spowiedzi — zwierza się przedemną X. — ze względu na mój interes. Ażebym tę kartkę od księdza dostać. Do Ko-

²⁵ *Sprawozdanie Finansowe z Dochodów i Rozchodów Parafji Św. Michała Archaniola w So Chicago, Ill. za r. 1930, s. 4. Patrz także także sprawozdanie za r. 1929.*

munji nie chodzę. Dla tego grosza poświęcam moje dziecko, posyłając je do szkoły parafjalnej.“ „A co pan myśli — mówi inny — że ja tu przez sentyment dla Polonji siedzę, nie, gdyby mnie stać było, tobym się wprowadził między Amerykanów.“

Sami parafjanie pilnują, ażeby w życie parafji nie wkradali się ludzie nie odpowiadający wymaganiom wiernego parafjanina. „P. B. — opowiada mi jeden z najwybitniejszych działaczy parafjalnych dzielnicy — należał do Knights of Pythias i takim był zagorzałym członkiem, że kiedy było wyświęcanie na księdza jego brata, to on do kościoła nie chciał przyjść. Aż tu panie, kiedy mieliśmy posiedzenie organizacyjne klubu kupców, patrze a P. B. jest, to jak było czytanie konstytucji, to ja wniosłem, ażeby w konstytucji wstawili, że do klubu może należeć każdy parafjanin (czyli że nieparafjanie są wykluczeni). Później widziałem go w kościele i, jak zapytałem księdza to powiedział, że on już chodzi do kościoła od jakich czterech miesięcy.“

Skuteczność z jaką ksiądz i liderzy parafjalni zwalczają odstępstwo od wzoru parafjanina, nie jest jednak bynajmniej wyrazem samowładztwa księdza. Cała problematyka antyklerykalna, która stawia z jednej strony społeczność, a przeciw niej księdza, jest bardzo powierzchowna i nie ujmuje istoty zagadnienia.

Zapewne zewnętrznego obserwatora, tak samo jak nieliczną garstkę inteligencji polsko-amerykańskiej, która do życia parafji stosuje nieparafjalne sprawdziany społeczno-kulturalne, mogą razić bukiety duchowe, zwyczaj płacenia na kościół przy okazji brania kartki do spowiedzi, sam system kartek, opłaty za msze święte itp. Ale dla parafjanina są one przyjętymi zwyczajami, które zaspokajają jego potrzeby religijno-społeczne. Wśród masy robotniczej nie słyszałem naogół wielu skarg na wysokość opłat kościelnych. I nic dziwnego. W kulturze opartej na pieniądzu *możność płacenia* jest miarą wartości społecznej i źródłem poczucia mocy. Życie parafji przysiosowało się do tej kultury pieniężnej (nie tylko w Ameryce); ale równocześnie tę pieniężno-kapitalistyczną kulturę na swój sposób zasymilowało: *opłaty kościelno-religijne, możliwość płacenia na kościół i za posługi religijne, uczyniło najbardziej zaszczytnym ze wszystkich wydatków*. Każdy ofiarodawca znajdzie się na liście sprawozdania. Datki jubileuszowe są wyszczególnione imiennie w księdze jubileuszowej, a ci co zakupili nową sygnaturkę są wydrukowani tłustym drukiem.²⁶

²⁶ *Złoty Jubileusz*, lista ofiar jubileuszowych.

Pogrzeby w parafji odbywają się z największą wystawnością: trumny muszą być w najlepszym gatunku i księdza na pogrzebie nie może zabraknąć. Ilość dolarów zebranych w „bukiecie duchowym“ na msze święte jest miarą popularności i ważności społecznej zmarłego i jego rodziny.

Sami księża muszą nieraz hamować tę „ofiarność“ parafjan na kościół. Pp. X. na ślub córki chcieli kupić dywan do kościoła od drzwi frontowych aż do ołtarza, ażeby państwo młodzi szli po dywanie do ślubu. Ksiądz sprzeciwił się i powiedział, że mogą kupić dywan dla kościoła, ale po ślubie. Inna rodzina chciała mieć palmy w kościele przy ślubie.

Z płaceniem na parafję w tej lub innej formie, z utrzymywaniem jej wiąże się poczucie wartości parafjanina. Gdyby przestał płacić *straciłby związek z grupą swoich*, stałby się niczem. W systemie parafjalnym możliwość płacenia jest tak ważna dla więzi grupowej i dla poczucia wartości parafjanina, jak udział w uroczystościach grupowych, połączonych ze spożywaniem mięsa ze specjalnie hodowanych sakralnych zwierząt, w innym przedkapitalistycznym typie kultury religijnej, u Indian Potawatomi, którzy przed dwoma wiekami mieszkali na miejscu dzisiejszych polskich parafij Pol. Chicago.

Każda grupa społeczna wytwarza sposoby oceniania swoich członków: wspólną i uchwytną miarę udziału członków w zbiorowym życiu. Dla grupy parafjalnej decydujący jest tu udział w utrzymywaniu parafji, mierzony ofiarnością na kościół. Ofiarność ta musi się wyrażać w jakiś obiektywny sposób, inaczej niktby o niej nie wiedział, nie posiadałaby znaczenia społecznego. Znaczenie społeczne może się wyrażać tylko w „walucie“ uznanej przez grupę: może to być ilość ziemi posiadanej, ilość wygranych bitew i zdjętych skalpów, ilość niewolników, ilość zwierząt lub ludzi złożonych bogom na ofiarę lub ilość pieniędzy. Wszędzie jednak ilość odgrywa kolosalną rolę, jako miara społeczna. Nie wystarcza subiektywna postawa: ona musi się wyrazić w jakiś sposób zewnętrzny, inaczej nie mogłaby być udzielana innym ludziom. Muszą istnieć symbole, któreby każdemu we wspólnie uznawanej „walucie“ pozwalały mierzyć swoje i innych znaczenie społeczne. Taką miarą była w kraju posiadana przez chłopca ilość morgów, stan zagospodarowania: ilość krów i koni; dla robotnika ilość omłóconych snopków na godzinę i popyt na jego pracę. W parafji polsko-amerykańskiej, z oderwaniem od ziemi, zni-

kły te tradycyjne miary znaczenia społecznego i hierarchji u chłopą; wytwórcza praca emigranta w stalowni nie należy do systemu parafjalnego, nie ma znaczenia sama przez się dla jego miejsca w parafji. Musiały więc powstać inne zastępcze niejako formy mierzenia wzajemnego znaczenia społecznego. Jeżeli pominiemy budowę domku, bardzo rozpowszechnioną wśród robotników-emigrantów postać ugruntowania się w znaczeniu społecznem, to wydatki na „reprezentację“, czyli życie z ludźmi, i wydatki na kościół zaliczyć trzeba do najważniejszych mierników popularności i znaczenia społecznego.

Życie towarzyskie dzielnicy, które przedstawiłem poprzednio, nie przypadkowo nabrało tak wielkiego znaczenia w życiu zbiorowem parafji. Pieniądz zdobyty i schowany nie powiększa znaczenia społecznego: musi zostać zużyty w sposób przez grupę uznany. Chłop lokował swoje oszczędności w gospodarstwie; gospodarstwo, ziemia, zastępowały „reprezentację“. Na emigracji nie ma gospodarstwa, więc znaczenie „reprezentacji“ musi być tem większe. Stąd istotne znaczenie tych informacyj „Polonji“ o jubileuszach rodzinnych, przyjęciach, kolacjach i t. p.

Musi także istnieć obiektywna miara aktywnego udziału parafjan w utrzymywaniu się parafji. Ponieważ życie ekonomiczno-wytwórcze, leży zasadniczo poza sferą parafji — system ekonomiczno-wytwórczy do parafji nie należy, przeto tylko ofiarność wyrażona gotówkowo może być legitymacją aktywnego członkostwa. Kto się wyłamuje z tego obowiązku ofiarności wyłącza się z grona parafjan. „Kościół Św. Michała Archanioła — czytamy w książeczce parafjalnej, którą otrzymuje każdy parafjanin — powstał z ofiarności parafjan i istnieje dla tychże. Kapłani przy nim ordynujący mają obowiązek opiekować się tylko członkami parafji Św. Michała Archanioła“. Parafjaninem staje się ten, kto m. in. „według możliwości wspiera Kościół i moralnie popiera działalność tegoż“. Kto tego nie czyni nie ma racji: „(1) Domagać się jakichkolwiek usług kapłańskich. (2) Spodziewać się, że na życzenie dzieci ich przygotowane będą do I-ej Komunii Św. (3) Nie mają prawa do pogrzebu uroczystego. (4) *Wogóle nie mają prawa do jakiegokolwiek uznania ze strony kapłana lub parafji.*“*

* Podkreślenia pochodzą odemnie. Pełny tekst tej książeczki parafjalnej podałem w art. *Wśród robotników polskich w Ameryce*, Wiedza i Życie 1934. Z. 8/9, s. 664.

Autorytet księdza jest wynikiem pewnego specyficznego środowiska społeczno-kulturalnego; jest cechą systemu, a nie odosobnionem zjawiskiem. Fotografję księdza proboszcza widziałem niemal w każdym domu, który odwiedziłem. Jest ona ozdobą mieszkania i rodziny, wraz z bardzo rozpowszechnionymi kolorowymi portretami rodzinnymi, fotografjami z uroczystości rodzinnych, fotografjami dzieci z uroczystości Komunii Świętej i obrazami świętymi.

Mamy więc do czynienia nie z księdzem, który despotycznie włada parafją, lecz z całym religijno-społecznym systemem głęboko ugruntowanym w wierzeniach conajmniej wielkiej części parafji. Wszelka presja w stosunku do niedostosowujących się, czy to za pośrednictwem ambony, czy gazety, ma za sobą oparcie wiernych: mobilizuje ich odpowiednie postawy. A system ten dotyka bezpośrednio irracjonalnych wiązań ludzkich: zagadnienia życia i śmierci. Pytałem raz dwudziestoletniego parafjanina, urodzonego już w Ameryce, dlaczego człowiek powinien być religijny. Odpowiedział: „Bo jak umrze, to go inaczej nie pochowają na poświęcony ziemi.“ Obawa przed odmówieniem pogrzebu uroczystego — co grozi w razie nieprzystępowania do spowiedzi i niepłacenia składek — jest podstawowym źródłem naginania się do wymagań parafji. Często nawet ci, którzy buntują się przeciw ciasnemu życiu parafji, dla tych względów, a nietylko z obawy przed szkodami materialnymi, trzymają się parafji. Jeden z takich nieprzystosowanych uzasadniając swoje przynależenie do parafji, wyraził się: „Gdzieś trza należeć, bo jak się umrze, to choć człowieka pochowają“.

Każde zjawisko społeczne jest zrozumiałe tylko w tym kontekście, w jakim występuje. Ma ono sens i funkcjonalne powiązanie w ramach konkretnego systemu społeczno-kulturalnego i staje się bez sensu poza nim.

Kupienie nowej sygnaturki do kościoła w parafji; dyplom doktora filozofji wśród inteligencji, ofiary z ludzi, składane bogom u Azteków; podbój buntującej się kolonii, lub spalenie na stosie ksiąg sprzecznych z duchem grupy — u narodów cywilizowanych; księga *Złotego Jubileuszu* w parafji N. P. N. M. P., a *Social Register** wśród plutokracji na Gold Coaście w Chicago, mają realne znaczenie jedynie w tym kontekście społeczno-kulturalnym, do którego należą.

* Patrz H. W. Zorbaugh: *The Gold Coast and the Slum*. Chicago 1929.

Dla doktora filozofji mało ważny jest może ten zakup sygnaturki i filatelistyka obrazów świętych; dla wodza armji — dyplom doktora filozofji. Wszystko co w ramach jednego systemu społeczno-kulturalnego posiada wartość wzniosłą, ze stanowiska innego systemu społecznego może być komiczne. W gruncie rzeczy jednak pod powierzchnią różnych przejawów życia zbiorowego ludzi kryje się ta sama prymitywna istota parafjanina, może naprawdę komiczna, lecz jeśli tak, to nie tylko w swoim sensu stricto parafjańskim przejawie, lecz niemniej w wielu innych — na wszystkich szczeblach społeczeństwa i cywilizacji.

8. *Amerykanizacja.*

Wzór parafjanina podlega jednak zmianom. Do parafji przychoǳą wpływy zzewnątrz, które drażą zwolna zmiany w jej życiu i strukturze. Ale proces ten nie odbywa się całkiem chaotycznie. Nie wszystko zostaje odrazu przyjęte. Każda inowacja musi sobie zdobyć uznanie zanim się upowszechni. W jaki sposób to się dzieje? Jakiemi drogami inowacje te dostają się do parafji i jak się rozpowszechniają? Nie wszystkie idą temi samemi drogami; nie idą one indywidualnie, lecz raczej pewnemi kompleksami, jedna inowacja pociąga inną itd. Zwyczaje tradycyjne ustępują miejsca modzie: nastawienie na niezmiennosć pewnych form ustępuje miejsca nastawieniu na zmienność, nowosć. Nie wszystkie sfery życia są jednakowo dostępne inowacjom: umeblowanie mieszkania szybko ulega amerykanizacji, podczas gdy zwyczaje kościelne utrzymują się dłużej. Dzieje każdej inowacji w parafji: wprowadzenie bukietów duchowych, rozpowszechnienie się sportu lub żucia gumy przez młodzież, wymagaloby szczegółowych i żmudnych badań. Tak samo, jak zanik jakiegoś zwyczaju np. całowania księży w rękę. Uchwycenie i prześledzenie historii upowszechnienia się jakiegoś nowego zwyczaju, lub zaniku innego, jest sprawą bardzo trudną. Nie kuszę się o to na tem miejscu.

Pragnę tylko zwrócić uwagę, jak pewne inowacje asymilują się do już istniejących systemów zwyczajowych i zostają do nich włączone. Charakterystycznym tego przykładem są samochody w orszakach pogrzebowych parafjan. Pogrzeb jest tradycyjnie jednym z najważniejszych obrzędów parafjalnych, samochód został zasymilowany do niego i służy podkreśleniu bogactwa pogrzebu. W sprawozdaniach

z uroczystych pogrzebów, drukowanych w Polonji, wymienia się ilość samochodów w orszaku pogrzebowym.

Oto pogrzeb Ch., starego osadnika, robotnika ze stalowni: „W kondukcie żałobnym — czytamy — znajdowało się 25 samochodów“.²⁷

Kiedyindziej znowu po opisie zasłużonego żywota robotnika F. J., który się dorobił restauracji z ogrodem „Białego Orła“ Polonja pisze. „Na czele korowodu żałobnego jedzie policja motocyklowa ze stacji South Chicago i East Side: usług policji łaskawie udzielili kapitanowie tych stacyj.“ „Samochodów w korowodzie naliczono 125.“ „Nad grobem ś. p. Franciszka przemówił p. A. F. B., który znał długie lata zmarłego... Ze względu na obecność Amerykanów w tej samej treści przemówił po angielsku.“ „Spoczął obok mogił Ojca i Matki.“ „Między innymi zauważono na pogrzebie całą rodzinę R., która w dzień przedtem pochowała ojca. Obecni też byli: sędzia B. Ch. G. urzędnik miejski; M. C. główny klerk sądowy w SoChicago, cały sztab sądu tutejszego, adwokat McD., reprezentant stanowy C., kapitan C., sierżant A. z żoną. Byli też obecni najprzedniejsi przemysłowcy polscy z SoChicago.“²⁸

O pogrzebie znanego działacza miejscowego R. czytamy: „W korowodzie naliczono przeszło 200 samochodów, na cmentarz innymi drogami podążyło drugie tyle samochodów. Obliczają, że ogółem było około 500.“

Na stację kolei I. C. przy 63 i Dorchester przywitać trumnę „wyszło conajmniej 250 naszych najprzedniejszych obywateli SoChicagoskich“. „Ks. Ch. przemówił także po angielsku dla obcokrajowców. Mówił także rzewnie po polsku.“²⁹

Zjawisko wiązania się pewnych tradycyj grupowych z wpływami grupy zewnętrznej (szerszego społeczeństwa amerykańskiego) jest częścią głębszego procesu, który dokonywa się wewnątrz parafjalnej grupy „swoich“. Jest ono przejawem załamywania się izolacji społecznej tej grupy, a równocześnie przykładem uroku, jaki wywiera zewnętrzna grupa. Parafjanom wyraźnie imponuje upodobnianie się do Amerykanów. Wśród grupy „swoich“ dokonywa się nawet wyścig pod tym względem. Uznanie Amerykanów jest wysoko cenione. Sprawozdania z pogrzebów nie omieszkają podać, że ksiądz proboszcz

²⁷ *Polonja*, 21. VI. 1928.

²⁸ *Polonja*, 9. II. 1928.

²⁹ *Polonja*, 9. II. 1928.

nietylko mówił „rzewnie po polsku“, ale, że „przemówił także po angielsku do obc narodowców.“ Za wielki zaszczyt poczytuje się udział „obc narodowców“ w pogrzebie. Z dumą wskazuje się na tych rodaków, którzy wśród obcych zajęli wybitne stanowiska, choćby ani słowa po polsku nie potrafili już powiedzieć.

W życiu zbiorowem polskich parafij, jak i w osobistem życiu emigrantów Polaków, dążenia do trzymania się „swoich“ i do wejścia do środowiska amerykańskiego ścierają się ze sobą. Ale się bynajmniej nie wykluczają. Całkowite zerwanie z grupą „swoich“ nie dokonywa się odrazu: zbyt wielkie dzielą je różnice. Co więcej, ostatecznie tylko przy poparciu swoich rodaków może emigrant-Polak przejść do społeczeństwa amerykańskiego, nie na prawach Murzyna, ale jako równy społecznie i kulturalnie obywatel.

W nowem oświeceniu występuje więc obowiązek wzajemnego popierania się. Popieranie to dotyczy nietylko obrony polskości, ale równocześnie wydobywania się na wierzch w społeczeństwie amerykańskiem, czyli stawania się Amerykanami. Przyczem obydwie te rzeczy tak ściśle są ze sobą związane, że niewiadomo nigdy dokładnie kiedy chodzi o jedno, a kiedy o drugie. Dążenie do awansu społecznego w społeczeństwie amerykańskiem i dążenie do utrzymania łączności ze swoimi występują tu równocześnie.

Życie ekonomiczne i polityczne jest terenem najsilniej rozwijającej się propagandy popierania swoich nietylko dlatego, że w tej płaszczyźnie stykają się swoi z obcymi i trzeba się bronić przed obcymi, lecz i dlatego, że polityka i życie ekonomiczne, to są właśnie dwie drogi do zostania Amerykaninem. Kupiec wzbogacony przy poparciu swoich, staje się Amerykaninem, tak samo, jak polityk polski, który zajął wybitne miejsce w partji dzięki poparciu swoich.

Wśród emigracji tworzy się coraz liczniejsza grupa tych, którzy dzielą swoje życie, przywiązania i dążenia pomiędzy „swoich“ i „obcych“, a raczej pomiędzy dwie grupy „swoich“, starą i nową, tych z którymi wiąże ich pochodzenie i rodzina, i tych, z którymi wiążą ich wpływy środowiska amerykańskiego i nadzieja na awans społeczny. Ci, wśród swoich zatajają swoje aspiracje amerykańskie, a wśród obcych zacierają ślady pochodzenia. Zamożni przenoszą się na mieszkanie do amerykańskich dzielnic, ale przedsiębiorstwa mają jeszcze w polskich dzielnicach i popierają polskie parafje.

Kiedy jeden z wybitnych kupców-działaczy narodowych polskich skarżył się przedemną, że Polacy go nie popierają, że żyje raczej z klienteli amerykańskiej, zapytałem go dlaczego nie przenieś się do Amerykanów. Nie zawahał się ani przez chwilę i nie szukał patriotycznych argumentów, lecz poprostu powiedział, że nie stać go jeszcze na to, ażeby cały interes przenieść do dzielnicy zamożniejszej.

Rzecz charakterystyczna, że przepis parafjalny, według którego złączenie się węzłem małżeńskim z nie-Polakiem wymaga przejścia do innej parafji, zaprowadzony został przez proboszcza, który sam mówi w domu po angielsku i reprezentuje rzymsko-katolicki (a nie narodowo-polski) kierunek. Jako proboszcz parafji polskiej, stanął jednak na stanowisku grupy, którą reprezentuje, zabezpieczając się równocześnie w ten sposób przed możliwymi zarzutami amerykanizowania.

„Tutaj nie można mówić głośno co się myśli i czuje, trza robić tak jak inni robią. Jeden boi się drugiego. Każdy musi być dyplomata, a najważniejsza rzecz nie mówić za dużo. Na zebraniach Z. N. P. to jest czasem 500 osób, ale się nie odzywają, jakby się jeden odezwał, to i drugi itd. To nieraz N. mówi: miarkuj się, żebyś za wiele nie powiedział, żeby ci nie zaszkodziło w biznesie“. Najwybitniejsi działacze lokalni, których patriotycznych przemówień słuchałem na zebraniach publicznych, w przyjacielskiej rozmowie później nie kryli się z tem, jak bardzo pragnęliby się wyrwać z „polskiego ghetta“. Nierzadko też trudno rozróżnić gdzie kończą się szczerze dążenia narodowe, a zaczyna postępowanie, w którym frazeologia patriotyczna jest maskowaniem zgoła przeciwnych aspiracyj.

Oto wyjątek z mowy aldermana na obchodzie powstania styczniowego w South Chicago w 1928 r.: „Sztandar amerykański, za który młodzież nasza przelewała jest nam drogi, jak drogą i świętą jest nam konstytucja gwarantująca nam wolność na ziemi Washingtona. Jako obywatele polskiego pochodzenia z lojalności, a z poczucia obowiązku wobec własnego społeczeństwa będziemy się starali, ażeby nasi zajmowali wysokie stanowiska w kongresie, sądownictwie, legislaturze i w przemyśle. Bo naród, który nie bierze czynnego udziału w życiu politycznym — upada.“

Na to dyplomatyczne sformułowanie roli Polaka-Amerykanina młodsze pokolenie odpowiada prostu z mostu: „Choć Pan tu w Ameryce chleb zjada i tu interes prowadzi i pieniądze zarabia i obywatelem się zowie, jednak z Ameryką nie pracuje, tylko z jakimś dalekim krajem i w ten sposób daje nam pewne prawo do wierzenia, że „ani

me ani ce“ w angielskim nie umie. Jeżeli tak musi być, więc niech Pan zapakuje swoje manatki i wyniesie się skąd przybył, napowrót do starych obyczajów, bo my tu chcemy tylko 100 procentowych Americans.“³⁰

9. *Utrzymywanie się parafji.*

Widzimy więc, że parafja jako grupa „swoich“, nie jest tworem jednolitym wewnątrznie. Nurtują ją wewnętrzne konflikty, które zagrożają jej utrzymywaniu się. Utrzymywanie się parafji jest rezultatem równowagi sił, z których jedne działają dla niej, a inne przeciwnie.

Działanie tych sił, ścierających się ze sobą występuje wyraźnie od samych początków parafji. Konflikt o nazwę parafji, konflikt o księdza, konflikt pomiędzy karczmarzami a proboszczami, konflikt pomiędzy proboszczami a związkiem narodowym, konflikt pomiędzy parafją rzymsko-katolicką, a kościołem niezależnym, którego gmina istnieje w granicach parafji,³¹ konflikt pomiędzy konserwatywnym elementem starszym, a asymilującym się elementem młodszego pokolenia. Niektóre z tych konfliktów należą całkowicie do przeszłości jak np. konflikt o nazwę, lub o księdza; inne, rozwiązane na drodze kompromisu, podziału sfer działania, jak pomiędzy „salooniarzami“ a proboszczem, nie grożą zakłóceniem równowagi w parafjach katolickich (inaczej niż w wielu gminach protestanckich, gdzie pastory są bezwzględni wrogami „saloonów“, choć z drugiej strony i „saloony“ nie mają tak głęboko zakorzenionej tradycji, jak w polskich dzielnicach). Pozostałe wymienione konflikty stale nurtują, grożąc zakłóceniem „funkcjonowania parafji“.

Parafja jest terenem działania wielu czynników, które podważają warunki jej utrzymywania się. Baptyści i kongregacjoniści rozwijają żywą akcję społeczną w celach prozelitystycznych. Istnieje także kościół narodowy polski, choć wiedzie żywot mało efektowny. Knights of Pythias i liczne inne organizacje masońskie przyciągają także trochę Polaków. Więcej znacznie znajduje zwolenników Y. M. C. A. z najlepszymi w dzielnicy warunkami rozrywki i wypoczynku. Gazety amerykańskie znajdują sobie coraz więcej zwolenników, a po-

³⁰ *Polonja*, 28. VII. 1927. List młodej Polki do Redakcji.

³¹ Wymienione konflikty w dziejach parafji pominąłem w tem studjum.

kolenie już tutaj urodzone niemal całkowicie przestaje korzystać z polskich gazet. Wreszcie i kino jest poważnym czynnikiem zmian.

Różnemi drogami przychodzą więc wpływy zzewnątrz do parafji i kształtują nowe postawy i nowe poglądy. Najłatwiej zdobywają te niespokojne duchy, które dla swojej inteligencji, przedsiębiorczości i dla ambicji swoich szukają szerszego pola, aspiracjami życiowymi wybiegając daleko za parafję. Tworzy się nowe poczucie godności człowieka, które buntuje się przeciw parafjalnemu systemowi.

„Jaka tu jest straszna niewola to sobie trudno wyobrazić. Na kolanach się czołgać i czołem bić pokłony. Ksiądz ma kontrolę nad wszystkimi ludźmi w parafji i władzę nad wszystkimi sumieniami. Przez system kartkowy jaki tutaj mają, ksiądz wie ile razy do roku chodzi kto do spowiedzi i później na ambonie wygraża, że „ja wiem że tu dużo je takich co jeno raz na rok są u spowiedzi, ja dobrze wiem co to są za jedni.“ To jest obrzydliwy system, system upodlenia i niewoli — czy taki system jest też w Polsce? — Co jest ta spowiedź warta, do której w taki sposób ludzi się zapędza. Wiadomo, że jak pan nie pójdzie do spowiedzi wielkanocnej, to ksiądz jak zechce to pana może zrujnować. To każdy boi się: ze strachu albo dla businessu do spowiedzi idą. Co jest taka religia warta, która na strachu buduje... Co oni zrobili z religii. To już nieraz nie wiem sam, czy ja nie jestem pomyłony, czy już nic nie rozumiem, więc poszedłem do mego znajomego księdza Meksykańskiego też katolika i pytam go, czy to się przestało być katolikiem jak się na tych kolanach tak ciągle nie czołga i nie bije pokłonów, czy to musi być taka niewola, a jeżeli kto czasem na Msze nie przyjdzie to już nie jest katolikiem. To mi powiedział katolikiem jest się raz na zawsze.

My się wstydzimy tej niewoli, w żadnej innej narodowości tego niema tylko w naszej. A dawniej to jeszcze gorzej było, że ludzie zaczęli odchodzić do litewskiego księdza albo do niemieckich katolików, to już jest teraz lepiej.

To wstyd jest dla nas starych, a co młodzież nasza już tu urodzona. Moje dzieci dorosłe już chodzą do spowiedzi do niemieckiego kościoła, mówią, że za kartką do spowiedzi nie pójdą. Czy to tak musi być, aby się z nas inna narodowość śmiała, że my są w niewoli? Mówią, że musim to robić, co nam ksiądz każe. To ja im nieraz mówię, że przyjdzie kiedyś z tego wielki kłopot, to jakby się nieszczęście trafiło a musieliby iść do naszej parafji po pogrzeb, to ksiądz nie pochowa bo to kartków nie oddawali, co wychodzi na to, że nie chodzili do spowiedzi — a oni brali kartki i płacili, ale do spowiedzi chodzili do innego kościoła, i na nieświęconej ziemi leżeć będą a wszyscy całą ich rodzinę palcami pokazywać będą — tutaj są już tacy.

No ale co ja im mogę zrobić jak oni są dorosłe i chcą robić jak sami uważają.“

Nie mały czynnik fermentu stanowi także fakt, że według praw amerykańskich cała własność tak kościelna, jak i szkolna, zbudowana ofiarnością polskich robotników, należy do biskupa. Biskupami zaś są przeważnie Niemcy lub Irlandczycy.³²

„Tyle płacimy na ten kościół, a czy tu jest co naszego, czy my tu mamy jaki głos. Nic naszego. Jakby trzeba jaką pożyczkę zaciągnąć to niema na co, coć tyle majątku w tych kościołach. A na ten majątek co te kościoły stanowią to możnaby wielką pożyczkę zaciągnąć i pieniądze pożyczyć Państwu Polskiemu. Nic z tego nima. I w parafji głosu tu nie mamy, a ten komitet co jest to tylko tę ostatnią stronicę podpisuje. Księża z narodem nie trzymają, a jak który wikary jest z narodem to może być pewny, że wyżej nie pójdzie tylko zawsze wikarym będzie. On musi patrzeć w inną stronę.

Księża o polskość nie dbają. Biskupa swojego słuchać muszą a biskup jest Polakom nieprzychylny. Ani kościół, ani to co płacimy, ani szkoła do nas Polaków nie należą, należą do biskupa. To też co w tych szkołach polskości jest — bardzo niewiele. Trochę czytania, pisania, historii prawie nic. Czy to jest szkoła polska. Juźci musi być coś po polsku bo inaczej by naród wcale księży słuchać nie chciał, ale ten polski język jest w szkole i w kościele po to aby kościół był a nie żeby Polska była — polski język ażeby z polskiego chłopu pieniądze szły, ażeby biskup mógł miljon zawieść papieżowi i kapelus z kupić.“

„Przyjeżdżali tu z Polski parlamentarzyści, przyjeżdżali biskupi, ale oni do naszego ludu tutaj dostępu nie mieli, księża ich tak dobrze trzymali aby z ludem się nie zetknęli. Niechby byli zdjęli swoje kołnierze i poszli od domu do domu, wtedy dowiedzieliby się prawdy.“

Podnoszą się także coraz silniej głosy przeciw gazetom polskim: „Ja dawno mówiłem, żeby Polonję po angielsku drukowali. Co oni drukują w polskich gazetach, to jest tłumaczenie z angielskiego. Nam nie trzeba polskich gazet, ale nam trzeba, ażeby o Polakach i Polsce pisali w angielskich gazetach. Ale kto będzie to robił, jak my tu nie mamy ludzi takich, coby to mogli zrobić. Jak będziemy mieli ludzi na stanowiskach, ludzi z wpływami, to będą pisać o nich, a oni zrobią, że będą pisać o Polsce.“ Chciano kiedyś *Poland* (miesięcznik nowojorski) rozpowszechnić wśród Amerykanów. „To chcieli i tu — mówi robotnik X. — tym Żydom w stalowni te *Poland* pokazać, ale nimiał

³² Więcej szczegółów w tej sprawie znajdzie czytelnik w książce W. Gąsiorowskiego: *Ach te chamy w Ameryce*, Warszawa 1935, s. 41 i nast.

„kto; ten nie śmiał, to ten znów bojał się, że jak to zrobi, to go sfirują i tak nie dali.“ „Patrijotyzm, co wart taki patrijotyzm, kiedy Polacy niemal wybudowali tę stalownię, 50 lat w niej pracowali, a Polaków niema wcale na naczelnych stanowiskach. Dlaczego? nie umieją po angielsku, nie znają amerykańskiego środowiska, boją się. Z tym trzeba walczyć.“*

Podobne głosy podnoszą się przeciw harcerstwu polskiemu, i organizują się kluby amerykańskie dla polskiej młodzieży. „Trzeba raz już skończyć z hasłem swój do swego, z czego słusznie Amerykanie się śmieją. Toż wszyscy tutaj jesteśmy swoi, wszyscy obywatele jednego państwa.“

Takie same głosy dochodzą poprzez gazety i z innych dzielnic polskich w różnych miastach amerykańskich i potęgują się.

Czytamy w *Ameryka-Echo*:³³

„... Kosztem naszego odosobnienia w osobnych „polskich“ dzielnicach jest nasze ogólne upośledzenie w mniemaniu amerykańskiego społeczeństwa. Żaden szanujący się Amerykanin nie chce mieszkać w takim „foreign section“ danego miasta.

Polacy amerykańscy mieszkający w tych „obcych“ dzielnicach po trzecie pokolenie wciąż są uważani za „foreignerów“ za jakąś istotę niższą. Częste są wypadki, że najgłupszy ulicznik ajryski (irlandzki) ma lepsze wzięcie jak inteligenty Polak. Dlaczego?

Musimy za to złożyć dzięki naszym działaczom na niwie narodowej i ich źle pojętym patrijotyzmie. Chciano nas tu utrzymać jako czystych Polaków, jako naród w narodzie. Nie kazano nam się interesować naszym otoczeniem. — Jedyne Polską i skamienieniem własnej duszy — bardzo ładnie i romantycznie, ale nie całkiem praktycznie.

Skupiając się w czysto polskie kolonje nie daliśmy poznać się ze strony społecznej — strony towarzyskiej — ogółowi amerykańskiemu. Nikt się nami nie interesował, bo nas nikt nie znał. Dla nieznanego nigdy nie czuje się tyle sympatji co do znajomego.

* Inne charakterystyczne wypowiedzi znajdzie czytelnik we wzmiankowanym artykule: *Wśród robotników polskich w Ameryce*. — Niestety wymowa tych wypowiedzi słabnie, ponieważ nie podają nigdzie bliższej charakterystyki osób, od których te wypowiedzi pochodzą. Czynię to celowo dla uniemożliwienia identyfikacji osób, tembardziej, że większość wypowiedzi przytoczonych pochodzi od ludzi znanych w życiu zrzeszeniom dzielnicy, którzy jednak nigdy nie wypowiadali publicznie poglądów osobistych, z którymi w zaufaniu dzielili się ze mną.

³³ *Ameryka-Echo*, 30. X. 1932.

O nieznanym obcym człowieku łatwiej się uwierzy rozmaite złośliwe plotki jak o człowieku którego się dobrze zna i z którym się żyje, zwłaszcza gdy ten nieznanomy jest taki odludek, że się zakuje we własną żółwią skorupę i poznać się nie da. Gdy jest jaki lepszy „dziab“ daje się swoim a nie obcym.

Nie interesowaliśmy się amerykańską polityką, a amerykańska polityka nie troszczyła się o nas.

Zamiast się czempredziej złać w amerykańską całość ażeby się stać równi z równymi — obawialiśmy się wynarodowienia — które ewentualnie i tak nastąpi — i zostaliśmy obcemi bez wpływu.

Czyż nie moglibyśmy tak samo czuć sympatje do Polski stając się czempredziej Amerykanami polskiego pochodzenia i złać się w jedno społeczeństwo amerykańskie — być uważani za takowe przez ogół amerykański — jak to uczynili Ajrysze, Niemcy, itd. Mielibyśmy o wiele więcej wpływu, a dziś o wiele więcej możności pomożenia Polsce boby nas prędzej wysłuchano.

Więc wbrew krzykom narodowościowców moja rada jest: dążmy do społecznej, kulturalnej i duchowej łączności z ogółem amerykańskim. Poznajmy ich i dajmy się poznać. Rozprószmy się po całym mieście gdzie kogo stać.“

Pod wpływem tych dążeń idących w parze z podnoszeniem się poziomu ekonomicznego parafji, dokonywają się w niej ważne procesy. Bush, najbardziej starokrajska część dzielnicy wyludnia się powoli. W 1920 r. ogół ludności białej wynosiła 7561, a w 1930 — 6834. Część starych wróciła w międzyczasie do Polski. Inni wywędrowali na zachód pobudowawszy sobie domki w czasie prosperity. Inni jeszcze zamożniejsi zamieszkali w bogatszej dzielnicy kilka ulic na północ i tylko przedsiębiorstwa mają jeszcze tutaj. Na ich miejsce przybyli Meksykanie, których stalownia sprowadziła w czasie strajku; było ich na tym odcinku w 1930 r. — 682. Zwiększa się choć powoli odsetek naturalizowanych obywateli. W r. 1920 naturalizowani (powyżej 21 roku życia) stanowili 28,65% ludności, w r. 1930 — 34,79%.

Te zmiany w ilościowym i jakościowym składzie polskich parafij, będące niezwykle pociągającym, a dotychczas nietkniętym terenem badań, należą do bardziej interesujących aspektów nie tylko dzielnic polskich, lecz miast amerykańskich wogóle. Bliższa analiza wykazałaby, że pomiędzy poszczególnymi parafjami Pol. Chicago, które traktowaliśmy dotychczas jakgdyby identyczne, zachodzą bardzo poważne różnice. Zwłaszcza dwie najnowsze parafje Św. Magdaleny i Św. Bronisławy wyodrębniają się wyraźnie, składają się bowiem z elementu

ludzkiego wyraźnie wyselekcjonowanego. Mieszkańcy tych parafji, to przeważnie dawni mieszkańcy Bushu, którzy, wzbogaciwszy się, wyprowadzili się w „lepsze strony“, dalej od stalowni. Mieszka tu już „śmietanka“, która z pogardą patrzy na Bush. „Nie mogliśmy tam wytrzymać — mówił mi były rzeźnik z Bushu, bo te ludzie nic nigdy porządnego nie kupili, jeno za 5 centów jakich kości. To już nam się to dziadostwo tak uprzykrzyło, że uciekaliśmy od niego, jak można najdalej.“

W okresie 1910—1920 ludność Bushu zmniejszyła się o 15%; podczas gdy stan zamieszkania kilku ulic dalej (pomiędzy Commercial i Colfax) zwiększył się w tymże czasie o 88%, a jeszcze dalej na zachód (pom. Stony Island i Colfax) o 277%.*

Zaczynający się dopiero proces wyludniania się Bushu (albo Michałowa) powstrzymany został przez depresję. Naturalną konsekwencją ekonomicznego i społeczno-kulturalnego podniesienia się ludności Bushu byłoby zupełne opuszczenie tej części dzielnicy przez Polaków. Po Polakach przejmować już ją zaczęli Meksykanie, tak jak Polacy przejęli ją po Niemcach. Zjawiska te są bardzo typowe dla procesów migracyjnych w obrębie miast amerykańskich. Tak np kościół św. Stefana przy ul. Ohio i Sangamon, zał. w 1869 r. był przez długi czas ośrodkiem dużej i zamożnej parafji z językiem angielskim. Następnie liczba parafjan zmalała do 40 rodzin i w 1916 r. parafja zamieniona została na mieszaną narodową, ponieważ w sąsiedztwie osiedliło się już wielu rodzin polskich. Obecnie jest to w praktyce kościół polski, w którym kazania odbywają się w polskim a nie angielskim.*

Sam czas pracuje przeciwko Bushowi. Starzy wymierają. W roku 1920 urodzonych w Polsce było na tym odcinku 2 629, a w 1930 r. już tylko — 1 634.³⁴ Rodzą się nowi ludzie. Wychowują się w konflikcie ze starymi. Chodzą jeszcze wprawdzie do kościoła, ale już na tę najkrótszą Mszę, z rodzicami w domu mówią jeszcze po polsku, ale na „otsajd“ (poza domem) i między sobą już tylko po angielsku;

* McGill: *Op. cit.* Tab. „Change in population“.

* M. R. Schafer: *The Catholic Church in Chicago, its Growth and Administration*. Teza doktorska w maszynopisie. 1929, w bibliotece University of Chicago. S. 27—28.

³⁴ Obliczone na podstawie spisu ludności.

księdza w rękę już nie całują i buntują się przeciw tradycyjnemu systemowi uległości.

„Ten indjański poród“, jak ich określił jeden z ojców, zagraża parafjom polskim od wewnątrz. Te jednak nie pozostają bezczynne. Nad procesem zmian starają się choć w części panować i nadać im ogólny kierunek. Wychowują tę młodzież dla siebie przy pomocy swojego systemu wychowawczego w szkole parafjalnej. Tej szkole i temu systemowi wychowania musimy się więc skoiei przyjrzeć bliżej.

10. Szkoła parafjalna jako instytucja społeczna.

W rozważaniach nad szkołą parafjalną, należy uwzględnić, że nie jest ona wyłącznie instytucją lokalnej parafji. Jest częścią organizacji Kościoła Katolickiego, jak również musi spełniać pewne funkcje wobec państwa. Szkoły parafjalne podlegają władzy biskupów i przepisom kościelnym, są więc instytucjami Kościoła Katolickiego; równocześnie jednak muszą odpowiadać wymaganiom, stawianym wszystkim szkołom przez władze szkolne publiczne³⁵ (lokalne lub stanowe) i w tym sensie są także instytucją publicznego systemu szkolnego państwowego.

Struktura społeczna szkoły parafjalnej, jest więc bardzo poważnie ukształtowana przez te rozleglejsze grupy społeczne, jaką jest Kościół i państwo. Niemały wpływ wywierają również ogólno-narodowe związki polskie. Szkoła parafjalna nie mogłaby powstać pod wpływem czynników, ograniczonych ciasnymi granicami lokalnymi poszczególnych parafji.

W izolowanej, małej społeczności lokalnej niema miejsca dla szkoły i zainteresowań intelektualnych. „Rozwój intelektualnych zainteresowań jest ściśle związany — piszą Thomas i Znaniecki — z przełamaniem izolacji chłopskiej społeczności i wynikającą stąd dezorganizacją starego systemu.“*

³⁵ Według prawa szkolnego (uchwalonego w 1921 r.) stanu Illinois, do którego należy Chicago „Nauczanie w elementarnych dziedzinach wychowania w szkołach w Illinois powinno odbywać się w języku angielskim.“ *School Code*, 1921, str. 101 (M. R. Schaffer, *The Catholic Church in Chicago, its growth and administration*. Teza doktorska. Chicago, June 1929. S. 61. — Maszynopis w Bibliotece University of Chicago).

* *The Polish Peasant in Europe and America*, (1 ed. 5 tomów) 1918 do 1921, IV, 236.

Z drugiej strony jednak szkoła parafjalna jest wyraźnie instytucją parafji. Parafje utrzymują swoje szkoły i nauczycielki. Utrzymywanie się szkoły w parafji jest zależne całkowicie od chęci parafjan ponoszenia ciężarów szkolnych. Od parafji też zależy jaki narodowo charakter posiada szkoła parafjalna: polski czy angielski. O zmianie narodowego i kulturalnego charakteru szkoły decydują ostatecznie, te przeobrażeniowe procesy, które się dokonują w łonie parafij.

Dlatego, nie lekceważąc szerszych, rozleglejszych aspektów i funkcji szkoły parafjalnej, ześrodkowuję się głównie na tem miejscu na jej aspektach lokalnych, na jej związkach z lokalną grupą swoich, uwzględniając szersze aspekty tylko o tyle, o ile wpływają one na aspekty lokalne.

11. *Potrzeba szkoły i wykształcenia.*

Trzeba było czasu, ażeby tworzące się kolonie polskie odczuły i zrozumiały potrzebę szkoły. Odległość od domu i potrzeba komunikowania się z oddalonymi krewnymi, sprzyjały zapewne uświadomieniu sobie niewygody wynikającej z nieumiejętności pisania i czytania. Naogół, nie przywożono jednak ze sobą tradycji dawania dzieciom wykształcenia; a pierwotne środowisko tworzących się kolonij nie sprzyjało rozwijaniu się takich tradycji. Według danych spisu z 1930 r.* wśród ludności Bushu w wieku 21 lat i wyżej analfabeci stanowili 41,16%.

Myśl dorobienia się i powrotu do kraju tłumiała wszelkie inne dążenie; również dążenie do wykształcenia. Opanowani tą myślą emigranci, zapędzali dzieci do pracy, skoro tylko były one w stanie, pracę zarobkową wykonywać.

Dążenie do wykształcenia natrafiało na opór tradycji społecznych, przeniesionych ze starego kraju. „To przyjechałem tu — opo-

* W tem miejscu, jak i poprzednio, dane spisu ludnościowego, dotyczą całego „census tract“ 666, który obejmuje nie sam Bush, lecz przestrzeń troszkę większą, tak samo jednak zamieszkałą przez Polaków. Patrz *Census Data for the City of Chicago 1934*. Edited by C. h. Newcomb and R. O. Lang. The University of Chicago Press. Z publikacji tej dzięki uprzejmości p. Newcomba korzystałem w 1933 r., a więc jeszcze przed jej opublikowaniem. Nie sądzę jednak, aby numer tractu obejmującego Bush został w międzyczasie zmieniony.

wiada mieszkaniec dzielnicy — do South Chicago 32 lata temu, jako chłopiec 16-letni, nieumiejący ani czytać ani pisać, nietylko po angielsku ale i po polsku, wysiadłem na dypo i płacę, co ja tu nie-szczesny ze sobą zrobię. Nikogo nie było, coby mi powiedział, nie płacz chłopcze, jakoś to zrobimy, pójdiesz do szkoły. Otworzyli tu jakieś kursa, ja się chce zgłosić, a to się ze mnie chłopcy śmieją: „Idź, idź to się na arystokratę wyuczysz, a to ci na co, winę jak robotnikiem nie będziesz, choć się i nauczysz czytać i pisać“. To mi mój stryjek to samo mówił. Jak kto przyjechał, to myślał, aby trochę grosza zrobić i wrócić. To inne emigracje, jak tylko kto przyjechał, to już mu zaraz dali książki do ręki, tu masz angielski, a tu niemiecki albo szwedzki, mało głowy nie połamał, ale się wkońcu nauczyć musiał. A naszej emigracji to nikt szkoły nie pokazał jeno: Kościół, karczma i dziwki.“

W warunkach ekonomiczno-społecznych tworzenia się kolonij polskich, jak wogóle w warunkach tworzenia się Stanów Zjednoczonych, istniał ogromny popyt na pracę fizyczną, nawet bez elementarnego wykształcenia. Warunki te premjowały wyraźnie siłę fizyczną, jednostki zdrowe i silne, a nie inteligencję i wykształcenie. To też i wśród emigracji wybijały się raczej jednostki zdrowe i wytrzymałe, sprytne i przedsiębiorcze, niż wykształcone.

„Chłop tu w Ameryce — opowiada inny mieszkaniec dzielnicy — przyszedł prędy na nogi jak człowiek wykształcony. Jak chłop przyjechał, a silny był i zdrowy, to wszędzie robotę dostał, bo wszędzie robotnika potrzebowali. Po angielsku mówić nie potrzebował i pracę dostał. A ten wykształcony to do fabryki nie poszedł, a czasem to go i wziąć nie chcieli, a swojej roboty też dostać nie mógł, bo nie znał angielskiego i tak marnował się przy zmywaniu talerzy albo inny robocie. To też tutaj pieniądze robił wyrobnik nie panek, i tak idzie z ojca na syna. Syn już inny roboty nie patrzył, tylko tak jak ojciec. I wiele tu było takich rodzin, co chcieli kształcić synów, a oni nie chcieli się kształcić.“

W tradycjach społecznych dzielnicy karjera życiowa nie kojarzy się z wykształceniem; wybitność społeczna nie wymaga tutaj wykształcenia. O dziejach wybitności p. R., pierwszego polskiego lidera demokratycznego w Poł. Chicago i okolicy, najpopularniejszego i najwybitniejszego przywódcy lokalnego polskiego podano mi opowieść pod tym względem bardzo interesującą. Przed nim było już kilku

aldermanów (radnych miejskich) Polaków jak K., D., ale nie utkwili oni w pamięci kolonji. Mówi się tylko o R. O starym R. każdy wie. Historję jego karjery tak mi przedstawiono:

„Przyjechał sobie chłopaczek ze starego kraju, dostał robotę do pomocy furmana (woźnicy), a późni na kolei. Poznał się z córką F. (już wówczas zamożniejszego osadnika w dzielnicy) i ożenił się z nią. To te ludzie to mówili temu F., czego te córkę za Rucha (Ruska)³⁶ wydał za mąż. Ruch to już było coś gorszego tutaj za tamtych czasów, a F. to był z Poznańskiego. Tak ten teść pomógł R. założyć zaloon na „kierzkach“. I tak prowadził ten zaloon bez jakis czas, a że on był Russek, a ona Pruska, to mieli kastamerów (odbiorców) i stąd i stamtąd. Ona to po niemiecku dobrze umiała, a on i po rusku i po litewsku się rozmówił, a i po charłacku, tak, że każdy do niego szedł. A to w tyn czas to było tak, że te, co w stalowni pracowały to pracowały godzinę abo pół i drugie pół to spelowali i mieli pozwolone iść do zaloonu piwa się napić. To przyszedł jeden drugi, a i było mienso darmo, to popatrzał wybrał se, jak mu co podpadło to zjadł, a ten lunch to był darmo. I tak szło wi pan jakiś cas, az tu panie ludzie mówią, ze R. se telefon w zaloonie zakłada. Wtyncas to telefon to był zadkością w ty okolicy. Było ich tu może cztery albo pięć wszyskiego: u fajermanów, na plebanji, w aptyce. To panie jak ten telefon R. założył, to było tak, ze niera gorączka ze niepodobna wytrzymać zabrakło piwa R. do telefonu i piwo jest. I tak tez te inne zaluniści się schodzili do tego telefonu, bo on jeden miał telefon. Ale te dostawcy z browarni to widzą w książkach, ze R. najwiency piwa sprzedaje. To jak uni to widzą, to jak R. zamówi 4 beczki, to uni mu wysła 6 beczków, a jak te rozwoziciele zabierali półtora woza piwa, to te manazery każą im zabrać dwa i jak co nie sprzedadzą, to niech zostawią u R. To R. najpirw nie chciał, ale się zgodził i tak se taki jakby skład u niego zrobili. To jak taka gorączka je, piwa ludzie chcą to jeden, a drugi zaluniarz do R. telefonować po piwo, to R. mówi mam tu beczkę to mozesz zabrać, jak chcesz — to znów przy tej okazji przepili i tak szło. To jak z ty browarni widzą, ze tyn R. tak mocno to piwo sprzedaje i przychodzi ten do rachunku i mówią mu, że on tak to mocno sprzedaje i że te lunche to go pewnie kosztują — a co to go panie mogło kosztować, jak najlepszego miensa font był 3 centy, a on najlepszego nie dawał — to mu strąca 5 dolarów, aby to straty na tych lunchach nie miał. Późnij to został agentem ty browarni oprócz tego, co piwo sam sprzedawał. A że te wielkie biznesa to zara są i w polityce, to jak późni to R. zara dziab (job) dostał, bo już wiedzieli, że jak on najwięcy piwa sprzedawał, to tyż najlepi znany być musiał. I tak od jobu do jobu aż został wiceprezesem od tych wszyskich latarniów i poprawków w całym mieście — improvements — a późni to

³⁶ Ruskami nazywano Polaków z pod zaboru rosyjskiego.

prezesem. A ile panie tych tu latarniów w mieście trza było, a ile ulice budować — onto budował te outer drive — jakie to pieniądze szły na to. I ten człowiek ni miał wykształcynia, ale miał tyn język i ten olej w głowie i bez tyn telefon doszedł do tego czym był. I to późni już nie mówili Ruch, ale każdy mówił, że te Ruski też olej mają.“

Dzisiaj jeszcze, kiedy danie elementarnego wykształcenia młodzieży stało się już w dzielnicy zwyczajem, to wykształcenie średnie, choć jest również, jak szkoła powszechna, bezpłatne, dopiero zwolna toruje sobie drogę do dzielnicy. Niewielki odsetek młodzieży po skończeniu szkoły powszechnej bierze dwuletni kurs zawodowy w szkole średniej; znikomy odsetek bierze kursy przygotowujące do uniwersytetów. W r. 1920 na ogólną liczbę 250 dzieci w Bushu w wieku 16 do 17 lat (czyli powyżej obowiązku szkolnego), tylko 35, czyli 14% uczęszczało do szkoły, a w wieku lat 18—20 tylko 2,94%. Na najzamożniejszych zaś ulicach Poł. Chicago, w prostokacie ul. 79—87, Colfax-Stony Island odsetek ten wynosił 29,2% i 9,83%, podczas gdy w tymże roku odpowiedni odsetek dla całych Stanów Zjednoczonych wynosił 42,9% i 14,8%.

12. *Kształtowanie się zwyczaju wysyłania dzieci do szkoły.*

Zwyczaj wysyłania dzieci do szkoły kształtował się pod wpływem wielu równocześnie działających czynników. Jednym z czynników naczelnego znaczenia w rozwoju szkolnictwa elementarnego było wprowadzenie państwowego (stanowego) przymusu wychowania elementarnego. W stanie Illinois, do którego należy Chicago pierwsze prawo o obowiązku szkolnym wyszło w 1883 r. Prawo to nakładało na wszystkie dzieci pomiędzy 8 a 14 rokiem życia obowiązek uczęszczania do szkoły przez 12 tygodni w roku. Prawo to nie określało jednak bliżej sposobu przeprowadzenia tego obowiązku i nie wpłynęło na poprawę sytuacji wyrażającej się w dziesiątkach tysięcy młodzieży w wieku szkolnym, zwłaszcza młodzieży imigrantów, nie uczęszczającej do żadnej szkoły. Dopiero następne prawo w 1889 r.³⁷ ustanowiło specjalnych urzędników, mających dopilnować przestrzegania ustawy. Prawo to określało także, że dzieci mogą uczęszczać zarówno do szkół publicznych, jak i prywatnych (a więc i parafjalnych) „uznanych przez Urząd Szkolny“.

³⁷ E. Abbot i S. P. Breckinridge: *Truancy and non-attendance in the Chicago Schools*. Chicago 1917, s. 53 i 58.

Ściśle z rozwojem obowiązku szkolnego pozostaje rozwój prawa nad ochroną pracy dzieci. Jak długo praca dzieci nie podlegała żadnym ograniczeniom i zatrudnianie dzieci zostawione było rodzicom i przedsiębiorcom, tak długo obowiązek szkolny musiał pozostać na papierze. Jak w Stanach Zjednoczonych (a nie tylko w Stanach Zjednoczonych), tak i w naszej kolonii, obowiązek szkolny wchodził w życie dopiero z rozbudową ochrony ustawodawczej nad pracą i z rozbudową organów inspekcyjnych.

Trzeci czynnik rozwoju szkolnictwa elementarnego, to Kościół Katolicki, który od początku Stanów Zjednoczonych musiał zabiegać o rozwój własnego szkolnictwa i rywalizować ze szkolnictwem publicznym o władzę nad duszami młodzieży. Z natury rzeczy emigracja z kraju katolickiego, jakim jest Polska, była terenem dla rozbudowy szkolnictwa katolickiego. Szkolnictwo takie Kościół Katolicki musiał organizować także ze względu na żywą działalność różnych wyznań protestanckich. W Południowym Chicago działa szereg takich wyznań, że wspomnę tylko Baptystów i Kongregacjonistów. Co więcej jedyna czytelnia polska w parafji Św. Michała, jest utrzymywana przez Baptystów, a inicjatywa założenia klubu chłopców w tej parafji, która wyszła z Uniwersytetu Chicagoskiego, znalazła uznanie miejscowego duchowieństwa, głównie ze względu na stworzenie przeciwwagi dla istniejących już klubów protestanckich, a przede wszystkim miejscowego oddziału Y. M. C. A.

Czwartym wreszcie czynnikiem rozwoju elementarnego szkolnictwa był polski ruch narodowy, znajdujący głównie wyraz w potężnej organizacji Z. N. P., która ma w Południowym Chicago kilka swoich silnych oddziałów. Z tym ruchem wiąże się założenie w dzielnicy już w 1895 r. biblioteki i czytelnicy polskiej Tow. Tadeusza Kościuszki, obecnie nieistniejącej i zupełnie zapomnianej.

13. *Postawy względem szkoły parafjalnej.*

Na powstanie w dzielnicy szkoły parafjalnej polskiej złożyło się więc szereg czynników szerszej, a nie lokalnej natury. Gdyby nie ogólnopństwowy obowiązek szkolny, to rozwój szkolnictwa parafjalnego poszedłby innymi drogami. Obowiązek szkolny sprawił, że ojciec wysyłający dzieci do szkoły nie miał wyboru pomiędzy wysyła-

niem dziecka do szkoły a niewysyłaniem, lecz pomiędzy wysyłaniem do szkoły polskiej lub amerykańskiej.

Dlaczego emigrant polski wybiera szkołę parafjalną, a nie publiczną, choć za pierwszą musi płacić, a druga jest bezpłatna? Otóż wniknąwszy bliżej w to zagadnienie, przekonywamy się, że z jego wewnętrznego stanowiska on nie miał wyboru. Większość emigrantów, ci właśnie, którzy stanowią fundamenty parafji, *nie wybierają* pomiędzy szkołą parafjalną, a szkołą publiczną. Szkoła publiczna poprostu dla nich nie istnieje. „Jak już jest polski człowiek — odpowiedział jeden z robotników na moje pytanie — to jego prawo je do polski szkoły dzieci posyłać.“ Pytanie dlaczego parafjanin parafji Św. Michała wysyła dzieci do szkoły parafjalnej, jest ze stanowiska parafjanina równie bez sensu, jak pytanie dlaczego Warszawiak wysyła dzieci do szkoły polskiej, a nie żydowskiej. Jeżeli chodzi o stosunek ilościowy narodowości polskiej do obcej, to parafja Św. Michała jest skupieniem bardziej polkiem, niż Warszawa. Tymczasem w Warszawie nikt nie postawi problemu wyboru pomiędzy szkołą polską a żydowską. Poprostu dla Polaków w Warszawie szkoła żydowska nie istnieje w ich świecie społeczno-kulturalnym, tak samo, jak w świecie ortodoksyjnego Żyda nie istnieje szkoła polska. Podobieństwo, mimo pewne różnice, jest tem większe, że parafjanie Św. Michała, publiczną szkołę amerykańską nazywają właśnie *żydowską* szkołą.

Mimo bliskości przestrzennej parafjanin od Świętego Michała żyje we własnym świecie społeczno-kulturalnym, izolowanym od świata amerykańskiego. Z pierwszego pokolenia, t. zn. tych, którzy przyjechali z Polski, tylko nieliczne wyjątki umieją trochę po angielsku. Żadnych stosunków z Amerykanami nie utrzymują i z dzielnic swojej wyjeżdżają tylko w razie konieczności, i chyba tylko do krewnych, mieszkających gdzieindziej; wielu z nich nie zna nawet połączeń tramwajowych z miastem. Nadzieja na powrót do Polski, utrzymywała ich jeszcze bardziej w tej izolacji.

„To jest panie tak — mówił mi inteligentny robotnik, obecnie właściciel ładnego murowanego domu piętrowego — jak ja przyjechał i poszedł do szapy (fabryki), to w ty szapie 23 lata pracował i można powiedzieć słowa po angielsku nie słyszał. Sami Polacy i wszystko po polsku. A co znów do roboty, to tych parę słów się nauczył i na pamięć umiał, ale po angielsku z nikim nie rozmawiał. Forman (przodownik) też był Polak, to się do niego po polsku mówiło, a jak jego

nie było to i tak nie było co do gadania. To tyż i tyle lat ja tu jezdem a po angielsku nie mogę. To je bez to, że jak my tu przyjechali, to każdy jeno myślał, że pobędzie trochę i pojedzie do kraju jak trochę piniędzy zarobi. To i o naukę nie stojał, niktó nie myślał, aby się tego angielskiego uczyć, bo każdy do kraju miał jechać i niktó się nie spodziewał, że tu na zawsze zostanie. A tu późni ta wojna wybuchła i wszystko się zminilo.“

Wybór pomiędzy szkołą parafjalną, a szkołą publiczną istnieje więc tylko dla tych „pogranicznych“ czy „marginesowych“ ludzi, którzy nie zerwali jeszcze ze środowiskiem polskim, a ciążą już wyraźnie do amerykańskiego. Nad wyborem szkoły zastanawiają się ci, których tradycyjna postawa została już zachwiana. Ci szukają rozumowego uzasadnienia, bądź dla utrzymania się przy tradycyjnych torach, bądź dla odstąpienia od nich. Dla wielu zasadniczych, tradycyjnych form postępowania społecznego niema wogóle uzasadnienia logicznego i być nie może. Chrzciny, zawieranie związku małżeńskiego, służba w wojsku, dla wyższych klas kształcenie dzieci — są zwyczajami, których się przestrzega pod wpływem pewnych tradycji społecznych. Z chwilą, kiedy ludzie zaczynają się pytać o *racje* dla zwyczajów grupowych i zastanawiać się nad ich sensownością, to znaczy, że więź grupowa została już nadwyrężona.

Tak się rzecz ma z posyłaniem dzieci do szkoły parafjalnej. Jeżeli parafjanie zaczynają się zastanawiać nad wyborem pomiędzy szkołą parafjalną, a publiczną to znaczy, że więź parafjalna słabnie. Tak jak tego dowodem byłoby zastanawianie się nad sensownością surowego postu (4—8 dni) u Indian Potawatomi, który należał do ceremonjału inicjacyjnego, i miał na celu przygotowanie młodzieży (15—16 lat) do wizji, w której duch opiekuńczy wstępował w niego. Z tą dopiero chwilą chłopiec stawał się mężczyzną.

W ustosunkowaniu się do szkoły parafjalnej występuje jednak pewien ważny moment, na który należy zwrócić uwagę. Oto szkoła ta nie dla wszystkich w parafji była zwyczajowo ugruntowana. Przeciwnie, dla wielu szkoła była wogóle rzeczą nową. Z tych wielu zasymilowało szkołę do swojego parafjalnego sposobu myślenia. Ale inni wogóle nie chcieli jej: ci dopiero pod przymusem prawa szkolnego zaczęli wysyłać dzieci do szkoły i to do szkoły publicznej, gdyż parafjalna przymusem nie rozporządzała. I ci prawdopodobnie, o czym możemy się tylko domyślać, zapoczątkowali, bez własnej usługi, zasadniczy wyłom w lojalności względem szkoły parafjalnej.

14. Szkoła publiczna a szkoła parafjalna.

Szkoła publiczna, jako część odrębnego systemu społeczno-kulturalnego, zagraża wielu podstawowym instytucjom i zwyczajom społeczno-kulturalnego systemu parafji.

Przedewszystkiem bezwyznaniowość szkoły odsuwa od niej parafjan, jej to głównie zawdzięcza ta szkoła określenie „żydowskiej“. Uczęszczanie do szkoły publicznej jest potępione przez prawo kanoniczne. „Dzieci katolickie — mówi prawo kanoniczne — nie mają uczęszczać do szkół niekatolickich, lub neutralnych, lub mieszanych, to jest takich, w których przystęp jest wolny również niekatolikom. — Należy to wyłącznie do samego Biskupa djecezji zadecydować, w których warunkach i z jakimi przestrogią uczęszczanie do takich szkół może być tolerowane, bez niebezpieczeństwa perwersji uczniów.“³⁸

„Postępują nowocześni oświeciciele tak — pisze ks. Gadacz o szkołach publicznych — jakby Boga nie było wcale w dziełach przyrody, w historji, w literaturze, w naukach przyrodniczych, które dziecku podają jako duchowy pokarm codzienny. Nikt tam dziecku na Boga nie wskaże, a choć wyraźnie nie mówi się nic przeciw Bogu, to jednak sentyment jest ateistyczny. Duch bezwyznaniowości robi swoje, rzeźbi karby obojętności religijnej w duszach młodocianych i na całe życie pozostawia glebę jałową, a duszę obywatela przyszłego bez myśli, bez wycucia, bez żadnej łączności ze swym Stworzycielem, wiecznością i światem nadprzyrodzonym.“³⁹

„Dziś te szkoły — pisze znowu ks. J. L. Pudło — zostały zagrożone w swych podstawach przez groźne przesilenie gospodarcze i wiele z nich poczyna chylić się ku ruinie. Do tego jednak dopuścić nie można, pod groźbą klątwy Boga i Narodu, która winnych dosięgnie bezwzględnie.“⁴⁰

Władze kościelne bezwzględnie zwalczają uczęszczanie do szkoły publicznej, a proboszczowie odmawiają za to rozgrzeszenia przy Spowiedzi.

³⁸ *Kodeks Prawa Kanonicznego 1374*. Cyt. z art. Ks. M. Starzyńskiego: *Szkoła katolicka dla dziecka katolickiego*. Dziennik Chicagoski, 25. VIII. 1932.

³⁹ Ks. Michał C. Gadacz: *Budujmy Królestwo Boże na ziemi*. Dziennik Zjednoczenia, 24. IX. 1932.

⁴⁰ Dziennik Zjednoczenia, 24. IX. 1932. *Okruszyny*.

Nowoczesne metody nauczania w szkołach publicznych nie odpowiadają tradycyjnym poglądom parafjan na te sprawy. „Tam tych dzieci nie uczą, jak być powinno, jeno tych cacków im nastawiają i tymi cackami zabawiają; to im znowu zrobią, że uni dziumpają (skaczą), a piano gra. Czy to je szkoła? No już u siostrów to tak nimo, tam musi sie cosik uczyć.“

System wychowania w szkole publicznej nie godzi się z tradycyjnymi pojęciami o wychowaniu. „Nowoczesne systemy naukowe szkół publicznych — czytamy w artykule ks. Gadacza na ten temat — powołują się na rzekomą autonomję i niczem nieograniczoną wolność dziecka. — Zmniejszają one, a nawet usuwają powagę i działanie wychowawcy, przypisując dziecku pierwszeństwo inicjatywy w zakresie wychowania i działanie niezależne od wszelkiego wyższego pierwiastka i prawa Bożego.“⁴¹

„Prawdę mówiąc, — pisze ks. J. L. Pudło — szkoły publiczne wcale nie wychowują. Są to piękne i kosztowne fabryki, w których uczą nieszczęśliwą dziatwę czytać, pisać, rachować, a na rozrywkę trochę sportu i mordobicia. Skutki fatalne nie kazały długo czekać na siebie. Policja rady sobie dać nie może, a bezradne społeczeństwo poczyna nad tym stanem rozpaczliwie łamać ręce. Czy chcemy i nasze dzieci wychować na bandytów, którzy nie oszczędzą nawet własnej matki i ojca.“⁴²

„Co te dzieci w tych szkołach publicznych nie wyprawiają — mówił mi miejscowy proboszcz. — Żadnej dyscypliny. Jakże dziecko można wychować bez dyscypliny. W szkole musi być dyscyplina albo niema wychowania.“ „Trza bić — mówił mi, jeden z licznych głosów rodzicielskich — bo by inaczej rady z nimi nie dał.“

Nacisk na dyscyplinę w wychowaniu wiąże się z tradycyjnymi patryarchalnymi poglądami o bezwzględnej władzy rodziców nad dziećmi. Kwestjonariusz przeprowadzony przez Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że 94% badanych wypowiedziało się za bezwzględną władzą rodziców nad dziećmi niepełnoletnimi, a 70% wypowiedziało się za taką władzą również nad dorosłymi

⁴¹ *Loc. cit.*

⁴² Dziennik Zjednoczenia, 24. IX. 1932. *Okruszyny.*

dziećmi. „Tutaj — konkludują autorzy — znajdujemy wyznawanie poglądów sprzecznych bardzo z amerykańskimi wzorami.“⁴³

Ze swojemi odmiennymi poglądami na stosunek dzieci i rodziców szkoła publiczna podważa tradycyjny stosunek patryjarchalny. Autorytet społeczno-kulturalny rodziców-imigrantów wobec amerykanizujących się szybko dzieci ogromnie słabnie, rodzice przestają być wzorem dla dzieci, i w tym konflikcie społeczno-kulturalnym dwóch pokoleń: rodziców i dzieci, szkoła publiczna staje wyraźnie po stronie dzieci i w ich obronie. Propaganda za szkołami parafjalnymi podkreśla właśnie ich wartość dla wychowania dzieci w posłuszeństwie dla rodziców. Wysłanie córki do szkoły, prowadzonej przez siostry, robotnik P. uzasadniał: „ażeby się tam nauczyła ludzkości, poszanowania dla rodziców. Siostry to ją najlepiej nauczą.“

Wysyłanie dzieci do szkoły parafjalnej wiąże się ściśle z dążeniem do utrzymania rwiącej się więzi rodzinnej. Nauczenie się języka polskiego, które obok religji jest podawane powszechnie przez robotników, jako uzasadnienie posyłania dzieci do szkoły parafjalnej, wiąże się także ściśle z więzią rodzinną — daleko ściślej niż ze świadomością narodową. Zapewniając dzieciom język ojczysty, ratują je dla rodziny i dla siebie. Z utratą języka polskiego, straceni są dla rodziców, którzy mówią tylko po polsku, i dla polskiej rodziny na obczyźnie i w kraju. Uzasadniając wysyłanie dzieci do szkoły parafjalnej młody Polak-Amerykanin wyraził się „jeżeli mówią tylko po angielsku, to nie mogą rozmawiać z polskimi krewnymi i kuzynami, którzy ich odwiedzają.“

15. *Sily pracujące dla szkoły amerykańskiej.*

Szkoły publiczne zjednują sobie jednak powoli klientelę wśród Polaków. Przedewszystkiem, jak już poprzednio nadmienilem, do nich uczęszczają dzieci tych rodziców, którzy tylko pod przymusem wysyłają dzieci do szkoły. Byłoby interesujące wiedzieć, jak wielki odsetek polskich dzieci ze szkół publicznych, należy do tej kategorii. Obliczenia jakiegokolwiek są tu jednak praktycznie niemożliwe.

⁴³ N. Carpenter and D. Katz: *A study of acculturation in the Polish Group of Buffalo*, 1926. The University of Buffalo Studies, Vol. VII, June, 1929, No. 4. S. 128.

Ta kategoria nie wyczerpuje jednak wszystkich dzieci szkoły publicznej, w której na około 2000 dzieci, około 90% (według opinii kierowniczkii szkoły) stanowią Polacy. Prądy nurtujące w dzielnicy, na które poprzednio zwróciłem uwagę, osłabiają stopniowo lojalność względem instytucyj parafjalnych. Przy osłabionej zaś lojalności szkoła publiczna przedstawia wiele cech atrakcyjnych.

Sama bezpłatność szkoły publicznej stanowi poważny czynnik atrakcyjny zwłaszcza w czasach kryzysu ekonomicznego. W szkołach parafjalnych opłata wynosi 60 centów od dziecka. Powtórę przedszkola coraz bardziej rozpowszechniające się przy szkołach publicznych, a mało rozpowszechnione w szkołach parafjalnych, przyciągają znaczny procent dzieci. Według ks. Cunningham'a, naczelnego inspektora szkół katolickich w Chicago, rosnąca popularność kindergartenów w szkołach publicznych jest główną przyczyną spadku stosunkowego zapisów dzieci do I stopnia szkół parafjalnych. Dziecko zostaje zapisane do kindergartenu i najczęściej chodzi do szkoły publicznej do 1, 2 i 3 stopnia, a dopiero koło 3—4 stopnia zostaje przeniesione do szkoły parafjalnej i pozostaje w szkole aż do końca. Ks. Cunningham poleca wobec tego zakładanie kindergartenów przy szkołach parafjalnych, tam gdzie na to pozwalają warunki.⁴⁴

Zwyczaj wysyłania dzieci przez kilka lat do szkoły publicznej, a następnie do szkoły parafjalnej, jest formą przystosowania względów ekonomicznych, a w części dążeń asymilacyjnych do wymagań religijnych Kościoła Katolickiego. Dziecko zostaje przeniesione do szkoły parafjalnej polskiej dla przygotowania się i przyjęcia Komunii. Kwestjonarjusz Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że 51% wypowiedziało się za kompromisem pomiędzy szkołą parafjalną i publiczną (ażeby większą część czasu młodzież spędziła w szkole publicznej, a jakieś 2 lata w parafjalnej) zaledwie 21% wypowiedziało się za tem, ażeby cały okres szkolny był spędzony w szkole parafjalnej.⁴⁵ Kompromis taki jest jednak potępiony

⁴⁴ M. R. Schafer: *Op. cit.* s. 93. Według sprawozdania ks. Cunningham'a w r. 1931—1932 liczba uczniów we wszystkich katolickich szkołach parafjalnych elementarnych w archidiecezji Chicago spadła o 2557 w porównaniu z rokiem poprzednim. Największy spadek 806 uczniów w Chicago i 386 poza Chicago wykazuje I klasa szkół parafjalnych. Z wyciągów sprawozdania rocznego cytowanych przez *Daily News*, 21. I. 1933. Chicago art. p. t. *Catholic School system in 1932*.

⁴⁵ Carpenter and Katz: *Op. cit.* s. 126.

przez prawo kanoniczne i zwalczany przez władze kościelne. Opowiadano mi, że w jednej parafji dzielnicy przyjmowano wprawdzie dzieci do Komunii, ale w odróżnieniu od dzieci szkoły parafjalnej „nie mogą one nosić welonków“. Tolerowanie tego zwyczaju przez polskich proboszczów spowodował w znacznej mierze fakt, że dzieci zaczęły przyjmować Komunię w sąsiednich kościołach katolickich litewskich, niemieckich, a nawet meksykańskich, wobec czego odmowa udzielenia Komunii takim dzieciom, mogłaby prowadzić do całkowitego stracenia tych rodzin dla parafji. „Księża to lepi z narodem teraz trzymają, bo wiedzą, że jak nie będą trzymać, to ludzie pójdą do Irishów albo do Litwinów. A dawni to nic sobie z narodu nie robili.“

Z kształtującym się nowem poczuciem godności własnej rodzi się również reakcja przeciw tradycyjnej dyscyplinie szkolnej, a zwłaszcza przeciw nadużywaniu bicia przez siostry-nauczycielki. Utrzymanie porządku wśród ludności szkolnej, rekrutującej się z pokolenia „pogranicznego“ o dezorganizującej się obyczajowości i więzi grupowej nie należy do rzeczy łatwych. Tem bardziej, że w dzielnicy niema absolutnie tradycji współdziałania rodziny ze szkołą i żadne formy takiego współdziałania jeszcze się nie rozwinęły. Ucieczka do kija jako narzędzia porządku społecznego leży więc na drodze najmniejszego oporu, tem bardziej, że pozostaje w zgodzie z wielowiekowymi tradycjami wychowawczymi.

„Dwa lata temu — opowiadano mi — dziecko przyszło ze szkoły ze czterema śladami na plecach od bata. Sine ślady. Rozchorowało się, lekarz zabronił mu chodzić do szkoły. Dziecko było tak przestraszone, że przez długi czas drżało ze strachu, kiedy siostra koło niego przechodziła. Siostra przełożona sprawę zatuszowała.“

„Mój syn — opowiada inny mieszkaniec dzielnicy — chodził do publicznej a potem do polskiej go przeniósłem. To już mie słuchy dochodzą, że siostra powiedziała, że mój syn będzie bity. Pytam go samego, czy go siostra bije, on mówi że nie. Nie chce się przyznać, bo to go tam w szkole uczą, że „nie mów wole, co się dzieje w szkole“. Ale ja patrzę na jego ręce, a on ma wyraźnie popuchnięte palce tu w tych kostkach, wtedy się przyznał, że go siostra biła po palcach. To ja poszedł do szkoły i powiedziałem, że dziecko zabierę jak dalek bić będą. I obiecali, że mojego dziecka bić nie będą.“

To panu mówię świętą prawdę, że widziałem nieraz jak matki prowadziły dzieci do polskiej szkoły, a one szły z płaczem i nazad wracały. Teraz już tak bardzo nie biją jak dawniej. Do publicznej

szkoły dzieci z płaczem nie chodzą, tak się nie boją bata. Niech przestaną bić nasze dzieci a będziemy do polskich szkół posyłać.“

Z podnoszeniem się zamożności emigrantów-Polaków coraz silniej reagują oni przeciw wszystkiemu, co szkole parafjalnej nadaje piętno ubóstwa i niższości społecznej. Powszechna więc jest niechęć przeciwko temu, ażeby same dzieci sprzątały szkołę — zwyczaj bardzo rozpowszechniony, ze względów oszczędnościowych. „Co do sprząwania — mówi jedna z matek, reprezentująca głos bardzo typowy — to już nie powinno być. Jak kto płaci za szkołę, to już nie powinien sprzątać. Niechby sprzątał ci co nie płacą. Jak się płaci od dziecka te 60 centów, to już powinni, te 10 centów odłożyć i wziąć kogoś do sprząwania. A i co jakiś czas, to siostry proszą, żeby im przynieść to gałganki, to mydła, to znów co innego.“ Według zwyczaju szkolnego każde dziecko „ma swoje miejsce umyć“. Poza tem, poza opłatą regularną dzieci przynoszą na sprząwanie 1—3 centów tygodniowo. Nie jest to obowiązkowe, ale dzieci, które przyniosą pieniądze, zostają wypisane na tablicy.

Niezadowolenie wywołuje także wczesna Msza Św., codziennie poprzedzająca dzień szkolny.

„Niech pan pomyśli, to teraz pójść dziecku na 7 i pół do kościoła to nie jest tak trudno, ale jak przyjdzie mróz i śnieg; a czy dziecko musi być codzień na mszy.“

Wśród elementu asymilującego się coraz bardziej upowszechnia się przekonanie, że szkoła parafjalna stoi na drodze wybicia się wśród Amerykanów.

Oto szereg wynurzeń:

1. „Dzieci mają wielkie trudności. Dzieci, które wychodzą z parafjalnej szkoły to są kaleki i w polskim i w angielskim. Nie mogą zostać telefonistkami, gdyż mają cudzoziemski akcent. W parafjalnych szkołach uczą rzeczy niepotrzebnych, a nie uczą potrzebnych. Dzieci wiedzą kiedy są imieniny księdza proboszcza albo siostry przełożonej, ale nie wiedzą kiedy była bitwa pod Wiedniem. Za dużo religji. Uczą źle. Szkoły publiczne są bardziej postępowe. Szkoły parafjalne i podręczniki mają przestarzałe. Przed paru laty władze szkolne zagroziły szkołom parafjalnym, że jeżeli nie podniosą poziomu naukowego, to nie uzyskają prawa wstępu do high schools bez egzaminów. Odtąd siostry zaczęły się kształcić w seminarjach, bo do tego czasu to ktokolwiek bez przygotowania mógł uczyć w szkołach parafjalnych. Cel szkół parafjalnych to jest utrzymywanie ludzi przy parafji.“

2. „Jak taka dziewczyna czy chłopak, co wyjdą z ty parafjalny szkoły — mówi inny — to uni zawdy między sobą po angielsku jeno bełkocą, ale niech oni idą do City Hall (Magistratu), to oni się po angielsku nie potrafią rozmówić.“

3. „Weźma takiego bojsa albo dziewczynę — mówi inny — co tu do szkoły chodzi (pokazuje na szkołę parafjalną), do portu albo gdzie na offis, żeby się po angielsku rozmówiły, to się nie potrafią rozmówić. Rozumieć to on rozumie, ale tych wyższych słów nima i się nie rozmówi. Uczą się tak angielskiego, jak polskiego, ale żadnego nie umią. Mówić to mówi, ale tych wyższych słów nie zna, jeno tak, jak na ulicy.“

4. „To jest tak, panie, jak te dzieci co chodzą do parafjalnych szkół, to po angielsku dobrze się nie uczą, a i po polsku także. Skąd się mogą nauczyć, kiedy same siostry dobrze mówić nie umią. Te dzieci to są jak obłąkane.“

5. „Ja chcę panu powiedzieć, jakie były moje uczucia jak wysłem ze szkoły parafjalnej i poszedłem do Bowen High School. Ja kilka razy obszedłem parę bloków, zanim odważyłem się wejść do szkoły. Bałem się, a przecie byłem już duży chłopak, bo miałem jakie 12—13 lat. Tak się czuje każdy z tych dzieci: tu w okolicy to się pysznia, są hundred per cent American, ale jak wyjdą za 92 ulicę, to już są lost, nie wiedzą co ze sobą zrobić.“

Jedna z wybitnych działaczek Zjednoczenia Polskiego Rz.-Kat., która sama chodziła do szkoły publicznej i tylko rok była w szkole parafjalnej dla przyjęcia Komunji, mówiła mi: „Wszystkie dzieci polskie wysyłałabym do szkoły publicznej. Uczą lepiej i lepszymi metodami.“

Reakcja przeciw szkole parafjalnej potęguje się w miarę jak ilość godzin nauczania polskiego zmniejsza się, a katechizmu uczą po angielsku (w klasie 5, 6, 7 i 8). „Poco mamy chodzić do polskiej szkoły i mówić pacierz po angielsku. Polskiego nauczą się zresztą dosyć w domu.“

Publiczna opinja parafji jest jednak przeciw szkole publicznej. *Polonja* nie wydrukuje artykułu w obronie szkoły publicznej, a nikt z miejscowych nie ośmieli się publicznie z taką obroną wystąpić.

Oto dwa charakterystyczne incydenty: W miejscowej szkole publicznej (Sullivan Public School) urządzono wystawę prac malarskich dzieci. Większość eksponatów pochodziła od polskich dzieci. Niektóre z nich posiadały tak wysoką wartość artystyczną, że Amerykanie z innych dzielnic przyjeżdżali je oglądać. Zaprosiłem więc raz redaktora *Polonji*, ażeby zwiedził tę wystawę i razem to uczyniliśmy. Podsunąłem myśl, ażeby napisał artykuł o tej wystawie. Okazało się, że jest

to niepraktykowane w dziejach Polonji i że taki artykuł nie może wyjść od Redakcji. Obmyśliśmy formę korespondencji do redakcji — i to jednak nie ukazało się w Polonji.

W tej samej szkole publicznej wydział socjologii University of Chicago łącznie z Instytutem Badań Młodzieży (Institute for Juvenile Research) zorganizował oddział psychologiczny i podjął akcję eksperymentalną zorganizowania chłopców w kluby dla społeczno-kulturalnego podniesienia ich życia. Dzielnica dostarcza bowiem znaczny procent przestępczości wśród młodzieży. Na wiadomość o tem zorganizował się komitet i urządzono zebranie najwybitniejszych działaczy miejscowych. Przewodniczący zebrania wezwał zebranych do zaprotostowania przeciwko hańbieniu imienia polskiego.

„Jak państwo wiedzą — mówił przewodniczący — eksperyment ten prowadzony był tak po cichu, ażeby nikt nie wiedział. Ludzie, którzy to robią mieli zapowiedziane, ażeby nie rozgłaszali nic o tem co robią. Opinia tutejszej Polonji poruszona została przez członka tutejszej dzielnicy, nauczycielkę, która sama nie jest polską, ale przez wiele lat uczyła polskie dzieci i kiedy się dowiedziała o tym eksperymencie, oburzyła się na to, że polską ludność chcą tutaj shańbić. Ona napisała list anonimowy do Związku Narodowego Polskiego, zwracając na to uwagę co to za eksperyment Uniwersytet Chicagoski prowadzi nad polskimi dziećmi... Wtedy ja, p. X. i p. Y. adwokat z North Side udaliśmy się do tej nauczycielki i rozmawialiśmy z nią przeszło trzy godziny i wtedy dowiedzieliśmy się, że eksperyment ten jest zamaskowaną propagandą przeciwko polskiemu wychodźtwu, że ma na celu shańbienie Polaków nietylko w tej dzielnicy, ale całego wychodźstwa. Jest rzecz pewna, że p. Shaw,⁴⁶ który już kilka książek napisał, jeszcze jedną książkę grubą chce napisać, ażeby polskie wychodźtwa obczernić. Wprawdzie p. Shaw mówi, że oni te badania robią w 3 szkołach, tutaj u nas, w stockyards i na North Side w najbogatszej szkole. My tego nie sprawdziliśmy, ale wątpię czy te badania są gdziekolwiek indziej prowadzone jak tutaj. Eksperyment ten ma na celu obczernienie wychodźstwa polskiego... Czy społeczeństwo amerykańskie odniesie jaką korzyść z tych badań? Otóż muszę na to odpowiedzieć: żadnej korzyści. POCO wydawać pieniądze publiczne na badania, które nie przyniosą pożytku. Wiadomo, że imigracja do Stanów Zjednoczonych jest zamknięta, że ci Polacy, co są tutaj, to się zamerykanizują i za 10 lat nie będzie polskiej emigracji. Więc poco robić badania nad czemś, co przestanie istnieć niezadługo. Takich badań nie warto robić. Nauka nie odniesie żadnych korzyści z tego. I ja powiem, że

⁴⁶ P. S h a w, kierownik Wydziału socjologii Instytutu Badań nad Młodzieżą w Chicago, autor *Delinquency areas* (1929), *Social factors in Juvenile Delinquency* (1931) i innych prac sam kierował pracą organizacyjną, dla której pozyskał także proboszcza parafji Św. Michała, od którego otrzymał lokal na ten klub.

p. Shaw nie prowadzi tu żadnych badań naukowych, ale zbiera materiały do nowej książki, która ma polską ludność obczernić. Mamy na to dowody... Musimy przeciwko temu stanowczo zaprotestować. Nie możemy pozwolić, aby robiono eksperymenta na naszych polskich dzieciach. Poinformowałem się, że możemy przeprowadzić sprawę przez sąd i zakaz sądowy prowadzenia tego eksperymentu otrzymać.⁴⁷

Przemawiając na tem zebraniu, wyjaśniałem na czem polega akcja uniwersytetu i wykazywałem, że jedynie rozsądny krok jaki społeczeństwo polskie może zrobić, to zorganizowanie Parent-teacher association (Koła rodzicielskiego) przy szkole publicznej, wzięcie udziału w akcji i czuwanie w ten sposób nad tem, ażeby imieniowi polskiemu nie stała się szkoda. Naskutek tego mojego wystąpienia opowiadano później w dzielnicy, że trzeba się mieć przedemną na bacności, gdyż jestem szpiegiem Uniwersytetu Chicagoskiego. Notabene, do uniwersytetu tego wyjątkowo tylko przychodzi młodzież z tej dzielnicy (znam tylko jednego studenta), gdyż ma on w dzielnicy reputację ateistycznego uniwersytetu socjalistów i miljonerów.

Szkoła parafjalna jest instytucją nadzwyczaj silnie ugruntowaną w życiu kolonij polskich. Kompromis pomiędzy szkołą publiczną a parafjalną zdobywa sobie wprawdzie coraz więcej zwolenników, niewielu jednak dąży do całkowitego zerwania ze szkołą parafjalną. Kwestjonariusz Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że tylko 8% wypowiedziało się za całkowitem zerwaniem ze szkołami parafjalnymi.⁴⁸

16. Kierunek wychowawczy parafji.

„Tam, gdzie obok Kościoła Katolickiego nie stanie parafjalna szkoła katolicka, próżno się buduje kościoły, bo już następne poko-

⁴⁷ Kiedy zapytałem, kto czytał książki p. Shaw'a, to przewodniczący odpowiedział „ja ich nie czytałem, ale czytał je p. L.“ A p. L. powiedział: „Ja nie przeczytałem tych książek wszystkich, ale tylko kawałek jednej i myślę, że my z nimi nie zwyciężymy, jeżeli my na naukowej stronie z nimi będziemy mówić. Jak ja czytałem te książki, to ja widzę, że toby zajęło 4 lata, a może i dłużej ażebyśmy mogli dobrze zrozumieć, co oni piszą.“ Pani L. protestująca hałaśliwie przeciw hańbieniu imienia polskiego czytała Jack Roller (wyd. przez p. Shaw'a życiorys polskiego chłopca przestępcy). Na moje pytanie: co jest w nim przeciw Polakom odpowiedziała: „Ja dobrze nie wiem, ale tam jak opisuje matkę, to wyraża się o niej bardzo źle, i to bardzo źle, i oni będą tak o wszystkich polskich matkach myśleli.“ Nikt z zebranych nie potrafił podać ani jednego przykładu występowania p. Shaw przeciw polskiej emigracji — co zresztą było niemożliwe.

⁴⁸ Carpenter and Katz: *op. cit.*, s. 126.

lenie nie będzie uznawało potrzeby świątyni Pańskiej i ścieżka do niej trawą zarośnie.⁴⁹

„Bez szkoły parafjalnej nie stanie wkrótce i parafji, bo kto ją będzie utrzymywał? Dzieci wychowane w szkole publicznej, rozprszą się po parafjach obconarodowych, bo do własnej nic ich ciągnąć nie będzie.”⁵⁰

Cały kierunek wychowawczy szkoły zmierza ku temu, ażeby młode pokolenia parafjan przywiązać do parafji. Nauczycielkami są siostry zakonne, a cały program i kierunek nauczania są do tego przystosowane, ażeby młodzież jaknajbardziej uodpornić na wpływy środowiska amerykańskiego i protestancko-masońsko-żydowskiej cywilizacji Ameryki.⁵¹ Każdy dzień w szkole parafjalnej rozpoczyna się od Mszy Świętej; w ciągu dnia sześć razy odbywa się modlitwa — a pozatem dzieci mają katechizm. Co miesiąc odbywa się Spowiedź.

Oto dzień w szkole parafjalnej:⁵²

8 — 8³⁰ Msza Św.

8³⁰— 9¹⁵ { Modlitwa
Katechizm

9¹⁵—10 { Język angielski
Modlitwa

10 —10¹⁵ Pauza

10¹⁵—11 { Modlitwa
Arytmetyka

11 —11³⁰ Historia Polski

11³⁰—12 { Historia Amerykańska
Modlitwa

12 —12⁴⁵ Przerwa na lunch

12⁴⁵—13 Zabawa na podwórzu pod nadzorem zakonnice

⁴⁹ *Akcja Apostolska* z art. k. s. M. G a d a c z : *Budujmy Królestwo Boże na ziemi*, Dziennik Zjednoczenia, 24. IX. 1932.

⁵⁰ K. s. J. L. P u d ł o, *Okruszyny*, Dziennik Zjednoczenia, 24. IX. 1932.

⁵¹ Patrz artykuł *Współpraca protestantów z masonerją*, Dziennik Zjednoczenia, 21. XI. 1932 i poprzednie.

⁵² VI klasy szkoły parafjalnej w 1932 r.

13 — 14	}	Modlitwa
		Geografja Ameryki
14 — 14 ³⁰		Angielskie spelling
14 ³⁰ — 15	}	Angielskie czytanie
		Modlitwa i do domu.

Jak bardzo sposób myślenia rozwijany w szkole parafjalnej odbiega od przeciętnego amerykańskiego myślenia, świadczy następujących 10 ćwiczeń szkolnych 8-mej klasy szkoły parafjalnej w Steubenville, O., na temat *Dlaczego dziś na świecie bieda i jak jej zaradzić?* Ćwiczenia te zostały wydrukowane w *Dzienniku Zjednoczenia* (Polskiego Rzymsko-Katolickiego) w dniu 8 listopada 1932. Przytaczam je in extenso.

1. „Dziś jest bieda dlatego, że ludzie żyją bez Boga. Nie wierzą w przykazania, nie chodzą do kościoła, i nie wypełniają to, co się należy. Gdy ludzie mieli pieniądze, tracili je na niepotrzebne rzeczy, lub wypożyczali je takim, co nie myśleli ich oddać.

Jedyny sposób, ażeby zaradzić depresji, jest udać się do Pana Boga. Żyć tak, jak Pan Bóg przykazał. Pieniądzy nie marnować na niepotrzebne rzeczy. Wielu z tych, co chodzi po żebranie, lepiej by zrobili, gdyby zrobili dobrą spowiedź i poprawili się.“

2. „W obecnym czasie narzekają ludzie, że są bez roboty. Mylą się kiedy mówią, że powodem tego jest Prezydent. Może być to prawda? Nie, nigdy, dlatego, że on nie daje ludziom pracy w fabrykach.

Ludzie sami na siebie sprowadzili to nieszczęście, gdyż zapomnieli o Bogu, a jak na początku Bóg bałwochwalstwo karał ogniem i potopem, teraz karze przestępstwa biedą i głodem. Ludzie potrzebują dziś więcej oświaty, ale oświaty chrześcijańskiej. Tą oświatą ludzie wszyscy nawróciliby się do Boga, a Bóg zlitowałby się nad nimi i oddałby karę.

Dopóki ludziom zdrowy rozum się nie otworzy, Prezydent Stanów Zjednoczonych nie może biedy załagodzić. Może on tylko najbiedniejszym dać próżne pola, ażeby ludzie mogli je uprawiać i mieć coś dożywienia.

Jeżeli ludzie się nie poprawią, to ta bieda, jaką mamy, nie jest nawet początkiem katastrofy.“

3. „Bieda zapanowała pomiędzy ludźmi w naszym kraju. Powodem tego jest że większość ludzi żyje bez Boga, bez Sakramentów

Świętych, nie zważając na dziesięć przykazań Boskich, które Pan Bóg im dał, aby je szczerze zachowali. A ludzie tego nie czynią.

A ci co wypełniają obowiązki swoje święte, to czasem nie mają dobrego sensu jak się mają rządzić. I to jeszcze jest powodem tego nieszczęścia te przekłete bondy pieniężne Insulla i Kruegera, które wielka ilość ludzi pokupowała, a które teraz nie są warte ani pół centa. Więc trzeba teraz Mojżesza, aby zstąpił na ziemię i oświecił ten ciemny naród, aby umiał się sam sobą rządzić.

Nie mam już nic więcej ciekawego do napisania.“

4. „Dziś jest bardzo wielka bieda na całym świecie, bo się ludzie od Boga odwracają. Ludzie nie dbają co im jest, i myślą, że pieniądze z nieba im spadną. Niechce się im iść w niedzielę do kościoła, ażeby pomodlić się i prosić Boga o chleb codzienny. Gdyby ludzie szli do kościoła i słuchali Mszy Św. z uwagą, Bóg dałby im chleb powszedni, bo jeżeli Bóg stara się o ptaszki, to więcej pamięta o człowieku. Niektórzy ludzie, chociaż chodzą do kościoła, mają się źle. W tem niech winują siebie, a nie Boga. W czasie dobrych czasów, nie umieli ona grosza zaoszczędzić. Dużo jest takich, którzy składali pieniądze do banku, a banki upadły i im pieniądze poginęły. To nie ich wina, ale dopuszczenie Boże. Bóg jeden może nam dać lepsze czasy, lecz czeka on, aż ludzie wrócą się do Niego i dziękować Mu będą za każdy kawałek chleba, co mają do jedzenia.“

5. „Bieda panuje dlatego, że nie ma roboty i nie ma pieniędzy. Gdyby ludzie poprawili się, i żyli z Bogiem — byłyby może lepsze czasy. Dawniej, gdy takiej biedy nie było, ludzie zarabiali wielkie pieniądze, ale żyli rozrzutnie. A teraz gdy nastąpiła bieda, ludzie nie mają ani pożywienia ani domów mieszkalnych.

Aby zaradzić tej biedzie potrzeba, ażeby roboty zaczęły iść. Potrzeba pieniędzy, ażeby robotnikom płacić, i zmniejszyć podatki i wydatki na różne rzeczy. Aby to wszystko uczynić, potrzebujemy nowego prezydenta, aby lepiej rządził krajem. Także potrzeba, ażeby ludzie się poprawili i lepiej Bogu służyli.“

6. „Bieda jest dlatego, bo ludzie nie chodzą do kościoła słuchać Mszy Św. i nie zachowują praw Bożych i przykazań kościelnych. I dlatego, że się w kościele nie modlą, tylko zbyt kuja i rozmawiają a zwłaszcza młodzi. Zamiast pieniądze zachować na czas biedy, to trwonili je na rozpusty. Dla Boga zaś nic nie mieli, więc teraz i Pan Bóg dla nich nic nie ma. I ażeby nie było tej maszynerji, to ludzie by mieli więcej roboty i nie byłoby takiej biedy.

Tej biedzie można zaradzić przez pobożną modlitwę, przez którą możemy uprosić lepsze czasy w fabrykach, i kopalniach. W czasie tej

biedy starsi, a szczególnie dzieci powinni prosić Boga, ażeby bieda przeszła jak najprędzej.“

7. „Jeżeli ludzie chcą mieć lepsze czasy, to najpierw niech się udadzą do Pana Boga. Gdyby ludzie uczęszczali w każdą niedzielę na Mszę Św. i często przyjmowali Sakrament Ołtarza, toby Pan Bóg się zlitował nad nimi. Lecz w dzisiejszych czasach ludzie tego nie czynią, więc niech nie narzekają na ciężkie czasy, bo jak sobie kto pościeli, tak się wyśpi.

Gdyby niektórzy w urzędach kolejowych i w innych korporacjach nie pobierali wprost bajecznych pensji — toby pół tego biednego ludu nie czuło nędzy. Dużo bogaczy zakłada fabryki w Europie i w Południowej Ameryce, bo tam najmują tanich robotników. Tacy bogacze popełniają grzechy wołające o pomstę do nieba.

Następnie bieda panuje w naszym kraju, bo ludzie, którzy gdy czasy były dobre, nie odkładali grosza na czarną godzinę, myśląc, że zawsze będą dobre czasy. A stało się inaczej. Ludzie w bogactwach Boga odrzucili, a więc ręka Boska dosięgła ich przez obecną depresję. Niech zaczną Bogu wiernie służyć, a Bóg miłosierny zlituje się i odwróci od nich karzącą rękę.“

8. „Bieda po dziś dzień jest nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz i po całym świecie. Dzisiejsza bieda, to kara Boga. Bo ludzie w tych czasach Boga z swoich domów wyrzucają. Gdy były lepsze czasy, to ludzie nie oszczędzali pieniędzy, lecz je marnowali na niepotrzebne rzeczy. Naród cały powinien udać się do Boga, prosić i modlić się, ażeby przyszły lepsze czasy, które dawniej były.

Ażeby Prezydent Hoover i jego pomocnik Mellon nie pożyczili tych tysięcy dolarów Niemcom, a pomogli tym wszystkim biedakom bezdomnym w Stanach Zjednoczonych, toby może lepiej się działo. Ale oni chcą pokazać, co oni są. Czego ten kraj potrzebuje to lepszego prezydenta i lepszych katolików, a nie malowanych jakimi wielu dziś jest.“

9. „Dlaczego taka bieda? Bóg za jednych wszystkich karze. Bogu mamy cześć i chwałę oddawać, a nie obrażać Go. A ludzie czy czynią tak? Przeciwnie, odwracają się od Boga, wpadają w coraz to większe grzechy, a będąc w grzechach zapomnieli o Bogu, który jest naszym Ojcem i dał nam wszystko, co nam potrzeba. Jakże mogą być lepsze czasy, gdy jeden lub dziesiąty dureń zamiast iść na Msze Św., śpi sobie smacznie po nocnym tańcu?

Bóg da nam lepsze czasy, ale my z naszej strony musimy Mu być wiernymi. Musimy oszczędzać, a nie marnować pieniędzy na „mowies“ lub inne błyskotki.“

10. „Bieda czyli depresja, jak niemal że wszyscy ją nazywamy, jest karą na ludzi od Boga. Niektórzy z ludzi, tak jak naprzykład poganie, którzy nie wierzą w Boga, mówią, że bieda pochodzi od rządców Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te bezmyślne mowy są daremne, bo depresja jest karą Bożą na ludzi za ich grzechy. Ludzie, — gdy są dobre czasy, Boga nie znają, ale gdy zobaczą że jest źle, to wtedy udają się do Pana Boga. Jak to mówi nasze przysłowie: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie“. Wiele przykładów tej kary można wyliczyć w krajach katolickich jak naprzykład w Hiszpanji, w Portugalji. Niektórzy ludzie w niedzielę zamiast iść do kościoła śpią sobie wygodnie i z lenistwa nie słuchają Mszy Św. Czynią z dnia noc. Na ofiarę Panu Bogu nie mają, a na libacje i rozpusty wiele tracą. Jakże więc mogą być dobre czasy, kiedy tyle ludzi źle żyje! Pan Bóg czeka aż lud się naprawi, a kiedy trwa w złem tedy zsyła karę. Jeżeli chcemy biedzie zaradzić, musimy oddać się zupełnie w opiekę Boską. A z Boską pomocą wrócą czasy jakie mieliśmy, gdy ludzie Bogu, a nie szatanowi wiernie służyli.“

Redaktor, występujący jako Dziadek Gawęda, dodaje swój komentarz następujący:

Co Dziadek Gawęda myśli o wypracowaniach dzieci?

„Przedewszystkiem Dziadek Gawęda cieszy się, że młodzież z polskich szkół parafjalnych nie poprzestaje na książkowej nauce, ale przez podobne wypracowania i debaty uczy się rozumnie patrzeć na świat i przygotowuje się praktycznie do późniejszego życia katolików, Polaków i obywateli tego kraju.

Każde z wypracowań zasługuje na pochwałę. Wszystkie napisane są ładnie i roztropnie. Przynoszą one zaszczyt poszczególnym autorom i autorkom listów, i całej klasie i szkole.

Wszystkie dzieci godzą się w jednym co do powodów obecnej depresji, jak i co do sposobów zaradzenia jej. Wszystkie zgodnie wytykają, że depresję spowodowało przedewszystkiem odstępstwo świata od Boga i zgodnie widzą w powrocie do Niego najskuteczniejsze lekarstwo. W tem też mieści się wszystko. Nawet powody, pozornie nie mające z tem związku, w rzeczywistości jednak łączą się ściśle z pogwałceniem przykazań Bożych. Tak np. maszyny, które umysł człowieka tworzy dla jego użytku i wygody, stały się przekleństwem dla milionów, gdy zamieniono je w narzędzia chciwości, lenistwa i wszelkiego bezprawia.

Powrót do Bogu — oto co Kościół Katolicki z Papieżem na czele wskazuje światu jako wyjście z obecnego odmetu. Dobrze i słusznie więc odpowiedzieli na dany temat wszyscy młodzi autorzy.

Dziadek Gawęda chętnie przyjmuje do swego grona te wszystkie dzieci — które o to prosiły w dzisiejszych listach.“

Cała klasa, z której te ćwiczenia pochodzą liczy 44 dzieci, dwudziestu chłopców i dwadzieścia cztery dziewczęta. Wszystkie przytoczone odpowiedzi pochodzą od dziewcząt za wyjątkiem Nr. 3. Oczywiście, wyselekcjonowany ten zespół nie może być uważany za obraz intelektualny całej klasy. Można jednak słusznie uważać, że ten typ myślenia najbardziej oddaje kierunek wychowawczy szkoły. Zapewne ćwiczenia te nie byłyby przysłane Redakcji, gdyby przez ks. Proboszcza, który ćwiczenie to zadał, nie były uważane za najlepsze i także nie byłyby drukowane, gdyby sama Redakcja ich za takie nie uważała, co widać zresztą z komentarza Dziadka Gawędy.

Porównanie przytoczonych ćwiczeń z ćwiczeniami uczniów 8 klasy szkoły publicznej Sullivan Public School w Poł. Chicago wykaże nam zasadniczą odrębność, nieamerykańskość wychowawczego kierunku parafjalnego.

Na 81 ćwiczeń,* które otrzymałem z Sullivan Public School na ten sam temat jako przyczyny depresji wymieniano:

Wielką Wojnę (koszta wojenne)	25	razy
Niesplacanie długów przez Europę	25	..
Hoovera	18	..
prohibicję	16	..
nowoczesne maszyny	7	..

Wyciąganie wniosków z przytoczonych ćwiczeń wymaga ostrożności. Conajmniej 59 odpowiadających jest polskiego pochodzenia (sądząc z nazwisk), wychowują się one w tem samym środowisku parafjalnem, co młodzież szkoły parafjalnej i treść ich odpowiedzi jest wynikiem nie tylko szkoły, ale i rozmów w domu. Tak np. obciążenie Hoovera odpowiedzialnością za kryzys (za wprowadzenie prohibicji i niesplacenie długów przez Europę) jest odbiciem opinii robotników polskich, którą pod wpływem szkolnych lekcji wielu uczniów zwalcza nawet w swoich ćwiczeniach. Podobnie rzecz się ma z prohibicją. Siedem odpowiedzi, które zalecają wypowiedzenie wojny w celu odebrania pożyczek Europie, jest również wyrazem bardzo powszechnego przekonania wśród robotników, że tylko wojna może zakończyć depresję.

* Ćwiczenia te zawdzięczam uprzejmości Mrs. Brewster, kierowniczki Sullivan Public School, która na moją prośbę poleciła zadać to ćwiczenie w 8-ych klasach swojej szkoły. Dokładny tytuł ćwiczenia brzmiał „*Causes of the Depression and Ways out of it*“.

Niewiele również możemy tutaj sądzić o różnicy ogólnego poziomu intelektualnego młodzieży między obydwoma szkołami. Porównajmy np. dwie odpowiedzi: „Jakże mogą być lepsze czasy, gdy jeden lub dziesiąty dureń zamiast iść na Mszę Św., śpi sobie smacznie po nocnym tańcu“ — pisze uczennica szkoły parafjalnej. „Wszyscy prawie mówią — pisze uczeń szkoły publicznej, że depresję spowodowały kraje europejskie, które pożyczyły pieniądze i nie zapłaciły ich. ... Wyjście z depresji to przywrócić dawne dobre piwo, jakieśmy mieli przedtem.“ Obydwie odpowiedzi są pod pewnym względem bardzo podobne; mimo różnic, przedstawiają one pewien typ prelogicznego myślenia, któremu dało wyraz jedno z ćwiczeń szkoły publicznej w powiedzeniu, że „zawsze jest ktoś winny“. W odpowiedzi jednych winien jest ten dureń, co na Mszę nie chodzi, w odpowiedzi drugich — winien jest inny „dureń“, mianowicie Hoover, albo kraje europejskie. Jest to myślenie kategorjami bezpośredniego sprawstwa moralnego jakiejś istoty, a nie kategorjami logicznymi przyczynowego związku. Środki zaradcze na depresję w odpowiedziach dzieci szkoły publicznej posiadają tak samo bardzo dużo elementu „cudowności“. „Więcej pieniędzy w obiegu“, „zaufanie do banków“, „wybranie nowego prezydenta“, „zniesienie prohibicji“ i inne środki, z którymi wiążą się nadzieje zakończenia depresji — nie uzasadniają tych nadziei w sposób logiczny, jest w nich coś „cudownego“. Trudno orzec ile tych podobieństw przypisać należy wspólnemu środowisku parafjalnemu dzieci obydwóch szkół.

Naogół jednak można powiedzieć, że myślenie w terminach bezpośredniej ingerencji Bożej, cechuje ćwiczenia szkoły parafjalnej a myślenie w kategorjach pieniężnych charakterystyczne jest dla ćwiczeń szkoły publicznej (są to dwa rodzaje „magicznego“ myślenia. W jednym sprawami świata kieruje bezpośrednio Pan Bóg, a w drugim — złoto). „What keeps the country in good condition?!“ zapytuje jeden z uczniów szkoły publicznej. „Money! Money!“ Dotknęliśmy tutaj ideologicznych zrębów amerykańizmu, o których pisał Max Weber w swojej znakomitej książce *Die Protestantische Ethik und der Geist des Kapitalismus*.

Na jedną istotną różnicę należy zwrócić uwagę. Na 81 odpowiedzi jedna tylko odpowiedź uczennicy widzi w depresji karę Bożą. „Bóg nie mógł patrzeć na ludzi wygodnie żyjących i wydających pieniądze na rzeczy, na które nie powinni ich wydawać. A teraz my,

biedni ludzie mamy cierpieć również za nich.“ A inny uczeń pisze: „Mówią, że gdyby tylko wszyscy ludzie udali się do Kościoła i modlili się to Bóg dopomógłby.“ Tyle o roli Boga w depresji w odpowiedziach szkoły publicznej.

W tem też leży istotna różnica dwóch kierunków wychowania i dwóch światów: parafji polsko-katolickiej i amerykańizmu. Jest to przepaść dzieląca średniowiecze, żyjące w lęku śmierci, grzechu i kary bożej od optymistycznej, afirmującej życie ideologii amerykańizmu.

Przejście z parafji do społeczeństwa amerykańskiego to przebycie tej przepaści. Przejście ze szkoły parafjalnej do publicznej „high school“, to przejście z jednego świata społeczno-kulturalnego i religijnego do innego. Jest to droga konfliktów. Młodzież polskich parafij katolickich kieruje się chętnie do katolickich szkół średnich, jeżeli stać ją na to, a nieliczne jednostki idące do uniwersytetów, wybierają uniwersytety katolickie. W wyborze tym momenty religijne ściśle łączą się ze społecznymi. Protestanci stanowią bowiem arystokrację Ameryki, a Kościół katolicki skupia imigrancką biedę z krajów łacińskich i słowiańskich.

Nie wszyscy jednak idą utartymi torami. A siła atrakcyjna amerykańizmu zwłaszcza dla młodzieży jest kolosalna. W 1932 r. z 17 001 uczniów, którzy ukończyli parafjalne szkoły katolickie w archidiecezji chicagoskiej, 2 972 nie kontynuowało wogóle nauki, 6 484 kontynuowało naukę w katolickich „high schools“, a 7 545 w publicznych „high schools“.*

Amerykanizm posiada zbyt wiele siły atrakcyjnej, ażeby nie wywierać wpływu na parafje polsko-katolickie. Nietylko świecka część społeczeństwa katolickiego poddaje się amerykańizacji. „Ksiądz — jak słusznie pisze Siegfried — który stara się uchronić swoją parafję od zbyt szybkiej amerykańizacji, sam jest w swoich poglądach na życie i w codziennych nawykach zupełnym Amerykaninem. Jest businessman'em, który administruje swoją parafją w ten sam sposób, jak

* Ze sprawozdania Ks. D. F. Cunnninghama, cyt. za *Daily News*, Chicago 21. I. 1933. Rzecz interesująca, że wśród chłopców znacznie większy odsetek idzie do publicznych „high schools“ niż wśród dziewcząt. W 1932 r. z 8 120 chłopców 2 752 przeszło do katolickich „high schools“, a 4 177 do publicznych „high schools“, 1 186 nie kontynuowało nauki. Z 8 881 dziewcząt 3 727 przeszło do katolickich „high schools“, 3 668 do publicznych, a 1 486 nie kontynuowało nauki.

to czynią najpraktyczniejsi moderniści. Nietylko w swojej parafji, ale także w kościelnych instytucjach przyzwyczajony jest do komfortu, którego nie zamierza wyzbyć się. Wymaga centralnego ogrzewania, łazienek, a w podróży, wygodnych foteli. Co więcej, zaczął już pogardzać swoimi europejskimi kolegami z powodu ich ubóstwa. Poor fellow, I am sorry for him, (Biedak, szkoda mi go bardzo) — myśli o wiejskim proboszczu we Francji... Jak każdy dobry Amerykanin, sądzi on, że intensywność religijnego życia mierzy się pojemnością kubiczną budynków kościelnych, a medytacja i mistyczny spokój wydadają mu się niewiele lepsze od zjawisk patologicznych.“*

17. Społeczny produkt parafji.

Jaki jest społeczny produkt szkoły parafjalnej, czyli jakich ludzi szkoła parafjalna urabia? Odpowiedź, jaką dać można na to pytanie na podstawie istniejącego materiału, nie może być ani ścisła, ani wyczerpująca. Przedewszystkiem, młodzieniec opuszczający szkołę, nie jest produktem samej szkoły, lecz łącznym produktem całego środowiska parafji, i samej szkoły nie można czynić wyłącznie odpowiedzialną za jakość tego produktu. Dlatego też w dalszym ciągu będę mówił o społecznym produkcie parafji, a nie samej szkoły.

Powtórze, wyczerpująca odpowiedź na to pytanie wymaga bogatych danych dotyczących poszkolnych dziejów młodzieży, a takimi materiałami, których zgromadzenie wymagało dużo pracy technicznej, nie rozporządzam. Trzebaby wreszcie przeprowadzić badania porównawcze nad dziećmi emigracji polskiej przechodzącymi przez szkołę publiczną oraz temi, które przechodzą przez polskie szkoły parafjalne. Wszystko to wykraczało poza możliwości, jakimi rozporządzałem. Niemniej materiały, jakie zebrałem rzucają dość jaskrawe światło na pewne właściwości typu społecznego urabianego przez wpływy parafji, krzyżujące się z wpływami szerszego środowiska amerykańskiego. Orientują one mianowicie w ustosunkowaniu się parafjanina (mam na myśli jednostki urodzone w parafji polskiej i wychowane przez jej tradycje i instytucje) do Polski i jej kultury z jednej strony, a do Ameryki i jej kultury z drugiej.

Odwiedzając rodziny i rozmawiając w klubie z chłopcami w wieku lat 17—20, którzy pokonczyli szkołę parafjalną zadawałem

* A. Siegfried: *America comes of age* (przekł. z franc.), str. 52.

chłopcom w rozmowie pytania. Na 19 rozmów zanotowanych (bez dokonywania selekcji) 8 nie potrafiło odpowiedzieć wogóle na pytanie, kto to był Jan Sobieski; 6 innych odpowiedziało, że był królem, ale nie wiedzieli jakiego narodu. Nr. 1., który początkowo odpowiedział, że nie wie, kto był Jan Sobieski, poprawił się następnie i powiedział, że Jan Sobieski był królem. Na pytanie jakim królem, odpowiedział — rzymskim. Nr. 6 i 4 wiedzieli, że Sobieski był królem polskim, ale nie wiedzieli nic o bitwie pod Wiedniem. Pozostałych o Sobieskiego nie pytałem; czyli z zapytanych o Sobieskiego, żaden nie dał mi odpowiedzi poprawnej.

Na pytanie kto był Władysław Jagiełło 10 nie umiało odpowiedzieć. Pozatem jeden odpowiedział, że to był żołnierz Polski, a drugi, że to był król polski, który rządził około 1874. Pozostałych o Jagiełłę nie pytałem.

Młodzież z którą rozmawiałem, nie przedstawia bynajmniej specjalnie upośledzonego zespołu. Jest to raczej zespół naogół dość reprezentacyjny, pochodzący z jednej parafji. Oto kilka indywidualnych przykładów.

Nr. 15, lat 19, ukończył szkołę parafjalną, jest na 4 roku „high school“. Ojciec robotnik, właściciel pięknej willi murowanej, jednopiętrowej o dwóch mieszkaniach 4—5 pokojowych. Mają pianino. Jest już w Ameryce 27 lat, a matka 22 lata.

Wiedział:

że Mieczysław I, był pierwszym królem polskim. (Na pytanie, co o nim jeszcze wie, odpowiedział: nie wiem nic);

że Polska ma 30 milionów mieszkańców, a Stany Zjednoczone 125;

że Sienkiewicz to był „poet“ co „takie stories“ pisał, ale nie znał ani jednego tytułu; nie wiedział, że dostał nagrodę Nobla, jak również nie wiedział, kto z Polaków tę nagrodę dostał;

że Mickiewicz to „też poet jak Sienkiewicz“, ale co M. napisał nie wiedział.

Nie wiedział:

kto był Jagiełło, Stefan Batory, Jan Sobieski;

do kogo Polska należała przed wojną (na pytanie odpowiedział: to była Rosja i Lituania (bąka coś). To pod Grunwaldem. Ojciec zaczyna mu pomagać i mówi, że Polska należała do Rosji, Niemiec, on kończy: Austryi-Hungary, „także Rumanja“).

Pytał o Polskę:

Czy w Polsce są takie movies (kina), jak w Ameryce?

Chciał wiedzieć coś o soli w Polsce?

Pytał czy w Polsce mają podręcznik nauki obywatelskiej tego samego autora, co oni używają (pokazał mi podręcznik Magruder'a)?

Nr. 16, lat 16, brat poprzedniego, kształcił się na księdza, ukończył szkołę parafjalną, jest w katolickiej „high school“ na drugim roku. Pokazał mi książkę K. Wojciechowskiego p. t. Wielcy pisarze polscy, którą używają na lekcjach polskiego (2 razy na tydzień po 40 minut). Gra na fortepianie i śpiewa piosenki „Góralu, czy ci nie żal“, „Chciało się Zosi jagódek“, „Nad modrym Dunajem“.

Wiedział:

Na żadne pytanie nie odpowiedział. Patrz obok.

Nie wiedział:

kto był Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz, Prus. (Pytałem o pisarzy, których widziałem w jego podręczniku; — na pytanie jak się uczą z tego podręcznika odpowiedział: Ksiądz nas pyta „parts of speech“ — części mowy);
Nie wiedział, kto był Mieczysław I, Władysław Jagiełło, Jan Sobieski.

Pytał o Polskę:

Jak w Polsce służą do Mszy?

Czy w Polsce są tramwaje?

Czy jest kolej górna (elevated)?

(Zdziwił się, że w Polsce są autobusy)

Czy w Polsce są góry?

Czy w Polsce są konne dorożki?

Nr. 6, lat 17, ukończył szkołę parafjalną przed rokiem, lubi sport; chciałby zostać księdzem. Dlaczego? „Bo ja to lubię“. W szkole był dobrym uczniem. Ojciec lat około 60, pobiera rentę ze stalowni, w której pracował około 40 lat. Mają własny domek o dwóch mieszkaniach. Zwracano mi uwagę na tę rodzinę jako na patryjotyczną polską. „Tata trzyma“ (prenumeruje) Dziennik Związkowy i Chicagoski.

Wiedział:

że Kościuszko i Pułaski przyjechali z Polski bić się o Amerykę;

Nie wiedział:

Na pytanie czy Polska jest republiką czy królestwem odpowiedział królestwem;

że Jan Sobieski był królem polskim, ale nie wiedział z kim wojował;

że ojciec pochodzi z Galicji, ale nie umiał wyjaśnić, co to jest Galicja;

że Polska należała przed wojną do Niemiec;

jacy są „wielkie balarze (piłkarze) Polaki“ w dzielnicy i że zarabiają „jakie jedenaście tysięcy dolarów“. „A Babe Ruth — pyta mnie — znacie? Tyn bierze 80 tys. dolarów za rok; nawet nie za rok, ale za season. Ładny pieniądz, nie?“

wiedział, że Washington i Jefferson byli prezydentami Ameryki, wiedział, że Washington walczył z „British“, ale nie wiedział dlaczego.

nie wiedział kto był Mieczysław I, Jagiełło, Paderewski;

na pytanie kto to jest Józef Piłsudski odpowiedział: „to pewnie też król polski“;

na pytanie ile milionów mieszkańców może mieć Polska, odpowiedział 2—3 miliony, a Ameryka „jakie 4 miliony“;

nie wiedział kto był Sienkiewicz i Konopnicka.

Nr. 18, lat 19, skończył szkołę parafjalną i chodził na kurs techniczny do „high school“. Mają domek jeszcze niewypłacony.

Wiedział:

że Paderewski „to jest pianista“ (nic więcej o nim nie wiedział);

że Piłsudski „to je żołnierz“;

że „Kościuszko to był żołnierz z Polski, on tu sie fajtował i ten drugi Pułaski, to pomagali Waszyngtonowi w czasie Rewoluszyn“. Na moje pytanie co to była rewoluszyn, odpowiedział:

„A to Ameryka się wtedy biła“. Z kim się biła? „Ja myślę, że z Indjanami, tak z Indjanami“;

na pytanie kto był Jefferson odpowiedział: „On razem z Waszyngtonem fajtowali się z tymi Indjanami i byli pierwsze co ten kraj tu zakładali“. A kto to byli ci Indjanie? „A to byli dzikie

Nie wiedział:

o Sobieskim, (o Jagielle wiedział, że to był żołnierz);

nie wiedział, ile milionów mieszkańców ma Polska, ani Ameryka (wiedział tylko, że Ameryka jest większa od Polski);

nie wiedział, jaki ustrój mamy w Polsce.

ludy co ten kraj zajmowali i jak przeszedł biały człowiek, to go zabijali, skóry z czaszki zdziralali i wiele wystrzylali“.

Pytania o Polsce:

Na moje pytanie, co pan chciałby wiedzieć o Polsce, niech mnie pan pyta, odpowiedział: „Ja nie wiem co. Jabym chciał zobaczyć mojego dziadka. bo on ma już wincy jak sto lat. I też ciotki też jeszcze gdzieś są, ale się już porozchodziły w różne strony. To jabym chciał wiedzieć.“

Nr. 10, 11, 12, 13, 14.

Pytania o Polskę (Rozmowa zbiorowa):

Jak jest po polsku sandwich? pineapple?

„Mnie mówili — zwraca się Nr. 14 — że w starym kraju, to jak ludzie śpią w tych barnach (stodołach) a są źle ochscone, to jest dużo takich, ja nie wiem jak to się nazywa, co przeminiają tych ludzi w inne stworzynie. Czy to je dużo takich w starym kraju?“

„Mnie tata mówił — mówi Nr. 10 — że w starym kraju to ludzie nie chorują na apendicitis. Dopiero tutaj jak przyjadą to chorują. Ze tam jak się brukwi najedzą, to nie chorują na to.“

„A czy to je prawda — pyta Nr. 13 — że w starym kraju to te rozpustne dziewczyny to zabirają djably?“

„A czy to je prawda — pyta Nr. 14 — że tam w starym kraju pochowali cysarza na koniu?“ — Jakiego cesarza, pytam? „Jo nie wiem, ale te ludzie ze starego kraju powiedzą że pochowali.“

„Czy Polska — pyta Nr. 10 — tera lepi się rządzi, jak za Ruska?“ — A jak ty myślisz? — pytam. „Ja nie wiem?“ A jak mówi twój ojciec? „Ojciec mówi, że za Ruska było lepi.“ „Ojciec to mi mówił — kontynuuje tenże — że tam w Polsce to nie dbali, jak kto se w fabryce nogę złamał, to lekarz nie przyszedł. A w szkole to bardzo surowo było i batem bili. I czy to prawda, że tam w szkole to jeno mają 3 książki? . . . i na grochu kłęcząc musieli?“

„Czy Paderewski będzie prezydentem Polski?“

„Gdzie są ludzie zdrowsi, czy tu czy w starym kraju?“

„Gdzie jest więcej rozpustnych ludzi?“

„A jaki kraj zrobił najwięcej inventions?“

„A czy to prawda, że te treny były pierw w starym kraju, jak tutaj?“

„A czy tam grają w baseball, basketball, valleyball?“

„A czy w starym kraju są skyscrapery?“

„A czy Hausner się tu urodził czy w Polsce?“

„A dlaczego Kowalczyk nie jechał do Ameryki?“

„Gdzie jest Koło (miejsowość)?“

Zilustrowany poziom historycznej wiedzy narodowej i zainteresowań o Polsce, jest nie tylko rezultatem faktu, że w szkole parafjalnej, do której uczęszczali, w ósmej klasie „mają tylko jedną polską książkę: historję biblijną, która służy im za czytanki polskie“, lecz także, w niemiejszym stopniu, wynikiem słabych tradycyjnaro-
dowych rodzin polskich emigrantów oraz całego środowiska społeczno-
kulturalnego polskich parafij. W zakresie tradycyjnaro-
dowych, szkoła ma znacznie mniej możliwości wychowawczych, niż rodzina. Ci wśród moich rozmówców, którzy wykazali większą orjentację hi-
storyczną polską, zawdzięczali ją rodzinie. Nr. 10 wiedział, że Sien-
kiewicz pisze książki, gdyż „tacie“ przynosił książki z czytelnicy. Nr. 4
jeden z tych, którzy wiedzieli, że Sobieski był królem polskim, nale-
żał wraz z ojcem do Tow. im. Króla Jana Sobieskiego. Od ojca
i z gazety polskiej wiedział również, kto jest Piłsudski, Paderewski
i jak wielka jest Polska. Ojciec Nr. 6, który również wiedział, że So-
bieski był królem polskim, prenumerował Dziennik Związkowy i Chi-
cagoski. (Coprawda dając 2—3 miliony mieszkańców Polsce, a 4 mi-
liony Ameryce, nie wykazał za wielkiej inteligencji, jak na miesza-
kańca 4 milionowego miasta Chicago). Nr. 7 wyróżniający się pod
względem informacji o Polsce zawdzięcza je również ojcu.

Rola ojca w przekazywaniu tradycyjnaro-
dowych jest znacznie większa, niż matki. Nie spotkałem się ani razu z opinją, ażeby matka
była źródłem jakiejś wiedzy historycznej. Odpowiedź jednego z chłop-
ców, że matka „to nam opowiada, jak to szli na pasterkę do kościoła;
albo na Wielkanoc, albo tyż jak w cały kompaniji szli“ wskazuje,
zdaje się, na główny kierunek wychowawczych funkcyj matki w pa-
rafjach. Matka nr. 15 i 16, osoba bardzo poprawnie mówiąca po pol-
sku, mówiła mi o swojej znajomej, że bardzo się jej na Wawelu po-
dobało „tam, gdzie te królowie mają swoje letnie mieszkania“.

Polska rodzina emigrancka nie posiada głębszych tradycyjnaro-
dowych; jej „starokrajskie“ tradycje, to tradycje wioski ciemnej, upo-
śledzonej społecznie i pełnej zabobonu. Pytałem Nr. 14, kto mu mó-
wił o tych czarownicach w Polsce. „Ojciec nam opowiadał — odpo-
wiedział — a i brat, co trzy lata temu przyjechał, to też mówił, że
tam są takie co przeminiają“. A pan wierzył w to? „Ja tego nie wi-
dział, to nie mógł powiedzieć, czy to je prawda czy nie i dlatego pana
się o to zapytał. — Moja siostra co już ma bez dwadzieścia lat obu-
dziła się raz w nocy i mówi, że białe widziała. To ojciec i się pytał,

czy to jej się śniło czy też naprawdę białe widziała. Nie, una mówiła, że naprawdę białe widziała. To matka wziena święcony wody i pokropiła“. Wiedza o Polsce młodzieży polsko-amerykańskiej, urodzonej już w Ameryce, nie sięga wiele poza to, co z wioski rodzinnej przynieśli rodzice. Dziewczynki ze szkoły parafjalnej w Buffalo nie chciały uwierzyć, że przyjechaliśmy z Polski. „Nieprawda, bo pani jest po angielsku ubrana, w starym kraju takich nie noszą, mówiły (pokazując na krótką suknię żony), tylko do samej ziemi i szerokie“.

„Starokrajskie“ tradycje społeczne, obyczajowe i kulturalne posiadają w oczach młodzieży cechy niższości. Chciałby pan do Polski pojechać i tam zamieszkać, pytam jednego z moich rozmówców. „Nie — odpowiada bez namysłu — ja świniów i bydła paść nie chcę.“ „Tam są funny (śmieszni) ludzie — mówi Nr. 3.⁵³ — Porządku nimo żadnego, brudno, jedzą bardzo marnie, a w mliku — mówi — to tyle muchów było, że un aż nie mógł tego jeść. To mu się to bardzo nie podobało.“ „I like this country — kontynuował — old country people are very funny. My brother told me that going to the church they take their shoes off and put them on just before entering the church, isnt it funny.“⁵⁴

Patrząc na Polskę przez pryzmat tradycyj ustnych rodziny, młodzież polsko-amerykańska odsuwa się uczuciowo od Polski, gdyż rodzina „starokrajska“ reprezentuje ten świat społeczno-kulturalny, dla którego przeciętna Ameryka żywi jaknajwięcej pogardy. W czasie jednej z pierwszych moich wizyt u jednego z zamożniejszych mieszkańców dzielnicy, ojciec prosił mnie, abym pozwolił pokazać się córce (która wówczas kończyła high school), ażeby się przekonała, że Polak jest podobny do Amerykanina; ażeby nie myślała, że Polacy to sama taka dzicz, jak w Bushu (parafji św. Michała). Kiedy zaś pierwszy raz rozmawiałem ze stryjem Nr. 15, który mieszka w Ameryce od 30 lat, i ten dowiedział się, że nie mam rodziny w Ameryce i że przyjechałem dla studjów, to powiedział: „Sam przyjechał, nie bał się. To w ty Polsce nie sami głupi mieszkają.“

Przeszłość społeczno-polityczna Polski z okresu zaborów jest zupełnie obca duchem młodzieży polskiej, zrodzonej już w Ameryce.

⁵³ Na podstawie opowiadania brata, który zwiedzał Polskę.

⁵⁴ „Lubię Amerykę, ludzie ze starego kraju są bardzo śmieszni. Brat mówi mi, że idąc do kościoła zdejmują buty, i nakładają je dopiero przed samym kościołem; czy nie jest to śmieszne.“

Polsko-amerykańska młodzież czuje się upośledzona w Ameryce i szuka instynktowo dróg wyjścia z tego upośledzenia. Tymczasem dzieje narodu ciemniejszego nie dodają otuchy i nie sprzyjają powstaniu dumy narodowej, przynajmniej na tym poziomie niedojrzałości historyczno-kulturalnej, z jakim młodzież opuszcza szkołę parafjalną.

Nic też dziwnego, że w tradycjach starokrajskich młodzież nie znajduje nic pociągającego. „Nas to tam nie obchodzi, jak w starym kraju było“ — mówi Nr. 7. „This stuff is for nothing in this country; you do not need it — mówi Nr. 3, 19-letni rezolutny chłopiec, dwa lata po ukończeniu szkoły parafjalnej. Why must one learn the history, even the United States history, not only Polish history. We do not need this stuff. The same geography. Grammar, writing reading, arithmetic that's what we need.“⁵⁵

„Why must one learn the history“? Dlaczego ma się ktoś uczyć historii? Pytanie to najdosadniej oddaje tragedję młodego polsko-amerykańskiego pokolenia. To są ludzie bez historii. Wszystko czegoby się nie uczyli w historii polskiej, to nie byłaby ich historia. Mieczysław I, Jagiełło, Sobieski, bitwa pod Wiedniem, to nie są dla nich symbole społeczne, jak zresztą nigdy tem nie były dla polskiego ludu. Historia polska, to jest dla nich historia kraju, który nietylko ich rodziców nie był w stanie wyżywić, ale w którym, jak się jeden wyraził „ludzie żyją jak bydło“.

Dla tego pokolenia nietylko historia Polski nie ma sensu, ale i historia Stanów Zjednoczonych. „Even the United States history, not only Polish history“ — powiada wymownie Nr. 3. „We do not need this stuff.“ Oni się nigdy nie liczyli w Polsce; a jeszcze nie liczą się w Ameryce. Tam i tu nie mieli jeszcze swojej historii: dzieci „białych murzynów“, jak się zwykło Polaków nazywać w Ameryce do Wojny.

Z tą bezhistorycznością emigracji polskiej, a zwłaszcza jej młodego pokolenia, wiąże się ściśle brak zainteresowania dla nauki języka polskiego na wyższym poziomie. Język polski jest dla młodego pokolenia językiem familijnym. Niezbędny jest do porozumienia się

⁵⁵ „To wszystko jest do niczego w Ameryce; nikt tego nie potrzebuje. Dlaczego uczyć się historii, nawet historii Stanów Zjednoczonych, a nietylko historii polskiej. Nie potrzebujemy tego. Tak samo geografji. Gramatyka, pisanie, czytanie, arytmetyka — oto czego nam trzeba.“

z rodzicami i krewnymi i do korespondencji z rodziną w starym kraju. Czy uważa się Pan za Amerykanina czy za Polaka — zapytałem Nr. 7. „Sure, American“ („oczywiście za Amerykanina“) odpowiedział. Jeżeli tak, to czy nie lepiej wysyłać dzieci do angielskiej szkoły? „Better to parochial“ („lepiej do parafjalnej“) odpowiada. A gdzie pan pośle swoje dzieci? „Sure to parochial school“ („oczywiście do parafjalnej szkoły“). Dlaczego? „Because they teach English and Polish“ (ponieważ oni uczą się tam angielskiego i polskiego“). Po co uczyć się polskiego, jeśli jest pan Amerykaninem i mieszka w Ameryce? „If they know only English — odpowiada — they can not talk to Polish cousins and relatives who visit them.“ (jeżeli one (dzieci) znają tylko angielski, to nie mogą rozmawiać z polskimi krewnymi i kuzynami, którzy odwiedzają je“).

Z licznych skarg rodziców, jakie słyszałem, na nieumiejętność napisania listu polskiego do rodziny, wynikałoby, że tej umiejętności rodzice przedewszystkiem oczekują od dzieci swoich ze szkoły parafjalnej.

Rzecz to łatwo zrozumiała: społeczne funkcje języka zależą od charakteru grupy społecznej. W kolonjach polskich, które są społecznościami typu rodzinno-sąsiedzko-parafjalnego, funkcje języka są rodzinno-sąsiedzko-parafjalne. Język nie jest dla nich kluczem do historii narodu ani do jego piśmiennictwa; a cała niemal historia tych kolonij polskich wyczerpuje się w tradycji ustnej i piśmiennictwa nie posiadają. Do narodu polskiego duchowo nigdy jeszcze w większości nie należeli, i w jego historii nie liczyli się.

W środowisku zaś polsko-amerykańskim elementarna znajomość języka polskiego wystarcza; a do wybicia się wśród Amerykanów jest zgoła niepotrzebna. Jakie racje uczenia się po polsku może dać ojciec synowi (poza wymienionemi już racjami rodzinnemi), które mogłyby syna przekonać o sensowności uczenia się po polsku. Jeden taki wymowny argument powtarzany synowi słyszałem. „Ucz się po polsku — mówił ojciec do syna — to zostaniesz tłumaczem u Śmietanki“.⁵⁶

Od kilku lat Polacy w Poł. Chicago starają się o kurs języka polskiego w miejscowej szkole średniej publicznej. Według przepisów stanowych, 30 kandydatów wystarczy, ażeby szkoła publiczna zaprowadziła taki kurs na własny koszt. Miejscowy komitet rozpoczął ak-

⁵⁶ Zamożny adwokat polski i działacz narodowy.

cję propagandową w tym kierunku wśród rodziców i młodzieży i zebrał nazwiska przeszło 200 uczniów i uczennic, którzy wyrazili chęć pobierania wykładów języka polskiego. Ostatecznie jednak na język polski zapisało się tylko 17 uczniów, w tem jeden krewniak (a może więcej) kandydata na nauczyciela tego języka, a reszta zapewne do brzy jego znajomi. Wobec tego kurs nie doszedł do skutku.⁵⁷

18. *Dalsze tendencje rozwojowe.*

Taka jest parafja i jej szkoła wśród emigracji polskiej w Ameryce. Nie wszystkie parafje są jednakowe i potrzeba więcej studjów o różnych parafjach, ażeby obraz można było uogólnić. Problem jest jednak tak interesujący teoretycznie, i nie bez znaczenia praktycznego, że zasługuje na badanie. Mamy tu do czynienia z przeniesieniem do obcego środowiska pewnej tradycyjnej formy społecznej, jaką jest parafja, i z przeobrażeniami tej formy w nowych warunkach. Widzieliśmy jak forma ta wśród emigracji rozwinęła cały szereg funkcj w zakresie różnych sfer życia (towarzyskiego, ekonomicznego, politycznego, wychowania młodzieży), których w kraju macierzystym albo wogóle nie posiadała, albo posiadała je w znacznie ciaśniejszym zakresie. W pomyślnych dla parafji warunkach, bez dostatecznie silnej rywalizacji ze strony innych grup społecznych, funkcje społeczne parafji rozrosły się do rozmiarów, nieznanych w Polsce w czasach obecnych. Jako zjawisko socjologiczne, czyli jako typ skupienia społecznego, polskie dzielnice skupiające się przy parafjach są najbliższymi spokrewnione z żydowskimi ghe ttami. Podobne ghetta wytworzyły także inne narodowości zwłaszcza Chińczycy (Chinatown) i Włosi („Little Sicily“, „Mała Sycylja“ i inne) w Chicago i innych miastach amerykańskich.

W obecnej swojej postaci parafje polsko-amerykańskie są zjawiskiem przejściowym. Ich społeczno-kulturalna izolacja z wolna ustępuje, a łącznie z tym procesem dokonywa się stopniowo redukcja pierwotnych społecznych funkcj parafji. Jedną z dominujących obecnie tendencyj w tym zakresie jest odnarodowianie się parafij polskich, czyli ich językowe amerykanizowanie się. Wprowadzenie nauki katechizmu po angielsku w r. 1932 do parafji Św. Michała jest przy-

⁵⁷ Patrz *Dziennik Zjednoczenia*, 23. IX. 1932. Wiadomości z SoChicago p. t.: *Starania o język polski poszły znów na marne.*

kładem ogólnego kierunku w jakim postępuje ewolucja polskich parafij. To co tradycyjnie w parafjach tych było związane: poczucia narodowe polskie i religja katolicka obecnie rozdziela się coraz wyraźniej. Obrona i rozwój świadomości narodowej odpada z funkcji społecznych parafij i szkół parafjalnych, a pozostaje tylko utrzymanie emigracji polskiej przy kościele Rzymsko-katolickim.

Konflikt pomiędzy dążeniami narodowymi polskimi, a rzymsko-katolickimi, który występował wyraźnie zarówno od początków istnienia parafji w Poł. Chicago, jak i w życiu zbiorowem Polonji amerykańskiej wogóle, obecnie występuje w niemniej wyraźnej postaci. Dał temu wyraz S. O s a d a jeden z wybitnych działaczy narodowo-demokratycznych w ostatniej swojej publikacji p. t. *Jak się kształtowała polska dusza wychodźstwa w Ameryce* (1930).

„Z wszystkich pomysłów — pisze — jak ratować zagrożoną polskość Wychodźstwa najgłębiej może sięgały pozornie najprostsze plany ks. Wacława Kruszki. Opierając się na twierdzeniu, że najpotężniejszymi twierdzami polskości w Stanach Zjednoczonych, są w założeniu swem polskie parafje, domagał się on połączenia ich w polskie diecezje pod rozkazami polskich biskupów.

W takim wypadku także majątki parafji polskich stanowiące obecnie wspólną własność Kościoła Katolickiego w Ameryce i zapisywane na poszczególnych biskupów niepolaków, przeszłyby pod administrację polską.

W takim wypadku i seminarja duchowne, w których się wychowuje w duchu amerykanizatorskim młodzież polska, sposobiąca się do stanu kapłańskiego, byłyby w duchu polskie.

W takim wypadku szkoły parafjalne polskie przyspasabiające naszą dziatwę podobnie jak dziś do życia w Ameryce, pracowałyby z całych sił nad wszczępieniem w nią równocześnie jak najgruntowniejszej znajomości języka polskiego, a klasztory kształcające siostry nauczycielki w tym kierunku, aby je do takiej pracy przygotować.

Ks. Wacław Kruszka, uzasadnienie do takiego stawiania tej kwestji niewątpliwie bardzo zasadniczej, znajdował zarówno w Piśmie św., jak w uchwałach synodów i całej tradycji Kościoła Katolickiego. Odwoływał się nawet na uzyskaną przed dwudziestu kilku laty osobiście obietnicę Ojca św. w Rzymie, że prośby Wychodźstwa będą wysłuchane w myśl naszych życzeń.

Ostatnio jeździł także i gorąco zabiegał o to, by dla tego planu pozyskać hierarchję Kościoła Katolickiego w Polsce.

I plany te dałyby się może przeprowadzić w rzeczywistości, gdyby temu gorącemu obrońcy polskości Wychodźstwa udało się było dla

nich pozyskać jednogłośnie zgodę i poparcie całego duchowieństwa polskiego w Ameryce.

Niestety o ile wiem, nie miał takiej odwagi poza ks. Wacławem Kruszką ani jeden ksiądz polski.

Obecnie po fackie zorganizowania się Centrali naszych podstawowo katolickich organizacji i poddaniu jej całkowitem z pełną uległością pod taką samą jurysdykcję hierarchji Kościoła Katolickiego w Ameryce, pod jaką już od dawna zasadniczo znajdują się wszystkie nasze parafje, znika ostatni grunt na którym można jeszcze było marzyć, że przy przychylnym zbiegu okoliczności, te zbawienne dla polskości plany ks. Kruszki mogłyby znaleźć pewne oparcie.

Ale tu jeszcze nie koniec konsekwencjom z faktu zorganizowania tej Centrali „podstawowo katolickiej“ wypływającym.

Traci grunt pod nogami nietylko ks. Wacław Kruszka. Traci go do pewnego stopnia nawet Zjedn. Kapłanów Polskich, oraz najpotężniejsza nasza podstawowo-katolicka organizacja — Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, które z chwilą powstania tej Centrali musiało wymazać ze swojego programu, zabiegi o równouprawnienie kleru, czyli o polskich biskupów, tracimy my wszyscy, bo nigdzie już niema podstawy do obrony, ujednostajnienia i regulowania choćby tylko wykładów religji w języku polskim, podług jednego planu we wszystkich dycecezjach.

Jesteśmy pod tym względem w zupełności zdani na łaskę i dobrą wolę biskupów amerykańskich.

Nowa Centrala podstawowo-katolickich organizacji, może urządzać pielgrzymki do Rzymu, może pomagać w organizowaniu nowych parafji (które obecnie już prawie wszędzie muszą być terytorjalne — jak Teklowo w Chicago), nawet w budowie nowych szkół parafjalnych, nawet starać się o podtrzymanie polskości tak szkół jak i samych parafji, ale tylko w takim zakresie, na jaki łaska i dobra wola danego biskupa pozwoli.

W tych warunkach o organizowaniu *walki* o polskość Wychodźstwa na terenie katolickim nie może być mowy. Że zaś bez walki i to zacieklej w jej obronie nie może być mowy o zwycięstwie, przeto trzeba ją przenieść wszędzie tam, gdzie ją toczyć można i stawiać wały ochronne tam, gdzie je stawiać będziemy mogli według naszych własnych planów i potrzeb.⁵⁸

⁵⁸ Stanisław Osada: *Jak się kształtowała polska dusza Wychodźstwa w Ameryce*. Nakł. „Sokoła polskiego“ Pittsburgh 1930, s. 229—231. Do dziejów konfliktu dążeń narodowych polskich z rzymsko-katolickimi patrz tegoż autora *Historja Z. N. P.*, oraz Karol Wachtel: *Z. P. R. K. Dzieje Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce*. Druk L. J. Wienieckiego, Chicago 1913.

Wyższa hierarchja kościelna amerykańska, składająca się z katolików Niemców i Irlandczyków sprzeciwia się utrzymywaniu polskiego charakteru parafij; ona też nadaje kierunek wychowaniu proboszczów dla parafij polskich. „Twierdzenie moje — pisał ks. Kruszcza, jeden z najwybitniejszych działaczy polskich wśród emigracji i historyk emigracji — że nie sami rodzice lecz przede wszystkim biskupi i proboszczowie są winni temu, iż niema w Ameryce dosyć polskich szkół parafjalnych, opiera się na niezbitych faktach.”⁵⁹

Wszelkie wątpliwości co do tego rozprasza oświadczenie naczelnego inspektora (superintendenty) szkół katolickich w Chicago Ks. D. F. Cunninghama, że „utrzymywanie granic narodowych jako trwałych instytucyj nie leży po linii polityki administracji szkolnej... Katolickie władze szkolne patrzą przychylnie na eliminowanie granic narodowych”⁶⁰. Zgodnie też z tym kierunkiem nowe parafje zakłada się już na zasadach terytorjalnych a nie narodowych. Z 26 parafij katolickich założonych w Chicago od 1920 r., jedna była francuska i angielska, dwie słowackie, dwie polskie, a reszta „kosmopolityczne”, lub amerykańskie.⁶¹

Tendencje do językowego zamerykanizowania parafij i szkół parafjalnych polskich wychodzą równocześnie od góry: od kierownictwa Kościoła Katolickiego w Ameryce i od dołu: od samych parafjan. Amerykanizujące się młodsze pokolenie domaga się kazań i szkół parafjalnych w języku angielskim. Na żądanie parafjan język polski usunięty został z polskiej parafji i szkoły parafjalnej św. Tekli,⁶² tak samo jak usunięty został z najstarszych w Chicago kościołów katolickich niemieckich St. Peters's i St. Patrick's. Amerykanizowanie się parafij nie jest zjawiskiem odosobnionem; występuje we wszystkich grupach językowych.

Odosobnione wysiłki księży parafiotów jak np. w parafji N. P. N. M. P., gdzie wobec proboszcza nie wolno wikarjuszom rozmawiać po angielsku nie potrafi powstrzymać prądu językowego amerykanizowania się.

⁵⁹ Cyt. za *Polonją* 13. XI. 1929.

⁶⁰ Z wywiadu udzielonego M. R. Schafelowi autorowi pracy *The Catholic Church in Chicago*. Teza doktorska, 1929. Maszynopis w Bibliotece University of Chicago, s. 61.

⁶¹ M. R. Schafel: Op. cit. s. 61.

⁶² *Polonja*, 6. VI. 1929, także 13. VI. 1929.

Trzeba jednak dodać, że szkoła katolicka nawet w języku angielskim wstrzymuje proces asymilowania się Polaków, nie tylko dlatego, że izoluje ich od szkół publicznych, lecz przede wszystkim dlatego, że jest katolicka. Katolicyzm jest najważniejszą przegrodą, dzielącą emigrację polską od Ameryki.* Społeczeństwo amerykańskie widzi zasadniczą przeczość pomiędzy tradycjami społecznymi Kościoła Katolickiego, a tradycjami Ameryki; pomiędzy podstawowymi założeniami demokracji amerykańskiej, do których należy rozdział kościoła od państwa, a społeczno-politycznymi zasadami Kościoła. Kościół Katolicki potępia zasady ustrojowe Stanów Zjednoczonych i w tym duchu wychowuje w swoich szkołach.

„Czy państwo może oddzielić się od (Rzymskiego) Kościoła?” — czytamy w oficjalnym podręczniku dla szkół katolickich. „Nie — brzmi odpowiedź — ponieważ nie może się wyłamać z pod najwyższej władzy Chrystusa.“ „Jaka jest nazwa doktryny, która głosi, że państwo nie ma prawa ani obowiązku wiązać się z kościołem dla opieki nad nim?” „Doktryna ta nazywa się liberalizm. Opiera się ona głównie na fakcie, że nowoczesne społeczeństwo opiera się na wolności sumienia i kultu, na wolności słowa i prasy.“ „Dlaczego liberalizm należy potępić?” „Ponieważ zaprzecza wszelkiemu podporządkowaniu się państwa Kościołowi; ponieważ miesza wolność z prawem; ponieważ gardzi społecznym panowaniem Chrystusa i odrzuca korzyści z niego płynące.“⁶³

* Znaczenie różnicy religijnej, jako czynnika przeszkadzającego zbliżeniu się polskiej emigracji i Amerykanów podkreśla także T. Abel w studjum polskiej społeczności farmerskiej w Sunderland, Massachusetts, p. t. *Sunderland. A study of Changes in the Group life of Poles in a New England Farming Community*, s. 234, (w zbiorze: *Immigrant Farmers and Their Children* by E. de S. Brunner, New York 1929).

⁶³ *Manual of Christian Doctrine*, J. J. McVey, Philadelphia 1926. Imprimatur of D. J. Dougherty, Archbishop of Philadelphia, 1918. Cyt za C. C. Marshall: *The Roman Catholic Church in the Modern State*, 1928, s. 272.

W dyskusjach nad stosunkiem katolicyzmu do amerykańizmu, które odnawiają się przy każdej sposobności, interesująca jest próba wykazania, że źródłem dla Virginia Bill of Rights Jeffersona i Declaration of Independence (Deklaracja Niepodległości) były poglądy teologa jezuickiego kardynała Bellarmine, który umarł w 1621 r. Patrz w tej sprawie G. Hunt: *Cardinal Bellarmine and the Virginia Bill of Rights* (Catholic Historical Review, October, 1917); Dr. J. C. Rager (Catholic Historical Review, January, 1925); Ryan and Millar: *The Church and the state*, 1922. Pogląd ten krytykuje Prof. D. S. Schaff: *The Bellarmine-Jefferson Legend* (Papers of the American Society of Church History, second Series, Vol. VIII, 1928). Patrz: W. E. Garrison: *Catholicism and the American Mind*. 1928. s. 167.

Przegraną A. Smitha, jednego z najwybitniejszych polityków amerykańskich, w wyborach prezydenckich w 1928 r. przypisuje się powszechnie jego przynależności do Kościoła Rzymsko-katolickiego. Popularny argument propagandowy przeciwko Smithowi głosił, że na stanowisku prezydenta Stanów będzie on wykonywał polecenia Papieża.

Ani jeden prezydent Stanów Zjednoczonych nie był katolikiem. Ośmiu, wraz z Waszyngtonem, należało do Kościoła Episkopalnego; sześciu wraz z Wilsonem, było członkami Kościoła Prezbiterjalnego; pięciu było metodystami; czterech — unitarjanami; trzech z dwoma Rooseveltami — należało do holenderskiego reformowanego Kościoła; jeden był „uczniem Chrystusa“; Coolidge — kongregacjonalistą; Harding — baptystą; Hoover — kwakerem; a dwóch z najznakomitszych prezydentów demokracji amerykańskiej Jefferson i Lincoln nie należeli do żadnego Kościoła.

Dwie też naczelné tendencje składają się na zasadniczy kierunek dalszego rozwoju polskich parafij i szkół parafjalnych w Ameryce: (1) pozabawienie szkół parafjalnych charakteru narodowego polskiego i (2) zapobiegnięcie rozpuczeniu się polskiej emigracji w protestanckiej lub świeckiej Ameryce, a utrzymanie jej przy Kościele Rzymsko-katolickim.

ARCHIE BROMSEN — NEW YORK.

WPŁYW AMERYKAŃSKIEJ SZKOŁY PUBLICZNEJ NA NIEPRZYSTOSOWANIE CHŁOPCA WŁOSKIEGO DO ŻYCIA

Obserwator zewnętrzny zbyt łatwo pomija zasadniczy fakt, że chłopiec z włoskiej dzielnicy jest po prostu „chłopcem“. We wczesnych latach życia nie odczuwa on problemu obcości swojego pochodzenia; nie cierpi powodu ubóstwa; nie zdaje sobie sprawy z konfliktu etnicznego. Odrębność jego środowiska, która od razu uderza zewnętrznego obserwatora, jest dla samego chłopca po prostu „dana“, nie zauważa jej początkowo; rozumie się ona sama przez się.

Zewnętrzne oznaki ubóstwa nie narzucają mu się jako *takie*, gdyż noszą je wszyscy z bezpośrednio otaczającej go grupy. Dziecko jest ubogo ubrane; jest brudne, gdyż brak w jego mieszkaniu łazienki; nie ma zupełnie zabawek. Wszystko to prawda. Lecz któż z jego sąsiadów-rówieśników jest w lepszej sytuacji? Wie ono, że są inne narodowości, ale niewiele je to obchodzi. Jego własna grupa zabawowa składa się wszak prawie wyłącznie z członków o tem samym pochodzeniu, co ono. I potrafi ono na tyle ocenić zręczność w sportach, że dopuszcza do zabawy nawet Żydów, a niekiedy pozwala im przejmować przodownictwo w grupie.

Chłopiec z zaułka, podobnie jak bardziej szczęśliwy chłopiec z lepszej dzielnicy, bierze z równą prostotą za „dany“ ekonomiczny i społeczny świat, w którym się urodził, i podobnie jak tamten jest pochłonięty normalną czynnością dziecięctwa — zabawą. Tutaj, tak samo jak gdzieindziej, atrakcyjność, jaką posiada dla chłopców gra oparta na elemencie szczęśliwego trafu, jest ogromna, lecz lokalne warunki wymagają bardzo niewielkich lub żadnych wysiłków ukrywania się z tem. W hazardowej grze w karty, jak i we wszystkim innym, chłopiec idzie za tradycjami swojej dzielnicy, od których na-

wet w szczegółach nie odbiega. Nawet przekleństwa tak charakterystyczne dla lokalnego języka są całkowicie zestandaryzowane pod względem słownika i odpowiedniego użytku.

W badaniach nad chłopcem z włoskiej dzielnicy nie należy też nigdy tracić z oczu jego przywiązania do lokalnej tradycji. Kluczem do poznania zachowania się chłopca, należącego do takiej społeczności, jest bynajmniej nie to, że nie stosuje się on do reguł ustanowionych dla niego, lecz raczej fakt, że reguły postępowania, które on przyjmuje jako wzór, to nie są tradycyjne reguły amerykańskie, tylko reguły jego rodziców i towarzyszków.

W okresie wczesnego dzieciństwa, kiedy to czynności nie wykraczają poza ramy własnej grupy, chłopiec nie doznaje żadnych bezpośrednich przykrości, jakieby mogły wyniknąć z różnic, zachodzących między jego wzorem kulturalnym a wzorem, obowiązującym w grupie zewnętrznej. Lecz ten okres więcej czy mniej zadowalającego przystosowania kończy się gwałtownie ze wstąpieniem dziecka do szkoły. Tam bowiem, ku jego zdziwieniu, jego dom i ogół zwyczajów, które składają się na sposób jego życia, znajdują się nagle w ogniu krytyki nauczycieli, a nawet, po godzinach szkolnych, w ogniu krytyki wszystkich innych instytucyj, do styczności z którymi zmusza go państwo i warunki życia. Przedtem dziecko było wprowadzie nieraz uwikłane w mniejsze czy większe nieporozumienia w sprawach postępowania z członkami własnej rodziny; zdaje ono sobie jednak sprawę z różnicy między rodzajem krytyki, jaka je spotyka w domu, a tą krytyką, jaką stosują wobec niego w szkole.

W domu krytyka, która spotyka chłopca, odnosi się do jego własnej osoby. Rodzice krytykują go za przekraczanie tych reguł postępowania, które oni ustanowili dla niego. Otrzymuje więc karę za brak posłuszeństwa wobec określonych rozkazów i za niedokładne przestrzeganie wspólnie uznawanych zwyczajów. Jego przewinienie leży w jego własnym postępowaniu i w niedostosowaniu się do wzorów, które mu się wyjaśnia, i które on rozumie. Nagana, której mu się udziela w domu, nie jest bynajmniej surowsza od nagany, jaką otrzymuje każdy inny chłopiec w każdej innej warstwie społecznej. Przysięga mu się udziela za zupełnie te same przewinienia. Łaje go się, gdy wzbrania się jeść potrawy, które mu nie smakują; nie dlatego jednak, że protestuje przeciw obcości pokarmu. Łaje go

się za to, że nie idzie w porę spać, lecz nie dlatego, że idzie spać później, niż dzieci z jakiegoś innego środowiska.

W szkole natomiast chłopiec zostaje poddany krytyce nie za swe wykroczenia, lecz dlatego, że postępuje tak, jak go w domu nauczone postępować. Istotne jest nie to, że jest on nieposłuszny, lecz to, że gani się sam sposób postępowania, który on uważa za naturalny. Świat, w którym był dotąd wychowywany, zostaje potępiony przez nowy świat, do którego się teraz przeniósł.

W szkole chłopiec dowiadyuje się, praktycznie biorąc bez żadnego ostrzeżenia czy przygotowania, że to, co w jego domu i bezpośrednio otoczeniu bierze się za naturalne, właściwe postępowanie, jest nie tylko niepożądane, lecz także surowo zakazane. Wpaja się w niego nowe pojęcia i zasady, których on jasno nie rozumie. Jediną grupę, której winien i której rzeczywiście jest szczerzy oddany, t. j. jego rodzinę — przedstawiają mu jako źródło ordynarnego, niewłaściwego postępowania. Ojciec, którego dotąd uważał za wszechpotężnego i polegającego wyłącznie na sobie, zaczyna zwracać na siebie nieprzychylną uwagę spowodu swej brzydkiej mowy i odzieży, picia wina i, być może, wyrabiania wina. Matka — za swe metody gospodarowania w domu, za sposób, w jaki karmi i odziewa dzieci. Zaczyna rozumieć, że on sam jest brudny i nieprzyjemny dla otoczenia — że nie jest zwykłym dzieckiem, lecz o b c e m. Dopiero tutaj, w szkole, uświadamia sobie dostatecznie jasno, że nie jest Amerykaninem, lecz dzieckiem włoskiego zaułka; w szkole jedyna instytucja, która jest integralną częścią jego natury i wzbudza w nim uczucia oddania — jego dom rodzinny — poddawany jest stale zarzutom, które stają się wyrazem rzeczywistej niechęci.

Naturalna reakcja dziecka na takie traktowanie, która wyraża się często w ogólnem niezadowoleniu i buncie, jest, oczywiście, nieprzychylna dla autorytetów szkolnych. Chłopiec, w proteście swoim przeciwstawia się sposobom postępowania zwierzchników, a czyniąc tak, przestaje rozróżniać między nauczycielką a tem, czego ona próbuje nauczyć.

Jego nauczycielki odplacają pięknem za nadobne. One znów nie rozróżniają między chłopcem a jego zachowaniem się i żadna ze stron nie chce robić ustępstw na rzecz punktu widzenia drugiej. W konsekwencji całe życie szkolne chłopca staje się okresem wymuszonej uległości i zuchwalstwa — od czasu, gdy jako dziecko bazgrze na

ścianach wyrazy na długo przedtem, nim zacznie rozumieć ich znaczenie, do chwili, gdy jako chłopiec kończący już szkołę, dopuszcza się masturbacji w klasie podczas wykładu higieny. Nauczycielki jednak, po największej części, nie zdają sobie sprawy z korelacji, jaka zachodzi między domowym otoczeniem chłopca, a jego nagannem postępowaniem w szkole.

Podstawowym czynnikiem konfliktu, który szkole stanowi sprężynę przeważnej części innych nagannych cech postępowania chłopca, jest to, że dom jego rodziców, przynajmniej we wczesnych latach jego życia reprezentuje prawie wyłącznie obcą kulturę.

Poważne znaczenie dla zasymilowania się z pewną grupą ma fakt, że się mówi jej językiem. Tymczasem, jeśli chodzi o dziecko włoskie z zaułka, to językiem, jakim się ono posługuje w domu, jest od najmłodszych lat żargon włoski. Dalej, rodzina imigranta włoskiego, która po największej części pochodzi z włoskiej klasy chłopskiej składa się w bardzo znacznym stopniu z analfabetów. To zaś szkoła uważa za synonim ciemnoty i braku inteligencji. Na domiar naturalnej pogardy, jaką cywilizacja amerykańska żywi dla wiedzy innej niż książkowa, patrzy ona z ukosa na talent rąk, czy wyróżnianie się w dziedzinach innych niż intelektualna. Dlatego też szkoła gani praktykowany przez wiele domów zwyczaj zabierania dzieci ze szkoły tak wcześnie, jak tylko prawo na to pozwala. Wynika on bowiem nie tylko z konieczności powiększenia dochodu rodziny, lecz także z nieukrywanego lekceważenia dla wiedzy książkowej.

Inną cechą domu, która sprawia kłopot szkole, jest różnica, zachodząca w obrębie samej rodziny — nie tylko w zewnętrznej strukturze grupy — lecz także we względnym znaczeniu i stanowisku poszczególnych jej członków. Czynnikiem ten jest zasadniczym wyznacznikiem antagonizmu między dwoma etnicznymi wzorami kulturalnymi. Jest on zarazem jednym z tych czynników, z którego powstaje, przeważnie, największa część pomniejszych trudności i w którym tkwi źródło przykrego wzajemnego zadrażnienia. Zasadniczą trudnością w stosunkach szkoły z rodziną włoską jest to, że stanowisko ojca uważa się za zbyt despotyczne — że jego władza, wypływająca ze stanowiska, i moc rozkazywania są niewspółmiernie wielkie w porównaniu z jego wiedzą i rozumieniem warunków otaczających, które wyznaczają w dużym stopniu los jego rodziny. Trudność ta uwydatnia się, gdy tylko ojciec nie udziela poparcia jakiejś części z programu

szkolnego; zwłaszcza zaś w tym wypadku, gdy stara się on podtrzymać swój własny sąd przeciw decyzjom szkoły względem jakiegoś specyficznego problemu, dotyczącego dziecka.

Inny problem, który nastęrcza rodzina włoska, jest wielka solidarność, jaka łączy i zespala tę grupę; wyróżnia się ona zwartością. Jej wewnętrzna lojalność jest przyczyną ostrej walki z pracownikami instytucyj społecznych i społecznością jako całością. Członkowie rodziny ignorują bez większych wahań wszelkie, nawet najbardziej doniosłe interesy i dążenia społeczności na korzyść całej swej rodziny, czy też jakiegoś poszczególnego jej członka. To przejęcie się „ciaśniejszą lojalnością“ (jak to się zwykle nazywać), podcina jakby z ukrycia najintensywniejsze nawet wysiłki instytucyj szerszej społeczności we wszystkich kierunkach działalności.

Wszystkie podstawowe nawyki rodziny w dziedzinie pożywienia, mieszkania, higieny itd. dostają się w zasięg krytyki i oskarżania. W dziecko wmawia się nietylko to, że jego rodzina nie ma zupełnie pojęcia o właściwych, obyczajnych sposobach postępowania, lecz także że jest zacofana i naprawdę niepatryjotyczna. Chłopcu nietylko mówi się, że normom szkoły należy dawać pierwszeństwo, lecz krytykuje go się nierozsądnie, jeśli nie idzie za jej sugestjami, choćby miał niezbite racje, aby ich nie brać pod uwagę.

Nauczycielki przedstawiają chłopcom z wielką dobitnością, że nie wystarcza „kąpać się dwa razy na miesiąc“, i nie szcędzą przykrych uwag na temat jego ubrania. Dzieci ubierają się tak, jak na to domowe warunki pozwalają, lecz nierzadko nawet „najlepsze“ ubranko ma rażące braki. Bluza często jest niedekatyzowana, a brak krawata rzuca się w oczy. Spodnie stanowią część tradycji rodzinnej a całe ubranie łatwo ulega dezorganizacji.

Podobnie też krytykuje się pokarmy, zwykle spożywane przez chłopca, ponieważ jego śniadanie rzadko jest takie samo jak to, które poleca różowy aniołek z ogłoszeń witaminowych. Przyrządzanie gorących potraw sprawiałoby matce kłopot, podczas gdy kawa, napój ze śniadania, pozostaje zarówno dla młodego jak i dla starego. Jako namiastkę gotowanego, gorącego drugiego śniadania, które mu się tak bardzo zaleca w klasie, chłopiec kupuje sandwich o rozmiarach godnych Gargantua. Za dziesięć centów nabywa pół bochenka chleba francuskiego i pokaźną ilość sera, szynki czy wątrobianki. Za resztę swych pieniędzy może kupić gorących kielbasek, lodów, cukierków,

ciastko i papierosów. Te ostatnie są z reguły raczej wyrazem niechęci czy prowokacji pod adresem nauczycielki i tej zupełnie niezrozumiałej, niepożądanego całości, jaką ona reprezentuje i uczy, niż środkiem zaspokojenia koniecznej potrzeby.

Dalej, podejrzliwie patrzy się na jego otoczenie domowe, ponieważ tam właśnie znajduje on okazje do swych pierwszych drobnych kradzieży. Bynajmniej nie dlatego, żeby mu rodzice pozwalali kraść, nie mówiąc o tem, aby go do tego nakłaniali choćby w najmniejszym stopniu. Lecz tutaj z większą gotowością niż w domach innego typu uznaje się jego prawo własności do wszystkiego, co uda mu się „znaleźć“. Podczas gdy w szkole ostrzega się chłopca surowo, aby nie brał niczego, co nie jest naprawdę jego własne, to w sąsiedzkim otoczeniu chłopca przyswojenie czegokolwiek czasowo „bezpąńskiego“ uchodzi za prawy, uczciwy postęp.

Być może w większym stopniu niż z jakichkolwiek innych powodów szkoła jest niezadowolona z chłopca włoskiego z powodu jego „brudów“, które uważa za przepowiednię jego przyszłego, nieuniknionego „braku moralności“. Tymczasem ta cecha, po analizie, okazuje się tylko szczególną formą przystosowania się chłopca do warunków miejscowych. Trzeba bowiem wiedzieć, że podstawa włoskiego kodeksu moralnego spoczywa na czystości kobiety. Postępowanie zaś mężczyzny traktuje się z zupełną obojętnością. Postępowanie chłopca, które uważa się za przygotowanie do jego dorosłego życia o nieograniczonej swobodzie, uważa nauczycielka za wyraz poglądu, który jest zgubny dla poczucia i zdrowia moralnego. W szkole ta postawa chłopca nietylko ulega ekspansji proporcjonalnie do przybywania lat, lecz nabiera nowego znaczenia w życiu chłopca z racyj, które wyra- stają z sytuacji szkolnej.

Na wszystkie te braki patrzy szkoła z wysokiego stanowiska swoich własnych wzorów. Próbuje wykreślić krytykowane przez siebie cechy i zastąpić je takimi sposobami postępowania, które są „charakterystyczne dla Amerykanina“. Jedną z pierwszych prób tej poprawy stara się przeprowadzić w dziedzinie najbardziej widocznej, mianowicie w dziedzinie zepsutej mowy chłopca. Lecz bardzo mało może dokonać w tym względzie, gdyż mową taką posługuje się cała klasa.

Nie zdając sobie sprawy z podstawowego znaczenia wielkiej lojalności chłopca dla rodziny, szkoła usiłuje rozbudzać w nim (nie jako cechę uzupełniającą, lecz jako wyłączny zastępnik) „szerszą lojal-

ność“ dla społeczności. Wywiera się nań nacisk, mówiąc stale o jego obowiązkach względem społeczności i szerszego społeczeństwa. Wychowuje go się w pojęciu wierności dla kraju, którą ma okazywać nie tylko w okresie służby wojskowej, lecz także w innych okresach.

W miejsce luźniejszego kodeksu postępowania, obowiązującego w domu włoskim, szkoła usiłuje podstawić ideały chłopca amerykańskiego. Jeśli reguły i prawa harcerskie mogą być uważane za typowe, to od chłopca amerykańskiego wymaga się, aby był godnym zaufania, potrafił okazywać innym współczucie i był dla wszystkich grzeczny i uprzejmy. Pobudza go się do uczenia się, do odważnego pokonywania wszelkich trudności, podsuwa mu się wytrwale ideały panowania nad sobą. W działaniu swem powinien uwzględniać starannie dobro publiczne. Uczy go się, że prawdę należy cenić nie tylko ze względu na jej konsekwencje, lecz także za jej istotną, nienaruszalną świętość. Wreszcie, choć bynajmniej nie w najmniejszym stopniu, oczekuje się od chłopca czystości ciała i myśli; ma on bronić czystości mowy, czystości sportu, czystości zachowania się i przebywania w czystym towarzystwie. Nauczycielka zauważa, iż przedewszystkiem absolutne lekceważenie przyzwoitości ze strony chłopca włoskiego stanowi źródło poważnego konfliktu między nim a szkołą. Dla nauczycielki szkoły publicznej chłopiec włoski reprezentuje prawdziwą antytezę tych tak wysoce cenionych cech: czystości — osobistej i społecznej. W rzeczy samej, wszystko to, co ona widzi w nim, przemawia za tem, że najlepiej możnaby go opisać, dając negatyw wspomnianych jakości.

Zobaczymy wkrótce, że próby zastąpienia nawyków chłopca, które tak silnie zrosły się z nim od najwcześniejszych dni jego życia, — przez te nowe ideały, wymagają metod podejścia innych, niż te, którymi posługuje się szkoła, oparta na stosowaniu kar. Ponieważ zdarza się, że nauczycielka w dużej mierze nie zdaje sobie sprawy z istnienia dwu wzorów, traktuje ona, w konsekwencji, każde uchybienie chłopca jako umyślne nieposłuszeństwo. Wychodząc z założenia, że tylko jej normy postępowania i tradycja są właściwe i pożądane, interpretuje wszelkie odstępstwo od nich jako dowód zuchwalstwa i nieposłuszeństwa względem niej samej. Chłopiec nie jest dla niej i n n y — on jest „zły“. To podejście, które stawia chłopca w położeniu wiecznie źle zachowującego się, rodzi w nim prawie ogólną nienawiść do nauczycielki i pogardę dla niej i dla jej norm postępowania. Pod wpływem mściwości korzysta z każdej nadarzającej się sposobności,

aby dokuczać jej i sprawiać wszelkie możliwe przykrości. Jedynym hamulcem w jego postępowaniu względem niej jest obawa o własne bezpieczeństwo.

Lecz niechęć jest obustronna. Niełatwe to zadanie przychodzić codziennie rano do szkoły, aby wtłaczać nowe pojęcia gromadzie małych brudasów, jadających czosnek. Być może, w tej chwili nie czuć ich czosnkiem, lecz wydają się jacyś zathuszczeni. Umazani mułem, jak-gdyby węgorze, ze swemi myślami w błocie i brudzie. W jakizbo sposób rozmawiają! I wogóle cóż to za prosięta! Jakże wyraźnie wi-dać, że linja brudu na szyi Tony'ego nie chce nigdy, ale to nigdy ob-niżyć się. Byłaby to wcale niezła myśl, zrobić z niego przykład dla in-nych, szorując go na oczach klasy. A może jeszcze lepiej byłoby go wyrzucić z sali i wytrzepać mu skórę. Nie za mocno, oczywiście.

To taka zepsuta, brudna banda. Jakież to z nich wszystkich stado zwierzaków. Żeby to choć można uzyskać przeniesienie. Ach jacyż oni są brudni!

Szkoły w dzielnicach włoskich charakteryzuje stopień seksualizmu, nieproporcjonalnie duży w stosunku do zwykłej roli, jaką od-grywa on w okresie dziecięctwa. Próby wyjaśnienia tego faktu jedy-nie na podstawie bezwstydnego zachowania się chłopca, prowadzą do zapoznania ważnego momentu w badaniach nad niepowodzeniami szkoły w rozwiązywaniu problemu wychowywania drugiego pokole-nia Włochów z ubogich dzielnic. Ponieważ chłopiec wie, jak bardzo odrażająca dla nauczycieli jest jego postawa i zachowanie się seksu-alne, więc wykorzystuje je tak, aby w dodatku do swej zwykłej roli w zakresie przeżyć emocjonalnych, stanowiły przyjemną dlań za-czepkę pod adresem uciskających go zwierchników. W stronę na-uczycieli cały dzień wypowiada się szeptem obelżywe słowa. Przy każdej sposobności dyskutują o nich chłopcy, rozprawiając o ich domniemanych doświadczeniach i uchybieniach na tle seksualnem. Przypuszcza się ogólnie, że wieczorem każda nauczycielka powiększa swoją pensję w jakimś domu rozpusty. O nauczycielach myśli się, że uprawiają różne formy homoseksualizmu albo też, że swój czas po godzinach lekcyjnych przeznaczają na perwersyjne orgje. W takie postępowanie nauczycieli nie wierzy się jednak w pełni i naprawdę. Są to raczej życzenia z posmakiem rzeczywistości, — jakby rodzaj wewnętrznego upewniania się, że coś tam musi być w nieporządku

z tymi zwierzchnikami o zaciśniętych wargach, którzy terkoczą nad uszami od godziny dziewiątej do trzeciej.

Ścisłe przeciwdziałając tym objawom urazy i gniewu, które rodzi uległość, wymuszona na uczniach, nauczyciele walczą o jakiś taki pozór porządku. Zazwyczaj wystarcza nauczycielkom bicie chłopca ciężką linijką po plecach i ramionach — ciągnięcie go za włosy, aż mu oczy łzami zajdą — lub tłuczenie głową o tablicę.

Lecz jeśli rozzłoszczony uczeń stawia opór lub jeśli jego zniewaga jest dostatecznie ciężka, wzywają na pomoc któregoś z nauczycieli atletyki. Ewentualność ta zwykle zachowywana jest na te wypadki, gdy np. zapalczywy chłopiec, niezadowolony z przykrych uszczypnięć w szyję, uderzy nauczycielkę, lub, równie częste wypadki, w których chłopiec jest bezpośrednio zamieszany w jakiś występki na tle seksualnym.

Ciekawe, że niektóre z kobiet utrzymują dyscyplinę lepiej niż mężczyźni. Ci ostatni mają skłonność do przeoczenia niektórych drobnych przestępstw, które wydają się tak ciężkie kobiecie. Oto przykład: pewien młody nauczyciel w czasie lekcji, kiedy był zajęty przy tablicy, zauważył mimochodem, że jakiś chłopak, siedzący gdzieś z boku, popisывał się masturbacją. Nie wytracony bynajmniej z równowagi tem odkryciem, zaczął usilnie wyjaśniać szkodliwość jego postępowania. Po całym okresie zaiste dyplomatycznej cierpliwości i wyrozumiałości musiał uznać swoją przegraną i rzucając pytanie: „Czy jeszcze nie skończyłeś“ uderzył z hałasem swoją linijką a następnie zaczął tłuc chłopca pięścią, popychając go dookoła klasy. Epizod ten stoi w surowym kontraście do równie nieskutecznej metody tych nauczycielek, które zwykły wygłaszać pod adresem swoich uczniów wykłady, upiękzone żywymi, niewłaściwie zastosowanymi opisaniami trzeciego stadium syfilisu. Pewna młoda nauczycielka, wracając do swej klasy, którą zostawiła samą na kilka chwil, aby „zastanowiła się“ nad treścią jej pogadanki o złych skutkach samogwałtu, złapała jednego ze starszych chłopców na gorącym uczynku homoseksualizmu z pewnym słabowitym chłopcem żydowskim, który krzyczał z upokorzenia i z powodu uderzeń pięścią, wymuszających jego uległość. Nauczycielka zaczęła krzyżeć. O sprawie tej nie zrobiła jednak doniesienia, gdyż „nie wiedziała, jak o tem mówić“.

W takiej to atmosferze ostrych przeciwieństw i silnych konfliktów szkoła, — nieświadoma ironji w tem zawartej, usiłuje rozbudzić

w chłopcu ducha dobrowolnego uczestnictwa i współdziałania w realizacji zadań społecznych. Przez pewną liczbę godzin na tydzień nauczycielka zapoznaje chłopca ze swoją koncepcją zasad i funkcji zarządu miejskiego. Mówi mu o roli, jaką będzie odgrywał w tej społeczności, którą ona z lekkim sercem uwalnia od wszelkich przykrych i nieprzyjemnych stron rzeczywistości. A gdy chłopiec zachęcony szorstkimi szturchańcami, zapamięta tę lekcję, nauczycielka z jednakową obojętnością przechodzi do lekcji arytmetyki.

I tak życie w szkole posuwa się naprzód. Chłopiec czeka na świadectwo ukończenia szkoły, by wreszcie zacząć pracować zarobkowo. Nauczycielka postępuje swoją drogą, by kiedyś po szeregu lat, dojść do emerytury. Przez cały czas panuje tam serdeczna i wzajemna niechęć i antypatja. Aż wreszcie przychodzi dzień, gdy nauczycielka złoży w albumie ucznia podpis pod frazes, którego używa od lat: „Obym mogła nazawsze pozostać ogniwem w złotym łańcuchu przyjaźni“. I chłopiec opuszcza szkołę, dyplom oprawia w ramki i idzie do pracy zarobkowej. Świat stoi przed nim otworem!

Lecz jakąż będzie jego pozycja w świecie? W jakimże stopniu udał się szkole głoszony przez nią zamiar przygotowania go do jego przyszłego życia? Jeszcze w dzieciństwie, gdy wzrastał w swym własnym, małym świecie, rozwój jego został zahamowany przez wstąpienie do szkoły w sąsiedztwie. Tam bowiem postawiono go siłą w takiej sytuacji, że nie mógł powiązać tego, co najlepsze w kulturze rodziców z tem, co najbardziej cenne w kulturze przybranego kraju, lecz musiał się wyrzec swojego włoskiego dziedzictwa i własnej istoty. Taki jest nienaturalny i niewykonalny zamiar, jaki narzucił mu nacisk wszystkich zewnętrznych grup.

W miejsce kultury, której pozbawiono chłopca, cóż mu dano? Jaką praktyczną korzyść przyniosło mu ćwiczenie, jakiemu był poddawany podczas swej szkolnej kariery? Szkoła zaprawiała go do roli, jaką miał rzekomo odegrać w demokratycznym raju. Lecz teraz widzi, że zamiast tego wyznaczono mu wśród niebieskookiej arystokracji miejsce wcale nie do pozazdroszczenia. Najsilniejszy nacisk w nauczaniu szkolnem kładziono na potępianie domu, z którego chłopiec pochodzi, i na rozbudzenie tęsknoty za domem, w którym panuje amerykański sposób życia. Wpojono w niego przekonanie, że ten dom, w którym miejsce nakazów tradycji zajęły wszelakie ogłoszenia magazynów i dzienników, jest nietylko wysoce pożądany, lecz

czemś zupełnie istotnym, niezbędnym, jeśli jego obywatelstwo amerykańskie ma mieć jakieś realne znaczenie. Jednakże w świecie bardzo ograniczonego dochodu, w jakim chłopiec włoski został zamknięty, dom ten nie może być nigdy czemś więcej niż przedmiotem tęsknoty, i jako nieosiągalny cel jeszcze bardziej zaciemnia mu wstrętną i zimną kałużę, w której on faktycznie żyje.

Obracając się w świecie, chłopiec spostrzega, czego zresztą oddawna się domyślał, że nauczycielka mówiła o warunkach raczej idealnych niż realnych. Skoro zaś tylko uświadomi sobie, że jego byt zależny jest od jego zdolności okazania się bardziej zręcznym i sprytnym, niż jego bliźni, zapomina z konieczności o cudach uczciwości i uprzejmości, o których recytował tak posłusznie w klasie. Obraz świata, jaki nauczycielka roztaczała w czasie interesującej lekcji, opiera się ściśle na ideologii chrześcijańskiej. Jednakże w szerszym świecie metody postępowania zalecane w szkole, okazują się wyraźnie szkodliwe. Jej opowiadania o pięknym kraju niewiele znaczą, gdy rzeczywiste doświadczenia turystyczne chłopca ograniczają się do jakiegoś wybranego miejsca w Parku Centralnym (dobre pół godziny jazdy kolejką podziemną). Dla nauczycielki policjant, stojący na skrzyżowaniu ulic, może być „dżentelmenem i rycerzem pokoju“, — dla chłopca jest on tylko „wielkim, tłustym bękartem irlandzkim“, który włóczy się od *speakeasy* do *speakeasy*.¹ Razem wzięwszy, straciłaby ona mniej czasu, gdyby bezpośrednio zabierała się do lekcji arytmetyki.

Wychodząc z założenia, że człowiek powinien okazywać wierność przede wszystkim własnej społeczności, szkoła usiłuje wpoić ten pogląd w umysł chłopca, którego podstawa kultury leży w schemacie odmiennej natury. Ostateczny rezultat — to oddalenie nazawsze tego chłopca od jego własnej grupy i nie danie mu natomiast warunków do równoczesnego wrastania w nowe, szersze grupy. Ironja, jaka się zawiera w kazaniach wygłaszanych pod adresem chłopca, w których mówi się o równości amerykańskiej i zarazem o wykluczaniu go z niej i potępianiu, ponieważ jest *a wop*,² jest gorzkim lekiem, oczyszczającym umysł ze wszelkich śladów przywiązania do społeczności. Trudno się zgodzić na rolę podrzędną dlatego jedynie, że się posiada powierzchowne nawyki i cechy, nabyte jako wartości absolutnie ko-

¹ *Speakeasy* — tajny wyszynk.

² *A wop* — w żargonie amerykańskim pogardliwa nazwa dla emigrantów z krajów poł.-europejskich, specjalnie z Włoch.

nieczne w małej społeczności chłopięcej. Ciężki *handicap*, nakładany na każdego, kto objawia choćby tylko ślady potępianych cech chłopca pochodzenia włoskiego, zadaje ostry kłam żarliwie głoszonym poglądom, że każdy może się wybić z nas.

Przymusowi, stosowanemu w szkole, udało się odebrać chłopcu pewność, jaką daje grupa rodzinna, lecz nie powiodły się próby rozbudzenia w nim lojalności dla społeczności. Jego rola w instytucji rodziny i wzajemne powinności i obowiązki, które ona nakłada, zostały zniszczone, a w ich miejsce nie dano mu nic, co by je mogło zastąpić.

Szkoła, settlementy, kino, gazety wszystko to razem skłaniało go nieoględnie a silnie do zupełnego zarzucenia włoskich zwyczajów i obyczajów i zmusiło go, by, chcąc nie chcąc, pił cocktails i żuł gumę. Jego dom rodzinny, miast być źródłem pokrzepienia, ciepła i przyjaźni, stał się miejscem, do którego wraca niechętnie nawet na jedzenie i spoczynek. Wzamian za to szkoła dała chłopcu róg ulicy i salę bilardową. Tam on doznaje pociechy w towarzystwie swych przyjaciół, którzy podobnie jak on są źle przystosowani do życia. W bezskutecznym wysiłku szkoły, by rozbudzić w chłopcu „szerszą lojalność“, „mniejsza“ została zniszczona. Młodzieniec stoi odosobniony w swej walce z problemami i ciężkimi próbami, jakich nastęrcza skomplikowana cywilizacja amerykańska. A ludzie patrzą na niego, gniewając się i dziwiąc jego chwiejności.

By uzyskać lepszą pracę, którą zresztą rzadko otrzymuje, musi przebyć „okres pańszczyzny“ w szkole publicznej. Zarazem musi przeżywać chwile pełne udręki, jakich z koniecznością i zawsze nastęrcza zerwanie z obyczajami domu. I poco to wszystko? Ci, których kocha, i którzy go kochają, stają się dlań obcy duchowo. Ci zaś, z którymi stara się wejść w zażyłe stosunki, patrzą na jego awans z pogardą i lekceważeniem, napawającemi go tylko goryczą. Chwilami tęskni za dawnym szczęściem, lecz nie śmie sięgnąć po nie — tęskni za złudną nowością, lecz, niestety, nie udaje mu się jej osiągnąć. Zamiast go wychowywać, ćwiczone go w ten sposób, że stał się bodaj na zawsze źle przystosowany do obu będących w konflikcie kultur. Był przygotowywany na prezydenta, a został tylko woźnicą.

Z oryginału angielskiego przełożył WŁADYSŁAW OKIŃSKI.

R E C E N Z J E

Zagadnienia ogólne, historia socjologii, metody i technika badań, podręczniki.

Karl Mannheim: *Die Gegenwartsaufgaben der Soziologie*. Tübingen, J. C. B. Mohr (Paul Siebeck) 1932, str. 64.

Praca jest referatem wygłoszonym w 1932 r. na zjeździe niemieckich docentów socjologii we Frankfurcie nad Menem. Zjazd poświęcony był programowi nauczania socjologii — referat Mannheima dąży do naszkicowania zarysu takiego planu. Dochodzi do niego rozważając: I. Zakres problemów i materiałów uznawanych jako socjologiczne i które w nauczaniu muszą być uwzględnione; II. niektóre zasady wyznaczające wybór materiałów. Rozważania te stanowią dwie części książki; część trzecią tworzy próba naszkicowania zarysu planu naukowego (Umrisse eines Lehrplans).

I. Przedstawienie zakresu materiałów i problemów, które mogą być uznawane jako socjologiczne. Autor dąży tu do wypracowania maksymalnego pojęcia socjologii jako szczególnej (Spezialwissenschaft) oraz nauki podstawowej (Grundwissenschaft). Socjologia rozwija się w trzech postaciach: 1) Socjologia jako nauka szczegółowa (Socjologia ogólna), 2) Socjologia poszczególnych dyscyplin, 3) Socjologia kultury t. j. nauka o społecznym charakterze kultury, jej rozwoju oraz ogólnych związkach z rozwojem poszczególnych dziedzin kulturalnych.

1. Socjologia jako nauka szczegółowa, to dla autora nauka o „procesach uspołeczniania, które wytwarzają formy społeczeństwa“. Można ją uprawiać i nauczać sposobem: a) aksjomatyczno-niehistorycznym polegającym na wypracowywaniu „stałych uspołecznienia“, w których i przez które „społeczeństwo wogóle“ istnieje; b) porównawczo-typizującym, uwzględniającym historyczne różniczkowania i tworzącym typologię porównawczą; oraz c) historyczno-indywidualizującym, który uzupełnia oba poprzednie, badaniem zjawisk w poszczególnych sytuacjach historycznych. Kombinacja tych trzech metod, wydaje się być najkorzystniejszą dla zupełnego rozbudowania socjologii ogólnej.

2. Socjologia poszczególnych dyscyplin powstaje wtedy, gdy socjolog zaczyna rozważać stosunek jakiejś dziedziny do procesów społecznych albo znaczenie procesów społecznych dla tej dziedziny. Tak powstają socjologia gospodarcza, socjologia prawa, religii, sztuki, literatury, mowy, wychowania, wiedzy i t. d. Np. tematem socjologii prawa jest znaczenie życia społecznego dla powstania normy, oraz odwrotnie znaczenie i wpływ tej normy na procesy tego życia.

3. Socjologia kultury różni się od socjologii poszczególnych dyscyplin tem, że nie zajmuje się określoną dziedziną, lecz całością kultural-

nych dziedzin w związku z ich życiem społecznym. Może je traktować jako wyraz życia społeczeństwa stojącego poza niemi, albo doszukiwać się związków przyczynowych lub wzajemnych oddziaływań między społeczeństwem a kulturą, albo też, założywszy rozwój dialektyczny, badać życie społeczne i kulturę jako dynamiczną całość.

Pierwszą część, mającą dać maksymalne pojęcie socjologii, uzupełnia kilka ogólnych uwag o socjologii i statystyce, które, unikając konstrukcyjnych myślowych, stosują metodę ścisłych opisów i ilościowego ujęcia konkretnych zjawisk społecznych, oraz o t. zw. Gegenwartskunde cz. badaniach współczesności.

II. Część druga o zasadach określających wybór materiałów przynosi czytelnikowi niespodziankę. Zamiast czysto metodologicznych rozważań jakich można oczekiwać, znajdujemy analizę ogólnej konstelacji naukowo-społecznej, w której socjologia rozpoczyna swój naukowy rozwój, przyczem autor wskazuje na wymagania jakie ta „Anfangskonstellation“ stawia socjologii co do jej przedmiotu i sposobu nauczania. Wymagania te dzieli na trzy grupy: a) wypływające z położenia społecznego (Gesellschaftslage), b) powstające wskutek stanu i rozwoju nauczania (Lehrbetrieb) i c) wynikające z ogólnej sytuacji naukowej (Wissenschaftssituation).

III. Część trzecia daje jako wynik poprzednich rozważań zarys planu nauki podzielony na trzy działy:

Dział I, polityczno-prawny obejmuje: 1) socjologję gospodarczą, 2) socjologję prawa, 3) socjologję polityczną, 4) naukę o ideologjach, 5) ćwiczenia z zakresu socjografii tych kręgów społecznych, które wchodzą pod uwagę dla zawodów prawnych.

Dział II, nauk społecznych i gospodarczych zawiera: 1) socjologję gospodarczą, 2) socjologję współczesności, 3) socjologję przemysłu, 4) socjologję wiedzy, o tyle, o ile jest konieczna dla zrozumienia teorii i rozwoju idei społeczno-politycznych.

W dziale III, filozoficzno-historycznym mieszczą się: 1) filozofia społeczna, 2) socjologiczna historia idei, 3) socjologia wiedzy, 4) socjologia literatury, mowy, religii i innych nauk humanistycznych, 5) metody socjografii, 6) socjologiczna pedagogika (w tem m. i. socjologiczna geneza i typologia idei wychowawczych i instytucyj, socjologiczne badania nad młodzieżą, socjologia klasy szkolnej i t. d.).

Przytoczyłem cały plan w dosłownem brzmieniu. Trudno powiedzieć, że jest to plan jasny. Przedewszystkiem wątpliwość zasadnicza: autor wypracowuje maksymalne pojęcie socjologii o minimalnem tylko wspominając. Zachodzi jednak obawa, że to minimalne pojęcie, przez które zrozumiałbym niewzruszony dorobek socjologii jako nauki szczegółowej, w planie tym nie znajdzie miejsca. A przecież dopóki socjologia, jako nauka szczegółowa nie będzie poprawnie zbudowana, wszelkie projekty o socjologii innych dyscyplin pozostaną tylko mrzonkami. Wydaje mi się, że za dużo jest jeszcze do zrobienia wewnątrz socjologii „minimalnej“, by socjologowie mogli sobie pozwalać na zwycięskie podboje dziedzin sąsiednich, zwłaszcza, że brak im

skutecznej broni — metody socjologicznej. Konieczną potrzebą socjologii jest wykształcenie metody socjologii wolnej od filozoficznych konstrukcyj. Dopiero ta naukowa — nie filozoficzna — metoda socjologii może dać podstawę do wytworzenia metody socjologicznej stosowalnej w naukach sąsiednich.

Maksymalne pojęcie socjologii Maunheima przypomina nadęty balon. Pchnijmy szpilką trzeźwej rozważki — niewiele pozostanie.

Jan Szczepański (Poznań).

Otto Neurath: *Empirische Soziologie*. Der Wissenschaftliche Gehalt der Geschichte und Nationalökonomie. Schriften zur wissenschaftlichen Weltanschauung, Band 5. Wien. J. Springer 1931, str. 151.

Dzieło Neuratha jest próbą wtłoczenia socjologii w ramy filozofii opartej na logistyce neopozytywizmu, reprezentowanego przez Koło Wiedeńskie, skupiające szereg filozofów, matematyków i fizyków. Socjologia empiryczna jest w koncepcji autora systemem zdań pozwalających się bez sprzeczności włączyć w system „nauki jednościowej“ (Einheitswissenschaft). W systemie tym wszelkie zdania sprowadza się do zdań o czaso-przestrzennych przebiegach; w ten sposób wszelkie nauki sprowadza się do fizyki — kierunek propagujący te idee nazwano fizykalizmem. Fizykalizm zna tylko zdania o czaso-przestrzennych przebiegach i każde zdanie, które nie da się do takich zdań sprowadzić jest bez sensu, jest metafizyką. „Nauka jednościowa“ jest wolna od metafizyki, gdyż w sensie ścisłego empiryzmu orzeka tylko o tem, co da się sprowadzić do zdań spostrzegawczych (Beobachtungsaussagen). Przebiegi czaso-przestrzenne odpowiadają temu, co zazwyczaj nazywa się materją. W tym sensie Einheitswissenschaft traktuje o zjawiskach materialnych. W ramach takiej Einheitswissenschaft na materialistycznej podstawie, fizykalizm tworzy socjologję na materialistycznej podstawie, jako naukę szczegółową, która bada zachowanie ludzkich grup (Behawioryzm społeczny).

Opartszy się o te założenia, autor rozwija system socjologii empirycznej. I tu czeka nas zdziwienie. Okazuje się, że współczesną empiryczną socjologją jest marksizm. Brak mu tylko ścisłego „zlogizowania“. Autor nie zadowolił się naszkicowaniem marksizmu. Wprowadziwszy pojęcie zwyczaju, buduje naukę o ekstrapolacji, selekcji i koherencji zwyczajów, która to nauka wraz z nauką o strukturze społecznej wyczerpuje zupełnie, tę niezmiernie ubogą socjologję empiryczną.

Pominąwszy trudności logiczne fizykalizmu (patrz artykuł prof. Ingarдена w „Przeglądzie Filozoficznym“ zeszyt p. t. „Odczyty polskie na Kongresie Filozoficznym w Pradze“) należy stwierdzić, że socjologja na podstawie behawiorystycznej ma świat zjawisk społecznych zupełnie zamknięty. Tylko te ruchy materji organicznej są zjawiskami społecznymi, którym ktoś przypisuje społeczne znaczenie. Z tego punktu widzenia socjologja fizykalistyczna jest absurdem. Książka Neuratha socjologii poza ideą ścisłości naukowej nic nie daje. Na miejsce metafizycznych konstrukcyj szkoły feno-

menologicznej, stawia nową konstrukcję, wyłożoną językiem — jak na logika — wprost niechlujnym. Znajdujemy od czasu do czasu frazesy o ścisłości naukowej. W prowadzeniu rozmowań — dowolność i niejasność.

Jan Szczepański (Poznań).

R. M MacIver: *Society, Its Structure and Changes*, New York, R. Long and R. R. Smith, Inc. 1931, str. XVI + 569.

We wstępie stwierdza autor, że zjawiska życia ludzkiego, a więc także społeczne, badać trzeba nie tylko narzędziami uczonego, lecz również narzędziami artysty. Głównym bowiem przedmiotem badań są doświadczenia wewnętrzne ludzi, których wyrazem są formy społecznego życia. Rozumienie społeczeństwa zaczyna się od naszego własnego doświadczenia, jako członków społeczeństwa, a następnie prowadzi przez wczuwanie się wyobrażeniowe w życie innych przy pomocy biografii, pracy, historii, statystyki itp.

Socjologja dąży do wykrycia zasad budowy struktury społecznej (jej stosunku do otoczenia i zmian) tak, jak się ona wyraża w dążeniach i doświadczeniach ludzi. Wymaga to od socjologa dużych zdolności interpretacyjnych, właściwego oceniania zjawisk, umiejętności rozróżniania w kompleksie faktów istotnych od ubocznych.

Zjawisk społecznych nie można tłumaczyć przez przytaczanie towarzyszących im innych zjawisk. Trzeba wykazać, jak te inne zjawiska wpływają na psychiki działających ludzi, zmieniając ich reakcje w specjalny sposób, a przez to powodując zmiany w strukturze społecznej. Nie wyjaśnia także zjawisk społecznych metody kwantytatywne, ani metody przyrodnicze. Nauki społeczne różnią się, bowiem, zasadniczo od nauk przyrodniczych. Zjawiska społeczne są faktami świadomego doświadczenia, świadomie tworzonemi i utrzymywanemi. Poza doświadczeniem ludzi niema faktów społecznych. Ten ich charakter zasadniczo wpływa na odmienne metody przyczynowego wyjaśniania w socjologii.

MacIver pojmuje socjologję jako naukę specjalną, humanistyczną, wyjaśniającą związki przyczynowe zmian społecznych. Stosunki społeczne wyznaczają teren badań socjologicznych, a wszystkie inne procesy i zjawiska są interesujące dla socjologa o tyle tylko, o ile oświetlają stosunki społeczne. Wszystkie zrzeszenia społeczne to właściwie specyficzne układy stosunków społecznych. Tak samo i społeczeństwo. Samego pojęcia stosunku społecznego MacIver formalnie nie definiuje. Stosunek społeczny zachodzi tam, gdzie istnieje w jakimkolwiek stopniu i zakresie świadomość wspólnego życia i podobieństwa.

Ważną rolę w systemie myślowym autora odgrywa rozróżnienie społeczności (community) i stowarzyszenia (association). Społeczność to „koło osób, które żyją razem, należą do siebie w ten sposób, że uczestniczą nie tylko w tej lub owej specjalnej sprawie, lecz w pewnym całokształcie spraw, dostatecznie obszernym i kompletnym, aby zawrzeć w sobie ich życie”. Ta konkretność społeczności może być tylko potencjalna; cechuje ją to, że ludzie

mieszkający na pewnym, wspólnym terytorjum mogą zaspokoić w niej swoje całkowite potrzeby. „Społeczność jest zawsze grupą o pewnym terytorjalnym zakresie.“ Elementarnym typem społeczności jest sąsiedztwo. W przeciwstawieniu do społeczności, jako zespołu konkretnego, stowarzyszenie (association), grupę celową, zawiązują ludzie dla realizacji określonych wspólnych lub podobnych dążeń. Każde stowarzyszenie wyłania instytucje, czyli metody działania grupy tradycją uświęcone. Grupa w definicji Mac Ivera, to zbiór istot społecznych, związanych ze sobą przez odrębne stosunki społeczne. Zespół norm, charakterystycznych dla grupy, a będących regulatorem postępowania i grupy i jej członków — to obyczaje grupy (mores), na które składają się instytucje grupy i jej zwyczaje. Obyczaje grupowe czynią z jednostki to czym ona jest, przez nie rozwija się ona a z drugiej strony, one ograniczają jej swobodę indywidualnego rozwoju.

Tych sześć pojęć: stosunek społeczny, społeczeństwo, społeczność, stowarzyszenia, instytucje i obyczaje stanowią pojęcia elementarne systemu socjologicznego MacIvera.

Przechodząc do rozpatrzenia natury więzi społecznej, MacIver wskazuje na to, że (skoro społeczeństwo jest zespołem stosunków społecznych, a jednostka członem tych stosunków) nie może być mowy o zasadniczej przeciwstawności tych pojęć. Przeciwnie — zasadniczo istnieć musi harmonia. Pozorne konflikty tłumaczą się raczej sprzecznymi dążnościami poszczególnych grup lub jednostek w społeczeństwie, rozbieżnościami zwyczajów, interesów, nastawień uczuciowych itp.

W części drugiej MacIver przedstawia „strukturę społeczną“, a mianowicie jej „organizację i funkcje“ oraz „zasady regulacyjne“. Zgodnie z zasadniczym swoim stanowiskiem, autor omawia krótko cechy formalne, strukturalne każdej organizacji, a następnie jej podstawy psychiczne, wartość kulturalną i funkcje, jaką one spełniają lub mają spełniać w świadomości członków. W ten sposób przedstawione są społeczność, klasa i kasta, horda i tłum, rodzina, grupa zorganizowana czyli stowarzyszenie. Autor omówił różnice między stowarzyszeniami bezpośrednimi, stycznościowymi (face to face group — primary group), a pośrednimi. Osobne rozdziały poświęca wielkim stowarzyszeniom (great associations): politycznym (państwo), ekonomicznym i zawodowym oraz kulturalnym.

W części poświęconej zasadom regulacyjnym, przeprowadza MacIver rozróżnienie religii i moralności, zwyczajów i praw, mody i zwyczajów. Ostatni rozdział tej części poświęcony jest przedstawieniu źródeł tworzenia się norm indywidualnych, ich konfliktom z normami grupowymi, oraz eklektyzmowi moralnemu w konkretnych sytuacjach.

Część III traktuje o „otoczeniu“. Każde życie dokonywa się w jakimś otoczeniu. Na to otoczenie składa się całe dziedzictwo człowieka, wrodzone cechy biologiczne, otoczenie geograficzne, warunki populacyjne, ludzie i grupy społeczne, pojęcia z jakimi osobnik się styka itd. Niema faktów społecznych innych, jak tylko w pewnym otoczeniu. Dlatego też uznaje MacIver za konieczne uwzględnienie wszystkich składników otoczenia zarówno naturalnego, jak i kulturalnego przy wyjaśnianiu zmian społecznych. Daleki jest jednak

autor od koncepcyj naturalistycznych; ważne jest otoczenie o tyle tylko, o ile wpływa na ukształtowanie psychiki i życia duchowego ludzi, oraz na ich postępowanie. A więc otoczenie, ujmowane w kategoriach humanistycznych. Do otoczenia człowiek nietylko się przystosowuje, lecz także zmienia je; ponadto otoczenie w specyficzny sposób wyraża się w świadomości osobnika i w ten pośredni sposób wpływa na jego społeczne postawy i działalność. Rozważania swoje w tym zakresie ilustruje autor na przykładzie różnic psychicznych i społecznych mieszkańców wsi i miast.

Na tej podbudowie omawia MacIver możliwości wyjaśniania społecznego. Punktem wyjścia jest stwierdzenie, że „struktura społeczna podlega ciągłym zmianom, rośnie i upada, odnawia i przystosowuje się do bardzo różnych warunków w czasie“. Jej terażniejszość wsparta jest na przeszłości i mieści w sobie zarodki przyszłości. Każdy stan, jaki obserwujemy jest przecięciem w jednym z momentów ciągłych zmian. Aby go więc zrozumieć, musimy go badać w jego historycznym rozwoju; wykrycie więc kierunku zmian historycznych musi stanowić podstawę wyjaśniania socjologicznego. Poznanie to nie może, jednak, ograniczyć się do opisu, lecz musi dążyć do wykrycia czynników, które zmiany te powodują. W ten sposób cały problem sprowadza się do zagadnienia przyczynowości (problem of causation). Z tych samych jednak powodów, t. zn. stałej zmienności stosunków i struktury społecznej oraz otoczenia odrzuca MacIver możliwości formułowania stałych praw społecznych, na wzór praw przyrodniczych, odnoszących się do niezmiennego świata przyrody; uznaje jedynie możliwość socjologa wykrywania i ustalania pewnych ogólnych zasad tych zmian, a właściwie przebiegu zmian. Takie zasady nie umożliwią przewidywać przyszłego rozwoju społecznego. Społeczeństwo jest bowiem ciągle dokonyującym się procesem

Zadaniem socjologa jest badanie „zmiennych sposobów ustosunkowania się wzajemnego ludzi do siebie. Wszystkie inne elementy historii ludzkiej winien rozpatrywać tylko jako warunki tych zmian“. Kierunek tych zmian — to ewolucyjne różniczkowanie się form społecznych, przez rozwijanie się z form prostszych, bardziej złożonych, przez wzrost grup i stosunków bardziej specjalnych, lecz również ściśle zespolonych z całością struktury społecznej. Ewolucję społeczną cechuje: 1) wzrost podziału pracy oraz stosunków funkcjonalnych i współpracy; 2) wzrost ilości i różnorodności grup stowarzyszeniowych i instytucyj wyspecjalizowanych; i 3) wzrost różniczkowania oraz udoskonalenie środków porozumienia. Autor rozróżnia ściśle pojęcie ewolucji i postępu. Rozwój, bowiem, nie zawsze jest jednokierunkowy, to zn. nie jest stały, przeciwnie mogą być okresy cofania się; powtóre pojęcie postępu jest subiektywne, zawiera w sobie element wartościowania, którym socjolog może się zajmować jedynie jako faktem społecznym, pobudką, podstawą określonego działania społecznego. Źródeł ewolucji trzeba, zgodnie z zasadniczym stanowiskiem MacIvera, doszukiwać się w różniczkowaniu i rozwoju natury ludzkiej. W miarę jak w pierwotnej, jednorodnej grupie budzą się i powtarzają postawy uczuciowe i interesy, różne od dotychczas uznanych, powstają nowe obyczaje, które z czasem się instytucjonalizują. Specjalne interesy, wykraczające poza dotychczasowe granice solidarności grupowej zdo-

bywają sobie z czasem uznanie grupy (instytucjonalizację), albo też, grupa wyłącza je ze swej sfery działania zbiorowego (indyferentyzm grupowy). Takie postępowanie zabezpiecza grupie solidarność jej członków mimo postępującego różniczkowania indywidualnego. Interesy wyodrębnione z grupy, powodują z czasem powstawanie nowych grup specjalnych, stowarzyszeń, mnożących się w nieskończoność. Czynnikiem tych zmian jest działanie selekcji naturalnej i społecznej. Selekcje te jednak są zbyt skomplikowane i stale zmieniające się, więc wyjaśnianie społeczne na tej podstawie MacIver odrzuca. Tak samo odrzuca autor metody jednostronnych wyjaśnień zjawisk społecznych warunkami zewnętrznymi (otoczeniem) lub wewnętrznymi, czyli właściwościami reakcyjnymi lub twórczymi natury ludzkiej, (w pierwszej grupie omawia MacIver teorie Marksa i Veblena, w drugiej Hegla i Spenglera). Żadna z tych metod nie dała, zdaniem autora, wyników poznawczych, z uwagi na błędy w założeniach.

Cały ten skomplikowany świat społeczny, ważny jest dla socjologa o tyle i w taki sposób, o ile i jak wyraża się on w doświadczeniu człowieka, którego społeczne zachowanie się chcemy wyjaśnić. „Czysto fizyczny akt, jako taki, nie determinuje nigdy faktu społecznego“ (531). Na działanie społeczne jednostki ma wpływ tylko subiektywnie doświadczane całkowite otoczenie, czyli świat zewnętrzny ukształtowany w osobowości jednostki. „Jeżeli rozumiemy tę prawdę, to widzimy jak bezowocny, jak poprostu zabawny, jest projekt socjologii behaviorystycznej“ (529). W skład tego otoczenia subiektywnie doświadczanego, wchodzi zarówno elementy świata fizycznego, biologicznego, jak społecznego: czyli zachowanie się innych ludzi, istnienie i funkcjonowanie ugrupowań społecznych, tak jak je osobnik ujmuje.

Dla grupy istnieje wspólne otoczenie, bardziej ograniczone, które powstaje naskutek ciągłej wymiany doświadczeń i uzgadniania reakcyj między członkami grupy. Ponadto wrodzona umysłowi syntetyczność narzuca dążenie do pewnej jednorodności otoczenia, jako odpowiadającej lepiej jego potrzebom. Wszystkie elementy tego otoczenia są wzajemnie do siebie przystosowane i zmiana jednego wpływa na pozostałe.

Aby więc zrozumieć jakieś zjawisko społeczne, trzeba pojąć całość struktury społecznej i jej otoczenie, jako jedną w umyśle (psychice) podmiot społecznego. Proces zmian społecznych przedstawia się więc MacIverowi następująco: określone zjawisko (a), jako część struktury społecznej (b), uwarunkowanej, przez dziedzictwo społeczne (c), oparte na określonych warunkach biologicznych (d) i fizycznych (e) ujęte syntetycznie w twórczym doświadczeniu grupy, przekształca się w zjawisko (a₁), przyczem pozostałe elementy zmieniają się w odpowiedni sposób na (b₁), (c₁) itd. Jest to więc przejście z konkretnego stanu A w stan A₁, będące stanami równowagi, przystosowania wzajemnego poszczególnych elementów.

„Zmiany społeczne, biologiczne i fizyczne dokonują się stale, zgodnie z ich własnymi prawami, lecz ich wzajemne przystosowanie w jakimś poszczególnym systemie jest procesem społecznym i osiąga się przez syntetyczną zasadę twórczego doświadczenia.“ Zmiany fizyczne i biologiczne dokonywać się mogą niezależnie, lecz swój wyraz w życiu społecznym uzyskują dopiero

wówczas, gdy oddziałają na umysłowość. W doświadczeniu i działaniu społecznym cały świat wewnętrzny i zewnętrzny zlewają się w jedną całość: „z jednej strony kompleks dążności i motywacji, postaw i interesów (porządek wewnętrzny), jest tak przystosowany lub zrównoważony, że determinuje dla jednostki lub grupy, specyficzny społeczny czyn; z drugiej strony — kompleks środków, ułatwień i przeszkód (porządek zewnętrzny) jest tak przystosowany, że stanowi specyficzną okazję lub szereg okazji do tego czynu. Każde należyte wyjaśnianie musi uwzględniać obie te strony tego samego faktu społecznego“ (533).

Swoją zasadę ilustruje MacIver na przykładzie wyjaśnienia zmniejszania się liczby urodzeń jako zjawiska społecznego. Na wstępie wprowadza autor zasadę ograniczającą wielość faktów, jakie mogą mieć z tym procesem jakiś związek. Badanie ograniczyć należy do tych czynników, które jako znane mogą mieć zrozumiały a przez to przyczynowy wpływ na zjawisko. Proces wyjaśniania streszcza autor następująco:

1. „Rozpoczynamy od prostego, wyraźnego aktu woli (chęć posiadania małej rodziny), wywołanego przez pewne powszechne pragnienia ludzkie, którym w ogólnej sytuacji przypisuje się większą wagę lub wartość.
2. To wyższe wartościowanie tłumaczy się po stronie wewnętrznej przez prądy kulturalne, które różnymi drogami, wzajemnie zależnymi, wspierają je przez zmniejszanie sankcyj przeciwnych i rozwijanie odpowiednich postaw.
3. Możliwość realizacji woli zwiększy się wskutek rozwoju odpowiednich środków dla jej spełnienia.
4. Rozwój tych środków zależy nietylko od poziomu technicznego społeczeństwa; zależy on także w szczególny sposób od całego otoczenia społecznego, jako systemu sprzyjających okazji, przeszkód i warunków, wśród których działają dążenia, odpowiadające postawom kulturalnym“ (544).

Jeżeli zrozumieliśmy przystosowania wzajemne tych wszystkich czynników, to zinterpretowaliśmy zjawisko; wyjaśnienie to jednak nie będzie nigdy kompletne; wyjaśnianie zmian społecznych zawsze może być tylko przybliżone.

Taki jest zasadniczo bieg myśli MacIvera w „Society“, które jest nietylko ciekawym studjum metodologicznym lecz również cennym podręcznikiem. Podkreślić trzeba rzetelny wysiłek uporządkowania podstawowych pojęć socjologii, podkreślenie konieczności wyjaśnień przez zależności funkcjonalne, sprowadzenie znaczenia faktów przyrodniczych i wogóle świata zewnętrznego człowieka do roli jednego z elementów, mogącego oddziaływać na postępowanie społeczne ludzi tylko jako element ich świadomości, i wreszcie próbę stworzenia zasad syntezy socjologicznej tak, aby socjologia mogła wyjaśniać powstawanie zmian społecznych w całym ich bogactwie. MacIver jednak przeskakuje przez proste fakty społeczne, przechodzi od razu do zjawisk konkretnych. Tu napotyka autor na szereg trudności, radzi więc „używać narzędzi artysty“, wczuwać się w całokształt sytuacji, pojąc ją jako

jedność itp. Odwołuje się do natury ludzkiej, jako ostatecznego, ciągle zmiennego źródła życia społecznego. Ten całokształt sytuacji jest jednak zawsze jeden, w konkretności swej niepowtarzalny — więc też system wyjaśniania MacIvera zbliżony jest raczej do metod wyjaśniania historycznego. W obawie przed jednostronnością w widzeniu faktów społecznych, MacIver zdaje się nie uznawać możliwości istnienia typowych, powtarzalnych faktów społecznych, co prowadzi go do odrzucenia możliwości formułowania stałych praw przyczynowych w socjologii, a więc jej charakteru, jako nauki nomotetycznej.

Na zakończenie warto zauważyć, że książka MacIvera, choć napisana w Ameryce przez profesora Columbia University, odbiega znacznie od amerykańskich prac pokrewnego typu nie tylko poziomem naukowego przemyslenia, lecz i sposobem przedstawienia zagadnień. Charakterem swoim bliższa jest filozoficznym kierunkom socjologii europejskiej, zwłaszcza niemieckiej, niż rodzinnemu amerykańskiemu kierunkowi socjologicznemu — przypisującemu jak dotąd bez porównania więcej wagi do gromadzenia faktów, niż do wypracowania myślowych narzędzi ich naukowej analizy.

Jerzy Piotrowski (Poznań).

Probleme Deutscher Soziologie. Gedächtnisgabe für Karl Dunkmann. Herausgegeben von Heinz Sauer mann. Berlin, Junker und Dünnhaupt, 1933, str. 127, 8^o.

Szereg artykułów, wydanych jako osobna odbitka z *Archiv für angewandte Soziologie*, stanowi pośmiertną księgę poświęconą pamięci Karola Dunkmanna. W krótkiej przedmowie wydawca, omawiając źródła problemów socjologii niemieckiej, wskazuje na zasługi Dunkmanna, który wyzyskał dorobek tradycji niemieckiej filozofii społecznej dla pogłębienia i postawienia w nowy sposób zagadnień socjologii. Wspomniana tradycja filozoficzna to pierwszy punkt wyjścia socjologii niemieckiej, drugi stanowią badania nad historyczno-społeczną sytuacją. Zaslugą Dunkmanna było harmonijne połączenie obu tych punktów wyjścia. — Przedmowę tę możemy pominąć. Jest to garść uwag o zasługach zmarłego.

Na czele zbioru znajduje się rozprawa F. Tönniesa p. t. *Obyczaj i wolność*. Rozpatruje w niej autor stosunek między zakresem obyczajów (Bereich der Sitte), a zakresem wolności (Bereich der Freiheit), stwierdzając, że wielkie, typowe przemiany, jakie w tym stosunku zachodzą w ciągu ostatnich stuleci są dwójakiego rodzaju: ludzie stają się: A) wolni od obyczajów (Freier von der Sitte) oraz B) wolni w obrębie obyczajów (Freier in den Sitten). A: Pierwszy rodzaj zmian warunkują: a) zmiany stosunków gospodarczych, we wszystkich kierunkach, które są charakterystyczne dla czasów nowożytnych, b) zmiana sposobu myślenia i spostrzegania, oraz c) zmiany stosunków politycznych. B: Wolność w obrębie obyczajów to wolność działań zgodnych z obyczajami, mających poparcie społeczności, w której obyczaje obowiązują. — Króciutka ta rozprawka podaje szereg interesują-

cych szczegółów historycznych. Strona analityczna zawodzi i nie dowiadujemy się co rozumieć przez „obyczaj“ i na jakiej podstawie on obowiązuje, a wobec wieloznaczności słowa „wolność“ pozostajemy zupełnie bezradni.

Artykuł drugi A. Günthera p. t. *Socjologiczne wnioskowanie w socjologii stosowanej* nosi wszelkie pozory pracy podstawowej, t. zn. analizującej logiczne podstawy socjologii jako nauki. Artykuł, będący wyjątkiem z książki gotowej do druku (w r. 1933) wymaga szczegółowego omówienia, na które brak tu miejsca. Sprawa jest doprawdy paląca. Metodologia socjologii jest prawie zawsze uprawiana przez ludzi, którzy o metodologii i logice współczesnej nie mają pojęcia. Podobnie i w tym wypadku. Autor z upodobaniem powtarza takie, dawno uznane za fałszywe formułki jak: dedukcja jest wnioskowaniem od ogólnego do szczegółowego, oraz poważnie wygłasza takie twierdzenia, że socjologia jest nauką napwół dedukcyjną, zaksjomatyzowaną, gdyż posiada aksjomat w tezie „człowiek jest zoon politikon“. Artykuł ten — rezultat nieuctwa i nieodpowiedzialnego fantazjowania, socjologję jako naukę, może tylko kompromitować. Na szczęście „logika“ Günthera jest równie daleka od socjologii jak i logiki.

Prolegomena do socjologii masy G. Lehmana zawierają rozważania zdążające do określenia roli pojęcia masy w socjologii. Naszkicowawszy krótko dzieje tego pojęcia i dzieje zainteresowań masą, autor stara się ustalić jaki stosunek zachodzi między podstawowem w socjologii pojęciem grupy i teorią grupy a rozwijającą się teorią masy. Wychodząc z różnych określeń masy rozważa nad — względnie podrzędność tych pojęć (a więc czy grupa zakłada już istnienie masy, czy masa jest stanem grupy itd.). Rozważania to bardzo ciekawe wnoszące nowe możliwości do teorii grupy, trudno jednak narazie coś orzec o użyteczności pojęcia masy w tej teorii.

Rozprawkę z zakresu socjologii kultury p. t. „*Kultura wspólnoty narodowej*“ napisał A. Vierekandt. Rozwojowi społecznemu odpowiadały określone zmiany typu kultury. Społeczeństwu stanowemu odpowiadała kultura stanowa, społeczeństwu kapitalistycznemu kultura kapitalistyczna. W naszych czasach tworzy się nowy typ kultury, mianowicie typ kultury wspólnoty narodowej (Volksgemeinschaftliche Kultur). Zestawienie tych trzech typów ze stanowiska a) udziału jednostki w ogólnej kulturze, b) każdorazowego poszczególnego ustroju społecznego, oraz c) zasady kształtowania kultury, wypełnia treść tego artykułu, pod każdym względem godnego przeczytania. Kultura wspólnoty narodowej, to typ najszerszej rozpowszechnionej kultury, gdzie ani urodzenie, ani stan posiadania nie decydują o udziale jednostki w tworzeniu i korzystaniu z wytworów kultury.

Zbioru prac dopełniają artykuły: H. Sauermanna *Problem polityki w socjologii*, W. M. Scheringa: *Typy wojny*, oraz G. Ipsena: *Montesquieu i socjologia polityczna*.

Najpoważniejszym z nich jest artykuł Sauermanna, omawiający stosunek polityki, jako nauki, do socjologii oraz socjologiczne zagadnienia polityki, jako zjawiska społecznego. Studium Scheringa o typach wojny budzi wiele zastrzeżeń. Zdaje się, że polemika z pacyfistami nie należy do socjologa. Daje jednak interesujący materiał historyczny i na nim opartą klasyfikację

wojen. Praca Ipsena jest historyczną monografią wpływu Montesquieu na rozwój socjologii politycznej.

Książkę zamyka spis wszelkich prac K. Dunkmanna.

W zbiorze powyżej wymienionych prac, wyjąwszy pracę Günthera, jedno uderza: każda z nich nawiązuje do chwili współczesnej — do obecnie rozgrywających się zjawisk. Dlatego książka to ciekawa.

Jan Szczepański (Poznań).

Teoria grup społecznych.

Max Solms, Graf: *Bau und Gliederung der Menschengruppen*. 1. Teil. Karlsruhe 1929 G. Braun. 8^o str. IV. 101, tabl. 6. — 2. Teil. *Führerbestellung*. Leipzig 1932. H. Buske. 8^o str. 70, tabl. 2.

Kierunek formalny w badaniach socjologicznych zainicjowany przez Simmela nie przestał od czasu ukazania się jego „Socjologii“ (1908) być jednym z ognisk dyskusji metodologicznej i równocześnie źródłem wielu impulsów badawczych. Jakkolwiek teoria Simmela w czystej postaci nigdzie nie przyjęła się całkowicie, pojawiają się zwłaszcza w powojennej socjologii ujęcia, bądź kontynuujące drogi pierwowzoru, bądź o ten pierwowzór częściowo przynajmniej oparte.

Za wyraźną pozycję t. zw. socjologii formalnej — można uważać (zgodnie z intencją autora) M. Solms'a *Bau und Gliederung der Menschengruppen*. Nie znaczy to, by wymienione dziełko stanowiło w teoretycznych i metodycznych założeniach kopję czy naśladownictwo Simmela; przeciwnie widać w niem oryginalne przemyślenie i świadome, celowo przyjęte nastawienie badawcze, widać odchylenia i modyfikacje w stosunku do koncepcji Simmelowskiej. Zasadniczo Solms odróżnia wyraźnie treściową i formalną stronę zjawisk społecznych, a w szczególności stanowiących temat pracy o grupach ludzkich. W sprecyzowaniu jednej i drugiej strony są przytem szczególne ujęcia. Treści lub zawartości (Gehalte) życia grupy klasyfikuje Solms na takie, które służą tylko jednemu określönemu celowi, takie, które służą większej ilości celów i takie, które obejmują ogół celów i potrzeb życiowych członków grupy; wyróżnienie, niezupełnie zadawalająco przeprowadzone w szczegółach, mające jednak ważność dla podziału samych grup społecznych. Poza samymi treściami Solms wymienia osobno to, co możnaby określić jako sferę ważności grupy (ujmuje to wyrazem Geltungen), a co wyraża się bądź w dobrowolnie żywionych, jednolitych przekonaniach, bądź w stanowionych jako przymusowe wskazaniach i normach. Dalej niż to wyróżnienie dwu dziedzin strony treściowej życia grupowego sięga dwoistość w ujęciu formalnej strony grupy. Tu bowiem autor wyróżnia strukturę w sensie psychologicznym (Gestalt) jako rozważany od strony psychologicznej typ związku społecznego i strukturę w sensie zewnętrznej organizacji grupy (Gerüst), dwie zatem z całkiem innych punktów widzenia ujęte postacie grupy.

Przeważająca i główna część pracy Solmsa jest poświęcona zagadnieniu struktury organizacyjnej. Niemniej to, co w pierwszym rozdziale podane jest w odniesieniu do struktury psychologicznej grupy, ma ważność znaczną dla całej koncepcji autora i wielokrotnie powtarza się w związku z późniejszymi wywodami. W szczególności Solms odróżnia w związku z tą strukturą stosunki i grupy uważając, że w stosunkach zawiera się bezpośrednio odniesienie ludzi do siebie, natomiast w grupach widzi mnogość ludzi zwróconych jednakowo (gleichgerichtet) ku czemuś trzeciemu. To nader obszerne pojęcie grupy nie wydaje się całkowicie szczęśliwe i trafne; bezspornie grupy są czemś innym i czemś więcej niż stosunki społeczne, nie znaczy to jednak, by w grupie jako jej element stosunki nie miały się zawierać. Obszerność określenia prowadzi autora do rozróżnienia istotnych i nieistotnych grup, przyczem oczywiście dopiero istotne t. j. takie, w których istnieje pewna świadomość odrębności, zgadzają się z normalnym pojęciem grupy społecznej. Charakterystyczne jest natomiast, że Solms w przeciwieństwie do np. Wiesego, który mówi o grupie jako o wytworze stosunków i podkreśla jej fikcyjność, określa w swem ujęciu grupę jako zbiór ludzki (mногоść ludzi).

Dana definicja grupy pociąga za sobą pewne konsekwencje. Ponieważ definicja kładzie nacisk na wspólność postawy członków ugrupowania, więc dalsze podziały są według rodzaju tej wspólności. Solms idzie tu torami Maksa Webera, wyróżniając emocjonalną, tradycyjną i racjonalną wspólność. Te niewątpliwie użyteczne, ale niecałkiem jasno odgraniczające się pojęcia grają w całych dalszych wywodach autora dość znaczną rolę, zresztą też niezawsze doprowadzając do jasnych i zadawalających komentarzy psychologicznych przy badaniu struktury organizacyjnej. Definicja grupy prowadzi następnie do podziału grup na jednolite, t. j. takie, które zespalają wszystkich członków na podstawie świadomego dążenia do celu i niejednolite, a więc takie, którym właśnie owej zgodnej i pełnej świadomości celu grupowego brak. Nieprzekonywający charakter tego podziału ujawnia się odrazu, jeśli zważymy, że te niejednolite grupy mieszczą w sobie t. zw. pełne grupy (Vollgruppen), do których należy rodzina, ród, klan, plemię, lud i grupy złożone (Komplexgruppen), do których autor zalicza Kościół.

Usterki i problematyczna użyteczność rozróżnień podanych tłumacza się atoli tem, że autor świadomie jest nastawiony przedewszystkiem na studjum socjologiczne związków i stowarzyszeń i że z tego punktu widzenia przeprowadza swe klasyfikacje ogólne. Rozważania nad zewnętrzną strukturą (Gerüst), które wypełniają większą część książki dotyczą też przeważnie (choć nie wyłącznie) grup o znamionach swobodnych zrzeszeń. Solms zaczyna je od ogólnych danych, jak wielkości grupy, trwałości jej (kapitałne zagadnienie całkiem powierzchownie tylko dotknięte), omawia wspomnianą kwestję jednolitości, rozróżnia grupy wyrosłe w spontanicznym rozwoju i grupy ustanowione (gewachsene und gesetzte Gruppen). To ostatnie rozróżnienie, typowo zaczerpnięte z socjologii zrzeszeń, budzić może także w odniesieniu do grup wogóle pewne zastrzeżenia. Z dalszych rozważań części pierwszej najważniejszą jest analiza różnych rodzajów wchodzenia jednostki do grupy

(wzgl. nie dostawania się do niej) i opuszczania grupy przez jednostkę, przy czym dotknięte są zupełnie krótko także ramowe problemy zawiązywania i rozwiązywania czyli dobrowolnego kończenia się grupy. Oczywiście przegląd tych rodzajów dość zwięzły nie przynosi żadnych rewelacji, umiejętnie jednak porządkuje formy, które niekiedy nietylko praktyka ale i teoria socjologiczna zaciera.

To co Solms mówi o stosunku grupy do grupy (głównie wyszczególnienie grup podrzędnych) stanowi tylko część wielkiego zagadnienia. Natomiast silniej występuje problem organów grupy. Przez organy grupy rozumie autor instytucję polegającą na tym, że niektóre działania, uważane za wystąpienia grupy, wykonuje nie ogół członków, lecz członkowie specjalnie do tego powołani. Ujęcie tego wielkiego problemu opiera autor na rozważaniach — wybiegających poza pole socjologii formalnej — socjologicznej kategorii mocy nad ludźmi, jej źródeł i charakteru, dotyczących jej danych natury psychologicznej u jednostek — członków grupy. Najbardziej interesująca jest jednak analiza, która w oparciu o Maksa Webera podział czynników racjonalnych, emocjonalnych i tradycyjnych w organach kierujących nadrzędnych (nie dający się na język polski przetłumaczyć termin: *auslösende Massgabeorgane*) wyróżnia trzy typy główne sprawowania mocy nad ludźmi: kierownictwo, wodzostwo i władztwo a następnie pewne typy mieszane. Dopełniają analizy klasyfikacje dalszych organów grupy, w relacji z nacelnym, określonych jako pomocnicze, zarządzające, zastępujące.

Jako przegląd z punktu widzenia formalnego może ujęcie organów grupy dane przez autora wystarczyć. Przy pogłębieniu problemu jednak dostrzegamy, iż pewne podstawy zagadnienia nie zostały w tym ujęciu niemal poruszone. Solms kończąc rozważania nad organami grupy ujmuje ogólnie tych członków, którzy nie sprawują funkcji organów, jako członków traktowanych przez organy jako „poddanych“ władzy. To schematyczne ujęcie odpowiada może bardziej prawnemu, niż socjologicznemu punktowi widzenia. Ze stanowiska socjologicznego nasuwa się tu bowiem przedewszystkiem koncepcja powstawania organów w związku z całym procesem różnicowania społecznego w obrębie grup i przemian grup na tem tle. Idzie tu w szczególności o to, o ile powstawanie organów władzy pozostaje w relacji z dzieleniem się funkcji społecznych, lub jaka jest relacja między formami tego zróżnicowania a typami władzy sprawowanej. Solms dotyka tego problemu zaledwie przygodnie, nie pogłębia go, jakkolwiek poza zagadnieniami strukturalno-organizacyjnymi wyróżnienia emocjonalnych, tradycyjnych i racjonalnych czynników życia grupowego mogłyby w tym kierunku prowadzić.

Oceniając jednak pracę Solmsa trzeba mieć na uwadze, że wywody jego mają charakter szkicowy i że gdyby autor nie trzymał się określonego formalnymi kryterjami przeglądu, rozpiętość tematów mogłaby jego książkę rozsadzić. Zwarty bardziej i bardziej wyczerpujący charakter, niż to było do osiągnięcia w części pierwszej, ma część druga zatytułowana *Führerbestellung*, a będąca właściwie osobnym studjum poświęconem sposobom powoływania organów w tem znaczeniu, jakie sformułowała część pierwsza. W wyższej mierze, niż część pierwsza, ma to studjum cechę socjologii formalnej,

całe stanowiąc systematyczny przegląd form powtarzających się w grupach różnej postaci, celów, reguł.

Solms rozróżnia zasadniczo dwa rodzaje powoływania organów, a właściwie obejmowania przez jednostki stanowisk organów w grupie. Jeden rodzaj to obsadzanie wzgl. zajmowanie stanowiska organu w drodze doboru, drugi zajmowanie go poza doбором. Przegląd pierwszej formy wyróżnia, po omówieniu czynności wstępnych, najpierw t. zw. sposoby mechaniczne powoływania organów (wylosowywanie, powoływanie według kryterjów liczbowych), a następnie dwa główne typy: poruczanie stanowiska (Beorderung) i wybór (Wahl). Poruczanie stanowiska uważa Solms za funkcję jednej osoby, tak że nawet o ile poruczenia ma w jakimś przypadku dokonać kilka jednostek, ma to mieć charakter działania jednej sztucznej osoby. Chodzi tu o przeciwstawienie poruczenia wyborowi; nie zdaje się ono całkowicie na tej płaszczyźnie słuszne: gdy poruczenia stanowiska dokonywa w pewnych przypadkach tryumwirat, rada ministrów, rada wojenna, działanie to jest zbliżone raczej do analogicznej funkcji jednostki, niż do dokonywanego przez zbiorowość wyboru, niemniej jest to działanie zbiorowe. Zależnie od stopnia nacisku na jednostkę powoływaną wyróżnia autor w poruczeniu: odkomenderowanie, nominację i powołanie. Zagadnienie obsadzania organu w drodze wyboru nastęrcza Solmsowi nietylko możliwość poczynienia kilku spostrzeżeń i wyróżnień w odniesieniu do form wyboru, ale także sposobność poruszenia kwestyj, sięgających już poza krąg zagadnień ściśle formalnych, a dotyczących praw wyborczych, ich demokratyzacji i przede wszystkim bezsprzecznie teoretycznie i praktycznie ważnych kontrowersyj między formą wyboru i formą poruczenia w odniesieniu do pewnych organów (wybór lub poruczanie stanowisk sędziów). Dalej znajdujemy analizy usunięcia jednostki ze stanowiska organu grupy, zastąpienia jej przez inną jednostkę, kręgu, z którego dokonywany jest dobór (interne und externe Auslese), wreszcie krótkie omówienie ważnej formy potwierdzenia wyboru wzgl. powołania.

Znacznie już krótsza, niemniej ważna socjologicznie analiza zajmowania przez jednostkę stanowiska nie w drodze doboru obejmuje dwa różne i różnej doniosłości typy: typ, w którym jednostka z własnej inicjatywy sięga po funkcję organu, typ odgrywający bardzo poważną rolę w życiu politycznym i w niektórych dziedzinach życia kulturalnego — i typ przywłaszczenia, dochodzący tam wszędzie, gdzie działa prawo dziedziczenia, a także w drodze czysto ekonomicznej (wykupno stanowiska).

Kilka uwag końcowych rysuje perspektywy zagadnienia form mieszanych i przede wszystkim antagonizmu między dwiema zasadniczymi formami „auslesende und nichtauslesende Bestellung“. Zarówno te uwagi, jak szereg zresztą momentów obu części pracy wskazują, że formalny punkt widzenia nie wynika w niej z izolacji od problemów rzeczywistości społecznej, lecz że myśl autora pozostaje w kontakcie z tą rzeczywistością i tylko celowo ogranicza ujęcie jej zjawisk. Dziełko Solmsa nie jest wolne od szczegółowych usterek, od pewnych pobieżności w poszczególnych ujęciach lub objaśniających je przykładach (np. mało szczęśliwy przykład powołania Sasów przez Rzeczpospolitą na tron przy omawianiu zewnętrznego doboru

T. 2, str. 47), wreszcie przeładowane jest nowotworami terminologicznymi, co niejednokrotnie nuży w czytaniu; niemniej daje ono dobry wyraz możliwości kierunku formalnego przez utworzenie przejrzystej i dobrze przeprowadzonej systematyki, która może być użytecznym narzędziem w badaniach socjologicznych, socjograficznych i historyczno-społecznych. Jest to systematyka klasyfikująca zjawiska, nie sięgająca niemal do wyjaśniania ich związku; przynajmniej o ile autor daje próby takich wyjaśnień, polegają już one na wciąganiu zagadnień strukturalnych rozpatrywanych z psychologicznego stanowiska, łączą więc kwestje organizacji z kwestjami psychicznych czynników zespolenia społecznego. I to jednak nie wystarcza; Solms podkreśla w jednym z ustępów (T. 2, str. 31) sam, że nasuwają się zagadnienia związku form organizacyjnych z treściami czy zawartościami życia grupy i że to wymagałoby sięgnięcia poza granice koncepcji Simmelowskiej. W istocie brak metodzie Solmsa, jak wogóle kierunkowi formalnemu (także wówczas, gdy wciąga on element psychologiczny), ujęcia ogniskujących życie społeczne wartości, a przedewszystkiem sfery osobnych wartości społecznych. Dając dobre świadectwo zaletom metody formalnej, dzieło Solmsa ujawnia jednak równocześnie jej niewystarczający charakter dla pełnej problematyki socjologicznej.

Paweł Rybicki (Katowice).

Socjologia miasta.

R. S. Lynd i H. M. Lynd : *Middletown, A Study in Contemporary American Culture*, Harcourt, Brace and Co., New York 1929, XI + 550.

A. Blumenthal : *Small-town Stuff*; University of Chicago 1932, XVI + 416.

Badania socjologiczne nad miastem amerykańskim przyciągają w Stanach Zjednoczonych uwagę wielu socjologów a całe grupy uczonych współpracują systematycznie ze sobą w wysiłkach nad realizacją dzieł naukowych, w których rzeczywistość życia nowoczesnego miasta odbijałaby się możliwie dokładnie. Uczeni ci zwykle pragną dać obraz przeciętnego miasta i typowych stosunków: w tym celu stosują pewne metody, zbierają odpowiednie materiały. W niniejszej recenzji pragnąłbym zająć się tem czy i o ile autorzy wymienieni w tytule (których prace a szczególnie pierwsza stały się bardzo popularne w Stanach Zjednoczonych i osiągnęły ogromny nakład) spełnili wymagania metodycznej natury, przedewszystkiem w stosunku do celów jakie sobie nakreślili oraz, częściowo, wychodząc poza zakres tych celów. Recenzja niniejsza, zajmując się wyłącznie stroną metodologii, pomija szczegółowszy rozbiór pracy, jest więc analizą do pewnego stopnia jednostronną, nie przesadza więc całkowicie tego czy praca posiada walory i jakie: krytyczny stosunek do obranej metody, chociaż silnie podważa podstawy, na których prace są oparte, jednakże nie dyskwalifikuje je jako bezwartościowe.

W Polsce nie posiadamy wogóle monografij poświęconych stosunkom społecznym jakiegoś miasta; te nieliczne opisy miast jakie posiadamy zajmują się bądź historją, w dodatku najczęściej w nienowoczesny sposób ujętą, bądź opisami dotyczącymi budynków (kościół), pewnych zdarzeń, czasami — pewnych osób („typów“); jak dotychczas literatura naukowa tego zagadnienia u nas nie istnieje i nie jesteśmy jeszcze nawet w stadium dyskusowania coby taka monografja zawierać powinna. W Stanach Zjednoczonych badania trwają już dłuższy okres czasu i już nawet przed wojną ukazywały się prace mające przedewszystkiem praktyczne cele na widoku (surveys), a które obejmowały zwykle częściowo życie społeczne gminy miejskiej.

W dwóch monografjach, które stanowią przedmiot omawiany, pierwsza ma, w myśl założeń autora, dać jaknajdokładniejszy („o ile to możliwe“) przekrój życia społecznego przeciętnego miasta amerykańskiego,¹ druga — zakreśliła sobie jako cel — dać przecięcie tego, co w stosunkach społecznych nadaje miastu charakter „małomiasteczkowy“. Obaj autorzy przedewszystkiem we wstępie do swych prac zajmują się obszerniej tem, jakim warunkom musi dane miasto odpowiadać, aby — z jednej strony — być „przeciętnym miastem w dziedzinie odzwierciedlenia życia społecznego ludności“, z drugiej — aby być typowem dla małomiasteczkowości. Obie te prace mają charakter ściśle socjologiczny, obowiązywać je więc winna socjologiczna metoda badania i wyjaśniania zjawisk — pojęciami i w terminologii nauki o społeczeństwie („in social terms“).

Lynd w poszukiwaniu „przeciętnego“ miasta amerykańskiego wymienia następujące warunki, którym miasto takie winno odpowiadać. A więc:

1. być położonem w klimacie umiarkowanym;
2. względnie szybko wzrastać, aby dać pojęcie o narastających wraz z przekształceniami społecznymi kwestjach i trudnościach społecznych;
3. posiadać kulturę przemysłową, a przedewszystkiem — nowoczesny ekwipunek w formie instalacyj i maszyn;
4. nie znajdować się w kategorii tych miast, które liczą tylko jedną wielką fabrykę, od której całe życie społeczne jest uzależnione;
5. posiadać pewne własne lokalne życie artystyczne, któreby przeciwstawiało się jednostronnemu wyłącznie zarobkowaniu, przyczem nie powinien to być wyłącznie wynik istnienia wyższej uczelni pewnego typu;
6. nieistnienie szczególnie uciążliwego społecznego problemu, takiego, któryby stwarzał trudności wyróżniające dane miasto wśród innych;
7. miasto winno być położone w Middle-West czyli na bliskim Zachodzie (na terenie 5 stanów centralnych), gdzie historycznie różne grupy emigrantów przechodząc w różnych kierunkach, powodowały krzyżowanie się społecznych prądów wśród ludności.

Jak widać z wyszczególnionych zasad autor stara się wykluczyć to, coby różniło w sposób decydujący wybrane przezeń miasto od innych miast amerykańskich, zatrzymuje się jednak przedewszystkiem na cechach raczej

¹ Str. 7 — „...the city be as representative as possible of contemporary American life...“

geograficzno-gospodarczego charakteru, sądząc, że drogą pośrednią wyeliminuje te miasta, które i pod względem układu stosunków społecznych stanowią pewnego rodzaju wyjątek i unikat. Nie jest to metoda zadawalająca, raczej autor winien w pracy socjologicznej w krótkim zarysie ująć to, co stanowi istotę procesu społecznego zachodzącego w nowoczesnym życiu miejskim stanów i na tej podstawie ustalić wytyczne do wyboru „typowego” miasta amerykańskiego. Nie chcę przesadzać, czyniąc te uwagi, czy jest to wogóle możliwe, i co dałaby w rezultacie tego rodzaju znaleziona typowość. Sądzę naodwrot, że przy bogactwie objawów życia społecznego w miastach amerykańskich, przy wielkich rozmiarach kraju, olbrzymich różnicach w liczbie mieszkańców (są miasta liczące 1 000 mieszkańców i 7 milionów) itd. — poszukiwanie i ustalanie tego rodzaju „typowości” stanowi pracę jałową i pozbawioną znaczenia naukowego. Z jakimi trudnościami walczy autor w wyborze miasta — weźmy dla ilustracji to, iż wybrał miasto Muncie w Stanie Indiana (nazwał je „Middletown”), miasto liczące około 35 000 mieszkańców, a więc w kategorii miast liczących od 25 000 do 50 000 mieszkańców. Takich miast jest w Stanach Zjednoczonych 143 i liczą razem około 4% ludności Stanów, podczas gdy np. miasta liczące powyżej 1 miliona mieszkańców liczą wielokrotnie więcej. Dlaczego więc autor zatrzymał się nad miastem Muncie? Zapewne dlatego, że mniejsza liczba mieszkańców daje szybszy i bardziej przystępny wgląd w stosunki społeczne, nie daje ona za to jednak tego co jest może nietylko „typowem”, ile nad wyraz ważnem w istocie procesu społecznego miasta amerykańskiego, to jest właśnie „wielkomiejskość” z jej rozkładem społecznym, upadkiem sąsiedztwa, życia rodzinnego, przestępczością, trudnością wychowania młodzieży, „gang’iem” itd. Wszystko to w mieście wybranem przez autora albo nie wchodzi wcale w skład procesu społecznego, albo w mikroskopijnych rozmiarach. Rozwój miasta amerykańskiego idzie po dziś dzień w kierunku formowania wielkich, olbrzymich skupień ludzkich, których decydujący wpływ spycha na plan dalszy to, co stanowi o życiu miast i miasteczek takich, jak Muncie i jemu podobne. Czy więc nie należałoby uznać miasto Muncie za „nietypowe”, a w każdym bądź razie nie dające obrazu tego, co wchodzi w skład najbardziej istotnych problemów miejskiego życia amerykańskiego? Sądzę, że w poszukiwaniu „typowości” środowiska miejskiego w Stanach należałoby się zatrzymać nad którymś z miast znacznie większych (może np. nad miastem liczącym powyżej 300 000 mieszkańców). Autorzy „Middletown” czyniąc wybór taki, jakiego dokonali, winni czytelnikowi dać takie materiały, któreby pozwoliły na porównanie tego, co stanowi istotę bardziej obszernego, powiedziałbym „amerykańskiego” procesu społecznego miejskiego w porównaniu z tem, co stanowi część i to węższą tego procesu zachodzącego w Muncie i miastach jemu podobnych.

A jak wywiązał się z zadań, które na siebie nałożył drugi autor pracy o małomiasteczowości? Może jemu udało się w sposób odpowiedniejszy podejść do tego co stanowi typ „małomiasteczowości”, aniżeli Lyndom, do tego co stanowi istotę procesu społecznego przeciętnego miasta amerykańskiego?

Blumenthal wybrał miasteczko Philipsburgh (nazwał je „Minneville“) w stanie Montana, położone w powiecie Granite County. Liczy ono zaledwie 1 400 mieszkańców, a więc odpowiada wielkością naszym miasteczkom tej wielkości co np. Brzostek w Krakowskiem, a wiele naszych większych wsi przewyższa je pod względem liczby ludności. Miasteczek tego typu co Philipsburgh w Stanach znajduje się około 3 000 i liczą zapewne także około 4% ludności całego kraju, a więc demograficznie stanowią taką siłę, jak miasto typu Muncie. Chodzi obecnie o ustalenie, czy wybór autora padł szczęśliwie. Zastanówmy się przedewszystkiem, jakie autor daje określenie „małomiasteczkowości“. Otóż znajdujemy we wstępie do pracy Blumenthala charakterystykę prof. Burgessa, który zalicza do głównych cech tej małomiasteczkowości 3 następujące:

1. intymność opartą na znajomości wzajemnej mieszkańców;
2. dominujący wpływ osobistych postaw we wzajemnych stosunkach;
3. poddawanie się poszczególnych indywidualów stałej obserwacji i ścisłej kontroli ogółu.

Sądzę, że cechy te odnoszą się nietyle do małomiasteczkowości, ile do życia społecznego osiedli o niewielkiej liczbie ludności tak terytorjalnych (farmerskie w Stanach, wieś w Polsce, kolonje np. górnicze itp.), jak i stanowiących pewnego rodzaju węższą grupę społeczną w ramach obszerniejszych (np. garnizon w mieście). Philipsburgh jest nieodpowiednio wybrane dla tego, że jest bardzo niewielkie, leży daleko na zachodzie, i w dodatku w części Stanów, których autor zupełnie bliżej nie scharakteryzował. Okazuje się, po przewertowaniu bogatych statystyk Biura Spisów w Stanach, iż na 28 powiatów stanu Montana, powiat Granite County wykazuje cofanie się gwałtowne w rozwoju i wyludnianiu się miasteczek, na co wskazują liczby z przed wojny:

	1890	1900	1910
Granite County	—	4 328	2 942
w czem: Philipsburgh	1 058	995	1 109
Philipsburgh city	—	861	716
Drummont precinct	—	285	383
Garnet precinct	—	302	155
Stone precinct	—	148	98
New Chicago precinct	—	288	65

Gwałtowny spadek ludności wykazywały tylko 3 powiaty w liczbie 28 (Deer Lodge, Madison i Granite), reszta powiatów wykazuje wzrost ludności. Już więc przed wojną powiat Granite liczący zaledwie dwa razy tyle ludności co same miasteczko Philipsburgh przechodzi bardzo ciężki okres, w którym emigrowano stąd gwałtownie, ośrodki więc farmerskie musiały opustoszeć ogromnie. Stanowi to sytuację niewątpliwie wyjątkową, jakich na terenach całego kraju nie było zapewne wiele i to odbijając się musiało nader silnie na życiu społecznem miasteczka, utrzymującego się w liczbie ludności na poziomie prawie stałym, ale otoczonego pustkowiem, które z roku na rok się powiększało. W tych warunkach, sądzę, że „małomiasteczkowość“

musiała silnie ucierpieć w swych głównych tendencjach, ludzie się zmieniali dość szybko i nawet „intymność“ jaka łączyła znajomych i sąsiadów rwała się często, a gwałtowne imigracje stwarzały szczególny stan niepokoju społecznego. Ponieważ naogół rozwój miasteczek amerykańskich nie szedł po tego rodzaju drogach i nie walczył z takimi trudnościami, musimy dojść do przekonania, że autor nie wybierał „typowego“ miasteczka, tylko z przypadku zatrzymał się na niem, nie zastanawiając się czego w porównaniu z innymi miasteczkami dostarczy jego wyczerpujący opis. W dodatku jest to pewnego rodzaju kolonia górnicza, posiadająca jednolitą ludność górniczą, pozbawioną więc wielkiej różnorodności zawodowej: i ten czynnik wskazuje na to, że będziemy tu mieli do czynienia z tem, co jest przypadkowym a w każdym razie nie reprezentacyjnym dla małomiasteczkowości w Stanach Zjednoczonych. Plotka, której autor wiele miejsca poświęca, a która tyle szkody wyrządza w miasteczku o 1400 mieszkańcach, gdzie wszyscy się znają (są tacy, którzy znają 95% osób z nazwiska lub z widzenia) i są ze sobą na „ty“ w interpretacji autora zupełnie nie daje poglądu na to, co jest w niej typowym. Czy np. w mieście liczącem 35 000 mieszkańców, a więc takim jak Muncie (odpowiada naszym Siedlcem), plotka nie jest przypadkiem zjawiskiem bardziej typowym? A może właśnie nieco większa liczba mieszkańców, a przez to i znajomość mniejszej liczby osób przez każdego z mieszkańców, stwarza lepsze warunki dla rozwoju plotki? Gdyby było inaczej, to w takim razie plotka byłaby najbardziej typowym zjawiskiem nietyłe dla miasta, ile dla wsi? Co cechuje w takim razie plotkę na wsi w przeciwstawieniu do plotki w mieście? Na wszystkie te pytania czytelnik w pracy Blumenthala nie znajdzie ani odpowiedzi ani nawet materiału. Z tych powodów można uważać, iż nie jest to praca o „małomiasteczkowości“ przy najmniej w tem rozumieniu, jak to ujmuje Blumenthal i prof. Burgess.

Lynd, który zastanawia się nad warunkami typowości procesu społecznego w mieście, który to proces musi stanowić całość z powikłanych i przecinających się nawzajem tendencyj w zachowaniach społecznych i postawach („unit complex of interwoven trends of behavior“) uważa też, że trudność stanowi analizowanie jakiegokolwiek strony życia społecznego miasta — w oderwaniu od całej reszty tego życia, przy ogromnej różnorodności jego objawów. Wzmagają się one jeszcze wobec ciągłego przekształcania się, którego szybkość i kierunek zależą od wielu czynników (bliskość podobnych ośrodków, ich siła oddziaływania kulturalnego, wprowadzanie wynalazków i ulepszeń, migracje itp.). W rezultacie jednak przyjmuje następujący plan pracy podzielonej na 6 rozdziałów:

1. Zarobkowanie
2. Życie domowe
3. Wychowanie
4. Wczasy
5. Religijność
6. Udział w samorządzie.

Blumenthal dzieli całość w sposób następujący:

1. Przeszłość i walka o byt („panorama z lotu ptaka“)
2. Organy kontroli społecznej
3. Życie grup społecznych
4. Zmiana społeczna.

Trzeba przyznać, że chociaż oba podziały te nie są podziałami właściwymi, jeśli chodzi o rozczłonkowanie i usystematyzowanie materiału socjologicznego, to *Small-town stuff* Blumenthala bardziej odpowiada temu warunkowi aniżeli pierwsza, której plan zbliża się do dawnych, tradycyjnych wzorów prac pseudo-ekonomicznego charakteru, a właściwie nie noszących charakteru ani pracy ekonomicznej ani socjologicznej. Najwięcej stosunkowo miejsca poświęca autor pierwszej pracy zagadnieniom z religią związanym, a najmniej — wychowaniu, drugi z autorów — rozłożył materiał bardziej jednakowo, więcej jednak miejsca oddaje zagadnieniom zmiany społecznej, mniej — organom kontroli społecznej. Chociaż objętość nie wskazuje bezpośrednio na wartość zawartego w poszczególnych działach materiału, wskazuje jednak w pewnym stopniu co w przekonaniu autora zasługuje na szczególowsze, a co na bardziej ogólne potraktowanie. Ani w pracy Lynda ani, tembardziej, Blumenthala zupełnie nie widać tła, na którym podmalowane zostało środowisko miejskie, przyczem Blumenthal bardziej na zarzut ten zasługuje, aniżeli Lynd, ponieważ zupełnie nie daje on tych przeplatań się społecznych, jakie zachodzą w miasteczku na tle powiązań z okolicznymi ośrodkami farmerskimi. U Lynda także niewiele dowiaduje się czytelnik o sile ciężenia społecznego w Muncie do innych wielkich miast, oraz o wpływie społecznym tegoż Muncie na bliższe, mniejsze ośrodki życia miejskiego i sąsiedztwa farmerskiego. Na zakończenie tych metodycznych roztrząsań warto zająć się kwestją w jaki sposób socjolog, przystępując do pracy nad monografią życia społecznego, chcąc zachować bezimiennność, ma uniknąć zafałszowania obrazu przedstawiającego prawdziwe stosunki życia. Oba miasta, o których mowa, zostały łatwo zidentyfikowane, pisze o nich prasa codzienna, a materiały któremi się autorzy posługowali dla celów naukowych a dotyczące prywatnego życia osób, mogą być łatwo wobec tego przeciw osobom tym użyte. Tego rodzaju stan rzeczy utrudnia bardzo wogóle badania socjologiczne i kładzie na autora trudny obowiązek właściwego doboru i przedstawienia materiału drażliwego; w wielu wypadkach niema innego wyjścia jak posługiwanie się materiałem, odnoszącym się do historii (czyjni to Blumenthal), który w każdym wypadku nie powinien już nasuwać tyle ograniczeń w kierunku zużytkowania naukowego, jak materiały z życia aktualnego.

U nas monografie socjologiczne miast i dyskusje na temat „typowego“ w tym kierunku jeszcze się nie zaczęły. Niewątpliwie jednak zagadnienia te staną się aktualne w najbliższej przyszłości i wówczas te metodyczne uwagi spehnią może tę rolę, jaką autor pragnąłby im nadać.

Edward Arnekker (Warszawa).

Lundberg George, Komarovsky Mirra, McInerny Mary Alice: *Leisure — A Suburban Study*. Columbia University Press. New York 1934, str. 396.

Książka łączy w sobie monografię okręgu podmiejskiego — powiatu Westchester, leżącego bezpośrednio na północ od New Yorku — z rozważaniem dróg i form spożytkowania wczasów przez szerokie rzesze ludności amerykańskiej. Będzie tu mowa o sposobie spędzania czasu wolnego od pracy przez ten typ ludności, który osiada na peryferjach metropolji (10% osób zawodowo czynnych stale dojeżdża do pracy w New Yorku), i to w warunkach szczególnie kuszących do rozrywki, zwłaszcza na świeżem powietrzu. Powiat Westchester jest bowiem jednym z głównych terenów zabawowych dla New Yorku. Ma również najlepiej postawiony system parków i bulwarów w całych Stanach (6% powierzchni stanowią przestrzenie parkowe).

Rozrywka pochłania coraz więcej czasu pracownika amerykańskiego. W 1840 robotnik korzystał z 12 godzin tygodniowo swobodnych od pracy i niezbędnego wypoczynku. W 1930 liczba ta potroiła się. Również kobieta-gospodyni została zwolniona od wielu zajęć w gospodarstwie. Wreszcie sprawa zorganizowania wolnych od nauki chwil dziecka ma doniosłe znaczenie.

Obok kwantum wolnego czasu — wzrosła także zamożność, jak również pomnożyły się sposobności zużytkowania wolnych chwil, umożliwiające pełne wyżycie się i zaspokojenie pragnienia ruchu i zabawy. Rozrywka weszła, jako jedna z pozycji, zarówno do budżetu czasu, jak do budżetu spożycia każdej rodziny amerykańskiej.

Rozdział III opisuje szczegółowo wszystkie rodzaje rozrywek, jakim może oddawać się mieszkaniec powiatu Westchester. Znacznie bardziej zajmujący jest rozdział następny, w którym dokonana została próba statystyki budżetu czasu różnych grup ludności miejscowej na podstawie ankiety, obejmującej około 2 500 osób (str. 92).

Godziny wolne od pracy, przejazdów i snu wynoszą przeciętnie 7,4 dziennie. Posiłki, zaliczone do wczasów ze względu na swój charakter towarzyski, zajmują naczelnie miejsce — upływa przy nich 25% czasu wolnego. Odwiedziny stanowią następną pozycję.

Rozrywki samotne, jak czytanie, nie zabierają zbyt wiele czasu, mimo rozpowszechnienia gazety (1 egzemplarz dziennika na 1,6 dorosłego mieszkańca powiatu — str. 319). Zwłaszcza uderzający jest stosunek sportów do czytelnictwa u studentów: pierwsze zajmują w badanej grupie około 95 minut dziennie, gdy czytanie zaledwie 44 minut. Radio, poza teatrem i kinem, jest bodaj najważniejszą pozycją rozrywkową. Niewątpliwie zmniejsza zaśięg książki i czytelnictwa.

Powiat Westchester zamieszkuje przeważnie ludność średniozamożna, rdzennie amerykańskiego pochodzenia (72% mieszkańców urodziło się na obszarze Stanów Zjednoczonych). Na peryferje wielkich miast przenoszą się zazwyczaj ludzie rodzinni i dietni. Przeważa typ domków jednorodzinnych. Utrzymują się te tradycje życia wioskowego i małomiasteczkowego, które

w sąsiednim New Yorku wymierają. Rodzina jest jeszcze podstawową grupą społeczną. Dokoła niej skupia się życie jej członków w chwilach wolnych od zajęć przymusowych.

Występuje to wyraźnie w układzie pozycij spożytkowania czasów — rozrywka poza gronem rodzinnem występuje słabo, jak na stosunki amerykańskie; zajmuje, u dorosłych przynajmniej, zaledwie około 10% godzin odpoczynkowych. Dwie trzecie rodzin przyjmuje gości w domu przynajmniej raz na tydzień (str. 186).

Niemniej zaznacza się już wyraźnie w młodym pokoleniu dążenie do stworzenia odrębnego świata rozrywkowego. Tylko 5% z pośród kilkuset uczniów, a 17% uczennic szkół średnich uważa spędzanie czasu w domu za najlepszy sposób uzyskania przyjemności (good time).

Jeszcze w większym stopniu, niż rodzina, kościół — do niedawna główna ostoja życia duchowego społeczności małomiasteczkowych w Ameryce — przestaje być instytucją, dokoła której skupiałoby się zorganizowane wspólżycie community. Mimo prób wkroczenia w dziedzinę działalności czysto świeckiej (kluby), a nawet wręcz rozrywkowej, czyli t. zw. instytucjonalizacji — sekty tracą zwolenników. Maleje liczba członków, zmniejsza się kontyngent stale uczęszczających na modlitwy i nabożeństwa. Kościół nie może wytrzymać współzawodnictwa z samochodem i golfem (str. 194). Ton rozrywkowy zawodzi i nie popłaca, zwłaszcza, gdy chodzi o młodsze pokolenie: szkoła jest zbyt potężnym współzawodnikiem w dostarczaniu rozrywki młodzieży.

Sekty, jak na to już zwrócił uwagę Max Weber, ustępują coraz bardziej miejsca klubom. W badanej grupie mieszkańców powiatu Westchester, co drugi należał przynajmniej do jednego klubu (str. 129). W bogatszych miejscowościach kluby rozrywkowe wysuwają się na czoło. Klub w coraz większym stopniu staje się grupą rozrywkową.

Poza omówieniem roli, organizacji rozrywkowej wogóle (rozd. V), następnie rodziny i kościoła w zużytkowaniu czasów, książka zawiera uwagi o szkole (rozd. VIII), której zarzuca nastawienie nazbyt utylitarne. Rozdziały, dotyczące życia artystycznego (IX) i czytelnictwa, oraz oświaty dorosłych (X) są znacznie mniej zaciekawiające. Zwłaszcza wówczas, gdy chodzi o zagadnienie sztuki w życiu codziennym, występuje brak perspektyw w ocenie pewnych zasadniczych procesów kulturalnych. Moment snobizmu, rozstrzygający w większości przejawów kultury amerykańskiej, jest całkowicie pominięty w ocenie zainteresowań artystycznych.

Książka jest wartości nierównej. Rozwlekła przedewszystkiem. Najbardziej wartościowe są opracowania paru dobrze pomyślanych ankiet (głównie w rozdz. IV). Mnóstwo roztrząsań luźnych, apoteozujących rolę wypoczynku we współczesnym systemie wielkoprzemysłowym, wypełnia dziesiątki stron. Filipiki przeciw wszechwładztwu dolara wychodzą zresztą dość blado. Bardzo znamienny dla obecnego kursu myśli społecznej w Ameryce jest natomiast nacisk, położony na rolę czynników publicznych w organizacji czasów (rozd. XI). Europejskiego polityka społecznego mile uderza postępująca

separacja zagadnienia czasów szerokich rzesz ludności od business'u i problemu forsowania spożycia.

Mimo wad swoich i dużej jałowości, książka przedstawia znaczną wartość jako zestawienie bogatego, żywego materiału. Od monografii Middletown napisanej przez Lynd'ów różni się korzystnie szerszym ujęciem zagadnień i mniejszą ilością zbytecznego „piasku“ w postaci drobnych drugorzędnych faktów. Chwilami zresztą bywa wskutek tego zbyt ogólnikowa. Socjologowi, korzystającemu z materiałów brak jakby bezpośredniej styczności ze środowiskami, z których czerpano dane: miasteczka te zostały scharakteryzowane bardzo pobieżnie i mgławicowo.

St. Rychliński (Warszawa).

Socjologia władzy i partyj politycznych.

C. H. E. Merriam: *Political Power. Its Composition and Incidence.* Whittlesay House, McGraw-Hill Book Co. New York and London, 1934, str. VII + 331.

W dociekaniach nad władzą polityczną, która jest tematem tej książki, punktem wyjścia rozważań autora, profesora University of Chicago, i jednego z najwybitniejszych przedstawicieli „political science“ w Ameryce jest ścieranie się grup i jednostek, oraz występujące łącznie z tym procesem dążenie do równowagi społecznej. Autor nie interesuje się ani historią form państwowych, ani historycznymi początkami władzy, lecz tą sytuacją (lub sytuacjami) społeczną, której występowanie rodzi potrzebę władzy. Interesuje go socjo-psychologiczna geneza władzy.

Stwierdziwszy na wstępie, że „władza jest przede wszystkim zjawiskiem spójni grupowej i skupienia, dzieckiem koniecznej potrzeby grupowej lub użyteczności, funkcją społecznych stosunków ludzi“ (16), autor rozpatruje ją jako zjawisko „równowagi pomiędzy grupami, klasami, odłamami społeczeństwa, jakkolwiek byśmy je określili“. „Przystosowanie się tych grup (i jednostek w nich) stwarza sytuację, z której wyłania się władza polityczna, bądź to jako niechybna konieczność w niebezpieczeństwie, bądź to jako twórcze dostosowanie się o charakterze współdziałania, ujęte może rozumowo jako optymalny stan życia“ (17). W ten sposób „funkcjonalna sytuacja, w której rozwija się to, co polityczne, nie jest domaganiem się siły jako takiej, ale potrzebą jakiejś formy równowagi, przystosowania, modus vivendi pomiędzy różnymi grupami i jednostkami w społeczeństwie; w wielu wypadkach jest pożądanym w istocie rzeczy zamiast siły“ (21). Ten stan równowagi zależny jest jednak od wystąpienia w odpowiedniej sytuacji jednostek z ambicjami władczyimi. Za pośrednictwem tych jednostek stan równowagi realizuje się. Zawsze jednak „sytuacja władztwa zawiera szereg międzygrupowych stosunków, domagających się równowagi i jakiegoś porządku, który byłby znośniejszy od zła wynikającego z braku wspólnych urządzeń i porozumienia“ (23).

Z przedstawionym punktem wyjścia autora wiąże się druga cecha jego stanowiska. Przeciwwstawia się on nadawaniu władzy politycznej swoistego, jedyne go w swoim rodzaju charakteru, ale z naciskiem podkreśla, że władza polityczna jest jedną z „rodziny władz”. „Organizacja, przywództwo, odpowiedzialność, moralność i dyscyplina nie ograniczają się do rządu i gdyby tak było to funkcjonowanie społeczności politycznej byłoby trudne. Rząd znajduje w społeczności oparcie, oraz pobłażliwość dla rzeczywistych i wyimaginowanych odchyłeń od sprawiedliwości i kompetencji, nie dlatego, że jest czemś niezwykłym, ale ponieważ ma wiele wspólnego z innymi formami społecznego życia, ponieważ podobne postawy, interesy, narzędzia i procesy występują w innych grupach“ (47). Cały rozdział „Rodzina władzy“ poświęca autor analizie władz rywalizujących z władzą polityczną: władzy kościelnej, grup narodowych i wogóle wszelkich grup w państwie. Każda z tych grup ma swoją władzę. Nie wszystkie formy władzy są przytem prawnie uznane: przeciwnie są grupy, które posiadają władzę niesankcjonowaną przez prawo (np. gansterzy, których kontakty polityczne w Stanach Zjednoczonych zwłaszcza w czasie prohibicji są rzeczą dobrze znaną). Tym zagadnieniem poświęca autor R. III p. t. „Prawo wśród wyjętych z pod prawa“.

Sytuację władztwa kształtują wspólnie władcy i „podwładni”. Władcy są często przedmiotem kultu (Rozdz. IV), a pomiędzy wielkimi ruchami politycznymi a religijnymi zachodzą duże podobieństwa. Przywódca polityczny jest funkcją społecznej sytuacji i cechy przywódcy odpowiadają grupowej sytuacji, z której wyłania się on. Przywódca nie może być zbyt oryginalny, gdyż wtedy nie znalazłby oddźwięku u zwolenników (32—35). Dochodzenie do władzy jest procesem doboru, w którym zwycięża „the fittest”. Czynniki tego doboru i techniką utrzymywania się przy władzy zajmuje się rozdział p. t. *The survival of the fittest*. Autor podkreśla ścisły związek pomiędzy postawą poświęcenia u przywódcy, a taką postawą u zwolenników (241). Rozdział VIII poświęca „abnegacji a drodze do władzy“.

Ze stanowiska socjo-psychologicznego, z jakiego zagadnienie władzy rozważa prof. Merriam, nie można mówić ani o niepodzielnej władzy ani o nieograniczonej władzy. Jako funkcja stosunków społecznych określonego rodzaju władza z istoty swojej jest związana, ograniczona a każde wydane przez władcę prawo lub utrzymujący się zwyczaj władzę tę ogranicza. „Można powiedzieć — pisze autor — że ceną władzy jest jej ograniczenie“ (20). Wszystko, co leży poza granicami określonymi w danej sytuacji społeczno-obyczajowej to są nadużycia władzy, o nich — o intrydze, podejściach, korpucji — jako czynnikach sytuacji władztwa traktuje rozdział piąty.

Złudzeniem jest wszechmoc władzy. Bynajmniej „nie jest ona najsilniejsza wtedy, kiedy posługuje się gwałtem, lecz przeciwnie jest najsłabsza“ (180). „Gwałt w rządzeniu, jak i w innych stosunkach jest przyznaniem się do słabości“ (296). Ograniczeniu władzy jest poświęcony rozdział „Niemoc władzy“. Rozdział IX traktuje o „Chorobach i upadku władzy“. Książkę zamyka przedstawienie tendencji nurtujących współczesne stosunki polityczne.

Całość książki daje więc analizę władzy, jako sytuacji społecznej, w której stale ścierają się ze sobą czynniki utrzymujące tę sytuację z zagrażają-

ce mi jej. Wnikliwe wydobyć na wierzch tendencji do samorozkładu w sytuacji władzy należy do największych zasług autora.

Podkreśla on łatwość, z jaką władca traci zdolność wnikliwego rozumienia rzeczywistości społecznej i wczuwania się w nią, właśnie dzięki posiadanej władzy. „Zdolność władzy wnikania w sytuacje społeczne — pisze — zaciemnia się często na skutek właśnie tej atmosfery, jaką stwarza sam autorytet. Władzę otaczają zawsze dworzanie i pochlebcy, ci, co szukają łask, korzyści, i odznaczeń u rządu. Starają się oni stać się przyjemnymi przez mówienie władcom, tego co przyjemne, choćby nieprawdziwe. Nie chcą może ich zwodzić, lecz tylko szukają uznania. W ten sposób władza rodzi swoją własną destrukcję“ (272).

Nietylko powstaje zafałszowana rzeczywistość dla użytku władzy, ale władza nie pozwala prostować fałszów, w których zresztą fałszu nie widzi. „Jest to rzecz naturalna, że rządy przekładają układność nad krytycyzm, a uległość nad ducha buntu. Łatwiej bowiem zauważyć szkody wynikające z braku uległości, gdyż są bliższe, niż szkody z bezkrytycznej uległości, które są bardziej odległe i zawsze wydają się mniej realne“ (28).

(To niebezpieczeństwo mają m. in. na oku obrońcy angielskiego systemu dwóch partyj. Znakomity historyk angielski, G. M. Trevelyan w świetnym szkicu p. t. *The Two-Party System in English Political History*, Oxford 1926, s. 25, pisze: „Tak niedoskonała jest ludzka natura, że żadna partja poszczególna nie mogłaby mieć racji (we wszystkim)... tak silnie występuje w psychice politycznej instynkt do kojarzenia idei, które nie są ze sobą logicznie powiązane. Stąd konieczność istnienia dwóch partyj. Jedna nigdy nie może objąć całego terenu“.)

Analiza władzy jako zjawiska równowagi społecznej w sytuacji rywalizujących ze sobą grup społecznych, dążności i typów osobowości jaką dał prof. Merriam w swojej książce, wzbogaca literaturę polityczno-socjologiczną o bardzo cenną pozycję. Nie zmniejsza zasługi autora fakt, że próby podobnego ujęcia istniały już przedtem, że wspomnę tylko pracę A. F. Bentley'a (*The Process of Government: A Study of Social Pressures*, Chicago 1908), który rozpatruje proces rządzenia, jako proces ścierania się wpływów różnych grup społecznych. Sam Merriam kilka lat temu dał interesujące studjum porównawcze (*The Making of Citizens. A Comparative Study of Methods of Civic Training*, Chicago 1931)* kształtowania się lojalności

* Praca ta jest opracowaniem wyników całej serii studjów osobno opublikowanych na temat czynników kształtowania się psychiki politycznej w różnych krajach. Serja ta obejmuje: E. Weber: *The Duk-Duks* (o wychowaniu obywatela u ludów pierwotnych); S. H. Harper: *Civic training in Soviet Russia* 1929; J. M. Gaus: *Great Britain A study of civic loyalty*; O. Jászai: *The Dissolution of the Habsburg Monarchy*; H. W. Schneider i S. B. Clough: *Making fascists*; R. C. Brooks: *Civic training in Switzerland. A study of democratic life* 1930; P. Kosok: *Modern Germany. A study of conflicting loyalties* 1933; C. J. Hayes: *France*; J. L. Pierce: *Civic attitudes in American textbooks* 1930.

obywatelskiej, w którym postawienie zagadnienia było zbliżone do postawienia zagadnienia władzy w „Political Power“. Lojalność państwową traktował tam jako jedną z rywalizujących ze sobą lojalności społecznych (competing loyalties). Wreszcie, jeżeli chodzi o naszą literaturę naukową, to pewne punkty styczne znaleźć można w rozdziałach traktujących o mocy i władzy w książce prof. Znamierowskiego (*Prolegomena do nauki o Państwie*, 1930). Powiedziałbym nawet, że „Prolegomena“ i „Political Power“ przedstawiają dwa wzorowe, a zupełnie odrębne ujęcia tego samego zagadnienia. I tu i tam przedmiotem analizy jest sytuacja społeczna rodząca władzę czyli s o c j o g e n e z a w ł a d z y. Pomijając jednak różnice w odrębnej kompozycji tych prac (Znamierowskiego rozważania o władzy służą bowiem wyjaśnieniu zjawisk stanowienia norm, — a u Merriama stanowią centralne zagadnienie książki) Znamierowski daje raczej statyczną analizę sytuacji władzy (stosunku władzy). Jest to statyka stosunku władzy z nadzwyczajną precyzyjnością logiczną rozgraniczającą elementy tego stosunku. Merriam natomiast przedstawia raczej dynamikę stosunku (sytuacji) władzy: proces a nie stan, uwypuklając raczej powiązania funkcjonalne procesów, niż dążąc do ich rozgraniczenia. Podkreśla więc np. powiązanie przeżyć religijnych i estetycznych z politycznymi itp. Brak troski o ściślejsze rozgraniczenie, a nawet głębszą analizę, czy to rodzajów stosunku (sytuacji) władzy, czy jej poszczególnych elementów, czy typów władztwa idzie nawet czasem u Merriama zadaleko, a praca robi wrażenie publicystycznej. Autor daje raczej odczucie problemów poruszanych w ich możliwie najbogatszym kontekście przeżyciowo-społecznym, niż wyczerpującą analizę bardziej ograniczonych aspektów stosunku władzy, co po mistrzowsku czyni Znamierowski.

Autor ma jednak znakomite wyczucie problematyki politycznej; a wysoką kulturę intelektualną, rozwiniętą zarówno na wzorach europejskich jak i amerykańskich, łączy z doświadczeniem wybitnego aktywnego polityka, który w swoim czasie kandydował nawet na burmistrza Chicago. Będąc równocześnie utalentowanym pisarzem, wprowadza czytelnika od razu in medias res i utrzymuje go stale w ścisłym kontakcie z procesami politycznymi, z tem, co w sytuacji władzy ustawicznie *dzieje się*. Zamykając książkę, czytelnik rozumie nie tylko całą złożoność sytuacji władztwa, lecz, co ważniejsze, uświadamia sobie całą doniosłość teoretyczną i praktyczną tego j e d y n e g o naukowego stanowiska, dla którego władza nie pochodzi ani od Boga, ani też od jakiegos specjalnego „etosu państwowego“ (Dr. K. Sośnicki: *Podstawy wychowania państwowego*), nie jest niczem „sama w sobie“, lecz jest tylko n a z w ą dla pewnej sytuacji społecznej czy stosunku społecznego. Gdyby ten elementarny fakt został powszechnie zrozumiany, przynajmniej wśród piszących na temat państwa, władzy i wychowania państwowego, to nie tylko mniej ukazywałoby się nieodpowiedzialnych książek w tym zakresie, ale przede wszystkim dopiero wtedy możliwe stałoby się naukowe badanie zagadnień władzy państwowej i państwa, a wiele dotychczasowych publikacyj o pozorach naukowości biblioteki katalogowałyby w dziale „teologii państwa“, a nie „nauki o państwie“. Książka Merriama, pisana częściowo w Berlinie, naprzeciw budynku, w którym wykładał

Hegel, stanowi doskonałe antidotum na teorje niemieckie wyrosłe pod wpływem Hegla i Kanta, które, niestety, i na nasze myślenie o państwie wywierają tak przemożny wpływ. Naukowa wartość książki, jej aktualność, a równocześnie bardzo przystępne i z talentem pisarskim przedstawienie problemów sprawiają, że książka zasługiwałaby bardzo na przyswojenie jej językowi polskiemu.

Józef Chalasiński (Warszawa).

Konrad Heiden: *Geschichte des Nationalsozialismus*. Die Karriere einer Idee. Rowohlt. Berlin 1933. Str. 304.

Konrad Heiden: *Geburt des dritten Reiches*. Die Geschichte des Nationalsozialismus bis Herbst 1933. Europa-Verlag. Zürich 1934. Str. 272.

Fritz Sternberg: *Der Faschismus an der Macht*. Contact. Amsterdam 1935. Str. VIII + 328.

Ignazio Silone: *Der Fascismus*. Seine Entstehung und seine Entwicklung. Europa-Verlag. Zürich 1934. Str. 294.

Socjologia życia politycznego należy do najslabiej opracowanych działów socjologii. Twierdzenie takie może wydać się dziwnem i nieuzasadnionem. W rzeczywistości jednak literatura socjologiczna w stopniu tylko bardzo nieznacznym wyszła poza zakres zagadnień ogólnych, słabo tylko uwzględniając konkretne zjawiska życia politycznego. Wyraźnie się to zaznacza, gdy chodzi o zagadnienie partji politycznej. Pomijając to niewątpliwie cenne i interesujące, co dał Pareto już choćby w „Le système socialiste“, faktycznie dopiero Michels postawił zagadnienie socjologii partji politycznej na właściwej platformie. Ale książka Michelsa, zwracająca całą uwagę na zagadnienie struktury organizacyjnej grupy partyjnej, wysunęła tylko pewne problemy i to traktując je w skali dość ogólnej. Niemniej znaczenie jej było bardzo duże i w każdym razie dawała ona pewien program prac, które w następstwie należało przeprowadzić. Kryła się w tym programie pewna jednostronność, ale niemniej zagadnienie zostało tu postawione.

Trzeba jednak stwierdzić, że od książki Michelsa, która w pierwszym swem wydaniu ukazała się jeszcze przed wojną, stan badań nad socjologią partji politycznej nie posunął się zbyt naprzód. Oczywiście istnieje szereg prac przyczynkowych, najczęściej pisanych dorywczo i niewiele mających wspólnego z nauką, ale rozpraw tego typu, co Gumperza o amerykańskich partjach politycznych lub choćby Neumanna o partjach niemieckich, jest nadwyraz mało. Sam Michels w książce swej o socjalizmie i faszyzmie we Włoszech dał wiele cennych uwag, głównie odnoszących się do zagadnienia rozwijania się aparatu partyjnego, ale nie dał więcej, niż powiedział w swej podstawowej pracy. Zresztą pracę o faszyzmie pisał w tym okresie, w którym nie mógł jeszcze posiadać dostatecznej ilości wystarczających danych.

Siłą rzeczy też ktoś, kto się interesuje socjologią partji politycznej, musi zwracać pilną uwagę na literaturę polityczną zwłaszcza typu publicystycznego. Literatura taka, gdy chodzi o problem partji politycznej, jest wcale bogata i można w niej znaleźć szereg interesujących uwag o dużem znaczeniu teoretycznem. Szczególnie na marginesie t. zw. kryzysu demokracji oraz kryzysu partji politycznej zjawiała się, obok całej masy publikacji bezwartościowych, pewna ilość prac cennych o znaczeniu dla socjologii życia politycznego wogóle, a socjologii partji politycznej w szczególności.

Na pierwszym miejscu występuje tu zagadnienie ewolucji partji politycznej, jaka na naszych oczach zachodzi. Ewolucję tę Neumann określa w sposób następujący: „Man könnte ganz allgemein sagen, dass in der Gegenwart die reine Repräsentationspartei immer stärker durch den Typus der Integrationspartei abgelöst wird.“* Mówiąc o Repräsentationspartei, ma Neumann na myśli typ stronnictwa politycznego charakterystyczny dla ustroju liberalnego. Partja jest dobrowolnem skupieniem wyznawców danego programu i danej taktyki, którzy z całym aparatem partyjnym pozostają w dość luźnym związku osobistym. Cała aktywność partji skierowana jest na przygotowywanie się do wyborów i na same wybory, a obowiązki członków stronnictwa sprowadzają się przedewszystkiem do głosowania w czasie wyborów zgodnie z dyrektywami kierownictwa partyjnego. Partja w stopniu bardzo nieznacznym wkracza w sferę życia jednostkowego swych członków, nie nakładając na nich specjalnych zobowiązań natury moralnej czy praktycznej. Typ drugi, który Neumann określa jako Integrationspartei, cechuje ścisłe związanie członków z aparatem organizacyjnym, przyczem partja wymaga od swych uczestników określonego stylu życia, nakłada na nich szereg wyraźnych zobowiązań, normujących stosunek ich do grupy partyjnej i grupy partyjnej do nich. Jako typowy przykład może tu posłużyć tak istotne dla przedwojennej socjalnej demokracji zagadnienie, czy członek partji może należeć do masonerji, czy może korzystać z pracy najemnej itd. Grupa w sposób wyraźnie rygorystyczny wkracza tu w sferę życia prywatnego swoich uczestników i stawia im szereg postulatów moralno-praktycznych. Partja tego typu jest więc grupą spoiłą i pod względem pewnych swych właściwości przypomina zakon czy sektę religijną.

Już Michels, analizując partję socjalistyczną, mocno podkreślał działanie w niej owych momentów integracyjnych. I rozdziały książki Michelsa poświęcone temu zagadnieniu dostarczają całej masy pouczających przykładów. Neumann, ogłaszający swą pracę w r. 1932, ma pod tym względem materiał jeszcze bardziej wyraźny w partjach takich, jak faszystowska włoska, narodowo-socjalistyczna i komunistyczna. Partje te określa Neumann jako „absolutistische Integrationsparteien“. „Sie alle tragen ordnungsmässigen Charakter. Eindeutige personelle Führung, hierarchischer Aufbau, straffe Durchorganisation in mehr-minder militärischen Formationen mit der Tendenz zur Exklusivität und zur ausschliesslichen Rekrutierung aus eigenen Reihen, aus den Jugendorganisationen der Partei (Balilla und Avanguardia, Komsomol-

* Sigmund Neumann: *Die deutschen Parteien*. Str. 108.

zen und Hitlerjugend), die als unumgehbare Vorbereitungszeit für die kommenden Ordensbrüder fungieren — diese Grundelemente der sich neu entwickelnden politischen Gruppen bestimmen ihren eminent „bündischen“ Charakter“.* Struktura organizacyjna takiej partji redukuje do minimum momenty demokratyczne, od uczestników wymagana jest całkowita jednomyślność i całkowite posłuszeństwo w stosunku do wszelkich zarządzeń aparatu kierowniczego, nawet gdy głęboko wkraczają w najbardziej prywatne sfery życia jednostkowego uczestników.

Zdumiewająca karjera faszystowskiej partji włoskiej i narodowo-socjalistycznej niemieckiej i powstanie wraz z tem zwycięstwem systemu „monopartyjnego“, łatwość, z jaką uległy stromictwa antagonistyczne — wszystko to musiało zwrócić szczególną uwagę na owe absolutistyczne Integrationsparteien. Pomijając momenty ściśle polityczne, jest tu dość miejsca dla zainteresowań socjologicznych, niezależnie od takich czy innych sympatyj politycznych. Many przed sobą szereg książek typu raczej publicystycznego, które jednak są niezmiernie cennym wkładem, umożliwiającym zrozumienie procesów powstawania, rozwijania się, a również i rozpadu absolutystycznych partji integracyjnych. Książki, które omawiamy, zajmują się zresztą tylko partjami faszystowskimi, rozumiejąc przez to zarówno faszyzm włoski, jak i niemiecki narodowy socjalizm.

I Heiden i Sternberg i Silone są ideologicznymi przeciwnikami kierunków, któremi się zajmują. Zaznacza się to oczywiście bardzo wyraźnie w ocenach przez nich stosowanych i w sposobie podchodzenia do zagadnień. Subiektywizm ten jednak nie pomniejsza wartości samych prac, które umożliwiają trafne orjentowanie się w całym szeregu zagadnień. Tu trzeba dodać, że jakkolwiek faszyzm włoski wydał bardzo bogatą literaturę apologetyczną, to jednak poziom jej jest naogół niski i wyróżnia się na niekorzyść w porównaniu z książką Silone.

Dwie książki Konrada Heidena zajmują się historją partji narodowo-socjalistycznej. Pierwsza z nich, napisana przed przewrotem i wydana jeszcze w Berlinie, zajmuje się głównie wczesnym okresem rozwoju partji nazistycznej, druga natomiast, poruszając ogólnikowo prahistorję ruchu, koncentruje całą uwagę na okresie przed objęciem władzy i na samem objęciu władzy. Obydwie książki wysuwają szereg zagadnień niezmiernie istotnych dla problemu nietylko partji narodowo-socjalistycznej, ale wszelkiej partji absolutystyczno-integracyjnej.

Przedewszystkiem wysuwa się zagadnienie struktury organizacyjnej. Już Michels kładł szczególny nacisk na to, jaką rolę w organizacji masowej partji robotniczej odgrywają elementy militarne. Płynąc z charakteru bojowego partji, wytwarzają one swoistą hierarchję organizacyjną, która ma wszelkie cechy organizacji militarnej. Obok tego charakter bojowy partji wyraża się w całej jej taktyce, w stylu jej odezw, w bojowym charakterze jej zwołań. Michels subtelnie wykazywał, jak w samej strukturze organizacyjnej partji demokratycznej zawierały się implicite momenty, wyznaczające przyszły kry-

* Neumann: *Op. cit.*, str. 110.

zys partij ustroju demokratycznego. Wojna światowa, przynosząc militaryzację całego życia społecznego, musiała niezmiernie spotęgować te tendencje, jakie istniały już przed wojną. Gdy chodzi o narodowy socjalizm, to powstał on jako swego rodzaju przybudówka przy Reichswerze, jako jedna z wielu prób politycznego przenikania władz wojskowych w społeczeństwo niemieckie. Heiden dostarcza tu masę materiału, który zarówno wyjaśnia nam zasadnicze momenty genezy partji, jak i pozwala zrozumieć czynniki jej struktury organizacyjnej.

Ze sprawą genezy pozostaje w najściślejszym związku kwestja tych czynników, które dały partji jej podstawę finansową i dzięki temu możność ekspansji politycznej. Rzecz charakterystyczna, że zarówno Heiden, który pisze o narodowym socjalizmie, jak i Silone, który zajmuje się faszyzmem włoskim, stwierdzają, że bez czynnego poparcia wielkich kapitałów nie byłby możliwy rozwój ani jednej ani drugiej partji.

Specjalnym problemem są perypetje elity partyjnej, której spoistość decyduje o spoistości całej grupy. Czytając odpowiednie ustępy książek Heidena, przypominamy sobie mistrzowskie opisy Pareto, który z dziejów narodowego socjalizmu mógłby zaczerpnąć dla swej teorii wiele przykładów. Wogóle prace Heidena, a zwłaszcza druga z nich, nabierają szczególnego sensu, gdy się je zestawi z rozdziałami „Traité de la Sociologie Générale“.

Książka Sternberga zajmuje się głównie stroną gospodarczą zagadnienia narodowego socjalizmu. Z punktu widzenia socjologicznego najciekawsza jest tu część pierwsza, choć sporo ciekawych spostrzeżeń można znaleźć i w dwóch pozostałych. Najbardziej godne uwagi są tu te ustępy, w których autor zajmuje się kwestją warstw średnich. Sprawą tą zajmował się zresztą i Heiden w związku z zagadnieniem bazy rekrutacyjnej dla partji narodowo-socjalistycznej. Sternberg jednak stawia zagadnienie szerzej i w sposób, jak sądzimy, przekonywujący. Jednym z popularnych uproszczeń było przekonanie, że postęp kapitalizmu likwiduje warstwę pośrednie, sprowadzając je do proletariatu. Sternberg wykazuje, że uproszczenie to nie tylko było fałszywe, ale że w praktyce stało się przyczyną wielu błędów taktycznych. W samych Niemczech warstwy średnie obejmują 40% całego zaludnienia. A co więcej, tempo przyrostu liczby urzędników przemysłowych i handlowych było szybsze, niż przyrostu proletariatu fabrycznego. Kryzys gospodarczy niezmiernie silnie dotknął te warstwy, stwarzając wśród nich warunki psychosocjalne do pójścia za ideologią narodowo-socjalistyczną.

Pomijamy tu zupełnie inne zagadnienia, zawarte w książce Sternberga, które — nawiasowo to zaznaczamy — nasuwają cały szereg poważnych zastrzeżeń. Chodzi tu przede wszystkim o jego teorię schyłkowego kapitalizmu oraz o analizę pewnych faktów, przeprowadzaną na podstawie tej teorii. Zajmując się omawianą pracą jedynie pod kątem widzenia problemu partji hitlerowskiej jako określonego zjawiska społecznego, nie możemy nie uznać, że dla zrozumienia tego zjawiska dostarcza ona wiele cennego materiału.

Osobne miejsce zajmuje książka Silone, poświęcona zagadnieniu faszyzmu włoskiego. Ujęta politycznie i pisana z dużym zacięciem i werwą, jest ona bodaj najlepszą publikacją, jaka dotąd na ten temat została napisana.

Zestawiona z powyżej omówionymi książkami, pozwala ona na postawienie problemu, czy i w jakiej mierze można widzieć w faszyzmie włoskim i w hitleryzmie niemieckim poszczególne wypadki ruchu ogólnego. Otóż nie ulega wątpliwości, że przy wszystkich odrębnościach, które są następstwem lokalnych warunków każdego kraju, mamy tu do czynienia z procesami powszechnymi o wspólnym podłożu rzeczowym, o analogicznych przebiegach i o tych samych elementach wyznaczających. Ze względu na pierwszeństwo chronologiczne faszyzmu włoskiego możemy nazwę „fasyzm“ generalizować, odnosząc ją do wszystkich tych ruchów społecznych, które posiadają określone zasadnicze cechy identyczne czy w każdym razie niezmiernie do siebie zbliżone. Książka Silone, zestawiona z książkami Heideny, umożliwia poczynienie takich generalizacji, a w każdym razie stanowi razem z nimi dogodny punkt wyjścia dla źródłowych badań nad zagadnieniem faszyzmu.

W końcowym rozdziale swej książki wychodzi Silone poza obręb włoski i stara się dać ogólną teorię faszyzmu wogóle. Jeśli chodzi o zagadnienie powstania faszyzmu, to, chronologicznie rzecz biorąc, powstaje on dopiero wtedy, gdy ustroj kapitalistyczny zaczyna być poważnie zagrożony. Zaznacza się to najsilniej w krajach o względnie słabej strukturze ekonomicznej, gdzie tradycje własnej państwowości nie tkwią zbyt głęboko w masach, gdzie jednak zarazem silnie zaznaczają się przeciwieństwa klasowe i gdzie w wyniku trwającego kryzysu gospodarczego nastąpił rozkład tradycyjnych partij mieszczańskich. W pierwszej swej fazie fasyzm jest ruchem patryjotycznym, który bazuje na warstwach średnich, zgnębionych przez kryzys i zniechęconych do swych partij tradycyjnych. Zarazem skupia on robotników, zawiedzionych w swych nadziejach rewolucyjnych, którzy się buntują przeciwko swym partjom proletarjackim. Ośrodkiem jednak są tu elementy drobnomieszczańskie, inteligentkie i kombatanckie. Drobnomieszczaństwo wszakże nie jest siłą samodzielną i może być użyte zarówno przez reakcję, jak i przez rewolucję. W dalszych fazach rozwojowych ruchu faszystowskiego drobnomieszczaństwo zostaje użyte przez wielki kapitał dla obrony jego stanu posiadania. Działo ono w najlepszej wierze, przekonane, że jest siłą samodzielną i że realizuje przebudowę ustroju. Nie zdaje sobie sprawy z istotnej roli, jaką odgrywa. Specjalne znaczenie dla rozwoju ruchu faszystowskiego ma zależność jego od wielkich kapitałów, które ruch finansują, wyznaczając mu cele i zadania.

Ujęcie Silone nie jest wolne od bardzo znacznych uproszczeń. Rozwój ruchu faszystowskiego ma liczne swoje odchylenia i nie da się w całości zamknąć w ramach powyższego schematu. Silone operuje tu pewnymi stereotypami, które upraszczając zaciemniają obraz, zamiast go wyjaśnić. Oczywiście zależność faszyzmu od alimentujących go wielkich kapitałów jest rzeczą bezsporną. Ale z drugiej strony wielki kapitał nie jest jakimś monolitem i zwłaszcza dziś, w okresie długotrwałego kryzysu, zachodzą tu daleko posunięte rozbieżności, które nie są bez wpływu na rozwój ruchu faszystowskiego i jego poszczególne sytuacje. Podobnie drobnomieszczaństwo jest czemś niezmiernie różnorodnym i różnorodność ta ma znów swoje poważne konsekwencje dla rozwoju faszyzmu.

Jakkolwiek formuła Silone grzeszy, jak wszelka formuła, swemi symplifikacjami, to jednak ma ona wartość orjentacyjną. Albowiem w najogólniejszym zarysie wprowadza pewne momenty rzeczywiście istotne dla rozwoju ruchu faszystowskiego. Nie należy jej tylko traktować w sposób schematyczny i formalny.

Zagadnieniu ewolucji współczesnej partji politycznej dostarcza książka Silone sporo ciekawego materiału. Specjalnie gdy chodzi o teren włoski, to istniały tu swoiste warunki, które ułatwiały tworzenie się nowego typu stronnictwa politycznego.

Omówione przez nas cztery książki, poddawane każda z osobna szczegółowej analizie, mogą nasuwać takie czy inne poważne wątpliwości. Najwięcej ich nasuwać może książka Sternberga, która najbardziej stara się odbiec od typu literatury publicystycznej. Na książki te jednak patrzmy pod specjalnym kątem widzenia: szukamy w nich materiału, mogącego posłużyć do oświetlenia problemu ewolucji współczesnej partji politycznej, biorąc za podstawę partje faszystowskie niemiecką i włoską jako reprezentantki typu neumaunowskiej „absolutistische Integrationspartei“. Każdy, kto tem zagadnieniem się interesuje, musi zapoznać się z omówionymi pracami.

Aleksander Hertz (Warszawa).

Harold J. Laski: *The Crisis and the Constitution, 1931 and after*. Day to day pamphlets. No. 9. The Hogarth Press and the Fabian Society. London 1932, str. 64.

Od początku bieżącego stulecia w strukturze społeczno-politycznej Anglii dokonują się głębokie przekształcenia. Cechą tego procesu jest upadanie liczebności i znaczenia partji liberalnej, a wzrost liczebności i znaczenia Partji Pracy. Poczynając od 1906 r., to jest od daty założenia Partji Pracy, partja liberalna z /każdych wyborów wychodzi coraz słabsza, a Partja Pracy przeważnie coraz silniejsza. W wyborach 1923 r. Partja Pracy przeprowadziła do Parlamentu 191 członków, a partja liberalna 158; w wyborach w następnym roku, po rozwiązaniu Izby Gmin, obydwie partje straciły na rzecz konserwatystów, Partja Pracy wyszła jednak ze 151 mandatami, podczas gdy partja liberalna tylko z 39. W wyborach 1929 r. Partja Pracy zdobyła 287 mandatów, z których w wyborach 1931 straciła 240 na rzecz konserwatystów. Układ sił politycznych Anglii po Wielkiej Wojnie zmienił się więc zasadniczo. Głównym przeciwnikiem partji konserwatywnej stała się Partja Pracy, a partja liberalna, dominująca siła polityczna przez wielką część XIX w., zesłała do roli drugorzędnej.

W procesie tym Laski przypisuje dominujące znaczenie zmianom w ekonomicznym życiu Anglii, wiążącym się z upadkiem jej stanowiska jako głównego producenta i eksportera świata. Wspólna ekonomiczna funkcja, jaką była produkcja dla reszty świata, łączyła przedsiębiorców i robotników. Ekspansja zagraniczna Anglii na rynkach zagranicznych wzbogacała klasę mieszczańsko-przemysłową i, choć nieproporcjonalnie, podnosiła także za-

robki robotnika. W takich warunkach i wobec niewyrobiaenia politycznego mas robotniczych, nietrudno było o zyskanie głosów robotniczych obietnicami praw politycznych, obfitością pracy i taniego chleba oraz odpowiednią polityką społeczną. W rezultacie partja liberalna aż do końca XIX stulecia reprezentowała w parlamencie interesy robotników.

Z rozwojem przemysłowym innych krajów, Anglja straciła bezkonkurencyjne stanowisko producenta świata a konkurencja Niemiec, Ameryki i innych krajów skłoniła rząd do odstąpienia od zasady wolnego handlu i wprowadzania ograniczeń celnych. Indywidualizm gospodarczy stracił grunt pod nogami, a partja liberalna swą ekonomiczną rację bytu. Równocześnie znikła ekonomiczna podstawa porozumienia ruchu robotniczego z liberalnym. Ze skurczeniem się bowiem terenów ekspansji przemysłu angielskiego, i wobec konkurencji tańszego robotnika innych krajów, organizm gospodarczy kraju wymagał, zdaniem przemysłowców, redukcji świadczeń społecznych i płacy. Odtąd też interesy ekonomiczne i dążenia życiowe dzieliły społeczeństwo angielskie na dwa obozy polityczne: pracoborców i pracodawców, pracę i własność. Zorganizowana praca, reprezentowana przez Partję Pracy, dąży do wprowadzenia socjalizmu; klasa zaś własności do zachowania dotychczasowego swojego znaczenia ekonomicznego i politycznego.

W tym nowym układzie sił arystokracja rolnicza i arystokracja przemysłu i kapitału, stanowiące w XX w. punkt wyjścia dla dwóch różnych partyj: konserwatywnej i liberalnej, zbliżyły się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa socjalizmu. W tem leży tajemnica upadku partji liberalnej, która traci swoich zwolenników na rzecz partji konserwatywnej i Partji Pracy. Wielu wybitnych liberalów przeszło już do konserwatystów, a młode pokolenie liberalnie myślące zasila szeregi Partji Pracy.

„Nieuniknionym rezultatem — pisze H. J. Laski — jest skonsolidowanie się sił kapitalizmu przeciw siłom socjalizmu. Takie jest prawdziwe znaczenie powojennego upadku partji liberalnej. Jej historyczna misja skończyła się z chwilą, kiedy kapitalizm osiągnął granice ustępstw, jakie mógł robić. Konflikt partyjny przeniósł się z peryferyj władzy do samego jej centrum... (Rozkwit gospodarczy) stanowi jedyną atmosferę, w której mógłby odżyć liberalizm jako siła polityczna. W przeciwnym razie pozostanie on słabnącem wspomnieniem pewnego historycznego okresu, który zniknie zupełnie kiedy ze sceny politycznej zejda jedna po drugiej te postacie polityczne, które swój osobisty prestiż dają jeszcze tej partji“ (40).*

Ten nowy układ sił politycznych różni się jednak zasadniczo od dawnego, a różnica ta dotyka podstaw systemu parlamentarnego. „Nasze zmieniające się gabinety — cytuje Laski słowa Lorda Balfoura, w odniesieniu do przedwojennego układu partyj Anglji — choć należały do różnych partyj, nigdy nie różniły się w poglądach co do podstaw społeczeństwa. Jest to oczywiste, że cały nasz mechanizm polityczny zakłada istnienie ludu tak

* Patrz także H. J. Laski: *The present position of representative democracy* (w pracy zbiorowej p. t. *Where stands socialism to-day?* (London 1933, str. 10—13).

zasadniczo jednolitego, że może sobie pozwolić na spory, ludu tak utwierdzonego w swoim umiarkowaniu, że nie grozi mu niebezpieczeństwo ze strony niekończącej się wrzawy politycznych konfliktów" (50). Tak było z przeciwieństwem politycznym partij liberalnej i konserwatywnej; inaczej się rzecz ma z opozycją Labour Party contra konserwatyści, która wynika z „niedającej się pogodzić różnicy podstawowej filozofji politycznej“. To też administracyjna zmiana, jaką jest zmiana gabinetu, nabiera charakteru „rewolucji ukrytej za konstytucyjną procedurą“ (cytuje Laski określenie Balfoura), gdy chodzi o dojście laburzystów do władzy. Na taką rewolucję zanosilo się właśnie w 1929 r., kiedy to MacDonald stanął na czele rządu laburzystów.

Upadek tego rządu i kryzys w 1931 r. stanowią w rozwoju Partji Pracy epizod socjologicznie nadzwyczajnie interesujący. Oto jeden z twórców i najwybitniejszych liderów tej partji R. MacDonald, jako premier gabinetu laburzystów, bez porozumienia ze współtowarzyszami partji, podał do dymisji cały gabinet, przyjął od króla misję stworzenia nowego gabinetu i stanął na czele rządu dotychczasowej swojej opozycji. Jego własna partja pozbyła go członkostwa, wykluczyła go z szeregów wraz z czternastu innymi członkami, którzy stanęli po jego stronie, i przeszła do opozycji. Ten właśnie epizod rozpatruje Laski w interesującej swej broszurze ze stanowiska konstytucji i tradycy parlamentarnych Anglii, ze stanowiska ewolucji partij politycznych angielskich i ich metod działania politycznego. Mimo wyraźnie opozycyjnego (w stosunku do MacDonalda) charakteru pracy daje ona cenne oświetlenie tego, w pewnym sensie przełomowego, momentu w politycznej ewolucji angielskiej Partji Pracy.

Józef Chalasiński (Warszawa).

Doktryny społeczne.

G. D. H. Cole : *Istotny sens marksizmu*. Z upoważnienia autora przełożył Dr. Antoni Pański. Towarzystwo wydawnicze „Rój“. Warszawa 1935. Str. 294.

Zagadnienie popularyzacji czy popularnej interpretacji nauk Marksa zawsze zajmowało naczelną rolę w praktyce marksowskiego ruchu socjalistycznego wszystkich odcieni. W niewielu tylko wielkich ruchach społeczno-politycznych element racjonalno-ideologiczny odgrywał tak dużą rolę, jak w ruchu marksowskim. Nauki Marksa tworzą tu fundament ideologiczny, który wymaga od wyznawców czy zwolenników gruntownego przemyślenia, zmuszającego do poważnego wysiłku intelektualnego. Żaden też bodaj ruch nie stworzył tak bogatej literatury popularyzacyjnej, usiłującej w sposób najprostszy przedstawić zawilą treść nauk mistrza.

Dla przedwojennej socjalnej demokracji kanoniczny charakter miały interpretacje Kautsky'ego. Przez całe dziesiątki lat znajdowano tu podstawową

wykładnię myśli Marksa i właściwie po dzień dzisiejszy kautskizm jest oficjalnym sformułowaniem, obowiązującym socjalno-demokratyczny odłam marksizmu.

Interpretacja Kautsky'ego miała znaczenie nie tylko dla względów ściśle popularyzacyjnych czy propagandystycznych. Ciężka ona i na wszystkich innych próbach rozumienia marksizmu, podejmowanych nie tylko w celach popularyzacji. Jako przykład mogą tu posłużyć Plechanow, Antonio Labriola czy choćby Lafargue.

Obok jednak ortodoksyjnej i oficjalnej wykładni Kautsky'ego powstawały już w końcu wieku XIX próby reformistycznego ujęcia marksizmu. Jakkolwiek wszystkie one stały na gruncie komentowania myśli Marksa i walczyły jedynie o właściwą wykładnię jego słów, niemniej to, co je różniło od Kautsky'ego, nie były to tylko momenty natury filologicznej czy semantologicznej. Chodziło tu z jednej strony o skonfrontowanie formuł Marksa z doświadczeniami rzeczywistości, z drugiej strony o danie marksizmowi podbudowy filozoficznej, której brak dawał się odczuć. W pierwszym kierunku szedł rewizjonizm różnego typu, w drugim zaś — próby związania Marksa z jakimś systemem filozoficznym. Najbardziej może znamienne były tu wysiłki, zmierzające do związania systemu marksowskiego z kandydyzmem czy neokandydyzmem. Zapoczątkował je bodaj A. Lange, a najwyraźniej sprawę postawił Max Adler. Obok tego istniały próby oparcia marksizmu na empirjokrytycyzmie (polemizował z tą postawą Lenin), a Jerzy Sorel w pewnym okresie szukał w pragmatyzmie systemu filozoficznego, któryby uzupełnił marksowską teorię wartości i teorię kultury.

Wszystkie te interpretacje wyrastały zarówno z potrzeby możliwie dokładnego ujęcia myśli marksowskiej, jak i z odczuwania pewnych jej braków, z niezawsze wyraźnie uświadamianego przekonania, że posiada ona takie czy inne luki. Oczywiście duża część interpretatorów dawała, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, bardzo swoiste i indywidualne rozumienia, wprowadzając do marksizmu obce Marksowi pierwiastki. Jako przykład może tu posłużyć cała grupa „Mouvement Socialiste“ z Sorelem, Barthem i Arturo Labriola na czele.

Rewolucja bolszewicka przyniosła nową falę walk o rozumienie marksizmu. W tym wypadku chodziło już nie o teoretyczne rozważania, ale o uzasadnienie określonej sytuacji praktycznej. Na jednym skrzydle stanął Lenin, którego „Państwo i rewolucja“ jest, formalnie rzecz biorąc, komentarzem do pewnych passusów Marksa i Engelsa; na drugim — stary Kautsky oraz Otto Bauer, ze swej strony dowodzący, że taktyka socjalnej demokracji jest właśnie zastosowaniem myśli marksowskiej do warunków chwili bieżącej. Dyskusja, która się wtedy wytworzyła, miała niewątpliwie wybitne znaczenie dla pogłębienia się różnic między obu obozami marksistowskimi, ale sprawie pogłębienia rozumienia myśli Marksa zasłużyła się względnie mało. W każdym razie punkt ciężkości produkcji literatury marksistowskiej przeniósł się do Rosji Sowieckiej, gdzie zwłaszcza Riazanow i Bucharin stworzyli szkołę, dające oficjalne sformułowanie marksizmu w ujęciu leninowskim.

Natomiast na zachodzie Europy następuje upadek prac teoretycznych, co niewątpliwie pozostaje w związku z sytuacją polityczną, w jakiej znalazła się socjalna demokracja. Względnie odniedawna dopiero dają się tu zauważyć oznaki odrodzenia, które bądź idą w kierunku przystosowywania Marks do nowych warunków, bądź też starają się dać mu bardziej ogólną interpretację. Rzecz wysoce znamienna, że zarazem coraz silniejszy staje się wpływ Marksa na tych teoretyków, którzy dotąd stali bardzo daleko od socjalizmu i od marksizmu. W uwspółcześnianiu myśli marksowskiej najdalej poszedł de Man ze swą krytyką marksowskiej teorii wartości i z świadomym wprowadzaniem do marksizmu oryginalnych momentów psychologicznych.

Na tem tle szczególnie interesująco rysuje się postać Cole'a i jego książka, świeżo udostępniona czytelnikowi polskiemu przez przekład Dr. Pańskiego. Cole, wybitny ekonomista i ongiś jeden z twórców socjalizmu gildyjnego, jest dziś czołową postacią lewego skrzydła Labour Party. Gruntowna wiedza, wybitna inteligencja i talent popularyzatorski umożliwiły Cole'owi napisanie kilku świetnych książek, w zasadzie przeznaczonych dla szerszego ogółu, ale które jednocześnie muszą zainteresować teoretyka. Cole w sposób następujący określa cel swojej książki: „Polega on na wydobyciu i oddzieleniu w naukach Marksa tego, co jest dalej żywe i zdolne do rozwoju i przystosowania — tych przywilejów rzeczy żywych — od tego, co jest w nich martwe lub nieaktualne.“

Takie określenie celu implikuje charakter pracy i metodę, przyjętą przez Cole'a. Niema tu nic z dawnej egzegezy, tak charakterystycznej dla Kautsky'ch czy Bucharinów. Cole'owi nie chodzi o to, aby udowodnić, że taki czy inny cytat jest zgodny z rzeczywistością społeczną, nie bierze tekstów in extenso, ale trzyma się raczej egzegezy wewnętrznej, starając się ująć sens myśli marksowskiej i przełożyć ją na język współczesny. Cole słusznie stwierdza, że dogmatyczne traktowanie wypowiedzi Marksa jest sprzeczne z samym marksizmem, albowiem sam Marks i jego pisma są kategorią historyczną, uwarunkowaną przez okoliczności danej epoki.

Trzeba powiedzieć, że z próby takiego rewizjonizmu Marks wychodzi zwycięsko, przede wszystkim jako twórca pierwszorzędnej metody interpretacji zjawisk historycznych. Cały szereg zjawisk życia współczesnego znajduje dzięki zastosowaniu do nich metody marksowskiej swe najlepsze wyjaśnienia. Z punktu widzenia socjologicznego najciekawsze są rozdziały Cole'a, traktujące materializm dziejowy. Cole unika zresztą nazwy „materializm dziejowy“, wprowadzając na jej miejsce dawniej już proponowaną nazwę realizmu dziejowego. Odcina to marksowską teorię historii od materializmu metafizycznego. Jak wiadomo, mieszanie tych dwóch nazw jest po dzień dzisiejszy źródłem dużego zamętu.

Marks należy do tych autorów, o których się dużo pisze, ale których prawie nikt nie czyta. Stąd też obiegowe opinie na temat marksizmu zdumiewają poprostu swoją ignorancją. Odnosi się to zwłaszcza do przeciwników Marksa, choć i wyznawcy jego nie są wolni od podobnego zarzutu. Książka Cole'a, przystępnie i inteligentnie napisana, może przyczynić się do stworzenia bardziej rzetelnego stosunku do autora „Kapitału“, podważając utarte

banaly i niszcząc siłę działających tu stereotypów. Może też nakłoni niejednego do zapoznania się i z sameimi pismami Marksa.

Aleksander Hertz (Warszawa).

Artur Rosenberg: *Historja bolszewizmu od Marksa do doby obecnej*. „Wydawnictwo Nowoczesne“, Warszawa 1934, str. 300. Autoryzowany przekład z niemieckiego M. F. Sieniawskiego.

W „Przedmowie“ zaznacza autor, że dotychczas brak było historii rozwoju idei bolszewickiej od jej źródeł w Karolu Marksie poprzez poszczególne etapy działalności Lenina, aż do taktyki i teorii stalinowskiej z r. 1932. Lukę tę ma wypełnić książka prof. Rosenberga, długoletniego członka egzekutywy III Międzynarodówki, potem prof. berlińskiego uniwersytetu, a obecnie emigranta niemieckiego i profesora w Liverpoolu.

W rozdziale pierwszym („Od Marksa do Lenina“) daje autor zarys genezy teorii społecznej Marksa i jej ewolucji na gruncie zachodnio-europejskim. Marks rozpoczął swoją pracę jako teoretyk lewicy mieszczańskiej w Niemczech (młodo-hegliści), która dążyła do rewolucji, dawno już przeprowadzonej w Anglii i Francji. Ale Marks rozumiał, że „w Niemczech mieszcuchów, filistrów i kołtuństwa zwykła rewolucja na modłę angielskiej lub francuskiej jest niemożliwa“ (str. 10). Zresztą nie o takiej rewolucji marzył młody filozof, który „chciał wzniesć człowieka na wyżyny filozofii i przekształcić go w prawdziwego człowieka“ (str. 13). Doświadczenia mieszczańskich rewolucyj pouczyły Marksa, że chodzi w nich, jedynie o zmianę formy panowania, że zastępuje ona rządy szlachty feudalnej i t. d. panowaniem posiadającej klasy mieszczańskiej „i związanych z nią sfer intelektualnych“ (str. 13). Trzeba było zatem wyjść poza ramy społeczeństwa mieszczańskiego i klasie robotniczej powierzyć zrealizowanie swojej filozofii. Autor porównywuje Marksa z Tomaszem Münzerem, który, kontynuując dzieło podjęte przez książąt chciał przy pomocy chłopów urzeczywistnić wolność ewangelicką i z Robespierem, który wysunięte przez rewolucję francuską hasło zupełnej wolności człowieka, chciał wprowadzić w czyn w oparciu o ubogie masy ludowe. „Robespierre i młody Marks znajdują się mniej więcej w takim stosunku do liberalizmu mieszczańskiego, jak Tomasz Münzer do mieszczańizmu“ (str. 15). W systemie Marksa klasa robotnicza otrzymała zadanie „zarówno osobliwe jak i wzniosłe“. Ale marksizm okazał się obcym na gruncie masy robotniczej. „W łonie bowiem samej klasy robotniczej wówczas wyrastała dopiero krytyka istniejącego stanu rzeczy, przedewszystkiem opłakanych warunków bytu, w dalszym ciągu może jakaś naiwna wiara utopijna w lepszą przyszłość...“ (str. 27). W tych warunkach partja polityczna, powołana do zrealizowania politycznej misji klasy robotniczej, mogła przybrać postać jedynie dyktatury grupy przywódców nad proletariatem. To była I Międzynarodówka. Gdy zaś potem w związku z rozwojem kapitalizmu zaczęła wzrastać ilość proletariatu przemysłowego i wzrosło jego znaczenie, klasa robotnicza dążyła przedewszystkiem do polepszenia swego bytu

gospodarczego i socjalnego wewnątrz państw kapitalistycznych. Tem samym marksizm II Międzynarodówki „z teorii rewolucyjnej, przy pomocy której najradykałniejsze mózgi inteligencji mieszczańskiej zamierzały wpływać na klasę robotniczą, przekształci się w ideologię zawodową, służącą klasowo uświadomionym robotnikom do utwierdzenia i polepszania ich pozycji wewnątrz społeczeństwa mieszczańskiego“ (str. 33). Był to krok naprzód jako wyraz samodzielności i samowiedzy klasy robotniczej, ale krok wstecz na drodze do rewolucji. Ale rewolucyjny marksizm z r. 1848, który już nie odpowiadał jako ideologia zachodnio-europejskiej klasie robotniczej, znalazł podatny dla siebie teren w Rosji „gdzie spodziewano się jeszcze rewolucji mieszczańskiej“. W r. 1893 młody rewolucjonista Lenin — tak kończy autor pierwszy rozdział — przybył z nad Wołgi do Petersburga, aby tam zrealizować testament Marksa. Teraz staje się nam zrozumiałym tytuł książki „Historja bolszewizmu od Marksa...“ i teraz już możemy się zorientować w jaki sposób autor rozwiąże postawiony na wstępie problemat, sformułowany w ten sposób, że „Rosja sowiecka znajduje się na drodze rozkwitu, III Międzynarodówka zaś w stanie beznadziejnego upadku“ (str. 6). Rewolucyjny marksizm dokonał na gruncie carskiej Rosji rewolucji mieszczańskiej, przewyciężył jej azjatycką wsteczność, podniósł ją do wyżyn nowoczesnych mieszczańskich państw Europy. Ale ta sama doktryna bolszewicka, propagowana w przemysłowych krajach zachodniej Europy za pośrednictwem III Międzynarodówki okazała się reakcyjną, była bowiem próbą wznowienia przewyciężonej już tu ideologii (z r. 1848) i to w okresie, gdy proletarijat już sam nauczył się organizować i rządzić. „Heroiczne czyny robotników rosyjskich od 1917 do 1920 r. przejściowo przesłoniły wsteczność bolszewicką i wywołały wrażenie, jakoby bolszewizm był odpowiednią formą rewolucji ogólnoproletariackiej“ (str. 298). Stalinowska teoria „socializm w jednym kraju“ potwierdza fakt, pisze autor w zakończeniu, że aktywny ruch robotniczy nie znalazł jeszcze własnej drogi do rewolucji światowej.

Książka prof. Rosenberga jest przyczynkiem naukowym do socjologii bolszewizmu jako ideologii i jako ruchu społecznego. Stronniczość autora ujawnia się w tem, że w rewolucji rosyjskiej widzi tylko rewolucję mieszczańską, nie dostrzegając rozwijających się tam elementów nowego pomieszczańskiego porządku społecznego. „Stalinizm“ potraktował autor powierzchownie: walka ze starą gwardją bolszewicką, reprezentującą przeciwieństwo utopijno-mesjanistyczny pogląd wczesnej fazy bolszewizmu wprost się doprasza o socjologiczne ujęcie. Stronniczość autora i tu utrudniła mu dotarcie do istoty rzeczy.

Artur Bardach (Warszawa).

Propaganda.

Nowsza literatura amerykańska o propagandzie.

O ile w odniesieniu do innych krajów „wiek propagandy“ stanowi tylko jeden okres ich dziejów, to o Stanach Zjednoczonych A. P. powiedzieć mo-

zna, że całe ich dzieje przypadają na „wiek propagandy“. Reformacja i Oświecenie — te dwa wielkie prądy „propagandy“ wiążą się ściśle z duchowymi podstawami Ameryki. Czasy religijnych „camp-meetingów“ z XVIII w. minęły wprawdzie, chyba bezpowrotnie, ale amerykańską skłonność do propagowania wszystkiego, od „coca-cola drink“ do prohibicji i samochodów, wiąże nieprzerwany proces rozwojowy z tą „Evangelized America“. Zapewne też, dużo jest podobieństwa duchowego, pomiędzy Jonathan Edwards'em amerykańskim ewangelistą i sprawcą „Great Awakening“ („Wielkiego Przebudzenia“) około 1840 r., lub George Whitefieldem, angielskim metodystą, który w okresie 1738—1770 przewędrował kolonie, przemawiając do tysięcy ludzi — a H. Fordem z jego ambicją oddzielenia Stanów Zjednoczonych swojemi samochodami. Słusznie też pisze o nim B. Fay (*Roosevelt i jego Ameryka*, Warszawa, Rój 1935), że jest on nietylko kupcem, lecz „kapłanem nowego bóstwa, prorokiem nowej religji“; a André Siegfried w jednej z najlepszych książek o Ameryce (*Les Etats-Unis d'aujourd'hui*) zauważa, że „każdy Amerykanin jest w sercu swoim ewangelistą, czy to będzie Wilson, Bryan czy Rockefeller“.

W latach powojennych mnoży się ogromnie literatura amerykańska na temat propagandy. Propaganda związana z Wielką Wojną uświadomiła kolosalną rolę tego czynnika w życiu społeczno-politycznym i ekonomicznym Ameryki. Silna opozycja liberalna przeciw wojnie w Ameryce przyjęła rozmiary nie do pomyślenia w innych krajach, a rząd Wilsona musiał rozwinąć propagandę za wojną na tak wielką skalę, jaka była zupełnie zbyteczna w krajach o scentralizowanej władzy i o tradycjach militarno-monarchistycznych. Stworzony przez Wilsona, Committee on Public Information, rozpowszechnił zgórą 75 milionów książek i broszur i zatrudnił 75 tysięcy mówców. Koszta tej propagandy wynosiły 6 738 223 dolary (C. H. Hamlin: *The War Myth in U. S. History*, 1927 oraz George Creel: *How we advertised America*, 1920). Wielka Wojna wykazała, jak niebezpieczna i deprawująca moralnie jest propaganda w rękach rządu. Stworzyła ona mianowicie w Ameryce sytuację pod tym względem podobną do tradycyjnej sytuacji, państw militarno-monarchicznych, mianowicie — zmonopolizowała propagandę wojenną w rękach rządu i uniemożliwiła wszelką kontrpropagandę. Skutki tej propagandy wojennej nietylko wyraziły się w pogłębieniu antagonizmów pomiędzy poszczególnymi odłami ludności amerykańskiej, lecz przedewszystkiem odbiły się głęboko na systemie wychowania obywatela, które uległo militaryzacji i nacjonalizacji. Agendy propagandowe wojenne nie przestały istnieć, lecz, przystosowawszy się nieco do zmienionych warunków, nadal prowadzą propagandę w duchu wojennym. Tak np. departament wojny uprawia militaryzm w szkołach, (W. D. Lane: *Military training in schools and colleges of the United States* (b. d.); L. T. Bemans: *Military training compulsory in schools and colleges*, New York 1926; także broszura: R. P. Barnes: *Militarizing our youth* z przedm. J. Deweya. New York 1927), a w akcji tej sekunduje mu American Legion, organizacja Amerykańskich Kombatantów (M. Duffield: *King Legion*, New York 1931).

W związku z tą propagandą militarno-nacjonalistyczną zwrócono także uwagę na rolę wielkich przedsiębiorstw w subwencjonowaniu nacjonalistycznych propagandowych organizacji. (N. H a p g o o d : *Professional Patriots*, New York 1927). Wyniki śledztwa Federalnej Komisji Przemysłowej (Federal Trade Commission), streszczone w książce C. D. Thompson : *The Confessions of the Power Trust*, New York 1932, oraz E. Gruening : *The Public Pays*, New York 1931 wykazały, że akcja propagandowa wielkich przedsiębiorstw, w konkretnym wypadku elektryczności i gazu, posiadała sieć placówek w całych Stanach i wpływała na prasę, oraz przygotowywała odpowiednie podręczniki dla szkół w celu zwalczania idei upublicznienia własności przedsiębiorstw użyteczności publicznej, idei ubezpieczenia społecznego, i wogóle radykalizmu społecznego.

Głębszą kulturalną stronę problemu propagandy ujmuje socjolog i znawca problemów prasy amerykańskiej prof. R. E. Park w recenzji (AJS, March 1929) z świetnej książki Silas Benta (*Ballyhoo: The Voice of the Press*, New York 1927), przedstawiającej na obfitym materiale faktycznym amerykańską prasę lat ostatnich. Przy czytaniu tej książki pisze Park „odnosi się wrażenie, że coś trzeba zrobić dla obrony amerykańskiej publiczności przed temi szybko wzrastającymi środkami komunikacji, tak charakterystycznymi dla nowoczesnego życia. Nie dotyczy to tylko dziennika; ale także telefonu, radja i kina. Ze swojemi podniecającymi i rozpraszaćcymi jednostkę nowościami podważają one ciągłość naszego doświadczenia i istotną podstawę naszego kulturalnego życia. Ludzie, którzy chcą jeszcze myśleć, muszą się odsunąć od tego. Reszta nas nie myśli już; tylko reaguje“.

Zagadnienie „konsumcji“ kulturalnej jest tu jednak tylko częścią zagadnienia konsumcji wogóle. Rola propagandy nabrała kolosalnego znaczenia z rozluźnieniem się stosunku pomiędzy konsumentem i producentem, tak w zakresie ekonomicznym jak i kulturalnym. Propaganda pełni, często usurpuje sobie, funkcję pośrednika pomiędzy jednym i drugim; zarówno pomiędzy wytwórcą serów i ich konsumentem, jak i pomiędzy autorem i czytelnikami książki. Niepodlegając zaś kontroli konsumenta, przeważnie nieorganizowanego, służy często producentom ze szkodą konsumentów.

A. Kallet i F. J. Schlink (*100,000,000 Guinea Pigs*, New York 1932) wykazują, ile szkodliwych, poprostu trujących, produktów, w zakresie pożywienia, lekarstw i kosmetyki bezkarnie reklamują wielkie przedsiębiorstwa. To zagadnienie ochrony konsumenta, i zwalczania „ekonomicznego analfabetyzmu“ było przedmiotem obrad Amerykańskiej Akademii Nauk politycznych i społecznych (The American Academy of Political and Social Science), a referaty z tej konferencji wydane zostały jako tom 173 *The Annals of the American Academy of Political and Social Science*, p. t. *The Ultimate Consumer, A study in Economic Illiteracy*, May 1934. Zupełnie poważnie też sfery wychowawcze Ameryki zastanawiają się nad potrzebą „wychowania dla umiejętnego kupowania“ (V. Phillips : *Evidence of the Need of Education for Efficient Purchasing*. Teachers College, New York 1931).

Zainteresowanie zagadnieniami propagandy nie kończy się na pracach o charakterze publicystycznym lub informacyjnym, a nawet propagandowym, jak praca *100,000,000 Guinea Pigs*. Mnożą się próby systematycznego opisanie i zanalizowania propagandy jako zjawiska społecznego. Coraz częściej propagandzie poświęcane są osobne rozdziały w podręcznikach socjologii i psychologii społecznej (patrz np. K. Young: *Source Book for Social Psychology*, New York 1927). Prof. F. E. Lumley (*The Propaganda Menace*, New York 1933) daje popularne przedstawienie roli propagandy (bardzo szeroko pojętej) w różnych dziedzinach życia społecznego. Bibliografię publikacji o cenzurze i propagandzie głównie w zakresie politycznym daje K. Young and R. D. Lawrence (*Bibliography of Censorship and Propaganda*, U. S. A., University of Oregon. Journalism series, Vol. I. Nol. 1928, stronic 133). Nadzwyczajnie cenny, bogaty i wszechstronny zbiór wypisów do kształtowania się opinii publicznej i propagandy daje W. Brooke Graves (*Readings in Public Opinion, Its Formation and Control*, New York 1928, stronic 1281).

Społecznym zagadnieniom propagandy, technice propagandy i grupom uprawiającym propagandę poświęcony jest Tom 179 *The Annals of the American Academy of Political and Social Science* p. t. *Pressure Groups and Propaganda*, May 1935, Philadelphia.

Socjo-psychicznym mechanizmem opinii publicznej i propagandy zajmują się świetne studia W. Lippmanna: *Public Opinion*, New York 1922, oraz tegoż *The Phantom public. A Sequel to „Public Opinion“* 1925. Pokrewnymi zagadnieniami zajmuje się E. L. Bernays w popularnej książce *Crystallizing Public Opinion*, New York 1923.

Technikę i organizację propagandy wojennej w Stanach Zjednoczonych Wielkiej Brytanji i Niemczech przedstawia na obfitym materiale faktycznym H. D. Lasswell: *Propaganda Technique in the World War*. New York 1927.

Opis grup utrzymujących swoje „lobbies“ w Waszyngtonie oraz ich technikę propagandy przedstawia E. P. Herring: *Group representation before Congress*. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Maryland 1929. (Bogata bibliografia). Opis akcji propagandowej Ligi przeciwalkoholowej, oparty na bogatym materiale faktycznym daje P. H. Odgaard: *Pressure politics, the story of the Anti-Saloon League*. New York, Columbia University Press, 1928. Studium politycznej roli i propagandy Izby Handlowej Stanów Zjednoczonych A. P. oraz Amerykańskiej Federacji Pracy jest H. L. Childs: *Labor and Capital in national politics*. The Ohio University Press. Columbus 1930.

Szereg prac dotyczy poszczególnych narzędzi lub dróg propagandy. Przytoczona już praca Graves'a w poszczególnych rozdziałach podaje wypisy do propagandowej roli szkoły, kościoła i religii, prasy, teatru i kina, literatury, muzyki, sztuki, przemówień, radja, specjalnych agentów propagandy, różnych grup społecznych itp. Kinu poświęcony jest tom 128. Nov. 1926. *The Annals of the American Academy of Political and Social Science* p. t. *The Motion Picture in its economic and social aspects*. Rodju — tom 177 tegoż

wydawnictwa, January 1935 p. t. *Radio: The Fifth Estate*. Wpływ wojennej nacjonalistycznej propagandy na ustawodawstwo szkolne w zakresie nauczania historii wykazuje na bogatym materiale faktycznym B. L. Pierce: *Public opinion and the teaching of history in the United States*, New York 1926.

Najbardziej wyczerpującą jednak pod względem bibliograficznym jest H. D. Lasswell, R. D. Casey and B. L. Smith: *Propaganda and promotional activities. An annotated Bibliography*. Stronic 404, Minneapolis: University of Minnesota Press 1935. 371 stronic bibliografji, podającej zgórą 4500 tytułów, poprzedza wstęp 24 stronicowy o „Badaniu propagandy i praktyce propagandowej“. Następnie bibliografja rozklasyfikowana jest według następujących działów: (1) Strategja i technika propagandy; (2) Propaganda według grup uprawiających ją; (3) Propaganda według reakcji zamierzonych; (4) Symbole i środki praktyczne, któremi propaganda posługuje się lub do których dostosowuje się; (5) Drogi propagandy; (6) Mierzenie skutków propagandy; (7) Propaganda i cenzura w nowoczesnym społeczeństwie. Przy każdej pozycji bibliograficznej podana jest krótka informacja o treści. Dokładny indeks treści ułatwia korzystanie z książki. W dodatku podane są dawniejsze bibliografje prac o propagandzie. Publikacja jest wynikiem kilku lat pracy prowadzonej pod kierunkiem Komitetu Doradczego do Zagadnień Grup Propagandowych i Propagandy przy Social Science Research Council w New Yorku. Fakt ten jak i nazwisko Prof. Lasswell'a (z University of Chicago), głównego autora publikacji dają pełną gwarancję sumienności i dokładności pracy, która jest nieocenioną pomocą w badaniach nad propagandą. Bibliografja uwzględnia także literaturę pozaamerykańską.

Józef Chalasiński (Warszawa)

Zagadnienia społeczno-ekonomiczne.

Hipolit Gliwic: *Podstawy ekonomiki światowej*, Cz. druga: *Materiał ludzki w gospodarce światowej*, Warszawa 1934, t. I. str. XVI + 308, t. II. 309—687.

„Materiał ludzki“ jest środkowem ogniwiem trylogji, obejmującej surowce, pracę i kapitał, do których to elementów autor sprowadza świadomą gospodarkę w cywilizowanym świecie. Z tej trylogji ukazał się przed 9-ciu laty tom, rozpatrujący *Sprawę surowców w gospodarce światowej* (II. wyd. 1935); opracowanie części III. (*Kapitał*) autor zapowiada. Obecnie przyjrzymy się bliżej 43-arkuszowej części drugiej, w nagłówku wymienionej.

Podstawowem zadaniem autora było zbadać świadome gospodarowanie ludzkości, ściślej biorąc, jeden z jego przejawów, mianowicie, proces produkcyjny, w perspektywie ogólno-światowej, taki jakim on jest i być może w skali powszechnej, bez względu na sztuczne zapory autarkiczne i reglamentacyjne. Przyczem proces ten odbywa się, według autora, za po-

średnictwem kapitału, a przy pomocy surowców i pracy ludzkiej, które rozrzucone po całym globie, ulegają dla celów tego procesu przesunięciom przestrzennym. Nabyć musi surowiec ten, kto go potrzebuje u tego, kto go ma; nabyć musi siłę roboczą, kto podejmuje wydobywanie lub przeróbkę surowca. Praca ludzka jest tu więc pojęta jako towar taki sam, jak martwy surowiec, towar, podległy prawom popytu i podaży ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami.

Postawiwszy sobie za cel poznanie tego towaru, zbadanie jego istoty i zagadnień z jego dystrybucją związanych, przeprowadza autor naprzód „Rozważania ogólne“, które porządkują i określają pojęcia, na których tok myśli będzie się opierał. I tak przedewszystkiem dla potrzeb tematu książki określone zostaje pojęcie rasy, jako zespołu ludzi jednego koloru skóry, poczem rozważając kolejno stosunek członków każdej tak pojętej rasy do pracy jako takiej, zastanawiając się nad efektami pracy, wykonywanej przez osoby różnych ras, eliminując zespoły, które ze stanowiska popytu na pracę nie przedstawiają interesu (czerwonoskórcy, nawet hindusi), autor dochodzi do wniosku, że za rezerwoar siły roboczej mimo niestosunkowej przewagi liczebnej innych ras uważana być może jedynie rasa biała, i to w granicach Europy skupiona.

Ustaliwszy te założenia, przechodzi autor w cz. II. do omówienia procesów, które sam nazywa mechaniką migracyjną. Załatwiwszy się z wędrówkami ludzi pracy w skali wewnętrznej, jak np. z wędrówkami negrów w St. Zj. Am. Płn., podażą rąk wiejskich w miastach, przechodzi do badań migracji, mających ogólno-światowy zasięg. Znalazły tu uwzględnienie zarówno główne centra imigracji, jak zasadnicze rezerwoary emigracyjne, przeróżne formy migracji i wędrówek pracowniczych, udział w nich kobiet i dzieci, główne szlaki migracyjne, sposoby reakcji różnych ośrodków na fakty imigracji lub wychodźstwa i inne zagadnienia natury ogólnej, związane z wszechświatowymi wędrówkami sił roboczych, po których w cz. III („Światowa podaż pracy“) autor przeprowadza szczegółową analizę poszczególnych centrów emigracyjnych Europy. Okazuje się w świetle wywodów autora, że wszystkie główne ośrodki państwowe i kulturalne starej Europy były w ciągu najnowszych stuleci olbrzymim, a wiecznie ruchliwym rezerwoarem, który zasilał inne, budujące się do życia części świata, szczególnie St. Zj., siłą roboczą — co ostatecznie nie jest czemś nowem. Oryginalną natomiast jest próba uzasadnienia i scharakteryzowania tendencji migracyjnych każdego z tych ośrodków. Wreszcie przechodzi autor do analogicznej próby analizy ośrodków i migracyjnych, próby ujęcia w system imigracji różnokierunkowej do poszczególnych krajów i związania prądów imigracyjnych (w/g autora dośrodkowych) z naturą gospodarki każdego z tych krajów. Rozważania te stanowią treść części IV. („Światowy popyt na ręce robocze“).

Rzeczą jest zrozumieć, że autora interesowały aspekty ekonomiczne powyższych zagadnień i że jego wnioski są kierowane temi przedewszystkiem względami. Ta strona rozważań autora nie wchodzi w tej chwili w sferę naszych zainteresowań i jakkolwiek nieraz budzić musi zastrzeżenia, to jednakże całą stroną gospodarczą światowych ruchów migracyjnych siły robo-

czej pozostawimy na uboczu, chcąc w tej pracy doszukać się czego innego. Zastrzec się jednak zgóry pragniemy, że nie zatrzymując się na ekonomicznej stronie zestawionych przez autora zagadnień, nie pragniemy z drugiej strony podnosić tego czego w tej pracy nie znajdziemy. Pamiętać bowiem należy, że pracę swoją podjął autor pod innym zupełnie kątem widzenia, aniżeli ten, który nas w tej chwili interesuje.

Nam chodzi o to, że ten swoisty towar, jakim jest pracowniczy materiał ludzki, podlega, jak każdy inny selekcjom, translokacjom, nawet pewnym przemianom, procesom przetwórczym. Podobne działania na ten towar pochodzić mogą od czynników zewnętrznych, ale mogą też być wynikiem fermentacji i ruchów w samym wnętrzu tego „towaru“ zachodzących. I w ten sposób zagadnienia autora poczynają interesować socjologa. Towarem bowiem jest tym razem człowiek. Nieraz mniej lub więcej zorganizowana grupa społeczna, zawsze zaś zespół pewien ludzi, ulegający wspólnym kolejom, uwarunkowanym czynnikami społecznymi. Działania zewnętrzne na ten zespół pochodzić będą też od człowieka, albo od instytucyj, ręką ludzką kierowanych. Ruchy wewnętrzne będą działaniem sił społecznych, będą procesami lub ich wynikiem. I oto rzeczą socjologa jest skoiei zbadać, o ile procesy społeczne i ekonomiczne pokrywają się lub krzyżują, jak dalece poza-tem stanowisko ekonomisty może być sygnowane przez socjologię, wreszcie jaki — konkretnie — materiał daje nam książka prof. G.

Materiał bowiem tam spożytkowany, aczkolwiek dość rozrzucony, rozstrzelony, jest b. obfity i ciekawy. Wszystkie masowe lub conajmniej charakterystyczne ruchy imigracyjne najnowszych stuleci znalazły w omawianej pracy szczegółowe odbicie cyfrowe. Każdy z tych prądów został zlokalizowany, antropo-geograficznie opisany, i to zarówno pod kątem widzenia kraju wychodźczego, jako też krajów docelowych, a wreszcie gdzie to tylko było możliwe, starał się autor zanalizować społeczny skład poszczególnych zespołów migracyjnych, jak również prześledzić ich zaszeregowanie się w nowe środowisko. Wnioski swe wyprowadza autor z zestawień statystycznych; ze stosunków bliskich nam prowadzą one do stwierdzenia, że imigrant polski, w swej masie rolnik, w krajach imigracji nietylko że rozstaje się ze swoim zawodem rolniczym, ale zarówno w St. Zj. Am. Płn., jak i we Francji i innych krajach przechodzi ławą do górnictwa. I jakkolwiek przytoczone tablice zazwyczaj popierają podobne wnioski, to jednakże są one jednostronne, a pozatem w swej istocie niewyjaśnione. Stanowiąc jednak zawsze będą cenny materiał.

Opisane przez prof. Gliwicę zjawiska i ujęte przezeń prądy rozpatrzone przez nas być mogą bądźto jako procesy selekcyjne, bądź jako fenomeny lokacyjne i migracyjne.

Już sam światowy popyt na ręce robocze roztacza przed nami bardzo złożony proces selekcyjny grupy migrującej, dokonywujący się zarówno w kraju macierzystym, jak i w nowej siedzibie. Obejmuje on kilka stadjów, a same selekcje przybierają różne formy. Przytem odrazu podnieść należy, że proces ten przeważnie skrupulatnie jest rejestrowany, daje się przeto dość ściśle ująć cyfrowo, ale niełatwo go wyjaśnić bez reszty.

W tym kierunku znajdujemy w omawianej pracy wiele interesujących sugestij, co tyczy przedewszystkiem tego kotła imigracyjnego, jakim był z samego założenia St. Zj. Olbrzymi przyływ ludzi różnego pochodzenia, różnych krajów, kultur, ludzi, przybyłych tu „za chlebem“ i biorących ten chleb — zdawałoby się na pozór — gdzie się da, usiłuje autor posegregować znów metodą statystyczną. Z jej pomocą wprowadza pewien porządek, usiłuje wykazać, jak różne grupy, specjalnie narodowe (Irlandczycy, Skandynawowie, Hiszpanie, Portugalczycy, Polacy, Żydzi i i.), mają tendencję lokowania się w pewnych zawodach, czy zajęciach. Specjalny nacisk kładzie autor na fakt, czy pewna emigracja obejmuje tylko żywcielei wzgl. jednostki zarobkujące, czy też rodziny całe. Rozróżnienie to ma swoje znaczenie gospodarcze, ale przecież niemniejsze znaczenie ludnościowe, tak dla kraju wyjściowego, jak i kraju przeznaczenia, zagadnienie, które tu oczywiście nie może być traktowane, ale do którego obszerne materiały i słuszne sugestje praca powyższa zawiera.

O wiele więcej daje rzecz prof. Gliwica w zakresie zagadnień lokacyjnych i migracyjnych. Kierunki nowoczesnych masowych prądów wychodzących znalazły tu chyba wyczerpujące odzwierciedlenie, znów ilościowe przedewszystkiem. Dotyczy to dróg — jakby je w ślad za ulubioną terminologią autora nazwać można — dośrodkowych jak i odśrodkowych, tzn. tak rozpatrywanych pod kątem widzenia kraju docelowego, jak i krajów pochodzenia elementów migrujących. Skupienia grup imigracyjnych w St. Zj., oraz pewne utarte szlaki wychodźcze różnych grup terytorjalnych można doskonale tu poznać.

Obserwacje swoje stara się autor — podobnie, jak w zakresie faktów selekcyjnych — formułować pod postacią „praw“, raczej tez, które ilustruje tablicami statystycznymi. I tak cały szereg przykładów prowadzi autora do wniosku, że imigrantom przyciągają nie puste obszary, a raczej punkty gęstego zaludnienia; że emigracja z poszczególnych krajów kieruje się zagranicę, zwłaszcza za morza, dopiero wówczas, gdy miasta są już zagęszczone; że punkt ciężkości decyzji w sprawach migracyjnych leży w ośrodkach imigracyjnych, nie wychodzących, i wiele innych podobnych. Wnioski te trudno ocenić, bez dalszego zbadania; w każdym razie niektóre z nich, w rodzaju dwóch ostatnich zachęcają do dalszych sprawdzeń, zwłaszcza jeśli sobie uprzedzimy, że ruchy wychodźcze opierają się nietylko na motywie gospodarczym.

Rozmyślnie pomijam inne szczegóły omawianej pracy, aby zgodnie z założeniem tych uwag odpowiedzieć na nasze pytania wstępne. Otóż w sumie wynika, że zainteresowania ekonomisty i socjologa ruchliwością sił roboczych niewątpliwie się krzyżują. Różnica zachodzi nietylko w podejściu do materiału, ile w zakresie badań. Jedni widzą towar: ofiarowany, nabywany, przesyłany na odległość; drudzy starają się wyjaśnić przesunięcia, ruchy, dalej dobór, selekcje, zachodzące w masie żywych ludzi. Ten drugi zakres badań jest obszerniejszy. Jemu np. metoda statystyczna nie wystarczy, motywy gospodarcze same nie wyjaśnią wszystkich mechanizmów bez reszty. I dlatego, ze stanowiska tych drugich, punktu widzenia ekonomicznego nie

można odsądzić od racji, a tem mniej odrzucić. Należy je jedynie przyjąć jako stanowisko parcjalne, i dążyć do ostatecznego opracowania pewnych zagadnień, opartych tam tylko na fragmentarycznym, bo ilościowym materiale.

W tej wspólnej pracy rzecz prof. Gliwica jest pożytecznym początkiem. Daje pracowicie przeorany materiał, w tem wiele osobistej pracy statystycznej autora, oraz otwiera nowe horyzonty na wiele dotąd nierozstrzygniętych zagadnień.

Eugenjusz Aleksandrowicz (Warszawa).

P. Arndt: *Die wirtschaftliche und soziale Bedeutung der Heimarbeit.* Zweite erweiterte Auflage. Verlag von Gustav Fischer. Jena 1932. („Heimarbeit und Verlag in der Neuzeit“. 1. Heft).

Prawie pół wieku toczy się spór pomiędzy politykami społecznymi (zwłaszcza w Niemczech) na temat roli społeczno-gospodarczej chałupnictwa. Gdy jedni, jak Brentano, Sombart i liczni uczestnicy kongresów „Verein für Sozialpolitik“ (np. „Verhandlungen in Breslau“ z r. 1899), wypowiadali się przeciwko chałupnictwu, jako formie produkcji, opartej tylko na wyzysku pracy, inni, jak Arndt, brali chałupnictwo w obronę. Ta ożywiona dyskusja, chociaż prowadzona na temat praktycznych zagadnień społecznych, ma również i dla teoretycznego poznania chałupnictwa duże znaczenie. Polemizujące ze sobą strony musiały przecież dla poparcia swoich stanowisk sięgać do faktów z życia chałupników, podejmować nawet specjalne badania, aby, w zależności od zajmowanego stanowiska, móc zademonstrować argumenty za lub przeciw. Szczególną wartość mają fakty, podawane w tej dyskusji przez obrońców chałupnictwa. Teoretyka chałupnictwa interesuje przecież głównie następujące pytanie: „Dlaczego ta forma produkcji przemysłowej wykazuje tak niezwykłą trwałość, w jaki sposób potrafiła się ona ostać nawet w okresie ogólnego tryumfu wielko-kapitalistycznego, a zarazem wielko-fabrycznego przemysłu?“ Pojawia się ono wprawdzie ciągle jeszcze w okolicach, nieobjętych dotąd zasięgiem wpływów gospodarki kapitalistycznej np. ostatnio w Marokku hiszpańskim — w świetle badań historyczno-gospodarczych jest to dla nas dzisiaj już sprawą jasną. Chałupnictwo było ongiś przed wiekami i jest również i obecnie zwiastunem narodzin systemu gospodarki kapitalistycznej. To natomiast, że ono się utrzymuje, a nawet i rozwija w okresie, przez Sombarta nazwanym „Hochkapitalismus“ jest problemem naukowym, który wymaga dopiero rozwiązania. A że się ono rozwija, o tem świadczy chociażby wspomniana uprzednio dyskusja na temat uzasadnienia chałupnictwa. Dyskutuje się przecież zawsze nad tem, co żywotne, a nie nad tem, co z życia społecznego ustępuje.

Ekonomistę, jak wspomniałem uprzednio, interesuje w pierwszym rzędzie pytanie, jakie są czynniki trwałości i rozwoju chałupnictwa. Szukając faktów, które mogłyby mu posłużyć dla ewentualnego rozwiązania problemu zagląda chętnie do literatury obrońców chałupnictwa, gdzie z racji stano-

wiska autorów najwięcej może znaleźć materiału. Właśnie dlatego budziły ogólne zainteresowanie badania nad chałupnictwem (w Niemczech), prowadzone przez prof. Arndta jeszcze w okresie przedwojennym. Arndt zebrał olbrzymi materiał faktów, który opublikował w trzech tomach monografii chałupniczych, liczących w sumie 1700 stron. Ukazały się one w wydawnictwie Fischera w Jenie w latach 1908—1914 p. t. *Die Heimarbeit im rhein-mainischen Wirtschaftsgebiet*. Na tej podstawie sformułował Arndt tezę, którą wyłożył w oddzielnej, na tem miejscu omawianej rozprawce, że chałupnictwo jest błogosławieństwem dla ludności trudniącej się niem, że zatem walka prowadzona przez wpływowe grupy polityków społecznych pod hasłem zlikwidowania tego systemu wyzysku pracy najemnej, zmierza do pozbawienia dużej grupy ludności wogóle możliwości zarobkowania, tem samem do zmniejszenia ogólnego dochodu narodowego. Dzięki chałupnictwu, twierdzi Arndt, znajdują zarobek ludzie, którzy z różnych względów do innego typu pracy się nie nadają. „Die Hausindustrie sammelt die in verkehrsfernen Dörfern, aber auch mitten in der Grossstadt oder sonst irgendwo brachliegenden Arbeitskräfte zu produktivem Schaffen. Sie gibt insbesondere den nur teilweise Erwerbsfähigen („Schwachen, Kränklichen, Krüppeln, Greisen“) und den durch andere Pflichten (Haushalt, Krankenpflege, Landwirtschaft) in Anspruch Genommenen, den „halben“, „drittel“, „viertel“ -- Arbeitskräften, Arbeitsgelegenheit.“ Przemysł domowy włączony do produkcji (wolne) siły robocze, leżące odłogiem zarówno w pozbawionych komunikacji wsiach, jak i w pośrodku wielkich miast... Stwarza on możliwości pracy zwłaszcza dla ludzi, tylko częściowo zdolnych do pracy zarobkowej (dla słabych, chorowitych, kalek, starców) i dla tych, którym czas zajmują inne obowiązki (gospodarstwo domowe, opieka nad chorymi, gospodarstwo rolne) [Arndt, op. cit. str. 10]. Zdaniem autora rozwija się chałupnictwo tylko tam, gdzie gromadzą się „resztki“ ludzkich sił produkcyjnych, nie nadające się do normalnej produkcji, gdzie w społecznym procesie produkcji wytwarzają się luki. „Sie füllt in der Volkswirtschaft die Lücken aus...“ („Ono wypełnia luki w gospodarstwie narodowym...“ op. cit. str. 10) np. w drobnym rolnictwie w zimie i przy złej pogodzie, w rzemiośle po sezonie itd. „Die Heimarbeit ist schon häufig als Füllarbeit bezeichnet worden. Man dachte dabei an die Ausfüllung der freien Zeit des Kleinbauern im Winter und bei schlechtem Wetter, der Hausfrau nach Erledigung ihrer häuslichen Arbeiten, des kleinen Handwerkers in Zeiten der Gechäftsstille usw.“ („Chałupnictwo określano już wielokrotnie jako typ pracy, służący do wypełniania luk. Myślano przytem o wypełnianiu wolnego czasu małorolnego w zimie i przy złej pogodzie, gospodyni poza obowiązkami domowymi, rzemieślnika w okresach zastoju międzysezonowego itd.“ str. 10). Byłoby błędem, zaznacza autor, nie doceniać wartości nawet tej (niewątpliwie) drugorzędnej pracy. Przypomina, że są przecież gleby różnej wartości, tem niemniej jednak i najgorsza gleba brana jest pod uprawę, tam gdzie zmusza do tego odpowiednie zagęszczenie ludności. Podobnie i ta „Füllarbeit“ tych wszystkich „Halbarbeiter“ powiększa ogólny dochód narodowy i w ogólnej produkcji dóbr stanowi pozycję może skromną, ale niezbędną. „Würden wir

es nicht tun, so würden wir den Bedarf der vielen Millionen, die täglich mit den Notwendigen versorgt werden müssen, nicht decken können. Das Gesetz der „Knappheit“ wirtschaftlicher Mittel, die Folge der „Kargheit“ der Natur gegenüber den Ansprüchen der Milliarden von Lebewesen die ins Dasein treten, macht sich hier unerbittlich geltend.“ („Gdybyśmy tego nie czynili, nie moglibyśmy zaspokoić codziennych, życiowych potrzeb wielu milionów ludzi... Prawo, mówiące o dysproporcji pomiędzy ograniczonymi środkami gospodarczymi — w wyniku „skąpstwa“ natury — a wymaganiami miliardów istnień ludzkich ujawnia się tu właśnie w całej swej bezwzględności“ op. cit. str. 11).

W tych kilku zdaniach zawarta jest cała teoria chałupnictwa Arndta: jest to jak widzimy, koncepcja racjonalistyczna o zabarwieniu ideologicznym mieszczańsko-purytańskim. Świat jest zdaniem prof. Arndta urządony w sposób idealny, najmniejsza cząsteczka ludzkiej siły produkcyjnej („Viertelarbeiter“) nie idzie w nim na marne, znajdując właściwe zastosowanie np. w chałupnictwie! Chałupnicy — twierdzi autor — to ludzie słabowici, chorowici, ułomni, starcy („die teilweise Erwerbsfähigen: die Schwachen, Kränklichen, Krüppeln, Greisen“), których dobroczynna ręka nakładcy ratuje nieomal przed śmiercią głodową! Czytając Arndta (i prace, wydawane przez jego uczniów w serji „Heimarbeit und Verlag in der Neuzeit“ — ukazało się dotąd ponad 20 zeszytów), ma się wrażenie jakoby odżył Ure, którego Marksa krytyka w „Kapitale“ uczyniła przeciw klasycyzm przedstawiicielem pewnego kierunku myślenia ekonomicznego. Trzeba jednak przyznać, że w tej naiwnej koncepcji jest coś, co już nie tylko obrońcy pewnego systemu gospodarczego, ale i rzetelnemu badaczowi dopomóc może w wyświetleniu zagadnienia. Arndt odkrył faktycznie jeden z elementów trwałości chałupnictwa, wykazując, że „Heimarbeit“ jest wielokrotnie eine „Füllarbeit“. Dopóki więc będzie istniał specjalny rynek pracy tych „Halbarbeiter“, trwałość chałupnictwa będzie w pewnej mierze zagwarantowana. Arndt, badając chałupnictwo na materiale faktów, zaczerpniętych ze stosunków niemieckich, gdzie chałupnictwo trwało i rozwijało się jednakże tylko na marginesie życia społeczno-gospodarczego, mógł zwrócić uwagę na ten właśnie czynnik, który tam występował szczególnie silnie. Nie posługując się zaś materiałem porównawczym (historycznym i współczesnym — międzynarodowym) mógł Arndt dojść do mylnego poglądu, jakoby chałupnictwo było funkcją tylko tego jednego czynnika. Wystarczy sięgnąć do stosunków polskich, ażeby stwierdzić, że istnieją gałęzie chałupnictwa, które bynajmniej nie są oparte na „Füllarbeit“ (np. chałupnictwo krawieckie w Brzezinach); że mamy tu bardzo skomplikowany splot czynników. W Polsce, która jest wyjątkowo dogodnym terenem dla badań nad chałupnictwem, możemy właśnie wyraźnie zaobserwować, jak chałupnictwo, rozpoczęte jako „Füllarbeit“ szcześnie staje się głównym, a nawet i jedynym zajęciem zarobkowym, jak ono pojawia się również pod wpływem mody, jak czynnikiem trwałości może okazać się zmiana w procesie technologicznym itd.

Badania Arndta oznaczają niewątpliwie pewien zwrot w dotychczasowych pracach nad chałupnictwem. Jest to dopiero pierwszy krok na drodze

do rozwiązania doniosłego problemu ekonomicznego, mianowicie ustalenia elementów trwałości tej formy produkcji przemysłowej.

Artur Bardach (Warszawa).

Socjologia wychowania.

E. G. Payne: *Readings in Educational Sociology*. New York, Prentice Hall, Inc., I tom, 1932, str. XVI + 376; II tom, 1934, str. XXI + 793.

Do bardzo rozpowszechnionych w Ameryce wypisów z różnych działów nauk społecznych (W. I. Thomas: *Source Book for Social Origins*, 1920; R. E. Park i E. W. Burgess: *Introduction to the Science of Sociology*, 1921; K. Young: *Source Book for Social Psychology*, 1927; W. B. Graves: *Readings in Public Opinion*, 1928; — że wymienię najlepsze przykłady) — przybywają obecnie wypisy z socjologii wychowawczej.

Dwutomowa całość o zgórą 1100 stronicach dzieli się na następujące rozdziały. W tomie I: 1. Socjologia wychowawcza, jej historia, potrzeba, znaczenie, zakres i funkcja; 2. Stosunek socjologii wychowawczej do socjologii, psychologii wychowawczej i do wychowania; 3. Rozwój osobowości; 4. Narastanie kultury i wychowania; 5. Zmiany społeczne i wychowanie; 6. Rodzina jako instytucja wychowawcza; 7. Wychowanie i grupy dzieci; 8. Społeczność lokalna i wychowanie; 9. Cele społeczne i wychowanie. W tomie II: 1. Szkoła jako instytucja społeczna; 2. Ekspansja funkcji wychowawczych w ogólności. Pod tą ogólną kategorię ekspansji funkcji wychowawczych przypadają dalsze rozdziały poświęcone różnym dziedzinom wychowawczym a więc: rozdz. 3. Wychowanie zdrowotne; 4. Wychowanie obywatelskie; 5. Kształcenie charakteru; 6. Wychowanie dorosłych; 7. Poradnictwo zawodowe; 8. Wychowanie specjalne (wybitnie uzdolnionych, nienormalnych, niewidomych); 9. Wychowanie postępowe; 10. Środki wychowania. — Program; 11. Socjologia metod wychowawczych; 12. Opieka psychologiczna nad dziećmi (Child guidance); 13. Organizacja szkoły; 14. Mierzenie skutków wychowania; 15. Socjologiczne badania nad wychowaniem.

Zakres materiału wypisów jest więc stosunkowo duży; całości brak jednak teoretycznej koncepcji socjologii wychowawczej. Czytelnik nie rozumie dlaczego pewne zagadnienia, jak ekspansja funkcji wychowawczych, zajmują nieproporcjonalnie wiele miejsca (więcej, niż połowę tomu drugiego), a pewne zasadnicze zagadnienia (np. selekcji społecznych w szkole i w związku ze szkołą, typologii społecznej uczniów i nauczycieli, towarzystw nauczycielskich, zawodu nauczycielskiego, wpływu różnych grup społecznych na szkołę itp.) nie zostały zupełnie (albo tylko ubocznie) uwzględnione. Tam zaś, gdzie jak np. w rozdziale „Socjologia metod wychowania” tytuł wskazywałby na problematykę teoretyczno-socjologiczną, wstęp wydawcy i dobór wypisów wysuwają zagadnienia społeczno-praktyczne. Ten

społeczno-praktyczny raczej, niż socjologiczny punkt widzenia wyraźnie dominuje w krótkich i słabych wstępach wydawcy i w doborze wypisów. Oczywiście nie jest to wina samego wydawcy: taka jest amerykańska socjologia wychowawcza, a wydawca uwzględnił tylko dorobek amerykański. Lecz i z niego nie wybrał rzeczy teoretycznie najlepszych. Pod tym względem wypisy te nie dorównują *Wprowadzeniu do nauki socjologii* Parka i Burgessa, zarówno pod względem opracowania wstępów i ich problematyki, jak i systematycznego doboru wypisów. Z temi zastrzeżeniami jednak wypisy te posiadają wartość zarówno dla zilustrowania stanu socjologii wychowawczej w Ameryce, jak i dla badania socjologicznego nad wychowaniem i szkolnictwem amerykańskim. Wiele materiału pomieszczonego pochodzi z periodycznych publikacji amerykańskich, które zwłaszcza poza Ameryką byłyby inaczej trudno dostępne.

Józef Chałusiński (Warszawa).

Rudolf Narloch: *Samorzutne zespoły dziecięce w wieku szkolnym*. Odbitka z „Ruchu Pedagogicznego“ R. XXIV — 1934/35. Warszawa 1935, str. 99.

Praca p. Narlocha jest próbą badania zespołów powstających na terenie szkoły bądź klasy szkolnej. Oparta jest na bogatym doświadczeniu i zdolności obserwacyjnej autora oraz znajomości literatury pedagogicznej. Autor po kolei szkicowo przedstawia każdy z tych zespołów, a więc: 1) zespół oparty na popędzie macierzyńskim; 2) na udzielaniu i doznawaniu pomocy; 3) kształtujący się koło t. zw. „dzieci miłych“; 4) na despotyzmie i sile fizycznej; 5) na przejawach egocentryzmu; 6) przejawiających wpływy środowiska; 7) zespoły przyjacielskie; 8) koleżeńskie; 9) t. zw. „kliki“; 10) t. zw. „związki“; 11) zespoły fluktuacyjne; 12) bandy.

Do tej bogatej listy możnaby jeszcze dodać pewne zespoły opuszczone przez autora, a mianowicie, choćby wymienione w pracy J. Szczepańskiego (artyk. „Przejście z rodziny do szkoły w życiorysach młodzieży“, *Przeł. Socj. tom III str. 306—7*) t. j. 1) kółko „repentów“; 2) kółko „dobrych uczniów“; 3) kółko o przywódcy — „wykolejeńcu“ (np. złodzieju); 4) kółko wagarujące. O ile cytowana praca daje początek w Polsce niewątpliwie ciekawej literaturze, która na temat zespołów szkolnych powstanie, to pewne wywody autora nasuwają obiekcje, które chciałbym tutaj przytoczyć dla zapoczątkowania dyskusji na ten temat.

Przedewszystkiem autor skłonny jest za McDougall'em posiłkować się w tłumaczeniu zjawisk społecznych „instynktami“: czyni to twierdząc np. iż „w klasie 5-ej i 6-ej a w pewnej mierze i w klasie 4-ej dostrzegamy objawy większego i trwalszego zespolenia się ogółu dzieci jednej klasy, co... dzieje się pod wpływem silniejszego działania rozbudzonego instynktu gromadzkiego“ (str. 50). Gdzieindziej (str. 76) mówi iż „dzieci... zajmują szczególnie do przywódcy postawę życzliwą...; jest to zjawisko zobiektywizowania in-

instynktów“ (?). Podobnie i „żądza przygód, potrzeby zrzeszania się i kierownictwa“ mają być rezultatem instynktów (str. 94). Tłumaczenie naukowe zjawisk przez „instynkty“ należałoby zarzucić ponieważ zaciemnia ono jeszcze bardziej to, co pragniemy wyjaśnić. Np. co autor wyjaśnił mówiąc, iż stosunek do przywódcy tłumaczy należy „zobiektywizowanym instynktem“? W kilku miejscach niejasne jest stanowisko autora, jeśli chodzi o interpretowanie grupy w socjologicznym znaczeniu pojętej. A więc: zespół nie stwarza najczęściej „warunków umożliwiających wszechstronny rozwój jednostki“, — bo często rozwój ten zacieśnia i czyni nader jednostronnym, szczególnie gdy jednostka nie należy do większej liczby zespołów. Zgadzam się zaś z autorem, iż „zespół niezawsze sprzyja rozwojowi wszystkich jego członków“ (str. 96). Co się tyczy „wyposażenia“ równego czy też nierównego członków zespołu przyjacielskiego jako środka klasyfikacji (str. 48) — to pamiętać trzeba, iż o „równem wyposażeniu“ trudno wogóle mówić, natomiast trzeba wziąć pod uwagę zasady, na których związek ten powstał a więc wziąć pod uwagę z czem każdy z członków wstąpił do grupy: może się bowiem zdarzyć, iż jednostka bardzo bogato wyposażona zaspakaja po przez grupę tylko swoje potrzeby drugorzędnego znaczenia i wchodzi do związku drobną „częścią“ swej osobowości, — z inną jednostką zaś ma się rzecz zupełnie odwrotnie. „Wybór przyjaciela nie odbywa się w y ł ą c z n i e na płaszczyźnie utylitarno- obiektywnej“ — mówi autor (str. 29): z zasady odbywa się on inaczej, ponieważ jest to związek oparty na walorach społecznych i czysto ludzkich, wchodzących w jego skład jednostek, o ile zaś się na tem nie opiera — nie jest związkiem przyjaźni, lecz innym — „celowym“ związkiem. Podział przywódców na „stałych“ i „zmiennych“ (str. 72) wydaje się bezpłodny. Nie mogę się zgodzić z autorem, aby „pod wpływem wspólnej nauki i wspólnych przeżyć“ oraz „ze wzrostem stopnia podobieństwa umysłowej konstytucji wytwarzała się w pewnej mierze psychiczna jednorodność ogółu dzieci“, przyczem „im wyższy stopień tej jednorodności... tem łatwiej tworzy się tłum (?) psychologiczny“, tem bardziej, że autor dodaje, iż „tem wyraźniejsze i głębsze są (wówczas) objawy życia zbiorowego“. Czy „tłum psychologiczny“ ma być tego wyrazem? Niewątpliwie — nie!

Pomimo tych i szeregu innych jeszcze usterek socjologicznej natury pracę p. Narlocha czyta się z dużym zainteresowaniem i można ją polecić tym, którzy zajmują się kwestjami, znajdującymi się na pograniczu socjologii i pedagogiki.

Pragnąłbym bardzo, aby autor, nie zrażając się może zbyt znaczną liczbą zarzutów, dopełnił swą pracę w najbliższej przyszłości drugą jej częścią, a mianowicie, nie ograniczając się do części opisowej różnego typu grup społecznych w klasie — dokonał szczegółowej analizy struktury społecznej klasy, w której grupy te możliwie bogato występują, wchodzi z sobą w stosunki, zazębiają się i wzajemnie na siebie wpływają, dając, w ten sposób ujęty, całokształt życia społecznego klasy. Tego rodzaju studjum brak dotychczas i sędzę, iż autor omawianej przez nas pracy mógłby dokonać tej analizy, ze wszech miar potrzebnej socjologicznie i pedagogicznie.

Edward Arnekker (Warszawa).

Leopold Blaustein: *Psychologiczne podstawy oświaty pozaszkolnej*.
Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny. Warszawa 1935, str. 32.

Książeczka Blausteina ukazała się jako zeszyt drugi projektowanego przez Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny kursu dla pracowników oświatowych.

Autor w trzech krótkich częściach (rozdziałach) omawia pokolei w interesujący sposób zagadnienia: motywów dążeń do oświaty pozaszkolnej, psychologicznych możliwości kształcenia się w wieku pozaszkolnym i możliwości oddziaływania wychowawczego na ludzi w wieku pozaszkolnym.

Książeczkę tę czyta się lekko i z zainteresowaniem. Praktycznemu działaczowi oświatowemu, dla którego jest przeznaczona, przyniesie ona niewątpliwie znaczne korzyści. Oświecła bowiem w ciekawy sposób szereg problemów, z którymi spotyka się on w swej pracy. Ze stanowiska teoretycznego budzi ona jednak pewne zastrzeżenia. Wątpliwości nasuwa pogląd, że krytycyzm w stosunku do prawdziwości twierdzeń, wygłaszanych i zaszczerpionych przez dorosłych w zespołach samokształceniowych młodzieży wiejskiej (starszej) przejawia się nieporównanie słabiej niż w miejskich (str. 29). W rzeczywistości bywa różnie. Krytycyzm ten jest bowiem uwarunkowany całym szeregiem różnych czynników, jak np. zakresem wiedzy osobnika w danej dziedzinie, stopniem jego zaufania do oświatowca, sprawnością myślenia itd. Wątpliwości budzi także pogląd, że „do oświaty pozaszkolnej zaliczamy również wszelkie formy samokształcenia“ (str. 5, odsyłacz). Być może autor chciał powiedzieć, że w oświacie pozaszkolnej spotykamy się z wszelkimi formami samokształcenia, a więc z samokształceniem indywidualnym, współpracą samokształceniową, przodownictwem i kierownictwem samokształceniowym itd. Byłoby to całkiem słuszne. W dokładnej zaś interpretacji słów autora wyglądałoby, że wszelkie procesy samokształceniowe należą do oświaty pozaszkolnej. Tymczasem nie zaliczy on przecież do oświaty pozaszkolnej samokształcenia ucznia szkoły powszechnej, profesora uniwersytetu czy artysty.

Tytuł rozprawki tylko częściowo odpowiada jej treści. Autor bowiem uwzględnił w głównej mierze zagadnienia socjologiczne, nie zaś psychologiczne. Wyraźnie socjologiczny charakter mają problemy, zawarte w rozdziale trzecim. W dużym stopniu socjologiczne są problemy rozdziału pierwszego. Autor uwzględnił tu bowiem cały szereg motywów „dążeń do oświaty“, noszących charakter społeczny lub uwarunkowanych społecznie.

To nierozróżnianie zagadnień psychologicznych od socjologicznych uwarunkowane jest w rozprawie autora (podobnie zresztą, jak u wielu psychologów) różnymi czynnikami. Największą rolę odgrywa tu zapewne nieznanomość podstawowych założeń socjologii i nieświadomość, że istnieją wcale bogato rozbudowane dziedziny socjologii (np. socjologia wychowania), które już dość dawno objęły i rozwiązały w sposób teoretyczny wiele problemów, rozpatrywanych przez autora. Dowodem tego jest fakt, że autor cytuje trzeciorzędą literaturę z zakresu socjologii wychowania (Gottlieb, Niesio-

lowski), pomija zaś dyskretnem milczeniem prace przodujące w tej dziedzinie (np. Znaniecki: *Socjologia Wychowania*).

Władysław Okiński (Warszawa).

Socjologia przestępstwa i przestępcy.

Tadeusz Edmund Kuczma: *Przestępstwa zbiorowe w świetle współczesnej kryminologii*, Poznań, 1932.

Temat pracy: przestępstwo zbiorowe, reakcja karno-społeczna w wypadkach przestępstwa zbiorowego i prewencja. Wystawiane tezy w płaszczyźnie kryminologii autor opiera na psycho-socjologicznej analizie tłumy wogóle, przestępczego — w szczególności. Tylko ta sprawa jest przedmiotem niniejszej recenzji.

Autor, po krytycznym rozpatrzeniu dotychczasowych badań tłumy, przystępuje do psycho-socjologicznej analizy zbiorowości. Na pierwszy plan autor wysuwa „stadium zbiorowych przeżyć psychicznych, które poprzedza powstanie tłumy skupionego“. Owe zbiorowe przeżycia psychiczne, na które zostaje zwrócona uwaga, stanowią wierzenia i zrzeczenia. Odrazu powstaje wątpliwość co do umieszczania na jednej płaszczyźnie „zbiorowych przeżyć psychicznych“ wierzeń i zrzeczeń. Autor mówi o zrzeczeniu jako o „transformacji“ wierzenia (str. 28), a więc tu pewnie jakiś inny rodzajowo przedmiot występuje, ale w innym miejscu czytamy: „Jeżeli rzucimy okiem na istniejące w skomplikowanym życiu społecznym zbiorowości (obejmując tem pojęciem zarówno wierzenie jak i zrzeczenie)...“ (str. 40). Z tego wynikałoby, że „transformacja“ wierzenia w zrzeczenie (uprzednio stadja zbiorowych przeżyć psychicznych) poszła w tym kierunku, że obydwa przedmioty stały się zbiorowościami. Jedyną deską ratunku jest to, że autor daje wyjaśnienia, co rozumie przez „wierzenie“ i wskazuje różnice pomiędzy niem a „zrzeczeniem“. Wierzenie — „całość podobnych kompleksów psychicznych ujęta in abstracto, a pojęta konkretnie — ogół tych części osobowości jednostek, które w pewnej płaszczyźnie współżycia są do siebie podobne“ (str. 31), co zostało poprzedzone wzmiankami o wierzeniu jako „sile psycho-kolektywnej“ (str. 29), a następnie, że „jednolitość nastawienia w stosunku do pewnej kategorii zjawisk o charakterze ogólnym“ objęta jest pojęciem wierzenia (str. 38) i wierzenie „u jednostek je wyznających przedstawia się jako głębokie przekonanie o prawdziwości i słuszności wyznawanych zasad“ (str. 38). Co dotyczy zrzeczenia, to ono powstaje w ten sposób, że organizacja „przetwarza wierzenie w zrzeczenie, konkretyzując zarazem cel ogólny, znajdujący się u podstaw wierzenia“ (str. 39).

Jak o tem była mowa, „wierzenie“ i „zrzeczenie“ autor wiąże z powstaniem tłumy skupionego, z tem, co tłum dokona. Pod tym kątem widzenia wierzenie „nie wytwarza jeszcze stanów psychicznych zdolnych do wyzwole-

nia funkcji motorycznych w kierunku odpowiadającym celowi wierzenia“ (str. 38). Inaczej sprawa przedstawia się z zrzeczeniem. „Zrzeczenie wyraża... pewną jednolitość psychiczną u jednostek, które doń należą, i to nie tylko przez wywoływanie zmian w sferze uczucia, lecz również przez urabianie umysłu i ograniczanie swobody myślenia w stopniu korzystnym dla rozwoju idei solidarność“ (str. 49). A dalej „uświadamianie członków zrzeczenia co do sposobu realizacji celu, przedewszystkiem zaś ich przekonanie, że znajdują bezkrytyczne poparcie drugich, ułatwia w wysokim stopniu wyzwoleń się funkcji motorycznych na podkładzie dyspozycji wzmocnionych przez zrzeczenie“ (str. 49).

Z takiego materiału może tworzyć się tłum. Jeśli tłum skupia w sobie „wyznawców pewnego wierzenia względnie członków jednego zrzeczenia“, to autor nazywa go — zbiorowiskiem. Jeśli „brak takiego wspólnego podkładu psychicznego“ u jednostek, tworzących tłum, mamy przed sobą mnogość skupioną (str. 50). Tu już sytuacja przedstawia się jaśniej. Wiemy z kogo się składa zbiorowisko, a z kogo mnogość skupiona. Wkrótce jednak sytuacja się pogarsza. Autor wprowadza termin „zbiorowość“. Domyślamy się, że zbiorowość to pewnie „wierzenie“ lub „zrzeczenie“ i jeszcze coś więcej (por. str. 40). Z tem domniemaniem przechodzimy z autorem do sprawy zasadniczej: stan psychiczny jednostek w zbiorowisku. Tu się dowiadujemy, że „Ogół stanów psychicznych jednostek zbiorowiska wykazuje... psychiczne właściwości jednostek wyznających dane wierzenie lub należących do zrzeczenia“ (str. 51), że zbiorowisko „zawsze wykazuje łączność z wytworzonym przez zbiorowość stanem psychicznym jednostek“ (str. 51), że „w tłumie przestępnym przybierającym formę zbiorowiska, dokonany czyn był już uprzednio w zarysie zawarty w stanach psychicznych jednostek“ (str. 53). Z podanych opisów otrzymujemy wrażenie, że materiał ludzki wchodzący do zbiorowiska pod względem psychicznym jest dość spoisty, lecz tu zjawiają się „czynniki specjalnie w zbiorowisku działające“. Już przedtem autor wspominał, że „zmiennosc psychiki uczestników zbiorowiska tłumaczy się brakiem szczegółowej i ścisłej organizacji“ (str. 51), a teraz podkreśla, że owe czynniki dokonywują „przemiany psychiki uczestnika zbiorowiska“, że „popychają jednostkę szybko w kierunku działania przestępnego“ (str. 56). Jako takie czynniki autor podaje: zanik poczucia odpowiedzialności, przekonanie jednostek o bezwzględnej sile tłumy, szczególne przymioty przywódców zbiorowiska i obecność w zbiorowisku mętów społecznych (str. 56—57). Owe czynniki były już niejednokrotnie wskazywane przez badaczy tłumy, autor jednak swoiście ujmując ich działanie: „czynniki te przedstawiają... przerwę związku przyczynowego, na który składa się szereg przebiegów psychicznych, wynikających z utrwalonej w jednostkach ideologii zbiorowości“ (str. 56).

Przejdziemy teraz do „mnożności skupionej“. „Działanie uczestników mnogości skupionej nie opiera się na systemie przebiegów myślowych i uczuciowych, który charakteryzuje psychikę jednostek w zbiorowisku“ (str. 60). W związku z tem czynów uczestników mnogości skupionej, dla której większości warunkiem skupienia jest zdarzenie przypadkowe, nie cechuje naze-

wnątrz jednolitość (str. 60—61). Ważne jest stanowisko autora, że „podobnie jak w zbiorowisku, jednostka dopuszcza się pod wpływem mnogości skupionej czynów, których nie dokonałaby w odosobnieniu“, pomimo tego, że tutaj odpadają „ograniczonosc sfery myślenia“, oraz przemożny wpływ przywódców.

Pominę inne zagadnienia poruszane jeszcze przez autora w związku z badaniem zbiorowiska i mnogości skupionej (czyn kolektywny, czynne i bierne uczestnictwo w zbiorowisku itp.), gdyż one wiążą się z podstawowymi punktami wyjściowymi, które wyżej podałem, a które budzą szereg zastrzeżeń.

Autor operując dużą literaturą, w której spotkał różnorodne nazwy wieloznaczne, chciał, całkiem słusznie, oprzeć się na terminach, któreby ułatwiły rozpatrywanie dość złożonych zagadnień i wprowadziły różnicowanie badanego materiału. W ten sposób tłumaczy sobie wprowadzenie form tłumy pod nazwą zbiorowiska i mnogości skupionej, a następnie wprowadzenie wierzeń i zrzeseń. Wszystkoby było dobrze, gdyby autor jednocześnie zwrócił uwagę na problematykę zagadnień psychosocjologicznych i socjopsychologicznych. Wówczas czytający pracę „Przestępstwa zbiorowe w świetle współczesnej kryminologii“ mógłby zrozumieć, kiedy autor mówi o treściach psychicznych, a kiedy o przeżyciach psychicznych. Takie rozróżnienie jest istotne, jeśli chce się badać wpływy mnogości ludzkich na jednostkę, co stanowi centralny punkt rozważań autora. Autor mówi o zmianach w psychice pod wpływem danego wierzenia (str. 29), o kompleksach przebiegów psychicznych (str. 30), o kompleksach psychicznych (str. 31), o stanach psychicznych (str. 32, 41), operuje wyrażeniami, które, nawet po wyjaśnieniach, nie stanowią aparatu pojęciowego zdającego do pracy. W związku z tem uległy zatarciu powiązania pomiędzy obu wskazanymi momentami a zachowaniem się i postępowaniem zbiorowem. Następnie właściwości strukturalne zbiorowiska i mnogości skupionej zostały przez autora narysowane w ten sposób, że „podział skupień ludzkich na zbiorowiska i mnogości skupione nasuwa nie raz w konkretnym wypadku wiele trudności“ (str. 62). A jednak rozróżnienie zbiorowiska i mnogości skupionej jest sprawą pierwszorzędnej wagi pod kątem widzenia postępowania i zachowania się zbiorowego. Autor sam powiada: „psychologiczne odgraniczenie dwóch wymienionych stadów skupienia posiada zasadnicze znaczenie pod kątem widzenia oceny wartości działania jednostek, praktycznie jednak przeprowadzenie właściwej delimitacji staje się najczęściej niemożliwe“ (str. 62).

Pomimo to praca T. Kuczmy zasługuje na zapoznanie się z nią. Autor słusznie powiada: „Względność wniosków oraz przekonanie o niedoskonałości nauki powinno zachęcić do tem intensywniejszego badania niewyjaśnionych bliżej zjawisk, w szczególności zjawisk kolektywnych, które dzięki działaniu specyficznych czynników przedstawiają w dzisiejszym stanie nauki liczne, nieokreślone co do swej doniosłości składniki“ (str. 154).

Bronisław Wróblewski (Wilno).

C. R. Shaw i H. D. McKay: *Social factors in juvenile delinquency*. A study of the community, the family, and the gang in relation to delinquent behavior for the National Commission on Law Observance and Enforcement. Government Printing Office. Washington, D. C. 1931, s. XV + 401.

Rozwój przestępczości w Stanach Zjednoczonych dal asumpt do powstania specjalnych instytucyj naukowych, których celem jest badanie ogółu warunków społecznych, które się wiążą z przestępczością. Szczególny nacisk położono na badania nad przestępczością młodocianych głównie w mieście i od kilku lat badania w tym zakresie rozwijają się w Ameryce bardzo intensywnie. (Np. Thrasher: *The Gang* 1927.). Przedmiotem pracy niniejszej jest również przestępczość młodocianych w Chicago i kilku większych miastach amerykańskich. Autor pracy tej, znany badacz w dziedzinie przestępczości młodzieży, bierze za podstawę wykazy policji dla spraw młodocianych, a w szczególności liczbę aresztowań młodocianych; następnie — wykazy sądowe dotyczące liczby młodocianych postawionych przed sąd dla młodocianych, wreszcie — liczbę skazań młodocianych przez te sądy na zamknięcia w domu poprawy lub szkołach specjalnych. Dane te odnoszą się do miasta Chicago; dla innych miast autor ogranicza się wyłącznie do materiałów wydanych przez policję (punkt 1).

Postawimy mu szereg zarzutów. Przedewszystkiem — nie daje określenia przestępczości, ani nawet szczegółowszego omówienia przestępstw dokonywanych przez młodocianych, traktując w dodatku wszystkie przestępstwa narówni, jako coś jednorodnego; a wszak chodzi tutaj o bardzo różne przestępstwa, począwszy od takich jak kradzież owoców na własny użytek przez chłopców poniżej lat 10-ciu, do napadów bandyckich, włamań a nawet zabójstw młodzieży, która ukończyła już lat 18-cie. Znajdują się tutaj tak przestępstwa oznaczone jako „sex offences“ jak i chroniczne ucieczki ze szkoły lub domu. Tego rodzaju łatwe ujęcie „przestępczości“, może aż za łatwe do ujęcia statystycznego, stanowi kruchą podstawę do wyciągania wniosków.

Obok wyżej wymienionego, nader zasadniczego błędu, autor popełnił szereg innych, także poważnych błędów metodycznych. Przedewszystkiem pomija zupełnie milczeniem przestępczość wśród dziewcząt, o której wogóle nigdzie nawet nie wspomina. Nie jest to właściwe, tem więcej, że z liczb jako przytacza, sądzić możemy, że była dość znaczna liczba i przestępstw dziewcząt. Poza tem nic nie wiemy o przestępstwach chłopców poniżej lat 13-tu, ujętych w jednej liczbie, a wszak praca powinna dać nam obraz rozwoju przestępczości począwszy od najmłodszych roczników przestępców (bývają przestępcami i 5-letnie dzieci) z szerokiem uwzględnieniem rodzajów tych przestępstw. Następnie autor pominął zupełnie przestępstwa starszych roczników, począwszy od 18-go roku życia w górę, a wszak roczniki starszej młodzieży i dorosłych stanowią kadry „nauczycielskie“, kształcące młodocianych w przestępczości. Wogóle autor pominął kwestję roli, jaką spełniają

młodociani w grupach dorosłych przestępców — o czym ogólnie możemy się dowiedzieć z innych prac (Thrasher: The Gang).

Tak bardzo uogólniające i czysto statystyczne ujęcie zagadnienia zemściło się w ten sposób, iż uniemożliwiło autorowi prawie zupełnie wyciągnięcie poprawnych wniosków. Nie dało mu też możliwości precyzowania zależności między przestępstwem młodocianego a „dzielnicowością“ miasta — jak to zobaczymy poniżej.

Prof. Burgess w roku 1925, a więc szereg lat temu (Urban Areas in Chicago) dla badań nad miastem — zastosował pojęcie okręgów miejskich koncentrycznie rozłożonych naokoło pewnego centrum, które zwykle stanowi centrum przemysłowo-handlowe miasta, o największym skoncentrowaniu przedsiębiorstw różnego typu, o największym napięciu ruchu, centrum ściągające do pracy w firmach i biurach codziennie setki tysięcy pracowników zamieszkałych w pewnym odeń oddaleniu. Owych pięć koncentrycznych kół jakie otaczają centrum (w Chicago t. zw. „loop“) posłużyło autorowi do stworzenia rejonów przestępczości. Jak ma wynikać z danych przytoczonych w tablicach — procent przestępców młodocianych (tak absolutnie jak i w stosunku do liczby młodocianych odpowiedniego wieku, zamieszkałych w danej dzielnicy miasta) spada w miarę oddalania się od owego centrum miejskiego. Szemat ten dość prosty i bardzo przemawiający do wyobraźni, przyjęty został przez socjologów i zdobył sobie dużą popularność. Jak się jednak okazuje przy bliższym wnikięciu w pracę Shaw'a nie może on już dziś służyć dla celów naukowych i o ile mógł być szereg lat temu uważany tylko za pewnego rodzaju pierwsze uogólnienie, to w chwili, gdy autor nasz pisał swą pracę — wymagał schemat ten gruntownego przerobienia i przedstawienia dzielnic miasta, nie w tak zwulgaryzowany sposób. Okazuje się, iż w procentach przestępczości, jakie spotykamy w coraz to dalej od centrum położonych rejonach nie należy wcale do rzadkości fakt, że procent ten zamiast się zmniejszać — raptownie wzrasta, co dowodzi, że miasto, jako środowisko społeczne nie jest jednolitym ośrodkiem, lecz raczej kompleksem różnych ośrodków wzajemnie i w sposób skomplikowany ze sobą powiązanych. O ile więc autor pragnął zbliżyć się do rzeczywistości — obowiązany był przedstawić owe rejonory miejskie nie jako szereg kół koncentrycznych, lecz raczej, tak jak to odpowiada rzeczywistości, szereg ośrodków kół, które ze sobą w pewnych wypadkach będą się przecinać. Przedstawione to na płaszczyźnie — dałoby obraz raczej zbliżony do tego, jaki widzimy na mapach sztabowych, na których w a r s t w i c e charakteryzujące różne wysokości, zmieniają co chwila kierunek i bądź zagęszczają się bądź zwiększają między sobą odległość, co zależy od konfiguracji terenu. Nie podając szczegółowej metody przedstawiania na planie rejonów przestępczości, wskazujemy na wadliwość rejonowania przyjętą przez autora oraz na kierunek, w jakim należałoby iść, aby tego rodzaju rejonory w sposób bardziej naukowy stworzyć.

W tego rodzaju badaniu nie można będzie przejść do porządku dziennego nad przestępczością w okręgach znajdujących się już poza miastem,

a więc w pewnym stopniu — okręgów wiejskich, mimo to podlegających różnorodnym wpływom miejskim.

Dalej autor popełnia znów błędy metodycznej natury. Wprowadza mianowicie pojęcie „broken homes“ (str. 266) czyli zdeorganizowanego ogniska rodzinnego, przyczem za takie uważa rodzinę, w której jedno lub oboje rodziców nie żyją (!), bądź są rozwiedzeni, opuścili dom, żyją w separacji lub dłuższy czas są nieobecni. Znowu autor tu czyni błąd taki jak z pojęciem „przestępczości“, wprowadza tu bowiem elementy najróżnorodniejszej natury: czyż śmierć jednego z pośród małżonków lub np. emigracja zarobkowa jednego z nich pozwalają na scharakteryzowanie danej rodziny jako zdeorganizowanej, złamanej? („broken“). Wydaje się, że i to pojęcie nie pozwoli autorowi dojść do żadnych pozytywnych wniosków — i tak jest w istocie! Jak odbija się to na rezultatach wskazuje tablica pomieszczona na stronie 268 (tabl. XXXV), z której wynika, że w miarę wzrostu wieku przestępców młodocianych wzrasta i procent owych rodzin zdeorganizowanych; dzieje się to we wszystkich wymienionych w tablicy narodowościach — oprócz... Polaków! Okazuje się, iż Polacy wykazują — co prawda niewielki — ale systematyczny spadek procentu owych „broken homes“ w miarę wzrostu wieku młodocianych przestępców! Autor nie może podać przyczyny tego zjawiska, ale podał jednak regułę, która dla jednej narodowości „nie pasuje“ i przechodzi nad tem do porządku. To wskazuje na wartość pojęć jakimi operuje autor i na walor uogólnień przezeń stosowanych. Sądzę, że zagadki tej nikt nie rozwiąże i...nawet nie będzie próbował jej rozwiązywać, gdy zaznajomi się z metodą zastosowaną w omawianej pracy. Ponieważ autor, utworzywszy pojęcie „broken homes“ poświęcił mu cały rozdział w cytowanej pracy, niezbyt zrozumiałe jest twierdzenie tegoż autora podane na końcu pracy, iż w życiu dziecka rozwód czy separacja rodziców, nie są tak ważnym czynnikiem — jak konflikty emocjonalne, będące rezultatem załamań życia rodzinnego (str. 285); stwierdza też, że „broken homes“ nie są właściwą miarą dla znaczenia życia rodzinnego i wypadków przestępczości (str. 284). Czemu więc autor wprowadził do pracy rozdział IX-ty?

Autor wprowadza jeszcze jedno pojęcie, podobne do tego jak poprzednie! Jest to pojęcie „narodowości“. Czy narodowość jest możliwa do stwierdzenia w warunkach życia amerykańskiego, a w szczególności — w warunkach życia młodocianego przestępcy? Stwierdzenie formalnej przynależności do państwa nie może tutaj mieć większego znaczenia, a świadomość zaś proletariatu w Stanach często nie zaznacza się niczem konkretnym albo też, o ile się zaznacza, aż nazbyt częsty brak dobrej woli u ankietowanego nie pozwoli na szczere wypowiedzenie się i określenie tegoż. I to więc pojęcie nie daje możliwości autorowi do naukowych uogólnień i wyciągania jakichś wniosków. Moglibyśmy uczynić autorowi jeszcze szereg innych poważnych zarzutów; a więc — mówiąc o przenoszeniu się ludności z jednych rejonów miasta do innych (str. 87) — nie nawet nie wspomina o kwestji ruchliwości różnych warstw ludności, a jest to niewątpliwie zagadnienie tak

samo ważne jak ruchliwość ludności według różnych narodowości rozpatrywana.

Biorąc za punkt wyjścia liczbę przestępców młodocianych oraz liczby przestępstw (str. 194—198), autor winien był wyodrębnić liczbę przestępców każdego rocznika, począwszy od najmłodszych a obok tego — liczbę dokonanych przez nich przestępstw nie tylko według ogólnej liczby, jak i rodzajów przestępstw: pozwoliłoby to na bardziej szczegółowe wniknięcie w istotę przestępczości młodocianych a nie ograniczanie się tylko do powierzchownego zaznajomienia się z tem zjawiskiem.

Wyczerpawszy długą litanję tego, co zaliczymy na minus pracy o przestępczości młodocianych, należy zwrócić uwagę na pewne zalety tej pracy. Autor nie sprecyzowawszy ani pojęć, ani nie dając właściwie uogólnień często stawia w sposób interesujący zagadnienia: a więc np. rozpatruje przestępczość w zależności od tego czy dane rejony miasta wzrastają pod względem liczby ludności czy też się wyludniają (str. 71). Okazuje się, iż znacznie silniejsze jest natężenie przestępczości w rejonach o wzrastającej liczbie ludności w porównaniu z rejonami wyludniającymi się. Autor stwierdziwszy sam fakt, nie daje żadnego dodatkowego wyjaśnienia dla tego zjawiska. Ważne też jest np. stwierdzenie, iż odsetek przestępczości w rejonach, które zmieniały kilkakrotnie ludność (str. 51), pozostał prawie bez zmian w ciągu lat 20-tu, choć w tym okresie rejon zamieszkiwany był kolejno przez różne grupy narodowościowe. Pracę o „przyczynach przestępstw“ warto przestudjować dla zorjentowania się jak bardzo potrzebne jest ustalenie sprecyzowanych metod i ścisłego określenia pojęć przy planowaniu badań nad zasadniczymi kwestjami nowoczesnego życia społecznego wielkiego miasta.

Edward Arnekker (Warszawa).

Clifford R. Shaw: *The natural history of a delinquent career.* The University of Chicago Press, Chicago 1931, str. XV + 280.

Książka, jak mówi jej tytuł, jest „naturalną historją kariery przestępczej“. Dotyczy chłopca pochodzenia żydowskiego, urodzonego w Warszawie, który wraz z rodziną wyemigrował jako dziecko do Ameryki. Dzieje przestępcze Sidneya (takie jest imię przestępcy) zaczynają się od 7 roku życia w domu poprawczym i poprzez łańcuch 28 kradzieży, włamań i aresztowań kończą się wyrokiem sądu skazującym 17-letniego wówczas przestępcę na 20 lat więzienia za rabunek z bronią i za gwałt. Autobiografja przestępcy pisana jest w ciągu trzeciego roku więzienia i nie wyczerpuje całego studjum. Zajmuje ona 170 stronice na 280. Shaw uzupełnia ją wykazem przestępstw, opartym na oficjalnych źródłach, opisem dzielnicy, z której autor-przestępca pochodzi, charakterystyką współtowarzyszy pierwszych przestępstw i band przestępczych, do których autor należał, opisem stosunków rodzinnych, zestawieniem wyników badań lekarskich, psychologicznego i psychiatrycznego. W końcu dał analizę całego tego materiału i dla celów porównania dołączył wyciągi z autobiografij współtowarzyszy ostatniej zbrodni

przestępcy. Studium uzupełnia jeszcze „dyskusja“ prof. E. W. Burgessa, dotycząca osobowości przestępczej, oraz uwagi sędziego dla nieletnich pani M. M. Bartelme o zapobieganiu przestępczości.

Książka odbiega więc znacznie od zwykłej autobiografii, a jest przykładem metodycznego opracowania dziejów przestępcy, dla których autobiografia jest wprawdzie koniecznym, ale nie jedynym materiałem.

Autobiografia, zdaniem Shaw'a, jest niezastąpionym źródłem do poznania wyobrażenia jednostki o jej roli społecznej.

Dla właściwego zrozumienia kompozycji książki i jej znaczenia w badaniach nad przestępczością, należy uwzględnić, że książka ta wraz z poprzednią pokrewną publikacją Shaw'a (*The Jack-Roller: A Delinquent Boy's Own Story*, Chicago 1930) jest częścią obszerniejszego programu badań prowadzonych przez Wydział socjologii University of Chicago i Institute for Juvenile Research w Chicago.

Dla badań socjologicznych nad przestępczością, prowadzonych przez te instytucje, ważne są trzy zasadnicze punkty wyjścia: (1) grupa przestępcza, (2) kultura czyli tradycja przestępcza, i (3) osobowość przestępcza. Wymieniłem je w porządku chronologicznym, w jakim się kolejno ukazywały odpowiednie publikacje różnych autorów kierunku chicagowskiego.

O znaczeniu grup współtowarzyszy w przestępczości świadczy fakt, że z chłopców sądzonych przez sąd dla nieletnich w Cook County (powiat do którego należy Chicago) w ciągu jednego roku, tylko 25,6% popełniło indywidualnie swoje pierwsze przestępstwo. (C. R. Shaw i H. D. McKay: *Social factors in juvenile delinquency*, s. 390).^{*} Rolą grup w przestępczości zajął się w pracy, opartej na bardzo bogatym materiale faktycznym F. M. Thrasher (*The Gang, A Study of 1313 Gangs in Chicago*, Chicago 1927). Thrasher wykazał, że bandy te posiadają swój własny świat wartości moralnych i społecznych, swoją tradycję, która utrzymuje się często w dzielnicy z pokolenia na pokolenie. Zwrócił także uwagę, że tradycja ta utrzymuje się w pewnych tylko dzielnicach o skoncentrowanej przestępczości. Są centra „kultury“ przestępczej, tak jak innych typów kultury, i można badać zasięg tej kultury i jej rozprzestrzenianie się, tak jak etnologowie badają zasięg i dyfuzję kultur pierwotnych. Na koncepcję tę wywarła wpływ etnologia amerykańska, w szczególności C. Wissler (patrz *The Gang* s. 252).

„Kragami“ kultury przestępczej w miastach amerykańskich zajął się następnie C. R. Shaw (*Delinquency areas*, Chicago 1929 i R. C. Shaw i H. McKay *Social factors in juvenile delinquency*, 1931) analizując dzielnice miasta o skoncentrowanej przestępczości. Shaw podkreśla przytem, że w tych promieniujących centrach przestępczości zazwyczaj nie koncentruje się przestępczość wogóle, lecz tylko specyficzne rodzaje przestępczości. Nie-

^{*} Według W. Healy'ego i A. Bronner, reprezentujących odrębny kierunek badań nad przestępcami, na 3 000 zbadanych wypadków przestępczości w 62% wpływ towarzystwa był źródłem przestępczości (W. Healy and A. E. Bronner: *Delinquents and Criminals: Their Making and Unmaking*, New York 1926, s. 179).

rzadko specjalista w przestępstwach jednego rodzaju brzydzi się moralnie przestępstwem innego rodzaju, podobnie jak nieprzestępcy brzydzą się przestępców.

Z opublikowanych już prac chicagoskich, jak i z *Five Hundred Criminal Careers* S. S. i E. T. Gluck'ów (New York, 1930) wyraźnie występuje doniosła rola faktu, że potoczne kwalifikowanie przestępstwa ukształtowało się pod wpływem dominujących klas społecznych i że zróżnicowaniu grupowemu (m. in. klasowemu) społeczeństwa towarzyszy zróżnicowanie świadomości prawno-moralnej różnych środowisk, w których kształtuje się osobowość i karjera przestępcy od dzieciństwa. Przestępcy amerykańscy w autobiografiach zgromadzonych przez Institute for Juvenile Research wykazują dużo zmysłu „socjologicznego“, tłumacząc swoje upośledzenie w społeczeństwie tem, że w porównaniu do wielkich przestępców, jak Rockefeller i inni miljonierzy, którzy są ponad prawem, oni cierpią dlatego tylko, że są małymi przestępcami. Zapewne obserwacja ta nie jest pozbawiona znacznej dozy słuszności, zwłaszcza w odniesieniu do Ameryki. Trudno jednak, ażeby fundacje społeczne utrzymujące się za pieniądze plutokracji i klas wyższych badały specjalności przestępcze tych klas społecznych.

Książka niniejsza jest znowu ujęciem zagadnienia od strony osobowości przestępcy. Ujęcie przestępstwa od strony grupy traktowało przestępstwo jako funkcję zbiorowości, ujęcie od strony kultury (tradycji) przestępczej traktowało przestępstwo jako funkcję obszerniejszego systemu przestępczego wartości społeczno-moralnych, przekazywanego z pokolenia na pokolenie; ujęcie przestępstwa od strony osobowości szuka związku przestępczości z rozwojem postępowania jednostki, traktuje przestępstwo jako funkcję ciągłości rozwojowej postępowania. Te trzy punkty widzenia na przestępstwo ściśle uzupełniają się i tylko myślowo dają się rozróżnić, zawsze bowiem, badając kulturę przestępczą, badamy pewien aspekt grup przestępczych, a osobowość przestępcza staje się zrozumiała tylko na podłożu życia grupowego i kultury.

Dlatego też autobiografię Sidneya i inne dane dotyczące jego „karjery przestępczej“, poprzedza rozdział o „delinquency area“ („kręgu przestępczym“), o jego pierwszych bandach i stosunkach rodzinnych. W ten sposób dzieje karjery przestępczej, przedstawione na metodycznie ujętym podłożu społecznym, zostały w książce odmalowane z całą wyrazistością. Czytelnik może śledzić ciągle proces kształtowania się osobowości przestępczej Sidneya od pierwszych drobnych jego kradzieży popełnianych w zabawie bez świadomości przestępstwa, aż do dumy przestępczej i aspiracji dorównania bohaterom świata przestępczego.

Korzystając ze wszystkich dostępnych sposobów systematycznego przedstawienia ekonomiczno-społeczno-kulturalnej sytuacji przestępstwa i opisanie reakcji przestępcy na te sytuacje, Shaw zdaje sobie sprawę z tego, że żadna ze stosowanych przez niego metod (socjologiczna, psychologiczno-psychjacyjna czy statystyczna) zosobna nie jest w stanie ująć całości procesu stania się przestępcą. W szczególności Shaw zdaje sprawę dokładnie z ograniczonej wartości statystycznych danych, na których oparł swoje „Delin-

quency areas“, a w znacznej mierze i „Social factors in juvenile delinquency“. „Akt przestępczy — pisze — jest częścią dynamicznego procesu życia i jest rzeczą sztuczną patrzeć nań inaczej, jak na integralną część tego procesu. Jak długo przestępstwa nie rozpatruje się w kontekście dziejów jednostki, jest ono niezrozumiałe“ (8).

Rola poszczególnych czynników społecznych (rodziny, bandy, nędzy, dezorganizacji sąsiedztwa, poczucia upośledzenia i niepewności społecznej) nie może być nigdy ściśle wyodrębniona i określona, a tem mniej wymieniona statystycznie. Jest to niemożliwe tem bardziej, że każdy z wymienionych czynników nabiera znaczenia w procesie kształtowania się osobowości przestępcy tylko w przeżyciu subiektywnem jednostki, a w przeżyciu tem zawsze jest coś nieobliczalnego, „twórczego“, co wpływa różnicująco na dzieje społeczne jednostek jednego środowiska, choćby środowisko to faktycznie (co jest nie do pomyślenia) dla wszystkich tych jednostek było takie samo.

Czy chłopiec stał się przestępcą pod wpływem bandy, czy przystąpił do bandy pod wpływem skłonności przestępczej? Shaw, analizując dzieje i wyznania Sidneya, przypisuje dominujący wpływ bandom zabawowo-przestępczym i społeczno-kulturalnemu charakterowi dzielnicy. Jak wobec tego jednak wytłumaczyć, że inni chłopcy tej dzielnicy nie zostali przestępcami? Jak wytłumaczyć, że rodzony brat Sidneya, siedem lat starszy od niego, nie został przestępcą, lecz przeciwnie pobożnym i wzorowym chłopcem, przystosowanym do wymagań społeczeństwa? Na te problemy i wątpliwości sam Shaw zwraca uwagę w swoim studjum.

W studjum tem, jak w całym kierunku badań, do których ono należy, problematyka jest czasem zanadto uproszczona (jak np. w tem przeciwstawieniu wpływu grupy — skłonności przestępczej) nie mniej jednak, cały ten kierunek stanowi ogromny krok naprzód od znakomitego studjum W. Healy'ego: *The Individual Delinquent*, 1915 i jego prac późniejszych, który, zrywając z ogólnymi spekulacyjnymi teorjami przestępstwa, zapoczątkował w Ameryce badania nad osobowością i indywidualnością przestępcy.

Józef Chalasiński (Warszawa).

Jerome Michael i Mortimer J. Adler: *Crime, Law and Social Science*. Harcourt, Brace and Co., New York, 1933, str. XXIX + 440.

L. Fry w swojej *Technique of Social Investigation* (patrz *Przegląd Socjologiczny*, Tom III, z. 1—2) zauważa, że „zawiele prac zachowuje się, ponieważ nikt nie zadaje sobie trudu wykazywania ich braków. Nic nie przy-

* Nie jest to zjawisko odosobnione. Healy podaje (*The Individual Delinquent*), że na 137 rodzin zbadanych przez niego przestępców o 2 dzieciach tylko w 26 rodzinach przestępcami były oboje. W podobnym studjum w Bostonie (Judge Baker Foundation Case Studies) na 102 rodziny z dwójgim dziećmi, tylko w 16 wypadkach obydwójce były przestępcami.

czyniłoby się szybciej do powstrzymania tej powodzi miernoty, niż uczciwa krytyka". Kryminologia nie może narzekać na brak krytyki, gdyż Michael i Adler, dokonawszy przeglądu tej dziedziny, doszli do wniosku, że w s z y s t k i e dotychczasowe prace w tym zakresie są wadliwe; odradzają więc stanowczo dalszej produkcji takich prac.

„Książka była pierwotnie napisana jako sprawozdanie z przeglądu tej dziedziny, wykonanego pod auspicjami the School of Law of Columbia University, dla Bureau of Social Science, w celu określenia czy jest rzeczą pożądaną stworzenie w obecnej chwili instytutu kryminologii i sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych“ (IX).

Dzieli się ona na cztery części: „W pierwszej daje pojęcie przestępstwa, rozróżnienie i ustosunkowanie wzajemne problemów praktycznych i teoretycznych, oraz sformułowanie rozmaitych problemów przestępstwa i zbrodni. Druga część zawiera analizę nauki empirycznej i naukowej metody, a to w celu określenia warunków, jakim musi odpowiadać kryminologia jako nauka empiryczna; w związku z tem cały teren badań kryminologicznych poddany został przeglądowi i krytyce; streszczono rozmaite projekty kontroli nad przestępczością i wykazano, że nie znajdują one odpowiedniego naukowego oparcia a opierają się na działaniu naoslep. W trzeciej części przedstawiono i poddano ocenie istniejącą opisową wiedzę o administracji karnej; rozważono wartość jej dla podniesienia sprawności wymiaru sprawiedliwości; poddano analizie teoretyczne problemy prawa karnego i wykazano, że rozwiązanie ich zależy od (1) zasad racjonalnych nauk etyki i polityki, oraz od istnienia empirycznych nauk społecznych (psychologii i socjologii), jeżeli takie będą kiedykolwiek istniały. W części czwartej i ostatniej autorzy streszczają swoje konkluzje i formułują postulaty“ (XIII).

Książka wywołała silny oddźwięk w Ameryce i przez koła prawnicze przyjęta została jako „ostatnie słowo“ nauki. Bez wątpienia wywrze ona duży wpływ w przyszłości, jeżeli nie na samych kryminologów, to przynajmniej na instytucje finansujące badania kryminologiczne. Nacisk, położony przez autorów, na potrzebę metod kwantytatywnych, zwiększy jeszcze stosowanie statystyki w badaniach społecznych, które i tak już cierpią z powodu jej przerostu.

Autorzy są profesorami prawa i posiadają właściwą myśleniu prawniczemu zdolność do „jasnego myślenia“ i do logicznej analizy, rozwiniętą u nich do niezwykłego stopnia. Na życie i naukę patrzą przez kategorie logiki Arystotelesa: A albo nie-A. Nie może być dla nich nic pośredniego. Ale zjawiska empiryczne nigdy nie są bezwzględnie i wyłącznie A albo nie-A. Dedukcja jest ideałem autorów, a indukcja tylko etapem do odkrycia prawdopodobieństw, które zostaną później usystematyzowane w racjonalną dedukcyjną naukę. „Sprawy“ swojej bronią tak starannie, że niemal bez zarzutu. Odrzucając jednak bezwzględnie naukowe pretensje psychologii i socjologii, i uważając wszelkie nie-kwantytatywne metody za opisowe, lub co najwyżej odkrywczycie dociekania, prowokują psychologa i socjologa do szukania rysów w tym naporóż niewzruszalnym gmachu, budowanym ze starannością adwokatów cegiełka po cegiełce.

Autorzy określają przedewszystkiem 28 terminów takich jak: nauka, zdrowy rozsądek, racjonalna opinia, empiryczny, teoretyczny, praktyczny, obserwacja, wniosek, prawdopodobieństwo, system, problem, środek, cel, opisowa wiedza, sprawiedliwość itd., ostrzegając czytelnika, że „nie zrozumie analizy, jeżeli posługuje się którymś z tych wyrazów bez dokładnego odgraniczenia jego znaczenia, które zostało mu nadane; nie można ich używać w popularnie stosowanem znaczeniu“ (XX).

Następnie kładą nacisk na to, że „rozdzielenie pomiędzy wiedzą naukową i wiedzą zdrowego rozsądku posiada zasadnicze znaczenie... Wiedzę zdrowego rozsądku określili... jako bardzo prawdopodobne uogólnienia oparte na wspólnem doświadczeniu ludzkości... Uogólnienia te różnią się od opinii jednostek przez to, że wyrażają jednostajności wspólnego doświadczenia... Uogólnienia nauki empirycznej, podobnie jak zdrowego rozsądku, opierają się na doświadczeniu i z niego są wyprowadzone przy pomocy rozważań i rozumowania; różnią się jednak tem, że w ich wyciąganiu rozumowanie jest metodycznie kierowane i posługuje się specjalną techniką, oraz tem, że w całości stanowią one analizę jakiejś ograniczonej części doświadczenia, która jest przedmiotem jakiejś szczegółowej nauki... Rozwiązanie praktycznych problemów, jakie nasuwa kierowanie postępowaniem ludzkim wymaga naukowej wiedzy, nauki etjologii zbrodni, której zdrowy rozsądek nie daje“ (XXII).

Następnie autorzy określają cztery konieczne cechy naukowego twierdzenia: „(1) ogólność w znaczeniu wychodzenia poza bezpośredni dowód; (2) ściśle uzasadnienie w znaczeniu opierania się na określonym dowodzie; (3) formalny charakter ogólnego twierdzenia jako stosunku zmiennych...; (4) musi być członem zbioru twierdzeń... Każde twierdzenie w zbiorze musi zawierać przynajmniej jedną zmienną, która znajduje się w jakimś innem twierdzeniu zbioru“ (58). „Nauka empiryczna jest etjologją; nie sprowadza się tylko do klasyfikacji, lecz jest organizacją współzależnych klas... Etjologje rozwijają się z taxonomij (czyli klasyfikacyj opartych na dowodach empirycznych, jak np. anatomja i systematyczna botanika)“ (XXIV).

Jeżeli socjolog aż dotąd szedł w ślad za autorami, to teraz następuje kilka kroków, lub raczej skoków, na które niema on ochoty. Przedewszystkiem nie zgodzi się on z autorami, że „uzasadnienie niekwantytatywnej informacji, jest tak nieokreślone, że nie zasługuje ona na zaufanie zarówno dla naukowych jak i praktycznych celów“ (47). Przez uzasadnienie autorzy rozumieją dokładność i sprawdzalność. „Jej dokładność i sprawdzalność — kontynuują — można ocenić tylko zgruba przez odniesienie jej do intelektualnej kompetencji i prawdomówności sprawozdawcy lub przez odniesienie do jego dokumentów lub innego materiału“. A wszak wartość uzasadniająca i sprawdzalność statystyki także zależy od kompetencji i prawdomówności jednostki, która ją gromadzi. Co więcej, wszelkie dane zbiera się w odniesieniu do pewnego problemu i z pewnemi założeniami. Jedynym sprawdzianem dokładności i sprawdzalności jakiegokolwiek części wiedzy opartej na takich danych jest to, o ile odpowiada ona istniejącej wiedzy i czy

znajduje lub nie znajduje potwierdzenia w nowej wiedzy. Żadna metoda nie gwarantuje zgóry dokładności i sprawdzalności informacji osiągniętej przez jej zastosowanie. I niema absolutnego sprawdzianu dokładności i sprawdzalności jakiegos poszczególnego twierdzenia. Empiryczna wiedza pozostaje zawsze względna. Każde twierdzenie musi być sprawdzone nie przez obliczanie jego prawdopodobnej prawdy, ale przez zbadanie jego związku z innymi twierdzeniami.

Prawdziwe zdziwienie socjologa wywołuje stawianie przez autorów etyki i polityki jako wzorów racjonalnej nauki, oraz ich pogląd, że tylko racjonalna nauka jest prawdziwa. Według autorów, empiryczne nauki nie mają na celu prawdy, lecz tylko prawdopodobieństwa i stopień prawdopodobnej prawdy musi być obliczony dla każdego twierdzenia nauki empirycznej (co, jak wykazaliśmy właśnie, jest niemożliwe).

Brak zupełnie uzasadnienia dla ograniczenia pojęcia prawdy do prawd wydedukowanych a odrzucenia zwykłego znaczenia prawdy jako ogólnie przyjętego i stosowanego zbioru wiedzy opartej na doświadczeniu i indukcji.

Jeszcze bardziej dowolnie postępują autorzy, twierdząc (bez zbadania prac psychologicznych i socjologicznych), że właściwym przedmiotem psychologii jest człowiek, a właściwym terenem socjologii jego społeczne otoczenie; że są to osobne nauki, które jako nauki empiryczne jeszcze nie istnieją. Zdaniem autorów badania nad ludzkim postępowaniem stanowią osobną naukę, którą można nazwać psychologią społeczną, która opiera się na psychologii i socjologii, ponieważ obejmuje człowieka i jego środowisko. Kryminologia jest gałęzią tej właśnie nauki. Ponieważ niema dotąd nauki psychologii i socjologii, na których mogłaby się oprzeć nauka o postępowaniu ludzkim, przeto i naukowa kryminologia jest obecnie niemożliwa (83). Ponieważ autorzy nie powołują się na żadne ogólne prace z socjologii lub psychologii, nie cytują ani psychologów, ani socjologów, za wyjątkiem W. I. Thomasa, który wykonał sprawozdanie dla Columbia Criminological Survey, więc nasuwa się wniosek, że ich konkluzje w tym względzie należą do gatunku „prawd“ dedukcyjnych, nie opartych na empirycznym badaniu tych dziedzin nauki.

Mimo to, surowa krytyka wielu kryminologicznych badań, skierowana przeciw mętności problematyki i niedokładności metod stosowanych jest w dużej mierze usprawiedliwiona, a socjolog może się zgodzić niemal w całości z uwagami o problemie administracji karnej. „Nie znajdujemy — piszą autorzy w tym względzie — planu zapobiegania, lub reformy sprawiedliwości mającej na celu zapobieganie, któraby była oparta na naukowej lub opisowej wiedzy uzasadnionej i posiadającej znaczenie o praktycznej użyteczności. Wszelkie próby rozwiązania problemu kontroli nad zbrodnią nie są lepsze od postępowania poomacku... Nie potrafimy interpretować wiedzy, na którą składa się jedynie opis przestępców i ich środowisk, w kategoriach wspólnej wiedzy o ludzkiej naturze; potrafimy jedynie interpretować wiedzę, na którą składa się opis instytucji i procedury wymiaru sprawiedliwości w terminach naszej wspólnej wiedzy o warunkach skutecznego prowadzenia praktycznych spraw. Sądzić, że tutaj mamy dosyć wiedzy do

osiągnięcia dobroczynnych wyników, to znaczy odkryć źródło naszego niepowodzenia co do reformy administracji karnej. Jest niem albo nasz brak zainteresowania dobrą organizacją państwową, albo niechęć poświęcenia innych wartości dla tej wartości“ (XV).

„Prawa są narzędziami polityki“ — piszą autorzy. „Sprawa więc, jakiemu celowi powinny służyć, należy do racjonalnej nauki polityki. Zapytywać, jakie postępowanie powinno się kwalifikować jako przestępcze i jak przestępcy powinni być traktowani, to znaczy wnikać w sprawiedliwość przepisów prawa karnego. Na pytania te można odpowiedzieć tylko przez określenie sprawiedliwości, to zaś należy do racjonalnej nauki etyki... Na takie pytania co do celów, którym służyło lub służy prawo karne... można odpowiedzieć tylko przez historyczne i porównawcze badania... Ta wiedza.. może być tylko informacją... albo, jeżeli właściwie rozwinięta, może przyjąć formę racjonalnej nauki o prawie karnem (przez racjonalną analizę istniejącego prawa)... Prawa są sprawiedliwe lub słuszne, jeżeli służą wspólnemu dobru, są niesprawiedliwe jeżeli są z niem sprzeczne“ (338, 343). Autorzy odrzucają twierdzenie Kanta, że prawo karne jest narzędziem retributywnej sprawiedliwości. Twierdzą, że prawa karne nie powinny mieć na celu karania, że kara nie powinna być stopniowana podług przestępstwa, i że pojęcie odpowiedzialności nie ma właściwego zastosowania (346). Autorzy bardzo słusznie zwracają uwagę na to, że tam, gdzie wchodzi w grę rozmaitość celów, szkodliwe i dodatnie skutki traktowania więźniów, administracja sprawiedliwości i opieka nad niewidomymi, jak i nad zasądzeniem przestępców, to sytuacja jest skomplikowana i trudno orzec, co jest prawem pożądanem i jak powinno być ono wykonywane.

Oburzenie psychologów i socjologów, które złagodniało trochę przy rozdziale o administracji sprawiedliwości, podnosi się znowu przy uwagach o personelu proponowanej kryminologicznej instytucji. Nakreśliwszy bardzo szczegółowo możliwy teren pracy tej instytucji piszą: „Idealnie rzecz biorąc, członkami personelu w dziale kryminologicznym powinni być psychologzy i socjologzy, którzyby łączyli wiedzę, doświadczenie i technikę: (a) logika...; (b) matematyka...; (c) statystyka...; (d) teoretycznego fizyka...; (e) eksperymentalnego fizyka... Niema jednak grupy psychologów ani socjologów, którzyby posiadali taką wiedzę... trzeba będzie taką grupę dopiero stworzyć. Najbardziej skuteczna i pewna droga do tego, to wziąć uczonych z wymienionych dziedzin i zatrudnić ich na materiale psychologicznym i socjologicznym, dodać im jeszcze matematycznego ekonomistę i uczonego z zakresu psychometrii... (ponieważ matematyczna ekonomika i psychometria są jedynymi działami nauk społecznych, które posługują się naukowymi metodami) oraz kryminologa dobrze obeznanego z literaturą kryminologiczną, lepiej jednak takiego, który sam nie zajmował się kryminologicznym badaniem“ (404).

Poza wyraźną ignorancją autorów w zakresie socjologii i dowolnem przypisywaniem socjologii wyłącznie badania środowiska społecznego, poza gloryfikacją racjonalnych nauk i metody dedukcyjnej, nieodpowiadająca

z pewnością socjologom, zdziwienie wywołuje zaliczenie do tych nauk, takich chaotycznych dziedzin, jak etyka, polityka i prawo.

Deifikacja metody kwantytatywnej leży jednak po linii silnej już bardzo tendencji wśród wielu socjologów. Ponadto jest rzeczą niemożliwą przeciągnąć dokładną granicę, jak to usiłują uczynić autorzy, pomiędzy osobistą opinią, zdrowym rozsądkiem i naukowym wnioskowaniem. Jak wskazaliśmy wyżej, autorzy określają wiedzę zdrowego rozsądku jako bardzo prawdopodobne uogólnienia oparte na wspólnym doświadczeniu ludzkości. Tymczasem na str. 331 piszą: „Przez wiedzę zdrowego rozsądku... rozumiemy tylko tę wiedzę... która nie jest naukowa, to znaczy, która nie jest wyrażona w twierdzeniach nauki empirycznej i która jest rezultatem potocznych obserwacji i wniosków raczej, niż naukowych badań. Nie chcemy przez to powiedzieć, że taka wiedza jest udziałem wszystkich ludzi, albo że ci co ją posiadają, posiadają ją w jednakowym stopniu. Nie chcemy powiedzieć, że wszyscy ludzie potrafia interpretować wiedzę opisową... i że interpretacje wszystkich ludzi, którzy mają tę zdolność są jednakowej wartości. Wartość takiej interpretacji zależy od mądrości, wnikliwości, zrozumienia, obiektywizmu i doświadczenia tych, którzy ich dokonują.“ Jeżeli uogólnienia zdrowego rozsądku podlegają tak bardzo wpływowi zdolności ludzi, którzy je czynią, to niemożliwe staje się nadal odróżnianie opinii tych ludzi opartej na ich doświadczeniach, z jednej strony, a naukowych wniosków, które oni wyciągają ze swoich badań — z drugiej strony. Jak zwracał na to uwagę prof. George Mead w wielu swoich artykułach, każdy naukowy wniosek, można związać z biografją jakiegoś jednego człowieka, który go pierwszy wprowadził.

Niema jednak wątpliwości co do wartości tej książki. Wyjaśnia ona kryminologiczne badania w szczególności, a społeczne badania wogóle przez wykazanie potrzeby starannej wstępnej analizy problemu i próbnę sformułowanie jakiejś teorii. Badacze powinni wiedzieć zgóry, nie tylko na jakie pytanie szukają odpowiedzi, lecz znać i dalszy wpływ tych pytań na ich dziedziny, choć jest to znowu paradoks twierdzić, jak to czynią autorzy, że pełna nauka musi najpierw istnieć, zanim jakieś badania mogą być w niej uczynione (84). Również cenne jest rozróżnienie pomiędzy uogólnioną wiedzą opisową, wyrażoną w przeciętnych, a uzasadnionym naukowym wnioskiem, osiągniętym z niej przy pomocy korektur, które rozszerzają to uogólnienie z przypadków szczegółowych na całą klasę. I chociaż możemy kwestjonować metodę racjonalnego dedukowania celu prawa z polityki, to jednak musimy zgodzić się, że dobro ogólne jest właściwym celem prawa, oraz z logicznym wnioskiem, który stąd wynika, że prawo karne nie powinno karać, a mieć na celu powstrzymanie możliwych przestępców i poprawienie lub unieszkodliwienie aktualnych przestępców. Naogół, książka zasługuje na staranne przeczytanie przez psychologów i socjologów, jak i prawników, ustawodawców i administratorów instytucji sprawiedliwości.

Eileen Markley Znaniecka (Poznań).

Socjologia religji.

David Philipson: *The Reform Movement in Judaism*. New and Revised Edition. New York, The Macmillan Company, 1931. 503 str.

Zdziwić może na pierwszy rzut oka, że w tej książce, wydanej w Ameryce przez Amerykanina, tylko jakichś 50 stron poświęcono żydowskiemu ruchowi reformowemu w Stanach Zjednoczonych, reszta zaś traktuje o Europie, przeważnie o Niemczech. Ale jest to proporcja zupełnie uzasadniona, gdyż właśnie u Żydów w Niemczech reforma na przełomie 18-go i 19-go w. się zrodziła i tu w ciągu zgóry stu lat staczała swoje zaciętsze boje. Reformiści wypowiedzieli wojnę tradycjom talmudyczno-rabinicznym, negując zastosowalność w naszych czasach dawnych rygorystycznych przepisów religijnych. Utrzymują oni, że ceremonie religijne, to tylko uzewnętrznienie ducha religijnego, a więc muszą one być dostosowywane do zmieniających się potrzeb każdej epoki dziejowej. Łamiemy nie tradycję, lecz tradycje, mówią reformiści w odpowiedzi na zarzuty: albowiem i reforma sama w sobie jest ogniwem w tradycji żydowskiej i zgodna jest z duchem doby obecnej tak samo, jak talmudyzm odpowiadał warunkom czasu swego powstania.

Autor niniejszej książki zajmuje czołowe miejsce wśród działaczy reformowych, zgrupowanych wokół t. zw. Hebrew Union College w Cincinnati. Wobec tego krytyczny czytelnik chętnie wybaczy mu nieco ciasne ujęcie tematu i apologetyczność tonu, albowiem wzamian za to uzyskuje zasługującego na zaufanie przewodnika poprzez liczne polemiki, konferencje rabiniczne, seysje i rozłamy, w których, na przestrzeni prawie półtora stulecia, nie tak łatwo się rozejrzeć.

Oczywiście, szczegółowe zobrazowanie tych zdarzeń mogłoby zająć tylko specjalistów od kontrowersyj teologicznych, gdyby nie wnioski o charakterze ogólniejszym, które, niezależnie od intencji autora, nasuwają się przy czytaniu tej starannie opracowanej i obficie udokumentowanej książki.

Szybko bowiem wyjaśnia się przy zaznajomieniu się z materiałem, że reforma żydowska została wywołana nietyle sprzecznościami w dziedzinie religijnej, lecz że wchodziły tu w grę potężne czynniki społeczne. Wygląda to na truizm, gdyż, rzecz jasna, to samo daje się powiedzieć o każdym ruchu religijnym, czy to będzie zwiaststwo nowej wiary nad starą, czy też posunięcia reformowe w łonie tego samego kościoła. Istnieje jednak, jak mi się wydaje, jedna zasadnicza różnica między, powiedzmy, ruchem luterowskim albo kalwińskim a żydowską reformą Holdheima-Geigera w w. 19-ym. Luter lub Kalwin nietylko że namiętnie zwalczali papieństwo, lecz robili to, mimo że byli wykładnikami sił socjalnych, w imieniu innej wersji chrześcijaństwa. O b i e strony więc powoływały się na słowo Boże. Identyczne stosunki spostrzegamy w środowisku żydowskim, gdy chodzi naprzykład o schizmę karaitów w 8-mym wieku lub o ruch chasydzki na południowo-wschodnich obszarach Rzeczypospolitej w w. 18-ym. W t. zw. reformie żydowskiej natomiast uderza okoliczność, że tylko jeden z przeciwników, mia-

nowicie ortodoksja, mówi właściwie „na temat“, posługując się argumentami metafizycznymi. Strona przeciwna zagadnienia religijne, związane ipso facto z objawieniem, dyskutuje w płaszczyźnie racjonalnej, podając na swoje usprawiedliwienie, że „duch czasu także jest objawieniem Bożem“ (Holdheim).

„Duch czasu“ istotnie stawiał wtedy Żydom zadania niebylejakie. Wszechpotężne jak na owe czasy państwo, przy poparciu postępowszej części społeczeństwa, wymagało, aby „nacja żydowska“, nacechowana własnymi wzorami życiowymi, przestała istnieć. Alternatywa brzmiała: albo zginać całkowicie, albo zadowolić się istnieniem religii żydowskiej.

Reakcja Żydów na to żądanie świadczy wymownie, że czynniki rozkładowe szły nietylko od strony nieżydowskiej. Mury ghetta runęły pod zgodnym naporem z zewnątrz i z wewnątrz. Podnieta do wejścia w świat europejski była widocznie tak mocna, że spora część Żydów, szczególnie z młodego pokolenia, zupełnie porzuciła grupę, która, w jej mniemaniu, nic oprócz strupieszalej przeszłości nie reprezentowała. Po liczby sięgać niedaleko. Ogólna ilość Żydów, którzy w Europie zachodniej w ciągu 19-go wieku drogą chrztu zerwali z żydostwem, podawana jest przez wiarogodnych autorów jako przeszło 200 000; do tego trzeba jeszcze dodać bezwyznaniowców pochodzenia żydowskiego. Powaga tej liczby dopiero wtedy należycie się uwypukli, gdy zważymy, że w r. 1825 w Europie na tamtej stronie obecnej granicy polsko-niemieckiej znajdowało się ok. 450 000 Żydów. Znaczy to, że gdyby Żydzi zachodni już w w. 19-ym doszli do obecnego poziomu populacyjnego i gdyby nie stały dopływ Żydów ze wschodu, w ciągu jednego stulecia byłiby stracili prawie połowę swego stanu posiadania.

Druga połowa Żydów zachodnich jednak wykazała wolę do dalszego bytowania zbiorowego. Ponieważ dla „nacji żydowskiej“ nie było miejsca, przekształcili się na grupę wyznaniową. Zwykle się o tem mówi, z potępieniem lub z pochwałą, jako o zagładzie narodowej za aprobatą samych Żydów, i o ile wchodzi w grę świadomość, nie sposób temu zaprzeczyć. „Nacja żydowska“ w w. 19-ym przestała istnieć na zachodzie nietylko pod względem prawnym, lecz także, co najważniejsze, w świadomości zachodnich Żydów samych. Zrzeczono się własnego języka, wielu swoich wzorów kulturowych, aktywności narodowej. Ale mimo to w życiu realnem żydostwo zachodnie, przeważnie pod osłoną rodziny, zachowało pewne cechy odrębności, których nie można byłoby w każdym oddzielnym wypadku wytłumaczyć wymaganiami religii.

W większej mierze dotyczy to ortodoksów, ale w znacznym stopniu także reformistów. Ortodoksalizm religijny jest równoznaczny z konserwatyzmem kulturowym; religia, oparta przeciw na tradycji, ofiarowuje dogodnie racjonalizację dla zachowania, gdzie się da, samoistnych wzorów obyczajowych. Ustępstwa są nieuniknione, ale: oddajmy jak najmniej. Trzymają się więc ortodoksi wiary w Mesjasza, innymi słowy, wiary w ponowne unarodowienie się Żydów przynajmniej w przyszłości. Reformiści stoją niby na zgoła innej pozycji. Odrzucają wiarę w powrót do ziemi obiecanej. Dla nich Syjon jest tylko czcigodnym symbolem przeszłości, lecz nie nadzieją na przyszłość. Z tego założenia wychodząc, przemawiali w imieniu postępu, gromili skost-

niałość talmudyzmu i rabinizmu. Ale to nie konserwatysta ortodoksyjny, lecz przywódca reformistów nadrabbin Westfalji Friedländer pisał w r. 1842: „Jeżeli odrzucimy reformę naszej wiary stosownie do kultury czasu, zmusimy większą część obecnego pokolenia, powiem nawet jego większość, do stania się hipokrytami lub do uznania swojej wiary za nieodpowiednią“. Ta oto myśl, która u orędowników reformy nieustannie się powtarza, jest istotną ich myślą przewodnią. Sami by napewno temu gorąco zaprzeczyli, ale w perspektywie historycznej okazuje się, że ten sam cel przyświecał obydwu obozom, ortodoksom i reformistom, i że różnili się właściwie tylko co do środków. Reformiści także chcieli uratować istnienie zbiorowiska żydowskiego w jakiegokolwiek formie, lecz woleli poświęcić czynnie, tłumiąc żal w sercu, tę część przeszłości, bez której jako tako obejść się można. Zresztą co do tego, co jest zbędne, zachodzą znaczne różnice między samymi zwolennikami reformy. Jedni sądzili, że wystarczy upiększyć nabożeństwo synagogałne przez wprowadzenie chóru i organu, inni uważali za balast także rytualne przepisy pokarmowe, jeszcze inni zaś zaczęli święcić niedzielę zamiast sabatu.

Oto co mieliśmy na myśli, gdy mówiliśmy, że szata kontrowersyj religijnych, przykrywająca przeciwieństwa ziemskie, w wypadku reformy żydowskiej była jeszcze cieńsza, niż zwykle. W świadomości stron, owszem, chodziło o różnicę w ocenie wzorów religijnych. Właściwy przedmiot sporu jednak, to kwestja „strategji“ dziejowej dla utrzymania bytności zbiorowej. Nie odbiega to w zasadzie zbyt daleko od różnic, które dzielą współczesnych narodowców żydowskich rozmaitych odcieni.

Ale dlaczego ludzie, w których nie dopatrujemy się żywiłowej religijności, rozwijali właśnie program religijny? Nie było tu żadnej obłudy z ich strony. Prostu musieli przystosować się do terenu działania, który im epoka wyznaczyła. Poza formą grupy wyznaniowej w ramach jednonarodowych państw zachodnich w. 19-go nie było dla Żydów nic prócz niebytu. Jedna połowa grupy, jak widzieliśmy, istotnie popeliła samobójstwo. Druga połowa, chcąc utrzymać się przy życiu, wołała pozorną samozagładę. Wśród tej drugiej połowy reformiści, jeżeli przetłumaczymy racjonalizacje na język rzeczywistości, byli tego zdania, że mimetyzm i bierny upór nie wystarczą, że trzeba dokonać gruntownej amputacji, aby uratować resztę.

Teraz, na odległości stulecia, łatwiej nam o ocenę wszystkich tych procesów i towarzyszących im ideologii. Reformiści niewątpliwie mieli rację w krytyce statyki żydowskiej. Wszystko jedno nie udało się konserwatyściom utrzymać religji żydowskiej w stanie niezmiennym; nawet ortodoksi dzisiejsi zmuszeni są do tych kompromisów, za które ongi wymyślali swoim antagonistom od odszczepieństwa. Co do wyników owych przesunięć, nikt nie zaprzeczy temu, że (abstrahując od wypaczenia o s o b o w o ś c i żydowskiej przez proces asymilacyjny) wiek 19-ty dał Żydom zachodnim, a więc i przedniej ich straży, Żydom niemieckim, niezrównane możliwości rozwoju umysłowego i materialnego. Coprawda, zanik przeważającej części swowolnych wzorów kulturowych odbył się w żydostwie zachodnim za aprobatą wszystkich czynnych sił wewnątrz tej grupy; ale że rej wodzili stronnicy

reformy, mogli wyniki tego postępowania z całym prawem policzyć na własny karb. Gdy Philipson w r. 1907 po raz pierwszy ogłaszał swoją pracę, mógł więc bezspornie twierdzić, że warto było pójść na tę amputację; bo czy ostatecznie Żydzi wschodni lepiej wyszli na tem, że poszli inną drogą dziejową? W r. 1930, przygotowując obecne wydanie swojej książki, wciąż bez wahania propaguje tę samą historjozofję. Czy byłby bronił tej pozycji teraz, gdy się okazało, że nawet dobrowolne samopoświęcenie się, że nawet całkowite zrzeczenie się własnego języka i wszystkich zewnętrznych cech samoistości, nie uratowało Żydów niemieckich od losu, jaki zgotował im hitleryzm? Przecież trzecia rzesza w eliminowaniu Żydów z życia społecznego, umysłowego i gospodarczego nietylko nie czyni różnicy między ortodoksem a reformistą, lecz w swojej sumienności aryjskiej nie oszczędza nawet potomków tych Żydów, którzy zgóry sto lat temu uważali reformę za zbyt separatylistyczną i drogą chrztu „na zawsze“ zerwali z żydostwem; nie oszczędza nawet najczystszej krwi aryjszyków, w jakibądź sposób spowinowaconych z jakimibądź Żydem.

Pewnie fatalista zauważy, że mniejszość zawsze jest narażona na niebezpieczeństwo i że sto lat spokoju i rozwoju warte były ceny. Mniej fatalistycznie usposobiony obserwator może jednak wywnioskować z tego doniosłego doświadczenia historycznego, że położenie Żydów nie jest zjawiskiem odosobnionem od konstelacji ogólnej. W państwie, gdzie większość, z tych lub innych przyczyn, nie chce tolerować mniejszości, żaden, choćby najdalej posunięty mimetyzm członków grupy mniejszościowej nie potrafi ułagodzić gwałcieli. Natomiast w państwie, w którym podjudzanie większości przeciwko mniejszości nie jest racją stanu, ani interes państwa, ani interes mniejszości samej nie wymaga jej samozagłady. Znamy przecież kraje (Belgia, Szwajcaria, Z. S. R. R.), w których nawet istnienie kilku urzędowych języków nie jest uważane za nieszczęście, gdyż utwierdziło się, przynajmniej pod tym względem, przekonanie, że nie człowiek istnieje dla soboty, tylko sobota dla człowieka.

Na gruncie polskim, powiedzmy to na zakończenie, reforma żydowska nie przyjęła się zupełnie, to też Żydzi polscy zastużyli sobie tylko na kilka wierszy w całej książce Philipsona. Mamy tu o jeden dowód więcej, jak głęboko sięgają różnice pomiędzy żydostwem zachodnim a wschodnim. Strzec się zatem łatwych analogij. Tem niemniej, przebieg i wyniki reformy żydowskiej na zachodzie nasuwają dużo poważnych spostrzeżeń także badaczowi stosunków wschodnio-żydowskich.

Maks Weinreich (Wilno).

Raoul Allier: *La Psychologie de la conversion chez les peuples non-civilisés*. Tome I. Les prodromes de la crise — La crise — str. 595; tome II. Les consequences de la crise — str. 509. Paris — Payot, 1925.

Książka ta nie „na kolanie“ pisana. Jest ona — jak czytamy w przedmowie — owocem pracy blisko czterdziesto-letniej. Autor zajmował się proble-

mem zła moralnego w pojmowaniu różnych kategorii ludzi: mężczyzn, niewiast, dzieci, przestępców itd. Pod wpływem lektury prac etnologicznych zainteresował się pojęciem zła moralnego u ludów „dzikich“, pierwotnych, nazywanych stale przez autora: „nie-cywilizowani“.

Tu spotkał się z bogatym materiałem misjologicznym protestanckiego „Stowarzyszenia Misyjnego w Paryżu“. Autor nie negując, że i Kościół rzymsko-katolicki posiada pod tym względem przebogate doświadczenie, ogranicza się umyślnie do misyj protestanckich, by sobie — jak powiada — nie utrudniać badań specyficzną organizacją katolickiego Kościoła, odmienną metodą misyjną tych dwu kościołów, odmiennym pojmowaniem sakramentów przez misjonarza protestanckiego a katolickiego itp. Już bowiem nie o samo pojęcie zła moralnego chodzi autorowi, ale o problem daleko szerszy: jakie, pod jakim względem, pod jakich czynników wpływem, z jakimi objawami społecznymi i zewnętrznymi zajść muszą zmiany, by nie-cywilizowany „nawrócił się“ na protestanta. Skoro się zaś nawróci, jak się ów „kryzys“ uzewnętrznia: społecznie, przez założenie nowej gminy religijnej, a stosunek do poprzedniej, psycho-społecznie, przez „narodzenie się“ nowego „ja“, zmianę odnoszenia się do „przeszłości“, powstawanie i objaw nowych pojęć moralnych, formowanie „sumienia“ i utwierdzanie się na „nowej drodze“, wpływ nawrócenia na życie umysłowe i wolicjonalno-uczuciowe neofity, wreszcie przez zautonomizowanie nowej grupy społecznej, w tym wypadku religijnej, po usunięciu się misjonarza.

Praca prof. Alliera dojrzała w promieniach błyszczących popularnością opinii: szkoły Durkheima, w szczególności Levy-Bruhla o rzekomym prelogizmie prymitywnym, Zygmunta Freuda o snach, podświadomości i sublimacji, szkoły wiedeńskiej W. Schmidta o genezie religij pierwotnych.

Autor, rozporządzając bogatym materiałem nie tylko książkowym ale i na podstawie licznych i przez długie lata zbieranych zapisków z rozmów osobistych z nawróconymi „dzikimi“, z doświadczonymi misjonarzami, którzy niejednokrotnie całe swe życie spędzili wśród „nie-cywilizowanych“, ze służbą szpitalną i nauczycielami szkół misyjnych, miał dostateczną podstawę i możliwość skonfrontować wspomniane opinie z faktami i przekonać się niejednokrotnie, że nie wszystko prawda, co się w ostatnich czasach o „dzikich“ w Europie drukowało. Zwolennicy niewolnictwa, mordercy całych nieraz szczepów tubylczych, usprawiedliwiający się mniemaniem, że „dziki to nie człowiek“, nie znajdują w pracy Alliera aprobaty dla swych nazawsze białą rasę kompromitujących czynów.

Socjolog może znaleźć w tej książce cały szereg przyczynków do takich problemów jak: antagonizm do obcych (misjonarz i dzicy), różnorodność i forma pierwszych styczności społecznych, rola i niesłychane trudności w posługiwaniu się mową jako narzędziem styczności, (uczenie się języka, sporządzenie „gramatyki“ ze słuchu, przez wskazywanie na przedmioty, naśladowanie czynności, ustalanie znaczenia słów wyrażających rzeczy niewidzialne). „Dzikim“ brak zazwyczaj słów na wyrażenie np. pojęcia sprawiedliwości. Jest pojęcie, a niema słowa jak u Europejczyka, abstrakcyjnego. W jakiz sposób nawiązuje się wtedy styczność społeczna? Oto przez t. zw.

palabrę mimiczną, połączoną z wykonywaniem różnych konkretnych czynności. „Chce np. powiedzieć (niecywilizowany), że trzech ludzi przeszło tamtędy i porwało jego żonę. Bierze wtedy trzy kawałki bambusu, kładzie po jednym na stole mówiąc oto jeden, oto dwa, oto trzy... W podobny sposób symbolizuje swą porwaną żonę... Strona przeciwna postępuje oczywiście w ten sam sposób, posługując się kawałkami bambusu i odpowiednimi gestami. Czyż można się dziwić, że posiedzenia z tak prowadzoną dyskusją trwają długo?... Każdy element rozumowania posiada swój komplet gestów, komplety zaś łączą się sukcesywnie w całość rozumowania... Nic nie wskazuje lepiej jak „palabra“, że umysłowość nie-cywilizowanego potrzebuje koniecznie konkretyzacji“ (str. 99. T. I.).

Niesłychanie ciekawe są problemy z działu dynamiki społecznej. Kiedy, w jakich warunkach psycho-społecznych następuje zmiana dotychczasowych czynności, zwyczajów i obyczajów nie-cywilizowanego? Jakie są zewnętrzne objawy jego początkowej rozterki wewnętrznej? Jak i przez co utwierdza się on w nowym światopoglądzie? (ciekawą jest np. kontrola jaką dzicy wykonywują nad misjonarzami, obserwując zboku ich czyny). Dlaczego nie-cywilizowany wraca do poprzedniej grupy? Kiedy i dlaczego „nauczanie“ choć zrozumiane i przyjmowane nawet z aplauzem, nie pociąga za sobą żadnej zmiany w życiu, t. j. w czynnościach „nawracanego“? Jakie znaczenie snów fatalizmu i magji dzikich w akcji nawracania? Jaką rolę w nawróceniu odgrywa emocja, uczucie, a jaką intelekt? Dlaczego kobiety nawracają się łatwiej i więcej masowo niż mężczyźni?

Wreszcie problemy z teorii grupy: nawrócenia jednostkowe i zbiorowe, rola jednostki w życiu grupy pierwotnej (zupełnie inna niż to przedstawia E. Durkheim), przemiany pod wpływem nawrócenia takich grup jak rodzina, małżeństwo, uwarstwienia społecznego szczepu (niewolnictwo), formowanie „niezależnego kościoła“ i rekrutacja nowych kandydatów.

Widać z samego szkicowego przeglądu problemów — które trudno szerzej w ramach recenzji omawiać — że praca ta jest ciekawa i ujęta oryginalnie.

Postawienie tematu jasne, choć może nieco metafizycznie wyrażone: „Do środowiska, które nic nie słyszało ani o wyższej cywilizacji, ani o Ewangelji, przychodzi Obcy, Biały... Jego zamiar streszcza się w jednym słowie: nawróćcie się! ...Dlaczego t. zw. dzicy słuchają tak brzemiennego w skutki wezwania z ust obcego i spełniają je?“ (t. I. str. 24).

Samo jednak przeprowadzenie zagadnienia poprzez liczne płaszczyzny myślowe wydaje mi się ściśle i naukowo płodne. Materiał etnograficzny olbrzymi. Jako nie fachowy etnolog nie mogę jednak zająć stanowiska co do jego wartości naukowej.

Miałbym natomiast zastrzeżenie co do samego tytułu pracy, który mógłby jeśli nie czytelnika to w każdym razie kupującego wprowadzić w błąd. „Psychologia nawrócenia“... Autor ma na myśli i przeprowadza badania nad nawróceniem na wiarę chrześcijańską. Otóż ten specjalny, z punktu widzenia socjologii, typ czy rodzaj nawrócenia, choćby ograniczony tylko do ludów powiedzmy „nowych“, nie wyczerpuje się bez reszty w działalności mi-

sjonarzy protestanckich — i to przeważnie tylko francuskich. Do steoryzowania problemu i uogólnienia go w tytule trzeba by jednak m. zd. uwzględnić także działalność i innych „misjonarzy chrześcijańskich“, którzy nowe ludy nawracali względnie nawracają, w szczególności misjonarzy anglikańskich i katolickich. Inaczej mówiąc: z samych dokumentów protestanckich nie możemy jeszcze wyciągnąć wniosków co do nawracania się dzikich wogóle.

Nie bardzo też pochwaliłbym w tytule termin „Psychologja“... Jakkolwiek żywię duży sentyment do tej gałęzi wiedzy humanistycznej, to jednak nie powierzyłbym jej badań o zmienianiu przekonań, trybu życia, formowaniu nowych grup, wogóle 95% tych problemów, które porusza w swej pracy autor. Z książki Alliera zaliczyłbym do psychologii tylko problem snów, cierpienie fizycznych „świeżo nawróconego“, może jeszcze rzecz o emocjach. Reszta to etnografja lub najczystsza w świecie socjologja.

Ks. Fr. Mirek (Nowa Góra).

Materjały socjologiczne: biografje i autobiografje.

Joseph Dorfman: *Thorstein Veblen and his America*. New York 1935. The Viking Press, str. 556.

Biografja Veblena o rozmiarach imponujących, bo obejmująca przeszło 500 stron dużego formatu posiada i treść o nieprzeciętnej zawartości. Autor przedstawił ekonomistę i socjologa amerykańskiego na tle epoki z ogromnym nakładem szczegółów, dając świetnie podmalowane tło historyczne dzięki czemu postać Veblena występuje z wyjątkową wyrazistością i żadna z cech charakteryzujących tego wielkiego uczonego nie pozostaje w cieniu.

Syn emigranta norweskiego, urodzony w Wisconsin w 1857 roku, przechodzi przez szkołę średnią i wyższą, nie znajdując zrozumienia ani w środowisku rodzinnem, ani też wśród kolegów szkolnych. Pozostaje wszędzie samotny, opuszczony i nierozumiany. Nie wiąże się uczuciowo z nikim, to zaś co go łączy z ludźmi — to są zawsze zainteresowania intelektualnego charakteru. Słaby, jeśli chodzi o zdrowie, porusza się z ogromną oszczędnością ruchów, mówi cicho, prawie niedosłyszalnie, nie dba zupełnie o stronę zewnętrzną, o strój, nie zwraca uwagi na swą popularność, ani nie czyni żadnych prób, aby podnieść popularność swych wykładów, co ściągają nań ogromne niezadowolone władz uniwersyteckich. Zupełnie nie podlega wpływowi opinii publicznej i nie reaguje na jakikolwiek nacisk z tej strony pochodzący. Niepopularny w szerszych sferach studentów i profesorów — zdobywa sobie przywiązanie nielicznych, którzy stają się jego zwolennikami bez zastrzeżeń i opiekują się nim w ciągu całego jego życia, tak pełnego trudności i nieumiejętności dopasowania się do otoczenia.

Po zdobyciu w 1884 roku stopnia naukowego w Yale, New Haven, nie uzyskuje wykładów na uniwersytecie i wraca do domu na farmę.

W okresie wielkiego kryzysu w rolnictwie staje po stronie wyzyskiwanych farmerów: gdy dochodzi do tego, że połowę ceny pszenicy zabiera fracht kolejowy, Veblen walczy piórem z temi szkodliwymi objawami życia społeczno-gospodarczego.

Na uniwersytecie w Chicago pozostaje przez szereg lat wykładowcą („tutor“, a następnie „instructor“) nie wchodząc w skład fakultetu. Uniwersytety ówczesne, będące pod wpływem rad zarządzających (do których wchodziły przedstawiciele wielkiego kapitału, utrzymujące te instytucje) bardzo ostrożnie dobierają personel profesorski, nie dopuszczając nikogo, kto by mógł bez ogródek przedstawić słuchaczom, jaki jest mechanizm życia społeczno-gospodarczego Stanów. Do takich właśnie ludzi należeć będzie Veblen, którego prace skierowane są przeciw tym, którzy reprezentują kapitał finansowy, dzięki któremu zachowują decydujący wpływ tak na produkcję, jak i podział dóbr. Veblen zwraca uwagę na to, iż ekonomja ówczesna czyni błąd, nie różniąc między kapitałem finansowym, a kapitałem produkcyjnym.

W swej świetnej pracy *The Theory of Leisure Class* zastrzega się, iż nie jest on propagatorem lecz pozbawionym emocjonalnego nastawienia „szarym człowiekiem“. Istotnie, wszyscy którzy stykają się z nim podziwiają w nim ową dążność do obiektywizmu tak daleko posuniętą, iż w wykładach nie dał nigdy wyrazu jakiemuś pobudzeniu emocjonalnemu. Doszło do tego, iż na wszelkie próby dowiedzenia się jakie jest stanowisko Veblena tak do głoszonych przezeń nauk jak i kierunków polityczno-gospodarczych — nigdy nie udało się żadnemu ze słuchaczy uzyskać w tym kierunku odpowiedzi. W rezultacie jedni utrzymywali, iż Veblen jest socjalistą, inni — niebezpiecznym radykałem, inni znów — iż jest komunistą. Ekonomiści uważali go raczej za socjologa, socjologowie zaś mówili o nim jako o ekonomście. Charakterystyczne jest też, że o ile ekonomiści naogół ustosunkowywali się doń krytycznie (Knight) — socjologowie (Ross, Ward, Geddes) nie szczędzili pochwał.

W „Teorii klasy niepracującej“ (*leisure class*) charakteryzuje klasę tę tak drastycznie i w tak specjalnej terminologii, że zwraca na siebie uwagę a jednocześnie nienawiść przedstawicieli tej klasy. Duch wojowniczy, dominujące pragnienie rządzenia, zajmowanie się sportem, obserwowanie zewnętrznej religijności i patronowanie pseudo-naukowym dążnościom, skłonność do hazardu, pijaństwo, pojedynkowanie się a obok tego — filantropja i dążność do reformatorstwa — oto co składa się na zainteresowania i czynności przedstawicieli tej szkodliwej społecznie klasy. Np. mówiąc o młodzieży tej klasy i jej sporcie w formie uprawiania gry w piłkę nożną, Veblen mówi, iż ma on tyle wspólnego z kulturą fizyczną co... walka byków z rolnictwem!

W krytyce wyższego wykształcenia w Stanach Veblen zwraca uwagę na to, że niema ono na celu służby dla społeczeństwa, ale raczej edukację młodego pokolenia klasy niezatrudnionej. Cześć dla wszelkiego rodzaju „klaszków“ jako najmniej niebezpiecznych dla stanu posiadania tej klasy charakteryzuje ducha szkolnictwa tego typu, np. to co nazywa się zwykle „szkołą historyczną“ w ekonomji, zdaniem Veblena — nie może wchodzić w skład

wiedzy nowoczesnej, składa się bowiem z aforyzmów mających na celu utwierdzenie ustroju a nie poszukiwania w dziedzinie „normalnych sytuacji ekonomicznych“.

O ile dla Marksa walka klas stanowi konflikt interesów, to dla Veblena jest to konflikt umysłowy różnych sposobów myślenia. Socjalizm nie jest wynikiem wprowadzenia maszyny do produkcji, czego dowodem jest to, że istnieje tam nawet gdzie maszyn nie ma. Dla Marksa podstawowe dobra stanowią środki produkcji, dla Veblena — technologiczna wiedza jaką posiada w danym okresie czasu społeczeństwo. O ile u Marksa nadwartość jest rezultatem kontroli środków produkcji przez kapitalistów — dla Veblena wyżysk powstaje drogą kredytu finansowego jakiego udzielają magnaci pieniędzy, którzy zdobyli kontrolę nad wiedzą technologiczną społeczeństwa. W rezultacie wzrost kapitału pieniężnego przestał być jednym z warunków wzrostu dobrobytu społeczeństwa, a depresja gospodarza stała się zjawiskiem chronicznym.

W walce o osobę Veblena — socjaliści dochodzili do przekonania, że nie jest on ani zwolennikiem klasyków ani marksistą; Veblen zaś dziwił się czemu nie użytkowują oni jego dzieł w tych wypadkach, gdzie daje im argumenty do ręki w walce przeciw nadużyciom obecnego ustroju.

Pisać dla Veblena stanowiło niełatwe zadanie. Uważał, że język angielski nie daje możności wypowiedzenia tego, co by autor pragnął, w szczególności — nie posiada dostatecznej ilości synonimów: było to spowodowane — jak twierdzi Dorfman — jego wielkimi wymaganiami w dziedzinie precyzowania ścisłego pojęć. W rezultacie Veblen stworzył własny, bogaty język, posługuje się stworzoną ad hoc terminologią, która przeniknęła nawet do innych gałęzi wiedzy (Loeb, biolog, posługuje się jego terminami) a którą ekonomiści krytykują nazywając jego specjalny naukowy język „żargonem“.

Gdy w roku 1916 pisze studjum o szkolnictwie wyższem w Stanach, nazywając je „studjum o integralnem znieprawieniu“ — znów podnosi burzę sfer uniwersyteckich przeciwko swej osobie skierowaną.

Charakterystyczny jest jego stosunek do studentów, byłych słuchaczy i kolegów-profesorów. Posiadając nieliczne kółko słuchaczy, potrafił ich przywiązywać niezwykle silnie do przedmiotu wykładanego i do siebie. Ci właśnie byli słuchacze ułatwiają mu życie i stale się nim opiekują. Jeden z nich w ciągu szeregu lat (1919—29) bierze udział w utrzymywaniu go, z innym jakiś czas zamieszkuje, szereg zajęć w jakich Veblen bierze udział uzyskuje dzięki ich interwencji. Jednocześnie jednak bierze żywy udział w ich pracach, namawia do pisania i publikowania prac, pomaga młodszym wykładowcom w ich pracy zawodowej. Dorfman przytacza niesłychanie bogaty materiał anegdotyczny z życia Veblena, charakteryzujący jego postawy względem rodziny, słuchaczy, kolegów, władz uniwersyteckich, wymogów administracji i biurokracji uniwersytetu itp. Wszędzie występuje on jako jednostka o wybitnej i wyraźnej indywidualności, nie ulegająca nigdy okolicznościom i wymogom chwili: np. gdy na jednym z antymilitarystycznych zebrań starano się, by prowadził dyskusję, nie dał się wciągnąć do dyskusji politycznej i wcale nie zabrał głosu, chociaż spotkało się to z powszechnem

niezadowoleniem. Gdy czyniono nań nacisk, aby poparł finansowo organizację Y M C A. — wbrew wszelkiemu naciskowi — odmówił, wobec tego, iż uważał ją za organizację mieszczańską, która broni obecnego ustroju. Gdy po śmierci Hoxie, który był oddanym mu słuchaczem, zapytano jakiego rodzaju wpływ wywarł nań Veblen odpowiedział, że wpływ jego na Hoxie był taki sam, jak i Hoxie na Veblena. W czasie ataku na organizację I. W. W. — broni jej jak może. Występuje w obronie młodochińskiego ruchu narodowego, wielkiego strajku węglowego angielskiego, w obronie interesów pokrzywdzonych farmerów, walczy o sprawiedliwy pokój, o nowy ustrój szkolnictwa wyższego, o znaczenie jakie w przedsiębiorstwach produkcyjnych winni mieć inżynierowie.

Veblen staje się przez pewien czas sławny i modny, przyjeżdżają go odwiedzać z zagranicy (Tawney z Anglii, delegat Lenina — Martens z Sowieków), kupują książki jego w celach propagandy (Instytut Carnegiego zakupuje i rozsyła 500 egzemplarzy jego książki), nazywają go „Freudem ekonomji“, tworzą się nawet kluby „Veblenistów“. Veblen zaś sam przyjmując najwybitniejszych ludzi ... zupełnem milczeniem, które wytworzywszy się w nim jako pewien mechanizm obronny, zapanowało nad nim całkowicie: często Veblen czynił sobie wyrzuty z powodu nieumiejętności poprowadzenia rozmowy, ten stan jednak rzeczy pogarszał się w miarę, jak Veblen stawał się starszy.

Charakterystyczne jest, iż w chwili największego napięcia uczuć wojennych i nienawiści do Niemiec — pocztmistrz miasta New Yorku wydał zarządzenie wstrzymania przesyłania książki Veblena (*The Nature of Peacc*) jako występującej ... w obronie Niemiec, wytaczają też sprawę Veblenowi przez Ministerstwo Sprawiedliwości i Sąd Najwyższy, na szczęście bez skutku. Jednocześnie dzienniki zwracają się doń o pozwolenie na zużytkowanie niektórych ustępów jego książki w celach ... propagandy! Jak widać panuje zupełne zamieszanie i niezorjentowanie się w charakterze walorów jakie Veblen reprezentuje i stan ten trwa do jego śmierci.

Sensację budzi jego plan zreformowania systemu zakupów przez ludność pozamiejską a więc farmerską, co by spowodowało jakoby zmniejszenie ludności miast o $\frac{9}{10}$ ich obecnego stanu! Ludność ta, zdaniem Veblena winna być skierowana do pracy produkcyjnej, a nie stanowić ciężaru i żyć pasywnie, jak to ma miejsce obecnie.

Charakterystyczne jest dla stosunków w Stanach Zjednoczonych, iż do Veblena, który pisał o tem, iż Carnegie po połączeniu się z innymi wielkimi producentami stali, stał się 3 razy bogatszy niż był poprzednio, pomimo, że wcale kapitału swego ani inwestycji nie powiększył — po wydaniu książki *The Theory of Business Enterprise* — zwracają się różne osoby z prośbą o poradę, jak zarobić większe sumy metodą, którą w tak jasny sposób przedstawił! Uniwersytet w Washingtonie nieco później — umieszcza nazwisko Veblena na tablicy pamiątkowej wmurowanej w ścianie szkoły handlowej, wchodzącej w jego skład: tutaj nazwisko Veblena znalazło się w towarzystwie szeregu ortodoksyjnych ekonomistów, wśród których figurowały nazwiska takie, jak Böhm-Bawerk, List, Mill, Cossen, Jevons, Hobson

i inni. Gdy chciano wydać jego dzieła w r. 1925 w formie wydawnictwa ku jego czci — przeciwstawił się temu, mówiąc iż... jeszcze nie umarł! Zmarł w 1929 roku samotny, opuszczony i zapomniany.

Biografia Dorfmana o Veblenie jest w swojej dziedzinie pracą wyjątkową: niesłychana pracowitość w zebraniu szczegółów, metoda i obiektywność w segregowaniu i umiejętność w rozmieszczaniu materiału, utrzymywanie w rozwoju chronologicznym tła epoki, na której zarysowuje się osobowość Veblena — wszystko to stawia pracę Dorfmana na wysokości, której inne prace tego rodzaju mogą pozazdrościć. Czytelnik znajdzie w niej także streszczenie wszystkich prac Veblena i jego poglądów na sprawy, które się rozwijają przed jego oczami w ciągu wielu lat jego długiego życia.

Edward Arnekker (Warszawa).

Instytut Gospodarstwa Społecznego: *Pamiętniki chłopów*. Nr. 1—51. Warszawa 1935, str. XLVI + 714. 8^o.

W pokaźnej na grubość książce pod pow. tytułem odróżnić można cztery części: Słowo wstępne Prof. L. Krzywickiego (V—XVI), statystyczne opracowanie Pamiętników przez anonimowego autora czy autorów, zatytułowane „Nieco o pamiętnikach i pamiętnikarzach“ (XVII—XLII), „Załączniki“ (mapa „zasięgu terytorjalnego konkursu na pamiętnik chłopów“ oraz „odezwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego (I. G. S.) w sprawie konkursu na pamiętnik chłopów“), wreszcie same „Pamiętniki“, których na liczbę jest pięćdziesiąt jeden. Niebrak też przy końcu francuskiego „Résumé“ (711—714).

Zacznijmy od „Odezwy“ I. G. S., która jako *prime mover* w akcji zbierania pamiętników tłumaczy jakoś ogłoszonego materiału.

„Ze wszystkich okolic Polski — czytamy na samym wstępie — odzywają się głosy o bardzo ciężkim położeniu ludności wiejskiej, zarówno osiadłej na roli i posiadającej warsztat pracy na własnym kawałku ziemi — ale warsztat który nie daje dziś dostatecznego utrzymania, jako i ludności bezrolnej, która przez lata ubiegłe wychodziła ze wsi za pracą do miast lub zagranicę, a dziś wobec ciężkiego położenia zarówno w kraju jak i w całym świecie, wraca do wiosek rodzimych, tam nie znajduje zarobku, a tylko czeka ją nędza.“

„Instytut G. Społecznego powziął zamiar opracowania rzetelnego obrazu tego ciężkiego położenia ludności małorolnej i bezrolnej w całej Polsce. Dlatego zwraca się do was wszystkich, co stanowicie te liczne rzesze biedujących i zrozpaczonych... abyście ściśle, prawdziwie i poprostu opisali jak życie, jakiego wyjścia szukacie...“

„A więc opowiedzcie nam, w jakich warunkach przyszliście na świat, czy w rodzinie zamożniejszej czy w zupełnej biedzie, czy sami posiadacie kawałek ziemi i ile, ... jakie były spląty i zmartwienia związane z temi splątami... jakie są wasze zabudowania, ile macie i jakiego inwentarza, czy liczna jest wasza rodzina i co wam żona wniosła do domu, jak spędzacie czas kiedy nie macie żadnego zajęcia zarobkowego ani nie krzątacie się koło go-

spodarstwa... opiszcie nam własne mieszkanie ze wszelkimi urządzeniami... jak się żywicie, jak ubieracie... jaki stan zdrowia w waszej rodzinie... Sięgnijcie także pamięcią w przeszłość swoją, jaki był stan waszego warsztatu rolnego *przed wojną* (podkr. rec.) i jaki jest obecnie... a także nie zapominajcie dodać, czy macie jakie zabezpieczenie na starość, czy ktoś z członków waszej rodziny uczestniczy w gospodarce parafjalnej, gminnej powiatowej, w jakimś związku, stowarzyszeniu, kooperatywie..."

„Każdy z was kto chce przyczynić się do stworzenia takiego obrazu nędzy w swojej wiosce (pod. rec.)... niech robi taką spowiedź z życia swego, taki opis swego zmagania się z biedą i prześle do dnia 1 grudnia 1933 pod adresem“ itd.

„Taki obraz jest potrzebny i pożądany, aby w społeczeństwie inni ludzie wiedzieli, jaka tam nędza trapi tych, co w pocie czoła pracują na swej roli, nie dojadając z dziećmi, lub żądni zarobku daremnie go poszukują w chwili dzisiejszej... Najlepsza praca otrzyma sto złotych nagrody, dwie następne po 50 złotych, jeszcze dalsze osiem po 25 złotych.“

Trzeba jeszcze dodać, że konkurs ogłoszono we wrześniu 1933 — dając w najlepszym wypadku zainteresowanym dwumiesięczny termin do napisania „pamiętnika“.

Po przeczytaniu tej „Odezwy“ nasunęły mi się nast. uwagi: 1^o. Czy pięćdziesiąt blisko pytań zawartych w Odezwie nie jest trochę za dużo, jeśli chodziło o „pamiętnik“ chłopca? Czy pytania te nie są zbyt chaotyczne? Opis gospodarstwa, inwentarza, długów, jedzenia, ubierania się, samokształcenia, rozrywek, pracy społecznej, zdrowia, wychowania dzieci, emigracji, nadziei na przyszłość itd. Chodzi o obraz nędzy, a konkurs rozpisany na „pamiętnik“ de omnibus et quibusdam aliis?... 2^o. Jeżeli autorom Odezwy i wydawcom chodziło o zebranie materiału do opisu *nędzy* na wsi w całej Polsce, to bardzo pięknie; ale w takim wypadku nie stawia się „plugu przed wołami“, nie wzywa się chłopów do „tworzenia takiego obrazu nędzy w swojej wiosce“, lecz cierpliwie czeka się na wynik ankiety. Inaczej bardzo łatwo o „pamiętnik“ *pisany tylko pod pewnym kątem widzenia*. Czytamy w Przedmowie: „Pamiętniki miały być wizerunkami życia chłopów w różnych okazjach miejsca i czasu, a stały się nadewszystko pamiętnikami chłopów w okresie kryzysu“. Nic dziwnego. Po takiej odezwie nie mogły być czem innym. — 3^o. Zwracając się do chłopca o pisanie „pamiętnika“ trzeba było chyba wiedzieć, że w okresie jesiennym jest na wsi najwięcej pracy. Zbiór ziemniaków, ściółki, orka pod oziminy, pierwsze omloty, troska o opał itd. A tu akurat „panom“ przyszło do głowy kazać chłopu pisać pamiętnik i to w terminie do „1 grudnia“. To też nic dziwnego znowu, że — jak sami wydawcy wyznają (str. XX i XXI) „pierwszy pamiętnik przyszedł w parę dni po ogłoszeniu konkursu, niewiele większy od zwykłej kartki pocztowej“, a inni pisali „o jednej jakiejś zgryzocie rodzinnej, o zadłużeniu, położeniu bez wyjścia, na jednej, dwu stroniczkach papieru listowego“. — 4^o. I. G. S. wyrzuca niektórym pamiętnikarzom, że „na poczesne miejsce wysunęli sprawę nagród...“ Być może stało się to dlatego, że I. G. S., zbyt idealistycznie nastawiony, odsunął tę sprawę na zbyt szary koniec. Chcieć zebrać

źródłowy materiał do opisu nędzy chłopskiej z całej Polski i przeznaczyć na to czterysta złotych — to niewiele.

Na wezwanie I. G. S. odpowiedziało 498 chłopów. Z otrzymanej liczby rękopisów wybrał I. G. S. 51 i opublikował je „bez jakichkolwiek zmian... jedynie w paru wypadkach musieliśmy z konieczności usunąć miejsca, w których pamiętnikarz czynił wycieczki w sferę zgoła niegospodarczych zagadnień i to przede wszystkim z powodu wyrażen zbyt dosadnych, a niestety stanowiących jądro wywodu.“ (XV). Można się domyślać — co zresztą przebiega z niektórych ogłoszonych odpowiedzi — że owe „zbyt dosadne wyrażenia“ to poprostu nawoływanie do rewolucji i bolszewizmu. Ale czy nie zostały one sprowokowane treścią i jakością Odezwy konkursowej?

Ogłoszone „pamiętniki“ jako materiał socjologiczny przedstawiają m. zd. wartość dość nikłą. Są zbyt krótkie, ogólnikowe, mało osobiste — na czterech, dziesięciu, najwyżej trzydziestu stronicach, operują przeważnie banalną formą ujmowania rzeczywistości, czasem czynią wrażenie jakby powtarzania tego co prasa codzienna i tygodniowa pisze o położeniu dzisiejszego rolnictwa. A jednak niejednokrotnie czytając czuje się, że ten chłop mógłby powiedzieć dużo ciekawych rzeczy, gdyby się nie spieszył, gdyby mógł się naprawdę „wypisać“. Ale cóż kiedy termin „do pierwszego grudnia...“

Specjalnie wyróżniłbym „pamiętnik“ nr. 3, pisany przez niewiastę, a zwracający uwagę na mało znany los wiejskiej kobiety-męczennicy. Autorkę tego „pamiętnika“ o 16 stronach, zdradzającą duży talent pisarski, powinno się zachęcić odpowiednią ad hoc zapomogą do napisania prawdziwego, możliwie szczegółowego i pytaniami niekrępowanego pamiętnika.

Czytelnik „Pamiętników“, nie znający skądinąd życia na wsi polskiej, mógłby odnieść wrażenie, iż życie na wsi to jeden olbrzymi obraz nędzy i rozpacz. „Niema cukru, niema nafty, niema butów, nawet zapalną dzieli się na cztery części...“ Nikt nie zaprzeczy, że rolnikom, zwłaszcza tym na dwu lub trzech morgach, nie powodzi się świetnie. Biedaków było na wsi zawsze dość, a dzisiaj jest ich — zwłaszcza na wsiach oddalonych od centrów przemysłowych — bardzo dużo. Nagły spadek cen produktów rolnych, kartele, lichwiarskie procenty dochodzące do 10% miesięcznie!, bezwzględne ściąganie rat przez różne Banki i Kasy, biuralistyczna nieraz polityka podatkowa, wywołują także na wsi biedę i rozgoryczenie.

Ale nie można stwarzać legendy, że na polskiej wsi tylko nędza i nic więcej. „Nie wszyscy w rolnictwie biedują — pisze jeden z pamiętnikarzy (str. 46). — Ci co nie mieli spłat majątkowych lub nie przeprowadzali inwestycji, nie pożyczali pieniędzy, więc nie opłacają rat ani procentów... to narzekać nie mają na co.“ Prawda, że takich jest w niektórych wsiach mało, ale też prawda, że wielu pozaciągało długi lekkomyślnie — np. jeden z pamiętnikarzy dwadzieścia tysięcy na 14 hektarów — wielu poczyniło inwestycje za pożyczone pieniądze, wielu gospodaruje nieumiejętnie, wielu stało się ofiarą różnych nieszczęśliwych wypadków, chorób, nieuczciwości ludzkiej itp. A więc nie tylko „kryzys“ winien i podatki. Prawdą też jest, że są na wsi rolnicy, nawet małorolnicy, którym powodzi się nienajgorzej. W jednej np. znanej mi wiosce dwutysięcznej, wydano w jednym roku, 1934-tytu,

około piętnaście tysięcy zł. na sam tytuł, a około dwanaście tysięcy na napoje alkoholowe. Takich wsi znalazłoby się zdaje się więcej.

Nie sądzę zatem, żeby I. G. S., instytucja naukowa, oddawała przysługę nauce, przez nawoływanie do „stworzenia obrazu nędzy“ na polskiej wsi i przez literackie à là Jalu Kurek tegoż obrazu tworzenie.

Na jedno jeszcze trzeba by w interesie badań naukowych zwrócić uwagę w wydanych przez I. G. S. „Pamiętnikach“. Oto w rozdz. „Niec o pamiętnikach i pamiętnikarzach“ zamieszczono czternaście Tablic Statystycznych, łącznie o blisko stu rubrykach. Na tablicach tych poddano poprostu torturom statystycznym niewinną i całkiem przypadkową liczbę „498“. Tyle bowiem I. G. S. otrzymał „pamiętników“. Obliczono więc w procentach i w dziesiątych procentów, którzy pamiętnikarze podali np. swój wiek a którzy nie podali, którzy napisali ile mają ziemi a ile procent nie napisali; wymieniony obszar ziemi „wyprocentowano“ na hektary od dwu do ponad dwudziestu, porównano znowu procentowo z ogółem obszaru ziemi w Polsce (dobrze że tylko w Polsce), obliczono przeciętne zadłużenie na hektar itd. itd.

Bardzo to mądrze i uczenie wygląda, świadczy o mrówczej rachunkowości, ale jaki z tego pożytek? O czym ma nas przekonać lub pouczyć ta benedyktyńska statystyka? Co komu z tego przyjdzie, że np. z XII Tablicy się dowie, iż czterech pamiętnikarzy z woj. wschodnich podało, że byli na emigracji? Tablica podaje nawet, że dwu było na emigracji przed rokiem 1914, a dwu po r. 1914. Dlaczego akurat przed 1914, a nie 1915 lub 1925? A co by się stało z tą całą pseudo-uczoną statystyką, gdyby I. G. S. otrzymał jeszcze po terminie z jaką setką rękopisów i tak zresztą jeszcze nie mogących wyczerpać „całości obrazu nędzy“ na polskiej wsi?

Dobra i pożyteczna czasem statystyka, ale nie „statisticomania acuta“.

Pamiętniki chłopów? Zatyłowałbym to raczej: „Krótkie odpowiedzi pięćdziesięciu chłopów i jednej niewiasty na ankietę rozpisaną w r. 1933 przez I. G. S. w sprawie nędzy ekonomicznej na wsi“.

Ks. Fr. Mirek (Nowa Góra)

Zagadnienia współczesności.

G. Soule: *The Coming American Revolution*. London, G. Routledge and Sons, Limited, 1934, str. 314.

Zywo dyskutowane w ciągu lat ostatnich zagadnienie rewolucji w Ameryce nie przestaje być aktualne. Duży odłam prasy mieszczańsko-liberalnej witał reformy Roosevelta jako drugą rewolucję amerykańską, „rewolucję bezkrwawą“, „rewolucję pióra“.

W tych debatach na temat rewolucji, toczących się na łamach prasy i popularnych perjodyków amerykańskich w ciągu lat ostatnich, G. Soule, wybitny amerykański publicysta ekonomiczny, brał niejednokrotnie udział drukując swoje artykuły (włączone do omawianej książki) w liberalnym, ra-

dykalizującym tygodniku nowojorskim *The New Republic* i w miesięczniku *Harper's Magazine*.

„Idąca Rewolucja Amerykańska“ dzieli się na cztery części. W pierwszej autor omawia „Naturę rewolucji“, w drugiej — „Zmiany pod powierzchnią“, w trzeciej — „Kryzys lat ostatnich“, w czwartej p. t. „Idąca rewolucja“ zestawia metodyczne rozważania o „naturze rewolucji“ z części pierwszej z procesami opisanymi w części drugiej i trzeciej i dochodzi do wniosku, że w Ameryce dojrzewał proces rewolucyjny.

Na wstępie autor wykazuje, że wbrew popularnemu pogładowi na upadek kapitalizmu i na rewolucję, rewolucja nie dokonywa się nagle: proces rewolucyjny przechodzi ewolucję. „Nie może być rewolucji bez ewolucji; i ewolucji bez rewolucji“ (19). „Nietylko rewolucja może zaistnieć bez nagłego obalenia władzy, lecz i naodwrot nagle przejęcie władzy może się dokonać bez prawdziwej rewolucji“ (15). „Z dwóch bliźniaczo podobnych jednostek jedna przepędza drugą. I to pospolicie nazywa się „rewolucją“, choć w rzeczywistości jest tylko prymitywnym sposobem zastąpienia elekcji. Nagła zmiana rządu nie jest właściwie rewolucją dlatego tylko, że dokonywa się drogą gwałtu“ (15—16). Ostatecznie czy jest istotna różnica pomiędzy objęciem rządów na drodze politycznego przekupstwa a na drodze gwałtu? „Rewolucja zależy od zmian w psychikach ludzi i w ich nawykach“ (13). Dlatego „prawdziwa rewolucja dokonywa się w ciągu wielu lat, a nawet pokoleń“ (17). Na poparcie swoich wywodów przytacza autor pracę L. P. Edw ar d's (*The Natural History of the Revolution, 1927*), który na podstawie przeglądu wielu rewolucyjnych okresów dochodzi do przekonania, że rewolucja wymaga conajmniej 3 pokoleń intensywnego rozczarowania podważającego tradycyjne lojalności.

Autor kreśli następujące etapy rewolucji:

1. Muszą się dokonać zasadnicze zmiany w sposobach życia — wprowadzane często przez nową mechaniczną i ekonomiczną technikę.

2. Konsekwencją tych zmian jest przegrupowanie klas społecznych. Pewne klasy rozrastają się, inne kurczą się liczebnie; powstają ostrzejsze podziały klasowe, wzrasta ucisk jednych klas przez inne. Sam ucisk jednak nie jest jeszcze oznaką, że proces zbliża się do stadium, w którym uciskani przejmą władzę. W beznadziejnej sytuacji nędzy niema prawdopodobieństwa silnej opozycji. „Klasa rozpoznaje wroga klasowego, a jej aktywność nabiera charakteru rewolucyjnego dopiero wtedy, kiedy osiągnie potencjalną siłę i nabędzie ufności w siebie!“ (67).

3. Pod wpływem tych zmian pod powierzchnią, dokonuje się ferment ideowy. Ożywia się działalność intelektualistów, która przygotowuje duchowe narzędzia wyłonienia się nowego ustroju społecznego. „Symptomem zbliżającej się zmiany, którego nie brakło w żadnej rewolucyjnej epoce jest niezadowolenie intelektualistów. Zaczyna się to w początku procesu; wzrasta w miarę jak niepokój potęguje się; wkońcu bardziej wpływowi pisarze i wychowawcy zmieniają swoją lojalność; zwracają się, jeżeli nie ku nowej klasie, to conajmniej ku nowym społecznym idejom. W normalnie funkcjonującym ustroju zadanie intelektualistów polega na przekazywaniu

sankcjonowanej tradycji, na wzbogacaniu jej, upiększaniu i rozwijaniu — w celu celebrowania istniejącej wiary. Oni wiążą przyszłość z przeszłością. Kiedy przywódcy intelektualni zaczynają odczuwać niezadowolenie i szukają nowych kierunków, to znak, że stary ustrój chyli się do upadku. Klasyycznym przykładem są naturalnie, francuscy encyklopedyści. Nie wielu z nich było z przekonania rewolucjonistami; prawie wszyscy wyrażali lojalność dla monarchji. Niemniej, wnieśli oni w erę „oświecenia“ nowe idee wolności i równości, na których wykarmili się rewolucjoniści“ (51—52). „Jest to rzecz znamienita... że kluby Jakobinów zrodziły się z literackich towarzystw, które powstały dla dyskusowania teoryj Rousseau“ (51).

4. Czwarty etap rewolucji to rysy powstające w starym ustroju w miarę, jak postępuje proces rewolucyjny. Ustrój zaczyna słabnąć od wewnątrz; ulega dezintegracji. Zaczynają się reformy, które wzmacniają na sile powstające klasy, nie zaspakajając ich jednak. Reformy te są najczęściej dziełem umiarkowanych, pośrednich elementów, szukających sposobów uniknięcia niebezpieczeństwa rewolucji. „W rzeczywistości jednak są one często preludjum do rewolucji“ (68). „Reforma zdolna odsunąć rewolucję byłaby reformą równającą się rewolucji“ (69).

5. Wkońcu zbliża się kryzys rewolucyjny. Stare klasy nie posiadają już siły do utrzymania się, tracą zaufanie w siebie, nowe klasy posiadają już dostateczną siłę. „Kiedy powstająca i ufna w siebie klasa staje w kryzysie wobec chylącej się i słabej, następuje formalna zmiana władzy — często bez gwałtu, lub z bardzo niewielką jego dozą“ (69). „Ci przywódcy, którzy pierwsi obejmują władzę w rewolucyjnym kryzysie są zazwyczaj umiarkowani, i dążą do minimalnych zmian“ (69). „W istocie też rzadko ci, którzy zaczynają rewolucję kończą ją; ale bez ich przygotowawczej pracy ostateczni przywódcy nie mogliby powstać. Ponieważ często ludzie nie rozumieją na początku jak daleko trzeba iść“ (70).

6. Rewolucyjny gwałt w większych rozmiarach następuje dopiero w obronie rewolucji, kiedy ci, którzy zostali odsunięci od władzy, dążą do jej odzyskania. „Jeżeli rewolucja ma szanse powodzenia, to zazwyczaj dokonywa się na początku z mniejszą ilością gwałtu, niż ta, jaka występuje rokrocznie w kraju takim, jak Ameryka przy tłumieniu strajków i linczowaniu Murzynów. Udaje się, ponieważ wielu ludzi chce jej, i gotowi są słuchać nowych władz. Kiedy zaś nastąpiła, to kwestja czy gwałt zostanie zastosowany czy nie, zależy od wrogów rewolucji“ (70).

Przedstawione etapy procesu rewolucyjnego, ilustruje autor na rewolucji purytańskiej w Anglii, na rewolucji francuskiej i amerykańskiej (1776) i sowieckiej. Część ich wykrywa także we współczesnej sytuacji amerykańskiej, analizując zmiany techniczno-ekonomiczne, przegrupowania ludności, kryzys 1930 i lat następnych, oraz reformy prezydenta Roosevelta. Techniczno-ekonomiczne zmiany spotęgowały kolosalne trudności w funkcjonowaniu całego systemu, ludność ześrodkowała się w centrach przemysłowych, wzrosła ilość robotników, a stosunkowo zmniejszyła się ilość przedsiębiorców. Powstała ogromna klasa pośrednia „white collars“, a równocześnie choć liczba robotników w procesie technicznym produkcji zmniejszyła się,

to jednak ich znaczenie dla tego procesu wzrosło — zmalała natomiast rola kapitalisty i przedsiębiorcy. Potęguje się ferment wśród intelektualistów i wychowawców, których krytyka skierowuje się przeciw systemowi tradycyjnemu a zwraca się ku nowym ideom. „Jasne jest, konkluduje autor, że jesteśmy obecnie w krytycznym okresie rewolucji. Depresja z 1930 i lat następnych dała nam doskonały przedsmak tej postaci, jaką kryzys przybierze, jeżeli przyjdzie... Jednym z zasadniczych powodów dlaczego nie było jeszcze rewolucji jest, że ani prezydent, ani jego doradcy, ani społeczeństwo wogóle nie byli psychicznie przygotowani do objęcia władzy nad przemysłem. Oddali system spowrotem jego dawnym władcom, dając mu pomoc, ażeby mógł istnieć nadal. Jeden z dwóch koniecznych czynników rewolucyjnego kryzysu, t. j. zatamianie się dawnego ustroju od wewnątrz — istniał w wielkiej mierze, brakło jednak czynnika drugiego. Podnoszące się klasy nie były przygotowane do zajęcia miejsca dawnych. Mimo to zrobiono gest w kierunku powołania ich do udziału we władzy. Kapitalizm wychodzi z tego kryzysu zwycięzca, ale na dalszą metę słabszy zarówno fizycznie jak moralnie“ (302).

Można zrobić autorowi słuszny zarzut, że w przedstawieniu rewolucyjnego procesu w Ameryce, który jak słusznie wielokrotnie podkreśla, jest procesem zmian postaw społecznych i obyczajowo-moralnych, zbyt jednostronnie opiera się na dokumentacji z dziedziny ekonomicznej, nie sięgając do innych źródeł dla zilustrowania zmian społeczno-moralnych.

Tam, gdzie procesy społeczne można było udokumentować danymi liczbowymi, autor nie omieszkiał tego uczynić, bez zbytniego przeładowania książki statystyką, tak, że książka poza przyczynkiem do socjologicznej teorii rewolucji, posiada wartość informacyjną, jeżeli chodzi o współczesne społeczno-ekonomiczne stosunki amerykańskie. Przedstawienie kryzysu i „New Deal'u“ składające się na III część pracy (zgorą 100 str.), przez swój obiektywizm wyróżnia się korzystnie wśród obfitej już literatury na ten temat.

Józef Chałasiński (Warszawa).

John Strachey: *The Coming Struggle for Power*. London 1932 (I tanie wydanie London, Victor Gollancz, Ltd. 1933), str. 399.

Arthur Salter: *Recovery, the Second Effort*. London. G. Bell and Sons Ltd. 1933 (tanie wydanie), str. XI + 306. (I wyd. 1932).

Dwie świetne książki, które prawie równocześnie ukazały się w Anglii: Sir Arthura Saltera (*Recovery, the Second Effort*) i Johna Strachey'a (*The Coming Struggle for Power*) jako intelektualny wynik zmagania się Anglii i świata z kryzysem, przedstawiają dwa zasadniczo różne ujęcia tego zagadnienia. Sir Arthur Salter, były szef sekcji ekonomicznej Ligi Narodów, ogranicza się do analizy ekonomicznych aspektów zagadnienia i w sytuacji współczesnej widzi konsekwencje dyslokacji procesów eko-

nomicznych. „W tem leży klucz do naszych obecnych trudności. Nie jest niem zniszczenie (wojenne), braki w produkcji lub surowcach, lecz dyslokacja“ (3). Zachwiana została równowaga ekonomiczna między krajami, a równocześnie system kapitalistyczny stracił już swoją zdolność automatycznego przystosowania się do zmienionych potrzeb, zarówno na skutek wyczerpania się terenów do eksportu, kolonizacji i emigracji, jak i wskutek ingerencji państwa w procesy ekonomiczne. Wojna przyspieszyła kryzys kapitalizmu, ale go nie zrodziła. Rany jakie zadała ludzkości „zmniejszyły odporność świata na jego dawniejsze niedomagania i przyspieszyły ich fatalne skutki“ (2).

„Nie możemy powrócić do nieuregulowanej konkurencji ubiegłego stulecia — pisze Salter — stało się to niemożliwe wobec odrzucenia jej społecznych konsekwencji i wobec rozwoju nowoczesnej techniki przemysłowej. Nie znaczy to jednak, że mamy dążyć do stworzenia świata tak ściśle uregulowanego, że indywidualne współzawodnictwo i swoboda przedsiębiorstwa byłyby całkowicie z niego wykluczone... Zadanie polega nie na znalezieniu drogi pośredniej, ale na znalezieniu drogi nowej. Zadanie polega na stworzeniu systemu, w którym współzawodnictwo i indywidualna przedsiębiorczość z jednej strony, a regulacja i ogólne planowanie z drugiej strony, byłyby tak wzajemnie przystosowane, że zachowane zostałyby korzyści obydwóch, a wyeliminowane ich wady. Trzeba zbudować takie ramy, takie zwyczaje i takie instytucje, takie planujące kierownictwo i taki kierunek, któryby czynił, że indywidualny wysiłek i ambicja mogłyby działać tylko dla ogólnego dobra“ (21).

„Jeżeli mamy uniknąć okresu nędzy i dezorganizacji — pisze w innym miejscu — które zagrażają naszej obecnej cywilizacji, to potrzebujemy wznowionego wysiłku, wnikliwej analizy i twórczej reformy, dorównującej pod względem śmiałości i zdecydowania tym reformom, które obserwujemy w Rosji, choć inny byłby cel i metoda naszej reformy“ (6).

Wiele zagadnień poruszonych przez Saltera jest również tematem rozważań Strachey'a, byłego członka parlamentu angielskiego z ramienia Partji Pracy, nawróconego na komunizm. Zakres zagadnień poruszanych przez Strachey'a jest znacznie szerszy, a kryzys współczesny obejmuje w jego książce nie tylko sferę ekonomiczno-polityczną, ale i kulturalną. Autor rozpatruje kolejno narodziny kapitalizmu, cechy kapitalizmu współczesnego (monopole, nacjonalizm, walkę o rynek, imperjalizm) i upadek kapitalistycznej kultury (religii, nauki, literatury). W sytuacji współczesnej widzi zmaganie się tendencji kapitalistycznych z komunistycznymi. W zwycięstwie komunizmu leży, zdaniem autora, „zbawienie ludu brytyjskiego“ i świata. Książka jest doskonale napisana z wybitnym talentem publicystycznym. Do bardzo dobrych jej partyj należy 50-stronicowa część piąta traktująca o „politycznej walce w Wielkiej Brytanji“, którą autor zna z własnego doświadczenia i którą poddaje wnikliwej analizie. Całość niezawsze przekonująca, zawsze jest prowokująca myślowo. Pod względem informacyjnym, jeżeli chodzi o analizę procesów ekonomicznych kryzysu, nie dorównuje doskonalej pod tym względem książce Saltera.

The Coming Struggle for Power jest również interesująca ze względu na ewolucję polityczną autora, który pochodzi z dobrej konserwatywnej rodziny (ojciec był redaktorem londyńskiego *Spectatora*), kształcił się w Eton i Oxford, polityczną karierę zaczął w 23 roku życia jako laburzystą, w 1929 r. (w wieku lat 27) wchodzi do Parlamentu, po 2 latach rozczarowuje się całkowicie do swojej partii i „nawraca“ na komunizm.

Dwie te książki, tak różne pod względem ujęcia i stanowiska autorów, doskonale się uzupełniają, a obydwie są napisane tak świetnie, że trudno byłoby o lepiej dobraną parę wprowadzającą prosto z mostu in medias res problemów współczesnego zamętu, z tem jednym zastrzeżeniem, że trzy lata, jakie upłynęły od ich wydania wymagają pewnej korektury i uzupełnień.

Józef Chalasiński (Warszawa).

Karl Mannheim: *Mensch und Gesellschaft im Zeitalter des Umbaus*.
A. W. Sijthoff, Leiden 1935.

Głównym tematem niniejszej książki niezwykle wnikliwego autora głosznej *Ideologie und Utopie* jest analiza konkretnej sytuacji, w której się znajduje człowiek współczesny jako istota działająca i jako istota orjentująca się (albo raczej: usiłująca się zorjentować) w nowopowstającym środowisku.

Autor wychodzi z założenia, iż najważniejsze społeczne konflikty i napięcia doby współczesnej wynikają z równoczesnego istnienia dwóch niezależnych od siebie zasad: zasady „laissez faire“ i zasady „planowego regulowania“. Wylania się — nie po raz pierwszy, jak Mannheim zaznacza, w historii nowoczesnej — podstawowe zagadnienie: w jakim stopniu kształtują racjonalne z jednej, irracjonalne czynniki z drugiej strony życie społeczne? W pierwszym z trzech artykułów, które składają się na całość książki, usiłuje M. dać odpowiedź na powyższe pytanie.

M. rozróżnia, w sposób bardzo trafny, pojęcie „racjonalności substancjalnej“ (substantielle Rationalität) od pojęcia „racjonalności funkcjonalnej“ (funktionelle Rationalität). Racjonalność w pierwszym znaczeniu oznacza te czynniki psychiki ludzkiej, które posiadają charakter racjonalny, a więc myśli, mniemania, wyobrażenia itd. w przeciwieństwie do czynników irracjonalnych, jak popędy, pragnienia, instynkty itd. Racjonalność funkcjonalna natomiast oznacza fakt, iż pewne określone działania są w taki sposób zorganizowane jako środki do osiągnięcia zamierzonych celów (które oczywiście nie muszą być racjonalne), iż każde z nich posiada w tej strukturze działań pewne określone miejsce. Racjonalność funkcjonalna posiada dwa kryteria: a) organizację „w kierunku pewnego celu“ i b) obliczalność ze stanowiska „trzeciego“.

W sposób bardzo ciekawy analizuje M. związek, zachodzący pomiędzy wzmagającą się „funkcjonalną racjonalnością“ (zależną od industrializacji i połączonej z nią organizacji współczesnego społeczeństwa) a narzuconą przez nią „samoracjonalizacją“ jednostki (Selbstrationalisierung), która to jednostka zmuszoną zostaje opanowywać i kontrolować w coraz wyższej

mierze swoje bezpośrednie popędy i życzenia, i stawać się coraz bardziej „obliczalną”, by poddać owej funkcjonalnej racjonalizacji życia. Doskonałym wydaje nam się także wykazanie zależności wszelkiej refleksji od znajdowania się w sytuacjach, w których jakiegokolwiek bądź dokonanie — nie udaje się. Refleksja byłaby więc poniekąd reakcją jednostki na załamanie się pewnych dotąd sprawnie funkcjonujących form działania.

Podczas jednak gdy z jednej strony industrializacja wykazuje tendencje do potęgowania „racjonalności funkcjonalnej”, osłabia ona równocześnie z drugiej strony w sposób wielce niepokojący „racjonalność substancjalną”: jednostka staje się coraz bardziej częstką składową systemów organizacyjnych, których funkcjonowania nie rozumie i z przydzielonego jej miejsca rozumieć nie może, fakt zresztą, który tłumaczy rosnącą nieprzejrzystość sytuacji życiowej, dalej pogłębiającą się coraz bardziej przepaść pomiędzy kierowniczymi elitami a masą, wreszcie też odwoływanie się do jakiegoś „woda”, który ma wyzwolić z nieprzejrzystej sytuacji. Przemiany kultury współczesnej oddziałują więc zarówno w kierunku potęgowania racjonalnych jak też irracjonalnych składników osobowości.

Artykuł kończy się bardzo ciekawymi rozważaniami, dotyczącymi zagadnienia „podwójnej moralności”. M. wykazuje, iż szczególne niebezpieczeństwo doby współczesnej w dziedzinie etyki polega na tem, że podczas gdy swego czasu podwójna moralność (machiawelizm) była nastawieniem i konfliktem wyłącznie grup, będących u władzy i robiących z konieczności odpowiednie doświadczenia, dzisiaj antynomja owa jest faktem, który daje się w najbrutalniejszy sposób odczuć także szaremu człowiekowi.

W drugim artykule analizuje M. socjologiczne przyczyny kryzysu współczesnej kultury. Kultura nasza zagrożona jest z dwóch stron: ze strony liberalizmu pod hasłem zasady „laissez faire” i od strony „regulowania” w imię zasad dyktatorskich. Destruktywne konsekwencje w dziedzinie życia kulturalnego wykazuje M. na procesach kształtowania się elit. Liberalizm mianowicie oddziałuje destrukcyjnie poprzez wzmaganie się liczby elit, poprzez zniszczenie ich zwartości, dalej poprzez przekształcenie zasad selekcyjnych i wreszcie wskutek przemiany ich wewnętrznego składu. Szczególnie ciekawe są rozważania na temat trzech fundamentalnych zasad selekcyjnych: zasady krwi, zasady posiadania i zasady osobistego wyczynu.

Dalsze rozważania dotyczą zagadnienia „publiczności”, zagadnienia „inteligencji” (jako warstwy społecznej), jej proletaryzacji w dobie współczesnej i wynikających stąd następstw.

Mimo wszystkich ułomności i niedomagań demokratyczno-liberalnej struktury społecznej, największa zaleta tego systemu polega według M. na jego niezwyklej elastyczności, która to elastyczność umożliwia samonaprawę na każdym zagrożonym odcinku. Dyktatura nie jest, jakby się mogło napozór wydawać, odruchem przeciwstawiającym się negatywnym zjawiskom systemu liberalistycznego, lecz raczej jednostronną próbą ustalenia pewnego przypadkowego stadium rozwoju liberalistycznego ustroju na korzyść pewnych, właśnie rządzących ugrupowań.

Tematem trzeciej — i najważniejszej — rozprawy jest zagadnienie myślenia i działania w fazie „planowania“. Według M. istnieją mianowicie trzy fundamentalne fazy myślenia i działania: (przypadkowa) „znajdowanie“ (Finden), „wynaajdywanie“ (Erfinden) i wreszcie „planowanie“, polegające na przemyślaniu odległych konsekwencji i uwzględnianiu wszystkich zachodzących wzajemnych związków. Między sposobem działania a sposobem myślenia istnieje ścisła zależność. Odnośne tezy M.'a można by scharakteryzować jako pewnego rodzaju pragmatyzm, pragmatyzm jednak niezwykle wysubtelniony. Rozbieżność między teorią a praktyką jest w gruncie rzeczy rozbieżnością dwóch równocześnie konkurujących sposobów myślenia.

Fakt, że naukowe ujęcie w niektórych dziedzinach życia pozostaje obcem rzeczywistości, polega według M.-a na tem — twierdzenie to jest naszym zdaniem niezwykle trafne i doniosłe — że nauki dotychczasowe, szczególnie nauki społeczne, skierowane były na analizę i teorię poszczególnych pól działania, np. pola gospodarczego lub politycznego lub pedagogicznego; rzeczywistość jednak polega właśnie na krzyżowaniu się procesów, przebiegających w poszczególnych dziedzinach. To krzyżowanie się tych różnorodnych przebiegów, na którym polega właśnie „życie“, wymyka się naukom o dotychczasowej konstrukcji a następstwem tego jest ich obcość wobec rzeczywistości. Również trafnym wydaje nam się twierdzenie M.-a, że bezkrytyczna naukowa ideologia „ścisłości“ prowadzi częstokroć do błędnego nastawienia niektórych uczonych, którzy uważają tylko za „ważne“, co się da ściśle i, o ile możliwości, ilościowo określić. Wskutek tego wymyka się naukowym badaniom i rozważaniom tego rodzaju właśnie to, co w gruncie rzeczy jest częstokroć — najważniejsze. Ten sam charakter posiada krytyczne nastawienie M.-a zwracające się przeciwko historyzującej „post-mortem“ — perspektywie, która prowadzi do spaczonoego patrzenia się na otaczającą nas rzeczywistość. Jest, twierdzi M., radykalnym zniekształceniem, najoczywistszych faktów, jeśli historycy uczą nas — „post-mortem“ — patrzeć na to, co się stało, tak jakgdyby było jedyną możliwością stawanie się swego czasu.

W zakończeniu rozważa M. wreszcie możliwości wewnętrznej przebudowy człowieka i analizuje w sposób wręcz zdumiewająco wnikliwy trzy nowoczesne doktryny dotyczące tej wewnętrznej przebudowy: pragmatyzm, behawioryzm i psychologię głębinową.

Książka pisana jest stylem trudnym — niejednokrotnie nawet zbyt trudnym — zawiera jednak niezwykle dużą ilość trafnych myśli i doskonałych analiz współczesnej sytuacji życiowej i jest ze wszech miar godną poznania.

G. Ichheiser (Warszawa).

K R O N I K A

Drugi Zjazd Socjologów Polskich.

Polski Instytut Socjologiczny zawiadamia, że w dniu 1, 2 i 3 listopada r. b. odbędzie się w Warszawie II-gi Zjazd Socjologów Polskich.

Komitet Zjazdu stanowią: prof. L. Krzywicki — przewodniczący, dr. J. Chałasiński — sekretarz, członkowie: prof. J. Bystroń, dyr. K. Kornilowicz, prof. W. Makowski, dr. St. Rychliński, prof. F. Znaniecki.

Tematem obrad Zjazdu będą: 1) badania socjograficzne, jako podstawa planowania w zakresie organizacji życia społecznego, 2) zagadnienia ludnościowe i 3) zagadnienia socjologiczno-wychowawcze.

Szczegółowy program Zjazdu i informacje organizacyjne podane zostaną do wiadomości publicznej we właściwym czasie.

Osoby, pragnące wziąć czynny udział w Zjeździe, proszone są o zgłaszanie referatów wraz ze szczegółowym streszczeniem do dnia 15 września r. b. Dążąc do ześrodkowania prac Zjazdu na niektórych wybranych zagadnieniach, Komitet Zjazdu zastrzega możliwość nieprzyjęcia referatów, odbiegających treścią od zasadniczego programu narad Zjazdu.

Zgłoszenia na Zjazd należy nadsyłać do dnia 1 października. Wpisowe wynosi 10 zł; uczestnicy Zjazdu otrzymają bezpłatnie drukowane sprawozdanie ze Zjazdu.

Adres Komitetu Zjazdowego: Instytut Spraw Społecznych — Zjazd Socjologiczny, Warszawa, ul. Wilcza 1 m. 5, tel. 960—42. Wpisowe należy przesyłać pod powyższym adresem przekazem pocztowym.

Konkurs Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie na pracę o polityce gospodarczej Polski.

Ilektrotnie mowa jest o programie gospodarczym Polski na najbliższą przyszłość, pojawiają się najrozmaitsze pomysły, po większej części wzorowane — i to dość powierzchownie — na zagranicy, żyjącej w odmiennych stosunkach, a stosowanych w praktyce — acz nie zawsze konsekwentnie do końca, przez różnych kierowników naszych resortów gospodarczych.

Poważne omyłki w dziedzinach naszej polityki gospodarczej wynikają głównie z braku dokładnej i źródłowej znajomości dotychczasowego jej przebiegu, zarówno u nas jak i gdzieindziej.

Ogół wykształcony sądzi zupełnie mylnie, że do prowadzenia pomyslniej polityki gospodarczej, odmiennie niż np. w dziedzinie wojskowości, dyplomatycznych stosunków z zagranicą, czy też oświaty lub komunikacji — wystarczy wykształcenie ogólne i przeniesienie na nasz teren metod pracy, gdzieindziej skutecznych.

Stąd pochodzi, że podczas gdy w innych dziedzinach mamy do zanotowania szereg powodzeń, w dziedzinie gospodarczej, mają one miejsce tylko tu i ówdzie i w mniejszej mierze, niż mielibyśmy prawo tego oczekiwać.

Dewaluacja znaków pieniężnych i bardzo znaczne obniżenie ich wartości, było zabójczym ciosem zarówno dla zasady oszczędności, jak i dla całego kredytu hipotecznego.

Niedostatecznie rozbudowane ustawodawstwo akcyjne, przez brak ochrony małych akcjonariuszy i fałszywą tolerancję dla szeregu wybiegów, niedopuszcilo do rozbudowy wielkiego przemysłu w drodze napływu kapitałów od średniego i małego kapitalisty. W jednym i drugim wypadku, ustawodawca pragnął zapewne poprzeć klasy posiadające, faktycznie jednak mocno im zaszkodził, wytwarzając nietylko — wśród większości nieposiadających — nastrój w najwyższym stopniu dla nich niechętny, ale nadto płosząc i zniechęcając średnie i małe kapitały do lokacji ich w listach zastawnych lub akcjach.

Dopiero dokładne zobrazowanie dotychczasowego przebiegu wydarzeń, może dać jasny obraz rzeczywistego stanu rzeczy, rozróżnić między szkodliwą inflacją a inwestycjami produkcyjnymi, dopomóc do odzyskania taniego kredytu długoterminowego dla własności nieruchomości, jak również do odbudowy chętnego współdziałania w tworzeniu silnych i solidnych placówek przemysłowych.

Dokładne zbadanie przeszłości, umożliwi na przyszłość zaniechanie popełniania błędów, dzięki którym, zaniedbując najbliższe sposoby, doprowadziliśmy Polskę do ciężkiego stanu gospodarczego w jakim się ona obecnie znajduje.

Z tych wychodząc założeń, niepowodowani chęcią służenia żadnej partji i zatajania niczyich błędów, mając na myśli jedynie służbę publiczną i dobro Państwa, rozpisujemy konkurs na pracę:

„PRZEBIEG POLITYKI GOSPODARCZEJ POLSKI OD 1918 DO 1935“.

W osobnych rozdziałach należy uwzględnić przemysł, rolnictwo, handel, spółdzielczość, stosunki walutowe i kredytowe.

Termin nadsyłania prac do dnia 1-go października 1936 roku, pod adresem: Polskie Towarzystwo Ekonomiczne we Lwowie.

Sąd konkursowy będzie w swoim czasie przez Zarząd naszego Towarzystwa ustanowiony, a skład sądu podany do wiadomości publicznej.

Prace powinny być źródłowe i wyczerpujące, wolne od wszelkich tendencji partyjno-politycznych. Krytyka rzeczowa natomiast, jest nietylko dopuszczalna, ale wprost nieodzowna.

Autor winien zbadać całe ustawodawstwo gospodarcze polskie w danej materji, zapoznać się ze stenograficznymi sprawozdaniami Sejmu i Senatu, spostrzeżeniami odnośnych Komisji parlamentarnych oraz całą literaturą przedmiotu.

Głównem zadaniem pracy jest dokładne i umiejętne przedstawienie przebiegu naszej polityki gospodarczej w danym okresie czasu.

Oczywiście jednak zwiększyłoby wartość pracy, gdyby autor jej, nie poprzestał na suchem wyliczeniu faktów i treści ustaw, ale zarazem umiał

porównać je z ustawodawstwem i stosunkami w Niemczech, Francji, Anglii, Italji, Rosji Sowieckiej i innych państwach, tudzież ocenić je bezstronnie ze stanowiska ich pozytywnej lub negatywnej wartości dla Państwa.

Za najlepszą pracę ustanawiamy nagrodę Zł 2000,— (dwa tysiące złotych).

Autor nagrodzonej pracy, której ogłoszenie drukiem Towarzystwo sobie zastrzega — otrzyma ponadto 15% ceny księgarskiej brutto, po potrąceniu kosztów jej wydania.

